

Kontynuacja kultowej powieści **ROBERTA LOUISA STEVENSONA!**

# Silver

Powrót na Wyspę Skarbów

Andrew Motion

SON

WYDAWCTWO

WARSZAWA

2010





# Silver

Powrót na Wyspę Skarbów

Andrew Motion

tłumaczenie:  
JAROSŁAW RYBSKI

Kraków 2015

Część I

POKUSA

# Rozdział 1

## Przykazania mojego papy

W tamtych czasach byłem posłuszny woli mego ojca. Wstawałem codziennie o szóstej rano, na paluszkach mijałem drzwi sypialni, by go nie zbudzić ze snu, a następnie tak cicho, jak się tylko dało, ruszałem do pracy pośród brudnych kufla, szklanek, talerzy, noży, płwociny z tytoniu, połamanych cybuchów fajek oraz innych przedmiotów będących świadkami nagle urwanej przyjemności, które czekały na mnie w szynku na dole. Dopiero po jakiejś godzinie – kiedy wszystko zostało uprzątnięte, a powietrzem znów dało się oddychać – mógł się pojawić mój ojciec, klnący na mnie w żywy kamień za to, że się tak tłukę.

– Mój Boże, chłopcze – witał się ze mną za każdym razem. – Czyżbyś chciał obdzielić bólem głowy całe hrabstwo? – Kiedy zadawał to pytanie, nie patrzył w moją stronę, lecz kierował się od drzwi wprost do świeżo wyszorowanego stołu, a następnie opadał ciężko na ławę, przyciskając obie dłonie do skroni.

Później następowało zawsze to samo: musiałem być czujny i natychmiast podać mu orzeźwiająca szklanicę grogu, a następnie przysmażyć kilka plastrów bekonu i zaserwować mu je wraz z grubą pajdą brązowego chleba.

Mój ojciec bez zmrużenia oka wypijał głośno rum, po czym przeżuwał swój posiłek w milczeniu. Widzę go dzisiaj równie wyraźnie jak wtedy, niemal czterdzieści lat temu. Z zarumienioną facjatą, kępą płowych włosów, zaczerwienionymi oczami oraz dopadającą go melancholią tak wyraźną, jak dym unoszący się z ogniska. Wtedy wydawało mi się, że pewnie jest zły – ogólnie na świat, a na mnie w szczególności. Obecnie myślę, że przedmiotem tej irytacji był on sam. Jego życie rozpoczęło się przygodą i podniętą, lecz dobiegało kresu w banale codziennie powtarzanych czynności. Jedyнным pocieszeniem – mogącym nawet uchodzić za rozrywkę – było ukończenie śniadania i wydawanie mi poleceń, które, jak mniemałem, zwiększały tylko moją niedolę w takim samym stopniu jak i jego.

W dniu, w którym zaczyna się moja opowieść, a który przypadł na początek miesiąca lipca roku Pańskiego 1802, moje zadanie polegało na odnalezieniu gniazda os, znajdującego się gdzieś w pobliżu, i zniszczeniu go, by nie stanowiło dłużej źródła udręki dla naszych klientów. Po wykonaniu tego zadania miałem wrócić do szynku, zacząć przygotowywać strawę i napitek na cały dzień i szykować się do podawania. W gruncie rzeczy nie miałem nic przeciwko pierwszemu z tych zadań, gdyż dawało mi ono sposobność przebywania wyłącznie we własnym towarzystwie, które w tym okresie życia najbardziej sobie ceniłem. Nie muszę mówić, jak zapatrywałem się na perspektywę dalszych obowiązków związanych z pracą w szynku.

Ponieważ nie miałem w zwyczaju dostarczać ojcu dodatkowej uciechy i nie dawałem po sobie poznać, co sprawia mi radość, a co wręcz przeciwnie, bez słowa ruszyłem do pracy. Polegała ona na skinięciu głową na znak, że pojmuję, czego się ode mnie oczekuje, a następnie nalaniu kropelki najprzedniejszego piwa z jednej z kilku beczek, które stały nieopodal, do kufla i zanieśieniu rzeczonoego kufla na ławę, która biegła wzdłuż frontowej ściany domu z widokiem na rzekę. Tam mogłem usiąść i czekać, aż znajdą mnie nasi wrogowie.

Był piękny poranek; mgła zdążyła już osiąść na brzegach i w zatoczkach, a cała panorama naszego sąsiedztwa wyglądała wprost uroczo. Za rzeką, wypływającą w tym miejscu z Greenwich, rozciągał się

szeroki na przynajmniej trzydzieści jardów pas oliwkowych w barwie moczarów, które docierając do horyzontu, płynnie przechodziły w fiolet. Na Tamizie też już zaczynała się codzienna praca. Duże statki kupieckie wypływały w podróż na drugi kraniec globu, mocne, niewielkie barki węglowe, promy wiozące ludzi do pracy, skiffy i żaglowe łodzie, wszystkie sunęły gładko niczym chrząszcze na wzbierającej toni. Choć codziennie, przez całe swoje życie widziałem taką procesję przed domem, wciąż napawałem się tym cudownym widokiem. Równie krzepiąca była myśl, że żaden z marynarzy na tych statkach ani rybaków sunących samotnie ich śladem, czy też robotników na barkach wraz z ich dzwoniącymi uprzęgą perszeronami prawie nie zauważał mojego istnienia, ograniczając się wyłącznie do prostego powitania; nie zakłócał też mojej koncentracji na zadaniu – które, jak mówię, polegało na razie wyłącznie na wyczekiwaniu.

Kiedy słońce i bryza wraz z senną wonią wypełzającą z błotnistych brzegów prawie mnie znów nie uspiły, spełniło się moje życzenie. Duża, ciekawska osa (czy też *kacper*, jak je nazywaliśmy w dorzeczu rzeki) zaczęła unosić się ostrożnie nad moim kuflem, następnie przywarła do krawędzi, a potem spadła w odmęty czujnym, wirującym lotem, aż niemal mogła dotknąć nektaru nalanego specjalnie dla niej. W tym momencie zakryłem kufel dłonią i mocno nim zakręciłem, tworząc własną falę przypląwu.

Przez chwilę bądź dwie potrząsałem kuflem jak należy, niczym jakiś tyran wzbudzający strach u jednego ze swych poddanych, a potem ostrożnie wylałem ciecz na powierzchnię ławy. Kacper był już podtopiony i wstawiony, odnóża rozjeżdżały się pod nim, a skrzydła drgały frenetycznie. Był to stan upojenia, którego było mi trzeba, bo teraz mogłem zanurzyć dłoń w kieszeń i wyciągnąć kawałek jaskrawoczerwonego kordonka, a następnie przywiązać go do talii mojego więźnia. Zrobiłem to bardzo delikatnie, żeby przypadkowo przedwcześnie nie przedzierzgnąć się w kata.

I tak siedziałem dalej w słońcu, czekając spokojnie, aż kacper odzyska zmysły oraz zdolność latania. Miałem zamiar pozwolić, by bryza przyspieszyła ten proces, ale kiedy usłyszałem, jak ojciec tłucze się w swojej sypialni tuż nade mną, dopomogłem siłom natury własnym, ciepłym oddechem – nie paliło mi się do drugiej rozmowy z nim, gdyż wiedziałem, że skończy się to na kolejnych poleceniach przyniesienia tego i wyniesienia owego. Niepotrzebnie się jednak martwiłem. W tej samej chwili, kiedy usłyszałem trzask składanej okiennicy i wyobraziłem sobie, jak ojciec zbiera się, by krzyknąć na mnie z góry, pan Osa podreptał po ławie i uniósł się w powietrze.

Udało mu się wzbić tylko do niskiego, chwiejnego lotu, który, jak pomyślałem, zaniesie go za rzekę – a wtedy bym go stracił z oczu. Ale po chwili zauważyłem, że nastawił swą busolę na mokradła i bez wątpienia gratulując sobie w duchu tego cudownego wyczynu, miarowo nabierał wysokości. Ruszyłem szybko za nim, wbijając wzrok w wyraźnie widoczny kordonek, umożliwiający mi obserwację stworzenia; czułem wielką ulgę, że mu specjalnie w locie nie przeszkadza. Kiedy zostawiliśmy już za sobą mój dom, rzekę i szopy, w których ojciec trzymał beczki, oraz minęliśmy sad, w którym rosły jabłka do produkcji cydru, wyszliśmy na otwartą przestrzeń.

Obcej osobie te mokradła mogły jawić się tylko jako ugór – grzęzawisko poprzecinane wieloma cienkimi strumyczkami biegnącymi do Tamizy, o powierzchni przypominającej szkliwo na garncu. Wszystko w tym samym zgniłozielonym, zielono-niebieskim lub zielono-brązowym kolorze. Nie było tu wysokich drzew, a jedynie kilka nagich pni, które powykręcane przez wichur zastygły w agonalnych pozach. Rosły tu kwiaty, których nazw nie zna żaden gentleman ani żadna dama.

Dla mnie owo miejsce było istnym rajem, a ja stałem się znawcą każdego jego nastroju i zmiany. Delektowałem się wysokim nieboskłonem i przestrzennym widokiem zdradzającym nadciągającą zmianę pogody. Kochałem miriady rozmaitych traw i ziół. Prowadziłem rejestr wszelkich gatunków gęsi i kaczek, przylatujących wiosną i odlatujących jesienią. Moje oko cieszyła zwłaszcza gromadka *angielskich* ptaków – strzyżyków i makolągów, gilów i drozdów, kosów i szpaków, czajek i pustulek –



które były na miejscu niezależnie od pory roku. Kiedy zaczynał się przypływ i woda wypełniała kanały po brzegi, a ziemia stawała się zbyt gąbczasta, bym mógł po niej przejść, czułem się niczym Adam wygnany ze swego ogrodu. Gdy prądy się zmieniały i ziemia znów robiła się prawie zwarta, moje serce odżywało.

Meandrowanie zawsze należało do moich największych przyjemności – nie mogłem się jednak radować nim tego konkretnego dnia, bo mój jeniec wiódł mnie stale naprzód. Kiedy leciał prosto, zbierałem siły, biegłem i zawracałem, skakałem i kluczyłem, by za nim nadążyć. A ponieważ byłem w tym ekspertem i znałem to miejsce jak własną kieszeń, wciąż widziałem go wyraźnie. Wreszcie dotarł na miejsce. Było to jedno z tych skarłowaciałych drzew, o których wspominałem – jesion wyrosły na odległej krawędzi bagna i wygięty przez burze w kształt litery C. Kiedy tylko ujrzałem tego dziwoląga, wiedziałem już, dokąd zmierza mój przyjaciel, bo nawet z pięćdziesięciu jardów mogłem dostrzec gniazdo zwisające z niego niczym kolczyk z ucha.

Był to klejnot wykonany z papierowej masy uformowanej w długi, owalny kształt. W taki właśnie sposób kacprzy robią swoje gniazda – przeżuwają niewielkie kęsy drewna i mieszają je ze śliną, aż powstaje stożek. W tym stożku chronią swoje gniazdo, a przede wszystkim królową, która składa jaja na każdym poziomie. To jest niezwykle: stworzenia, które ludzkie oko postrzega jako całkiem chaotyczne, które zawsze latają z bzyčeniem we wszystkich kierunkach, albo też bez konkretnego obranego kierunku, są w istocie niezwykle dobrze zorganizowane i zdyscyplinowane. Każdy osobnik ma swój udział w tworzeniu tej społeczności i gra w niej własną rolę, wiedziony wyłącznie instynktem.

Kiedy zbliżyłem się do gniazda, wzbudziło ono mój tak wielki podziw, że zastanawiałem się, czy nie wrócić do ojca i nie powiedzieć mu, że wykonałem polecenie, w istocie go nie wypełniając. Wiedziałem, że nigdy by się sam nie wypuścił na poszukiwania – gniazdo znajdowało się w tak odległej części moczarów, że była to ziemia obca nawet dla mnie. Wiedziałem też jednak, że musiałbym żyć z tym kłamstwem, co nie będzie przyjemnie, bo osy nie przestaną nas nachodzić.

Te dwa powody wystarczyłyby w zupełności, by wykonać zadanie. Prawdę mówiąc, istniał jeszcze trzeci, o wiele bardziej istotny – choć nie byłem skory, by się do tego przyznać, ponieważ stał w wyraźnej sprzeczności z tym, co mówiłem na temat swoich sympatii i antypatii. Bardzo chciałem zniszczyć to gniazdo. Intrygowało mnie. Byłem nim zafascynowany. Ale moje zainteresowanie niezwykle szybko przerodziło się w chęć posiadania – a ponieważ zawłaszczenie gniazda było niemożliwe, jedyną alternatywą stało się jego zniszczenie.

I tak zacząłem zbierać wszystkie dostępne kawałki drewna, każdy patyczek wysuszony przez słońce, więc kiedy stanąłem już nieopodal jesionu, trzymałem w ramionach naręczę przypominające snopek. Położyłem je na ziemi pod gniazdem, a potem odszedłem na krok, by ten widok zapadł mi w pamięć na zawsze. Samo drzewo było niezwykle gładkie; wiatr pieścił je od dawna, dlatego też w tak cudowny sposób jego kora zmieniła się w marmur. Gniazdo – z podskakującymi wokół i unoszącymi się nad nim kacprami, które nie zwracały na mnie najmniejszej uwagi – było długie na mniej więcej stopę od czubka do końca i wybrzuszone w środku. Białe niczym pergamin z wykwitającymi gdzieś tam niewielkimi uskokami i guzkami – te rozpoznałem jako indywidualne nacieki, przyniesione przez każdą osę podczas pracy.

Kiedy napatrzyłem się już i zdobyłem pewność, że nigdy nie zapomnę tego widoku, przyklęknąłem, wyciągnąłem krzesiwo i hubkę z kieszeni i podpaliłem zebrany przez siebie chrust. Płomienie błyskawicznie strzeliły w górę, uwalniając słodką, żywiczną woń, i po chwili całe gniazdo spowił ogień. Spodziewałem się, że jego mieszkańcy wylecą na zewnątrz. Pomyślałem nawet, że mnie zaatakują, gdyż to ja byłem ich katem. Ale nic takiego nie zaszło. Osy na zewnątrz gniazda po prostu odleciały; najwyraźniej nie obchodziło ich to, co się działo. Te w gnieździe – musiało ich być kilka setek – wołały

pozostać przy królowej i wraz z nią zginąć. Słyszałem, jak ciała kilku z nich eksplodują z dziwnym ostrym piskiem przypominającym brzęczenie komara, a reszta udusiła się dymem, nie wydając żadnego dźwięku.

Po nie więcej niż dwóch, trzech minutach byłem pewien, że moje zadanie zostało wykonane. Strząsnąłem resztki gniazda z drzewa, tak że wpadły do popiołów ogniska i rozleciały się na drobne kawałki. Regularne struktury w środku miały ciemnobrązową barwę i były niezwykle gustowne, a w każdej komórce tkwił pomarszczony pędrak; królową – niemal tak dużą jak mój kciuk – otaczali martwi wojownicy. Przedstawiali sobą szlachetny widok, który wzbudził we mnie wielką ciekawość. Klęcząc w tych resztkach i dumając nad nimi, nie zauważyłem, że prawie sam się podpaliłem.

W końcu wstałem i zawróciłem w stronę domu, wiedząc, że ojciec będzie oczekiwał mojego rychłego powrotu. Po chwili jednak postanowiłem, że zadowolę siebie, a nie jego, i zmieniłem kierunek. Wszedłem dalej w mokradła, przeskakując przez strumyki i klęcząc tędy i owędy, by uniknąć szerszych kanałów, aż niemal całkowicie się zgubiłem. Tam, w samotności zieleni i błękitu, zacząłem rozmyślać o życiu.



## Rozdział 2

# Historia mojego życia

Nigdy nie byłem krnąbrnym dzieckiem, ale już samym swoim istnieniem sprawiałem memu ojcu prawdziwy zawód. Złodziejstwo, oszustwo, okrucieństwo – to pozostawiłem innym. Moje wady były mniejszego kalibru; kumulowały się w pewnej wrodzonej dzikości. Często puszczałem mimo uszu prośby ojca, a czasem też i jego polecenia. Opierałem się, jak mogłem, jego planom względem mojej osoby. Wolałem własne towarzystwo niż otoczenie, w jakim najchętniej by mnie widział.

Po zastanowieniu się, myślę, że niezależność jest jednak lepszym określeniem niż dzikość, z powodów, które właśnie opisałem. Tak czy inaczej, pozostaje pytanie – cóż było tego przyczyną? W najwcześniejszych latach życia oślepia nas żar chwili, lecz ona przemija i wówczas rzadko zatrzymujemy się nad nią w przypływie nagłej refleksji. Obecnie moja młodość znajduje się w odległych wspomnieniach. Teraz, kiedy posiadam szerszy ogląd mego istnienia, o wiele bardziej pociąga mnie chęć snucia rozważań, by je w pełni zgłębić.

Pierwszym powodem mojego zachowania był fakt, że matka zmarła w wyniku komplikacji, wydając mnie na świat – ta okoliczność zapadła we mnie głęboko; skłonność do postrzegania siebie jako osoby, dla której życie to nieustanna walka, stała się cechą mojego charakteru. Gdybym nie miał o co kruszyć kopii, z pewnością sprowokowałbym jakąś burdę, by utwierdzić się w mej odwadze.

Drugim czynnikiem mającym wpływ na moje zachowanie, jeszcze bardziej wyraźnym przez fakt, iż nie miałem ani brata, ani siostry, był kraj, w którym przyszło mi żyć. Mówiąc kraj, nie mam na myśli Anglii lecz raczej „krai-nę” – czyli północny brzeg rzeki Tamizy, miejsce bez konkretnego znaczenia między Londynem i otwartym morzem. Mogę sobie tylko spróbować wyobrazić, jak dzisiaj wygląda ta okolica, albowiem od lat przebywam poza domem rodzinnym. Najpewniej została zabudowana przez wszystkie struktury potrzebne do żeglugi i transportu towarów. Ale jestem w stanie opisać dokładnie, jak wyglądała wtedy.

Za naszym domem rozciągały się mokradła na ćwierć sążni nad powierzchnią wody, a ćwierć kwarty brakowało im do zrównania się z wodą po przypływie. Wszelkie budynki w okolicy trudno nawet zaszczycić takim mianem, były to raczej sklecone z desek szopy, w których rybacy trzymali swój sprzęt, a inni, bardziej tajemniczy goście składali w nich albo zabierali cenne dlań przedmioty. Kiedy mgła rozrzedzała się na tyle, że było przez nią coś widać, te budy układały się w imponujący kontur, akcentując załamania różnymi wystającymi, sterczącymi pod różnymi kątami elementami. Ich dachy zwisały niczym grzywki, a okna dopełniały całości obrazu przekrzywionej ludzkiej twarzy. W oczach młodego człowieka wyglądały niczym siedlisko ogrów albo przynajmniej wiedźm z brodawkami, które zacierały swe łapska nad kociołkiem. Żadna z nich nie stała długo. To, czego wiatr nie położył, wchłaniało bagno. Co do ścieżek biegnących między nimi i dalej – one również zapomniały o miejscach, do których biegły, a które w chwili rozpoczęcia podróży tkwiły głęboko w ich świadomości. Teraz z zakłopotaniem starały się sobie je przypomnieć, a niektóre po prostu, zażenowane, urywały się w połowie.

Nie bez kozery mój opis wzbudza lęk. Spacerując pod przepastnym nieboskłonem, wielokrotnie słyszałem za sobą kroki w miejscach, w których nie było niczego, albo czułem, jak cisza chwyta mnie za kołnierz niczym wielka łapa. Po prawdzie jednak głosy z mokradeł, a szczególnie te dobiegające od strony rzeki, nigdy nie były pojedyncze i rozróżnialne, lecz stanowiły mieszaninę różnych dźwięków oscylujących między westchnieniem i śmiechem, jakby nie zdecydowały się jeszcze, czy są smutne, czy

wesołe. Może się to wydawać dość perwersyjne, ale uwielbiałem to miejsce właśnie dlatego, że zawsze emanowało atmosferą dwóch skrajnych emocji.

Na tym tle przedstawiona wcześniej charakterystyka mojego ojca wydaje się opisem osoby bardzo nieskomplikowanej – którą przecież był pod pewnymi względami. Patrząc pod innym kątem, stanowił całkowite zaprzeczenie otaczającego go krajobrazu. Za chwilę powiem dlaczego, od samego początku.

Ojciec mojego ojca też był karczarzem – w szynku Admirals Benbow na zachodzie, nieopodal wybrzeża Bristolu. Tam też umarł za młodu – przez co mój ojciec samotnie stanął na progu wielkiej przygody, którą mnie było dane kontynuować.

Przygoda ta zaczęła się od niespodziewanego przybycia do Benbow Billy’ego Bonesa, sponiewieranego wilka morskiego, który był niegdyś pierwszym matem u cieszącego się ponurą sławą pirata, kapitana Flinta, a którego jedyny dobytek stanowił jeszcze bardziej poobijany od niego kuferek marynarski.

Przez tydzień lub dwa obecność tego łajdaka nie burzyła spokoju w Benbow – aż do pojawienia się kolejnego nieznanego, bladej kreatury z łojotokiem, którą jakby na przekór upiornie białemu obliczu nazywano Czarnym Psem – a wkrótce potem dołączył do nich ślepiec zwany Ławą, którego widok tak wstrząsnął biednym Bonesem, że padł martwy niemal w tej samej chwili, gdy go zobaczył. Żeby uściślić, Ława nazaczył go Czarną Plamą, śmiertelnym omenem, klątwą, której żaden człowiek nie jest w stanie zmóc.

Wkrótce potem zaczęła się ta cała pełna dramatycznych wydarzeń historia – napad piratów na szynk, cudowna ucieczka, odszukanie starożytnej mapy, studiowanie mapy, odkrycie, że skarb kapitana Flinta znajduje się na pewnej wyspie, zaplanowana w Bristolu wyprawa, by odnaleźć skarb, zdrada załogi i pojawienie się pewnego szczególnie wygadanego łotra, zwanego John Silver (nosił on na ramieniu papugę, która stanowiła poniekąd rekompensatę za brakującą nogę), bardzo długi i emocjonujący pobyt na wyspie, odnalezienie kilku części skarbu i powrót w bezpieczne miejsce, czyli do Anglii.

Wymieniam to wszystko w wielkim skrócie, pomijając nazwiska większości głównych postaci i niektóre wydarzenia tej przygody z bardzo ważnego powodu, który mój ojciec podawał po stokroć, a ja nie jestem w stanie zmusić się, by przytoczyć go w pełnej rozciągłości. Nawet najsłynniejsze opowieści na tym świecie, włączywszy nawet tę o naszym Panie, słabną w miarę powtarzania, dodam więc tylko, aby wyjaśnić to, co nastąpi dalej, że należy zwrócić niezwykle baczną uwagę na słowa kilka części skarbu, aby pojąć, iż inne części skarbu pozostały nietknięte. Chcę również podkreślić, że kiedy mój ojciec w końcu opuścił wyspę, trzech szczególnie nieznośnych członków załogi – których mój ojciec zowie *maroons*\* – zostało pozostawionych na wyspie na pastwę losu. Wiele niedopowiedzianych jeszcze wątków opiera się na tych szczegółach.

Kiedy tylko mój ojciec powrócił do Bristolu, otrzymał swoją działkę bogactwa, które zostało w całości wycenione na bajońską kwotę siedmiuset tysięcy funtów. Często chępliwie wymieniał tę wartość, wykorzystując to jako wymówkę do moralizowania – w dużo bardziej dwuznaczny sposób niż zamierzał – na temat tego, jak to grzech nie popłaca. Nie mówił nic o swojej części, ogólnikowo wspominając, iż była „wystarczająca”, po czym pospieszenie przechodził do osoby Bena Gunna, dzikiego męża spotkanego na wyspie, którego pomógł uratować i który otrzymał środki w wysokości tysiąca funtów. Pieniądze te zaplanował wydać w dziewiętnaście dni, więc dwudziestego dnia znów był żebrakiem i musiał przebywać na garnuszku innych, czego zawsze się lękał.

Bez względu na konkretną wartość części skarbu mojego ojca, stało się jasne, że niczego mu w życiu nie braknie, oczywiście jeśli nie pójdzie w ślady Bena Gunna. I tak powrócił do swej matki, która była jedyną właścicielką szynku Benbow w Black Hill Cove, i pomagał prowadzić to miejsce, aż wreszcie je przejął. Wtedy, mając dość życia na takim odludziu, które nijak nie miało się do emocji zaznanych na

morzach i oceanach, wyruszył do Londynu i przez kilka ładnych lat zaspokajał jedynie własne przyjemności.

Nie ma takiego syna, który byłby w stanie wyobrazić sobie swojego ojca w młodości – dla syna bowiem ojciec jest przede wszystkim stworzeniem o własnych, ustalonych nawykach i autorytarnych sądach. Wiadomo jednak, że w czasie gdy mieszkał w mieście, mój rodzic prowadził się o wiele wystawniej niż później, za mojego życia. Uwolniony z obowiązku zajmowania się matką (która skłoniła głowę na ramieniu kochającego acz podstarzałego marynarza, a ten wkrótce potem został jej mężem), wystawiony na milion nowych pokus, stał się według własnych słów „znaną postacią w mieście”.

Mowa tu o okresie sprzed czasów, w których każdemu modnisiowi groziło skaleczenie w policzek o własny kołnierzyk przy zbyt energicznym odwróceniu głowy. Niemniej jednak były to czasy zwiększających się szans w naszym kraju, gdy człowiek zamożny mógł bez problemu pławić się w luksusach, jeśli miał na to ochotę. Mój ojciec nigdy nie należał do tych, którzy całymi dniami przechadzają się po Strandzie tylko po to, by jakaś młoda dama mogła zauważyć wybrzuszenie nogawki czy szczególnie modny odcień kanarkowych rękawiczek. Miał jednak wystarczającą skłonność do zabawy – i widać to wyraźnie po tym, jak jego fortuna miarowo topniała, gdyż okres mieszkania w luksusowych pensjonatach z ładnymi obrazkami na ścianach i drogą porcelaną na stole oraz służącymi gotowymi dostarczyć mu wszystkiego, czego zapragnął, był wystarczająco długi, by pochłonąć znaczną część bogactwa wykopanego z tych zamorskich piasków.

Nie jestem w stanie stwierdzić, czy w końcu popadłby w całkowite ubóstwo. Wiem jednak na pewno, że ojciec, zbliżając się już bardzo do trzeciego krzyżyka (w początku lat osiemdziesiątych osiemnastego stulecia), dostał się pod kojący wpływ mojej matki. Była córką koniuszego, który prowadził kwitnący interes na wschodnich krańcach miasta, gdzie przyjeżdżający na jeden dzień z Edmonton czy Enfield zostawiali w stajni konie i często spożywali kolację przed wyruszeniem w drogę powrotną do domu. Jej doświadczenia z pracowitego dzieciństwa sprawiły, że wyrosła ona na gospodarną młodą kobietę. Wkrótce przekonała mego ojca, by zaczął żyć skromniej, i skierowała go na ścieżkę wiodącą do zdobycia powszechnego poważania na świecie. Oddała jej swoje karty i kości. Zerwał pewne szemrane kontakty. Wprowadził dzienny rygor do swego kalendarza. Samodzielnie doprowadził do tego, że zaczął się prezentować jako dużo bardziej stateczny młody kawaler. A kiedy starając się przez ponad rok, udowodnił, że jego postanowienia pozostają niezmiennie, przyjęła szczerą uczucie i wstąpili w związek małżeński.

Moi rodzice musieli teraz pomyśleć o jakimś użytecznym zajęciu. Oczywistym wyborem, w związku z doświadczeniami obojga, było prowadzenie gospody – co wkrótce zaczęli robić. Nie była to jednak gospoda znajdująca się w znanych im rejonach, lecz dająca ducha niezależności; to właśnie ją otrzymałem w schedzie. Gospoda, o której już wspominałem i będę jeszcze wielokrotnie wspominał, otrzymała swoje właściwe miano – Hispaniola.

Miejsce to było jednocześnie alkową nowożeńców, domem i miejscem pracy. I spełniało dodatkowo jeszcze jedną funkcję. Ponieważ to właśnie tutaj, ledwo po roku pełni szczęścia, w pokoju, który przypominał wyłącznie kwaterę dziobową na suchym lądzie, o drewnianym suficie i ścianach oraz z wykuszem okiennym z widokiem na rzekę, moja matka w jednej i tej samej chwili tchnęła we mnie życie, sama swoje oddając.

Wtedy nie miałem oczywiście tego świadomości. Ale od pierwszej chwili, którą zapamiętałem, czyli jakieś trzy lata później, byłem świadom, co utraciłem. Żeby nie owijać w bawełnę – dorastałem w atmosferze zbrukanej melancholią.

Siła owej bolesnej straty musiała niemal złamać mego ojca. Gdybym nie widział na własne oczy śladów po spustoszeniu, jakie dokonała, dowiedziałbym się, słuchając opowieści ludzi pijących w



naszym szynku, którzy znali go, jeszcze zanim wydarzyła się ta tragedia. W ich relacjach mój ojciec, niegdyś pełny werwy, obecnie dał za wygraną, mężczyzna, który kiedyś szukał przygód, teraz pragnął jedynie spokoju, a to, co roztaczało przed nim świetlaną przyszłość, obecnie kurczowo przywarło do przeszłości.

Pewnie zastanawiacie się, w jaki sposób Hispaniola przetrzymała tak wielkie zmiany zachodzące w moim ojcu. W końcu smutek nie jest typową domeną lokali z wyszynkiem. A jednak przeżyła to – z powodów, które rzucają niejaki światło na mnogość uciech, jakich człowiek szuka na świecie. Części klienteli, to święta prawda, nie podobał się jej posępny charakter i tych ojciec kierował do innych lokali na nabrzeżu, które zapewne bardziej przypadną im do gustu. Ale było kilka zalet związanych z tymi rugami. Większość naszych sąsiadów postrzegала Hispaniolę jako błogie schronienie przed wrzaskliwością i wulgarnością tego świata. Uważali ją za spokojną przystań.

To, co mówię, mogłoby sugerować, iż mój ojciec miał mrukliwy i skryty charakter. A jednak choć potrafił być srogi, rozumiał też ludzką potrzebę życia na tym świecie – dostrzegałem ją w uporze, z jakim dążył do tego, abym otrzymał lepsze wykształcenie, niż miał on sam. Szkoła, którą dla mnie wybrał, znajdowała się w Enfield – zostałem tam posłany w wieku lat siedmiu i pozostawałem jej „gościem” przez większą część roku aż do dnia, w którym ukończyłem szesnaście lat.

Placówka szczytująca się mianem Akademii Rozłamowej była prowadzona przez gentlemiana o poglądach liberalnych, którego dobre cechy osobnicze zasługują na wielką pochwałę. Nie zamierzam jednak odchodzić od głównego wątku mojej opowieści, by zagłębiać się w ten etap mej egzystencji. Wystarczy dodać, że kiedy w końcu powróciłem do domu, posiadałem „gusta gentlemiana” polegające na zamiłowaniu do czytania i pisania oraz jasno sprecyzowane poglądy na temat tego, jak należy się zachowywać, okazując troskę innym, co jest cechą człowieka przyzwoitego. Ponadto, i wbrew wpływom, na jakie byłem wystawiony wcześniej, miałem rosnący apetyt na to, co zawsze sprawiało mi największą przyjemność – przebywanie we własnym towarzystwie i życie nad rzeką i mokradłami.

Zanim będę kontynuował główny wątek, muszę wspomnieć tu o czymś jeszcze – i w tym tkwi kolejny paradoks. Ogarnięty smutkiem po śmierci mojej matki, ojciec często sprawiał wrażenie człowieka, który wcale nie jest dotknięty żałobą. Zawdzięczał to, jak już wcześniej wspomniałem, nawykowi opowiadania o swoich młodzińskich przygodach. Czasami robił to na życzenie kilku bywalców, którzy znali jego przeszłość i chcieli dostać z pierwszej ręki kolejny fragment jego losów. Ale nawet kiedy takich próśb nie było, i tak snuł swoje historie, czasem przerywając w szczególnie dramatycznym miejscu albo też czyniąc dygresje na temat szczególnie uderzającej postaci czy wydarzenia.

I w istocie można śmiało rzec, że na długo przed końcem mego dzieciństwa opowieść o Wyspie Skarbów stała się treścią niemal wszystkich wypowiedzi mojego ojca. Jej bohaterowie wydawali mu się o wiele bardziej mili niż wszyscy klienci, których obsługiwał, a w moich oczach stawali się też bardziej wyrazistsi. Nie byli w pełni ani wytworami wyobraźni, ani też postaciami z krwi i kości, lecz stanowili mieszankę jednego i drugiego. Byłem wręcz przekonany, że kiedyś ich spotkałem i że na własne oczy widziałem nikczemność kuka Johna Silvera, że widziałem, jak Czarna Plama wykwitła Billy’emu Bonesowi na dłoni, a nawet że obserwowałem poczynania mojego ojca, gdy był jeszcze młodzińcem. Jak wspinał się na maszt Hispanioli, by uciec Izraelowi Handsowi, jak strzelał z pistoletów, a potem jak Hands spadł w czystą, błękitną toń, by w końcu osiąść na piaszczystym dnie, gdzie spoczywa po dziś dzień w towarzystwie małych rybek, które tam i z powrotem przepływają nad jego truchłem.

Wspomniawszy o tych duchach, gotów jestem rozpocząć moją opowieść. Tym samym poproszę was, żebyście wrócili do miejsca, w którym byliśmy jeszcze tak niedawno – do moczarów za Hispaniolą – a potem żebyście przeskoczyli parę godzin. Mój dzień w samotności dobiegł końca. Z ociąganiem wracałem do domu. Zapadł już zmierzch. Wstał księżyc. Mgła rozpełzła się po rzece. Kiedy wszedłem za

próg, schodząc ze ścieżki wiodącej do miasta, w sali szynku świece wciąż paliły się równym płomieniem, a na oczach publiczności złożonej z klientów lokalu opowieść mego ojca zbliżała się do kolejnego punktu zwrotnego. Trzymałem się z dala od tej sceny, przekradając się do sypialni, bym nie musiał wraz z nim kluczyć po meandrach końcowych wydarzeń jego historii.

Chwilę później dotarłem do swego miejsca pod tym dachem. Był to najmniej wygodny pokój w całym domu – nawet nie pokój, ale mnie wydawał się największym skarbem, bo przypominał komnatę kuriozów<sup>\*\*</sup>. Wszystkie ściany zostały zakryte półkami na książki, na których poustawiałem też pióra, muszle, jaja, kawałki poskręcane drewna, liny, czaszki, dziwne węzły oraz inne trofea zebrane na mokradłach w ciągu mego krótkiego, lecz intensywnego żywota. A pośrodku tej przestrzeni stało moje bocianie gniazdo – jak właściwie powinienem nazywać swoje łóżko, na którym leżałem co noc, obserwując przetaczający się wszechświat. Był tutaj, kiedy się w końcu kładłem. I widziałem go wyraźnie, gdy odwracałem głowę w stronę okna.

Ścieżka holownicza była pusta, spoczywał na niej wyłącznie duży prostokąt złotego światła padającego z okna szynku. Księżycowa poświata zredukowała mokradła do kompozycji matowych szarości i zieleni. Rzeka zdawała się bardziej nasyconym fragmentem nicości – gigantyczną sztabą czystego srebra, przecinaną raz na jakiś czas zmarszczką toni, gdy kłoda drewna przepływała przez nią bezgłośnie albo kiedy pojawiał się na niej niewielki wir, który po chwili rozplątywał się bez śladu.

Leżałem, wpatrując się w nią całkowicie zauroczony na tyle długo, że nie pamiętam konkretnie, kiedy do brzegu przybiła łódź wraz z jej pasażerem. W jednej chwili na wodzie nie było nikogo. W kolejnej odcinała się na niej sylwetka półksiężycowego kadłuba z wyprostowaną postacią siedzącą w środku. Jej dłonie spoczywały na wiosłach, które pewnie utrzymywały łódź opierającą się mocnym prądem. Cóż to za postać – nie wiedziałem, widziałem tylko, że zdawała się szczupła i młodzieńcza, z głową spowitą szalem w taki sposób, że nie mogłem dostrzec jej twarzy.

To niezwykle widok o tak później porze. Jeszcze bardziej niezwykle było to, w jaki sposób owa postać zdawała się patrzeć wprost na mnie, choć nie mogła mnie przecież zobaczyć w nieoświetlonym oknie. Podniosłem się na łokciach, ale nie zdradziłem żadnych innych oznak zainteresowania. I kiedy to zrobiłem, postać wypuściła wiosło z prawej dłoni, pozwalając łódce zatoczyć niewielki łuk, uniosła tę dłoń w uroczystym geście pozdrowienia i przywołała mnie, bym się zbliżył.

## Rozdział 3

# Mój gość

Moje zaskoczenie z powodu zaproszenia na spotkanie z tajemniczym gościem było tak wielkie, że nie mogłem go przyjąć. Leżałem tylko nieruchomo w łóżku. Po kilku minutach, w trakcie których świat najwyraźniej się nie zmienił, poczułem się jeszcze bardziej nieswojo i usiadłem na łóżku. Na to długie wiosła od razu plasnęły w wodę, łódź zawróciła, a sylwetka zniknęła, zostawiwszy na powierzchni wody drżącą księżycową poświatę.

Co takiego zobaczyłem? Czy był to czyjś figiel? Coś, co nie było przeznaczone dla moich oczu, lecz dla jakiegoś klienta z szynku na dole? A może istniało bardziej niepokojące wytłumaczenie – że był to utopiec albo jakieś zwidy. Kiedy w końcu obróciłem się na plecy i leżałem tak długo, aż ostatni ze stałych bywalców lokalu mojego ojca pożegnał się i ruszył ścieżką holowniczą, wciąż nie miałem gotowej odpowiedzi. Wierzyłem, że poranek ukaze mi to wszystko w jasnym i przejrzystym świetle.

Od dzieciństwa przywykłem do wczesnego wstawania, gdyż mój ojciec uważał, że powinienem pomagać mu w przygotowaniu Hispanioli do jej podróży przez kolejny dzień. (Powiedziałem pomagać, choć to ja wykonywałem wszystkie prace, kiedy on drzemał). Rankiem otworzyłem oczy tak gwałtownie, jakby ktoś zawołał mnie po imieniu. I może tak właśnie było, bo kiedy znów zerknąłem przez okno – łódka wróciła. Tkwiła zawieszona w prądzie rzeczonym, jakby nigdzie się stąd nie ruszała.

Ponieważ właśnie wstało słońce, i choć mgła kłębiła się na wodzie, kładąc się dużo gęściej na mokradłach w tle, mogłem dojrzeć szczegóły z dużo większą pewnością niż zeszłej nocy. Była to łódka z masztem, o kadłubie z dobrze utrzymanego i wypolerowanego drewna. Czarne litery na dziobie układały się w jej nazwę: *Spyglass*.

Na rufie łodzi znajdował się jakiś kopulasty przedmiot przypominający wielki napastrzek, około dwóch stóp wysokości, przykryty zwykłym pomarańczowym płótnem, ale nie mogłem dociec, co to takiego. Postać, która siedziała przy wiosłach, była również niezwykle zagadkowa. Cały jej korpus otulał koc w kratę, którego jaskrawe czerwienie i zielenie stanowiły bardzo wyraźny kontrast na tle szarości rzeki. Kolejny koc, tym razem statecznie brązowy i na tyle niewielki, że można go było używać jako szala, spowijał głowę i ramiona, całkowicie skrywając oblicze przybysza.

Zgadywałem raczej, niż wiedziałem, że kieruje wzrok na mnie, co wywoływało dziwne wrażenie odwróconej sytuacji – że to ja chowam się (za mym bezpiecznym oknem), lecz jednocześnie byłem niczym na świeczniku. Ta myśl mocno mnie zaniepokoiła i kiedy oparłem się o ścianę pokoju, postać zrobiła to, czego po części się obawiałem, a na co po części miałem nadzieję. Podniosła dłoń i powtórnie przywołała mnie do siebie.

Nie potrzebowałem trzeciego zaproszenia. Wcisnąłem stopy w buty, nawet nie zaprzatając sobie głowy wiązaniem sznurówek, i ruszyłem schodami. Rozstawiałem stopy nienaturalnie szeroko, by uniknąć wywrotki, a jednocześnie schodziłem bardzo szybko, by ojciec nie zdążył się obudzić. Przeszedłem przez pachnącą dymem salę szynku i wyszedłem na ścieżkę holowniczą. Nawet do głowy mi nie przyszło, jak idiotycznie musiałem wyglądać, ani też nie pomyślałem o niebezpieczeństwach, z którymi igrałem. Choć mój gość był niezwykle tajemniczy, nie wyczuwałem zagrożenia.

Aż zakrztusiłem się pod wpływem rześkiego powietrza – co wywołało chichot przybysza. Potraktowałem to jako kpinę z mojej osoby, dlatego też odezwałem się bardziej obcesowo, niż bym to zrobił w innych okolicznościach.



– Czego chcesz?

Słowa te zawisły całym swym ciężarem w bezruchu. Choć zostawiłem dostatecznie dużo czasu na odpowiedź, nie otrzymałem jej. Zbliżyłem się więc – po trosze spodziewając się, że znów przepłoszę mojego gościa. Łódka od razu skręciła w moją stronę, a jej dziób zaszeleścił w szuwarach, wsuwając się w nie głęboko. Schyliłem się, by podnieść szpilę przymocowaną do dziobu, i wcisnąłem ją głęboko w ziemię. Wyglądało to, jakbym wykonywał jakieś polecenie, choć nie padło ani jedno słowo.

Kiedy znów się wyprostowałem, postać wpatrywała się we mnie, wciąż bezimienna, a woda srebrzystymi strużkami ściekała z wiosł, które gość podniósł ponad powierzchnię rzeki. Ponownie poczułem przypływ śmiałości.

– Kim jesteś?

Nie mając już żadnych innych sztuczek w zanadrzu, postać ujęła połę szala, uniosła go i ukazała swą twarz. Wszystko to było niczym gra i od razu mi się spodobało – ja również, naśladowując tę teatralną konwencję, poruszałem się z namaszczeniem, żeby mieć czas na przyjrzenie się kruczoczarnym, krótko przyciętym włosom okalającym twarz, skórze w ciepłej, oliwkowobrązowej tonacji, szerokim ustom i nieco węższemu nosowi. Uznałem, że jest to piękne oblicze, choć wciąż nie byłem pewien, czy należy do chłopaka, czy dziewczyny. Z dużo większym przekonaniem mogłem natomiast stwierdzić, że jest to postać posiadająca ogromną siłę, by mną pokierować, a jej polecenie nie byłbym w stanie zignorować ot tak sobie.

Później zrozumiałem, w jaki sposób wykorzystano moje odosobnienie w dzieciństwie dla celów, o których wówczas nie miałem pojęcia. Wtedy po prostu i zwyczajnie schlebiali mi, że taka niezwykła osoba mnie odnalazła. Kucając, zrównałem się z nią wzrokiem, co prowokowałoby niezwykle intymną sytuację, gdyby nie była taka niewinna – chciałem spojrzeć dziewczynie w oczy, by lepiej zrozumieć swoją sytuację. Tak, były to oczy dziewczyny, teraz miałem już pewność. Ciemnobrązowe z zielonymi prążkami. Oczy, w których widziałem rozbawienie, choć skrywały też zgoła inne uczucia.

Kiedy przemówiła, usłyszałem w jej głosie nuty potwierdzające moje przypuszczenia. Uśmiechała się, a jednocześnie była w niej jakaś srogość.

– Nie chciałeś zejść do mnie zeszłej nocy, panie Jimie Hawkinsie.

– Nie wiedziałem, że mnie zapraszałaś.

– Machałem do ciebie.

Zaprotestowałem, mówiąc, że nie widziałem w ciemności; przypomniałem jej jednocześnie, że było bardzo późno. Następnie próbowałem odzyskać przewagę, której pozbawiły mnie jej pytania, i zadałem moje własne.

– A gdzie nocowałaś? Przecież nie na rzece?

– A dlaczego niby nie na rzece? – Przeszła do kontrnatarcia. – Jest lato. Mam ze sobą derkę. – Zarzuciła wprawny ruchem szal na ramiona, a następnie przeczesła palcami gęste, sprężyste włosy.

Kiedy jej dłonie ponownie spoczęły na podołku, zerknąłem na nie i spostrzegłem, że nie mówi mi całej prawdy. Końcówki jej palców były wyschnięte od chłodu. Już miałem zaproponować, by weszła do środka i ogrzała się w sali szynku, ale po głębszym zastanowieniu stwierdziłem, że pasuje do otwartej przestrzeni.

– Może przynieść ci coś do picia? – zapytałem.

– Kwaterka czegoś zacnego byłaby mile widziana, dzięki – powiedziała. Choć taką odpowiedź mogłem usłyszeć od tych najbardziej wiekowych bywalców szynku mego ojca, bez zwłoki ruszyłem spełnić to żądanie. Po części dlatego, że chciałem w skupieniu zebrać myśli. Nagle stało się jasne, że mój gość nie przypominał w niczym naszych sąsiadów. To, co mnie do niej przyciągało, wydawało mi się również kłopotliwe. Z całą pewnością była osobą tajemniczą. Otaczała ją aura kobiety wykonującej tajną

misję, ale zachowywała również stoicki spokój – i to było najdziwniejsze ze wszystkiego. Kiedy zerknąłem przez okno szynku w Hispanioli, nalewając dwie szklaneczki grogu, zobaczyłem, że wcale nie rozgląda się czujnie wokół – spokojnie usadowiła się na końcu ławy, zostawiając miejsce dla mnie. Wszystko to mogło się składać na zachowanie nieudawane i w pewnym stopniu takie było. Jednak sprawiało też wrażenie zaplanowanego wcześniej działania, co skłoniło mnie do zastanowienia się nad jej prawdziwymi intencjami.

Po chwili znów znalazłem się przed domem, wszedłem do łodzi i podałem jej grog, jakby picie mocnego trunku o szóstej rano było najnormalniejszą rzeczą pod słońcem. Następnie usiadłem obok niej, wykazując zdecydowanie, które miało dorównać jej dumnemu zachowaniu. Kiedy zaczęliśmy rozmawiać, popijając grog i zagryzając chlebem, który również przyniosłem, tajemnica Spyglass nieco się rozjaśniła. Sama nazwa została zaczerpnięta od nazwy gospody, którą prowadzili jej rodzice – w Londynie nieopodal doków w Wapping. Miała na imię Natalia, w skrócie Nat albo też Natty, ponieważ (co wyznała mi z charakterystyczną dla siebie prostotą) czasami dzięki temu mogła uchodzić za chłopaka. Chciałem ją o to spytać, zastanawiając się, po cóż tyle zachodu, ale zwlekałem, bojąc się, że powstrzyma ją to przed kolejnymi zwierzeniami. Na przykład co do jej wieku – chciałem wiedzieć, ile ma lat. Powiedziała tylko, że nie tak znów więcej czy mniej niż ja sam, co wówczas znaczyło tyle, że od osiemnastych urodzin dzieliło ją kilka miesięcy.

Podczas całej rozmowy Natty zerknęła od czasu do czasu na przedmiot na rufie, a potem na mnie, jakby rzuciła mi wyzwanie, chciała, żebym odgadnął, co to takiego. Prawda jest taka, że ja już wiedziałem – dzięki świstom i gruchaniu, które od czasu do czasu dobiegały spod tkaniny. Rozpoznałem głos szpaka i stwierdziłem, że trzyma w klatce ptaka dla towarzystwa, bawiąc się tym, jak udatnie naśladuje różne odgłosy.

Postąpiłem, tak jak sądziłem, że się ode mnie oczekuje, i zapytałem, czy mogę zobaczyć ptaszka. Natty w jednej chwili nachyliła się, by zdjąć zasłonę, i moim oczom ukazało się coś, czego się nie spodziewałem, bo oto w klatce mieszkał większy krewniak szpaka – majna. Nigdy nie widziałem tego zwierzęcia na żywo, tylko na rysunkach, i od razu spostrzegłem, że te bazgroły odbiegały od rzeczywistości. Był to niezwykle imponujący ptak z bardzo błyszczącymi, czarnymi piórami, dużym, żółtym dziobem i bystrymi, czerwonymi ślepkami. Widząc po raz pierwszy moją twarz, przekrzywił łeppek na jedną stronę i wydał z siebie chrapliwy okrzyk:

– Zostaw mnie! Nie ruszaj!

Wybuchnąłem śmiechem, co zdaniem ptaka w ogóle nie było zabawne – zaczął wściekle dziobać pręty klatki.

– To jest Kleks – powiedziała Natty, uprzedzając moje pytanie. – Uważaj, co przy nim mówisz. Najpewniej zapamięta wszystko.

– Dzień dobry, Kleksie – odezwałem się poważnym głosem.

To rozpoczęło dyskusję na temat jego pochodzenia, wieku, repertuaru i tym podobnych. Kiedy ta tyrada się skończyła, byłem już nieco skołowany – za co najpewniej odpowiedzialność ponosił grog oraz sama Natty. Jej głos wszedł we mnie, przenosił treści do mego umysłu i serca, a mimo to zdawał się igrzać ze mną, niczym światło na wodzie. Pomiędzy jej słowami słyszałem chlupot wody bijącej w deski pokładu i czułem wzmagające się ciepło słońca, które niszczyło ostatnie strzępy mgły z jednej i drugiej strony. Coraz częściej zaczęły przesuwać się po toni małe grupki jednostek, a naszą rozmowę przerywało skrzypienie wiosła w dulkach czy lin żagli. Czasami słychać było kroki na ścieżce holowniczej oraz głosy – „Dzień dobry” – kiedy moi sąsiedzi wyruszali do pracy. Od czasu do czasu ja byłem tym, który zawieszał rozmowę, kiedy na przykład podnosiłem wzrok na okna Hispanioli, zastanawiając się, czy mój ojciec już się obudził, czy widzi nas i czy wyjdzie z domu, domagając się, bym mu ją przedstawił.

Przeważnie jednak moje spojrzenie było utkwione w obliczu Natty albo też w niewielkich kałużach wody, która kołysała się i połyskiwała we wręgach pod naszymi stopami. Dziwnie się do tego przyznać, ale początkowe zaskoczenie naszym spotkaniem ustąpiło miejsca uczuciu całkowitego zaufania. Zdawało się, iż nasza przyjaźń zyskała nowe miano.

Kiedy doszliśmy do konkretniejszej przyczyny jej odwiedzin, to poczucie intymności po części znalazło swoje wyjaśnienie. Opisałem już, jak mój ojciec raz za razem dawał się wciągać w opowiadanie swoich przygód z młodości, a postacią, którą najczęściej przywoływał, był jednonogi pirat, John Silver. Długi John Silver dla przyjaciół oraz dla wrogów, znany również jako Rozen z uwagi na to, iż był kukiem. Pod koniec każdej powtarzanej opowieści – o tym jak brzęcząca moneta kapitana Flinta została ocalona z piasków Wyspy Skarbów, a mój ojciec i pozostali (włącznie z samym panem Silverem) znaleźli się na brzegu hiszpańskiej Ameryki – zawsze podkreślał ten sam szczegół. Mianowicie, że pan Silver, jak mawiał, dał nogę przed swoimi kompanami, zabierając ze sobą część skarbu, która była warta około czterystu gwinei.

Kiedy mój ojciec o tym opowiadał, nie chodziło mu tylko o zaskoczenie słuchaczy. W jego głosie słychać było ton podziwu, wskazujący na to, że on i pan Silver darzyli się sympatią, gdyż podczas tych przygód ratowali sobie wzajem życie. Możliwe, że był to powód, dlaczego lubił gdybać na temat późniejszych dziejów swego bohatera. W niektóre wieczory, w zależności od ilości spożytego trunku oraz entuzjazmu słuchaczy, mój ojciec puszczał wodze fantazji, snując opowieści, jak to pan Silver przedarł się przez Meksyk na samo południe Ameryki i być może zatopił się w końcu w morzu rumu, tak jak kapitan Flint zrobił przed nim w Savannah. A może znów wrócił do piractwa i wypłynął na szerokie wody w poszukiwaniu dalszych przygód. A może też wrócił do Anglii i do żony, którą tu zostawił.

Nazwa łodzi, w której siedziałem, powinna podpowiedzieć mi, że jeden jedyny szczegół spekulacji mego ojca był prawdziwy – gospoda, w której mój ojciec poznał pana Silvera, nosiła nazwę Spyglass. Taka też była nazwa wzgórza w miejscu odkrycia skarbu na wyspie oraz, jak teraz podejrzewam, nazwa domu Natty. Obwiniam się o to, że nie dostrzegłem wielkiego znaczenia liter biegnących po zakrzywionej burcie na dziobie łodzi – było niemal na wyciągnięcie ręki! – za sprawą rozmaitych sztuczek, jakich użyła moja towarzyszka. Powiedziawszy to, chcę zaznaczyć, że źródło mej więzi z Natty stawało się coraz bardziej oczywiste, kiedy nasza rozmowa wypłynęła na otwarte wody.

Jeśli to, co chciałem powiedzieć, nie jest jeszcze dostatecznie klarowne, pozwólcie, że wyjaśnię wprost. Ojcem Natty był John Silver – co wyznała mi całkiem zwyczajnie. Moją pierwszą reakcją, aż wstyd o tym mówić, było zerknięcie na jej nogi, jakbym chciał się upewnić, że nie odziedziczyła po nim kalectwa. Aby ukryć moją głupotę oraz nerwowość, jaką mogłem poczuć na wieść o jej więzach rodzinnych z tym jakże niesławnym osobnikiem, zapytałem:

– A twoja matka?

Natty wydeła wargi, po czym zaczęła opowiadać. Słuchając jej, czułem, że słońce coraz mocniej świeci mi w głowę, i dostrzegłem smugi pary wodnej unoszące się z dachu Hiszpanioli, jakby za chwilę miała stanąć w płomieniach.

Silver poznał swoją żonę na jednej z wysp na Morzu Karaibskim, gdzie na swój nieokrzesany sposób zalecał się do niej, po czym powrócił wraz z nią do Bristolu. Młodsza od niego, w gruncie rzeczy była ledwo podlotkiem, kiedy się poznali, ale już miała w sobie wystarczająco odwagi, by wypełnić rolę, jaką jej wyznaczył, i wraz z nim zaczęła prowadzić Spyglass. Tę samą gospodę, w której w końcu poznał mego ojca i skąd wyruszył na Wyspę Skarbów. Kiedy ta epokowa wyprawa się rozpoczęła, żona pana Silvera zrobiła to, co zawsze podczas jego nieobecności – stanęła na straży własności męża i przeganiała wszystkich, którzy by chcieli skorzystać z okazji. (Jak mówiła Natty, odziedziczyła po matce mocną świadomość własnej urody oraz jej odwagę).



Pana Silvera nie było wiele miesięcy – tak długo, że jego żona zaczęła podejrzewać, iż tym razem morze mogło go pochłonąć na dobre albo wydarzyła się jakaś inna tragedia. Ale nie poddawała się czarnym myślom, i słusznie, bo jej mąż we właściwym czasie do niej powrócił – w przebraniu, o ile brak nogi oraz stałą obecność wygadanej papugi na ramieniu można uznać za przebranie.

Natty powiedziała mi o tym ostatnim szczególe z uśmiechem, który ukazał jej drobne, białe ząbki, co stanowiło dowód na to, że nie uważała swojego ojca jedynie za rodzica, lecz za osobę cieszącą się ustaloną reputacją. To kolejny przykład, jak stwierdziłem, że była nieco oderwana od życia. Obserwowała jedynie jego przyływy i odpływy, jakby nie obchodziło jej zupełnie, jaki skutek będą miały te czy inne wydarzenia.

– Ciekawym, cóż to za przebranie – rzekłem.

Miałem nadzieję zaskoczyć Natty i wymusić na niej szczerą odpowiedź, ale ona natychmiast wśliznęła się w wartki nurt swej opowieści, jakby recytowała wyuczoną na pamięć przemowę. Zmiany, jakie samoistnie i dobrowolnie przeszedł jej ojciec, były bardziej poprawkami wewnętrznymi niż zewnętrznymi, w tym znaczeniu, że podczas swojej wyprawy przeżył prawdziwą wewnętrzną przemianę. Wyruszył z Bristolu jako korsarz posiadający talent do udawania, że jest o wiele szlachetniejszy, niż w istocie był, a po powrocie wyrzekł się wszystkich swych złych nawyków. Prosił o wybaczenie za swe przewiny. Wrócił do starego fachu i prowadził dalej Spyglass, jakby zarządzanie takim przybytkiem było mu najmiłszym zajęciem na świecie.

Sama Natty to żywy dowód jego nowo nabytej stateczności. Kiedy patrzyłem, jak milknie na chwilę, odrywa kolejny kawałek przyniesionego przeze mnie chleba i w głębokim zamyśleniu niezwykle wolno wkłada go do ust, poczułem, jak sympatia między nami dalej rośnie. Mówiłem sobie w duchu, że choć nasze dzieciństwo różni się bardzo – ja dorastałem w samotności i w poniekąd naturalny sposób, kiedy tylko pozwalały na to moje obowiązki szkolne, ona zaś żyła w ciągłej wrzawie – to w rzeczywistości jest bardzo podobne, ponieważ na obu tych historiach spoczywał cień. Cień awanturniczego życia naszych rodziców.

Jednocześnie nie wiedziałem, na ile przeszłość pana Silvera mogła rzutować na jego dziecko. Szczególnie trudno mi było uwierzyć w to, że opowiedział córce o swym pirackim życiu. O swoich zdradach i morderstwach. O dwulicowości. O ryzykownej pogoni za bogactwem za wszelką cenę. Być może Natty знаła jego przeszłość i ta wiedza zupełnie jej nie obchodziła. Wtedy zaczęła mnie frapować bardzo ważna kwestia – czy moja towarzyszka jest niewinnym kwiatem wyrosłym na niegdysiejszej zgniliznie? A może specjalistką w sztuce maskowania, którą tak doskonale opanował jej ojciec?

Nie chciałem teraz tego dociekać – nie podczas naszego pierwszego spotkania. Chciałem poznać powód, dlaczego Natty mnie szukała, oprócz tego, który już omówiliśmy. Wiedziałem, że wszystko, co zostało do tej pory powiedziane, było swoistym ustawianiem dekoracji, i uświadomiłem sobie, że moje pierwotne pytanie („Czego chcesz?”) zostało odroczone w czasie. Powróciłem do niego.

– Dlaczego się tu zjawiałaś? – zapytałem.

Natty najwyraźniej zrozumiała, podobnie jak ja, że dostatecznie długo cieszyliśmy się swoją obecnością i teraz nadszedł czas na interesy.

– Ojciec mnie wysłał – odparła bardzo bezpośrednio.

Miałem już zapytać, skąd wiedział, gdzie mnie znaleźć, ale sama mówiła dalej, bez mojej zachęty.

– Nie podobał mu się pomysł, by niepokoić twego ojca, choć od dawna wiedział, że tutaj mieszkacie. Nie chciał zakłócać spokoju starego druha, który mógł nie uwierzyć, że zaszła w nim całkowita przemiana.

Teraz przyszła moja kolej, by się uśmiechnąć, bo wyobraziłem sobie, jak niechętnie mój ojciec zmieniłby opinię na temat pana Silvera. Chciałem to potwierdzić, mówiąc:

– Wydaje mi się... – ale mi przerwano.

– Mój ojciec chce cię poznać – powiedziała Natty. – Prosił, żebym cię do niego sprowadziła. – Zamilkła równie nagle, jak zaczęła mówić, a jej prawa dłoń uniosła się, by strącić mi jakiś pyłek z ramienia. Ten gest miał mnie zmiękczyć i udało się jej to wyśmienicie. Zamiast odmówić prośbie czy zacząć piętrzyć trudności, po prostu zapytałem:

– Dzisiaj?

– Dzisiaj, jeśli to możliwe – odparła. – Choć nie chodzi tylko o ciebie. Mój ojciec prosił, żebym zapytała... Czy twój ojciec wciąż jest w posiadaniu mapy? A jeśli tak, to czy pozwoliłby ci ją zabrać?

Słyszając to, całkowicie zaskoczony jej śmiałością, zuchwałością, która była w stanie zmiażdżyć wszystko na swej drodze, zacząłem niemal krzyczeć:

– Mapa! Mapa mojego ojca! Pożyczyć mapę!

Natty nie odezwała się; siedziała teraz lekko przygarbiona. Patrzyła na miejsce, w którym rzeka niknęła w oddali w stronę Londynu. Spodziewała się nieufności z mojej strony i wiedziała, że musi mnie jakoś oswoić. Miałem poczuć niemy wyrzut, chociaż wiedziałem, że to ja powinienem robić jej wyrzuty. To paradne, że jej ojciec – pirat, morderca – chciał ot tak sobie dotrzeć do mego ojca. W gruncie rzeczy nie było to wcale paradne. Było obraźliwe i niemożliwe do spełnienia. Zdaniem mojego ojca pan Silver to ohydny hochsztapler, który zasługiwał na ciemnicę albo na spotkanie z katem na szafocie, a nie na moją pomoc.

Biłem się z myślami, jak najlepiej zatopić raz na zawsze prośbę Natty, by już nigdy jej nie powtórzyła, więc sam również zacząłem wpatrywać się w rzekę. Koncentrowałem się usilnie na rodzinie pardw szkockich, które krzątały się wokół swego gniazda. I podczas tych obserwacji zacząłem mięknąć. Słowa Natty, jak się nad tym zastanowić, nie były adresowane do mego ojca. Były adresowane do mnie. Czy ja nie przyniosłbym mapy. Czy, w gruncie rzeczy, nie zechciałbym wejść w układ, który mój ojciec uznałby za nie mniej niż łotrowski?

Natty zaczęła nucić pod nosem jakąś melodię – rozpoznałem w niej „Lillibullero”, utwór, który zawsze mi się podobał. Nie skomentowałem tego, tylko nadal wpatrywałem się przed siebie, jakby odpowiedzi na wszystkie moje pytania i wątpliwości kryły się w obserwacji nurkujących po pożywienie pardw, które po chwili wynurzały się na powierzchnię, a wtedy woda rozpryskiwała się na setki połyskliwych klejnotów osiadających na ich piórach. Kiedy w końcu mnie to zmęczyło, odwróciłem się, by jeszcze raz spojrzeć na Kleksa. Nie był wcale zainteresowany moimi rozterkami, czyścił pióra jednego ze skrzydeł gładkimi, miarowymi pociągnięciami dzioba.

Mapa, zrozumiałem, że była to mapa Wyspy Skarbów. Nigdy jej nie widziałem. Nie miałem nawet pewności, czy wciąż znajdowała się w posiadaniu mego ojca. Ale wiedziałem, gdzie mogła być, jeśli wciąż ją miał. W skrzyni, która stała u stóp jego łóżka. W skrzyni, która – jak mówił mi z tysiąc razy – należała kiedyś do Billy’ego Bonesa. (Pozostała w gospodzie Admirał Benbow po śmierci tego nikczemnika i została zasekwestrowana przez mego ojca jako zapłata za fatygę, kiedy powrócił do szynku ze swojej wyprawy na wyspę). Poza tym mój ojciec nie miał gdzie trzymać swoich skarbów, co wyjaśniało, dlaczego pilnował tej skrzyni jak oka w głowie, cały czas trzymając klucz do niej zawieszony na szyi na kawałku szpagatu. Nigdy nie miałem tego klucza w ręce, nie mówiąc już o otwieraniu nim zamka w skrzyni. Ale domyśliłem się, że gdybym to zrobił, najprawdopodobniej znalazłbym rzecz, której tak pragnął pan Silver.

Druga i do tego większa tajemnica, czy odważę się ją zabrać, wciąż czekała na swoje rozwiązanie.

– Wiesz, dlaczego twój ojciec chce dostać tę mapę? – zapytałem po dłuższej chwili głosem, w którym, miałem nadzieję, pobrzmiwała nuta zadziwienia.

Natty przestała nucić i zanurzyła dłoń w rzece. Woda zamknęła się wokół niej, wydając ciche cmoknięcie, jakby była gęsta niczym melasa.

– Oczywiście – odparła w tym samym momencie, w którym się odezwałem, odpowiadając na moje pierwsze pytanie.

– Mogę się tylko domyślać.

To wystarczyło, by przerwać powagę, która wkradła się między nas. Ponownie się do siebie uśmiechnęliśmy. To rozprężenie nastrojów w najmniejszym stopniu jednak nie pomogło mi rozstrzygnąć, jaką mam dać odpowiedź. Postanowiłem, że najlepiej będzie powiedzieć prawdę; w tej sytuacji taka taktyka mogła spowodować najmniejsze szkody.

– Nie wiem w ogóle, czy mój ojciec ma jakąś mapę – powiedziałem.

– Powiedziałaś tę mapę, nie jakąś mapę – odparła Natty z nutką niecierpliwości w głosie.

– Dobrze, niech będzie, tę mapę.

– Ale gdyby...

– Ale gdyby miał tę mapę – rzuciłem, wchodząc jej w słowo – to wiem, gdzie mógł ją schować. – Kiedy tylko to powiedziałem, chmura zasłoniła słońce i migotanie na rzece zanikło, przemieniając radosną krzątanie pływających po niej jednostek w melancholijną procesję. Zdawało się, że prom wiozący pasażerów w stronę Londynu nagle zaczął płynąć w stronę Hadesu. Barka węglowa, prowadzona przez pojedynczy, popielaty żagiel przez środek pływu, bryznęła czarnymi pomyjami w stronę burty naszej łódki. Gdybym nie był tak pochłonięty powagą swoich rozmyślań, mógłbym się roześmiać, że oto świat w tak oczywisty sposób ocenia moje zachowanie i uznaje mnie za osobę nienadającą się do tego zadania. Jednak w tej sytuacji zmarszczyłem tylko brwi.

Natty nie pozwoliła sprawie przyschnąć.

– Czyli niby gdzie? – naciskała.

– Och – westchnąłem, znów się wahając. Wyobraziłem sobie, jak po cichu podkradam się do ojca śpiącego na łóżku, zdejmuję mu cichcem kluczyk z szyi, otwieram skrzynię, przeglądam jej zawartość i wreszcie odnajduję mapę, wydaję ją, zamykam skrzynię, wkładam kluczyk ojcu na szyję i daję dyla – a to wszystko w całkowitej ciemności i bez jednego odgłosu!

Był to pomysł zupełnie niedorzeczny. Niedorzeczny, bo niebezpieczny. Ale niedorzeczny też z innych powodów. Ponieważ podstęp – nie, złodziejstwo – byłoby zdradą wobec mego ojca. Nie zrobił niczego, czym zasłużyłby sobie na takie traktowanie. Że każe mi tyrać w szynku? Że zbyt wiele zadań mi zleca? Że jest chępliwy? Że zbyt często rozpamiętuje stare, dobre czasy? Nie były to na tyle poważne grzechy, by mogły usprawiedliwić aż tak perfidny czyn z mojej strony.

– Och? – powtórzyła za mną Natty.

– Nie jestem pewien – powiedziałem. A potem, jakbym mówił do tkwiącego we mnie niespokojnego ducha, a może zmanipulowany przez samą Natty, dodałem: – Z mapą czy bez mapy, powinienem spotkać się z twoim ojcem.

To wcale nie ciekawość pchnęła mnie do wymówienia tych słów, ale poczucie, że wścibstwo wcale nie jest żadną zbrodnią. Byłem gotów zaprzeczać przed samym sobą, że jest to mój pierwszy krok na drodze występku.

Natty rozprostowała ramiona, jakby właśnie zdjęto z nich wielki ciężar.

– Kiedy? – zapytała.

– Dzisiaj – odpowiedziałem jej z pełnym przekonaniem. – Teraz. Wejdę na chwilę do środka i powiem ojcu, żeby nie spodziewał się mnie przed wieczorem.

Powiedziawszy to, zabrałem dwie puste szklanki i wstałem tak energicznie, że łódka zakołysała się i stuknęła o brzeg – po czym zszedłem na ścieżkę holowniczą. Kiedy zatrzymałem się w drzwiach, by się



rozejrzeć, Natty już wyciągnęła cumę Spyglass z ziemi. Siedziała z wiosłami w dłoniach, dziób łodzi zwróciła w stronę Londynu. Z jej twarzy była satysfakcja kogoś, kto zawsze stawia na swoim. Kleks patrzył w tę samą stronę, a kiedy się odezwał, jego słowa dotarły do mnie jasno i wyraźnie.

– Wciągać grota – powtarzał. – Wciągać grota.

## Rozdział 4

# Droga do Wapping

Nic z tego, co się zdarzyło czy zostało powiedziane podczas naszej podróży do Londynu, nie wskazywało na jakąś gwałtowną zmianę w moim życiu. Rzeka jednak niosła nas naprzód i poczułem, że nie tyle wyruszam z domu, co go opuszczam. Szerokie połacie mokradeł dymiły w słońcu poranka. Była to sceneria, która towarzyszyła mi przez całe życie, ale teraz wyglądała oszałamiająco, niczym wizje ze snu. Zanim jeszcze Hispaniola zniknęła za horyzontem, zacząłem myśleć, że duchy mogły czuć to co ja – kiedy miały łączność z nawiedzonym przez nie miejscem, choć były od niego oddzielone.

Natty przejęła dowodzenie nad podróżą przez pierwszych kilka mil. Ja siedziałem na rufie obok Kleksa, który przekrzywiał swój łeppek, by przyglądać mi się przez pręty klatki, i syczał na mnie cały czas, co tylko dowodziło, że jest niezwykle oburzony moim towarzystwem. Nie czułem zdziwienia, obserwując, z jakim znawstwem Natty robiła wszystko, co do niej należało – była silna jak chłopak, gdy sprawnie operowała wiosłami, i podobnie jak chłopak nie skupiała się na sobie, ale na wykonywanym przez siebie zadaniu. Kiedy strumyczek potu ściekał jej z czoła wzdłuż nosa, parskiała i zdmuchiwała go z twarzy. Jeśli jakaś inna jednostka ośmieliła się zdradzać ochotę przecięcia jej szlaku, darła się na pilotów, żeby uważali. Zorientowałem się, że nie zamierza ze mną rozmawiać podczas pracy, więc chcąc nie chcąc, musiałem zadowolić się obserwacją. Choć uśmiechałem się do niej często, dając do zrozumienia, że podziwiam jej biegłość, miałem wrażenie, że spojrzenia, jakimi mi się odwzajemniała, przenikają mnie na wskroś; najwyraźniej zamierzała się skoncentrować na czymś, co ciągnęło się za nami.

Wkrótce poczułem, jakbym żył w jakimś transie. Mijaliśmy całe połacie mokradeł; chyba jakaś dłoń z nieba rozwinęła tam niekończące się płótno, na którym wszystko zdało się statyczne, będąc obrazem samym w sobie. Pojawił się pstrokaty kucyk, który gramolił się na kamienisty cypelek, jakby zastanawiając się, czy nie zażyć kąpieli. W innym miejscu zobaczyłem przystań, w której chłopcy topili smołę w kotle – ciężki odór roznosił się po rzece niczym wielki cień. A tu zobaczyłem znów garstkę rybackich domów postawionych wokół zastanej zatoczki, a gdzie indziej całą dużą wioskę, której mieszkańcy rozpoczynali dzień od gadaniny, targowania się, pracy, przeklinania i dodawania sobie otuchy. Każdy z nich zaszczycił Spyglass taką uwagą, jakby była żukiem wodnym. Podobnie żeglarze spoglądający z wysokości swych pokładów czy wioślarze w łódkach. Wszyscy mieli jakieś swoje sprawy i koncentrowali się wyłącznie na nich.

To osamotnienie trwało nadal, kiedy doszły do głosu moje dobre maniery (znaczy, kiedy dostałem nowe rozkazy od Natty) i też zacząłem wiosłować. Odbyło się to przy minimalnej wymianie zdań, jakbyśmy byli starymi kamratami, którzy wykonują dobrze znaną pracę. Milczenie trwało aż do końca tej podróży, skutkiem czego początek mojej przygody zdawał się nieuchronny. Nasze barki i ramiona (jej prawe, moje lewe) nieznacznie ocierały się o siebie. Zimna rzeczna woda ściekała nam po kolanach i gromadziła się wokół butów. Nasze usta wydychały miarowo powietrze, a oddechy mieszały się z tyłu (gdybyśmy mogli je zobaczyć), naśladowując kręte zawijasy pozostawiane przez wiosła na powierzchni wody.

Po ledwo godzinie – taka była sprzyjająca moc prądu – przepłynęliśmy przez Greenwich i dotarliśmy do tej części rzeki, którą ledwo znałem. Tutaj zauważyłem znacznie większe skupiska domów na brzegach. Zorientowałem się, iż wkraczam w nową fazę swego istnienia. Nie chodziło o to, że nigdy nie

byłem w Londynie – kilkakrotnie towarzyszyłem memu ojcu w wyprawach po zaopatrzenie do Hispanioli i żeby złożyć uszanowania rodzicom mojej matki (przed ich śmiercią) w Shoreditch. Po prostu była to moja pierwsza eskapada na własną rękę, która okazała się spełnieniem moich marzeń.

Gdyby ktoś mnie poprosił, bym dokładnie opisał owo marzenie, nie potrafiłbym go sprecyzować. Przyjemność przebywania blisko Natty stanowiłaby jedyną szczerą odpowiedź. Co więcej, moja podróż była wyrazem chęci poznania jej ojca – ale chęci, której towarzyszyło wiele wątpliwości. Na przykład nie zdecydowałem jeszcze, co powiem panu Silverowi, gdy mnie spyta o mapę. Dotarłem do tego samego rozdroża rozterek, kiedy biłem się z myślami, czy mógłbym ją ukraść. Poddawszy się zaproszeniu Natty, założyłem, że właściwe rozwiązania pojawią się we właściwym czasie.

Gdy zbliżaliśmy się do Wapping, bezpieczeństwo Spyglass absorbowало całą naszą uwagę. Skłoniło też Natty do przerywania milczenia, gdyż musiała udzielić mi instrukcji, jak unikać przeszkód, skręcając to w jedną, to w drugą stronę. Choć mieszkalem nad rzeką przez większą część mego życia, w najmniejszym nawet stopniu nie czułem się zobowiązany tym faktem. Tak więc dopóki Natty traktowała nas jako równych sobie partnerów i nie wzbudzała mojego zażenowania, sugerując, że jest inaczej, cieszyłem się, wypełniając jej polecenia, i czekałem, aż znów będę mógł przejąć inicjatywę.

Pomimo jej biegłości wioślarskiej, poruszanie się w tak dużym ruchu na tej części rzeki jest dość niebezpieczne i musieliśmy się liczyć z tym, że w każdej chwili możemy zostać staranowani i zatopieni przez inne jednostki. Widoki rozpraszające uwagę zwiększały tylko ryzyko. W domu w Hispanioli, wyglądając przez okna, często widziałem statki wracające z czterech krańców świata. Moja wyobraźnia płasała wśród bel jedwabiu i skrzynek z przyprawami korzennymi, które wiozły w swoich ładowniach.

Teraz, gdy spoglądałem z perspektywy mej ławy w Spyglass i patrzyłem na wysokie ściany burt tych statków – widząc szramy powstałe podczas ich wypraw przez szerokie morza, kiedy zerkałem na marynarzy o ogorzałej skórze i włosach spłowiałych od palącego słońca w egzotycznych regionach – czułem, że sen, w który zapadłem, leci na łeb na szyję jeszcze dalej w dół.

Kiedy Natty w końcu uniosła dłoń i wskazała na brzeg, zobaczyłem dwa wysokie magazyny, które zdawały się tak bliskie zawaleniu, że opierając się o siebie, tworzyły coś na kształt tunelu. Odgadłem, że tam właśnie płyniemy, i mocniej szarpnąłem za wiosło, tak jak mi kazano. Spyglass wśliznęła się między dwa statki i wpłynęła na o wiele spokojniejszą wodę – a pięść Natty wylądowała na moim brzuchu, gdy dziewczyna odepchnęła mnie do tyłu, żebyśmy mogli prześlizgnąć się pod linami cumowniczymi i łatwiej zbliżyć się do miejsca przeznaczenia. W ten sposób, kiedy dotarliśmy do kresu naszej podróży, wyglądałem niczym świeżo przebudzony z głębokiego snu.

Powinienem raczej powiedzieć – kiedy dotarliśmy do końca tego etapu naszej podróży i zaczęliśmy następny. Bowiem gdy tylko przywiązaliśmy Spyglass do obręczy przymocowanej do nabrzeża i wspięliśmy się po śliskiej drabince na stały grunt (co wiązało się z ruszeniem w ślady Natty i podaniem jej klatki z Kleksem, który głośno protestował na tę zmianę), od razu stało się jasne, że muszę wyostrzyć swe zmysły. Na chwilę zostałem całkowicie otoczony przez mężczyzn i kobiety, których nie obchodziło, czy walną mnie łokciem, trącąc koszem, zdeptają swymi chodakami, czy w ten bądź inny sposób sprawią, że zniknę w rzece i się utopię.

Natty dała mi znak i ruszyliśmy pod arkadami magazynów portowych. Już przywykłem, by być jej posłusznym. Wkrótce ruszyliśmy labiryntem o zabrudzonych ścianach i z wydymającym się praniem na sznurach.

Kiedy w końcu umknęliśmy stamtąd – co miało miejsce w niespodziewanym rozbłysku słońca – odwróciła się do mnie i powiedziała z dziwną nutą w głosie:

– To jest mój dom.

Był to dom przystający do rzeki, tyle mogłem zobaczyć, bo po lewej i prawej stronie dostrzegałem blask rzecznej toni. Został zbudowany w trudny do zdefiniowania sposób, ponieważ cała jego konstrukcja nie zawierała zbyt wielu elementów powszechnie uznawanych za części składowe domu, a wiele było takich, które w ogóle nie kojarzyły się z domem. Pojedyncze drzwi tkwiły wciśnięte w jedną część fasady, okna porzucano w różnych jej miejscach (niektóre podłużne, niektóre okrągłe, a inne kwadratowe), dach z jednej strony pokrywał budynek na bardzo dużej wysokości, z drugiej zaś zwiślał prawie do ziemi, a kilka kominów (z których wszystkie wydychały ciemny dym) wystawało z niego pod różnymi kątami niczym olbrzymie zwierzęce wąsy.

Jeszcze dziwniejsza zdawała się konstrukcja całej budowli – nie był to obiekt zbudowany z cegieł i zaprawy, a ściany zawierały liczne deski, słupy, kłody, gałęzie, korzenie, klepki beczek i wszelkiego rodzaju drewno wyłowione z rzeki; niektóre kawałki wciąż z przyczepionymi do nich pąkami i kępami wyschniętych wodorostów. Trudno było to wyjaśnić, chyba że Tamiza chomikowała przez dłuższy czas wszelkie pozostałości i resztki, a potem, sprowokowana, poustawiała tę kolekcję na sztorc, gdzie pozostała, w jakiś cudowny sposób zachowując równowagę. Drewno twarde i miękkie, ciemne i jasne, rzeźbione i nieoheblowane – zostało zbite czy może powiązane razem bez najmniejszej troski o jakąkolwiek ogólną koncepcję, jeśli nie liczyć chaosu. Jedynie jedna rzecz była na swoim miejscu – znad drzwi zwiślał starodawny mosiężny teleskop, przedmiot, od którego wzięła się nazwa tego lokalu, Spyglass.

Patrzyłem na to wszystko oczarowany i uświadomiłem sobie, że Natty trzymała mnie za dłoń i dopiero co ją puściła. Nie wiem, czy czuła radość na widok swego domu, czy była zaniepokojona tym, jak wyglądał w mych oczach (i chciała mnie uspokoić), niemniej jednak teraz zrobiła się nadzwyczaj rozmowna.

– Jeśli zapytasz mego ojca, w jaki sposób zbudował ten dom – powiedziała – bardzo chętnie ci o tym opowie.

– Nawet widzę dlaczego – odparłem. – Ale powiedz sama, kiedy po raz pierwszy się tu zjawiał?

– Przed moim urodzeniem. Z moją matką.

– Bardzo niewiele powiedziałaś mi o swojej matce – rzuciłem, myśląc, że muszę wiedzieć o niej jak najwięcej, tyle, ile, jak mi się wydawało, wiem o panu Silverze.

– Czy naprawdę muszę mówić o matce?

– Nie musisz – odparłem. – Ja na przykład z całą pewnością nie opowiedziałbym nic o swojej, ponieważ jej nie mam.

Na obliczu Natty pojawił się cień i pożałowałem, że byłem tak dosadny.

– Wkrótce ją poznasz – oznajmiła. – Mój ojciec nie będzie rozmawiał z tobą zbyt długo.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytałem, ale nie odpowiedziała od razu, tylko spoglądała na mnie z groźną miną. Przyszło mi do głowy, że jej milczenie podczas naszej podróży w górę rzeki nie było wynikiem obojętności, ale raczej zatopienia się w sobie, rodzajem lęku.

– Mój ojciec... – zaczęła po dłuższej chwili, ale przerwała. Widziałem zmieszanie na jej twarzy, gdyż najwyraźniej liczne, różniące się od siebie wyjaśnienia walczyły o pierwszeństwo. W końcu ucięła ich spory westchnieniem i powiedziała tylko: – Mój ojciec jest bardzo starym człowiekiem.

Choć byłem jeszcze bardziej skonsternowany tym, co Natty próbowała mi wyjaśnić, czy może ukryć przede mną, powiedziałem, że rozumiem – i żeby moja odpowiedź zabrzmiała ciepło, tak jak chciałem, wyciągnąłem dłoń i dotknąłem jej ramienia. Efekt był całkowicie odwrotny od zamierzonego. Natty wzdrygnęła się, jakbym dotknął ją rozżarzonym żelazem, i cofnęła o krok.

– Rozumiem, rozumiem – rzuciła z rozdrażnieniem, unikając mojego wzroku. – Wystarczy, jeśli powiesz, że jesteś gotów.



Powiedziawszy to, odwróciła się, pchnęła drzwi wejściowe i zaprosiła mnie do środka, po czym zaczęła się wspinać po schodach na wprost wejścia. Nie umknęło mojej uwagi, że kiedy to zrobiła, Kleks wskoczył na swoją żerdź w klatce i tak mocno zacisnął powieki, że wśród piór można było dostrzec zmarszczki wokół oczodołów.

We wnętrzu domu panował mrok i roznosił się mocny zapach wilgoci i pleśni. Przez to całe miejsce sprawiało dość ohydne wrażenie, choć nie miałem okazji stwierdzić, czy odczuwałbym taką samą odrazę, wchodząc do kolejnych, mijanych przez nas pomieszczeń w drodze na górę. Kiedy dotarliśmy na podest pierwszego piętra, usłyszałem odgłosy rozmowy i śmiechy, co świadczyło o tym, iż sala szynku znajduje się nieopodal. Na drugim piętrze przed jakimiś drzwiami Natty zatrzymała się i przytknęła palec do ust, mówiąc szeptem:

– Moja mama – i usłyszałem kobiecy śpiew. Była to jakaś żwawa przyśpiewka, choć jej niecodzienna melodia wywoływała uczucie melancholii. Szczególnie jedna zwrotka zapadła mi w pamięć tak głęboko, że nie zapomnę jej do końca życia:

*Weź serce me, słodki Jezu, życie weź stracone,  
Kiedyś je od Ciebie wzięłam, teraz zwracam wspak.  
Przybądź do mnie w tej godzinie i weź mnie za żonę,  
Tchnienia, które Ci oddaję, nie będzie mi brak.*

Przekrzywiłem głowę, nie wiedząc, czy powinienem wejść do środka i się przedstawić, ale oczy Natty zrobiły się wielkie jak spodki, jakby karciła mnie za ten zupełnie nedorzeczny pomysł. Nie miałem innego wyjścia i posłuchałem – tak więc poszliśmy dalej w górę, mijając zygzakami kilka fragmentów schodów. Po chwili zacząłem się zastanawiać, czy już jesteśmy na wysokości, która może zwiastować niebezpieczeństwo.

Mówię tak, gdyż nie mogłem nie zauważyć lekkiego kołysania, które udzieliło się całemu budynkowi. Delikatnego, lecz wyraźnego. Przyszło mi do głowy, że wchodząc do Spyglass, jakimś cudem udało nam się z budynku przejść na statek. Konkretnie na szczyt masztu, skąd będzie doskonały widok na rzekę i na miasto, jeśli tylko uda nam się odnaleźć okno, przez które wyjrzę na zewnątrz. Wszechobecny szept wiatru wzmagał wrażenie przebywania na morzu. Zrazu zdał się całkowicie absurdalny i elektryzujący. Pod wpływem tego odgłosu poczułem dreszcz emocji.

Kiedy zaczęliśmy wchodzić na ostatni, najwyższy fragment schodów, Natty zerknęła przez ramię i pokazała lewą dłońią (gdyż w drugiej trzymała klatkę z ptakiem), żebym zachował ciszę. Chciała dobrze, tego jestem pewien, ale ten gest przypominał mi o cieniu, który przemknął jej po twarzy, kiedy jeszcze chwilę temu staliśmy na zewnątrz. Bez względu na przyjemność, jaką czerpała z wykonywania poleceń swego ojca, dostrzegałem w jej postępowaniu sporą nerwowość, a może nawet bojaźń. Nadawała jej zachowaniu szczególny rodzaj niecierpliwości i pośpiechu.

Pocieszyło mnie to nieco, gdyż sugerowało, że uczucia Natty wobec pana Silvera mogły jednak przypominać te, które żywiłem do swego rodzica. I z tego powodu nie byłem zdziwiony, gdy ojciec wkroczył do mych myśli niczym zjawą.

– Długi John Silver – jakbym go słyszał z oddali, gdy swym dudniącym głosem przyciągał uwagę swych klientów w spowitej we mgle Hispanioli. – Długi John Silver z drewnianą nogą i papugą był niezwykle przekonujący. Och, czaruś był z niego, to pewne, jeśli kłamstwa i pochlebstwa można nazwać czarującymi. Koniec końców okazał się najbardziej godnym potępienia łotrem na całym świecie. Prędzej bym duszę diabłu zapisał, niż chciał z nim ponownie rozmawiać!

Gdybym miał okazję głębiej zastanowić się nad tymi sprawami, zrozumiałbym, że moja obecność w Spyglass czyniła łotra – i prawdopodobnie również głupca – właśnie ze mnie. Ale nurt mego zarozumiałstwa poniósł mnie zbyt szybko, bym poważnie potraktował takie ostrzeżenia. Kiedy Natty w końcu stanęła na ostatnim stopniu i odwróciła się, by zachęcić mnie uśmiechem, pod którym topniałem jak wosk, miałem w głowie tylko jedną myśl – wszystko, co zrobimy, musimy zrobić razem.

## Rozdział 5

# Spotkanie z duchem

Kiedy Natty otworzyła z rozmachem drzwi pokoju swego ojca, spodziewałem się znaleźć w jakiejś ptasiej norze albo w komórce. Zapowiadały to węższe schody, podobnie zresztą jak opinia mego ojca: pan Silver odbyłby niebezpieczną wyprawę do Anglii wyłącznie, gdyby zabezpieczył sobie tyły i mógł skryć się w cieniu.

Nie było tu jednak nic takiego; zaraz po wejściu zalało mnie tak jasne światło, że aż mi się zakręciło w głowie. Kiedy odzyskałem wzrok, zobaczyłem, że wszedłem do dużego kokpitu, którego jedna ściana była wykonana całkowicie ze szkła podtrzymywanego jedynie najcieńszymi drewnianymi listewkami. Okno zostało skonstruowane w taki sposób, by wyrzyszczać się na zewnątrz, dając tak niespotykane wrażenie optyczne, że nie wiedziałem, czy przypomina oko, czy też przypadkiem znalazłem się wewnątrz jakiegoś oka. Tak czy inaczej, pomyślałem, że równie dobrze mógłbym być orłem, bo byłem teraz w stanie dobrze przyjrzeć się miastu wraz ze wszystkimi szczegółami.

Kiedy to spostrzegłem i podszedłem bliżej, by napawać się widokiem urwiska leżącego tuż pod moimi stopami portu, w którym zobaczyłem naszą łódkę, niczym ziarenko wśród większych statków, Natty zupełnie już o mnie zapomniała. Gdy weszliśmy do tego pomieszczenia, zaczęła iść wzdłuż przeciwległej ściany, jakby gardziła tymi wszystkimi widokami. Zatrzymała się obok postaci, którą ja, odwróciwszy się, ujrzałem po raz pierwszy w życiu.

Dzięki opowieściom mego ojca o Wyspie Skarbów Długi John Silver jawił się w mych wyobrażeniach jako osoba o wyglądzie i nawykach demona. Jego jedyną zaletą była umiejętność dostosowania się do sytuacji, a wszystkie pozostałe aspekty jego charakteru wydawały się z gruntu złe; „groza – jak zwykły mawiać mój ojciec – okrucieństwo, dwulicowość i władza”. Skrzeczenie jego papugi – „Kawałek z ośmiu! Kawałek z ośmiu!”<sup>\*\*\*\*</sup> – niczym trzaski tycich żaren w mojej głowie – rozbrzmiewało we wszystkich moich koszmarach. Podobnie jak stuk-stuk-stuk jego drewnianej lewej nogi, która zastąpiła tę utraconą w służbie dla kraju pod wiekopomnym Hawke. Za każdym razem kiedy wiedziałem, że zasłużyłem na karę, a często też kiedy i nie zasłużyłem, czułem przerażenie, bo lękałem się dźgnięcia tą drewnianą kulą, która celując precyzyjnie między moje łopatki, walnęłaby we mnie z nieopisaną srogością niczym grom z jasnego nieba.

Z czasem owe dziecięce lęki nieco zelżały – tak jak to zwykle bywa – a w niektórych przypadkach nawet się zmieniły, pojawiając się w mojej wyobraźni, gdy chciałem stwierdzić, jaki to ze mnie wyrósł bohater. Robiło na mnie niesłychane wrażenie to, że za każdym razem gdy próbowałem umniejszyć pana Silvera, mój ojciec nazywał mnie nieukiem, który nic nie wie o świecie. I choć milkłem pod wpływem tych reprimend, nie zmieniały one mego zdania. Długi John Silver, wstyd to przyznać, stopniowo odchodził w niebyt, kurcząc się do cienia swej dawnej wielkiej postaci.

Kiedy mój wzrok spoczął na nim teraz, wiedziałem od razu, że byłem głupi, puszczając mimo uszu ostrzeżenia ojca. Pomijam przy tym fakt, że jego postać została nadgryziona zębem czasu. Leżał na szeszlunku przykryty spłowiałą zieloną narzutą z aksamitnymi aplikacjami i ciemniejszymi plamami to tu, to tam, w bijącym w oczy niebieskim kaftanie z mosiężnymi guzami, który sięgałby mu do kolan, gdyby mógł wstać, a wysoki kołnierz zahaczał o uszy i wypychał je do góry.

Określenie jego ciała mianem wymizerowanego nie oddałoby w pełni spustoszenia, jakiego doznał – szczególnie że odpiął swoją drewnianą nogę i położył ją przy łóżku obok siebie. Powiedziałbym, że jego

postać zdawała się wręcz rozpadać na moich oczach, co było widać po zmiętych, zapadniętych fałdach spodni, upstrzonej brązowymi plamami pojedynczej kończyźnie sterczącej obok nieobecnej towarzyszki, zapadłej piersi wystającej spomiędzy uwalanych falban koszuli – przez to wszystko nie mogłem się nadziwić, iż duch władający tym wszystkim był wciąż żywy, i skłoniło mnie to do wysnucia wniosku, że długo już nie pociągnie.

To nie ciało, a głowa nosiła wszelkie znamiona tego, nad czym tak często rozwodził się mój ojciec. Według jego słów, twarz pana Silvera była wielka jak poleć szynki – gładka, prosta i blada, lecz zawsze uśmiechnięta, zdradzająca wielką inteligencję. Teraz stała się pomarszczona i zapadnięta, otoczona przerzedzonymi włosami, które wyglądały, jakby je ktoś poukładał na głowie, a nie jakby same z niej wyrosły, zwisając w tłustych strąkach z czubka czaszki do ramion, co zdawało się sugerować pewne zapuszczenie. Wszystko to sprawiało jeszcze bardziej niepokojące wrażenie w połączeniu z oczami, które, jak się spodziewałem, miały wpatrywać się w moje z ową słynną uwodzicielską mocą, a które teraz wędrowały z jednej strony na drugą całkowicie pokryte bielmem. Pan Silver był ślepy.

O ile tego rodzaju przypadłości mogły świadczyć o tragizmie, pewnej aurze nieporadności i zależności od innych, u niego były wyłącznie źródłem wściekłości – nad którą stale próbował zapanować. Jego głowa kołysała się na podtrzymującym ją złotogłowi, a lewa dłoń zaciskała się i rozwierała obok odciętej nogi, jakby szukała sztyletu, którym mógłby cisnąć w kogoś na powitanie.

– Jesteś tam? Jesteś? – zapytał władczo, chwytając prawą dłonią powietrze. Głos miał nie taki znów wyczerpany i stary; był dźwięczny, wystudiowany i napięty.

– Jestem tu, ojcze – odparła Natty niezwykle słodko, jednak jej uspokajający ton nie odniósł spodziewanego efektu. Ponownie uniósł niecierpliwie dłoń. Teraz, kiedy przyjrzałem się dokładniej, dostrzegłem na niej wyblakły ślad po tatuażu, niebieskim i fioletowym, biegnącym od kłykci i znikającym w brudnym rękawie. Wydawało mi się, że przedstawia węża z rozwartą paszczką, gotowego kąsać.

– Jestem tu, ojcze – powtórzyła Natty.

Od wejścia do kokpitu byłem tak zajęty wspaniałościami widoków, jakie się stąd roztaczały, oraz uwiadem i jednocześnie zagrożeniem ze strony jego niewidomego mieszkańca, że nawet nie zastanowiło mnie zachowanie Natty. Obecnie zaczęła mi krążyć po głowie setka pytań. Dlaczego nie przedstawiła mi ojcu? Czy chciała sprawiać wrażenie, że jest tu sama? W oczywisty sposób ignorowała mnie; unikała mojego spojrzenia, gdy stawiała klatkę z ptakiem (na małym okrągłym stoliku, gdzie najwyraźniej było jego miejsce), i tylko owijała ściślej szal na ramionach. Spostrzegłem zmarszczkę na jej czole. Zdawało się, że stanowi element podstępu w jej działaniach, jakby Natty dodawała sobie w ten sposób odwagi.

Tego rodzaju myśli wprowadzały zamęt w mej głowie i skłoniły mnie do zastanowienia się, kto właściwie rządzi w tym pokoju. Moja niepewność wkrótce się pogłębiła. Zamiast chwycić ojca za rękę i złożyć niewinny pocałunek na jego głowie, Natty nachyliła się nad wciąż wiercącym się mężczyzną i potarła swoim policzkiem o jego twarz, jakby był kotkiem. Podziałało, bo starzec w końcu się uspokoił. Myślę, że powiedział też „moje kochanie”, choć mogło to być też „moje życie”. Kiedy było po wszystkim, przesunął nieco swoje wychudłe ciało na szezlongu, by zrobić dla niej miejsce. Położyła się obok, ochoczo zarzucając mu ramię na piersi. Nie widziałem jej twarzy, bo skryła ją w materiale ojcowskiego surduta. Wciąż wpatrywał się we mnie niewidzącym wzrokiem, a na jego twarzy malowała się pełnia szczęścia.

Ten uścisk trwał dobrą minutę, kiedy to ojciec i córka leżeli obok siebie, jakby w ogóle mnie tutaj nie było. Od tamtej pory tysiące razy myślałem o tej scenie, często ze zgrzyotą, ale choć zmieniał mi się punkt widzenia, zawsze dochodziłem do tych samych wniosków. Niezwykle drażliwą była kwestia zachowania kontroli. Choć pan Silver nie posiadał już siły fizycznej, by wymóc swe żądania, wciąż miał niezwykle



dominujący umysł. Rozum Natty pozostawał pod jego wpływem, ale młodość i energia były źródłem jej dominacji. Najwyraźniej konfrontację sił i możliwości mieli już za sobą i teraz wytworzyła się między nimi niezwykła zażyłość. Prawdziwa miłość, która, jak spostrzegłem od razu, odrzucała wszystkich postronnych, chcących zwrócić na siebie ich uwagę.

Na potwierdzenie niepokoju wywołanego tymi myślami Kleks znów stał się bardzo nerwowy. Pocierał skrzydłami o pręty, otwierał i zamykał dziób, jakby chciał wyartykułować ze dwa słowa. Kiedy w końcu mu się to udało, zaczął od tej samej frazy, którą już słyszałem w jego wykonaniu przed Hispaniolą. „Zostaw mnie w spokoju! Nie ruszaj!”. W chwili gdy zaczął mówić, Natty usiadła gwałtownie, nie opuszczając jednakowoż miejsca przy ojcu, i przyglądała włosy jak ktoś, kto obudził się właśnie z orzeźwiającego snu.

Choć uśmiechnęła się bezpośrednio do mnie, odezwała się do ojca:

– No dobrze – zaczęła cicho – musimy wrócić do interesów. Przyprowadziłam ci pana Hawkinsa, tak jak prosiłeś, ojczu.

Powiedziała to całkowicie obojętnym głosem, nie uciekając wzrokiem, jakby rzucała mi wyzwanie, gdyby wydawało mi się, że widziałem coś dziwnego czy żenującego.

– Panie Hawkins! – zaskrzeczał starzec, jakby sam pochodził z ptasiego rodu, i wyciągnął w moją stronę obie dłonie.

Pomysł, że mógł oczekiwać, iż obdarzę go uściskiem, był już sam w sobie odrażający, więc nie ruszyłem się z miejsca, czego oczywiście nie mógł zobaczyć.

– Panie Hawkins! – powtórzył tym samym gruchającym głosem. – No, proszę, proszę, to prawdziwa gratka dla mnie starego. Chodź tutaj. Chodź tu i usiądź koło mnie. Niech no ci się przyjrzę. – Wypowiedział słowo przyjrzę tak wolno, że aż się skurczyłem, ale najwyraźniej straciłem władzę nad swą wolną wolą, bo ruszyłem przed siebie, aż znalazłem się przy szezlongu na wprost Natty, niemal dotykając nagiej, ogorzałej nogi jej ojca. Stojąc tak blisko, nie mogłem nie poczuć przykłej woni, jaką roztaczał; pleśni i mroku, jakby leżał długo pod ziemią i dopiero niedawno został wskrzeszony.

Siedziałem nieruchomo niczym posąg, opanowany niejasnym, pasywnym smutkiem, że wszystko, co teraz robię, każde moje tchnienie jest zdradą lub odtrąceniem mego ojca. Nie mogłem postąpić inaczej. Tymczasem Natty siedząca po drugiej stronie szezlonga posłała mi kolejny słodki uśmiech, lekko skłoniwszy głowę w przód, jakby chciała dodać mi odwagi.

Odwzajemniając jej spojrzenie, powiedziałem:

– Jestem tu, sir. – Mój głos był chrapliwy i cichy, więc pomyślałem, że powtórzę to jeszcze raz, ale tym razem udało mi się pominąć owo „sir” przez szacunek dla ojca.

Kiedy wspomnienia mego ojca przelatowały mi przed oczami, spuściłem wzrok. Niesamowite, że to wynędzniałe ciało przemierzyło siedem mórz i oceanów wraz z moim najbliższym krewnym. I do tego oszałamiające. Nie chodziło wyłącznie o różnicę między teraz i wtedy, ale o fakt, że przeszłość nagle stała się tak odległa i jednocześnie namacalna. Pomyślałem, że gdybym położył dłoń na panu Silverze, przybrałby znów swą poprzednią postać. Moje palce mogłyby się przemienić w palce mego ojca, ściskające czy też odpychające go w chwili zagrożenia.

– Jestem tutaj – powiedziałem ponownie – w końcu.

Spodziewałem się dalszego ciepłego słowotoku w odpowiedzi na moje słowa, lecz pan Silver się nie odezwał. Wbił tylko we mnie swe mlecznobiałe oczy, położył jedną dłoń na brzuchu, a drugą przestudiował dokładnie całą moją twarz, jego paznokcie były ostre niczym szpony i drapały skórę. Dotknął moich włosów, brwi, moich oczodołów, nosa, policzków, ust, brody i styku szyi – jednocześnie nucąc coś w zamyśleniu z zaciśniętymi ustami.

– Tak, ty jesteś Jim – powiedział w końcu i oderwał swoją dłoń ode mnie z zaskakującą prędkością, że aż zobaczyłem, jak wąż marszczy mu się na nadgarstku.

– Jestem.

– Poznałbym cię na ulicy i wszędzie. Skóra zdjęta z ojca.

– Dziękuję – powiedziałem dość idiotycznie, ale pan Silver nie zwrócił na to uwagi.

– Młody jesteś – ciągnął dalej. – Ależ oczywiście, że tak, bardzo młody. Miło jest być młodym i mieć dziesięć paluchów u stóp, możesz mi wierzyć na słowo. Jeśli masz ochotę trochę pozwiedzać, wystarczy, że poprosisz starego Johna, a on już przygotowuje ci prowiant na drogę.

– Dziękuję – powtórzyłem, wciąż czując się idiotycznie, ale ponownie pan Silver zdawał się nie zauważać tego i rozmawiał jakby wyłącznie ze sobą.

– Młody i wykształcony chłopak, założę się, że tak – powiedział. – Ja też za swoich czasów dostałem niezłą szkołę. Kiedy było trzeba, gadałem, jakby kto książkę czytał. Wytwornie. Tak właśnie opisywał mnie kapitan, że jestem wytworny. Wiesz, o kim mówię?

– O kapitanie Flincie, sir – odparłem, przypominając sobie, co mówił mój ojciec.

– No właśnie, o kapitanie Flincie! – Pan Silver westchnął, wydając suchy, chrapliwy dźwięk z samego dna gardła, a potem rozpoczął monotonną melorecytację: „Najpierw za Anglią, potem za Flintem, tak, to całe moje życie. Wypijmy za starego Flinta. Wypijmy za nas i za ładownię pełną, refuj żagle, to jest życie, pokus mnóstwo i wszetecznicę”. Zamilkł, po czym przełknął ślinę. – Ale to było dawno temu, bardzo dawno temu. Ostatni raz jak rozmawiałem z twoim ojcem, był młokosem, nawet młodszy niż ty teraz.

Przymknął oczy, co znaczyło, że oblicza, ile lat minęło od ich ostatniego spotkania. Zmarszczki na czole świadczyły o tym, że nie podoba mu się wynik obliczeń.

– Czy mnie czasem wspomina? Twój ojciec? – zapytał.

– Bardzo często – powiedziałem, co zabrzmiało bardziej jak zdawkowa uprzejmość.

– Naprawdę! – wykrzyknął pan Silver. – W rzeczy samej wspomina? Słyszałaś to, moja droga? – to do Natty. – Pan Hawkins często mnie wspomina!

Kilkakrotnie skinął głową, a Natty i ja wymieniliśmy maślane spojrzenia.

– Cóż – mówił dalej, kiedy znów znieruchomiał – nic w tym dziwnego, jak sędzę. Twój ojciec i ja przeżyliśmy razem wspaniałe przygody.

– Tak słyszałem – odparłem sztywno.

– Z całą pewnością słyszałeś – powiedział – z całą pewnością. – A po kolejnej chwili milczenia dodał: – Często pływał obok waszej spelunki, Hispanioli. Stary szynk, bardzo schludny i pełno w nim klientów, śmiem twierdzić. Bardzo dobre miejsce na słuchanie starych bająn i wszelkiego rodzaju nowinek. Bardzo łatwe na butelkę rumu.

Kiedy padło słowo *rum*, łypnął pożądliwie, a następnie odwrócił się w stronę Natty już z normalnym wyrazem twarzy.

– Prawda, moje kochanie? Często zaglądaliśmy przez te okna, płynąc dorzeczem, i zastanawialiśmy się, czy nie wpaść z niespodziewaną wizytą do Jima Hawkinsa. Do starego Jima i młodego Jima. – Zarechotał chrapliwie. – Ale któż miałby ochotę burzyć sobie szczęście rodzinne i oglądać starego ducha, co, Jim? Kto chce oglądać ducha?

Mogłem tylko skinąć głową, czego oczywiście pan Silver nie mógł zobaczyć, a mój mózg zaczął pojmować, co właśnie mi powiedział. Zrozumiałem, że moja cała egzystencja, która, jak do tej pory sądziłem, była wyłącznie moją sprawą, stanowiła w istocie otwartą księgę, a jej kartki w miarę rozwoju wypadków przewracali pan Silver i Natty.

– Ale ja nie jestem duchem, co, chłopcze? – Pan Silver znów zarechotał i uniósł swoją odrażającą łapę, by uszczypnąć mnie w policzek dwoma szponami. – Tyle, co ze mnie zostało, to prawdziwe ciało. Prawdziwe! A w żyłach płynie prawdziwa krew, ech! – Jego dłoń opadła na podolek z głuchym stuknięciem. – Kawalek z ośmiu! Kawalek z ośmiu! – rzucił niespodziewanie, prawie krzyżąc. – Jeszcze się trzymam! Jeszcze nie jest po mnie i długo nie będzie!

Kiedy to usłyszałem, pomyślałem, że pan Silver zaczął chyba tracić zmysły, więc nie zaskoczył mnie widok Natty gładzącej go po czole, żeby się uspokoił.

– Cicho, już cicho, tato – mówiła uspokajającym głosem. – Już dobrze, już dobrze – a potem zwawiej: – Pamiętasz, po co ściągnąłeś tu Jima i co chcesz mu powiedzieć?

Pan Silver odetchnął głęboko dwa, trzy razy, by się uspokoić. Podejrzewam, że przypomniał sobie cały sposób postępowania w podobnych przypadkach, jaki opracował wraz z Natty na taką ewentualność. Ale kiedy znów się odezwał, było jasne, że wciąż bredzi i jedynie stopniowo powraca do miejsca, które wskazała Natty.

– Twój ojciec zawsze był mi drogim przyjacielem – wyszeptał. – Dzielny chłopiec. I do tego mądry; chłopak miał w sobie hart ducha. Ta hołota, która mnie wtedy otaczała... Jim wiedział, że są nic niewarci. Zwykle głupki i tchórze. I dał im to, na co zasłużyli.

Wyciągnął rękę i odszukał moją dłoń, a kiedy ją znalazł, ścisnął bardzo mocno za kłykcie.

– Ale myśmy się zawsze bardzo dobrze rozumieli – ciągnął dalej. – Wiedział, że obaj jesteśmy Panami Fortuny, obaj. I mówiłem mu: „Jim, ratuj życie, jeśli możesz, tak jak ja”. I powiedziałem mu: „Wet za wet, uratowałeś Długiego Johna Silvera od stryczka”. – Mówiąc to, cofnął dłoń i zaczął się podnosić; prawie usiadł na swym szezlongu, prostując wąskie ramiona i kręcąc głową, jakby odrzucał włosy z oczu. – Naprawdę – powiedział wolno i z godnością. – Mogę powiedzieć, że był dla mnie jak syn.

Tych ostatnich kilka słów zapadło we mnie tak ciężko, jak garść kamieni. I jak to zwykle bywa w takich chwilach szczególnej wagi w naszym życiu, miałem świadomość, że część mego umysłu okopała się na swych pozycjach i zaczęła obserwować moje poczynania. Zacząłem podejrzewać, że fascynacja panem Silverem ma swoje źródło w jego głosie; przedłużone samogłoski i nieskrępowane skrótły świadczyły o tym, że urodził się w tej samej części Zachodniej Krainy co rodzina mego ojca. Z powodu sposobu, w jaki się wysławiał, odczuwałem niejaką zażyłość z tym człowiekiem oraz pewną otuchę, nawet kiedy mówił rzeczy zaskakujące. Naprawdę uznałem, że to oburzające, kiedy człowiek, którego mój ojciec nazywał diabłem, mówił o nim jak o swoim synu – i to niezwykle przekonująco.

– Mój ojciec... – zacząłem, nie mając zupełnie pomysłu na to, co chcę powiedzieć dalej.

– Twój ojciec! – przerwał mi pan Silver. – Twój ojciec zrozumiałby powody tego, o co cię za chwilę poproszę. Zawsze lubiłem tego chłopaka za jego ducha, był lustrzanym odbiciem mnie samego, gdym był młody i przystojny. Dzielny chłopak i do tego mądry, jak zawsze powtarzam. Bardzo dzielny i bardzo mądry. Na tyle mądry, by docenić wagę przygody, i na tyle dzielny, by rzucić się prosto w jej wir!

Kiedy pan Silver skończył, zacisnął szczęki i wysunął brodę do przodu. W wyniku tego uwidoczniły się jego zapadnięte usta, wklęsłe na dziąsłach, w których dawno już nie było zębów. A jednak bunt malujący się na tej twarzy wydał mi się aż nadto wyraźny.

– A jaką to przygodę ma pan na myśli? – zapytałem, już znając odpowiedź.

– No oczywiście przygodę z mapą, mój chłopcze! – Jego głos ponownie przeszedł w krzyk, co całkowicie zniweczyło wrażenie wystudiowanego ucieleśnienia łagodności.

– Najpierw mapa, a potem skarb czekający za morzem! Błyszczące srebro! Całe to przepiękne srebro, które zostawiliśmy w dawnych czasach ze starym kapitanem.

Zamilkł na chwilę, łapiąc oddech, a po chwili odezwał się już spokojniej:

– Znasz tę opowieść, mój chłopcze, i nie mów, że jest inaczej. Wraz z twoim ojcem zabraliśmy, co mogliśmy unieść; my i cała reszta. Ale jest tego więcej. Całe to przepiękne srebro. Srebro, które leży w ziemi. Mapa, która powie ci gdzie!

– A gdybym odmówił? – zapytałem. W głębi duszy wiedziałem już, jaką odpowiedź dam panu Silverowi, ale pomyślałem, że jestem winien memu ojcu przynajmniej tę odrobinę oburzonego sprzeciwu.

– Tylko mi tu nie gdybaj! – zachnął się starzec, drżąc cały z gniewu. – Pomyśl! Nie gdybaj! Pomyśl o czekającej na ciebie fortunie. Zastanów się, kto ci to mówi! To ja! Dawny Długi John Silver. Dawny Stary Rożen. Ale dziś już nie jestem ani jednym, ani drugim. Od wielu już dni ani tym, ani tamtym. Teraz mówi ci to pan Silver; ten sam człowiek, lecz jednocześnie inny. Można rzec, że jak ta sama muzyka, lecz w innej tonacji. Twój ojciec by to zrozumiał. O tak, on by to zrozumiał, bo w nim samym zaszły spore zmiany. Te zmiany rządzą nami teraz. – Jego głos znów zaczął się łamać, choć ostatnie słowa niosły ze sobą syk stali wyciąganej płynnym ruchem z pochwy. Dodał jeszcze dwa słowa, oba ostre niczym pchnięcie rapiera. – Brawura! – wykrzyknął. – Spryt!

Wtedy, wyczerpawszy swoje ostatnie pokłady energii, padł na złotą poduszkę, a na jego rozluźnionej twarzy pojawił się uśmiech. Wydawało mi się, że nagle zapadł w sen.

Natty najwyraźniej też była tego zdania i nachyliła się w moją stronę nad ciałem ojca.

– Wiesz, co to oznacza – wyszeptła z zupełnie niepotrzebną szczerością. – Chce, żebyś odnalazł mapę tej wyspy i wyruszył w podróż, by przywieźć do domu resztę skarbu. Można powiedzieć, że jest to prośba konającego.

Wraz z ostatnim zdaniem w jej głosie pojawiła się żalobna nuta. Zupełnie mi się to nie spodobało, bo zrozumiałem, jakie ma co do mnie plany. Ale ponieważ po prostu nie byłem w stanie oprzeć się jej entuzjazmowi, zatopiłem się na powrót w rozważaniach, że jest to niewykonalne z powodów praktycznych.

– Niby jak mam to zrobić? – zapytałem. – Jestem za młody. Nie mam statku i nie mam załogi, nie mówiąc już o pieniądzach. To z góry przegrana sprawa.

Na Natty te przeszkody nie wywarły najmniejszego wrażenia, ale nachyliła się jeszcze bliżej, aż poczułem jej oddech na twarzy.

– Mój ojciec wszystko sprokurował – powiedziała, a potem znów się wyprostowała, jakby to ułatwiało sprawę.

– Co masz na myśli, mówiąc „sprokurował”?

– Ma statek. I załogę. I kapitana. Wszystko zostało opłacone.

Byłem zaskoczony, ponownie miałem wrażenie, że moja przyszłość została w arogancki sposób zaplanowana bez mego udziału.

– Pozostaje tylko – dodała Natty, uśmiechając się jak kot – żebyś wyznaczył nam kurs.

– Nam? – zapytałem.

– Ja też popłynę – powiedziała Natty. – Będę plenipotentem mego ojca.

Miałem nadzieję, że to powie, choć nie wierzyłem do końca, że tak się stanie, w wyniku czego moja porażka przyniosła wielką ulgę.

– Przypuśćmy, że bym popłynął – odparłem, wzruszając ramionami, co, jak miałem nadzieję, sprawi wrażenie, że jestem całkowicie obojętny – w takim razie ja byłbym plenipotentem mego ojca. To to samo.

Powiedziawszy to, podniosłem się z leżanki i odszedłem parę kroków, kierując się w stronę okna, bym mógł ukoić swe myśli. Miałem bardzo poważny dylemat. Gdybym odmówił, zostałbym wyproszony ze Spyglass i nigdy więcej nie zobaczyłbym Natty – i znaczyłoby to, że dobrowolnie zrezygnowałem z



przygody życia. Gdybym przyjął propozycję, zdradziłbym swego ojca i całkowicie straciłbym dobre mniemanie o sobie.

Kiedy wcześniej w moim życiu stawałem przed jakąś sporną kwestią, zawsze mogłem prosić innych o pomoc w znalezieniu rozwiązania. Teraz musiałem zdecydować sam – w całym pomieszczeniu rozbrzmiewał tylko jeden odgłos. Nie był to bynajmniej ludzki głos, lecz dziwne ciche kłapanie dziobem dobiegające z klatki Kleksa, który zachowywał się, jakby łapał muchy.

Zignorowałem to i stałem odwrócony do niego plecami, wpatrując się w rozciągającą się poniżej panoramę miasta – Tower z ciemną Bramą Zdrajców wystawała znad powierzchni wody, wielka kopuła Świętego Pawła unosiła się nad beładnymi miejskimi ulicami, a rzeka wiła się wśród tego wszystkiego, nabierając tężyzny na wschodzie i niknąc przy Rotherhithe, w kierunku mojego domu i otwartego morza, które rozpościerało się za nim. Kiedy spojrzałem przez to okno, ponownie wydało mi się, że wiatr napierający na szkło bije wprost w moją twarz, a skrzypienie drewna równie dobrze mogło być skrzypieniem pokładu statku pod moimi stopami.

Nie odrywając wzroku od rozgrywającej się na moich oczach sceny, dałem panu Silverowi i Natty moją odpowiedź.

## Rozdział 6

# Barwna kobieta

Po przekazaniu mojej decyzji, która czyniła ze mnie w jednym tchnieniu zdrajcę oraz wolnego człowieka, spodziewałem się, że pan Silver rozpostrze ramiona i jeszcze raz obdarzy mnie ojcowskim uściskiem. Ale jego jedyną reakcją było otwarcie tych mlecznych oczu, zwrócenie ich w stronę Natty, jakby naprawdę był ją w stanie zobaczyć, i lakoniczny, skryty uśmiech. Podejrzewałem, że oznaczał: Nigdy w niego nie wątpiliśmy, prawda, córeczko?

Natty pogładziła go po dłoni, a potem stanęła obok mnie przy oknie. Teraz, kiedy światło padało bezpośrednio na nią, zauważyłem kilka kropelek potu na jej nosie i nad górną wargą. W dziwny sposób przyniosło mi pocieszenie to, że lękała się bardziej, niż chciała przyznać.

– Mój ojciec jest bardzo ukontentowany – powiedziała miękkiem półgłosem. – Zobacysz go ponownie, kiedy wrócimy tu z mapą. Ale na razie powinniśmy odejść, by wypoczął, bardzo go wymęczyliśmy.

Chciałem zaprotestować, mówiąc coś o skutkach tej mojej wewnętrznej batalii, które były większe, niż przypuszczali, i o tym, że sam zasługuję na pocieszenie. Ale pomyślałem, że zabrzmiałoby to bezdusznie. Poza tym wiadomość, że Natty wróci ze mną do Hispanioli, przyćmiła moje wszelkie inne wątpliwości.

– Kiedy wyruszamy? – zapytałem, starając się nadać memu pytaniu całkowicie obojętny ton.

– Teraz – odparła – by dotrzeć na miejsce przed zachodem słońca.

– Nie – uściśliłem – kiedy wyruszamy na wyspę?

– Och – rzuciła nonszalancko. – Jutro. Pojutrze. Kiedy zawieją pomyślne wiatry. Wszystko jest gotowe.

– To rozumiem – odparłem. – Ale czy aby na pewno znasz załogę? Czy to dobrzy ludzie? A statek, czy statek jest odpowiedni? – Nie zadawałem tych pytań dlatego, że niepokoił mnie pośpiech, z jakim zostałem w to wciągnięty. Chciałem upewnić się, że ludzie wybrani przez pana Silvera należą do późniejszego, bardziej przyzwoitego etapu w jego życiu. Mówiąc wprost, musiałem wiedzieć, że to nie są piraci.

Natty najwyraźniej uważała, że przesadzam.

– Tak, i na drugie pytanie również tak – odparła z lekkim zniecierpliwieniem. – To dobrzy ludzie, szczególnie kapitan. No i statek też jest odpowiedni. Nie ma powodu do niepokoju, przynajmniej jeśli chodzi o ludzi i sprzęt.

– Co masz na myśli?

Natty położyła mi dłoń na ramieniu – poczułem jej ciepło przez materiał rękawa.

– Świat jest bardzo duży, tylko to chcę powiedzieć. Jest pełen trudnych do przewidzenia niebezpieczeństw.

Ta uwaga zamiast mnie zaniepokoić, przyniosła ukojenie; przypomniła mi, że mogę polegać na uczciwości Natty, nawet jeśli mogłem czasem kwestionować jej wiedzę i doświadczenie. Zachęcony tym postanowiłem być z nią równie szczery, mówiąc:

– A jeśli nie będę w stanie odnaleźć mapy... albo nawet jeśli ją odnajdę, lecz z jakichś powodów nie będę mógł jej zabrać?

– Odnajdziesz ją – powiedziała Natty z dziwnym, beznamiętnym naciskiem. – Ale przecież ty już wiesz, gdzie ona jest, i wiesz, że ją zabierzesz. To dla nas jedyne wyjście.

Mówiąc to, opuściła dłoń, nagle zrobiła się dziarska i wyraźnie rozbawiona.

– Lepiej już ruszajmy – powiedziała, wskazując ruchem głowy na coś z tyłu, żebym również zrozumiał dowcip.

– Co? – zapytałem. – Co jest?

Nie odpowiedziała; szybko przeszła na drugą stronę pokoju i pożegnała się z Kleksem, przesuając koniuszkami palców po prętach klatki, a potem pocałowała ojca w czoło, zaciskając mocno powieki.

Starzec ledwo się poruszył. Zrozumiałem, że w końcu usnął, i kiedy Natty odsunęła się, stanąłem na jej miejscu, by spojrzeć na niego raz jeszcze. Stłamszone ciało przypominało szmacianą lalkę w łańchmanach – cała energia gdzieś uleciała. Ale kiedy popatrzyłem na jego twarz, poczułem ukłucie strachu. Pod woskowymi powiekami oczy pana Silvera poruszały się ze zdwojoną energią, jakby szukały swojej ofiary, a cienkie usta otwierały się i zamykały, jakby wydawały rozkazy i miotały przekleństwa. Myślę, że gdybym patrzył na niego nieco dłużej, zaczęłyby mi świtać w głowie różne myśli, których wcześniej nie ośmieliłbym się nawet dopuścić do głosu.

To zmieszanie zniknęło – czy raczej zmieniło swój charakter – kiedy Natty wyprowadziła mnie z tego pomieszczenia i powiodła schodami w dół, gdzie po pokonaniu kilku podestów oddzielających kolejne fragmenty schodów, usłyszałem ten sam śpiew, który wcześniej przykuł moją uwagę, gdy wspinaliśmy się do pokoju pana Silvera. Głos stał się teraz nieco cichszy i słychać w nim było dużo wyraźniej dojmującą tęsknotę.

*W Niebiosach Król, Maryi Syn*

*Wziął mnie za żonę, co Jego to moje,*

*Uniesienia miłości tej sławił mój rym,*

*A spize rajskiej bramy pękły na dwoje.*

Kiedy dotarliśmy do drzwi, skąd śpiew słychać było najlepiej, Natty zatrzymała się i zapukała. Rozległo się gwałtowne szuranie, a następnie drzwi otworzyły się wolno i ukazała się w nich duża, czarna kobieta. Była koło sześćdziesiątki i miała długie, siwe włosy splecione mocno w dwa warkocze. Nosila białą suknię składającą się z tak wielu różnych warstw materiału, iż zdawało się, że spowija ją chmura. Na jej twarzy widziałem przebłyski światła, które niegdyś z niej emanowało, ale teraz była zbyt ciężka, by nazwać ją piękną.

– Moja matka – powiedziała Natty z kpiącym ukłonem, co dowodziło, iż ich stosunki były dość absurdalne, a przynajmniej dziwne. Mówiąc szczerze, odczuwałem wyłącznie ciekawość. To była ta sama barwna kobieta, która pojawiała się w opowieściach mego ojca – kobieta, z którą pan Silver dzielił życie w Bristolu i do której z całą pewnością powrócił po swym wygnaniu w Ameryce Łacińskiej. Podobnie jak jej mąż, była postacią z baśni, która nagle ożyła.

Pani Silver spoglądała na moją wyciągniętą rękę, jakby nie znała podobnych ceregieli. Prawą dłoń przyciskała do piersi, która falowała w szybkim rytmie. Kiedy zerknąłem w głąb pokoju, zrozumiałem dlaczego. Cała jedna ściana jej sypialni była wielką kapliczką, gigantyczną płytą połyskliwego metalu, do której przymocowano rozmaite haki i świeczniki z mnóstwem świec. Wszystkie rzucały żółte światło na stół, na którym stała jeszcze większa ich liczba – otaczając misterny srebrny krucyfiks zdobiony w postaci zachodzących na siebie poskręcanych zwierząt, uwiecznionych w dziwnym płasie. Pani Silver modliła się i najwyraźniej zabrakło jej tchu, ponieważ kiedy jej przeszkodziliśmy, leżała wyciągnięta przed ołtarzem.

Zastanawiałem się, dlaczego Natty nie była bardziej powściągliwa. Otrzymałem odpowiedź, kiedy pani Silver doszła do siebie i w końcu uściśnęła moje dłonie swoimi, dziwnie ciepłymi i wilgotnymi. Nie uważała nas za intruzów, bo nie leżało to w jej naturze – zdawała się równie nieskomplikowana w swojej życzliwości, jak jej mąż w przebiegłości.

– Master Jim! – wykrzyknęła, przeciągając głoski jak wszyscy mieszkańcy Zachodniego Kraju. – Natty mówiła mi, że pan przyjdzie. Niech pan wejdzie, kochaneczku, zapraszam do środka... – i zanim zdążyłem się zastanowić, otoczyła mnie ciężkim ramieniem, drugim obejmując Natty, a następnie wciągnęła do pokoju w stronę przedpotopowej kanapy, w którą zapadła się zamasyście, nie wypuszczając nas z objęć i nawet na chwilę nie przestając mówić.

Paplała o Barbadosie (miejscu swego urodzenia), o portach, żegludze morskiej, tuńczykach, soli, kojach, starych ciasteczkach, sztormach, fosforescencji, świetle gwiazd, świetle słonecznym, pływaniu z wiatrem, zapachu kiełkującej roślinności, rzece Severn oraz wspaniałym starym porcie Bristolu, które to tematy rozpoczynała, po czym je porzucała, wioząc nas w tym słowotoku ze swojej ojczyzny do Anglii wraz z jej młodym mężem. Dalszą wyprawę na Wyspę Skarbów pominęła, wspominając tylko, że był to „rejs”, podczas którego była sama dłużej, niż się spodziewała, ale dało jej to możliwość zajęcia się Spyglass. Chciała, żebym uwierzył, iż od powrotu męża do domu pracowali razem w spokoju i szczęściu, „błogosławieni przybyciem na świat naszego aniołka” (na które to słowa uściśnęła nas ze straszliwą siłą) – choć teraz ich szczęście w życiu przyćmiewa zły stan zdrowia jej męża.

I kiedy pojawił się ten smutny temat, pani Silver zwielokrotniła swoje wysiłki, by zachować pogodę ducha.

– To dzięki Jezusowi – oznajmiła, czy raczej powinienem powiedzieć wyśpiewała, gdyż zakłęła imię Zbawiciela w długą, czystą nutę.

– Dzięki Jezusowi wciąż możemy liczyć na błogosławieństwo i patrzeć z nadzieją w przyszłość, jaka będzie nam jeszcze dana.

Ta przemowa trwała kilkanaście minut i przez większość czasu wbijałem wzrok w ołtarz przed sobą. Widziałem, że został zręcznie wykonany w taki sposób, aby nieregularności powierzchni odbijały światła świec pod zupełnie niezwykłym kątem. Ciężkie kotary zakrywające wszystkie okna w pomieszczeniu oraz pozostałe ściany obwieszane ciemnymi szalami i różnymi innymi zasłonami dopełniały obrazu niezwykle skoncentrowanej pobożności – a ponadto znacznego niebezpieczeństwa, gdyż najmniejszy nawet podmuch wiatru rozniósłby płomień tak, że wszystko stanęłoby w ogniu.

To zagrożenie sprawiało, że starałem się siedzieć nieruchomo. Pani Silver natomiast drżała, dygotała i trzęsła się podczas swej tyrady, stopniowo utwierdzając mnie w przekonaniu, że spajała się w jedności z otoczeniem, szczególnie z ołtarzem, łącząc w sobie religijną wiarę z całkowitą beztróską. Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej robiło mi się nieswojo. Początkowo, poznając ją po dziwacznym doświadczeniu z jej mężem, poczułem coś na kształt ulgi. Po chwili jednak byłem mocno zdziwiony, że dwójka tak różnych od siebie osób mogła stanowić zgodne stadło. To uczucie przeszło w spekulacje, czy ta uprzejmość nie jest też pewną formą tyranii – jej opowieść miała nas zabawić, ale była też próbą przejęcia kontroli. Ta ewentualność w miarę rozwijających się opowieści stawała się coraz bardziej przekonująca, wraz ze wzmacniającym się uściskiem na naszych ramionach, toteż miarowo, lecz nieubłaganie stawaliśmy się bardziej jej więźniami niż tylko słuchaczami.

Dla Natty, która musiała wysłuchiwać tych opowieści nieskończoną ilość razy, ten areszt był szczególnie nużący. Tak więc w taki czy inny sposób – kiedy jej matka rozpoczęła kolejny rozdział dziękczynny dla Jezusa za świetlaną, błogosławioną przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, postanowiłem wyzwolić nas z tej niewoli.



– Pani Silver – zacząłem głośno, wykręcając się spod jej ramienia i stając energicznie na nogi. – Natty i mnie czeka sporo pracy, którą musimy zacząć od zaraz.

Efekt był błyskawiczny i znacznie lepszy, niż podejrzewałem. Cała euforia przepełniająca panią Silver, cała energia i przekonanie uciekły z niej niczym powietrze z przekłutego balonu.

– Sporo pracy? – odezwała się słabym głosem w całkowitym osłupieniu.

– To jest zadanie – brnąłem dalej – zadanie powierzone nam przez męża pani.

Teraz w pani Silver nastąpiła kolejna przemiana, jakby zeszywniała po niedawnym wypuszczeniu powietrza. Splotła ramiona na piersi, a rozczarowanie zmroziło jej twarz. Pomyślałem sobie wtedy: zdenerwowałem ją, przerywając jej w pół zdania.

Ale kiedy się znów odezwała, uświadomiłem sobie, że przynajmniej częściowo obiektem irytacji był jej mąż; albo dlatego, że go nie rozumiała, albo dlatego, że bardzo nie podobało się jej to, co tkwiło w jego umyśle.

– Znam pana zadanie, panie Jimie, znam pana zadanie – powiedziała ze śpiewną nutą w głosie, obecnie bardzo złowieszczą. – Ale czy jest to zbożne dzieło, czy diabelskie, to już zupełnie inna kwestia. Jesteście dziećmi światła, dziećmi dnia, nie nocy, nie ciemności.

Pani Silver rozplotła ramiona i położyła dłonie na kolanach, po czym, dla podkreślenia swego zdania, patrząc na nas złym okiem, dodała wyzywająco: „Pierwszy list do Tesaloniczan, rozdział piąty, wers piąty”.

Na to Natty również wstała i odsunęła się od matki – zerkając niepewnie to na nią, to na mnie. Pani Silver zignorowała ją.

– W takim razie idź wypełnić swoje zadanie – ciągnęła. – Idź wypełnić swoje zadanie, kawalerze. Wróć, kiedy będzie po wszystkim i będę mogła stwierdzić, czyje dzieło wypełniłeś. A ty, moja panno – obrzuciła córkę spojrzeniem, w którym nie było ani krzty matczynej miłości, lecz jedynie zawiść i pogarda – idź z młodzieńcem i wykonaj polecenie ojca. W końcu zawsze to robisz.

W całym zamieszaniu, przy tych wszystkich świecach odbijających się na tak wielu płaszczyznach, niemożliwym było dostrzec, jaki efekt jej tyrada wywarła na Natty. Pozornie zachowywała spokój, wyciągając pomocną dłoń w stronę matki. Ale – i chyba sobie tego nie wymyśliłem – jej twarz poczerwieniała, a w oczach zapłonął dziwny żar przypominający raczej tłące się węgle niż otwarty płomień.

Po chwili przygasł, a pani Silver podniosła się z trudem z siedzenia. Bez względu na to, czy zauważyła zmieszanie Natty, chciała wreszcie zakończyć naszą audiencję. Choć sam nie miałem doświadczenia w obcowaniu z matkami, uderzyło mnie jej wybitnie nieprzychylnie zachowanie. Gwałtowne zmiany w temperaturze nastrojów oraz okazywana teraz bezwzględność mogły zagrozić szczęściu każdego dzieciństwa. Przy takim ojcu i przy takiej matce ten rodzinny statek mógł dryfować wyłącznie w stronę wielkiej rafy.

Nie miałem czasu na roztrząsanie tego typu kwestii, gdyż pani Silver nagle zrobiła się niezwykle oficjalna, przeganiając nas ze swego pokoju, jakbyśmy byli niesfornymi kurczakami, a poły jej sukni z szelestem szurały po podłodze, przez co płomień świec zadrgały jeszcze gwałtowniej. Kiedy stanęła przy drzwiach, nie padło ani słowo pożegnania, ani błogosławieństwo na drogę; emanowała jedynie zaciętą determinacją, by pozbyć się nas ze swojego otoczenia – jakby przypominała sobie nagle o niezwykle ważnej sprawie, dużo ważniejszej od tego, co przedstawiały sobą nasze plany.

Moja gwałtowna chęć opuszczenia tego domostwa była równie przemożna. Nie czekałem nawet na Natty i pospiesznie ruszyłem w dół schodów, minąłem półpiętro obok sali szynku, a potem ostatni odcinek prowadzący na zewnątrz. Do chwili, w której mnie dogoniła, radowałem się swoją samotnością. W ciągu ostatnich kilku godzin przywykłem do tego, że inni znają moją przyszłość, więc świadomość, iż

mogę wciąż odrzucić propozycję pana Silvera wraz ze wszystkimi jej konsekwencjami, była niemal obezwładniająca. Powtarzałem sobie w myślach, że najprościej byłoby wtopić się w jeden z tych bocznych zaułków, odnaleźć drogę do domu, do Hispanioli, i ignorować wszelkie dalsze wizyty i polecenia ze Spyglass.

Owszem, tak byłoby najłatwiej, ale wówczas wydawało mi się to też niemożliwe, ponieważ wszystkie moje więzy lojalności łączące mnie z ojcem, cały mój instynkt odpowiedzialny za bezpieczeństwo, wszystko to było niczym w porównaniu z siłami działającymi przeciwko nim. Mówiąc bez ogródek: Natty zaczarowała mnie o wiele silniej i nie mogłem jej zbyć. Im większe były moje wątpliwości na temat jej rodziców, tym bardziej uważałem ją za ofiarę – więźnia ich gwałtowności i ekscentryczności. Moc, którą miała nade mną, oraz pragnienie zadowolenia jej okazały się jednak tak przemożne, iż nie potrafiłem uratować jej przed knowaniami ojca – ale raczej pogodziłem się z nimi. Teraz wiem, że moje rozumowanie było mocno kazuistyczne, i nie jestem w stanie go pochwalać. Wtedy jednak poczułem zadowolenie, gdyż wierzyłem, że moja zdrada wobec własnego ojca nie jest aktem egoizmu, a jedynie przysługą, jaką mu wyświadczam.

Kiedy Natty wyłoniła się z ciemności za moimi plecami, na jej twarzy znów widziałem radość – rozświetlony wzrok i usta wygięte w kocim uśmiechu. Taka dzielna postawa potwierdzała wszystkie moje myśli. Nie byłem zdrajcą, lecz zbawcą.

## Rozdział 7

### W dół rzeki

Nie będę tu przytaczał szczegółów naszej drogi powrotnej do Hispanioli, powiem tylko, że rzeka, której prąd zmienił się dwukrotnie, bardzo utrudniła nam dotarcie do miejsca przeznaczenia. Kiedy wiosłowaliśmy ile sił w gasnącym świetle dnia, czułem, że jesteśmy sobie niezwykle bliscy. I nie mówię tu wyłącznie o potwierdzeniu mojej chęci wykradzenia mapy, ale również o konieczności połączenia sił, wzajemnej pomocy, aby wypełnić nasze zadanie. Wiosła głośno pluskały, niosąc nas przez wodę, bolały nas plecy i ramiona. Pocieszeniem były dla mnie światła statków i łodzi wokół nas (w o wiele mniejszej sile niż za dnia), którym moja wyobraźnia kazała mrugać do nas niczym współnikom w naszym spisku. Ścieżkę holowniczą przemierzali mężczyźni i kobiety ze spuszczoneymi głowami, zatopieni we własnych sprawach, co tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że jesteśmy dla reszty ludzi całkowicie niewidzialni.

Choć było to pod pewnymi względami dość uciążliwe dla Natty, okoliczności sprawiły, iż zaczęła bardziej swobodnie mówić o swoich rodzicach. Kiedy przepływaliśmy przez Rotherhithe, zmagając się z rozszerzającym się odcinkiem do Greenwich, powiedziała mi, że zły stan zdrowia pana Silvera i religijność jej matki, które to cechy mogły bez problemu połączyć ich w związku pacjent-opiekunka, w rzeczywistości pchnęły ich ku dwóm osobnym bytom, jego na bocianim gnieździe domu, a ją na środkowym pokładzie. To Natty zajmowała się ojcem, a matka wzięła na siebie obowiązek prowadzenia gospody.

Na tym etapie znajomości nie chciałem naciskać na Natty, by opowiadała mi ze szczegółami o swoim życiu, ponieważ moje pytania, choć wynikały wyłącznie z troski, mogły z łatwością ją zranić. Takich zahamowań nie miałem natomiast, rozmawiając o naszej przygodzie – dlatego też, kiedy na chwilę wyczerpaliśmy temat jej ojca, zapytałem:

– Przypuśćmy, że znajdziemy skarby i bezpiecznie powrócimy do domu. Co będziesz chciała robić później? Czego oczekujesz?

Spodziewałem się natychmiastowej odpowiedzi, ale Natty zaskoczyła mnie swoim posępnym głosem:

– Raczej nie wrócę do domu – odparła.

– Nie wrócisz do domu? – powtórzyłem, spoglądając na wąskie poletka, które teraz pojawiły się po obu brzegach rzeki.

– Nie, nigdy nie wrócę do domu.

– Masz na myśli to, że nie przeżyjesz?

– Och – westchnęła z pewną ulgą, choć wciąż była czujna. – Spodziewam się, że jednak przeżyję. Chodziło mi o to, że nie wrócę do Anglii. Widziałeś, jak wygląda moje życie tutaj.

Zachęciło mnie to do wysnucia wniosków, które mogły ją urazić, odpowiedziałem więc dość wykrętnie:

– Obydwoje mamy zawiedzione marzenia w życiu.

– Moje życie to coś więcej niż zawiedzione marzenia – odparła Natty z tą samą aurą braku wątpliwości, która towarzyszyła wszystkim naszym rozmowom. – Ta przygoda pozwoli mi przynajmniej zakosztować nieco wolności.

Wziąłem jej wyznanie za dobrą kartę i zachęciłem, by powiedziała mi coś wprost.

– Czy twój ojciec o tym wie? – zapytałem.

– A czy mój ojciec wie cokolwiek? Majaczy, słyszałeś go. Wie wszystko o przeszłości i nic o teraźniejszości. Może twój jest taki sam?

Energicznie potwierdziłem jej przypuszczenia i Natty ciągnęła:

– Mówi o tym, jak się zmienił, i to, pod pewnymi względami, prawda. Już nie jest piratem. Jest szanującym prawo gentlemanem, tak długo, jak pozostanie na tym świecie. Ale nie potrafi zmienić się całkowicie, ponieważ nie może zapomnieć o wyspie. Musi mieć tę waszą mapę. Musi mieć mapę i musi mieć swoje srebro.

– Cóż – powiedziałem nieco bez sensu, ponieważ mój umysł wciąż trzymał się kurczowo spraw praktycznych. – To przynajmniej powinno znaczyć, że skrzyknął nam odpowiedzialną załogę.

Natty pokiwała głową i pomimo gęstniejącej ciemności zobaczyłem, że spiekła raka – co, jak podejrzewałem, miało bardziej związek z tematem naszej rozmowy niż z wysiłkiem związanym z wiosłowaniem.

– Nie mamy takich samych doświadczeń związanych z naszymi ojcami – rzuciła cicho. – Mogę cię o tym zapewnić. Poznałam tę załogę i ich kapitana. To są dobrzy ludzie, szczególnie kapitan Beamish.

– Znasz ich wszystkich?

– Powiedziałam, że ich poznałam. Wszyscy członkowie załogi zostali wybrani przez kapitana. Znam tylko jego. Ale zapewniam cię, że będziemy w dobrych rękach. Mój ojciec bardzo pragnie tego skarbu.

– Ale w jaki sposób go dostanie, skoro ty nie wracasz do Anglii? – Już zanim zadałem to pytanie, znałem odpowiedź Natty. Powie mi, że kiedy tylko odnajdzie srebro, wyśle je do domu z kapitanem Beamishem, a potem weźmie stery swego życia we własne ręce i pożegluje w innym kierunku.

Nie mogłem stwierdzić, co to oznacza dla mnie. Ta niepewność leżała o wiele głębiej niż wszystkie inne niepewności. Ponieważ nie chciałem teraz o tym rozmyślać, poczułem ulgę, kiedy Natty pograżyła się w milczeniu, i przez dłuższą chwilę słyszeliśmy wyłącznie plusk wioseł bijących w wodę. Moje pytanie szybowало przez chwilę po jej powierzchni niczym liść, po czym zniknęło nam z pola widzenia.

– Oczywiście – odparła Natty po chwili dość ostro, co świadczyło o tym, że zmienia temat – nie będę żeglować pod swoim nazwiskiem.

Spojrzałem na nią bezmyślnie.

– Będę tam – powiedziała Natty. – Będę z tobą. Ale pożegluję jako chłopak. To pomysł mojego ojca, dla bezpieczeństwa. Kapitan Beamish wie, kim jestem, ale załoga poznała mnie jako Nata.

– Nata? – powtórzyłem z uśmiechem na twarzy.

Natty uniosła brwi, udając, że w ogóle jej to nie bawi.

– Przecież nie mogłabym płynąć jako dziewczyna. – powiedziała. – Tak sędzę. I tak też uważa mój ojciec. Nie pozwoliliby na to nasi załoganci. A gdybyśmy na przykład wpadli w jakieś tarapaty... Tak jest lepiej.

Zapewniłem, że doskonale ją rozumiem, ale w rzeczywistości moja reakcja była nieco bardziej skomplikowana, niż dałem po sobie poznać. Poczulem irytację, gdyż nie konsultowano tego ze mną, a tym samym nie miałem żadnego wpływu na jej decyzję. W dodatku uświadomiłem sobie, że z przebraniem Natty wiąże się konieczność nieokazywania uczucia, które być może zakwitnie między nami podczas podróży – choć jak dotąd nie byłem skłonny rozwijać tego tematu.

– Doskonale – rzuciłem pospiesznie, idąc za jej przykładem. – Dziś wieczór jesteś Natty. Jutro będziesz Natem. I tylko tyle można powiedzieć na ten temat. Ale mam jeszcze jedno pytanie.

Natty uniosła jedną brew, która wygięła się w piękny łuk.

– Czy załoga będzie wiedziała, kim ja jestem?

– Pytasz, czy będą wiedzieli, że jesteś synem swego ojca?

– No właśnie.

– Jedynie kapitan. – Natty zamilkła. Uwielbiałem to, jak naturalnie przyjmowała moją zgodę za pewnik. A następnie, z nowymi pokładami pewności siebie, kontynuowała: – Uważaliśmy, że tak będzie najlepiej. Członkowie załogi nagabywaliby cię, żebyś im ciągle opowiadał o przygodach swego ojca, a już mówiłeś, że nie sprawia ci to przyjemności.

– Bardzo dobrze – odparłem, wiedząc, że mówi najszczerzą prawdę. Moją nagrodą za taki stopień zrozumienia był najśłodszy z uśmiechów Natty, a kiedy zniknął, zamilkliśmy, by dokończyć wspólną pracę.

Mówiłem, że dotarliśmy na miejsce stosunkowo łatwo, przez co chciałem powiedzieć, że nasza rozmowa mogła się płynnie toczyć. W rzeczywistości dużo więcej czasu zabrał nam powrót niż droga do miasta. Być może z powodu zmęczenia. Ale najpewniej dlatego, że czułem wstręt do zbrodni, którą miałem za chwilę popełnić – po części z szacunku dla ojca, a po części ponieważ obawiałem się nakrycia na gorącym uczynku. Tak czy inaczej, kiedy minęliśmy Greenwich (mniej więcej około dziewiątej wieczorem, jeśli wierzyć kościelnym dzwonom w mijanych wioskach), zaczęliśmy pokonywać ostatnie załomy rzeki, w których rozpoznałem okolice domu. Księżyc wspiął się na niebo i pierwsze gwiazdy zamigotały nad mokradłami.

Ponieważ wiedziałem, że mój ojciec obsługuje klientów do północy i z pewnością zauważy mój powrót lub ktoś go o tym poinformuje, wraz z Natty nie mieliśmy specjalnego wyboru i musieliśmy się na chwilę gdzieś przyciąć. Zasugerowałem więc, że przycumujemy w zatoczce nieopodal Hispanioli i poczekamy, aż w gospodzie zapadnie cisza. Miejsce, które znaleźliśmy, było właściwie wodnym zaułkiem, wybranym na nocne obozowisko przez kilka mew – awanturowały się bardzo głośno, kiedy dziób Spyglass wyłonił się z głównego nurtu rzeki i przegonił je stamtąd.

Rwetes ucichł, zastąpiony przez odgłosy szmerów i bulgotania – codziennych rozmów na mokradłach. Przyjąłem to z ulgą, gdyż w moich uszach były to naturalne dźwięki ziemi, ale też przypominały mi wszystko to, co miałem niebawem zdradzić. Próbowałem wyciszyć te ukłucia sumienia, utrzymując ciągły strumień rozmowy z Natty – oczywiście szeptem, żeby nie zanikło w nas poczucie uczestniczenia w spisku.

Nasza rozmowa zawiodła nas od najwcześniejszych wspomnień (z unikaniem tematu matek i ojców) do lat szkoły, do zawiłości łaciny i nadziei (na szczęście), lęków (u niej przed robakami, a u mnie przed bardziej abstrakcyjnymi zagrożeniami, takimi jak porażka), do dnia urodzin, do potraw, które lubiliśmy (wołowina), do tych, których nie lubiliśmy (twarde suchary), do gwiazd i księżyca, który świecił nad nami jasnym światłem i mógł być bramą do innego świata całą ze światła, znów do dni w szkole i ulubionych nauczycieli, do książek (który to temat był Natty obcy, bo mówiła, że są nudne) i tak dalej. Od czasu do czasu zbliżał się do nas jakiś ptak, ale przestraszony naszą obecnością leciał dalej. Rzeka była w większości opustoszała – choć czasami pojawiały się cicho sunące po niej barki z lampami na dziobie i rufie, a ich żagle i kadłuby połyskiwały przepiękną barwą matowego węgla. Chłupot wody o ich dzioby był niczym odgłos samego snu. Wszystkie te zjawiska pomagały odgonić mój smutek. Gdyby nie zaczęło się robić coraz chłodniej, z pewnością powieki by się nam zamknęły i tak zostalibyśmy oparci o siebie, wracając do naszych plotek dopiero o brzasku.

Obliczyłem, że północ już minęła, kiedy ostatni z klientów mego ojca wyszedł chwiejnym krokiem z Hispanioli i powlókł się do domu ścieżką holowniczą. Wiedzieliśmy o tym, bo słyszeliśmy bełkotliwe pożegnania oraz kilka zwrotek śpiewanej przez gościa, niknącej w oddali piosenki.

*Dobrej nocy, druhowie, i wam, piękne panny,  
Swym blaskiem cny miesiąc prowadzi zachłanny*



*W nieznane krainy, gdzie łacniej miłować,  
Gdzie hen, tam za morzem, nie trzeba pracować,  
We śnie i na jawie, stąd wiedzie ten trop,  
Choć żaden, jak żyję, nie stanął tam chłop.*

Gdy wybrzmiały ostatnie słowa owej piosenki, zapadła głucha cisza, nabrzmiała w pustce niczym fala czarnej wody. A jednak zamiast podtopić, ochlapała mnie tak, że otrzeźwiałem w jednej chwili, odzyskując władzę nad zmysłami, a mój umysł skoncentrował się na zadaniu. Wszystko, co wcześniej robiłem – całe to moje czytanie, a szczególnie czas poświęcony na studiowanie stworzeń na świecie – zdało mi się przygotowaniem do tej właśnie chwili. Natty nie musiała mi wcale życzyć szczęścia. Odczekałem jeszcze kilka chwil, wyobrażając sobie, jak ojciec idzie na górę i zapada w sen, po czym dotknąłem jej ramienia i wyszedłem z łodzi. Ona natomiast nie odezwała się słowem pełnym otuchy; powiedziała tylko to, co najbardziej pragnąłem usłyszeć:

– Zaczekam tu na ciebie.

To niezwykle dziwne doświadczenie, stanąć tak przed domem z dzieciństwa i nie poznawać go. W moim przypadku wrażenie rozłamu było jeszcze bardziej wstrząsające po tych ostatnich kilku godzinach, podczas których Natty i ja zabawialiśmy się opowiadaniem historii naszego życia. Kiedy wśliznąłem się przez boczne drzwi do domu, dobrze znana, zakrzywiona klamka oraz skrzypienie zamka były dla mnie jedynie suchymi faktami.

To uczucie obcości pogłębiło się jeszcze, kiedy wszedłem głębiej. Jasny kamienny szynkwias naznaczony plamami księżycowej poświaty, drzwi do komory z metalową kratą w głównym panelu, wytarte wgłębienie w czerwonych ceglach progu do korytarza nagle stały się ciekawostkami, przestając być osnową mej egzystencji. Ruszyłem dalej – wręcz płynąłem, można powiedzieć, ponieważ czułem się równie ulotny jak zjawy z bagien. Na górę wąskimi schodami. Wzdłuż korytarza, gdzie niewzruszenie przyglądały mi się oblicza myśliwych, ogarów i koni. W dół po trzech schodkach; środkowego należało unikać, gdyż skrzypiał pod ciężarem. I oto znalazłem się przed drzwiami sypialni ojca – które były uchylone – a odgłosy chrapania unosiły się w powietrzu niczym bąble na błotnej toni. Prowadziły mnie wprost do łóżnicy ojca, bez konieczności używania latarni, której płomień dogorywał teraz tam, gdzie ojciec ją postawił, a którą teraz ja po cichu podniosłem.

Kiedy uniosłem źródło światła, opanowało mnie poczucie wkraczania na obcy teren, bo nie pamiętam, kiedy po raz ostatni znalazłem się w sypialni ojca. Pewnie wówczas, gdy jeszcze jako dziecko, obudzony jakimś koszmarem, szukałem u niego pocieszenia. Moje wygnanie do szkoły w Enfield położyło kres takim wizytom i choć nie wypełniło ich potrzeby, wytworzyło między nami pewien chłód. Ten narastał miarowo za każdym razem, kiedy podczas wakacji przebywaliśmy razem. On miał swoją pracę w gospodzie, a ja miałem swoje życie na ślazach oraz nawyk zbieractwa i pasję botanika. Kiedy skończyłem naukę w szkole, stałem się dziennym służącym w szynku, i choć moje ciało przebywało w Hispanioli, umysł dryfował gdzie indziej.

Z tych właśnie powodów stałem teraz w jego sypialni niczym intruz, wdzięczny losowi za ten płomyk świecy. Pomyślałem, że ojciec trzyma swoje rzeczy zawsze w nienagannym porządku. Koszula i spodnie, które miał na sobie tego dnia, leżały złożone na drewnianej ławie, gotowe do założenia następnego ranka. Pojedynczy obraz na ścianie – rysunek statku na pełnych żaglach wpływającego do ujścia rzeki – wisiał dokładnie nad stojącym tu windsorskim krzesłem, w którym najwyraźniej siadał, by obserwować przez okno ruch statków na rzece poniżej domu. Dzban i miska stały na stoliku z marmurowym blatem w rogu pokoju, a ich biel wzmagała się tylko pod wpływem światła lampy. Wszystko w idealnym porządku,

wszystko bezbłędnie ustawione. Niczym w kajucie statku, pomyślałem, i to nie tylko dlatego, że przyszedł mi do głowy niski sufit pomieszczenia. Myślami byłem już na otwartym morzu.

U stóp jego łóżka stała kwadratowa czarna skrzynia zamknięta na najbardziej wymyślne starożytne urządzenie do zamykania. Skrzynia została przytargana dawno temu do Admirala Benbowa przez Billy'ego Bonesa i została tam, gdy Billy Bones spotkał się ze Stwórcą – a mój ojciec zatrzymał ją po powrocie z Wyspy Skarbów. W dzieciństwie zachęcał mnie, bym obdarzał tę skrzynię nabożną czcią, jakby zawierała relikwie, przy których całun naszego Zbawiciela był równie nieistotny jak kuchenna szmata. Ale w rzeczywistości nie tyle zawartość przyciągała moją uwagę, co sama skrzynia. Przesuwając drobnymi rączkami po zadrapanych deskach, dotykając wgłębień na żelaznych sztabach oraz inicjału B wypalonego na wieku rozżarzonego żelazem, czułem, że jestem w stanie prześledzić cały przebieg wypadków i dramatów znanych z opowieści ojca z o wiele większą dokładnością, niż mogły to przedstawić jakiegokolwiek słowa. Wciąż unosił się nad nią gryzący opar prochowego dymu z dział, odbijał się w niej błysk świszczącej stali, widniała na niej krew niegodziwców oraz czuć było urok ich pirackich waśni. Kiedy stanąłem przed nią teraz, postawiłem lampę na ziemi i położyłem otwarte dłonie na wypukłym wieku, jakby spodziewając się, że coś na kształt ciepła ludzkiego ciała dotknie mych palców.

Nie poczułem niczego poza kurzem i zimnem – to wrażenie zdało się również rozczarowujące dla mego ojca, bowiem nagle rzucił się niespokojnie, przerwał chrapanie, otworzył i zamknął usta w kilku głośnych mlaśnięciach, po czym znów zapadł w głęboki sen. Podczas tego zamieszania, kiedy jego głowa przekręciła się na poduszce, zobaczyłem ciemny szpagat wokół jego szyi z zawieszonym kluczem do skrzyni na końcu.

Do tego momentu mego najazdu, powtarzałem sobie, że jeśli ojciec się obudzi, powiem, że przyszedłem mu życzyć dobrej nocy i zameldować o swoim bezpiecznym powrocie z Londynu. Ale kiedy podkradłem się bliżej, a nocne wiatry coraz mocniej napierały na dom, powodując niespodziewane skrzypienie drewna, brzemień mego występku ciężko opadło mi na ramiona. Zbliżałem się do chwili, w której nie będzie już wymówek. Do momentu, w którym z marnotrawnego powracającego miałem się zmienić w marnotrawnego uciekającego.

Ta myśl zaatakowała mnie z taką bezwzględnością, że stanąłem jak wryty i przez całą minutę patrzyłem na ojca, jak leży nieznacznie oświetlony, w zupełnie nieświadomości. Przyjrzałem się jego twarzy i przerzedzającym się włosom na głowie. Zobaczyłem, jak usta drżą mu nieznacznie wraz z wydychanym powietrzem. Przyglądałem się załamaniom i krawędziom jego długich małżowin usznych, jakbym nachylał się nad jakimś trofeum, przyniesionym właśnie z mokradeł, które miało zasilić moją komnatę kuriozów.

To był mój ojciec. Mój ojciec, który jako chłopiec uczestniczył w większej przygodzie niż ja mógłbym w ogóle pomarzyć. Mój ojciec, który nigdy nie podniósł na mnie ręki. Mój ojciec, który dał mi wykształcenie i wszelkie związane z tym perspektywy, jakich on sam nigdy nie miał. Mój ojciec, który w honorowy sposób czczył pamięć mej matki. Mój ojciec, który wychował mnie w samotności i którego jedyną wadą było to, że oczekiwał ode mnie ciężkiej pracy i zbyt wielkiej lojalności wobec siebie. Gdyby tak nie było, można by powiedzieć, że mnie ignorował! Z ręką na sercu stwierdzam, że nigdy nie kochałem go mocniej niż w momencie swej zdrady.

Może to stanowić wyjaśnienie faktu, dlaczego moje palce wykonujące to, czego od nich oczekiwałem, zdawały się nie należeć już do mnie, lecz do jakiegoś nieznanego, który zawładnął moim ciałem. Litościwie nie musiały się wiele napracować – mój ojciec leżał teraz płasko na wznak, nocna koszula była rozpięta na piersi, a sznurek wisiał luźno na szyi, natomiast kluczyk zapadł się pod jego prawą pachę, gdzie leżał do połowy zagrzebany w czarne, wilgotne włosy. Wyłuskałem go delikatnie. Z

wyczuciem wymacałem szpagat, który zdawał się połyskiwać w skąpym świetle lampy i był ciepły od jego ciała. Z radością odnalazłem węzeł i chwyciłem zań zrećnie, starając się go poluznić...

I nie udało się. Węzeł był mocno zaciśnięty i nie niepokojony od wielu lat stwardniał, zbijając się w solidną kulkę. Wiedziałem, co muszę zrobić. Wiedziałem też, że jeśli się zawaham, obezwładni mnie strach i nie będę w stanie tego zrobić. Właśnie w tej chwili myśl o Natty wpadła do mej głowy niczym burza gradowa – o tym, jak noc wzdycha wokół niej, o tym, jak kpiłaby ze mnie niemiłosiernie, gdybym wrócił do Spyglass z pustymi rękami. Pojawiła się w moich myślach tak wyraźnie, że w gruncie rzeczy wydawało mi się, że to jej głowę unoszę, podkładając pod nią dłoń. To mogła być też równie dobrze jej ciepła szyja, którą musnąłem swą dłonią, kiedy sięgając po szpagat i chwytając klucz między kciuk i palec wskazujący, zacząłem go ściągać.

W samym środku tej operacji mój ojciec jakby na chwilę przestał oddychać, otworzył szeroko oczy i popatrzył prosto na mnie. Stałem w bezruchu, odwzajemniając spojrzenie. Ale o ile moje oczy rozumiały, co widzą, jego były ślepe – czy też utkwione w jakimś przedmiocie, który siedział we mnie. Przez chwilę wstrzymywałem oddech, doświadczając nieprzyjemnego uczucia, że zostałem nakryty na gorącym uczynku. Był to krytyczny moment mej wizyty. Wiedziałem, że jeśli teraz upuszczę klucz, wrócę do dawnego życia. Mogłem też dokończyć dzieła – rzucając się w przygodę i niebezpieczeństwo.

Nie muszę mówić, co postanowiłem ani z jaką prędkością skończyłem pracę. Kiedy mój ojciec znów zamknął oczy, przełożyłem mu szpagat przez głowę (którą następnie położyłem delikatnie na poduszce) i odszedłem od łóżka, by przykucnąć obok marynarskiej skrzyni. Dzięki lampie moje zadanie było niezwykle proste.

Ku memu zaskoczeniu klucz wszedł do zamka niezwykle gładko i następnie płynnie się przekręcił z przyjemnym, metalicznym stukotem świadczącym o tym, że mój ojciec też go często używał z powodów, których nie chciałem teraz roztrząsać – a dla których zawartość skrzyni była dla niego ważniejsza, niż podejrzewałem. Wieko otworzyło się z bezgłośnym westchnieniem, roztaczając nieznaczną woń tytoniu i smoły, gdy oparło się o brzeg łóżka. Nachyliłem się, jakbym zaglądał w głąb studni; czułem, że w każdej chwili mógłbym stracić równowagę i runąć głową w toń.

Pamiętki zbierane w ciągu naszego życia przedstawiają przeważnie wielką wartość dla nas, innym wydając się zupełnie nieistotnymi. Tak samo było w przypadku ojcowej skrzyni skarbów. Wśród przedmiotów, które w niej znalazłem i podnosiłem do lampy, żeby im się bliżej przyjrzeć, znajdował się kwadrant, cynowy kubek, kilka lasek tytoniu, stary hiszpański zegarek, dwie busole w mosiężnej oprawie, pięć albo sześć dziwnych muszli z Indii Zachodnich, skórzana sakwa zawierająca monety (które, jak stwierdziłem, były pozostałością jego części skarbu z wyspy), pukiel brązowych włosów, splecionych i zwiniętych, zielony barwnik do powiek, różne notatniki wypełnione kolumnami cyfr, które pewnie były księgami Hispanioli, kilka elementów stroju włącznie z szarym szalem i parą rękawiczek w tym samym kolorze, kolejny skórzany pugilares z trzema, czterema mlecznymi zębami w środku, bardzo poręczny pistolet z przyczepioną do niego kartką, na której ktoś dziecięcym pismem nakreślił „broń wykorzystana do odprawy Izraela Handsa”, zapieczętowana koperta, na której ktoś napisał tą samą dłonią: „Czarna Plama, dana Billy’emu Bonesowi i Ślepemu Łapie, nie otwierać”, kilka gazet kruchych niczym pajęczyny, pusta pochwa, długi kiel jakiegoś zwierzęcia, na którym wydrapano podobiznę statku, i tam, gdzie się spodziewałem – na samym dnie skrzyni – niewielka sakwa z zielonego jedwabiu. Miała przyczepiony pasek z plecionej linki, żeby można było ją tak swobodnie nosić na szyi, jak mój ojciec nosił kluczyk, i została zamknięta przy pomocy wstążki związanej w zgrabną kokardę.

Od razu odgadłem, że sakwa zawiera to, po co przyszedłem – i nie zawiodłem się. Rzeczywiście, kiedy podniosłem ją do oczu i dotknąłem wstążki, materiał rozsypał się w proch i żółta kartka papieru w środku właściwie sama oddała się w moje ręce, nie musiałem jej wyciągać. Rozgorączkowany

przykleknałem i zbliżyłem kartę do lampy. Kiedy teraz to wspominam, wydaje mi się niezwykle, iż nie lękałem się, że mój ojciec może obudzić się w każdej chwili i wyzwać mnie od zdrajców. Ale nie bałem się. Mój instynkt samozachowawczy, podobnie jak i moje sumienie, całkowicie pochłonęła ciekawość.

W dawnych latach mapę bardzo często składano i rozkładano; była cała powalana odciskami wielu dłoni. A jednak wciąż była mocna, a rysunek bardzo wyraźny. Wyspa miała jakieś dziewięć mil długości i pięć szerokości oraz dwie przystanie i wzgórze w samym środku oznaczone napisem „Spyglass”. Było kilka dodatkowych oznaczeń najwyraźniej dopisanych później, ale przede wszystkim widniały tam trzy krzyże zaznaczone czerwonym inkaustem – dwa w północnej części wyspy, jeden na południowym zachodzie, a także drobny napis skreślony wprawną dłonią tym samym czerwonym tuszem, który bardzo różnił się od pozostałej bazgraniny i składał się ze słów: „Większość skarbu tutaj”. Na drugiej stronie ta sama dłoń umieściła dalsze instrukcje:

Wysokie drzewo. Zbocze wzgórza Spyglass, kierunek NNE rumb na N.

Wyspa Szkieletu ESE i na E.

Dziesięć stóp.

Srebrne sztaby w północnej kryjówce, można ją znaleźć przy zakolu wschodniego wzgórzka, dziesięć sążni na południe od czarnej skały z twarzą.

Broń łatwo znaleźć w wydmiu. Rumb N od północnej zatoczki przy przylądku, kierunek E i ćwierć N.

J.F.

Gdy dotarłem do końca tych notatek, moja głowa opadła i przez chwilę mapa zatańczyła mi przed oczami. Później powoli, jakby nagle powietrze wokół mnie zgęstniało niczym woda, ponownie uniosłem mapę i moje oczy odszukały górną krawędź płachty. Znalazłem to, czego szukałem. Określenie długości i szerokości geograficznej, które wyręło mi się w pamięci w jednej chwili, choć nigdy nie miało być powtórzone. Odczułem tak wielką ulgę, że chyba nawet westchnąłem na głos. Ale to westchnienie szybko przeszło w szeroki uśmiech, gdy zauważyłem, że kartograf zadał sobie trud podkreślenia tych informacji za pomocą nieregularnych, falujących niebieskich linii, jak dziecko, które maluje morskie fale.

Byłem tak zafascynowany, że mogłem równie dobrze trzymać kartę wyrwaną z pierwszej Biblii. Mapa stała się świętością – źródłem prymitywnej wiedzy – o której wspomniano raz za razem przez całe moje dzieciństwo, choć nie mogłem jej wziąć w dłonie. Kiedy się w nią wpatrywałem, mój ojciec i wszystko w pokoju przestało istnieć. Jednocześnie dokument miał na mnie wielki wpływ, a ja nie potrafiłem stwierdzić, czy to słabość, czy siła. Moja dłoń drżała, choć była twarda niczym stal. Wciąż zastanawiając się nad tą sprzecznością, złożyłem mapę, schowałem ją do sakwy, zarzuciłem pleciony pasek na szyję, wepchnąłem sakwę pod koszulę, a potem ułożyłem wszystko z powrotem w skrzyni tak cicho, jak się tylko dało, i w takim samym porządku, żeby mój ojciec nie poznał, iż przetrząsnęto jej zawartość.

Kiedy skończyłem, zamknąłem skrzynię i na paluszkach podreptałem do łóżka ojca, po czym jeszcze raz uniosłem mu głowę znad poduszki, by móc włożyć kluczyk na szyję. W dzieciństwie często w duchu potępiałem go za to, że kładł się spać pijany. Tym razem dziękowałem mu za to z całego serca – choć w całkowitej ciszy, a jego jedyną reakcją na moją ingerencję w sen było głośniejsze chrapnięcie. Kiedy skończyłem, spojrzalem na niego ostatni raz.

Pomimo tych wszystkich zakłóceń zdawał się przechodzić do kolejnej komnaty snu i leżał teraz bardziej oddalony od zewnętrznego świata, niż kiedy wszedłem do jego sypialni. Czoło wygładziło mu się, miałem wrażenie, że zapomniał o wszystkich troskach. Zaciął szczęki, jakby dodawał sobie otuchy przed długą wyprawą.

– Żegnaj, ojcie – usłyszałem własny głos, a przecież wcale nie miałem zamiaru się odzywać. Słowa opadły na niego równie lekko jak śnieg i w ogóle ich nie poczuł.

Postawiłem lampę na stałym miejscu obok trzewików i pospiesznie wyszedłem z sypialni, nie oglądając się za siebie. Nie spodziewałem się, że tej chwili będzie towarzyszył tak wielki smutek, ale nie potrafiłem go zignorować. Dlatego kiedy zszedłem na dół, zatrzymałem się w sali szynku i zostawiłem ojcu wiadomość. Na tablicy, na której notował zamówienia, potrawy i trunki, wytarłszy je starannie, napisałem, że postanowiłem wyruszyć w daleką podróż, tak jak i on zrobił, kiedy był w moim wieku, i że wrócę jeszcze w tym roku. Nie napisałem niczego ani o mapie, ani o miejscu przeznaczenia i nie zająknąłem się słówkiem na temat mojej towarzyszk i jej pochodzenia. Tym samym jednocześnie wyznawałem mu coś, przemilczając inne sprawy. Kiedy skończyłem, słowa na tablicy połyskiwały w księżycowej poświacie.

W minutę przeszedłem przez mokradła i odnalazłem zatoczkę, w której czekała na mnie Natty. Kiedy wszedłem do Spyglass i usiadłem obok niej, popatrzyła mi w twarz bez słowa, a widząc moją minę, objęła mnie mocno. Był to nasz pierwszy uścisk, a ciepło jej ciała i delikatny zapach potu niemal mnie obezwładniły. Niemal nie zauważyłem, że nie wspomniała nic o mapie – byłem jej za to wdzięczny. W gruncie rzeczy wcale nie rozmawialiśmy. Przesunęliśmy się na ławie, wzięliśmy po wiośle i ruszyliśmy rzeką, jakąś milę w stronę Londynu. Tam przycumowaliśmy łódkę do przystani i spaliśmy aż do rana. Kiedy słońce wstało, kontynuowaliśmy naszą podróż ze skarbem wciąż schowanym pod moją koszulą.



## Rozdział 8

# Odczytywanie mapy

Mój ojciec radził, żeby nigdy nie roztrząsać powodów podjęcia decyzji, kiedy już kłamka zapadnie. Jako młody chłopak myślałem, że znaczyło to, iż nigdy nie zmieniał zdania. Jednak kiedy wyruszałem na Wyspę Skarbów, zacząłem wierzyć, że po prostu wolał nie oglądać się za siebie i nie chciał wspominać popełnionych już błędów.

Być może ta zmiana zdania nie świadczyła o niczym więcej poza tym, że zacząłem odczuwać wątpliwości dotyczące swego zachowania. Z całą pewnością, kiedy obudziłem się po nocy spędzonej w Spyglass z twarzą przy stopach Natty i uniosłem głowę, by dokonać inspekcji mokradeł nabierających ciepła od porannego słońca, wyobraziłem sobie, że wszelkie mgliste zjawy, które widywałem wcześniej wałęsające się po okolicy, przyszyły, by mnie oskarżyć. Cały ten połyskliwy obraz przemawiał bezpośrednio do mojego poczucia moralności – dlatego złapałem kurczowo za sakwę pod koszulą, ale mapa wciąż tkwiła tam bezpiecznie.

Kiedy wróciła mi całkowicie świadomość, uzmysłowiłem sobie, że nawet cała armia oskarżycielskich upiorów nie jest w stanie zmusić mnie, bym zwrócił swój skarb do marynarskiej skrzyni, z której go wykradłem. Wiedziałem też, że od tej chwili powinienem raczej patrzeć w przyszłość, zastanawiać się, co będzie dalej, a nie przepełniony poczuciem winy rzucać trwożliwe spojrzenia za siebie. Tym samym złożyłem w duchu przysięgę, że we właściwym czasie powrócę do mego ojca i podzielę się z nim tym, co przywiozę do domu z mojej przygody, ale – od tej chwili – nie będę o nim myślał, chyba że uznam to za całkowicie konieczne. Jak mi się powiodło wytrwanie w postanowieniu, opiszę na kolejnych kartach tej książki.

Natty obudziła się i natychmiast ziewnęła szeroko, ukazując różowe podniebienie, po czym otarła twarz dłońmi. Następnie spojrzała na mnie zaczepnie, jakby odrzucała wszelkie oskarżenia, że w ogóle spała tej nocy.

Ponieważ było to nasze pierwsze doświadczenie w spędzaniu razem całego dnia, wstydziliśmy się siebie nawzajem i kilka kolejnych chwil upłynęło nam w milczeniu. Ale po spryskaniu się wodą Tamizy, upewniliśmy się, że prąd wody biegnie w kierunku, który chcieliśmy obrać, i popłynęliśmy z dala od naszego miejsca postoju. Po dwóch milach zjedliśmy śniadanie w jednej z gospód, która serwowała pożywienie dla żeglarzy, załóg barek i tym podobnych, ustaliliśmy plan dnia i znów poczuliśmy się gracko.

Pozostała część naszej podróży przebiegła niezwykle sprawnie. Mocne pływy rzeki niosły nas szybko z powrotem do Wapping. Bezpiecznie uniknęliśmy dużego ruchu statków handlowych i barek, by zacumować tam, gdzie chcieliśmy. Szczęśliwi wyszliśmy na brzeg i odnaleźliśmy uliczkę wiodącą wprost do Spyglass. Skrzypnięcia i szepty budynku błyskawicznie wyniosły nas po schodach do pana Silvera. Tym razem był środek dnia, mgielka poranna już dawno się wypaliła i niebo stało się błękitne niczym jajo kosa. Kiedy otworzyłem drzwi, znów oślepiło mnie światło wpadające do pokoju przez olbrzymie okno, przesłoniłem nawet oczy, jakbym wpatrywał się w słońce.

Nasz gospodarz od razu zawołał mnie po imieniu wysokim, władczym szeptem: „Jim! Jim!”. Nie mogłem go jeszcze zobaczyć, bo wciąż walczyłem z oślepiającym światłem, ale było jasne, że głos pana Silvera dobiega z szeszlona, który od czasu mej ostatniej wizyty został przestawiony w inne miejsce i stał

teraz wzduż okna. Ta zmiana to drobnostka, a jednak zdołała zdławić mą pewność siebie tak, że nie wiedziałem już, czego się mogę spodziewać po moim gospodarzu.

W rzeczy samej, kiedy odstawiłem dłoń od oczu i zamrugałem kilkakrotnie, zobaczyłem, że pan Silver nachyla się w moją stronę tak głęboko, że groziło to upadkiem na podłogę. Natty błyskawicznie stanęła u boku ojca i przyklękła, by go podtrzymać – ale on jedynie lekko trzepnął ją słabymi dłońmi. Kleksowi nie podobało się, że jest ignorowany przez swoją panią, i zaczął z dużą złością wykrzykiwać własne imię z klatki na stole, co skłoniło mnie do interwencji. Podeszedłem bliżej, przesunąłem palcem po prętach klatki – na co parsknął niczym oburzony gentleman starej daty i zamilkł.

Teraz, kiedy pan Silver znów siedział wygodnie, zaczął syczeć na swą córkę.

– Masz to? Czy to masz?

– Mam to, ojcze – przerwała mu. – Jest bezpieczna. – Przywołała mnie, bym się do niej zbliżył. Pan Silver miał na sobie ten sam błękitny marynarski surdut i pogniecione spodnie z wczoraj, choć jego twarz zdawała się jeszcze bardziej zapadnięta, jeśli w ogóle było to możliwe. Wspomniałem słowa mego ojca, który uważał, że oblicze tego mężczyzny wyglądała „jak poleć szynki”.

– Niech no ją zobaczę – wyszeptał, przewracając gorączkowo oczami. – Niech znów wezmę ją w dłonie.

Zerknąłem na Natty, szukając w jej twarzy sygnału, co mam zrobić, i znów zdecydowała za mnie, dając znak, że powinienem wyjąć mapę z kryjówki. Uświadomiłem sobie, że pierwszy raz miała ją zobaczyć. Jeśli odczuwała podniecenie, było ono dobrze skrywane, co, jak pomyślałem, dowodziło, iż darzy mnie zaufaniem.

Kiedy zacząłem rozpinąć koszulę, pan Silver chwycił dłońmi powietrze, tak jak to robił podczas mojej poprzedniej wizyty.

– Ale co z tobą, ojcze? – powiedziała łagodnie Natty, ignorując te gesty. – Co z tobą?

Starzec nie odpowiedział. Jego twarz stężała i zacisnął ją niczym pięść tak, że uwidoczniły się wszystkie zmarszczki, po czym popatrzył na córkę z pogardą. Natty udała, że tego nie zauważa, i pogładziła go po czole. W tym geście była sama dobroć i poczułem wielką ulgę, ale Kleks najwyraźniej podejrzewał co innego. Kiedy oderwała dłoń od ojcowskiego czoła, ptak wskoczył z podłogi klatki na swoją żerdź, do której przywarł jaskrawo żółtymi łapkami, i kołysząc się w przód i w tył krzyczał:

– Zostaw mnie! Nie ruszaj! – z taką zapalczywością, że przez chwilę zamarliśmy w bezruchu.

– Mam ją tutaj, panie Silver.

To ja wypowiedziałem te słowa, to moje dłonie trzymały mapę. Już ją rozłożyłem i po raz pierwszy zobaczyłem ją w dziennym świetle. Podkreślenia wydały się jeszcze bardziej dziecinne, niż kiedy oglądałem je w pokoju ojca. Jednak nazwy – nazwy oraz rdzawe znaki krzyża – posiadały tak niesłychaną moc, że wydawało mi się, iż powietrze wokół mnie zadrgało.

Pan Silver zamarł na chwilę, wpatrując się tylko w przestrzeń swymi mlecznymi oczami, zwięzając je, jakby się starał skupić; brew mu stężała, a głowa uniosła się na cal lub dwa nad poduszkę.

– Daj mi ją – powiedział – muszę mieć pewność. – Mówił bardzo cienkim, chrapliwym głosem, ale była w nim nieznosząca sprzeciwu nuta, której nie oparłby się sam kapitan Flint. Kiedy wykonałem jego polecenie, wziął papier do ręki z taką czułością, jakby obawiał się, że rozpuści mu się między palcami. Gładził mapę przez kilka minut i kiedy upewnił się co do jej autentyczności, podniósł ją blisko twarzy i dwa, trzy razy bardzo głęboko wciągnął zapach pergaminu.

– Czujesz to, chłopcze? – zapytał dużo spokojniejszym głosem, kiedy w końcu pozwolił głowie opaść na poduszkę. – A ty, moja córeczko, czujesz to? Morze i ziemię, i wszystko, co w sobie kryją.

Żadne z nas nie odpowiedziało; patrzyliśmy tylko ze zdumieniem, jak wciąż dotyka papieru koniuszkami palców. Wędrowały tam i z powrotem, tam i z powrotem, jakby mapa przeniosła go z łóżka i

wiodła po zatoczkach wyspy, by mógł penetrować jej doliny i lasy, dawała mu się napić ze strumienia i podciągała go w drodze po zboczach wzgórz. W końcu skupił się na słowach „sztaby srebra” i zdawał się trącać pojedyncze litery, zmuszając je do działania.

Kiedy zadowolili się w ten sposób, począł pieścić całą powierzchnię mapy z niezwykłą czułością, a wąż na jego tatuażu wił się niespokojnie. Następnie przesunął papier w górę i w dół po białej szczecinie na brodzie, po nosie i po czole. W końcu przytknął ją do ust i złożył na niej czuły pocałunek.

Było to odrażające widowisko, ale też przykuwające uwagę. Do ust pana Silvera napłynęła ślina, musiał ją przełknąć nie raz i nie dwa. Natty wzięła to za sygnał, że powinna zakończyć to widowisko, być może w trosce o jego zdrowie. Dlatego nachyliła się nad ojcem i wyjęła mu mapę z palców, mrużąc bez końca:

– Już dobrze, tato, już dobrze, zabierzemy ją teraz. No już, już.

Kiedy Natty zwróciła mi papier, usiadła na szeszlunku obok ojca i wzięła go za rękę.

– Posłuchaj mnie – powiedziała głosem pełnego słodczy rozsądku. – Przyszliśmy pokazać ci mapę i teraz już ją widziałeś. Teraz nadszedł czas, by się pożegnać. Wiesz, co musimy zrobić. Powinniśmy wyruszyć w naszą podróż. Dasz nam swoje błogosławieństwo i powiesz, że będziesz oczekiwał naszego bezpiecznego powrotu?

– Moje błogosławieństwo? No oczywiście, macie moje błogosławieństwo – powiedział pan Silver głosem tak cichym, jakby przemawiał w kościele. – Macie moje błogosławieństwo i moją modlitwę, moją modlitwę o wasz bezpieczny powrót i twoje powodzenie. – Przeciągnął to ostatnie słowo tak, że zabrzmiało niczym wężowy syk, ale pozbierał się, co świadczyło o tym, że miał nam zamiar powiedzieć coś ważnego. Były to słowa: – Wasz sukces stanie się kresem wszystkiego. Wyzwoli mnie. Wszystkich nas wyzwoli. Przywieź mi srebro, a będę mógł spokojnie umrzeć.

– Cicho, ciii, nie wolno tak mówić – rzuciła pospiesznie Natty, ale jej ojciec nie reagował, zaciskając tylko mocniej szczęki.

Wprowadziło to do atmosfery pewien niepokój, który, moim zdaniem, musiałem rozproszyć ze względu na dobro Natty.

– Zanim postawimy żagle – powiedziałem – mam jedną prośbę. Nie mogłem pożegnać się osobiście z moim ojcem z powodów z pewnością dla pana zrozumiałych. Mam jedną prośbę: czy może się pan ze mną podzielić swoim wspomnieniem o nim, które zabrałbym ze sobą?

Pomyślałem, że pan Silver zignoruje moją prośbę albo zbędzie ją niczym, tak wielka pogarda odmalowała się na jego twarzy. Jednak kiedy me słowa zapadły mu w mózg, odniosły bardzo interesujący skutek. Otworzył szeroko oczy, rysy mu złagodniały, a na ustach pojawił się uśmiech równie ciepły jak światło słońca. Dał mi pokaz swej wrodzonej słodczy, której mój ojciec doświadczył wiele lat wcześniej – słodczy z gruntu fałszywej i zawsze będącej wyłącznie środkiem do celu.

– Jim! – zawołał, jakby nagle zaskoczony. – Drogi chłopcze! Uratowałeś mi życie i dotrzymałeś danego słowa. Byliśmy dobrani jak w korcu maku. Chcieliśmy ocalić własną skórę i wzbogacić się, prawda, mój chłopcze? Wolność i bogactwo to piękne rzeczy.

Przemawiały przez niego uczucia, które słyszałem już wcześniej, podczas naszego pierwszego spotkania, ale teraz zostały wypowiedziane z większą świadomością. A moja reakcja na nie była podszyta niepewnością, bo choć rozumiałem, że pan Silver mówi o moim ojcu, nie potrafiłem pozbyć się myśli, że traktuje mnie jak swoje dziecko.

Nie było to wspomnienie, o które prosiłem, ale napełniło moje serce otuchą przed czekającą wyprawą – choć jednocześnie bardzo mnie zaniepokoiło.

Było to tak nieoczekiwane i do tego tak niepokojące, że na chwilę zamarłem skonsternowany. Kiedy znów odzyskałem zdolność poruszania się, zaskoczyłem nawet samego siebie. Podszedłem do pana

Silvera i ucałowałem czubek jego łysej głowy – była to rzecz, której nie zrobiłem, żegnając się z własnym ojcem kilka godzin wcześniej, bo obawiałem się, że go obudzę. Strzępy białych włosów połaskotały mnie w usta, skóra była bardzo napięta.

– Dobry z ciebie chłopak, Jim – mruknął, gdy się wyprostowałem. – Dobry z ciebie chłopak i musisz opiekować się Natty. Musisz...

Ale głos mu się załamał, więc to, co zamierzał powiedzieć, odeszło w niebyt. Zamiast tego, przełykając głośno ślinę, chwycił lewą dłoń swej córki, a moją prawą i trzymając je w uścisku szponiastych rąk, potrząsnął nimi w górę i w dół.

Przy zalewającym nas świetle, wietrze napierającym na okno i bezkresnej, milczącej panoramie Londynu i jego rzek, które rozpościerały się poniżej, była to chwila niezwykle podniosła. Jednocześnie zaślubiny i pożegnanie. A kiedy się skończyła, pan Silver wzniosł dłonie, żebyśmy zrozumieli, iż wysyła nas w drogę i gdybyśmy mitrężyli jeszcze czas, zostając dłużej, wielce byśmy go urazili.

Była to nagła konkluzja, niemniej jednak zmotywowała nas do działania i dała nam poczucie zjednoczenia we wspólnym celu. Czekałem, aż Natty ponownie położy dłoń na ojcowskiej brwi, zamykając oczy – jakby w jakimś wielkim wysiłku koncentracji mogła przejąć całą wiedzę tkwiącą pod tą czaszką. Następnie ruszyła pospiesznie, by zabrać Kleksa (który siedział już spokojnie na swojej żerdzi), po czym znów dołączyła do mnie.

Wyszliśmy niespiesznie z pokoju, tyłem, jakbyśmy opuszczali koronowaną głowę, z wzrokiem wbitym w pana Silvera tak długo, jak się tylko dało. Nawet nie drgnął – tylko kiedy zamykały się drzwi, uniósł swą długą dłoń i powtórzył błogosławieństwo, o które prosiliśmy.

## Rozdział 9

# Srebrny Słowik

Kiedy spoglądałam na to wszystko z perspektywy mojego wieku, wciąż jestem zadziwiony, że podczas ostatniego spotkania z panem Silverem pozostało tak wiele niedomówień. Bardzo niewiele słów padło o moim ojcu. Niemal nic na temat przygody, która była ich wspólnym udziałem. Zupełnie nic na temat ich późniejszego życia. Można to rzucić na karb naszego pośpiechu w stawianiu żagli – oraz mojej niechęci do zadawania pytań, gdyż tak wiele odpowiedzi usłyszałem już w rodzinnym domu. Główną przyczyną jednak był mój młody wiek. Wykazałem się niedostateczną ciekawością i nadmiernie skupiłem się na samej sytuacji i na własnej roli w tym przedsięwzięciu.

Byłem równie beztroski, jeśli chodzi o przygotowania do podróży. Kiedy schodziłem za Natty po schodach, miałem wręcz takie same oczekiwania i chciałem udać się bezpośrednio na statek, niczym gentleman wychodzący z domu do swego powozu – tylko że nie miałem żadnych rzeczy na taką wyprawę. Kiedy zapytałem Natty, czy nie powinniśmy zapełnić podróżnego kuferka ekwipunkiem, zbyła mnie koncertowo – jej ojciec już posłał na statek wszystko, czego będzie potrzebować. W takim razie co z matką? Nie powinniśmy się z nią pożegnać? Natty zmarszczyła brwi, jakby taki pomysł był co najmniej dziwny, ale zmieniła zdanie i skierowaliśmy się do sali szynku w Spyglass.

Zwykle takie przybytki znajdowały się na piętrze budynku, żeby uniknąć potencjalnego zalania przez powódzie – oraz wszelkiego rodzaju niepożądanych wizyt. Kiedy otworzyłem drzwi, zobaczyłem niski sufit, wypełnioną dymem spelunkę, gdzie wszystko było brązowe niczym pikling: krzesła, stoły, deski podłogi, dłonie i twarze. Przyływy i odpływy rozmów, które od czasu do czasu przechodziły w sprzeczki albo śmiech, przepełniły mnie wspomnieniami z domu. Ale powiedzenie, że takie było ogólne wrażenie, oznaczałoby brak szacunku dla pani Silver. Kiedy przechodziliśmy obok stałych bywalców (bandy twardzieli ze statków w starych marynarskich surdutach, z dymiącymi fajkami w zębach i chustami zawiązanymi nad uszami), uniosła się znad swego stołu na kozłach, który wypełniał jeden koniec sali. Od wysiłku jej twarz pociemniała do barwy starego mahoni. Rozłożyła szeroko ramiona.

– Moje dzieci! – wykrzyknęła tak głośno, że wszyscy wokół niej zamilkli.

Zwróciłem szczególną uwagę na jednego chudzielca, który wyglądał bardziej dziko niż cała reszta z powodu braku części ucha – które, jak sądzę, zostało odcięte podczas fechtunku. Rzucił spojrzenie w moją stronę, po czym zagryzł swoją prymkę z obraźliwą powolnością i splunął na podłogę, po czym zapadł się z powrotem w swoje krzesło.

Natty i ja staliśmy jak wagarowicze przed dyrektorem szkoły. To tylko zachęciło panią Silver, która teraz zatrzęsa ramionami, wystawiając palce do góry.

– Moje dzieci – rzuciła ponownie – chodźcie do mnie!

Zakleszczyła nas mocno na swej piersi. Wśród świadków tego zdarzenia zaczął się rozchodzić szmer przy akompaniamencie miarowego walenia kufla o blaty stołów.

– Moje dzielne dzieci – mówiła dalej pani Silver, ale już nieco ciszej. – Dobry Bóg powiedział mi, co was tu sprowadza. Przyszlście się pożegnać z waszą matką, a potem opuścić rodzinny brzeg w poszukiwaniu fortuny. „Wszyscy musimy stanąć przed obliczem naszego Pana, Jezusa Chrystusa, żeby każdy mógł otrzymać to, co mu należy, podług czynów jego, dobrych czy złych”. Nasz Pan mi to powiedział. A powiedział też, że jest kontent. Tym samym daję wam moje błogosławieństwo i puszczam



was w drogę. Idźcie! Idźcie! Odszukajcie szczęście swoje, a kiedy będziecie gotowi, powróćcie, przywożąc waszej matce dowód tego.

Wszelki sprzeciw z mojej strony – na przykład w kwestii, że nie była moją matką – wydawał się daremny. Byłem zbyt mocno przyciśnięty, żeby nawet skinąć głową, więc tylko potarłem nią o jej skórę.

Natty czyniła żwawe próby wyrwania się z uścisku; wiedziałem to, gdyż klatka z Kleksem grzechotała jej w dłoni, a sam ptak darł się jazgotliwie:

– Trzymać kurs, serduszka wy moje!

– Dziękuję, mamó – powiedziała Natty po odzyskaniu wolności, a w jej głosie pobrzmiwała wielka ulga. Był to znak dla pani Silver, by rozluźnić uścisk, na co ja również odskoczyłem w tył, dysząc szybciej niż zwykle. Kiedy rozejrzałem się wokół, by określić swoje położenie, dostrzegłem, że nasza publiczność z szynku znów zaczęła rozmawiać – wszyscy z wyjątkiem zauważonego wcześniej chudzielca, który przemykał się w stronę schodów prowadzących na ulicę, zabierając ze sobą swoje zmasakrowane ucho.

– Bardzo prosimy o modlitwę – powiedziała Natty. – Pozostaniemy z mamą w naszych modłach i będziemy często o mamie myśleć.

Choć to zaledwie garstka słów, na dodatek wypowiedzianych bardzo cicho, usłyszałem w nich wszystko na temat uczuć Natty wobec jej matki. Było w nich wystarczająco kurtuazji, by okazać wdzięczność, ale też przebijał przez nie pewien chłód, dowodzący, że przez całe życie dziewczynie brakowało matczynej ciepła.

Jakby na potwierdzenie tego, pani Silver bardzo szybko zamknęła cały spektakl. Znów pomachała – tym razem odpędzając nas od siebie – i zajęła się klientami, napełniając ich kufle i śmiejąc się z nimi, zanim jeszcze zdążyliśmy się odwrócić do wyjścia. Poczulem, że muszę w tej chwili opuścić to miejsce, ale zatrzymałem się jeszcze na moment, bo dostrzegłem coś, co pewnie zobaczyłbym wcześniej, gdybym nie był zajęty czym innym.

Na szerokiej półce nad nadprożem, w wielkiej szklanej skrzynce tkwiła wspaniała papuga z rozpostartymi skrzydłami. Skrzydła i ciało były koloru jaskrawozielonego – niczym wiosenna trawa – przechodzącego w łagodną żółć na brzuszku, z którego sterczały dwie niezwykle pomarszczone, czarne łapy zakończone wielkimi pazurami. Chwytały się porośniętej mchem gałęzi, za którą widniało tło z liści przedstawiające część dżungli.

Ślepią cudownego stworzenia zostały wykonane ze szkła i sprawiały wrogie wrażenie – podobnie jak otwarty dziób, jakby ptak chciał coś powiedzieć albo zacząć kąsać. Był niezwykle gruby i dało się zobaczyć poszczególne warstwy kości, niczym w profilu ściętych skał na brzegu morza. Była to broń, która z łatwością mogła wyrwać kawał mięsa wielkości kurzego jaja z ramienia mężczyzny.

– Kapitan Flint – wyszeptła Natty.

– Ten kapitan Flint?

– Ten sam. Miał dwieście lat, co do dnia, kiedy twój ojciec spotkał go po raz pierwszy. Papugi są przeważnie długowieczne. – Natty zamilkła, bym mógł docenić ten niezwykle fakt, po czym mówiła dalej: – Ten sam kapitan Flint, który pływał z wielkim kapitanem Englandem, tym piratem. Kapitan Flint, który był na Madagaskarze, na Malabarze i Surinamie, w Providence i Portobello. Kapitan Flint, który był przy wyławianiu wraków statków ze srebrem i tam właśnie nauczył się tego „Kawałek z ośmiu! Kawałek z ośmiu!” trzystu pięćdziesięciu tysięcy takich monet!

Ponieważ była bardzo podekscytowana swoją krótką opowieścią, mogłem podejrzewać, że Natty pałała do tego ptaka jakiś głębszym uczuciem. Ale zauważyłem, że za każdym razem kiedy się odzywała, zaciskała mocno pięści – jakby opanowywał ją żar złości raczej niż sympatii. Ja ze swojej strony mogłem tylko powtarzać samo to imię w całkowitym osłupieniu.

We wszystkich opowieściach mojego ojca z Wyspy Skarbów ten ptak był stale obecny – trzepocząc skrzydłami na barku pana Silvera i skrzecząc to swoje przerażające „Kawałek z ośmiu!”. Stał się tak wyrazisty w mojej pamięci, jak sam Izrael Hands czy Ślepy Łapa oraz każdy z tej bandy piratów.

– Jak sądzisz, czy on się za nas pomodli? – zapytałem, uśmiechając się niepewnie.

Natty nie odpowiedziała, ale uniosła głowę i popatrzyła w nieruchome ślepie ptaka, jakby rzucała mu wyzwanie, by przeleciał przez szkło i zaatakował ją. Przyszło mi do głowy, że przypominała sobie czasy, kiedy czuła, jak szpony i dziób szarpią jej skórę. Po namyśle doszedłem do wniosku, że jest to prawdziwy powód, dla którego kapitan Flint przebywa w szklanym pojemniku i już nie dycha.

W końcu, wciąż bez jednego słowa, Natty podniosła klatkę, w której jej własny ptak siedział w milczeniu przycupnięty na żerdzi, i wyprowadziła mnie schodami na ulicę. Tutaj zamiast skierować się wprost na statek, zaskoczyła mnie, skręcając w uliczkę przylegającą do Spyglass i wchodząc do budynku przez boczne drzwi. Znalazłem się w przyćmionym pomieszczeniu, w którym cegły na podłodze były mocno wyrobione od przetaczających się po nich z łoskotem beczek.

– Co teraz? – zastanawiałem się na głos, ale Natty nie chciała mi powiedzieć.

– Poczekaj – powiedziała tylko. – Poczekaj i zaopiekuj się Kleksem.

Posłusznie wziąłem od niej klatkę, ale najwyraźniej dla ptaka nie była to wymarzona sytuacja. W chwili, kiedy Natty zniknęła w jednym z wąskich przejść, zaczął wykrzykiwać rozkazy: „Gotuj się do zwrotu przez sztag, gotuj się”. Nie miałem wyboru, zostałem sam i robiłem, co mogłem, by uspokoić ptaka, powtarzając jego imię kojącym, jak sądziłem, głosem. Ale moje wysiłki zdawały się jedynie pogłębiać jego irytację.

Kiedy Natty wróciła, tym razem ja zaniemówiłem. Młoda kobieta z krótkimi czarnymi włosami, która przed chwilą wyszła stąd w brązowym szalu, zwykłej wełnianej sukience, powróciła zmieniona w chłopaka, w spodniach do kolan z białego płótna, w eleganckim, błękitnym marynarskim kaftanie i w dużym postawionym kapeluszu, który niby przypadkiem nasunęła na czoło tak, że skrywał większość twarzy.

– Nat Silver – rzuciła ze zwykłą dla siebie prostotą. – My się chyba nie znamy.

– Jak się pan miewa? – odparłem, dochodząc do siebie i ściskając jej dłoń, niezwykle drobną w moim uścisku. To w połączeniu z gładkością skóry oraz z urodą jej oblicza, na którym nie było ani śladu po bokobrodach, a jedynie delikatny meszek, utwierdziło mnie w przekonaniu, że jej próby życia w przebraniu nie ujdą uwadze innych. Nie chciałem jej jednak tego mówić, żeby nie była rozczarowana.

– A ileż to wiosen szanowny pan liczy? – zapytałem z przesadną emfazą.

– To nie jest zabawa – odparła i zmarszczyła czoło, dzięki czemu jej kapelusz osunął się jeszcze niżej.

– Wiem – odparłem. – Ale muszę ci to powiedzieć: jeśli będziesz udawała, że masz mniej lat niż w rzeczywistości, będziesz bardziej wiarygodna.

Natty rzuciła mi poirytowane spojrzenie, ale zrozumiała, że chciałem dobrze.

– Szesnaście – zaproponowała.

– Za dużo – odparłem.

– No to piętnaście.

– Czternaście – zdecydowałem. – Admirał Nelson znalazł się na morzu w wieku lat czternastu. Wątpię, czy wyglądał poważniej od ciebie.

– Niech ci będzie, czternaście – odparła po dłuższej chwili, po czym potarła twarz dłońmi, żeby policzki wydały się bardziej szorstkie, i odchrząknęła, żeby pogrubić głos. Zrobiwszy to, stwierdziła najwyraźniej, że przyjęła wystarczającą dawkę porad, wyjęła mi uchwyt do klatki Kleksa z ręki i wyszła na zewnątrz rozkołysanym marynarskim krokiem.

Kiedy przemykaliśmy się na zachód uliczkami równoległymi do rzeki, widok Natty, która obecnie wyglądała i strojnie, i dziarsko, przywiódł na myśl pytanie, którego wcześniej nie chciałem zadawać, choć tkwiło mi głęboko pod czaszką. Czy będziemy mieli na statku jakieś uzbrojenie, na wypadek gdyby nas zaatakowano?

Spodziewałem się, że Natty spojrzy na mnie spode łba i powie, że tchórz, więc ulżyło mi, gdy po prostu stwierdziła:

– Pytałam o to ojca.

– I co ci powiedział?

– Powiedział, że nie żyjemy już w barbarzyńskich czasach i nie ma co się obawiać takich niebezpieczeństw.

– Czy to znaczy, że na pokładzie nie ma broni?

– Tego nie powiedziałam. Myślę, że trochę jest. Pistoletów. Szabel.

Powściągliwość Natty mogła sugerować, iż ona sama uważa, że nasze zapasy są niewystarczające, ale nie chce przyznać, że ojciec źle jej poradził. Moje podejrzania stały się jeszcze bardziej zasadne, kiedy usłyszałem, że do jej głosu wkradły się dziecięce tony.

– Mówiłam ci już wcześniej, Jim. Kapitan Beamish to byczy chłop. Mój ojciec ustalił wszystko w kwestii łodzi. Zapłacił za wszystko. To bardzo dobrze o nim świadczy.

Czułem, że mnie zbywa.

– Nie twierdziłem, że jest inaczej – powiedziałem, a kiedy nie skomentowała tego, wiedziałem, że powinienem zamilknąć. W istocie czułem, że nasza wyprawa jest tak skalana moim poczuciem winy za kradzież mapy, że nie powinienem kwestionować żadnych innych uzgodnień i po prostu iść tam, dokąd mnie Natty zaprowadzi. Nie uważałem nawet za stosowne, by wspomnieć, że nasza mapa wskazuje miejsca ukrycia broni na wyspie, ponieważ nie chciałem wzmacniać poczucia, że możemy jej potrzebować. Poruszyłem ten temat sam i teraz tego żałowałem, więc dałem sobie spokój.

Być może Natty wzięła moje milczenie za objaw cichego uniesienia z powodu zbliżającego się rejsu. I przyznaję: kiedy dotarliśmy do portu, znów mowę mi odjęło. Choć mieszkałem całe życie przy rzece (mógłbym równie dobrze powiedzieć na rzece) i uważałem się za eksperta w sprawie pływów i prądów, łodzi i pływania oraz w kwestii wszystkich istot, mężczyzn, kobiet i zwierząt pluskających się na jej brzegach, nigdy wcześniej nie czułem tak wzmożonego nagromadzenia wodnej energii.

Zapach smoły i świeżo ciętego drewna był wspaniały – równie wspaniały jak galiony na dziobach wszystkich pobliskich statków, które spoglądały w stronę odległych zakątków świata, a które teraz sterczały nad moją głową oraz nad głowami marynarzy z kolczykami w uszach, z poskręcanyimi bokobrodami i kucykami. Nawet gdybym widział tyłu królów czy ambasadorów obcych państw, to nie mógłbym być bardziej rozanielony. Cały sens człowieczeństwa zdawał się teraz polegać na przejściu jednego żywiołu w drugi, bo wkrótce mógł zacząć się biblijny potop i każdy, kto nie nauczy się żyć na wodzie, wkrótce mógł w niej utonąć.

Tuzin – może więcej – poszczególnych kei wyrastało prostopadle z nabrzeża, a na każdej z nich marynarze ładowali, rozładowywali, targowali się, klęli, dyszeli i pocili się. Liczba statków pojawiających się przed moimi oczami była za duża, by je zliczyć – niektóre połyskiwały nową farbą, inne były wypłowiałe od licznych rejsów niczym wędrowne ptaki sponiewierane swą podróżą. Nad nimi wznosiły się miriady masztów – niektóre wysmukłe, inne prymitywne, niektóre wysokie niczym wieże katedry, a wszystkie wspierane przez setki lin układających się w plataninę takielunku tak gęstą, że aż zdawały się zaciemniać niebo.

Z wielką ochotą postąpiłbym tu chwilę i podziwiał to wszystko, ale ów wielki rwetes porwał mnie z taką mocą, że nie miałem czasu na refleksje. Można powiedzieć, że wraz z Natty całkowicie poddaliśmy

się temu miejscu, gdyż wkrótce poczuliśmy się bezradni niczym dwa korki w strumieniu. Oznaczało to, że ostatnią część drogi pokonałem w stanie dziwnej bierności i w ogóle nie byłem zaskoczony (choć jednocześnie dziwiło mnie to niepomiarne), kiedy zobaczyłem, że po przebyciu krętej trasy pełnej rozmaitych prądów i wirów w końcu stanęliśmy przy statku, który zdawał się bardziej elegancki i interesujący niż tuzin innych miniętych przez nas ślicznotek.

Statek był jednym z tych, które często podziwiałem, siedząc na swojej grzędzie w Hispanioli – baltimorski kliper na jakieś sto stóp długi z dwoma masztami (oba z wyraźnym przechyłem), z bukszprytem sterczącym niczym sztylet gotów przecinać nadciągające fale, z pełnym pokładem w najszerszym miejscu nieco zbyt szerokim jak na jego długość, ale o niezwykle subtelnej i pełnej gracji linii. Gdyby mój ojciec mógł mi zajrzeć przez ramię, powiedziałaby, że to statek „spłodzony z wojny, zrodzony z piractwa i wychowany przez okrucieństwo” – gdyby nie fakt, że wyraźnie poskromiono jego dziką naturę, dostosowując go do celów pokojowych, gdyż posiadał półokrągłą nadbudówkę przy sterze. Dzięki temu można było obserwować horyzont niemal ze wszystkich stron, zaś jej obecność sugerowała, iż to raczej jednostka rejsowa, a nie przeznaczona do działań zbrojnych.

Wrażenia nasiliły się, kiedy zbliżyłem się do rufy i zobaczyłem bosmańskie krzeselko zawieszone za relingiem. W krzeselku siedział marynarz rozebrany do pasa, który z wiaderkiem farby zmieniał pierwotną nazwę statku z *Nightingale* – teraz na burcie widniało *Silver Nightingale*. Słowo *silver* znalazło się tu oczywiście, by zaznaczyć, kto jest właścicielem statku, i uczynić go wielkim, nieobecnym członkiem załogi.

– Srebrny słowik – odczytałem na głos w stanie bliskim zachwytu. – To nasz.

– Srebrny słowik jest nasz – powtórzyła Natty z podobnym podziwem i nabożną czcią w głosie, które, ośmielałem się mniemać, były po części wywołane dumą z tego, co też zapewnił nam jej ojciec.

– Mówiłam ci, nie musisz się martwić. Wszystko jest gotowe. Kapitan już na nas czeka.

Jeszcze dobrze nie skończyła mówić, a już rzuciła się przez wąski trap i stanęła na burcie statku. Gdyby znalazła się nieco bardziej z przodu, byłaby od razu widoczna, tutaj jednak ustawiono wiatrołapy i spleciono liny tak, że stanowiły barierę przeciwko falom, które skryły ją całkowicie.

Nie wahając się dłużej, poszedłem w jej ślady i stanąłem na pokładzie statku. Dalej po lewej stronie grupa marynarzy utworzyła łańcuch, podając sobie skrzynki i paki, kufry wszelkiego rodzaju i pojemniki z nabrzeża – za chwilę do nich wrócę. Na razie chłonałem wzrokiem naszego Słowika. Dokładnie wyszorowany pokład składał się z szerokich desek, na które padał cień takielunku bujającego się lekko nad nimi tam i z powrotem. Niskie nadburcie pomalowano na jasnozielony kolor. Właz w kształcie żółwiej skorupy osłaniał schody wiodące na dolny pokład. Zamontowano też starą długą dziewięciofuntówkę\*\*\*\* – najwyraźniej bardziej dla ozdoby niż do użytku, gdyż kosz, w którym wcześniej trzymano kule do niej, służył obecnie do przechowywania sztormiaków i lin zwiniętych w sennych splotach. A pod jednym masztem – nic. Pod drugim – duża beka wypełniona dojrzałymi, różowymi jabłkami. Nadbudówka, o której już wspominałem, została, co zauważyłem dopiero teraz, elegancko wyposażona w stół i ławy. Sam ster miał wybite mosiężne guzy i kłamry z błyszczącego metalu. Obok steru zobaczyłem Natty, a właściwie Nata, jak wciąż powtarzałem sobie w myślach, że mam ją nazywać, rozmawiającą z mężczyzną o rozmiarach i posturze niedźwiedzia na krzywych łapach.

– Jim! – zawołała. Nowa szorstka nuta w jej głosie wywołała mój uśmiech, co, jak miałem nadzieję, będzie poczytane za nic więcej niż tylko reakcję na widok przyjaciela. – To jest kapitan Beamish.

Podszedłem do niego i zsalutowałem najlepiej jak potrafiłem, na co on odpowiedział o wiele bardziej eleganckim ruchem, potem zdjął swój przedpotopowy trójgraniasty kapelusz i wsunął go pod ramię. Miał krótko przycięte brązowe włosy i bokobrody. Jasnoniebieskie oczy równie dobrze mogły się składać ze słonej wody i światła słonecznego. Te zmrużone, bardzo czujne oczy dokonały wnikliwej

inspekcji od stóp do głów. Cokolwiek ustalił na temat mojej marynarskiej przydatności, najwyraźniej zadowolilo go, bo po chwili z całą powagą wyciągnął dłoń w moim kierunku.

– Panie Hawkins – powiedział ciepło.

– Kapitanie Beamish – odparłem, nadając memu głosowi ton starego wilka morskiego.

– Nie poznałem pańskiego ojca – dodał, co było większą śmiałością, niż się po nim spodziewałem, więc nie wiedziałem, co mam na to odrzec. Widząc moje zmieszanie, poszedł za ciosem: – Nie poznałem go, ale go poważam. W milczeniu.

– Dziękuję, sir – rzuciłem, odzyskując animusz. – I moim pragnieniem jest podróżować pod swoim nazwiskiem, a nie jako czyjś krewny.

Powiedziawszy to, zastanowiłem się, czy nie uraziłem przypadkiem Natty, o której załoga wiedziała, że jest dzieckiem pana Silvera, choć bynajmniej nie jego córką. Ale ona najwyraźniej uważała, że ona to nie ja, i uśmiechnęła się do mnie.

Podobnie jak kapitan.

– Doskonale – powiedział – cieszę się, że mamy takie samo zdanie. Powiemy załodze, że znalazł się pan na pokładzie jako przyjaciel i towarzysz naszego Master Nata. Czy taka charakterystyka odpowiada panu?

– Idealnie, sir – powiedziałem, choć nie ośmieliłem się odwrócić w stronę Natty, by sprawdzić, co ona myśli na ten temat. To, że nie odezwała się ani słowem, w zupełności mi wystarczyło.

– Doskonale – powtórzył kapitan, po czym zamilkł i ściszył głos do szeptu. – Ale muszę cię, chłopcze, ten jedyny raz zapytać: czy wzięłeś ze sobą to, czego potrzebujemy?

# Rozdział 10

## Kapitan i załoga

Nasz kapitan był człowiekiem, którego dobre serce uwidaczniało się na łagodnym obliczu – ale co z innymi na pokładzie Słowika? Natty upierała się, że nie są to marynarze podobni do tych, którzy wypłynęli na pokładzie Hispanioli z naszymi ojcami – choć jakiś tuzin, pracujący teraz obok, zdawał się „zbieraniną od Sasa do Lasa”, jak to mówią. Najstarszy był bosman, brązowy starszy marynarz z wysklepioną pierśią i brodą gładką niczym sierść borsuka – to on doglądał wszelkich prac. Obok niego stał dużo bardziej rozczochrany jegomość z kolczykami w obu uszach i krótką, żółtą fajeczką wystającą z krzaczastej, siwej płataniny włosów okalającej twarz. Kolejny, którego wziąłem za kuka, bo miał na sobie fartuch już poplamiony tłuszczem, zdawał się tak chudy i delikatny, że zacząłem się zastanawiać, czy w ogóle będziemy coś jeść podczas rejsu. Czwarty, który przykuł mój wzrok, pracował obok schodów wiodących na dolne pokłady i kiedy pozostali zaczęli śpiewać, on odwrócił głowę, jakby chciał im pokazać, że nie ma zamiaru dołączyć. Kiedy to zrobił, zauważyłem poharatane ucho i rozpoznałem w nim jednego z klientów szynku Spyglass. Powtarzałem sobie, że pewnie źle go tam oceniłem, ponieważ nie wyobrażałem sobie, żeby kapitan mógł zatrudnić osobę, za którą go pierwotnie wziąłem.

Przedstawiam to wszystko, jakbym przyglądał im się bacznie przez dłuższy czas – w rzeczywistości nic takiego nie miało miejsca, rzuciłem tylko na nich okiem, kiedy kapitan puścił moją dłoń.

– Bardzo mądrze – powiedział dudniącym głosem, w którym słyszałem ślady Zachodniego Kraju. – Nasze sprawy mogą poczekać. Wystarczy mi wiedza, że masz to, co potrzeba. Trzymaj to jeszcze przy sobie przez jakiś czas.

Oczywiście miał na myśli mapę, do której dostępu nie zamierzałem mu bronić. Ale teraz, kiedy doceniono moją dyskrecję, udawałem, że taki był mój pierwotny cel – i zmieniłem temat rozmowy.

– Pochodzi pan z Bristolu, sir? – zapytałem go.

– Blisko. Skąd wiesz?

– Rodzina mojego ojca pochodzi stamtąd. On mówi tak jak pan.

– Twój ojciec – zaczął wolno kapitan, smakując każde słowo tak jak chwilę temu. – Cóż, z pewnością jest to człowiek, który ma morską wodę we krwi. A ty co masz w swojej?

Słowa te wypowiedziane innym głosem mogłyby zabrzmieć jak wyzwanie. W rzeczywistości było to niewinne pytanie – choć z wystarczającą dozą zadziorności, bym szukał ratunku u Natty. Dziewczyna obserwowała moją wymianę zdań z kapitanem, jakby była moją opiekunką, spojrzenie jej oczu omiotło mą twarz, czytało w moich myślach, sprawiło, że wywyższałem się ponad stan. Wystarczyła mi sama perspektywa późniejszej reprimendy z jej strony.

– Nie ma w niej aż tyle soli – odparłem. – Może więcej wody słodkiej.

Kapitan zaśmiał się i klepnął mnie w ramię – co, jak zrozumiałem, miało znaczyć, że wkrótce stanę oko w oko z bardzo dziwnymi sprawami i lepiej, żebym się na nie przygotował.

Natty, stwierdziwszy, że starczy już tych prezentacji, wtrąciła się:

– Kiedy wypływamy?

Kapitan zmrużył oczy, jakby nie był przyzwyczajony do takiej bezpośredniości, i przemilczał to, co w pierwszej kolejności ślina mu na język przyniosła, przypominając sobie, że mówi do córki pana Silvera, która jest jego przedstawicielem na tym statku. Skłoniło mnie to do wysnucia wniosku, że kapitan ma swoje zdanie, niemniej jednak szanuje władzę zwierzchnią. Miał też poczucie humoru, bo najpierw



odegrał spektakl, spoglądając na słońce, wzdłuż pokładu i na szczyt masztu przez takielunek, aż w końcu sprawdził kierunek wiatru, po czym zwrócił się do Natty, mówiąc:

– W ciągu godziny – jakby dopiero teraz podjął tę decyzję.

– Tak szybko? – zdziwiłem się, ale nie zabrzmiało to tak entuzjastycznie, jak sobie zaplanowałem.

– Mamy wszystko, czego potrzebujemy – odparł kapitan. – Teraz, kiedy mamy również pana, panie Hawkins, już nic więcej nam nie brakuje.

Mówiąc to, zrobił krok w moją stronę, jakby nie był w stanie powstrzymać dłużej swej ciekawości, a następnie rozejrzał się wokół. Poszedłem za jego przykładem i zobaczyłem, że załoga wciąż jest zajęta załadunkiem. Obserwowała nas tylko jedna para oczu, należąca do znanego mi już pokrytego szramami jegomościa, który teraz trzymał się w pobliżu wjazdu zakrywającego schody. Wolałem, żeby go tu nie było.

– Nie ma zagrożenia – mruknął kapitan, mimo iż byliśmy obserwowani. – Może teraz będziemy mogli bezpiecznie poznać tajemnicę. W końcu jeśli mamy podnieść żagiel, muszę znać kurs.

Natty się zaśmiała, co było dość złośliwe z jej strony, ale udawałem, że tego nie zauważyłem, i z powagą zabrałem się do dzieła. Odpiąłem guziki koszuli, zdjąłem z szyi niewielką sakwę zawierającą mapę i podałem ją kapitanowi bez słowa. Nie mogłem nie zauważyć, jak zagrzała się pod wpływem ciepła mojego ciała.

Wrażenie, jakie wywarła na kapitana, było niezwykle. Jego dobroduszny nastrój wyparował gdzieś i cała twarz zamarła w wyrazie niezwykłego skupienia. Położył sakwę na otwartej lewej dłoni, otworzył klapkę i bardzo ostrożnie wyciągnął z niej mapę. Z początku trzymał ją z dala od twarzy, mrużąc oczy, po czym uniósł mapę, tak drżąc w obawie, żeby nic się jej nie stało, że pergamin zdawał się cały wibrować.

Nasz niemy obserwator był tak podekscytowany tym wydarzeniem, że aż się zachłysnął – na co kapitan odwrócił się szybko, a tamten czmychnął, zmieniając się w białą plamę w ruchu, i zniknął wśród kamratów niczym królik w swej jamie.

Nawet jeśli to zaniepokoiło kapitana, nie dał tego po sobie poznać. Wracając do przerwanej wątku, zaczął delikatnie przesuwając dłonią po mapie, kreśląc kontury wyspy. Kontrast między postępowaniem kapitana i pana Silvera był uderzający – w jego dotyku znać było wyłącznie zachwyt i czystą rozkosz, kiedy przeglądał mapę najpierw z jednej, a potem z drugiej strony i kiedy bezgłośnie poruszał ustami, wypowiadając zakłute w niej nazwy: Kotwiczenie Kapitana Kidda, wzgórze Spyglass et cetera. Sztaby srebra, jak zauważyłem, minął bez emocji. Podobnie jak miejsce ukrycia broni.

Kiedy skończył już podziwiać mapę, zamknął oczy. Proszę, pomyślałem – zaczął wyobrażać sobie podejście pod wyspę przez prądy, które mogły nas zbić z kursu, i mielizny oraz inne przeszkody, których musiał unikać. Następnie znów otworzył oczy i spojrzał szczególnie uważnie na wartości długości i szerokości geograficznej wypisane w górnym rogu mapy. Bez nich, o czym dobrze wiedziałem, mapa stanowiła wyłącznie kuriozum, choć, co prawda, bardzo kuszące. Wiedza o współrzędnych była kluczem do świata.

– Dobry chłopak, dobry kompan – powiedział kapitan głosem pełnym szacunku, odwracając się do mnie. – Nie masz obiekcji, żebym trzymał ją u siebie, dla bezpieczeństwa?

Trochę mi to zazgrzytało, bo już od jakiegoś czasu traktowałem mapę jako swoją własność, ale po chwili zrozumiałem, że propozycja kapitana jest bardzo sensowna. On miał władzę na statku i doświadczenie, co znaczyło, że mógł ją chronić dużo skuteczniej niż ja.

– Oczywiście, że nie – odparłem, a po chwili pojawiła się myśl, która powinna przyjść mi do głowy jako pierwsza. – Ale zwróci mi pan mapę, kiedy wypłyniemy już z wyspy? Chciałbym ją później oddać ojcu. Można powiedzieć, że ją pożyczyłem, i jestem pewien, że ucieszy go jej zwrot.

Kapitan przybrał bardzo poważną minę, jakby w ogóle nie wiedział, z jakim brzemieniem winy pozyskałem ten przedmiot.

– Doskonale – rzekł – w takim razie mamy umowę. – I złożył mapę równie ostrożnie, jak ją rozkładał, po czym włożył ją do sakwy, zawiesił sobie pasek na szyi i wepchnął ją pod kaftan i pod koszulę, gdzie spoczęła blisko jego serca, tak jak wcześniej spoczywała obok mojego.

– Teraz, kiedy zakończyliśmy tę część naszych spraw – mówił dalej z nieco większą zwawością niż poprzednio – możemy przejść do kolejnych. Muszę prosić państwa, byście udali się do swych kajut pod pokładem i zaznajomili się ze wszystkim. Panie Allan, wszyscy na pokład!

Ostatnia komenda przywołała chudego jegomościa, którego wziąłem za kuka – choć teraz już wystąpił bez fartucha. Za nim zaczęła się hałaśliwa wrzawa, stanowiąca dowód na to, iż wiedzą, czego się od nich oczekuje, i nie potrzebują dodatkowych rozkazów, bo pojawiło się również kilku członków załogi. Bardzo szybko dokończyli załadunek pozostałych skrzyń i podzielili się na dwie grupy – jedna ruszyła do przodu, druga do tyłu, gdzie ustawili się w szyku, gotowi odcumować liny, które przytrzymywały nas przy nabrzeżu.

Pan Allan tymczasem stał z głową przekrzywioną na bok niczym pies wyczekujący komendy „aport!”.

– A, nasz kucharek! – powiedział kapitan. – No to zrób coś, żeby nasi chłopcy mieli jak w domu.

Natty nie ruszyła od razu, jak życzył sobie tego kapitan, ale odgadła to samo co ja i powiedziała do pana Allana:

– Mój ojciec był kukiem na statku. Miał też przydomek. Wołali na niego Rozen.

Biedak zmierzwił włosy z zawstydzonym wyrazem twarzy; najwyraźniej porównanie do pana Silvera było jego zdaniem zbyt wygórowane.

– Kapitan wspominał, sir – i dodał: – I do tego był mistrzem kuchni, jestem pewien. Ja nie mam jego talentów, ośmielam się powiedzieć, w grillowaniu ani w innych dziedzinach. Ale jakże bym mógł mieć w moim wieku? Nieważne, nieważne. Nie będziecie chodzić głodni, póki ja jestem na Słowiku, daję słowo. Mamy mnóstwo zapasów, prawda, kapitanie? Mnóstwo jedzenia. Pański ojciec o to zadbał osobiście i to bardzo wielkoduszne z jego strony, bardzo szlachetne. Mamy suchary i marynowane owoce, i soloną wieprzowinę, soloną wołowinę i największą kiść winogron, jaką widziałem w życiu, i wielkie kawały sera, i całą klatkę kur, i... – pyłował, nie dając innym szansy na wtrącenie słowa. – No, niech pan zobaczy, sir, i pan też – popatrzył na mnie – na wprost, uwaga na głowę, a ja idę za wami. Weźcie sobie po jabłku po drodze. Żaden z nas nie będzie głodował podczas rejsu, to pewne, póki ja tu rządę w kuchni.

Ta paplanina ciągnęła się w nieskończoność, ale ani Natty, ani ja nie zwracaliśmy na nią większej uwagi. Cała nasza trójka przeszła przez pokład i zeszła na dół, do samego żołądka statku. Tu szliśmy wzdłuż ciemnej, wąskiej kuchni, która kończyła się na rufie prostą drewnianą kajutą.

Dwie koje zostały wbudowane w zakrzywiającą się ścianę, jedna nad drugą, i połączone krótką drabinką miały, jak zrozumieliśmy, być naszymi miejscami odpoczynku na czas podróży. Zerknęliśmy po sobie w milczeniu i Natty przejęła inicjatywę, oznajmiając, że bierze tę na dole, a ja miałem wspinać się na górę. Załoga, jak wyjaśnił nam pan Allan, miała swoje kajuty w części dziobowej, za kuchnią, która w pewien sposób oddzielała nas od pozostałych.

Kiedy wszystko zostało już ustalone, pozostawiono nas, byśmy się zadomowili. Trwałoby to trochę dłużej, gdybym nie chciał za wszelką cenę powrócić na pokład i pożegnać się z Londynem. Zostałem na dole na tyle długo, by zauważyć, że moja koka jest niezwykle mała i ciemna, niczym trumna, z której ktoś usunął jeden bok. Poza tym co noc będę musiał się wspinać przy twarzy Natty, aby położyć się tuż nad nią. Na samą myśl zarumieniłem się, robiąc co w mojej mocy, by nie dać nic po sobie poznać. Z

lekceważeniem oznajmiłem, iż ten układ bardzo mi odpowiada. Z tymi słowami wróciłem na górny pokład i znalazłem miejsce za sterem na rufie Słowika, gdzie wkrótce dołączyła do mnie Natty.

Kapitan, jakby czekał na nas, by zademonstrować swoją marynarską maestrię, rozkazał załodze rozpoczęcie rejsu. Wykonali polecenie, błyskawicznie rzucając cumy Słowika na rufie i dziobie, a następnie odpychając nas od nabrzeża długimi tykami. Pozostali natomiast ruszyli kołowrót, by podnieść kotwicę, i śpiewali podczas pracy:

*Ciągnijcie ją, synowie Neptuna – ciągnąć ją,  
Pożegnajcie słodkie panny – ciągnąć ją,  
Wyruszamy z Anglii starej,  
By wypłynąć pośród fale,  
Ciągnijcie ją, synowie Neptuna – ciągnij ją.*

Śpiewali to trzy czy cztery razy, a kiedy praca została wykonana, znaleźliśmy się już o jard od nabrzeża. Załoga na dziobie i na rufie złożyła teraz żerdzie na pokładzie i zaczęła stawiać kliwer, który złapał wiatr z rozkosznie czystym łopoczającym odgłosem, i poczułem, jak Słowik przyspiesza, poruszając się niczym żywa istota.

– Uchyl się! Uchyl się! – zakrzyknął kapitan, kiedy bumpy obu masztów śmignęły nad pokładem, ale załoga знаła swoje rzemiosło i wiedziała, że należy się uchylić. Już po chwili wszystko było znów pod kontrolą i ruszyliśmy w drogę. Kiedy znaleźliśmy swoje miejsce wśród jednostek płynących w dół rzeki, zauważyłem, że woda zaczęła cicho mruzczyć. Było to „gadanie” naszego dziobu, jak to mówili marynarze, który wzruszał niezliczone zmarszczki na powierzchni toni przy wtórze ustawicznego kotłującego się plusku.

Londyńskie nabrzeże szybko zniknęło nam z oczu – doki i domy ustąpiły miejsca otwartej przestrzeni, a później panoramie pól i pastwisk z bydłem, aż dotarliśmy do zamożnych posiadłości Greenwich i niewielkiego falochronu obserwatorium. Widziałem ostatnio wszystkie te elementy krajobrazu, wiosłując tam i z powrotem z Natty, ale z wysokości pokładu Słowika i z mocniejszym poczuciem misji, które teraz mnie opanowało, wszystko to zyskało nową świeżość i znaczenie. Wszystko mówiło mi, że wyjeżdżam, że moje lata szczenięce właśnie się kończą i że teraz sam wybieram warunki mego istnienia.

Te uczucia, ośmielałem się rzec, były zintensyfikowane z powodu obecności Natty u mego boku. Tak czy inaczej, taką miałem wymówkę, bo kiedy wpłynęliśmy w dobrze mi znane zakole rzeki i rozpoznałem okolice mego domu, w oczach nabrzmiały mi łzy. Była to niezwykła chwila, choć nadeszła tak wcześnie w tej podróży, kiedy spostrzegłem na horyzoncie poczerńiałe, stare drewno Hispanioli oraz niską, rdzawą płachtę dachu z dachówek – jakby powracała do mnie jako duch. Przypomniało mi się wtedy zdanie, którego ojciec używał w swych opowieściach, a które on usłyszał od pirata O’Briena zwanego przez niego „cuchnącym Erynem”: „Myślisz, że ten trup jest zabity na śmierć czy może sobie jeszcze pohula?”. Dostrzegłem z niezwykłą precyzją tuzin wijących się ścieżek, którymi chadzałem od dzieciństwa, i przypominałem sobie w jednej chwili setki istnień, które tu widziałem – pardwy i gęsi, letnich gości i lisy, które na nie polowały. Wszystkie zostały ściśnięte w jednym miejscu, jakby widziane przez dziurkę od klucza, na co serce zabiło mi zwawiej, bo wiedziałem, że choć się zbliżam do tego miejsca, ono dla mnie przemija.

Kiedy dotarliśmy do gospody – jakby zrzędzeniem losu – frontowe drzwi otworzyły się i pojawił się w nich ojciec. Miał na sobie stary granatowy marynarski kapelusz, który zachował jako pamiątkę po dawnych czasach, a w prawej ręce niósł cebrzyk z wodą. W pierwszej chwili chciałem instynktownie przykucnąć za nadburciem, zniknąć mu z pola widzenia, ale pomyślałem, że taki gwałtowny ruch

przyciągnąłby tylko jego uwagę, stałem więc bez ruchu i bez słowa, obserwując. Podeszedł do zagonu różanego na granicy naszej posesji, gdzie stykała się ze ścieżką holowniczą, i bardzo dokładnie podlał wszystkie kwiaty wodą z cebrzyka, pilnując, by któregoś nie pominąć. Widziałem, jak ziemia pociemniała. Potem wyprostował się, drugą ręką przeciągnął po krzyżu i rozejrzał się wokół. Choć patrzył wprost na Słowika i najwyraźniej ten widok sprawił mu przyjemność, nie zmienił mu się wyraz twarzy, co w moich oczach było znakiem pełnej bólu bezwzględności. Następnie odwrócił się, wzruszając ramionami, i więcej już go nie widziałem.

Część II

WYPRAWA

# Rozdział 11

## Pożegnanie żeglarza

Tamiza była moją towarzyszką przez całe życie – na jej moczarach stawiałem pierwsze kroki, a jej prądy dały mi niezbędne wykształcenie. Kiedy jednak Słowik minął mój dom, wkrótce znalazłem się w okolicy, której prawie nie znałem. Horyzont nagle się wydłużył, a tego wieczoru, gdy zbladło światło dnia i chmury stężały, świat stał się nagle pusty i przerażający. Domy pojawiały się coraz rzadziej, a w końcu w ogóle zniknęły. Brzegi po obu stronach rzeki osiadły w łąkach mułu. Wody stały się szorstkie w zetknięciu z morską tonią. Z punktu obserwacyjnego na rufie wyobrażałem sobie, jak wznoszące się na nasze powitanie fale zmieniają się w fantastyczną armadę wszystkich wrogów Anglii w całej jej historii – Wikingów, Rzymian, Duńczyków, Normanów, Francuzów, Hiszpanów i Holendrów – którzy całą ciżbą płyną w górę rzeki w stronę Londynu, gdzie będą siał rozpacz i smutek.

Natty zdawała się nie dostrzegać u mnie zmian nastroju, wciąż rozglądała się pogodnie dookoła i z pewnym zadziwieniem spoglądała na każde oświetlone resztką słońca poletko, każdą stodołę i chłopa. Uświadomiło mi to, że choć bardzo kocha swego ojca, jest rada, że zdołała się od niego uwolnić, a wkrótce potem znalazła sposób, by wyrzucić go ze swych myśli. Kleks, którego klatkę powiesiła na kołku w galerii tak, że kołysał się w rytm statku, zdawał się równie spokojny i pogwizdywał sobie na mijających go marynarzy, bądź też wykrzykiwał od czasu do czasu:

– Odrrobinę serra, odrrobinę serra!

Kapitan Beamish natomiast, jako osoba niezwykle praktyczna we wszystkim, co robi i mówi, skupiał uwagę na pogmatwanych prądach, przez co odzywał się jedynie, gdy chciał wydać jakiś rozkaz. Jednak kiedy wypłynęliśmy z ujścia rzeki i złapaliśmy spokojniejszy kurs wzdłuż wybrzeży hrabstwa Kent, zaczął przeplatać polecenia uwagami na temat naszych postępów (mieliśmy dobry czas) oraz komentarzami dotyczącymi wszystkiego, co przykuło jego uwagę na brzegu – włącznie z jakimś wędrownym jarmarkiem czy też cyrkiem, który rozłożył namioty na jednym jego odcinku i bardzo pięknie mrugał światłami nad ciemną tonią.

Załoga pracowała z tak niezmiennym entuzjazmem, iż mogło się wydawać, że praca jest ich drugą naturą. Widać to było szczególnie wyraźnie, gdy po raz pierwszy stawiali wszystkie żagle – grot, pyszny topsel na dwóch bomach i nawet trójkątny żagiel na bukszprycie, żeby ruszyć z kopyta. Moja wiedza na temat rzeki nie przygotowała mnie na tak wspaniałe przedstawienie, bo zajmowały mnie głównie łodzie wiosłowe i rzeczne barki. Tutaj całe niebo nagle pokryło się mocnymi kwadratami i podłużnymi kształtami, z których każdy miał własny rozum, a jednak należał do nas – wydymał się i pęczniał na nasz rozkaz, tak błyskawicznie nadając tempa Słowikowi, że zdawał się raczej lecieć ponad powierzchnią fal, niż sunąć przez nie.

Kiedy to się dokonało, trzeba było kilku marynarzy, by mieli oko na pogodę i dopasowywali całe ozaglowanie do naszych potrzeb. Pozostała część załogi mogła teraz robić, co chciała, więc po zapadnięciu zmroku kilku z nich zebrało się na przedzie statku, gdzie rozwiesili dwie, trzy latarnie i zaczęli ze sobą rozmawiać. Gawędzili tak kulturalnie, iż zacząłem wierzyć w to, co Natty powiedziała mi na temat ich dobrych charakterów.

Stało się to szczególnie widoczne, kiedy wszystko już zostało powiedziane i klamka zapadła – nasz rejs był niczym innym jak wyprawą po skarby, a tym samym miał prawo wywołać wśród załogi niezwykle poziom podniecenia. I prawdą jest, że większość rozmów na pokładzie, włącznie z tą



pierwszą, podsłuchaną przeze mnie, zawsze kończyła się na tym samym, czyli na sztabkach srebra. Moi druhowie wiedzieli od kapitana, że większość spośród nich trafi w ręce pana Silvera, naszego dobrodzieja, ale zapewniono ich również, że pewna część zostanie podzielona między nich jako zapłata i nagroda, gdy wyprawa dobiegnie końca.

Jegomość o borsuczej brodzie, którego widziałem podczas nadzorowania załadunku zapasów i który, jak się dowiedziałem później, posługiwał się mianem bosmana Kirkby'ego, robił, co mógł, by ostudzić oczekiwania marynarzy pod tym względem. Upierał się (co, jak podejrzewałem, mogło być prawdą), że większość skarbu została wywieziona z wyspy podczas wyprawy z udziałem mego ojca. Kilku z nich nie chciało w to uwierzyć, bądź też tłumaczyło sobie napis na mapie „Większość skarbu tutaj” jako znaczną ilość – tak jak i pewien człowiek, który mówił najmniej, lecz widziałem, jak kilkakrotnie splatał palce, po czym je rozwierał, by dotknąć rany za swym poszarpanym uchem.

– Kto to jest? – zapytałem Natty, wskazując na niego głową. Wtedy już odbiliśmy od wybrzeża Sussex i na wydętych żaglach wypłynęliśmy daleko w morze.

– Jordan Hands – powiedziała w końcu, po czym nasunęła swój kapelusz tak, że rondo dotykało jej brwi. – To bratanek Izraela Handsa – dodała beztrąsko, jakby podawała mi cenę sztokfiszki.

– Izraela Handsa? – powtórzyłem zadziwiony. – Tego, którego zabił mój ojciec? Izraela Handsa, który w dawnych czasach był puzkaczem kapitana Flinta?

– Tego samego.

Patrzyłem na nią, wciąż nie dowierzając własnym uszom, ale ona, unikając mego wzroku, ciągnęła nad wyraz spokojnie:

– Jordan jest ważnym młodym marynarzem. Nie masz się czego obawiać. Nie jest taki jak jego stryj. Ojciec mnie zapewnił, że Hands nie żywi do ciebie urazy. Poza tym to właśnie mój ojciec wybrał go na tę wyprawę, więc popłynij z nami tak czy inaczej.

– Ale mówiłaś mi, że całą załogę wybrał kapitan – zaprotestowałem.

– I wybrał – odparła Natty. – Jeśli nie liczyć Jordana.

– W takim razie musi wiedzieć, kim jestem – nie dawałem za wygraną. – Powie pozostałym.

– Wątpię, żeby miał na to ochotę – odparła Natty. – Gdyby tak było, już by to rozgadał. Robisz z igły widły, Jim, nie ma się czym przejmować. Kapitan jest ze wszystkiego kontent.

Zostało to wypowiedziane z nutą wyższości, jakbym był na tyle głupi, żeby dostrzec w tym cokolwiek niestosownego. Ale nie potrafiłem zapanować nad swym zaskoczeniem, które przemieniło się w coś na kształt złości.

– Jak możesz mówić, że nie żywi do mnie urazy? – zapytałem. – Patrząc na niego, powiedziałbym, że marzy o mojej śmierci.

Natty splotła ramiona i odwróciła się plecami do wiatru. Jej twarz błyszczała nieznacznie w świetle latarni.

– To przez jego melancholię – odparła – tylko tyle. Wszystkich wita takim samym spojrzeniem.

– Też mi powitanie – odciąłem się. – Mój ojciec opowiadał o Izraelu Handsie częściej niż o jakimkolwiek członku pierwszej wyprawy, pomijając twego ojca. Był mordercą, i tyle.

– Izrael był towarzyszem mego ojca – powiedziała Natty. – Ale on wcale nie... – Zamilkła i przygryzła kącik ust. – Nie potrafił się przystosować tak jak mój ojciec.

– Nie potrafił się przystosować? – powtórzyłem pospiesznie. – Nie umiał, bo leżał już na dnie morza. Bo mój ojciec go zabił.

Spodziewałem się, że Natty przynajmniej uraczy mnie odrobiną współczucia, najlepiej dla mego ojca i tego, co zrobił, by ratować życie. Ale najwyraźniej nie miała takiego zamiaru. Pokręciła tylko głową,

jakby chciała pokazać, że wszystko, co powiedziałem, było mocno przesadzone, i że nie traktuje mnie serio.

Ja też pokręciłem głową. Poczułem się oszukany i zmuszony do obcowania z zupełnie niepotrzebnym zagrożeniem. Ale nie było żadnego sposobu, by zdławić to uczucie, musiałem zatem zachować czujność. Mogłem być czujny i jeśli nie chciałem zepsuć wszystkiego między nami, powinienem od razu porzucić ten temat, co też niezwłocznie uczyniłem. Jednocześnie uznałem, że to jednak dość niefrasobliwe z jej strony i, co zaskakujące, również ze strony kapitana, skoro uznali, iż pogodzę się z taką bądź co bądź delikatną kwestią. Dzięki temu zrozumiałem właśnie, jak bardzo są oboje zniewoleni przez pana Silvera. Najwyraźniej siła woli i osobowość tego starca były wciąż niezwykle, choć jego ciało niemal dało za wygraną.

Kiedy skierowałem swoją uwagę na resztę moich kompanów, odkryłem, że niemal wyczerpali już temat skarbu. Przypominali sobie jedynie wzajem, że kapitan Flint pozostawił sztaby srebra, składając tam jednocześnie dużo większy skarb – ten, który mój ojciec już zabrał. Konspiracyjne rozmowy prowadzone szeptem świadczyły, że to, co zamierzają odkryć, jest dużo skromniejsze od kosztowności, na jakie mój ojciec natrafił podczas swej wyprawy. Mimo to ten skromny skarb zdawał się emanować swoistą magiczną aurą – mieli chyba wrażenie, że podczas tych rozmów już same słowa emanują swoją poświatą, jakby były odbiciem kawałków srebra połyskujących w kryjówce pod piaskiem.

Te marzenia zostały ucięte jak nożem, kiedy pan Tickle (którego zauważyłem już wcześniej za sprawą jego żółtej fajeczki i krzaczastej brody) przywołał kwestię maruderów – trzech piratów pozostawionych na brzegu przez załogę Hispanioli. Pan Tickle zastanawiał się, cóż mogło się z nimi stać.

– Zostały z nich same kości – oznajmił niespodziewanie bosman Kirkby, co, moim zdaniem, świadczyło o tym, że myśl o ich cierpieniu była mu prawdziwie obmierzła.

– Zajęli się ogrodnictwem – oznajmił drugi, niejaki pan Stevenson, Szkot, chudy jak szczapa, który przeważnie siedział w bocianim gnieździe, skąd obserwował wszystko dookoła.

– Pozjadali się nawzajem – stwierdził pan Allan, który, sądząc po wybuchu śmiechu pozostałych, wypowiadając te słowa, skorzystał z prerogatywy kuka. Ale rozbawienie bardzo szybko zniknęło i nowy głos zdradził myśli kolejnej osoby. Był nią Jordan Hands, którego głos usłyszałem po raz pierwszy.

– Raczej bardzo dobrze na tym wyszli – powiedział. Mówił cicho, ale bardzo stanowczo, jakby jego uwaga opierała się na realnej wiedzy, a nie na domysłach (co oczywiście było niemożliwe).

– Zostali ze sporymi zapasami prochu i naboju, z zestawem leków oraz innymi niezbędnymi przyrządami, takimi jak narzędzia, ubrania, mieli zapasowy żagiel oraz ze dwa sążnie liny. Ponadto myślę, że dostali sporo tytoniu. – Przerwał, by przełknąć ślinę z głośnym mlaśnięciem. – Oraz furę solonej koźliny, którą mogli jeść przed wyruszeniem na polowanie na zamieszkujące wyspę zwierzęta, poza tym mieli jagody i ostrygi. Och, źle na tym nie wyszli, nie ma co do tego wątpliwości. Podejrzewam, że doskonale im się wiedzie.

To oświadczenie podziałało jak zimny prysznic na wszystkich i choć wieczór nie wysączył jeszcze całego światła dnia z nieba, wciąż byłem w stanie dostrzec zawód osiadający na ich obliczach, gdy uświadomili sobie, że wyspa może jednak nie być opuszczona i nie czeka, by wzięli ją w posiadanie.

Pan Allan starał się ich mobilizować. Powtórzył „koźlina, jagody i ostrygi” jeszcze dwukrotnie, z pełnym podziwu mruczeniem, jak to tylko kuk potrafił. Ale jego dobry nastrój trafił w próżnię i rozmowa się urwała. Po chwili wszyscy zaczęli się wyłgiwać z udziału w niej, mówiąc, że muszą skończyć pracę. Cały długi pokład opustoszał, jeśli nie liczyć kapitana za sterem oraz Natty u mego boku. Ale ona powiedziała, że idzie do naszej kajuty, i ziewnęła, by pokazać mi, w jakim celu, po czym życzyła dobrej nocy Kleksowi na jego stanowisku w sterówce (zarzuciła pomarańczową chustę na klatkę) i zniknęła w ślad za pozostałymi.

Gwałtowność tego znikania była zaskakująca. Ale niecodziennosc sytuacji oraz radość z tego, że zostawiono mnie samemu sobie, uświadomiły mi, że powinienem być wdzięczny i chwycić nadarzącą się okazję. Dlatego też ruszyłem w stronę dziobu Słowika, poza krąg światła rzucany przez lampy, gdzie mogłem patrzeć na rozciągającą się przed nami połyskującą toń.

Ogarnęło mnie poczucie wielkiego osamotnienia – takie, które nie bierze pod uwagę kapitana za sterem czy pana Stevensona w bocianim gnieździe, gdzie wspiał się, by jako pierwszy objąć wachtę tej nocy, czy tuzina innych ciepłych ciał pod pokładem, łącznie z Natty. Powtarzałem sobie, że tak jest z powodu właściwego w takiej sytuacji poczucia ogromu świata, którego doświadczałem po raz pierwszy w życiu, i jego obojętności. Nasz statek sunął po falach z nieopisanie cudowną gracją, choć nie było w tym żadnego cudu. Księżyc zaczął wspinać się po niebie wśród chmur precyzyjnie wyliczoną trasą, choć nie wiedział nic na temat czasu. Fale pienily się najdelikatniejszą z mieszanek barwy kremowej i brunatnej, granatowej i czarnej, choć nie wiedziały, co to delikatność.

Wszystko to mogło być dość niepokojące, a jednak przepełniało mnie głębokim poczuciem spokoju. Miałem ręce opuszczone wzdłuż boków i pozwalałem bryzie owiewać mą twarz i piersi, oczyszczać mnie ze wszystkiego, co ciążyło na moim uprzednim życiu. Kiedy tak stałem, usłyszałem początek jakiejś melodii, która okazała się pieśnią wyciskaną przez kapitana na akordeonie. Była bardzo odmienna od znanego „Piętnastu na umrzyka skrzyni” z charakterystycznym „Ho, ho, ho i butelka rumu”, którą śpiewali na pokładzie Hispanioli. W tych niekończących się starych balladach główną rolę grali oczywiście diabeł i mocny trunek. Pieśń kapitana nosiła tytuł „Pożegnanie żeglarza” i była miłosną piosnką, której uczył się za młodu każdy, kto miał wypłynąć w morze. Kapitan grał i śpiewał oparty o ster.

*Żegnajcie, me panny, zostawiam swój dom,  
Me myśli są z wami, czy flauta, czy sztorm,  
Gdy słońce nas pali czy smaga nas szkwał,  
Nadzieja to jedno, co wciąż będę miał.  
Gdy twoja cna miłość rozpala mój żar,  
Twa dobroć i piękno roztacza swój czar,  
Ta myśl jest wciąż ze mną, gdzie bezkres i toń,  
Ocean i gwiazdy wciąż pchają mnie doń.*

Głos kapitana cechowała niezwykła szczerosc i głębia, a jego pieśń przywiodła mi na myśl wszystko to, co dawno już odeszło w zamierzchną przeszłość – moje własne myśli czy raczej wspomnienia o matce i ojcu, i krainie, w której przyszedłem na świat. Wszystko to ożyło bardzo wyraźnie w moich myślach na kilka dobrych minut, ale wkrótce piękno tych obrazów stało się zbyt trudne do zniesienia. Życzyłem kapitanowi dobrej nocy i szybko zszedłem pod pokład, gdzie ciemność przyniosła mi ukojenie. Kiedy spojrzałem na głowę Natty złożoną na poduszce, wydawało mi się, że śpi. Patrzyłem więc w milczeniu, przez chwilę podziwiając ciemne piękno jej oblicza, a szczególnie zamknięte oczy, które zdawały się drzeć pod powiekami, jakby była świadoma mej obecności. Napełniło mnie to wspaniałym uczuciem udziału w jakimś niezawianym spisku, choć jednocześnie było mocno niepokojące. Chwilę później wspiałem się na górę po małej drabince, położyłem na swojej koi i mocno zacisnąłem powieki.

## Rozdział 12

# Śmierć Jordana Handsa

Pogoda obchodziła się z nami łaskawie i w dwa dni Słowik opuścił Start Point u wybrzeży Devonu, gdzie po raz ostatni mogliśmy spojrzeć na naszą starą Anglię. Załoga zgromadziła się na pokładzie o wschodzie słońca i stała w milczeniu, tak jak widziałem to raz czy dwa w wykonaniu publiczności w teatrze w latach szkolnych. Nasz spektakl nie rozgrywał się na pierwszym planie, bo też nie było na nim nic ciekawego poza kilkoma mewami krążącymi w skąym świetle, lecz raczej na drugim, gdzie dym unosił się z kominów chat, łodzie rybackie powracały do portu, a mikroskopijne postacie kłębiły się na nabrzeżach. Żadna z tych sztuk nie ukazywała konkretnego obrazu życia mieszkających tam ludzi, były jednak konceptem życia, którego za nic nie chcieliśmy utracić – bez względu na nagrodę, która czekała nas gdzie indziej. Wtedy właśnie pojąłem po raz pierwszy namacalną prawdę – każda morska wyprawa daje przedsmak śmierci, zanim pozwoli się odrodzić na nowo. Odkrycie to sprawiło, iż znalazłem się w grupie tych kilku, którzy z wielką pokorą, w milczeniu zasiedli do posiłku serwowanego przez pana Allana poprzedniego wieczoru i wcześniej położyli się spać.

Śmiem twierdzić, że moi kompani ze statku nie byli zaskoczeni, widząc, że tak postępuję. Moja pozycja na pokładzie nie czyniła ze mnie ani członka załogi, ani też gościa, a ja sam już oderwałem się od biegu wydarzeń. Tak samo było z Natty, znaną na Słowiku jako Nat. W trakcie kolejnych dni, gdy ustanowił się już rytm naszej podróży, zostaliśmy zepchnięci do pozycji, którą można określić słowem *majtek* (zwija liny, szoruje pokład, maluje reling i tak dalej), a w najgorszym przypadku *próżniak* (śpi, gapi się i myśli o niebieskich migdałach). Natty, śpieszę tu dodać, często łajano w łagodny sposób za to, że była niezwykle dziewczęcym chłopięciem w swoim podejściu do wykonywanych zadań – mogła się napinać i odzywać szorstkim głosem ile wlezie. Większość tych uwag przyjmowała, jakby była całkowicie obeznana z takim obcesowym traktowaniem, co okazało się skutecznym sposobem na ukrycie prawdy.

W świetle wszystkiego, co tu powiedziałem, stało się oczywiste, że Natty i ja niemal przez cały dzień przebywaliśmy w swoim towarzystwie – i niemal przez całą noc. W naszej bliskości zachowywaliśmy jednak pewną rezerwę. Nie mogliśmy sobie pozwolić na żadną uwagę, która świadczyłaby o rozkwicie naszej przyjaźni. Gdybyśmy się na to poważyli, a którykolwiek z członków załogi by to zauważył, mogłoby to grozić ujawnieniem tożsamości Natty. Spowodowałoby to też doprowadzenie mego serca do stanu, nad którym nie mógłbym dłużej zapanować. Poza tym i pomimo wszystkich ciepłych myśli, jakie wywoływała u mnie Natty, w tamtym okresie mego życia byłem raczej skłonny do skrywania swych uczuć niż wystawiania ich na tacy, gdyż żywiłem głęboki lęk przed kpinami płci pięknej. Wspominając to po tylu latach, podejrzewam, że odkryłem niezawodny sposób na zwiększenie swych młodzińskich frustracji. Wtedy miałem wrażenie, że moja bojaźliwość oraz samodyscyplina zachęcają mnie jedynie do chłonięcia wszystkiego i radowania się wszystkim, a oszczędzają mi lęków przed tym, co może się stać później.

Dziesięć dni po tym, jak straciliśmy z oczu wybrzeże Anglii, wiatr, który pchał nas od samego Londynu, nagle osłabł i stanęliśmy w martwej ciszy. Wolałbym raczej zgłupieć, zobojętnieć czy stracić przytomność, niż ponownie znosić lenistwo tych chwil. Jak długo to trwało? Nie jestem w stanie powiedzieć. Może z tydzień. Może i dwa. Może całą wieczność. Tak czy inaczej, na tyle długo, że zacząłem podejrzewać, iż żywot żeglarsza jest najbardziej beznadziejnym, najbardziej nużącym i

bezsensownym zajęciem w całym chrześcijańskim świecie. Żagle zwisały luźno niczym całun. Gawron, który leciał za nami od Zachodniego Kraju i najwyraźniej miał zamiar emigrować do Ameryki, przyłgął do naszego dziobu i zamknął ślepią. Ocean Atlantycki, który wyobrażałem sobie jako bezkresną połączyącą bałwanów, zamarł w migotliwym bezruchu i tak rzadko coś się działo na jego toni, że pojawienie się przepływającej kłody czy kępy wodorostów stawało się wiekopomnym wydarzeniem. A marynarze? Choć kapitan robił, co mógł, by znaleźć im jakieś zajęcie, wyznaczając zadania takie jak naprawianie żagli i sprawdzanie zapasów, załoga stopniowo zapadała w letarg, a stamtąd było już o krok od o wiele bardziej markotnych nastrojów.

Nietrudno, nawet komuś tak zielonemu na morzu jak ja, zdać sobie sprawę, iż ten nastrój mógł przerodzić się w coś o wiele bardziej niebezpiecznego. Choć załoga darzyła swego szczyra dużym szacunkiem i składała się głównie z osób o dobrym usposobieniu, szanujących prawa morskie, w ich zachowanie wkradła się pewna bezczelność. Człowiek, który niemal spadł z takielunku, został obsobaczony bardziej, niż na to zasługiwał. Kleksowi, którego regularne ostrzeżenia, by „trzymać się z dala” i tym podobne uwagi w tej ciszy dźwięczały niczym walenie w żelazną sztabę, zagrożono, że skończy jako pieczone, w dodatku takim głosem, iż zacząłem się poważnie niepokoić o jego życie. Podczas gry w kości i w karty, w które to załoga grała bez opamiętania w cieniu żagla przekształconego w coś przypominającego namiot, padały coraz bardziej siarczyste obelgi i przekleństwa. Nawet kiedy kapitan zabawiał nas, grając na swej guzikówce, ledwo kilka głosów dołączało do jego śpiewu – i do tego bardzo niechętnie. Pamiętam, jak jeden raz zaśpiewał rubaszną starą piosnkę zaczynającą się od słów „Nie trzeba mi...”, w której udawał kobietę, by nas rozbawić – choć nikomu nie było do śmiechu.

*Nie trzeba mi twych słodkich słów, łobuzie,  
Zachowaj sobie cały wdzięk i czar,  
Wiem, co ci po łbie chodzi, gdy tak szczerzysz buzię.  
Wianek mój jest, choć chętnie byś go skradł.*

Innym razem wykonał dla nas całą balladę pod tytułem „Pani Anna” i nie dołączył do niego ani jeden głos.

*Miłość ma piękna jak ze snu  
Na łąkę hen ze mną wybiegła,  
Słodka panno, spocnijmy tu.  
Ale nie, panna nie uległa.  
W dębinę prowadzę dziewczę hoże,  
W gęstwinę, gdzie ptaków śpiew,  
Słodka panno, mówię, spocnijmy tu może,  
Lecz nie, bo ona słyszy tylko szelest drzew.  
Strumień się wije, wartki i długi,  
Kamienna ścieżka wiedzie tam,  
Przejdź, panno, ze mną na brzeg drugi,  
Lecz ona na to – ty idź sam.  
O panno słodka, mówię jej,  
Bo dość mam już tych dąsów.  
Serduszko swe otworzyć chciej.  
Litości. Starczy pąsów.  
O panie, mówi, cały świat  
Ja pragnę kochać szczerze,*

*Tyś dla mnie jest niczym brat,  
Ale to Boga kocham i wierzę.  
Wzdycham tedy i cierpię katusze,  
Samotność moją znosić mam,  
Bo serca swego słuchać muszę,  
Co przypomina, żem wciąż sam.*

Kiedy kapitan śpiewał tę pieśń, zamyśliłem się głęboko, jak to się zwykle zdarza, kiedy człowiek słyszy piękną melodię. Szczególnie zacząłem rozmyślać nad tym, czego nauczyła mnie nasza beczynność – że każdy człowiek ma naturalną tendencję do upadku. Kolejna myśl była równie niepokojąca. Zrozumiałem, że popełniłem błąd, myśląc, iż urodziłem się w spokojniejszych czasach niż mój ojciec. Być może i rządy za pomocą swych marynarzy zaczęły wypleniać piractwo, wśród którego wzrastał, a załoga Słowika mogła sobie myśleć, iż stanowią szlachetniejszą wersję dzikusów niż ci, z którymi pływał pan Silver. Ale niczego nie uczyniono, by zmienić podstawowy fakt dotyczący natury ludzkiej – czyli apetyt na odrobinę zdziczenia, który niezmiennie przechodził z pokolenia na pokolenie i zawsze pojawiał się, gdy tylko nadarzyła się stosowna okazja.

Cisza, w której wszyscy marnieliśmy, stanowiła właśnie taką nadarzącą się okazję. Wystarczy powiedzieć, że wkrótce załoga zaczęła się traktować wzajem w sposób więcej niż irytujący, co objawiało się w rozmaitych formach tego schorzenia – i w końcu nastał dzień, w którym Jordan Hands przedzierzgnął się w jawnego wicherzyciela. Natty i ja usłyszeliśmy o tym, gdyż siedzieliśmy w naszym zwyczajowym miejscu, czyli w sterówce przy otwartych drzwiach, kiedy bosman Kirkby doniósł kapitanowi, że Hands napuszcza na siebie członków załogi, sieje niezgodę i podsyca animozje, a sam zawsze wyłguje się i udaje pierwszego naiwnego. Choć nie można było oskarżyć Handsa wprost o żaden występki, kapitan niezwłocznie wezwał go i zażądał wyjaśnień.

Hands przeszedł przesłuchanie, nie zaszczycając oskarżyciela nawet jednym spojrzeniem, całą uwagę skupiając na Natty i na mnie – z jego perspektywy musieliśmy przypominać ławę przysięgłych, kiedy tak siedzieliśmy na naszej ławeczce w sterówce. Choć nie powiedział niczego istotnego dla sprawy, nieustannie powtarzane, zupełnie niepotrzebne aluzje do jego wuja waliły we mnie z taką siłą, jakby rozdzielał serię ciosów.

– Mój wuj nienawidził ciszy morskiej – mówił. – Mój wuj wiedział, jak ustawić żagiel, żeby złapał tchnienie motyla. Mój wuj – to powiedział ze szczególnym entuzjazmem, patrząc mi prosto w oczy – wiedział, jak wycelować działem tak, żeby zdmuchnąć łepkę zapałki ze stu jardów.

Kiedy przesłuchanie dobiegło końca, kapitan odesłał Handsa z ostrzeżeniem, że ma pamiętać o przystojnym języku i o tym, że należy żyć w zgodzie z kolegami – na co ten uśmiechnął się tylko do siebie i zniknął na dolnym pokładzie. Kapitan najwyraźniej uważał, że nie wykracza to poza zachowanie osoby dotkniętej „morską gorączką”, a nie na miejscu byłoby zadawanie kłamu jego słowom.

Pod koniec dnia, kiedy znaleźliśmy się sami w naszej kabine, zwierzyłem się jednak ze swych wątpliwości Natty. Powiedziałem jej prosto z mostu, że moim zdaniem Hands ma zamiar zrobić mi krzywdę. Parsknęła tylko szyderczo – a potem usłyszałem, że chyba uważam się za bardzo ważną osobę, skoro zakładam, że Hands uzna mnie za wartego zachodu. Zrozumiałem, że nie mam wyjścia i muszę przełknąć tę krytykę. Jednocześnie zostałem wplątany w jego sprawy, a wiedziałem, że bynajmniej nie pała do mnie sympatią. Na tę myśl czułem znaczny przypyły strachu. W nocy nie mogłem zmrużyć oka, leżałem, nasłuchując kroków na schodach z górnego pokładu na długo po tym, jak sama Natty już smacznie zasnęła.



Konsekwencje tego wydarzenia nastąpiły z zaskakującą prędkością, gdyż rada, jaką kapitan udzielił Handsowi, zamiast uspokoić, jedynie go rozzuchwaliła. Na drugi dzień zobaczyłem, jak kroczy buńczucznie po górnym pokładzie, w bardzo wyzywający sposób wpadając na innych, choć mógł ich ominąć, i szepcze jakieś złorzeczenia, udając, że mówi do samego siebie.

Natty, kiedy zwróciłem na to jej uwagę, w końcu była skłonna uznać, że nie przesadzam, mówiąc o niebezpieczeństwie, jakie ze sobą niesie.

– Postradał zmysły – powiedziała mi, co najwyraźniej jej zdaniem oczyszczało ją z grzechu błędnej oceny. Powiedziałem, że ja też mam takie wrażenie. Hands kręcił głową, kiedy się odzywał, i skubał nerwowo swoje długie palce o czerwonych kłykciach.

Tego rodzaju pobudzenie, choć niepokojące, w swej istocie powinno być powodem współczucia. Kapitan najwyraźniej tak właśnie myślał, dlatego też nie zamknął od razu Handsa pod kluczem. Gdyby mógł baczniej mu się przyjrzeć, pewnie postąpiłby zgoła inaczej – co oszczędziłoby mu później większych trosk. Ale mówiąc wprost, na tym etapie podróży kapitan często znikał z pola widzenia, ponieważ brezentowe schronienie, pod którym załoga grała w karty, gdzie Hands często wpadał i wychodził, zostało rozciągnięte między dwoma masztami Słowika i było jedynie po części widoczne przez stojącego na rufie Beamisha. Z tego powodu to nie on, lecz Natty i ja widzieliśmy w najdrobniejszych szczegółach wszystko, co się stało, ponieważ często zabijaliśmy nudę, przechadzając się po pokładzie, chłonąc widok połyskliwych fal i patrząc na horyzont.

W dniu, o którym mowa, połowa załogi utworzyła okrąg w swoim namiocie, a większość z nich siedziała po turecku, wychylając się do przodu, by obstawiać zakłady, ciskać kartami o deski lub zgarniać wygraną (zakłady i wygrane miały postać szklanych kulek, kawałków kości i innych przedmiotów przedstawiających części skarbu, które, jak się spodziewali, przypadną im w udziale). Hands był w tej grupie – stał poza kręgiem, jak to miał w zwyczaju, obserwował grających i od czasu do czasu rzucał lekceważące uwagi. Upał tego popołudnia oraz nasz ogólnie ospały nastrój sprawiał, że z początku puszczano mimo uszu te docinki jako zupełnie nieistotne.

Natty i ja wciąż krążyliśmy w naszym patrolu, przestępując nad pasami smoły w miejscach, gdzie upał wybrzuszał je między deskami pokładu. Ocean robił swoje chlup, chlup, uderzając niemrawo o burtę. Takielunek odpowiadał swoim skrzyp, skrzyp. Stęk, stęk, wtórowały maszty. Nasze umysły zapadały się coraz niżej, przechodząc w stan połowicznego uśpienia na jawie, w którym zwykła czujność bywa mocno przytępiona. Przytępiona, a następnie całkowicie odwieszona na kołek, ponieważ nie byłem nawet w stanie ogarnąć myślami transformacji oglądanej sceny.

W świetle późniejszych relacji ustalono, że Hands rzucił jakąś szczególnie ordynarną obelgę w stronę jednego ze swych kolegów z załogi, ryżawego mężczyzny o nazwisku Sinker, znanego z braku poczucia humoru, być może na skutek żartów z jego nazwiska\*\*\*\*\*. Sinker odciął się równie knajackim słowem – na co nagle wszyscy porzucili grę w karty i przerwano krąg grających. Hands i Sinker stanęli w przysiadzie na wprost siebie, z bosymi stopami na pokładzie, z opuszczonymi ramionami i nożami w dłoniach.

W chwili, w której to spostrzegłem, podbiegłem do nich z Natty i bosmanem Kirkbym. Kapitan, który musiał zobaczyć coś zza masztu, wkrótce do nas dołączył. Wtedy wśród załogi zapadła taka cisza, że nawet odgłos przesuwanych po deskach pokładu bosych stóp walczących zdawał się niczym wystrzał, a głos kapitana, gdy w końcu odzyskał mowę, zabrzmiał niczym sygnałówka.

– Natychmiast przestańcie! – zadudnił, kładąc sobie dłonie na biodrach i odsłaniając połą płaszczą, by pokazać rapier wiszący u pasa. Na jego obliczu pojawił się kategoryczny nakaz, który przypomniał wszystkim, że Słowik to jego statek, a on jest tutaj pierwszy po Bogu.

Fakt, że ani Hands, ani Sinker zupełnie nie zwrócili na niego uwagi, jedynie wzmógł jego wściekłość.

– Macie natychmiast przestać! – powtórzył głośniej. – Skończcie z tym i niech więcej o czymś takim nie słyszę.

Byłem świadom (gdyż dostrzegłem w powietrzu coś czarnego, przypominającego cień), że nasz towarzyski gawron opuścił swój posterunek na dziobie i usiadł na takielunku. Sinker, który zaczął opanowywać swój gniew, stanął w bezruchu. Hands jednak zdawał się ześlizgiwać po równi pochyłej swego skołatanego umysłu i kontynuował łowy. Być może nie powinno mnie to zdziwić, gdyż wiedziałem, na co było stać jego zabitego krewnego. Pewnie nie powinien mnie też zaskoczyć jego kolejny ruch – który, co przyznaję, wstrząsnął mną do głębi. Odwrócił się, jakby od niechcienia, w stronę obserwatorów, przemknął spojrzeniem po naszych twarzach, po czym wyłuskał mnie z grupy i posłał mi sarkastyczny uśmiech, jakby chciał powiedzieć: „To ciebie chcę ukarać, Jimie Hawkinsie. Ciebie. Nikogo innego”.

Wtedy Hands znów zamachnął się na Sinkera, odrzucając włosy z oczu i płynnie przerzucając broń z jednej dłoni do drugiej. Po kilku chwilach pchnięć i uników odezwał się – bardziej do mnie, tak to odebrałem, niż do Sinkera:

– Oszukałeś mnie.

Przemówił zupełnie spokojnym głosem, wcale nie zdenerwowany. W rzeczy samej mógł wcale nie być zawiedziony pomrukiem, jaki narastał wokół niego, ba, mógł go wziąć za odgłos aprobaty. Dostrzegłem, że na chwilę niemal się wyprostował i wzruszył ramionami, który to gest zdał mi się preludium do zawarcia pokoju, uścisku dłoni i powrotu do gry w karty.

Jakże się myliłem. Hands nie zamierzał ustąpić. Badał jedynie swoją przewagę. Przechylając się w lewo i ściskając mocniej nóż (zobaczyłem jego zbielałe kłykcie), szybko cisnął nim w przód.

Przód koszuli Sinkera, który do tej pory wisiał luźno na jego kościstych ramionach, nagle naprężył się nad sercem, jakby zaczepił o niego cierń. Wokół ciernia wykwitła czerwona plama. Sinker stał i ani drgnął. Przekrzywił tylko głowę w dół, by spojrzeć na ranę. Zdawał się tym widokiem niezwykle zdumiony – podobnie jak my wszyscy, sądząc po bezruchu, jaki nas zdjął. W końcu z nieopisaną opieszałością chwycił rękojeść noża i spróbował wyszarpnąć ostrze z ciała. Kiedy ostrze nie dawało za wygraną, po jego twarzy przemknęło coś na kształt cienia irytacji, ale takiej łagodnej, jakby za chwilę miał zniknąć na dole w kambuzie, by pocieszyć się chrupiącym sucharem. Nagle jego oblicze stało się maską smutku i nogi się pod nim ugięły. Nie zrobił nic, by złagodzić upadek, tył jego głowy łupnął z łoskotem o pokład, a dwóch kolegów przypadło do niego i przyklękło. Jeden sprawdził puls, po czym rozejrzał się po twarzach marynarzy i wydał usta.

Mój pierwszy trup.

Byłem tak pochłonięty rozwojem wydarzeń, że nie miałem bladego pojęcia, co może nastąpić dalej. Ale kiedy patrzyłem na leżącego Sinkera, uświadomiłem sobie, że powinienem zacząć się bać, w końcu Hands mógł teraz rzucić się na nas, a zwłaszcza na mnie, by kontynuować atak szaleńca. Nie mogłem myśleć o niczym innym, jak o podeszwach stóp Sinkera, które sterczały w moją stronę, poplamione smołą i spękane niczym dno wyschniętego strumienia. Kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem, że Hands wpadł w równie dziwną zadumę. Nie miał zamiaru ścigać kolejnych ofiar, stał tylko bez ruchu, wyczerpany, a całe jego ciało było bezużyteczne niczym żagle, które sflaczały wisiły nad naszymi głowami.

W takim to odrętwieniu bardzo łatwo było dwóm marynarzom pojmać go na rozkaz kapitana. Bez żadnego problemu zaprowadzili go pod pokład i zamknęli w brygu, gdy tymczasem pozostali zabrali ciało przyjaciela i włożyli je do długiego worka, wcześniej wyszarpując nóż z piersi.

Kiedy to wszystko zrobiono, odnalazłem w sobie zapasowe pokłady energii – przynajmniej na tyle duże, że byłem w stanie wziąć Natty za ramię i zaprowadzić ją na sterburkę Słowika, gdzie mogliśmy kontemplować czystą wodę chlupocącą poniżej. Nasze milczenie nie wynikało z faktu, że nie mieliśmy

niczego do powiedzenia – choć ja nie byłem pewien, czy w takiej sytuacji można było powiedzieć za dużo. Po raz pierwszy ujrzałem Śmierć. Poczułem, jak ciepła powłoka mego życia rozwiera się na oścież, i dojrzałem pod spodem coś zimnego. Były to sprawy oczywiste, choć pytanie pozostało. Czy świadkowałem jakiejś aberracji, czy też wiarygodnej prawdzie?

Z oblicza Natty, na którym dostrzegłem zielonkawy odbłask fal, nie można było wyczytać, czy zastanawia się nad tym samym. Tak jak wtedy, gdy wiozła mnie w łodzi w górę rzeki, i ponownie, kiedy usiedliśmy z jej ojcem w kokpicie, skrywała bacznie swe myśli. Mogłem zaryzykować twierdzenie, iż oto zapałaliśmy do siebie większą sympatią, ale wiedziałem też, że jeśli chcę, by to uczucie jeszcze się pogłębiło, powinienem bardziej czynnie zacząć domagać się jej afektów.

Możliwe, że tego typu myśli zaprzatające mój umysł w kilka chwil po morderstwie nie były naturalne. Ale jeśli mam zdać prawdziwą relację z moich przygód, muszę przyznać, że w tych szczególnych okolicznościach czułem raczej ciekawość niż czułość. A moja ciekawość urosła do rozmiarów fascynacji, gdy kapitan po rozmowie z bosmanem Kirkbym zjawiał się na rufie, by zburzyć spokój, jakim rozkoszowałem się w towarzystwie Natty, i poinformować nas, że nasza obecność jest niezbędna.

Powstrzymałem się wtedy nieco, gdyż prośba ta miała w sobie moc rozkazu, a ja przywykłem rozmawiać z kapitanem językiem przyjaciół. Ale rozumiałem ten pośpiech i ruszyłem z bosmanem, aż znaleźliśmy się w połowie statku, gdzie wciąż leżało ciało Sinkera. Wszystko przebiegło z należyтым poszanowaniem obyczaju, ale całość i tak była mocno prozaiczna – nieboszczyk miał na sobie ubranie, w którym został zabity, z wciąż świeżą krwią na koszuli, cienkie i długie włosy spadły mu na twarz. Prawe oko było półprzymknięte, jakby po raz ostatni obrzucał świat przebiegłym spojrzeniem, a tym samym zauważał, że worek, na którym leży, jest bardzo brudny i usiany drobinami ziarna.

Kapitan stał przy ciele, a reszta załogi ustawiła się w półokręgu na wprost niego. Poinformował nas bardzo oficjalnie, że mamy do wypełnienia dwa zadania – pierwsze to pochówek. Wyciągnął z kieszeni swego płaszcza niewielką książeczkę do nabożeństwa, która, jak zauważyłem, była mocno wyświechtana i miała kilka luźnych kartek. Odnalazłszy właściwy rozdział, przystawił książeczkę bliżej twarzy i zaczął czytać. Szybko przemykał po właściwych słowach, co było oznaką, że wcale nie w smak mu ten obowiązek, a kiedy dotarł do ustępu o powierzaniu członka załogi morskim głębinom, naprawdę spojrzał wilkiem na bosmana Kirkby'ego i pana Tickle. Na ten znak podnieśli biednego Sinkera i postąpili z nim zgodnie z jego nazwiskiem. Unieśli go na worku i przerzucili przez burtę. Gdy usłyszeliśmy plusk, wiedzieliśmy, że rozpoczął lepszy żywot.

Zanim znów zdążyła zapaść głucha cisza, kapitan pospiesznie zamknął swój modlitewnik, poprawił kapelusz, odchrząknął i zawołał, żeby przyprowadzono na pokład Jordana Handsa. Kiedy to zrobił, uświadomiłem sobie, że ten pośpiech nie był wynikiem braku powagi dla smutnego obowiązku, który właśnie został spełniony, ale oznaką nerwowości stanowiącej zapowiedź tego, co miało nastąpić dalej – gdyż wymagało to zupełnie innych kwalifikacji oraz wiązało się z konfrontacją.

Chwilę później Hands stanął twarzą w twarz z kapitanem – miał związane nadgarstki, a u jego boku maszerowali bosman Kirkby i pan Tickle. Jakby na przekór Hands odchylił głowę w tył i wystawił koniuszek języka z ust. Zauważyłem, że ma zabandażowany kciuk, skaleczony podczas walki.

Kapitan wciąż był zaczerwieniony i niezwykle poważny, co spostrzegłem, kiedy zdjął kapelusz i wepchnął go sobie pod pachę, jakby w taki sposób pokazywał, że dowodzi nie tylko Słowikiem, ale całym światem. W tej samej chwili słaby podmuch wiatru – pierwszy, jaki poczuliśmy od wielu dni – dmuchnął w żagle i je naprężył. Statek błyskawicznie zaczął sunąć halsem, a linia horyzontu za kapitanem zniknęła na chwilę, po czym znów się wyłoniła. Choć byłem pochłonięty pierwszym planem sceny, nie mogłem nie zauważyć, że jeden z marynarzy (niezwykle filigranowy mężczyzna, pan Lawson) oderwał się

od grupy i podreptał na rufę – by złapać za ster, jak sądzę, ponieważ było jasne, że nasz zastój właśnie się skończył i wkrótce znów ruszymy w drogę.

Ta zmiana wywołała falę rozmów między marynarzami. Kilku z nich odwróciło się, by spojrzeć za siebie, gdzie słońce właśnie zaciągało się chmurami. Kapitan przebiegł palcami po włosach i rozkazał im słuchać, dopóki nie skończy sprawy, którą właśnie zaczął. Mówił tym samym pospiesznym głosem co wcześniej. Teraz przynajmniej miał wymówkę, bo statek go ponaglał.

– Panowie – zaczął, na co jeden czy dwóch marynarzy uniosło brwi ze zdumienia, bo żaden z nich nie poczuwał się do tego miana. – Panowie, będę mówił krótko, ale treściwie. Sprawując pełnię władzy jako kapitan tego statku, biorę was na świadków, że ten oto Jordan Hands stoi tu oskarżony o zamordowanie Roberta Sinkera i pragnę poinformować was, że zamierzam trzymać go w kajdanach aż do naszego powrotu do Anglii, gdzie stanie przed sądem, który rozpatrzy jego sprawę.

Kolejna, tym razem bardziej mroczna fala szeptów, której nie dało się jasno zinterpretować, przetoczyła się wśród marynarzy. Najpierw pomyślałem sobie, że nie podoba im się wyrok kapitana, choć mnie zdał się całkiem rozsądny. Ale po chwili zrozumiałem, co potwierdzili też bosman Kirkby i pan Tickle napierający na Handsa z obu stron, że wszyscy chcą kary w trybie doraźnym. Muszę wyznać, choć nie ode mnie to zależało, że nie uśmiechała mi się dalsza podróż z mordercą wśród nas – który tylko czekał, żeby uciec lub, co bardziej prawdopodobne, by rzucić się na nas.

Co do samego więźnia – od chwili popełnienia zbrodni zdawał się mocno napuszony, stał bez trwogi i rozglądał się wokół z wielką pewnością siebie. Skłoniło mnie to do konkluzji, że stając się łotrem, odsłonił swoje prawdziwe oblicze, co uznałem za przerażającą perspektywę.

– Zaprowadźcie go pod pokład – powiedział kapitan, co ucięło ten tok rozważań. Odczytał poruszenie wśród swych ludzi jako oznakę przyzwolenia i nie zauważył, bądź też nie chciał zauważyć zmiany, jaka zaszła w samym Handsie. Nie czekając, aż jego rozkaz zostanie wypełniony, nacisnął kapelusz na głowę, sprawdził guzy swego płaszcza i ruszył w kierunku steru, gdzie przejął koło od pana Lawsona.

Kiedy poszedł, większość załogi również rozeszła się do zajęć, ponieważ teraz spływniki Słowika znajdowały się pod wodą. Bomy szarpało w gniazdach, piórem steru miotało na boki, a cały pokład skrzypiał, jęczał i podskakiwał niczym na torturach. Jedni ruszyli do naciągania lin, inni zatrzaskiwali rygle w drzwiach i kłapach, drudzy znikali w kajutach, by zabezpieczyć wszystko pod pokładem. Natty i ja zajęliśmy nasze miejsce w sterówce, gdzie Kleks powitał nas swoim:

– Ostrrrroźnie, ostrrrroźnie – na co powinienem zwrócić znacznie baczniejszą uwagę.

Choć minęła ledwo chwila od tego sądu, niebo było teraz całkowicie zaciągnięte chmurami. Ocean, jeszcze niedawno gładki jak stół i gęsty jak stare drewno, teraz zaczął wyrzucać z siebie fale, z których część była już spieniona na szczycie. Miarowy wiatr, posiekany deszczem, wdarł się w każdy z postawionych żagli – a dźwięk ich rozciągania i napinania był piękną muzyką dla naszych uszu. Zmiany, jakie zaszły, nie podobały się jedynie naszemu okrętowemu gawronowi, gdyż zaczęło go zwiewać ze stanowiska na takielunku. Krążył teraz wokół nas, psiocząc ile wlezie w swoim języku. Kleks, który najwyraźniej go usłyszał, zamknął swe czerwone ślepka i udawał całkowitą obojętność.

Ten cały pośpiech dał Handsowi szansę, jakiej potrzebował. Widząc go stojącego przed sądem, każdy pomyślałby, podobnie jak ja, że końcówki lin pętających mu nadgarstki trzymali stojący obok niego marynarze. Byłem jednak w błędzie – a to pozwoliło mu cieszyć się dużą dozą swobody, nawet kiedy rozpoczął swój powrót pod pokład. Ta swoboda była w rzeczywistości na tyle duża, że zamiast iść potulnie tam, gdzie mu kazano, zadziwił nas wszystkich, skacząc niespodziewanie w bok i lądując na szandku okalającym burty Słowika. Tam, mimo że statek nabierał prędkości, bez trudu utrzymywał równowagę i przeżył się niczym mówca. Wszyscy zamarli i spoglądali na niego w milczeniu.

Przez chwilę wydawało mi się, że zaraz zdemaskuje Natty i ogłosi, że Nat jest w rzeczywistości młodą kobietą, albo też wykrzyczy wszystkim, kim był mój ojciec. Ale jego tyrada dotyczyła bardziej ogólnych kwestii.

– Dlaczego? – zawołał do nas wszystkich. – Dlaczego mam cierpieć w ciemnościach po to, by na koniec zdechnąć w Anglii? – Jego głos był równie roztrzęsiony jak ciało, a on prześlizgiwał się ze słowa na słowo w dziwnym żargonie niczym pijany. – Moje życie należy do mnie – ciągnął. – Mam prawo zatrzymać je bądź stracić, a na pewno nie dam nikomu z was nim rządzić. – Zamilkł i potoczył złym spojrzeniem, zatrzymując się na kapitanie, a mówiąc dokładniej, na jego gardle, jakby miał zamiar poderżnąć mu je od ucha do ucha. Po tej chwili pogardy przebiegł oczami po pokładzie, aż odnalazł moją twarz za szybą sterówki. Skuliłem się pod jego wzrokiem niczym sztubak besztany przez dyrektora szkoły.

– Jim Hawkins! – zawołał do mnie, cedząc słowa tym samym rozwłóczonym głosem. – Miałem nadzieję, że linie naszego życia potoczą się chwilę obok siebie, żeby można było rozstrzygnąć naszą waśń tak, jak postanowiłem.

Wbił we mnie wzrok, mówiąc to, co w tym całym zamieszaniu ledwo pojąłem.

– Ale niech i tak będzie. – Słyszałem jego głos nacechowany przerażającą szczerością. – Wciąż mam wystarczająco dużo powietrza w płucach, by cię przekląć. Co niniejszym czynię, Jimie Hawkinsie. Przeklinam cię. Niech wszystko, czego pragniesz, zmieni się w męczarnię, a wszystko, co dostaniesz, niech spłynie trucizną.

Powiedziawszy to, kiedy już najwyraźniej zaczynał się na dobre rozkoszować swoim ulubionym tematem, który miał zamiar ciągnąć jeszcze przez kilka zdań, zamknął usta, czerwony koniuszek języka zniknął, a jego samego uniósł porywisty wiatr. Hands wisiał przez chwilę w powietrzu, łopocząc połą swej koszuli, po czym bezgłośnie zniknął nam z oczu.

Wszyscy, którzy mogli podbiec, zrobili to; ja jako jeden z ostatnich zjawiłem się w miejscu, w którym zniknął, i musiałem się przepychać, by zobaczyć ostatni akt tego dramatu. Hands tkwił pionowo w wodzie niczym drewniany posąg podskakujący wśród stromych, szarych fal. Miał oczy szeroko otwarte i pospiesznie lustrował twarze załogantów, gdy prąd przesuwiał go wzdłuż burty statku. Po tej chwili śledztwa znów się odezwał, czy raczej zaczął krzyczeć:

– Przeklinam was, przeklinam, przeklinam, przeklinam!

Nikt nawet nie próbował rzucić mu liny, której i tak nie byłby w stanie złapać. Patrzyliśmy w milczeniu, jak wiatr pospiesznie odciąga nas od niego. Chciałem pobiec na rufę, by spojrzeć na Handsa raz jeszcze, zanim całkiem zniknie, ale kiedy zacząłem się przedzierać w tym kierunku, Natty chwyciła mnie za ramię.

– Zostaw – wyszeptała. – Daj spokój.

Chwilę później zmiotło go dalej, a my widzieliśmy jedynie szeroką dzicz rozszalałej, opustoszałej toni.

## Rozdział 13

# Wszechświat cudów

Ziemia nas pamięta. Trwamy głównie za sprawą domów, w których mieszkamy – i wprowadzonych przez nas ulepszeń, takich jak dekoracje, ślady pozostawione w krajobrazie, będące przedmiotem badań dociekliwych historyków. Kiedy przestajemy żyć i oddychać, nagrobki znaczą miejsce kresu naszej podróży. I dlatego właśnie stały grunt przypomina księgę, w której zapisane są nasze opowieści.

Z morzem jest na odwrót. Przetaczające się fale wypleniają wszystko, co zostaje na nich zapisane, czy to ślad statku, czy podmuch wiatru, kłoda czy butelka – albo też człowiek. Po każdej ingerencji, która burzy morską toń, nie pragnie ona niczego więcej, jak znów powrócić do swej prostej, pierwotnej postaci.

Takie to myśli pojawiały się w mojej głowie po śmierci Jordana Handsa. Kiedy w końcu odłączyłem się od Natty, poszedłem na rufę statku i wbrew protestom dziewczyny utkwilem wzrok w punkcie, który uznałem za miejsce jego skoku – jednak po sekundzie czy dwóch nie byłem już pewny, czy zniknął w tej otchłani, czy w tamtej. Wtedy skupiłem się na obrazie jego ciała zapadającego się w coraz to gęstsze ciemności. To również zakończyło się niepowodzeniem, gdyż moja wyobraźnia nie była w stanie dotrzeć aż na samo dno oceanu, ale też zdekoncentrowała mnie myśl, jakież to stworzenia, takie jak meduzy czy koniki morskie, mogą przetrwać w tych głębiach. W końcu – ledwo kilka minut później – postanowiłem nie gapić się w dół ani w tył i nie rozpamiętywać dramatycznego wydarzenia, którego byłem świadkiem, ale spoglądać w górę i naprzód, w ten sposób antycypując nowe, czekające mnie wyzwania. Ta decyzja przyniosła mi wyraźną ulgę.

Ulgę, przyznaję, której paradoksalnie towarzyszyło uczucie lęku. Zanim wykradłem ojcu mapę, czułem się lepszy od tych, którzy jako pierwsi wyruszyli na Wyspę Skarbów. Rozmyślenia nad moją przewiną doprowadziły do tego, iż uznałem, że byłem zbyt pewny siebie. A ponieważ wiedziałem, że nie jestem lepszy od nich, miałem też świadomość, że wcale nie powinienem czuć się bezpieczniejszy niż oni.

W głębi duszy, nie mówiąc ani słowa Natty czy kapitanowi, zacząłem przeproszać mojego ojca i zmówiłem modlitwę w intencji jego przebaczenia. Zrobiłem to w samotności, wciąż stojąc na rufie Słowika. Patrzyłem, jak fale zachodzą na siebie, jedna na drugą, i nie mogłem nic poradzić na to, że przypomniła mi się historia Noego. Moje modlitwy krążyły niczym ów gawron, który latał w te i we wte, gdy wody pokryły lądy, i nie mógł znaleźć miejsca na odpoczynek.

Zabobonni czytelnicy już zaczęli domniemywać, że wpływ na naszą dalszą drogę i wyjście z ciszy miała śmierć Handsa. Podobnie jak Jonasz (teraz przypomniłem sobie inną historię biblijną) zdawał się odpowiedzialny za to, że utknęliśmy w martwym punkcie. Kiedy jednak zakończyłem modlitwy za ojca, zdrowy rozsądek podpowiedział mi, że żaden człowiek, bez względu na to, jak bardzo jest zły, nie potrafiłby w taki sposób kontrolować natury. Kiedy znów zwróciłem oblicze na pokład i spojrzałem po załozde, w ich oczach również zauważyłem podobny upór. Może i podchodzili racjonalnie do całej sytuacji, ale byli też bardziej zelektryzowani. Nowy duch wstąpił w tych, którzy stawiali żagle, a kapitan zyskał odświeżoną stanowczość.

Rzeczywiście, od tej chwili Beamish rzadko opuszczał swoje miejsce przy sterze. Mapę trzymał cały czas przy sobie, wetkniętą w pokrowiec schowany pod kamizelą. Byłem rad z takiego rozwiązania, ponieważ sądziłem, że bez względu na niebezpieczeństwa, które mogliśmy napotkać, nie jego pierwszego



one dopadną. Nie spodziewałem się też, że mogą nadejść ze strony oceanu. Choć wichur, który nas niósł, przybrał na sile, jakby chciał przedzierzgnąć się w sztorm, przeważnie czuliśmy tę samą delikatną presję, którą poznaje dziecko, gdy rodzicielska ręka popycha je, zachęcając, by ruszyło do celu. Dosłownie brykaliśmy między falami – i gdy nasza podróż rzucała nas coraz dalej na zachód i na południe, zimne niebo starego świata stopniowo przetaczało się nad nami, a w jego miejscu pojawiał się głęboki błękit i ciepło, którego nigdy wcześniej nie doświadczyłem.

Moim zdaniem wpłynęliśmy do wszechświata cudów. Pośród krążących nad nami dobrze znanych mew srebrzystych i mew siodłatych, zacząłem dostrzegać więcej niezwykłych gatunków ptaków, które widziałem jedynie w książkach. Raz albatros leciał z nami przez kilka godzin, wisząc przy sterburcie, i bez trudu dotrzymywał nam kroku kilkoma machnięciami swych potężnych skrzydeł. Ponieważ wiedzieliśmy, że ptaki te symbolizują dusze utopionych marynarzy, obserwowaliśmy go z melancholijnym szacunkiem i byliśmy radzi, kiedy nas opuścił. Kiedy indziej pojawiały się cudowne rodzaje mew – niektóre niewielkie i bardzo zwrotne, a inne wielkie niemal jak głuptaki. Dostrzegałem osobniki z gatunków, których nazw w ogóle nie znałem – jeden z nich (śnieżnobiały z nakrapianą piersią niczym u drozda) miał dziwny zwyczaj ciągnięcia za sobą swych długich, zielonych łap, tak że kiedy przelatywał nad pokładem Słowika, niektórzy marynarze starali się podskoczyć, by za nie złapać, mówiąc, że wkrótce nieźle sobie podjedzą.

Morze również było pełne nowości. Nocą, kiedy księżyc zmieniał fale w połąć aksamitu, która wznosiła się i opadała niemal bezgłośnie, zauważyliśmy coś, co wyglądało jak sznur świateł – jakby woda zapłonęła – zdobiący przemierzane przez nas zapadliny. Moją pierwszą myślą było: to z pewnością odbicia księżyca i gwiazd, ale przy bliższym przyjrzeniu się (co mi się udało, gdy beztrudnie wychyliłem się za burtę Słowika, aż woda zaczęła opryskiwać mi twarz) stwierdziłem, że jest to naturalna fluorescencja.

Za dnia doświadczyliśmy też sporej dawki cudów. Odkryłem, że każda z fal zamiast stanowić wielką, gładką i połyskliwą górę wody, jaką się wydawały z brzegu, jest pełna wzniesień, równin i dolin. Bardzo często stadka delfinów o zakrzywionych pyskach pojawiały się wśród wzniesień i szczytów, co sprawiało wrażenie, że towarzyszą nam w wyprawie, bo wyskakiwały z wody wyłącznie dla własnej przyjemności i ku naszej uciechu. Czasami obserwowaliśmy kawałek dryfującego drewna albo coś, co przypominało mniśią tonsurę, a okazywało się łupiną orzecha kokosowego, która przewracała się bez końca miotana falami – co samo w sobie nie było niczym szczególnym, ale w upale, gdy wiał delikatny wiatr, a pokładem kołysało jak do snu, taki widok wywoływał swoisty trans.

Marnotrawiłem godziny na niczym, obserwując tylko ruch fal – długie ciągi środkowego Atlantyku, o wiele większe niż pływy wokół wybrzeża, napierające na nas niczym połyskliwe grzbiety morskich potworów. A jednego dnia szczególnie byłem zajęty samymi potworami – wielorybami gładkoscórnymi, które podplęły na tyle blisko, że mogliśmy się czuć jak część ich bractwa.

Był to poranek o niezwyklej przejrzystości, z soczystym fioletowo-błękitnym niebem i morzem wpadającym w jaskrawo żółtą barwę. Kiedy wraz z Natty zajęliśmy się jej badaniem, odkryliśmy, że żółty kolor tworzą miliony niewielkich, podobnych do nasion obiektów, z których każdy stanowił słońce w miniaturze i był dla mnie całkowitą zagadką – odwrotnie niż dla innych marynarzy, którzy mówili o nich „jaskry”; jak sądzę, to jakieś żargonowe określenie tych jasnych punktów.

Owa żółć była przysmakiem waleni, bo na naszych oczach pożywiały się łakomie, prac naprzód za sprawą wolnych ruchów swych płetw. Pływały z szeroko rozwartymi paszczami, tak że jaskry przywierały do ich fiszbinów w szczękach i w ten sposób, odsączone z wody, osiadały na wargach. Był to niemal przepiękny widok, wspomagany jeszcze przez cichy odgłos szatkowania, jakby wieloryby pasły się na

polu pszenicy – co najwyraźniej miało właśnie miejsce, bo zostawiały za sobą pasma zielonej wody, które pokazywały, skąd przy płynęły i co pochłoneły.

Nie trzymaliśmy się kurczowo myśli o tym, co nas skłoniło do wyruszenia z Londynu, ani też nie pałaliśmy wielką chęcią powrotu do domu i mogliśmy przez wiele miesięcy obserwować takie zjawiska, uznając je za jedyny cel wyprawy. Radowaliśmy się tym, jak tylko mogliśmy – ale potem, kiedy kres naszej podróży zaczął się zbliżać, nagle porzuciliśmy te obserwacje.

Myślę, że stanowiły dla nas tylko pewną odskocznnię. Jednak wspomnienia tych tygodni z długimi okresami ciszy i z wolna ujawniającymi się tajemnicami natury pozostają wciąż żywe w mej pamięci, podobnie jak wydarzenia, które wkrótce opiszę. Myślę, że dzięki nim nauczyłem się tak wiele o niezmierzonej mnogości niespodziewanych widoków – jak i o niezmierzonej potędze piękna.

## Rozdział 14

# Ahoj! Ziemia!

Rozrywki w podróży na pokładzie Słowika pochłaniały nas dużo bardziej niż rozważania o kresie wyprawy, bo nie mieliśmy pojęcia, jak blisko jesteśmy celu.

A to nie tylko dlatego, że kapitan trzymał te informacje dla siebie – co wydawało mi się całkiem rozsądne – ale też coraz częściej znikał w swojej kabinie, by ślęczyć nad wykresami i kwadrantem. Ponieważ w żaden sposób nie można było wywnioskować z jego uwag (których i tak czynił niewiele) ani też z punktów orientacyjnych (na które składały się nachodzące na siebie fale) naszego położenia, musiałem polegać na stopniowej intensyfikacji napięcia, w którym żyliśmy, oraz na rosnącym łaknieniu gapienia się w horyzont.

Kapitan zaspokajał swoją żądzę wiedzy, nie wypuszczając pana Stevensona z bocianiego gniazda, gdzie bujał nad nami w obłokach niczym jakiś pogański bożek, czyniąc sporadyczne spostrzeżenia na temat wielorybów czy stad ptaków, które akurat przelatywały obok. Raz czy dwa wszyscy zamarli, porzucając swoje zajęcia, gdy zakrzyknął:

– Ahoj! Ziemia na horyzoncie! – ale w takich chwilach kapitan odpowiadał pospiesznie, że to z całą pewnością nie jest nasza ziemia, ponieważ jeszcze nie dość głęboko wpłynęliśmy w Zatokę Meksykańską. Kilkakrotnie pan Stevenson rzucał z góry komentarze na temat statków, które widział, szczególnie tych z niewolnikami na pokładzie. Jestem rad, że żaden z nich nie zbliżył się do nas na tyle, byśmy mogli wymienić informacje – rad, ponieważ wszystko, czego się nauczyłem (i jak sądzę, wszelkie cechy mojego charakteru), utwierdziło mnie w przekonaniu, że handel ludźmi jest odrażający. Mogę stwierdzić z całą stanowczością, iż nie potrzebowałem podpierać się prawem, by dojść do tej konkluzji, choć byłem bardzo rad, gdy dowiedziałem się, że taka ustawa wchodzi w życie.

Kiedy zapadała noc, kapitan zwykle wołał do pana Stevensona na żerdzi, by dał się zastąpić komuś, kto odpoczął już za dnia. Pan Stevenson na początku zawsze grzecznie odmawiał, mówiąc, że zna swoje miejsce i lubi swą pracę – do której wracał bladym świtem dnia następnego. Wieczorem, o którym chcę opowiedzieć, zmiennikiem był pan Tickle; by uczcić tę okazję, nabił sobie całą fajkę świeżego tytoniu i przystroił się w czerwony kapelusz, uszyty najwyraźniej ze starego kobierca.

Jak nakazywał obyczaj, marynarze zbierali się pod głównym masztem podczas wymiany. Niektórzy gratulowali panu Stevensonowi, kiedy stawał na pokładzie – a raczej gdy padał jak marionetka, której ktoś odciął sznurki – a inni poklepywali pana Tickle'a po plecach i życzyli mu szczęścia. A potem patrzyli, jak znika w niebiosach.

Na Karaibach ciemność zapada niezwykle szybko – w jednej minucie niebo odzwierciedla chwałę konającego dnia, a w następnej jest już upstrzone gwiazdami. W takich chwilach wymiany szczególnie lubiłem leżeć na pokładzie obok Natty, żeby patrzeć na przetaczający się nad naszymi głowami wszechświat.

Noc to śmiertelnie monotony okres dnia, gdy się jest pod dachem, ale na otwartej przestrzeni przemija chyżo, racząc wszystkich widokiem gwiazd i swoimi zapachami. To, co zdaje się chwilową śmiercią dla ludzi wciśniętych w ściany domów i kotary, jest jedynie lekką i spokojną drzemką dla człowieka śpiącego pod gołym niebem.

Z delikatną bryzą owiewającą nam twarze i spokojnym chłupotem fal uderzających o burty statku, obydwójce wkrótce mieliśmy zawisnąć na granicy między jawą a snem – zastanawiając się, czy gwiazdy

są prawdziwe, czy może stanowią jedynie wytwór jakiegoś wyidealizowanego snu, w który wpadliśmy po uszy. Wiem, że w tym błogostanie mógłbym trwać aż do rana – gdyby nie przypadkowe muśnięcia mojej ręki o ramię czy udo Natty, co zawsze otrzeźwiało mnie na dobre. Nie byłem w stanie stwierdzić, czy podobały się jej te sporadyczne chwile zetknięcia naszych ciał, ponieważ nigdy o nich nie mówiła ani nie odwzajemniała w wyraźny sposób moich uczuć. W innych okolicznościach z całą pewnością by mnie to martwiło. Tutaj zdecydowałem, że o niczym to nie świadczy, ponieważ już postanowiliśmy, że dyskrecja powinna uzupełnić jej przebranie.

Tak samo było w nocy, o której chcę opowiedzieć – ciemność miękka jak mech unosiła się nad nami, gęsto wyłożona gwiazdami. Księżyc wisiał na niebie wielki i jasny jak półmisek, owiewała nas bryza. Pan Tickle w bocianim gnieździe tkwił na górze, gdzie, jak sobie wyobrażałem, zasysał dym z fajki i od czasu do czasu klepał się po brodzie, by zagasić iskierki, które na niej osiadły, a kapitan wyciskał słodką piosnkę ze swej guzikówki, śpiewając wraz z nią:

*Czy tęsknicie, słodkie panny,  
W waszym sercu miejsce mam?  
Bo ja zawsze jestem z wami,  
Choćbym stał u nieba bram.  
Gwiazdy błyszczą niczym rosa,  
Słońce łśni po letnim dżdżu,  
I choć świat nas wciąż rozdziela,  
Miłość wieczna jest i już.  
Lepiej witać się niż żegnać,  
Lepszy miód niż żrący kwas,  
Zatęsknijcie więc dziś za mną,  
Wnet w ramiona wezmę was.*

Kiedy pan Tickle zawołał po raz pierwszy, konające nuty tej pieśni niemal go zagłuszyły, dlatego zaczął krzyczeć bardziej gorączkowo:

– Ziemia! Ahoj! Ziemia na sterburcie!

– Że jak, panie Tickle? – zawołał kapitan. – Co pan widzi?

– Ziemie widzę, ahoj! – Doszedł nas jego krzyk, a po chwili dodał dużo głośniej: – Ziemia na sterburcie! O milę stąd, albo powiedzcie, zem łgarz!

W jednej sekundzie kapitan całkowicie otrzeźwiało z melancholii i zakreślił kołem na zachód, zaś pokład nagle zaroilo się od rozbieganych marynarzy, którzy dopadli do burty Słowika. Kiedy z Natty dołączyliśmy do nich, większość pokazywała coś w oddali, klnąc i śmiejąc się na potęgę. Takie spektakle miały już miejsce wcześniej, kiedy inne wyspy pojawiały się na horyzoncie, ale tym razem kapitan nie zamierzał studzić zapału załogi. Wręcz odwrotnie, kiedy spojrzałem na niego, wychylał się i uśmiechał od ucha do ucha, a swój instrument, co zauważyłem, podał bosmanowi Kirkby'emu; guzikówka zwisała mu teraz z dłoni, wydając sporadyczne żałobne westchnienia.

Kiedy znów spojrzałem za burte, pomyślałem, że pan Tickle się pomylił – oszukując również nas, bo choć mrużyłem oczy jak większość wytrawnych wilków morskich, nie mogłem dostrzec żadnej zmiany między niebem i morzem. Mój zapał był jednak tak wielki, że wkrótce sam sobie to wmówiłem – tak, pojawił się jakiś mglisty zarys w oddali, choć mówiąc szczerze, równie wyraźny jak ślad oddechu na szybie.

Kiedy jednak go zauważyłem, zdarzyło się coś na kształt cudu. Ślad oddechu nabrał ciała – miał kształt migdała, niczym półprzymknięte oko. Potem oko zmieniło się w górę. Następnie góra zmieniła się w trzy góry, wznosząc się w wyraźnych kolumnach nagiej skały, aż pozbyłem się wszelkich wątpliwości. Odnaleźliśmy Wyspę Skarbów. Choć oglądałem to miejsce jedynie w poświacie księżyca, odnalazłem Wzgórze Lunety – stało niczym piedestał czekający na pomnik, tak jak opisywał to mój ojciec. Tam, u jego podnóża, o kilkaset metrów w stronę morza, znajdowała się mniejsza bryła Wyspy Szkieletu z niewielkim guzem Białej Skały. Był też przesmyk i zatoka zdolna pomieścić statek naszych rozmiarów.

Na mapie ojca ta zatoka była opisana jako Kotwiczenie – Ostoja Kapitana Kidda – i tam właśnie, jak mniemałem, nasz kapitan miał zamiar rzucić kotwicę, ponieważ przywołał mnie do siebie przy sterze. Poklepałem Natty po ramieniu i szeptem powiedziałem, że powinna pójść ze mną.

– Widzisz, gdzie jesteśmy, Jim? – zapytał kapitan cicho.

– Widzę, sir – odparłem.

– A ty, Nat, widzisz, gdzie jesteśmy?

Pokiwała głową – było to pojedyncze, oszczędne skiniecie, co odczytałem jako oznakę silnego wzburzenia. Wyobraziłem sobie, jak łapa ojca zaciska się na jej szyi, dławiąc wszelkie słowa, bo ona widziała, jak zbliża się tą samą drogą, w tym samym miejscu, do tego samego brzegu.

– Wydaje mi się – ciągnął kapitan – że powinniśmy zrobić tak jak wszyscy wcześniej i zacumować w Ostoi. Jeśli mapa jest wierna, a nie mam powodów, by w to wątpić, znajduje się tam piaszczysta plaża. Możemy zejść rankiem na brzeg. Palisada znajduje się nieopodal za bagnami.

– Żeby tylko bagna nie były zbyt zdradzieckie – rzuciłem i od razu wiedziałem, że przez moje uniesienie zabrzmiało to niezwykle dziecinnie.

– I żeby palisada nie zdążyła spróchnieć – dodała Natty z większą godnością.

Kapitan mruknął coś na znak, że rozumie, co mamy na myśli, a potem przywołał bosmana Kirkby'ego i poprosił go, by przejął ster. Następnie wydał rozkaz, by zrefować kilka żagli, żebyśmy mogli zwolnić i uniknąć spotkania z łachami piasku, których nie było na mapach. Potem postawił obserwatora na dziobie i poprowadził nas na sterburtę Słowika, gdzie stanęliśmy z dala od pozostałych. Wtedy wyciągnął zza pasa lunetę i przystawiwszy okular do oka, przesuwając ją uważnie w prawo i w lewo – szukał, jak pomyślałem, czystego podejścia do Ostoi.

Skorzystałem z okazji, by baczniej przyjrzeć się Natty. Jej milczenie sugerowało, że żałuje, iż pierwsza część naszej przygody jest już za nami, ponieważ obecnie stanęła twarzą w twarz z historią, której nie chciała rozpamiętywać – dwulicowości swego ojca oraz zła, które wyrządził. Ale teraz, kiedy przyjrzałem się jej obliczu wyraźniej, gdy księżycowa poświata rozlewała się na jej twarzy, stwierdziłem, że widać na niej nie tyle frasunek, co zawziętość. Pozostałych członków załogi korciło, żeby postawić stopę na suchym lądzie i odnaleźć to, po co przyjechaliśmy, ale Natty wręcz rwała się na brzeg. Wysunęła głowę w przód, zagryzła szeroką dolną wargę i oddychała płytkimi, pospiesznymi haustami.

Myślę, że gdyby miała pewność, iż dzięki jakiemuś desperackiemu krokowi mogłaby szybciej położyć rękę na skarbie, przeskoczyłaby przez burtę i popłynęła do brzegu od razu, nie zważając na niebezpieczeństwo. Tak bardzo chciała opuścić pokład, że jej wyobraźnia wysforowała się już naprzód. Jej stopy już śmigały po wilgotnym piasku, pięły się w stronę chaty, gdzie jej ojciec i mój przypieczętowali swój los oraz – na dłuższą metę – również nasz.

Kiedy oderwałem wzrok od Natty, spodziewałem się zobaczyć, jak kapitan kończy przegląd wyspy i szykuje się do wydania kolejnych rozkazów. On jednak wciąż ścisnął swą lunetę, jakby koncentrował się na jednym tylko miejscu. Zdawało się, że wielkie brzemię osiadło mu na ramionach. Najpierw pomyślałem, że zauważył przeszkodę na naszej drodze i wkrótce rozkaże swoim ludziom, by ją ominęli.

Im dłużej milczał, tym dobitniej zacząłem podejrzewać, że istnieje jakiś złowroźny powód takiego stanu rzeczy – i poczułem nagły dreszcz przerażenia, kiedy nachylił się do mnie ze słowami:

– Ty masz młode oczy, Jim. Powiedz mi, co widzisz. – Mówił na tyle cicho, że jego głos był niesłyszalny dla reszty załogi, której entuzjazm wywołany odnalezieniem wyspy nieco osłabł i większość jej członków wróciła do swoich zajęć albo gapiała się przed siebie w cichym skupieniu.

Wziąłem lunetę bez słowa i uniosłem do oka – mosiądz wciąż był ciepły. Przez chwilę machałem bezładnie między niebem a ziemią, potem z fali na falę, aż w końcu ciemna połać lądu znalazła się w zasięgu mego wzroku. Wtedy staliśmy mniej więcej pół mili od brzegu. Taka odległość, szczególnie w nocy, gdyby księżyc nie świecił nad nami tak mocno, mogłaby zdawać się nieprzenikniona dla wzroku. Ale że świecił, widziałem wszystko w zarysach, choć z niezwykłą przejrzystością. Tam rosły drzewa, które dały schronienie memu ojcu, tam była ziemia, na której zaznaczył swoje ślady.

– Nie na wzgórzach – wydyszał kapitan, przerywając mi kontemplację. – Na brzegu. Popatrz na brzeg.

Zrobiłem, co mi kazano, i zjechałem z ciemności Wzgórza Lunety, aż natrafiłem na długie pasmo gęstwiny, ciągnące się od szczytu jednego z piaszczystych pagórków, rozszerzające się i wznoszące po drodze, aż do krańca szerokiego zalewiska, przez które do Ostoi wlewały się wody kilku mniejszych strumieni oraz jednej większej rzeki.

Nie było w tym nic dziwnego – nie dostrzegłem oznak życia – więc przesunąłem lunetę po kępie szczególnie bujnych drzew i natrafiłem na łachę otwartego lądu. Miarowo padająca na grunt księżycowa poświata ukazała mi ją w taki sposób, jakby była upstrzona, jak mi się z początku wydawało, wielkimi głazami. Kiedy wyteżyłem wzrok i spojrzałem ponownie, ukazały mi się powalone pnie drzew, które ktoś zostawił tu, żeby zbutwiały; i to wszystko na połaci kilku akrów. Serce od razu zaczęło mi bić zwawszym rytmem. Mój ojciec pamiętał, i takie też było założenie kapitana, że jedynie trzech maruderów pozostawiono na brzegu, gdy Hispaniola odpłynęła stąd jakieś cztery dekady wcześniej. Jak trzech mężczyzn mogło wykarczować tyle drzew? A co ważniejsze – po co aż tak się trudzili?

Odpowiedź zaczęła wyłaniać się, gdy moje oko spojrzało dalej na zachód. Do tej pory ta część wyspy była skryta za sylwetką Wyspy Szkieletu. Teraz, kiedy wolno wypłynęliśmy z za niej, gdy znaleźliśmy się w miejscu, z którego było wyraźnie widać, po raz pierwszy zobaczyłem bladą poświatę płozącą się po brzegu, aż przez wodę w stronę Białej Skały. Skupiłem się przez chwilę na tej wypukłości i spostrzegłem, że jest pokryta drżącą czapą czegoś, co wyglądało na duże paprocie, ale zaraz potem wróciłem na samą wyspę. Światło rzucało długie cienie, całkowicie zakłócając perspektywę i skalę, ale mogłem dostrzec kolejne pnie leżące wśród kęp trawy, a ponadto wstążki ubitej ziemi, które wiły się tu i tam. Dopiero kiedy przesunąłem lunetę o kilkadziesiąt metrów dalej na zachód, źródło światła ukazało się w całej okazałości. Zobaczyłem duże ognisko, dosłownie płonąca piramidę, taką, za pomocą której ludzie wysyłają sygnały na duże odległości. Ale w tym przypadku nie miała ona funkcji komunikacyjnej, bo nikt nie spodziewał się, że ktoś odbierze sygnał.

Ognisko zostało rozpalone w jednym tylko celu: by ogrzewać i oświetlać – ale co? Nie byłem w stanie tego stwierdzić. Jak dotąd, przy tych skaczących cieniach i przez ograniczone pole widzenia lunety, dostrzegłem jedynie duży plac, podobny do forum, otoczony przez palisadę z zastrzonych tyczek. Na wschodnim i zachodnim krańcu zagrodzono mniejsze powierzchnie, który wyglądały niczym skrzydła – jedno zawierało coś na kształt kilku krzyży ustawionych bardzo chaotycznie, a drugie wypełniały zwierzęta.

Mogłem stwierdzić, że pierwsze było cmentarzem, a drugie czymś w rodzaju zagrody farmera – ale najbardziej zagadkowy wydał mi się obszar otoczony palisadą znajdujący się między nimi. W samym jego środku wznosiła się mniej więcej sześciometrowa konstrukcja, u góry zwieńczona czymś w rodzaju wielkiego wachlarza. Nie wiedziałem, jakiemu celowi służyła ta budowla, bo patrząc od strony morza,

dostrzegałem tylko jej tył. Za nią, po prawej stronie placu, stał dom z drewnianych bali o wąskich oknach, z werandą na przedzie. Po drugiej stronie, po lewej stronie placu, znajdował się budynek o takich samych rozmiarach, lecz o wiele bardziej obskurny, bez okien, z niewielkim daszkiem nad wejściem. Pierwszy z nich pasował do opisu mego ojca – była to chata, która stała tu za jego czasów, gdzie pan Silver przeprowadzał swoje negocjacje. Drugi, jak sądzę, został postawiony niedawno.

Tak wiele budynków – toż to prawie wioska! – wydało mi się to niezwykle. O wiele bardziej zaskoczyła mnie (dostrzegłem to w chwili uniesienia, w tym samym momencie co budynek) liczba ludzi, którzy kręcili się wśród tego wszystkiego – w większości ciemnoskórych, z tego co zauważyłem. Kiloro z nich leżało albo siedziało, albo też rozłożyło się plackiem na ziemi wokół bardziej komfortowej chaty. Na nich pierwszych skupiłem swój wzrok i doznałem tak silnego wstrząsu, że luneta niemal wypadła mi z rąk.

Choć od czasu do czasu na niebie pojawiała się mała chmurka dryfująca w dół wyspy, księżyc wciąż świecił na tyle jasno, bym mógł upewnić się, że dobrze widzę. Dostrzegłem tam pięciu albo sześciu ludzi, którzy moim zdaniem byli Europejczykami; resztę stanowili nie faceci, lecz kobiety, co mogłem stwierdzić, bo żadna z nich nie miała odzienia od pasa w górę, a na dole też nie za wiele. Ich skóra zdawała się błyszczeć w pełgającym świetle ogniska. Wszystkie kobiety znajdowały się tam, gdzie pozwolono im być, i siedziały w bezruchu. Mężczyźni natomiast zachowywali się jak w jakimś dzikim zapamiętaniu, wyginali się i tańczyli, przewracając się to tu, to tam, więc zrozumiałem, że upili się. Jeden z nich w ciągu tych kilku sekund, kiedy go obserwowałem, zdjął swój pas i z początku szydził z kobiety leżącej przed nim na ziemi, a potem związał jej dłonie i rzucił się na nią.

Wzdrygnąłem się i skierowałem lunetę na inną część obozu. Ale tam zobaczyłem jeszcze bardziej barbarzyńskie sceny, których nie jestem w stanie opisać. Kobiety (również w negliżu) nosiły coś albo siedziały w grupkach ze spuszczoneymi głowami. Bosonogie urwisy biegały, łąziły wokół czy też siedziały pojedynczo lub w mniejszych grupach. Byli tam również mężczyźni w łachmanach – niektórzy leżeli bezsilnie, inni kuśtykali z takim rozpaczliwym trudem, iż wiedziałem, że są skrajnie wyczerpani. Kilkadziesiąt takich postaci wyłaniało się i znikało w okularze lunety niczym widma z koszmaru, a ja próbowałem zrozumieć, co widzę.

Zanim doszedłem do jakichś sensownych wniosków, Natty odezwała się do mnie:

– Są tam ludzie? – pytanie zostało zadane z taką obojętnością, że równie dobrze mogło być stwierdzeniem faktu.

Opuściłem lunetę i zastanawiałem się nad najlepszą odpowiedzią, ale kapitan mnie ubiegł.

– Najwyraźniej tak – odparł.

– Widzę ognisko – powiedziała Natty.

– Tak, rozpalili ognisko – potwierdziłem, wciąż otępiały i zamroczony tym, co zobaczyłem.

– Widzieli nas? – zapytała przestraszona Natty. – Jim, czy ci ludzie nas widzieli?

To pytanie otrzeźwiło mnie i uświadomiłem sobie, że jestem tak zniewolony widokiem tego, co odkryłem, że nawet mi do głowy nie przyszło, że ktoś również może mnie obserwować. Kapitan najwyraźniej też o tym nie pomyślał – ale teraz zrozumiał zagrożenie i pospiesznie wydał rozkazy, by tak cicho, jak to tylko możliwe, zwinąć jeszcze kilka żagli, więc wkrótce zatrzymaliśmy się bezgłośnie na powierzchni oceanu.

Choć ten pośpiech musiał zastanowić marynarzy, ufali kapitanowi na tyle, że bez szemrania wykonywali jego rozkazy – i posłusznie, w całkowitej ciszy, wrócili do swych prac.

Przez minutę czy dwie trwaliśmy tak w milczeniu, nawet nie ośmielając się odдыchać, krzywiąc się za każdym razem, gdy Słowik wydawał z siebie charakterystyczne jęki i skrzypienia. Wkrótce jednak stało się jasne, że mieszkańcy wyspy są tak pochłonięci sobą i tak nieprzygotowani na wszelkich gości, że



jesteśmy bezpieczni. Sylwetka statku, nawet jeśli ktoś by ją dostrzegł z brzegu, zostałaby z pewnością uznana za wytwór wyobraźni.

Po jakimś czasie sam kapitan to potwierdził. Wziąwszy lunetę z mojej dłoni i przyłożywszy ją do oka, wyszeptał:

– Dzięki Bogu.

– Jesteśmy bezpieczni? – zapytałem.

– Jesteśmy.

– Co to znaczy? – mówiłem bardzo cicho, nie dając za wygraną. – Na co się natknęliśmy?

– Nie wiem – odparł rozkojarzony, co świadczyło, że wciąż koncentruje się na obozie. – Nie mam pewności.

Natty nie zamierzała się poddawać.

– Co ci ludzie tam robią? – zapytała bezceremonialnie. Kapitan, który jeszcze raz przeczesywał uważnie całą okolicę, kazał nam czekać bardzo długo, zanim dał odpowiedź. A kiedy nadeszła, nie wyjaśniała naszych wątpliwości.

– Postanowiłem, co zrobimy – powiedział, gwałtownie składając teleskop przy wtórze kilku oleistych cmoknięć. – Powinniśmy dać sobie trochę czasu.

Gdy to powiedział, owa oniryczna powolność ostatnich kilku minut zakończyła się i wszystko znów ruszyło zwawszym rytmem. Kapitan delikatnie poklepał nas po ramionach, żebyśmy poczuli, iż gracko spisaliśmy się jako jego doradcy, po czym pospiesznie wrócił za ster i rozkazał bosmanowi Kirkby'emu zebrać ludzi. Zjawili się cicho jak duchy, a kiedy wbili wzrok w kapitana, wszyscy bladzi w świetle księżyca, ten przemówił do nas srogim szeptem, żeby głosu nie zaniósł na brzeg.

– Nie zejdziemy tu na ląd – powiedział. – Powinniśmy skierować się do północnej części wyspy i zacumować w innym miejscu.

Moi towarzysze podróży zaczęli szemrać, ponieważ nie widzieli tego, co my, i nie rozumieli rozmiarów zagrożenia. Ale kapitan był niezwykle stanowczy, bez względu na to, jak cicho by nie mówił.

– Miejcie oczy szeroko otwarte i ani pary z gęby, jeśli łaska.

I aby pokazać im, że nie czas na dyskusje, chwycił za koło sterowe i wykonał skręt o kilka stopni, żeby dziób statku mógł ruszyć na północny zachód.

Wyspa Skarbów ponownie zatopiła się w ciemnościach, niczym zwierzę wycofujące się do swego legowiska. Choć może powinienem powiedzieć, że to Słowik zniknął w nocy niczym ćma, która zrazu przyciągana ogniem zbliżyła się do niego, lecz na szczęście udało się jej ująć płomieniom. Przysiadłem obok Natty na bakburcie, gdzie mogłem sobie wyobrazać, jak bryza krąży wśród nagich zboczy Wzgórza Lunety, wzdycha na obrzeżach jej smętnego lasu, co słyszałem równie wyraźnie, jak chlupot fal przełamujących się na naszym dziobie. Ponieważ obawiałem się innych, mających miejsce na tej wyspie straszliwych zdarzeń, które ciemność łaskawie skryła przed naszym wzrokiem, pozwoliłem sobie po jakimś czasie przysunąć się do niej bliżej, aż w końcu nasze ramiona zetknęły się i ciepło zaczęło krążyć między nami. Nie odezwaliśmy się ani słowem. Byliśmy niewidzialni. Gdyby ktokolwiek na suchym lądzie spojrział w naszą stronę, zobaczyłby tylko te same puste fale biegnące ku niemu, by złapać odrobinę poświaty z ogniska, po czym załamać się w całkowitym chaosie wszechrzeczy wzdłuż połaci brzegu.

## Rozdział 15

# Nasza koja

Mój ojciec często mawiał, że Wyspa Skarbów przypomina smoka siedzącego na tylnych łapach. Tym samym mógłbym stwierdzić, że poruszając się na północ w ostatnim etapie naszej podróży, opuściliśmy brzuch poczwary i zbliżyliśmy się do jego serca, gdzie teren całkowicie porosły drzewa. Światło księżyca nie było na tyle jasne, byśmy mogli rozpoznać ich gatunek, ale kiedy nastawiłem ucho do wiatru wiejącego od lądu, stwierdziłem, że muszą to być szkockie sosny, które wydają wysokie, oziębłe dźwięki.

Po półgodzinie żeglugi to gwizdanie zaczęło słabnąć – mogłem więc wywnioskować, że wypiętrzenia wyspy złożyły się w dolinę. Potwierdziło się to wkrótce, kiedy przed nami wyłoniła się wąska zatoczka, a ja od razu pomyślałem, że jest to miejsce, w którym mój ojciec znalazł schronienie, gdy okrążał wyspę przed ostateczną konfrontacją z panem Silverem.

Kiedy sobie to uzmysłowiłem, wspomniałem, że widział też bardzo stary wrak dużej łajby leżący u wylotu tej samej rzeki. Poprosiłem więc kapitana Beamisha o ponowne pożyczenie lunety. Kiedy ustawiłem ostrość, estuarium ukazało mi się w tym półmroku niczym spełnienie obietnicy, podobnie wrak statku. Była to łódź o trzech masztach, ale doznała tak wielkiego uszczerbku z rąk natury, że na przekrzywionym kadłubie widziałem zwisające pajęczyny ociekających wodą wodorostów, całych obsypanych kwieciem. Był to smutny widok, ale przynajmniej świadczył o tym, że w zatoczce panuje spokój.

– Będziemy tu bezpieczni, sir – powiedziałem kapitanowi.

– Skąd ta pewność? – zapytał mnie, zerkając w półmrok.

Kiedy zrelacjonowałem wszystko, co zobaczyłem, a kapitan przyjął mój osąd, ponownie poczułem do niego wielki przyływ sympatii, tak jak wcześniej za jego umiejętności, dzięki którym udało się nam przepłynąć bezpiecznie Atlantycką. Wtedy znów zwołał załogę i powiedział marynarzom, że dotarliśmy na miejsce. Ich pytania, dotyczące głównie bezpieczeństwa, ujawniły tylko, że tym razem zaczęły pojawiać się różne pogłoski na temat tego, co nas czeka. Choć załoga widziała wyłącznie płonące ognisko na brzegu Ostoi, płomienie te wywołały w nich lęk – ponieważ sugerowały, że żyjąca na wyspie populacja jest o wiele większa, niż się spodziewali. Kapitan pokrzepił ich dziarskimi słowami, jak potrafił najlepiej, mówiąc, że skoro nie widać stąd ani obozu, ani ogniska, ani też nie ma innych świateł, można wywnioskować tylko, że nasze przybycie pozostało niezauważone. Zakończył stwierdzeniem, że możemy wpłynąć w ujście rzeki równie radośnie jak dzieci wracające do domu rodziców.

To wystarczyło, by pokrzepić na nowo ducha, ale bynajmniej nie wywołało powszechnej niefrasobliwości.

Ponieważ wszystkie żagle były już spuszczone, Słowik znów zwolnił, a bosman Kirkby zawisnął na dziobie i cicho informował o głębokości wody, żebyśmy nie wpadli na piaszkową łachę. Nikt nas nie niepokoił ani nie mieliśmy żadnych innych problemów. Nasz statek wsunął się w ujście z taką łatwością, jak dopasowany klucz do zamka, przy wtórze zarośli szurających o kadłub po obu jego stronach. Nie starczyło mi czasu, by zbadać, jaki to gatunek, ale rośliny miały połyskliwe liście i wydawały ciche piski, gdy wiatr trącał jednymi o drugie, i choć wzbudzało to pewną nerwowość, nie był to przykry odgłos, bo świadczył o obfitości i bujności natury.

Moja inspekcja została zakończona pluskiem spadającej do wody kotwicy – co kilka śpiących ptaków uznało za jawną bezczelność i wylatując z zarośli, zaczęło głośno pomstować. Wywarło to niezwykle wrażenie na Kleksie, który w sterówce spokojnie przespał wszystkie nasze ostatnie przygody. Gdy rwetes ucichł, dołączył do ptasich głosów, wypowiadając zdanie, którego nie miałem pojęcia, gdzie się nauczył.

– Co rrobić? Co rrobić? – nie ustępował, szorując dziobem po prętach klatki niczym po strunach.

Na to kilku marynarzy wybuchnęło śmiechem, odcinając mu się:

– Może sam powiesz?

Albo:

– No właśnie, co?

Odpowiedzią na pytanie Kleksa było – czekać do rana, i tak właśnie rozkazał nam kapitan. Na to bosman Kirkby zwrócił się do pana Stevensona, naszego kościstego Szkota, i rozkazał mu zmienić pana Tickle’a w bocianim gnieździe, żeby był naszym uchem i okiem tej nocy. Następnie poradził marynarzom, by zeszli pod pokład i przespałi się przed trudami, które mógł przynieść nam poranek.

Miałem już iść, kiedy kapitan zawołał mnie oraz Natty do sterówki. Tam zasunął zasłonę na klatce Kleksa, żeby mu nie przeszkadzał, i poprosił, byśmy usiedli. Wyjął też srebrną piersiówkę z kieszeni spodni. Wziął łyk i podał ją nam. Natty łyknęła odrobinę, podobnie jak ja, a rum przetoczył się przez moje gardło niczym fala ognia. Oddałem piersiówkę kapitanowi, który wziął kolejny duży łyk i na powrót schował ją do kieszeni. Przy tak skromnych oznakach świętowania, powietrzu owiewającym nasze twarze delikatnie niczym dotyk muślinu przez otwarte okno oraz kwiatach zarośli wokół nas świecących niczym księżyc mogliśmy uchodzić za grono przyjaciół, którzy zasiedzieli się nieco podczas wieczornego pikniku.

Jednak kiedy kapitan zaczął mówić, jego głos był niezwykle poważny.

– Jak myślisz, cośmy tam widzieli, Jim, tam, w Ostoi?

Byłem zaskoczony tak bezpośrednim pytaniem; spodziewałem się, że kapitan najpierw wyrazi swoją opinię.

– Nie jestem pewien, sir – odparłem. – Mężczyźni i kobiety. Dziwne rzeczy.

– A ty, Nat, co widziałeś? – Kapitan mówił do niej dużo delikatniejszym głosem, co było ukłonem w stronę jej prawdziwego ja. Podobało mi się to, ponieważ stanowiło dowód jego lojalności względem niej oraz jej ojca jednocześnie.

– Widziałam ognisko – odparła z wrodzoną prostolinijnością. – Jim widział jakichś ludzi.

– No właśnie – powiedział kapitan – ludzi.

– Mój ojciec – dodałem, chcąc naprawić moment wahania sprzed chwili – mój ojciec opowiadał mi, że zostawili na wyspie tylko trzech mężczyzn...

– Trzech mężczyzn – powtórzyła Natty. – Nie więcej niż trzech.

Wtedy przypomniałem sobie, jak mój ojciec mówił, że kiedy opuszczał wyspę jakieś czterdzieści lat temu, był mocno wstrząśnięty widokiem tej trójki. Toma Morgana, marynarza o imieniu Dick oraz innego pirata, którego imienia nie pamiętaliśmy.

Cała trójka polowała w zaroślach – obchodziło ich tylko polowanie, jak podejrzewał ojciec, i nie byli świadomi, że wkrótce zostaną tu porzuceni. A jednak kiedy Hispaniola przedzierała się przez cieśniny na najdalej wysuniętym na południe skrawku wyspy, nagle zrozumieli, jaki im los szykują, i pojawili się razem na piaszczystym skrawku brzegu, wznosząc ramiona w błagalnym geście i prosząc, by ich zabrano do Anglii. Opisywał to jako najbardziej żałosny widok w swoim życiu i nie zapomniał żadnego szczegółu tego wydarzenia – włącznie z tym jak, gdy statek przyspieszył, wypływając na otwarte wody, jeden z trójki, zerknąwszy na rozciągającą się wszędzie wokół pustynię samotności, skoczył na

równe nogi, przyłożył muszkiet do ramienia i nad głową pana Silvera posłał kulę rozgrzanego ołowiu, która przebiła główny żagiel.

Takie obrazy jaśniały bardzo wyraziście w mojej pamięci, nie mogłem więc nie wspomnieć o nich kapitanowi i Natty – kończąc refleksją, że był to akt desperacji zrozpaczonych ludzi.

– A teraz są jeszcze bardziej zdesperowani – stwierdził kapitan. – Jeśli mnie wzrok nie myli. Ale czy to wyjaśnia, co tam się dzieje? Skąd wzięły się te kobiety i pozostali mężczyźni?

Żadne z nas nie potrafiło na to odpowiedzieć i najwyraźniej kapitan nie miał dalszych przemyśleń, którymi chciałby się z nami podzielić. Tamci mężczyźni i kobiety z pewnością przybyli z za morza, tylko tyle wiedzieliśmy, a większość z nich była ewidentnie więźniami tamtej garstki.

– Powinniśmy to jutro zbadać – powiedziałem.

– Albo znaleźć skarb i dać dyla. – Takie było zdanie Natty, czy raczej jedna z zaproponowanych przez nią wersji, bo gdy kapitan powtórzył pytanie, zmieniła swoje stanowisko.

– Ludzie, których widzieliśmy – powiedział – to w większości niewolnicy. I najwyraźniej mają spore problemy.

– Wielkie problemy – powiedziałem. – Straszliwe problemy.

– W takim razie powinniśmy to zbadać – stwierdziła Natty po chwili milczenia.

– Oczywiście – poparłem ją, by jasno i dobitnie wyrazić swoje odczucia. – Powinniśmy się im przyjrzeć w tych zagrodach, a potem zadecydujemy, co należy zrobić.

Kapitan nie wyraził swojej opinii. Klepnął tylko dłońmi w kolana i podniósł się z miejsca. Zerknął przez otwarte okno, aby dowiedzieć się, jaka pogoda może nas czekać rano. Stwierdził, że będzie padać i że powinniśmy pozamykać okna sterówki przed pójściem spać. Na to my również wstaliśmy, a on z wielką powagą uścisnął nam dłonie. Skłonił się, życząc dobrej nocy nam i naszemu nocnemu obserwatorowi tam w górze, i ruszył do swej kajuty. Natty i ja wkrótce poszliśmy w jego ślady, nie odzywając się do siebie ani słowem. Chciałbym myśleć, że to nie strach czy zmieszanie zakneblowały nam usta, a jedynie tęsknota za snem, teraz, kiedy pierwsza część naszej przygody dobiegła końca.

Część III

WYSPA

## Rozdział 16

# Druga strona wyspy

Przebudziłem się bynajmniej nie za sprawą dziennego światła wpełzającego nam do kajuty przez bulaj, ale na skutek kakofonii dźwięków, jaka wstrząsnęła całym Słowikiem. Zostawiłem Natty naciągającą sobie koc na głowę i wspiałem się na pokład, gdzie zobaczyłem kapitana Beamisha, który wzięwszy się pod boki, stał cały nastroszony i wzburzony. Ponieważ nad wysepką wciąż unosiła się lekka mgiełka, nie było widać, jakie zwierzęta wywołały ten rwetes; domyślaliśmy się, że nie odpowiada im tłok panujący w zagrodzie, czemu dawały wyraz miarową zaporą dźwiękową gwizdów, pomruków, skrzeków, trzepotania, stukotu, wrzasku, pisku, śmiechu oraz gardłowego zawodzenia. Pomyślałem, że jest to jedyny powód irytacji kapitana. Po chwili zrozumiałem jednak, o co chodzi. Gdyby mieszkańcy wyspy chcieli się do nas podkraść niezauważenie, wykorzystując ten harmider jako zasłonę dźwiękową, mogliby to zrobić bez najmniejszych problemów.

Kapitan nie musiał się jednak przejmować. Wkrótce po wschodzie słońca wszelka zwierzyna zapomniała o powodach swego oburzenia i zgiełk ucichł, a zastąpiło go znacznie spokojniejsze cykanie niezliczonych owadów. Gdy się uspokoiło i mgła opadła, ukazał się nam nasz nowy świat. Oba brzegi rzeki były pokryte imponującą ilością niezwykle roślin – rosły tak gęsto obok siebie, kwitły tak obficie, że po wszechobecnych błękitach, zieleniach i szarościach kilkunastu ostatnich tygodni, zdawały się równie nienaturalne, co piękne.

Większości z nich nigdy nie widziałem – choć tu i tam wyłaniały się paprocie, najwyraźniej spokrewnione z dużo mniejszymi gatunkami znanymi mi z domu. Te miały włochate pnie wznoszące się na wysokość człowieka oraz macki gigantycznej ośmiornicy. Podobnie kamelie i rododendrony o różowych, białych, żółtych i fioletowych kwiatach zaskakujących rozmiarów. Gdy mieszanina ich woni zintensywniała wraz z pojawieniem się słońca, zapach dosłownie powalał – wkrótce poczułem lekki zawrót głowy i zacząłem się zastanawiać, czy nie przyплыliśmy do krainy zjadaczy lotosów.

Gdy patrzyłem na to wszystko, jakbym znalazł się w stanie upojenia, pozostała część załogi stopniowo wychodziła na pokład – na końcu Natty, przecierając oczy ze zdumienia. Nie wolno im było jednak zbyt długo trwać w tym transie.

– Dzień dobry, moje wilki morskie, dzień dobry – mówił kapitan, klaszcząc w dłonie, gdyśmy się już zebrali.

Wtedy wymienił wszystkich po imieniu, by upewnić się, że w nocy nie porwała nikogo żadna dzika bestia – a na koniec niemal stracił kapelusz, gdy stadko ptaków przemknęło bardzo nisko nad pokładem Słowika, pospiesznie kierując się nad morze. Miałem okazję zauważyć, że były wielkie jak marece, lecz miały złote pióra na skrzydłach i grzbietach oraz kobaltowo-błękitne dzioby.

Kapitan zaczął od przekazania garstki wiadomości zdobytych podczas obserwacji wyspy przez lunetę poprzedniego wieczoru – wystarczyło, by marynarze zrozumieli, że może być groźnie, ale nie na tyle, żeby mogło ich to zniechęcić. Odpowiedzieli wystarczającą manifestacją odwagi – klepali się po plecach i chętnie zapewniali, że nie lękają się niczego. Kapitan uśmiechnął się na to bardzo szeroko i przeszedł do innych spraw. Powiedział, że studiował w nocy naszą mapę i zrozumiał, iż zatoczka znajduje się bardzo blisko miejsca zaznaczonego na niej jako kryjówka srebra – ponownie nie wspomniał o broni. Powiedział, że jego odkrycie przemieniło to, co poprzedniego wieczoru wziął za niedogodność, w prawdziwy uśmiech losu; tylko że teraz stanęliśmy przed dylematem.

Mówiąc wprost, chodziło o to, czy powinniśmy wysłać grupę, która wykopie skarb, a potem wymknąć się cichcem z wyspy równie niepostrzeżenie, jak się na niej znaleźliśmy? Czy może powinniśmy zbadać obszar wokół Ostoi Kapitana Kidda i wkroczyć, gdybyśmy natrafili na jakąś jawną zbrodnię?

Kapitan jeszcze dobrze nie skończył swego wykładu, gdy miał już gotową odpowiedź. Oznajmił, że czterech mężczyzn będzie mu towarzyszyło w drodze do miejsca ukrycia srebra i by nabrać trochę świeżej wody (oraz – jeśli to będzie możliwe – zdobyć zapas świeżego mięsa) dla załogi Słowika, a kilku innych, włącznie z kukiem Allanem, który nie nadawał się do wypraw poza kambuz, i panem Stevensonem wciąż tkwiącym na swej żerdzi w punkcie obserwacyjnym, zostanie na statku, by w razie potrzeby go bronić. Trzecia grupa natomiast wyprawi się na południe i zbada, co się dzieje za ostrokołem.

Owa trzecia grupa miała najwyraźniej najtrudniejsze zadanie, ponieważ droga była niepewna, a zwiad mógł się wiązać z niebezpieczeństwem. Równie duże zaskoczenie wywołała decyzja kapitana, iż powinienem wziąć udział w tym zadaniu, wraz z Natty i panem Lawsonem, pod nadzorem bosmana Kirkby'ego. Pan Lawson był wytwornym, lecz mrukliwym człowiekiem i z tego powodu nie rozmawiałem z nim często podczas podróży. Teraz patrzyłem na niego jak na osobę, w rękach której za chwilę spocznie moje życie, jednak on unikał mego spojrzenia. Miał całą twarz poraną bliznami po ospie i myślę, że był to powód jego nieśmiałości.

Po dłuższej chwili zrozumiałem, że kapitan podzielił załogę, rozdając poszczególnym grupom zadania tak, aby miały mniej więcej ten sam stopień trudności i żeby wszyscy czuli się w jakiś sposób odpowiedzialni za bezpieczeństwo całej załogi. Był to najwyraźniej rozsądny sposób na związanie nas ze sobą, nawet kiedy się rozdzielimy. Gdyby kapitan widział tylko połowę z tego, co miałem odkryć, jestem pewien, że dokonałby innego wyboru i postanowił zatrzymać mnie i Natty na pokładzie.

Kiedy wszystko ustalono, zaczęliśmy futrować się wodą, sucharami i jabłkami, zabierając wystarczającą ilość tychże na cały dzień marszu. Kapitan rozdał nam także po pałaszu, które od wyruszenia z Londynu trzymał w zamkniętej skrzyni. Wyjął też z niej po pistolecie dla siebie i bosmana Kirkby'ego. Wydanie tych przedmiotów odbyło się w myśl zasad etykiety podniosłego rytuału. Kapitan nie musiał nam mówić, że możemy użyć broni jedynie w ostateczności, także bosman Kirkby nie musiał dodawać niczego od siebie w tej kwestii. Wystarczyło jedno spojrzenie jego borsuczej twarzy, bym zrozumiał, iż moją powinnością nie jest wykazywanie się odwagą, lecz zachowanie ciszy.

Dwie grupy wyruszyły jednocześnie, opuściły się na linach po burcie Słowika, a następnie w szalupie powiosłowały na niewielkim odcinku do brzegu. Kiedy się opuszczałem, dostrzegłem, że zanurzona część kadłuba naszego statku jest pokryta jaskrawozielonymi wodorostami – były bardzo śliskie w dotyku i pomyślałem, że musiały do niego przywrzeć, gdy wpłynęliśmy na cieplejsze wody wokół wyspy.

To był pierwszy raz od sześciu czy siedmiu tygodni, gdy wyszedłem na stały ląd – o ile oczywiście można było nazwać lądem grunt, który bulgocze i kołysze się przy każdym kroku, przejawiając nieokiełznaną chęć zderzenia ci butów ze stóp. Po tylu dniach na rozkołysanym pokładzie wśród szalejących fal nawet taka dawka wątpliwej stabilności była niezwykła. Kiedy dotarłem już do ściany roślin, zapadłem się po kolana. Sprawilo mi to srogi zawód, bo zamierzałem radować się chwilą, w której w końcu idę po śladach swego ojca. Zamiast tego mogłem jedynie gorączkowo myśleć, jak bardzo wszystko wokół mnie się chwieje, jakby całą ziemią wstrząsały konwulsje. Pocieszenie przyszło pod postacią niewielkiej, pomarańczowej jaszczurki, która zdawała się mieć rozszczepiony ogon i popatrzyła mi prosto w oczy. Nigdy w życiu nie widziałem równie dziwnego stworzenia, ale zniknęło tak szybko, że wziąłem je za wytwór mojej wyobraźni i tym samym nie poinformowałem o tym spotkaniu nikogo z mojej grupy.



Wtedy uścisnęliśmy dłonie z kapitanem i życzyliśmy mu powodzenia. Obserwowałem, jak wraz ze swymi ludźmi znikają w zaroślach, i usłyszałem coś, co moim zdaniem brzmiało jak skrzek ary, która wyrażała swoją opinię na temat ich szans, kończąc wypowiedź szyderczym śmiechem. Odgłos nie zdążył jeszcze dobrze wybrzmieć, kiedy podobny werdykt poszybował w naszą stronę – buntowniczy wybuch wesołości i szyderstwa, nagle przerwany serią głośnych i chaotycznych odgłosów szamotaniny.

Powrócę jeszcze do tych odgłosów – i one powrócą do mnie – za chwilę. Na początku naszej wyprawy bardziej zajmowały mnie rośliny niż zwierzęta. Szelest liści rozgarnianych ramionami, gdy sunęliśmy w górę, ciche pęknięcie bulw pod naszymi stopami, chłopot mokrej trawy, gdy zapadaliśmy się w grząski grunt i uwalnialiśmy się z jego uścisku.

W kilku miejscach roślinność rosła tak gęsto i była tak splątana, że musieliśmy pełzać na czworakach, na zmianę przytrzymując kłaczka i pędy oraz odsuwając inne przeszkody. Pan Lawson, ponieważ był mężczyzną niewielkiego wzrostu, mógł się tu wykazać inicjatywą, ale zdawał się mocno zdenerwowany tym, na co może natrafić. Natty błyskawicznie zajęła jego miejsce i wykazała się taką biegłością w torowaniu drogi, że z miejsca wybraliśmy ją na przewodnika. Obserwacja, jak prześlizguje się niczym węgorez przez splątane korzenie, jak skacze niczym kocur przez zapory z powalonych drzew i omija niczym pies guzy zbitych gałęzi, wzmocniła tylko moje przekonanie, że stanowi ucieleśnienie wszystkich bożych stworzeń.

W nagrodę za naszą nieustępliwość tuż po wyjściu z doliny znaleźliśmy się w lesie sosnowym, który widzieliśmy (czy raczej słyszeliśmy) w ciemności z pokładu Słowika. Cudowny kontrast, szczególnie że drzewa były prawdziwie imponującymi okazami; wiele z nich osiągało wysokość piętnastu metrów, a niektóre nawet ponad dwadzieścia. Droga między nimi zdawała się rozkoszna i do tego bardzo łatwa, bo ziemię pokrywało igliwie gładkie niczym kobierzec.

Zaczelśmy teraz iść szybszym tempem, co powinno było znacznie poprawić nastroje. A jednak, gdy parliśmy naprzód, wkradła się między nas jakaś dziwna nerwowość. Działo się tak za sprawą owych odgłosów szamotaniny, o których już wspominałem. Pomyślałem sobie najpierw, że to pewnie jakiś niewielki jelonek z gatunku tych, które mieszkają na wyspie, ponieważ odgłosom tym zawsze towarzyszył pęd. Ale kiedy weszliśmy już głęboko w sosnowy las, bez zarośli, nie byłem już tego taki pewny. Odgłosy stawały się coraz bardziej przerażające – aż nasz strach w końcu zmienił się w pełne zaskoczenie.

Kiedy zatrzymaliśmy się, aby zaczerpnąć łyk wody z naszych manierek, tak że przez chwilę zrobiło się naprawdę cicho, zobaczyliśmy, jak szczyt drzewa przed nami zatrzęsł się gwałtownie, po czym wyszła z niego ruda wiewiórka zmierzająca w naszym kierunku. Ruda wiewiórka zupełnie niepodobna do tych, które można spotkać w Anglii, z jednego prostego powodu, że była od tamtych dziesięć razy większa – mówiąc wprost, miała wielkość średniego spaniela – i najwyraźniej zupełnie nieprzystosowana do życia na szczytach drzew. Dopóki nas nie dostrzegła, buszowała w wysokich gałęziach drzew, strącając deszcz igieł i gałązek, a czasami nawet odłamanych niewielkich gałęzi, ale kiedy nas zobaczyła, z wielką prędkością dała nura między drzewa, wywołując zniszczenia jak miniaturowe tornado.

Choć czułem się niemal głupio w tym swoim zadziwieniu, dotarła do mnie prawda, która świeciła mi już na pokładzie Słowika: Wyspa Skarbów była domem dla kilku gatunków stworzeń, jakich nie można znaleźć nigdzie indziej na całym świecie, że o Anglii nie wspomnę. Choć byłem podekscytowany, gdy zrozumiałem, że poza skarbem jest jeszcze jeden powód, dla którego się tu znalazłem, nie zmieniło to całkowicie mojego nastroju. Świadomość, iż nie wiadomo, co może czaić się w tej gęstwinie wokół nas, sprawiała, że czuliśmy się niepewnie, a to, co jeszcze czaiło się przed nami, napawało nas prawdziwym strachem.

Patrząc na twarze moich towarzyszy, wiedziałem, że mają takie same odczucia. Kiedy opadły już emocje związane z pojawieniem się wiewiórki, a samo stworzenie z trzaskiem umknęło z pola widzenia, spostrzegłem, że bosmana Kirkby'ego dopadła melancholia. Wiedziałem, że po części jest to wynikiem obaw o to, co zastaniemy za palisadą. Podejrzywałem też, że nasze otoczenie również miało na niego wpływ – monotonna kraina, która otwierała się przed nami na skraju lasu. Tworzyły ją nagie zbocza szarych łupków o jednolitym zabarwieniu, falujące niczym zamarznięte morze aż do podnóża Wzgórza Lunety, które wznosiło się pionowo ze wszystkich stron, po czym nagle kończyło się, niby ucięte wielkim toporem.

Wrażenie było niezwykle silne i zatrważające. Temu obrazowi towarzyszyła w dodatku naturalna muzyka, którą teraz dopiero zaczęliśmy słyszeć – dudnienie fal przełamujących się na lewym brzegu wyspy. Kiedy po raz pierwszy usłyszałem ten huk i syk kipieli z krzykiem morskich ptaków nurkujących w rozpychających się tumanach wody, od razu przypomniałem sobie, jak mój ojciec opowiadał o swojej nienawiści do Wyspy Skarbów. Upierał się, że nigdy nie widział spokojnego morza wokół jej brzegów. Słońce mogło sobie świecić w górze, ile chciało, i nawet kiedy trudno było oddychać z gorąca, a niebo nad głowami stawało się gładkie i błękitne, to i tak wielkie fale wznosiły się na całym wybrzeżu, dudniąc dzień i noc. Był pewien, iż na wyspie nie istniało miejsce, w którym można by się uwolnić do tego hałasu, i zawsze narzekał na jadowitą jasność – tę samą, którą i ja teraz zobaczyłem, gdy jaskrawe światło odbijało się od skał i głazów.

Nie potrafiłem stwierdzić, czy Natty też porównywała to, co widziała, z opowieściami ojca. Tak rzadko mówiła o panu Silverze od opuszczenia Anglii, że nie wiedziałem, co jest dla niej obce, a co zna z opowieści. Była bardzo milcząca, kiedy ruszyliśmy kamiennym szlakiem, ramiona jej opadły, wbiła wzrok w ziemię, jakby ciągnęła ją jakaś niewidzialna siła. Za każdym razem gdy otrząsała się z jej przemożnego wpływu, wracała na swoje miejsce u mego boku i rzucała mi spojrzenie, które zdawało się prośbą o potwierdzenie czegoś, o co wcześniej pytała – ale samego pytania nie słyszałem nigdy.

Po półgodzinie okrążania podnóża Wzgórza Lunety i wolnego schodzenia w kierunku południowo-wschodniego krańca wyspy, nasza podejrzliwość się pogłębiła. Gleba była tutaj bardziej żyzna i odkryliśmy spore połacie azalii, głównie czerwonych i fioletowych, wśród kilku kęp zielonych drzew wydających gałki muszkatołowe, których aromat mieszał się z zapachem kwiatów różanecznika. Efekt tej mieszanki mógłby być cudowny, gdyby nie trudy pokonywanej drogi – a z każdym niemal krokiem wywoływaliśmy olbrzymią liczbę bzyczących i szurających wśród liści stworzeń, które pierzchały wypłoszone ze swych gniazd.

Czasami dostrzegaliśmy pióra bądź futro i widok ten zdawał się potwierdzać, iż niemożliwe jest raczej, byśmy mogli napotkać jakieś zwierzę większe od nas. Jednak raz, gdy zatrzymaliśmy się na polaci otwartego terenu, usłyszeliśmy odmienne i o wiele bardziej niepokojące odgłosy. Z początku niemal zlewały się z ciszą – wręcz wznagały ową ciszę, dobiegając z jednego z większych krzaków. Odgłos krystalizował się z wolna, zrazu będąc czymś na kształt cichego drapania, a potem przechodząc w bardziej zdecydowany, niepokojący szelest. Gdzieś z tyłu głowy pojawiła się myśl, że jest to coś na kształt ducha – ducha tego miejsca, jak wolicie – ale nie mogłem długo wytrzymać z tą myślą, więc powiedziałem Natty i pozostałym, że to z pewnością małpka. Popatrzyli na mnie, jakbym był powietrzem. Wcześniej nie widzieliśmy ani nie słyszeliśmy żadnych małp na wyspie. Cokolwiek to było, z całą pewnością posiadało zdolność poruszania się z dużą szybkością przez gęste zarośla. Wołałem nie zastanawiać się nad wielkością zwierzęcia, bo nie wiedziałem, co pocniemy, jeśli, a było to całkiem prawdopodobne, powodował nim strach.

W późniejszych latach często miałem okazję widzieć, jak ludzie zauważali u innych szczególnie nastroj, który później udzielał się również im. Tak samo było z nami, gdy znów zapadła cisza. Do tamtej

chwili podczas marszu wszelkie uczucia strachu czy smutku tłumiliśmy za pomocą samozadowolenia: byliśmy równi w zadaniu, które powierzył nam kapitan. Teraz, kiedy znaleźliśmy się już blisko celu, nie było mi tak do śmiechu. Wiedziałem w głębi duszy, że to, co zobaczyłem wcześniej za palisadą, wystarczy, by usprawiedliwić wszelką grozę, która, co czułem, rosła we mnie nieustannie.

Odetchnąłem więc z ulgą, gdy bosman Kirkby zaczął prowadzić nas dużo ostrożniej, co jakiś czas podnosząc dłoń niczym wytrawny zwiadowca i każąc nam zatrzymać się w rzędku za jego plecami. Jak się okazało, byliśmy o włos od innego niebezpieczeństwa, o istnieniu którego nie mieliśmy wcześniej pojęcia. Bo oto gdy ruszyliśmy dalej, skradając się po cichu, nagle stanęliśmy na skraju czegoś, co można określić mianem wąwozu. Zorientowałem się pierwszy, widząc, jak nasz bosman wyrzuca przed siebie ręce i macha nimi na oślep. Gdy nachyliłem się, wyciągając do niego pomocną dłoń (skrzywił się, co miało znaczyć, że moja pomoc nie była konieczna), zobaczyłem za jego ramieniem straszliwą szramę w ziemi, jakby sam dobry Bóg przesunął paznokciem po swoim dziele stworzenia. Nie była to szeroka szczelina – jakieś dwa metry – ale miała również ze dwanaście metrów głębokości oraz niezwykle gładkie ściany ze sterczącymi tu i ówdzie małymi drzewkami na niewielkich występach i półkach. Na dnie leżały wyszczerbione kamienie zielone od wilgoci oraz białe żebra dużego kozła, a może świni.

Nad wąwozem unosił się szczególny odór, który wpadając do płuc, wywoływał dobitne wrażenie zimna i wilgoci. Natty również musiała to poczuć, bo gdy ja wciąż zamierzałem się przyglądać tej formacji, chwyciła mnie za ramię i pospiesznie odciągnęła od niej – w gruncie rzeczy wszystkich nas stamtąd odciągnęła, żebyśmy wrócili na naszą ścieżkę, biegnącą spory kawałek od krawędzi, dzięki czemu mogliśmy uniknąć ryzyka wpadnięcia do środka. Powiedziałem „ścieżka”, ale tak naprawdę nie było niczego, co by przypominało ścieżkę, jedynie ściółka pełna korzeni, pokryta mchem oraz kępami kwiatów tej samej barwy co hiacynty, lecz o kształcie kaczeńców. W innych okolicznościach z lubością skorzystałbym z szansy pobuszowania między nimi opanowany botaniczną pasją.

Po minucie marszu ostępy skończyły się nagle i dostrzegłem wiele krzyżujących się tutaj śladów – niektóre były wyraźne i celowe, inne z kolei krążyły wokół, jakby znaczyły ruchy kogoś, kto nie ma pojęcia, gdzie jest i dokąd pragnie się udać. Ponieważ odkryliśmy sporą ilość śladów ludzkich stóp, mogło to też oznaczać, że wkrótce zostaniemy odkryci, byliśmy radzi, kiedy roślinność wokół nas znów się zmieniła, skrywając nas w gęstym pasie rododendronów. Tutaj z wdzięcznością opadliśmy na czworaki, odnajdując schronienie w ciemnościach pod ich liśćmi.

Kiedy odzyskaliśmy dech, bosman Kirkby odsunął gałąź, żebyśmy mogli spojrzeć przed siebie. Wyobraźcie sobie, jak dziecko otwiera książkę napisaną w języku, z którego prawie nic nie rozumie. Na taką to właśnie książkę spoglądałem o sto metrów w dół zbocza. Chcę powiedzieć, że zobaczyłem mizmasz. Chaos, który z wolna się uspokajał i wyciszał. Na przykład palisada – to rozpoznałem. Do tego pusty plac, cmentarz oraz zagroda ze zwierzętami. A dalej, z pięćset metrów za palisadą, osuszono bagno i zasadzono ryż na małych poletkach, podzielonych niskimi wałami z błota.

Wszystkie te elementy krajobrazu świadczyły o porządku, który koił myśli. Ale nagle uniosłem wzrok na Ostoję Kapitana Kidda i zobaczyłem port zawalony wrakiem dużego żaglowca. Był to przygnębiający widok, zasłaniający dużą przestrzeń na tle Wyspy Szkieletu z niewielką przeszkodą w postaci Białej Skały, która trzęsła swymi liśćmi na czapie od pięćdziesięciu lat. Pokład statku, z powalonymi wszystkimi masztami i zerwanym takielunkiem, był równie goły jak na dużych statkach z więźniami, które widywałem często na Tamizie. Kadłub przełamał się na dwoje, a wiele wręg zostało pogruhotanych albo po prostu wyrwanych z miejsca. Może to zabrzmieć przesadnie, ale ten wrak roztaczał wokół swoisty całun rozpacz – to, co doprowadziło do katastrofy żaglowca w Ostoi, wciąż czaiło się wśród jego wręg niczym okrutny tyran w swym zamku.

Dlaczego odczuwałem to aż tak wyraziście? Z powodu tego, co zobaczyłem, kiedy uważniej przyjrzałem się obozowi piratów. Miał więcej niż czterdzieści metrów długości i tyleż samo szerokości. Po obu stronach stały długie bungalowy, jeden lepiej wykonany niż drugi, z szopą podpierającą jedną ścianę, której funkcji nie odgadłem od razu. W połowie odległości między nimi, w samym środku wznosiła się duża budowla w kształcie wachlarza, którą wcześniej widziałem ze Słowika. Teraz, kiedy patrzyłem od strony lądu, dostrzegłem, że przypomina coś w rodzaju sądu – z krzesłem (czy też tronem) w środku, ławą oskarżonych poniżej i dwoma ławami po obu stronach, które można było wypełnić sędziami oraz publicznością.

Nie tak szybko wpadłbym na to, do czego wykorzystywano tę budowlę, gdyby aktualnie nie była w użyciu – i kiedy zrozumiałem, co się tu dzieje, pojąłem również, dlaczego zamarły wszelkie inne prace w obozie. Na gołej ziemi przed obliczem sądu, w dwóch oddzielnych rzędach siedziały kobiety i mężczyźni – murzyńscy mieszkańcy wyspy, którzy jeszcze wczoraj, co widziałem na własne oczy, cierpieli katusze z rąk swych białoskórych panów. Byli jeszcze gorzej odziani, niż mi się wydawało – wszyscy mieli na sobie szmaty zamiast ubrań – a w dodatku wynędzniali i chudzi, zrezygnowani i osowiali. Nawet kilkoro dzieci wrywających się z matczyńskich ramion było gnuśnych i zdawały się chore. Chorowite i przerażone, ponieważ bardzo często ich wałęsanie ukrócało pięciu, sześciu białych mężczyzn (białych, choć niezupełnie czystych), którzy snuli się po zamkniętym terenie. Mężczyźni ci trzymali długie bambusowe kije, którymi czasami klepali się po nogach ze złowróżbną niefrasobliwością albo dźgali w ramiona i plecy tych, którzy kulili się u ich stóp.

Natty, do tej pory leżąca koło mnie tak cicho, że nawet nie słyszałem jej oddechu, teraz odwróciła się, by na mnie spojrzeć – nasze twarze znalazły się tuż obok siebie. Skrawek liścia przyłgnał jej do szyi, ale odpadł, gdy wyszeptała do mnie:

– Czy to jest sąd?

Pokiwałem głową.

– Kim są ci ludzie? Skąd się tu wzięli?

Skrzywiłem się i wzruszyłem ramionami na znak, że nie mam pojęcia, ale i tak się odezwałem:

– Ze statku?

Natty zmarszczyła brwi, ale powoli, żeby zaznaczyć, że ona również jest tego zdania. Potem wróciliśmy do obserwacji.

Znajdowaliśmy się w odległości jakichś dwudziestu pięciu metrów, byliśmy więc zbyt daleko, żeby usłyszeć wszystko, co mówiono. Jednak łatwo mogliśmy pojąć ogólny sens. Na wysokim tronie siedział, czy raczej spoczywał sędzia – duży łajdak o paskudnym wyglądzie w przekrzywionym zielonkawym kapeluszu na głowie, z czupryną siwych włosów sięgających mu do ramion. Bezpośrednio poniżej zauważyłem postać stojącą bez ruchu. Mężczyzna był całkowitym przeciwieństwem swojego towarzysza; nosił marynarskie spodnie, koszulę, niegdyś białą, a obecnie brązową jak żeglarski suchar, oraz krótką granatową kurtkę, spod której wystawał rapier wiszący mu u pasa. Z jego twarzy nie można było wyczytać ani śladu emocji, a do tego była blada jak u trupa – z wyjątkiem rdzawej szramy biegnącej mu przez gardło.

Uznałem, że to pewnie jakaś gra świateł, i wróciłem do obserwacji oskarżonego. Nieszczęśnik stał najniżej ze wszystkich w tej budowli, z dłońmi związanymi z przodu i oczami, którymi strzelał po towarzyszach siedzących przed nim na ziemi. Spoglądał na trzeciego, bardzo dziwnie wyglądającego pirata, paradującego przed opustoszałą ławą po prawej stronie, rzucającego zdawkowe uwagi i mamroczącego coś do siebie. Ów mężczyzna nosił pognieciony stary kapelusz z jednym oklapłym końcem oraz chustką pod spodem, by zabezpieczyć się przed słońcem. Pomyślałem, że ten człowiek raczej podpira się barierką niż chodzi wzdłuż niej, bo prawdopodobnie był mocno pijany.

Całe przedstawienie stanowiło plugawą parodię sprawiedliwości i emanowało taką grozą, że w pierwszej chwili miałem ochotę wypełznąć spod krzaków i pobiec ile sił w nogach na Słowika. Sądząc po cichym jęku Natty, podzielała moje odczucia. Wszyscy tak to odbierali, jestem tego pewien. Ale musieliśmy zostać na miejscu – by oszczędzić sobie ryzyka odkrycia, bo schwytała nas (choć przyznaję to ze wstydem) pajęczyna fascynacji tym widowiskiem. Czego mieliśmy być świadkami?

Nie musiałem długo czekać. Sędzia, jakby nagle zmęczyło go bełkotanie „advokata”, podniósł się na swoim tronie, klasnął w dłonie i warknął tak głośno, że jego słowa dobiegły naszej kryjówki:

– Dość, panie Jinks. Usłyszałem wszystko, co chciałem usłyszeć.

Wśród Murzynów przykucniętych na ziemi rozległ się zduszony jęk, na co strażnicy weszli w ciźbę, bardzo szybko rozdając razy kijami, niczym chłopcy siekący pokrzywy. Znaczenie tego jęku było aż nadto zrozumiałe. To odgłos grozy i obrzydzenia.

Dalsze wypadki nastąpiły z przyprawiającą o mdłości rutyną. Sędzia ponownie się wyprostował, tak że niemal uniósł się z fotela, i strząsnął włosy z twarzy. Nachylił się, prawą dłonią klepnął w ramię człowieka o białej twarzy stojącego poniżej, a lewą przejechał kciukiem po grdyce.

Tłum więźniów zaczął otwarcie jęczeć i zawodzić, pomimo spadających na nich razów. Upiorny pirat nie zwracał na to uwagi. Zszedł po chwiejnych stopniach sądu, aż znalazł się obok oskarżonego, po czym chwycił go brutalnie za ramię i przyciągnął do siebie, aż stanęli razem na twardym gruncie. Patrzenie na różnicę między nimi napawało nas grozą. Jeden był szczupły, blady i obojętny, ale z błyskiem w oku, a drugi ciemnoskóry i wyschnięty jak szkielet, ze ściśniętymi kolanami i głową wtuloną między nagie ramiona.

Była to długa chwila – w mojej pamięci trwa nadal.

Naprawdę jednak zakończyła się bardzo szybko, bo biały chwycił jeńca za szorstkie włosy, zmusił do przykłęku, po czym zamaszystym ruchem wyjął rapier z pochwy, zamierając na sekundę i smakując tę potworną gratkę, jaka przypadła mu w udziale, po czym ciął w dół. Kiedy cios spadł, wielka chmara ptaków wzbija się z brzegu za jego plecami. Zwierzęta darły się wniebogłosy, krążąc nad brzegiem. Ostrze weszło w szyję ofiary jak w masło.

W tej samej chwili wypuściłem całe powietrze z płuc, głowa mi opadła i wzrok wbiłem w glebę – patrzyłem na ziarenka błota, na liście, na korzenie wijące się w ziemi. Wywołało to bardzo dziwny efekt, bo oto poczułem się znów jak dziecko, które widzi po raz pierwszy cuda tego świata. Chwilę później, nie będąc już dzieckiem, nie mogłem nie spojrzeć jeszcze raz przed siebie. Ciało padło na bok obtoczone w kurzu niczym brązowa krewetka, a głowa leżała jakieś pół metra dalej. Kat, którego twarz w dalszym ciągu nie wyrażała żadnych uczuć, wbił sztych swego rapiera w policzek nieboszczyka, by go rozorać, po czym uniósł swe trofeum w stronę wciąż siedzących – czy raczej kulących się – u jego stóp więźniów.

Ich rozpacz wznosiła się i opadała w chaotycznych falach, ale mężczyzna jedynie uniósł brodę i łypał na nich złym okiem – co pozwoliło nam dostrzec, że długi cień biegnący przez jego gardło rzeczywiście jest szramą. Ciągnęła się od ucha do ucha i przydawała mu wyglądu człowieka, który uparcie trzyma się życia.

– A teraz możecie wracać do pracy – skrzeknął wysokim i wyniosłym głosem. – Wszyscy. Wracać do roboty.

Strażnicy momentalnie zaczęli machać długimi kijami, pilnując, by rozkaz został wykonany.

## Rozdział 17

### Scotland

Nikt nie odezwał się ani słowem. Leżałem bez ruchu, tak jak wszyscy. Ale moje milczenie i bezruch brzydziły mnie, ponieważ wszystko, czego byłem świadkiem, stawało się nie do zniesienia. Gdzie się podział mój sprzeciw, moje oburzenie, moje obrzydzenie? Cóż zapoczątkowałem, kradnąc mapę ojcu? Kim się stałem, stawiając stopę na tej wyspie?

Dziwny przypadek odciągnął mnie od tego rodzaju pytań. Bo kiedy kłębiły się w mojej głowie, bosman Kirkby zaczął się wycofywać przez zarośla. Kiwał na nas palcem, żebyśmy ruszyli w jego ślady. Kiedy zobaczyłem, że oczy rozszerza mu strach, i przypomniałem sobie, jaki był niewzruszony na pokładzie Słowika, a także podczas marszu w stronę obozu piratów, nie potrzebowałem większej zachęty. Był człowiekiem, który wiedział, co to niebezpieczeństwo i kiedy należy go unikać.

Wciąż znajdowaliśmy się blisko obozu piratów i nasza rejterada była bardzo powolna, bo nie chcieliśmy na siebie ściągnąć niczyjej uwagi. Jednak w chwili, w której poczuliśmy się bezpieczni, bosman klepnął pana Lawsona w plecy i we dwóch ruszyli ile sił w nogach. Chwyciłem Natty za rękę i też daliśmy dyla – ale dzikim zygzakiem, jakbyśmy spodziewali się ostrzału. Przez kolejnych kilkanaście minut jedynym słyszalnym odgłosem był tupot stóp uderzających o ziemię i dudniące w piersi serca.

Gdy biegłem, w głowie kotłowało mi się od mnogości rozmaitych pytań. Widzieliśmy straszną parodię procesu, ale kim byli sędzia, oskarżyciel i kat? Podejrzewaliśmy, że to trzej piraci pozostawieni na wyspie przez załogę Hispanioli. Ale w takim razie kim byli strażnicy, kim więźniowie? Cóż za enklawę, opierającą się na okrucieństwie, sobie tu stworzyli? Nie byłem pewien. Musiałem się uspokoić i poznać opinie pozostałych, by wyrobić sobie zdanie. Na razie wiedziałem, że muszę biec – uciekałem niczym spłoszone zwierzę.

Po kilkuset metrach zatrzymaliśmy się tuż obok monstrualnie wielkiego starego krzaka azalii, który urósł do rozmiarów kościoła. Nie mogliśmy mówić, ale staliśmy w kręgu z dłońmi na kolanach, dysząc, aż odzyskaliśmy oddech. Mieliśmy nadzieję odzyskać również i pewność siebie, ale były to mrzonki. Zanim się uspokoił, bosman Kirkby nagle przyłożył złożoną dłoń do ucha.

– Co jest? – wyszeptalem.

Wszystkie moje zmysły napięły się jak postronki – każdy przebłysk słońca w liściach wokół nas zdawał się ostrzem pałasza, każdy pierzchający ptak zmienił się w odgłosy kroków wroga.

– Ciiii – syknął Kirkby, jakby nawet myśli rozchodziły się po okolicy z łoskotem.

W głuchej ciszy, jaka nastąpiła później, pochwyciłem lekkie zakłócenie powietrza dochodzące z oddali, której nie potrafiłem zmierzyć. Nie był to odgłos wydawany przez człowieka, jak pomyślałem najpierw; bardziej przypominał chrząkanie jakiegoś zwierzęcia. Zdawał się całkiem nieskrępowany, uznałem więc, że to może jakiś królik albo jeź, który żeruje w krzakach. Jednak im dłużej słyszałem hałas, tym większym napawał mnie przekonaniem, że nie jest bynajmniej taki naturalny ani bezwiedny.

Bosman Kirkby przywołał nas bardzo ostrożnie i razem podpełzaliśmy naprzód, omijając wielki krzak zagradzający nam drogę. Zastaliśmy tam coś, co przypominało ścieżkę śladów stóp pośród pasa pomniejszych krzewinek.

Kiedy bosman uniósł ponownie dłoń, zgromadziliśmy się wokół niego przerażeni tym, co możemy zobaczyć, ale ku wielkiej uldze niepewność prawie się rozviała. Pan Lawson, jak pamiętam, wyjął

chustkę z kieszeni i przetarł twarz – zrobił to bardzo ostrożnie, jakby szramy na skórze wciąż sprawiały mu ból.

– No, co jest? – zapytałem bosmana tak cicho, jak tylko się dało.

Nie odpowiedział, lecz wskazał na coś i przyłożył dłoń do ust. Na ścieżce przed nami otworzyła się wielka dziura. Podeszliśmy do niej gęsiego, wspomagając się wzajemnie swą siłą, i zerknęliśmy do środka. Miała jakieś trzy i pół na trzy metry, prostokątne wejście, a z boków sterczało kilka gałązek i drobnych kamyków. Podłogę wyłożono płataniną zbrązowiałych liści paproci, które najwyraźniej niegdyś tworzyły coś na kształt dachu, a teraz leżały na dole.

Gdyby ktokolwiek z nas miał ochotę się odezwać, określiliby pewnie ten otwór raczej jako „jamę”, a nie „dziurę”, albo, jeszcze trafniej, że to bardziej „pułapka” niż „jama”. I w istocie była to pułapka. A skoro wykonano ją, by chwycić zwierzęta, które można było zabić i zjeść, to równie skutecznie łapał się w nią człowiek. Murzyn, którego zobaczyłem, musiał do niedawna znajdować się wśród więźniów za palisadą. Teraz kulił się na czworakach pokryty kurzem i ziemią. Cały czas rzucał nam żłosne spojrzenia. Odgłosy, które słyszeliśmy, to były jego jęki.

Ponieważ ten widok nas zaskoczył, gapiliśmy się dłużej, niż wypadało – i obserwowaliśmy z przerażeniem, jak jego twarz zmienia się, odmalowując najpierw pełne zaskoczenie, potem ciekawość, a następnie nerwową nadzieję. Straszliwy odgłos, oznaka jego strachu, ucichł, a on sam wstał z ziemi. Był mężczyzną mniej więcej dwa razy starszym ode mnie, ale mojego wzrostu, bardzo chudym, z siniakami na ramionach i plecach oraz z ogoloną głową, którą również pokrywały strupy i skaleczenia. Był bosy i nagi do pasa, a na prawym ramieniu wypalono mu rozżarzonym żelazem cyfrę siedem. Na jego czarnej skórze rana przybrała barwę niemal fioletową.

Nagle obudziła się w nas lepsza część naszej natury. Nachyliliśmy się, by wyciągnąć mężczyznę z tej matni. Tak się złożyło, że więzień chwycił też moją dłoń i szorstkość jego ręki bardzo mnie zaskoczyła – równie dobrze mógłbym sięgnąć po korzeń drzewa. Po krótkiej szamotaninie stanął między nami. Czy raczej stanął nad nami, bo był wyższy, niż się spodziewałem – jego nogi złożyły się same i usiadł, na co Natty podała mu manierkę.

Pił łapczywie, po czym wylał sobie trochę wody na głowę. Spod ściekających strużek wyłoniła się przystojna twarz, choć policzki zapadły się z głodu, a do tego widać było na niej liczne drobne rany i zadrapania.

Bosman Kirkby jako pierwszy przełamał milczenie, dając nam znać, byśmy usiedli; chciał pokazać, że jesteśmy równi.

– Jesteśmy przyjaciółmi – zaczął bardzo wolno, jakby obawiał się, że nie zostanie zrozumiany.

– Skąd przybywacie? – padła odpowiedź z akcentem, w którym ze zdumieniem rozpoznałem wyraźne ślady szkockiej mowy.

– Z Anglii – włączyłem się do rozmowy.

– Nazywasz się Zanglii?

– My jesteśmy z Anglii – odparłem – z Londynu.

– Ja się nazywam Scotland.

Po takiej porcji strachu, komizm całej sytuacji przeważył i wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem, a napad wesołości przerwał dopiero bosman Kirkby, uciszając nas teatralnym szeptem.

– Nazywasz się Scotland – powtórzył, po czym zaczął wskazywać na każdego po kolei i przedstawiać nas. – Ja jestem Kirkby. William Kirkby. Ten tu to pan Lawson, to jest pan Jim, a to jest Nat Silver. Jesteśmy z Anglii. Nasz statek cumuje na północnym krańcu wyspy, gdzie czekają na nas inni. – Kiedy skończył, nachyliliśmy się, by uścisnąć nieszczęśnikowi dłoń, a Natty, która była ostatnia, trzymała rękę Scotlanda dłużej niż inni o sekundę czy dwie.



Kiedy ją puściła, zadała pytania, które wszyscy mieliśmy na końcu języka:

– Co to ma być? Co wy tu robicie?

– Próbowałem uciec – powiedział Scotland w swym szorstkim, wyspiarskim języku, po czym wzruszył bezradnie ramionami. – Oczywiście, nie wyszło.

– Uciec zza palisady, chcesz powiedzieć? Ale dokąd?

– Dokądkolwiek – padła odpowiedź. A potem rzucił pełną znużenia refleksję: – Wiedziałem, że i tak będę musiał tam wrócić.

– A to.... – Natty zamilkła, nie wiedząc, jak właściwie ma opisać tę pułapkę. – Ten rów. Ta jama. Czy wykopano ją, żeby uniemożliwić ucieczki?

– Tak, żeby powstrzymać uciekinierów. I żeby łapać zwierzęta. Wszystko jedno. W końcu by mnie znaleźli.

– Ależ nie! – wtrącił się bosman Kirkby, wystraszony myślą, że prześladowcy dotarli tu przed nami. – Dobrze już, dobrze. Nie musisz się bać. Uratowaliśmy cię.

Słowa te miały pozornie beztroski i przyjacielski ton, ale nie mogłem nie zauważyć, że jak dotąd nie padło ani słowo wyjaśnienia, dlaczego pojawiliśmy się na wyspie. Kiedy Scotland witał się z nami, zerkając na każdego z osobna i wbijając w nas spojrzenie swoich dużych oczu, jakby oceniał naszą wiarygodność, pomyślałem, że on także zachowuje pewną rezerwę. Nie okazywał przesadnej wdzięczności osoby, która uważa, że już jest całkiem bezpieczna, lecz pozostawał spokojny i czujny.

Chciałbym myśleć, że z szacunku dla jego powściągliwości, a nie z jakiegokolwiek innego nikczemnego powodu, powstrzymaliśmy się od natychmiastowego zasypania Scotlanda gradem pytań. Prawda jest jednak taka, iż wciąż baliśmy się, że ludzie zza palisady natkną się na nas i trafimy do niewoli. Z tego powodu zapytaliśmy go tylko, czy wróci z nami na Słowika.

– Żeby dla was pracować? – chciał koniecznie wiedzieć, ale zapewniliśmy go, że może do nas przyjść jako przyjaciel, bo tak wtedy go traktowaliśmy.

Ponieważ Scotland wyglądał na wycieńczonego, podejrzewałem, że będziemy go musieli nieść albo przynajmniej podtrzymywać. Ale jego słabość była niczym skurcz i wkrótce zniknęła bez śladu. Kiedy wyszliśmy z zarośli i zaczęliśmy iść przez otwartą kamienną przestrzeń i dalej do lasu sosnowego, ruszył obok bosmana Kirkby'ego i rozmawiał z nami bez śladów zmęczenia.

Jak się okazało, Scotland dostał takie miano, gdyż po złapaniu w Afryce pracował od młodych lat w posiadłości na Jamajce, której właścicielem był szlachcic urodzony w Edynburgu. Prowadził swój interes z pomocą rodaków, których akcent bardzo szybko udzielił się naszemu towarzyszowi. Kiedy właściciel zmarł bezpotomnie, jego posiadłość została sprzedana wraz ze Scotlandem oraz pozostałymi mieszkającymi w niej niewolnikami. Nowy właściciel najwyraźniej postanowił rozpocząć uprawę, do której nie potrzebował aż tylu rąk do pracy.

Tak czy inaczej, Scotland oraz grupa około pięćdziesięciu niewolników (mężczyzn, kobiet, starców i dzieci) znalazła się na pokładzie statku, który wypłynął z Jamajki w zachodnie rejony Zatoki Meksykańskiej. Na pewnym etapie tej podróży statek wpadł w sztorm, zmiotło go z kursu, stracił maszt i już witał się z Davym Jonesem<sup>\*\*\*\*\*</sup> w jego przepastnym kufrze, ale w końcu rozbił się na Wyspie Skarbów wraz z marynarzami, strażnikami i całą załogą wszelakiego autoramentu obecną na pokładzie.

Statek, który widzieliśmy w Ostoi przy Wyspie Szkieletu, nosił nazwę Achilles. Scotland zaznaczył, że kiedy trafili na ten ląd pięć lat temu, wydawało mu się z początku, że wichry losu przywiodły go do wolności, a przynajmniej do miejsca, w którym będzie mógł ułożyć sobie życie wspólnie ze swymi strażnikami. Z jego słów wywnioskowałem, że pochodzi z rodziny, która oczekiwała od niego odpowiedzialności przywódcy i taką też rolę przyjął w niewoli.

Scotland powiedział, że jego nadzieja wolności rozpadła się w proch i pył, kiedy tylko znaleźli się na wyspie – ponieważ niewolnicy wylądowali dokładnie w tym samym miejscu, w którym maruderzy wiele lat wcześniej rozbili swój obóz. Pomyślałem, że kiedy ten statek rozbił się na brzegu, maruderzy żyli na tej wyspie w izolacji niemal od trzydziestu pięciu lat – co dawało pewne pojęcie o tym, jak mogli zdziżyć. Tak czy inaczej, z relacji Scotlanda jasno wynikało, że bardzo szybko przekupili dziesięciu strażników, którzy przeżyli katastrofę, i uczynili z nich narzędzia służące do podporządkowania sobie niewolników. Ci biedacy stali się tym samym ofiarami najbardziej barbarzyńskich skłonności, jakie można sobie tylko wyobrazić.

Gdy przetrawiliśmy te informacje, bosman Kirkby chciał się dowiedzieć, ile i jaką broń mają prześladowcy – co wydało mi się bardzo rozsądnym pytaniem, biorąc pod uwagę odwet, jaki zaczął nam świtać w głowach. Scotland odparł, że pałaszy jest w bród, a do tego kilka pistoletów i strzelb. Broń palna jednak stała się zupełnie nieprzydatna, bo na skutek wilgotności panującej na wyspie pordzewiała, a pierwotne zapasy prochu i kul były już na wykończeniu.

Mogło to stanowić niejaki pocieszenie, gdyby Scotland nie podkreślał, iż nie ma na wyspie broni straszniejszej niż sami oprawcy. Zrozumiałem, że ma na myśli przywódcę, Smirke'a (bo tak nazywała się rozwalona na tronie sędziego bestia), kata Stone'a oraz ich pomagiera Jinksa, zdeprawowanych do szpiku kości i trzymających całą społeczność w stanie pasywnego terroru. Maruderzy może i mieli po sześćdziesiąt lat, ale ich żądania i żądze gwałtownie wzrosły podczas długiej izolacji od człowieczeństwa i były teraz nienasycone. Ta myśl tak bardzo mnie zaniepokoiła, że nie od razu spostrzegłem drobną nieścisłość, usłyszaną w opowiadaniu Scotlanda. Chodzi o to, że imiona, jakich używali, nie były tymi, które słyszałem od ojca. Mogłem tylko założyć, że Smirke był owym bezimiennym piratem, a Tom Morgan i Dick przyjęli nowe pseudonimy, które ich zdaniem pasowały do nowego życia – Dick, pomyślałem, to prawdopodobnie Jinks – choćby z tego powodu, że oba imiona trochę się kojarzyły – a Tom Morgan to Stone.

Zachowałem te myśli dla siebie, ponieważ zdawały się zbyt trywialne w porównaniu z tym, czym raczył nas Scotland – i odniosłem wrażenie, że słusznie, bo kiedy dotarł do tej części opowieści, zaczął zwalniać, a jego kroki stały się bardziej chaotyczne. Mógłbym powiedzieć nawet, że się słaniał na nogach, jakby przypominał sobie brzemień ciosów i innych cierpień, które musiał znosić. Przez pięć lat więźniowie wykonywali niewolniczą pracę, a na dodatek cierpieli straszliwe katusze w postaci bicia i zniewag wszelkiego typu. Przez pięć lat kobiety żyły w ciągłym poniżeniu i zdawały się istnieć wyłącznie po to, by dostarczać rozkoszy cielesnej swym panom. Przez pięć lat dzieci zaniedbywano (nawet te, których ojcami byli ich dręczyciele) i przez pięć lat starcy żyli w takim wyniszczeniu, że cały czas błagali los, by zesłał im szybki koniec.

Trudno było słuchać o rzeczach, o których mówił Scotland, i nie czuć przymusu okazywania mu jakichś oznak otuchy – co cały czas robiliśmy. Pan Lawson odrzucił precz swą wrodzoną nieśmiałość, a współczucie niezwykle rozwiązało mu język. Bosman Kirkby i ja klepaliśmy Scotlanda po ramionach i pocieszaliśmy, jak mogliśmy. Natty wzięła jego dłonie i gładziła je swoimi. Scotland zdawał się nie dostrzegać tego wszystkiego, a nasze starania nie wywierały na nim żadnego skutku, a jedynie podawał kolejne przykłady okropieństw, jakich wycierpiał, aż w końcu głos zaczął mu się łamać. Na koniec odwrócił się od nas, zakrył twarz dłońmi i załkał.

Dotarliśmy już wtedy do smoczego kręgosłupa wyspy między sosnami, a nagie zbocza wzgórza Spyglass zostały daleko za nami. Biorąc pod uwagę niebezpieczeństwa Wyspy Skarbów, było to życzliwe miejsce, gdzie jedyne niespodziewane odgłosy wydawały wiewiórki, przebiegające po wysokich gałęziach. Choć bezdusznym wydaje się stwierdzenie na głos, że takie obserwacje mogłyby pomóc Scotlandowi, nie mogłem się pozbyć myśli, że tak właśnie jest.

Nie potrafiłem stwierdzić, czy Natty targają takie same uczucia. Od uwolnienia Scotlanda miała całkowicie ściągniętą twarz, co było dla niej typowe, gdy zmagala się sama ze sobą przed trudnym pytaniem. Znałem ją już dobrze i miałem pewność, iż jeśli zacznę naruszać jej milczenie, ona zamknie się w sobie jeszcze bardziej. Z tego powodu kroczyłem obok niej w ciszy przez ostatni kilometr drogi.

Scotland zaczął dochodzić do siebie, wycierał ręką twarz i chrząknął, znów gotów do rozmów, a Natty najwyraźniej zakończyła swoje rozważania. Podeszła do niego i położyła mu prawą dłoń na ramieniu, gdzie skóra Scotlanda o odcieniu gęstego miodu zdawała się jeszcze ciemniejsza i bardziej posiniaczona. Przypomniałem sobie jej ojca leżącego w londyńskich pieleszach i Natty trącającą nosem jego twarz. Czuć było tu tę samą bliskość.

– Jesteś teraz bezpieczny, jesteś bezpieczny – powiedziała Natty, jakby mówiła z nim w cztery oczy.

To jednak zamiast Scotlanda pocieszyć, najwyraźniej jeszcze bardziej go poruszyło. Zbliżył się do Natty i popatrzył na nią swymi szeroko rozwartymi oczami, a jego twarz błyszczała od łez.

– Nie jesteśmy tacy sami – powiedział.

– Ale moja matka... – zaczęła Natty i zamilkła, bo nie wiedziała, jak ma zakończyć to zdanie.

– Nie jesteśmy tacy sami – powtórzył Scotland po bolesnej przerwie. – Nie możesz tego zrozumieć.

Natty cofnęła dłoń.

– Zajmiemy się tobą – powiedziała tym samym śpiewnym głosem.

– Ja mam żonę! – wykrzyknął Scotland. – Ona wciąż tam jest.

Teraz to Natty zdawała się poruszona. Spytała:

– Gdzie? – jakby Scotland mówił o Afryce.

Scotland nie odpowiedział wprost, ale trzymał się zaczętej właśnie opowieści.

– Uciekliśmy od Smirke'a i od innych razem – powiedział. – Wbiegliśmy w zarośla. Ale coś nas rozdzieliło.

– Co takiego? – chciała wiedzieć Natty.

– Byliśmy zdezorientowani – powiedział Scotland. – Nie mieliśmy pojęcia, gdzie się skryć. Wtedy ja wpadłem w pułapkę.

– Gdzie ona teraz jest? – drażyła Natty, wracając do pierwotnego pytania. – Za palisadą? – Zdawało się, że otrząsnęła się już z zaskoczenia, gdyż jej głos brzmiał bardzo rozsądnie.

Scotland znów skinął głową.

– Za palisadą, jeśli tak to nazywacie. My mamy na to inne określenie – powiedział.

Bosman Kirkby nie był w stanie powstrzymać ciekawości, jakie to określenie, ale kiedy Scotland przewrócił oczami na znak, że nie ma ochoty mówić o czymś tak oczywistym, pomyślałem, że lepiej zadać inne pytanie:

– Jak długo jesteś żonaty? Nie sądziłem, że...

– Myślałeś, że nam nie wolno? – Fakt, że Scotland mi przerwał, świadczył tylko o tym, że nie jest to dla niego łatwy temat. Uniósł głowę i spojrzał na mnie z dumą. – Cóż, masz rację. Ona jest moją żoną dla mnie, a ja jestem dla niej mężem. To, co mówi prawo, nie ma dla nas najmniejszego znaczenia.

– Odnajdziemy ją – zapewniłem go bardziej z nadzieją niż z przekonaniem, ale z wystarczającą mocą, by doprowadzić tę wymianę zdań do końca. Kiedy spojrzałem na pozostałych, zobaczyłem, że kiwają zgodnie głowami; bosman Kirkby i pan Lawson z powagą, która świadczyła o ich zażenowaniu, że nie byli w stanie dostatecznie szybko uspokoić niewolnika.

Sam Scotland znalazł sposób na zakończenie tej niezręcznej sytuacji, bo na chwilę złożył głowę na ramieniu Natty i zamknął oczy. Powtarzałem sobie, że to wyłącznie oznaka wdzięczności i odnosi się do nas wszystkich – ale kiedy ponownie otworzył oczy i spojrzał na nią, dostrzegłem między nimi jakąś nić porozumienia, wbrew temu, co powiedział chwilę wcześniej. Muszę przyznać, że mnie to wzburzyło i

miałem zamiar ponaglić grupę do ponownego wyruszenia w drogę, jednak sama natura przysłała mi w sukurs. Jakieś pięć, sześć metrów od nas przyczajona w bezruchu w cieniu sosny siedziała kolejna wiewiórka, podobna do tej, którą widzieliśmy wcześniej, i wpatrywała się w nas oczami ciemnymi jak śliwki.

Ten okaz był jednak większy niż poprzedni, niemal wielkości kuca, z futrem o tak głębokiej i bijącej w oczy czerwonej barwie, że wyglądała jak rozżarzone węgle. Bosman Kirkby dostrzegł ją w tej samej chwili co ja i sądząc po tym, jak zareagował, był równie wdzięczny, że coś odwróciło naszą uwagę.

– Niech mnie kule biją – powiedział cicho. – Co my tu mamy?

Stworzenie nie było wcale przestraszone dźwiękiem jego głosu, co świadczyło tylko o tym, że nie widywało ludzi i nie wiedziało, jacy jesteśmy niebezpieczni. Upewniłem się co do tego, gdy zobaczyłem, jak Natty bierze leżącą obok szyszkę sosnową i popycha ją naprzód, jakby chciała zacząć zabawę. Szyszka potoczyła się po zakrzywionym torze i zatrzymała w zasięgu łap zwierzęcia, które uniosło podarek, zastanowiło się przez chwilę nad czymś, a następnie delikatnie położyło go na ziemi, wyraźnie skruszone. Kiedy to zrobiło, klasnęło w przednie łapy – które można by nazwać dłońmi, jeśli nie liczyć cienkich, szpiczastych pazurów w żółtym kolorze – i skłoniło się w przekomiczny sposób. Pan Lawson, który chichotał podczas całego tego przedstawienia, odklonił się wiewiórce, co zwierzę uznało najwyraźniej za przyzwolenie na grzeczne oddalenie się. Opadło miękko na cztery łapy i z szybkością, która była prawdziwie niezwykła, wzięwszy pod uwagę jego dużą masę, wspięło się głośno po sosnowym pniu, szurnęło w koronę drzewa i zniknęło.

Scotland, kiedy się do niego odwróciłem, uśmiechał się szeroko. Łzy wyschły mu już na policzkach, a smutny gniew się ulotnił.

– Widziałeś je wcześniej? – zapytałem.

– Wiewiórki? – zapytał, imponująco eksponując swoje szkockie „r”. – Tak, jest ich tu mnóstwo.

– Mam wiewiórki w Anglii – powiedziałem mu – ale tych rozmiarów. – I rozstawiłem dłonie, by mu pokazać.

– Bardzo małe! – Scotland szeroko otworzył oczy.

– Nie! – zaprotestowała Natty. – To tutaj są bardzo duże. Gigantyczne!

Scotland wzruszył ramionami, jakby na dowód, że przywykł do dziwnych rzeczy, co podsunęło mi kolejne pytanie.

– Powiedz nam – zapytałem – jakie inne zwierzęta żyją na wyspie, jakie ptaki?

Scotland rozciągnął szeroko ramiona, ukazując wnętrze dłoni, tak że mogliśmy zobaczyć, jakie są blade, jak bardzo poranione i pomarszczone.

– Mnóstwo ptaków – powiedział. – Mnóstwo, całe mnóstwo ptaków i mnóstwo zwierząt. Du-da.

Nasłuchiwaliśmy teraz uważnie, nachylając się do niego, bo wydawało się, że nas czymś zaskoczy. Kiedy powiedział „du-da”, pomyślałem najpierw, że to coś w rodzaju „et cetera”.

– Opowiedz nam o tym du-da – zachęciła go Natty, co pokazywało tylko, że rozumie go lepiej niż ktokolwiek z nas.

– Duży ptak – powiedział Scotland, rozpościerając ramiona. – Bez skrzydeł.

– Wielki ptak, co nie potrafi latać – powiedziała Natty, by uściślić.

Scotland pokiwał gwałtownie głową.

– Nie potrafi latać, ale łatwo złapać. Ludzie lubią du-da.

W porównaniu ze wszystkim innym, co widzieliśmy, myśleliśmy i powiedzieliśmy przez ostatnie kilka godzin, ta wymiana zdań była bardzo przyjemna i przekonała nas, że my też bardzo lubimy du-da. Polubiliśmy to ptaszysko tak bardzo, że w gruncie rzeczy z jego powodu kontynuowaliśmy nasz marsz w nadziei, że napotkamy jeden z takich okazów po drodze.

Od tego momentu, jak to się zwykle dzieje na wszelkiego rodzaju wyprawach, droga zdawała się krótsza i łatwiejsza niż wtedy, kiedy wyruszyliśmy w drugą stronę. W pół godziny zostawiliśmy za sobą sosnowy las i weszliśmy w bujną roślinność, która ciągnęła się aż na sam dół do Słowika. A po kolejnych dziesięciu minutach człapaliśmy już pośród grubych liści i odnaleźliśmy mulisty brzeg, skąd mogliśmy zawołać, by przyplłynęto szalupą, a następnie wspiąć się na pokład i znów wyschnąć.

Kiedy dotarliśmy do brzegu, zobaczyliśmy wyglądającego nas kapitana z przekrzywionym kapeluszem na głowie. Gdy zauważył Scotlanda w naszym gronie, na jego twarzy pojawił się groźny grymas. Natty położyła mi dłoń na ramieniu w tak czuły sposób, że moje serce ruszyło z kopyta.

– Du-da – powiedziała. – Najwyraźniej jest smaczny. Dlatego wszyscy go lubią.

## Rozdział 18

# Historia maruderów

Kapitan Beamish obserwował nas, gdy się zbliżaliśmy do statku, bez wątplenia zadziwiony obecnością obcej osoby w grupie, ale i wyraźnie zainteresowany naszym bezpiecznym przybyciem na pokład. Jeśli kiedykolwiek miałem wątpliwości co do jego uczciwości, to powinienem się ich pozbyć z chwilą, gdy stanęliśmy na pokładzie Słowika. Zamiast okazać jakąkolwiek podejrzliwość wobec Scotlanda czy nawet rozpocząć przesłuchanie, zarzucił mu na ramiona starą koszulę i zaprowadził do sterówki, gdzie rozkazał panu Allanowi przynieść jadło i napitek – tłumaczył się później przed nami, że na wyspie odnalazł mnóstwo świeżej wody i owoców do uzupełnienia zapasów statku. Kleks, którego klatka wisiała w stałym miejscu, zdawał się uszczęśliwiony tak dużą liczbą gości wokół niego i zakomunikował to wszem i wobec:

– Witajcie, witajcie. – Po czym usadowił się na żerdzi, by posłuchać.

Wśród naszych marynarzy widać było niezwykłą ciekawość, bo wkrótce, zanim ruszyli do pracy, przykleili się do okien i zaczęli zaglądać, pokazując sobie przybysza palcami. Całe to zamieszanie było dobroduszne, lecz z łatwością mogło się przedzierzgnąć w zuchwalstwo – jednak kapitan od początku traktował Scotlanda jak człowieka.

Bosman Kirkby i pan Lawson zostali z nami, bo aż się palili, by opowiedzieć swoją wersję tej historii, a ponadto chcieli usłyszeć, co kapitan ma do powiedzenia na temat srebra. Ponieważ jednak Scotland rzucił się łapczywie na posiłek, opowieść o skarbie miała pierwszeństwo. Zanim jeszcze kapitan zaczął mówić, widziałem po jego twarzy, że wieści raczej nie są krzepiące.

Przybyliśmy na statek późnym popołudniem i choć ledwo zauważyliśmy to w całym uniesieniu związanym z powrotem, słońce zniknęło za chmurami, a wiatr zaczął wiać z większą siłą. Kilka pokażniejszych roślin wokół zatoczki głośno klaskało dużymi liśćmi. Kiedy spojrzałem w dół rzeki w stronę morza, zobaczyłem żółtawe kłębowisko na horyzoncie, niczym armię gotującą się do ataku. Wszystko wzmagало napięcie wywołane opowieścią kapitana. Bez względu na to, co myślałem na temat nieoczekiwanego rozwoju naszej wyprawy, nie mogłem zaprzeczyć, że srebro wciąż zajmowało pierwsze miejsce w naszych głowach.

Kapitan i czterej członkowie załogi natrafili na podobne trudności przy opuszczaniu doliny – musieli pełzać, lawirować, omijać i nierzadko spadali. I podobnie jak my, gdy tylko wspięli się wyżej, wyszli z tej pierwotnej roślinności w sosnowy las.

O ile jednak nasze drzewa rosły równomiernie i spacer sprawiał przyjemność, u nich były rzadko rozstawione i wiały między nimi srogie wiatry. Jeśli wyspa rzeczywiście przypominała smoka leżącego na tylnych łapach, to można by powiedzieć, że biedne stworzenie zaczęło łysieć i miało łeb bardziej poharatany, spatynowany, z wyglądu starożytny niż reszta ciała.

Cechy te przydawały krajobrazowi nastrój spustoszenia, które przygnębiło wszystkich członków ekspedycji kapitana – szczególnie kiedy zorientowali się, że minęli punkt docelowy i stanęli na najbardziej wysuniętym na północ miejscu na wyspie. Tutaj natrafili na klify wyrzeźbione na podobieństwo ludzkiej twarzy. To wynędzniałe oblicze z czarnego bazaltu łąpało bezlitośnie jednym okiem na morze, a drugim zdawało się zezować w stronę wyspy – tragiczna mina sugerowała, że nawet największa czujność nie gwarantuje bezpieczeństwa.

Opowiedziawszy o tym geologicznym dziwie, kapitan przygotował nas na dalszą opowieść. Posługując się mapą mojego ojca i wyznaczając kurs na południowy zachód od Czarnej Grani, dotarli wreszcie do miejsca, w którym zakopano srebro. Od razu wiedzieli, iż dotarli do celu – nie dlatego, że wyglądało jak w opisie, i nie dlatego, że sztabki wystawały z ziemi. Wiedzieli, że są na miejscu, bo ziemia była zruszona. Ponieważ ktoś zabrał srebro.

„Zruszona ziemia” i „zabrane srebro” bynajmniej nie wyczerpywały tematu. Kapitan powiedział nam, że cała połać piaszczystej łachy została przeorana i rozkopana za pomocą szpadli oraz innych narzędzi, włącznie z gołymi rękami, którymi złodzieje wrywali łup z ziemi. Obecnie pozostała tam tylko ziemia, choć usiana połamanymi trzonkami i kijami. Widać było też na niej ślady stóp. Sama jednak nie kryła w sobie niczego.

Cała nasza wyprawa na próżno! Wstrząs związany z tym faktem przeleciał przeze mnie niczym piorun – ale od razu się opamiętałem. Skoro wyprawa okazała się bezowocna, dlaczego kapitan nie jest bardziej przybity? Mówiąc szczerze, zdawał relację z takim opanowaniem, jakby omawiał przypalony obiad. Towarzyszący mu marynarze również zdawali się bardzo spokojni, podobnie jak ci, którzy pozostali na pokładzie z panem Allanem. Wrócili do pracy, naprawiali żagle, szorowali pokład i tak dalej, jakby całkowicie pogodzili się ze swą porażką. To moja grupa zareagowała wielkim rozczarowaniem, a szczególnie Natty. Gdy bosman Kirkby i pan Lawson zwiesili głowy, ona wydała z siebie przeciągłe, żalodne westchnienie, o wiele za głośnie, niżby miało prawo wydostać się z tego delikatnego ciała, jakby było to westchnienie jej ojca.

Ponieważ wszystkim najwyraźniej odjęło mowę, zadałem pytanie, które tylko ja mogłem zadać, bo tylko ja, oprócz kapitana, widziałem mapę. Nachyliłem się w jego stronę i powiedziałem:

– A broń?

– Broń też zniknęła – powiedział kapitan i widząc, jak mi mina rzednie, zapytał: – Ale co z tego? Sama broń to nic. Musimy mieć na uwadze ludzi, którzy ją mają, a nie samą broń. Tuzin piratów, czy ilu ich tam dokładnie jest, to wciąż tuzin piratów, bez względu na to, ile mają pałaszy. Nie musimy się przejmować bronią.

Zrozumiałem logikę takiego rozumowania, ale wciąż nie mogłem pojąć, dlaczego kapitan nie gorączkował się w sprawie zaginionego skarbu. Jedna z wersji brzmiała tak: wie, dokąd został zabrany, i wkrótce nam to powie. Druga: myśli, że nie jest w sumie tak źle, bo zamiast skarbu natrafił na żywność i wodę, którymi można uzupełnić zapasy na statku. I trzecia: zobaczywszy obóz piratów oraz nieszczęście jego mieszkańców, uzmysłowił sobie, że jest ważniejsza niż srebro sprawa, dla której zjawiliśmy się na tej wyspie. Wydawało się to całkiem prawdopodobne, sądząc po tym, co już wiedziałem na temat jego charakteru – i było reakcją, która moim zdaniem z całą pewnością nabierze jeszcze mocy, gdy usłyszy opowieść Scotlanda.

Nie miałem okazji go o to zapytać. Kiedy kapitan znów się odezwał, mówiąc, że być może inna banda piratów natknęła się na schowek i uciekła z jego zawartością, przerwał mu sam Scotland. Mówił dużo pewniejszym głosem niż podczas naszej drogi przez wyspę, co moim zdaniem świadczyło o tym, że czuje się bezpieczniejszy wśród przyjaciół. Wpłynęło to na wzmocnienie jego charakterystycznego akcentu – gdybym zamknął oczy, mógłbym sobie wyobrazić góry Kaledonii.

– Mówicie o srebrze? – zapytał, zwracając ku nam swoją twarz. Blask srebra wciąż lśnił mu w oczach.

Kapitan skinął głową i wstrzymał oddech – jak my wszyscy.

– Kazali nam je przenieść – powiedział Scotland. – Byłem w grupie, która tam pracowała.

– I wiesz, gdzie ono jest teraz? – zapytał kapitan. Starał się mówić opanowanym głosem, jakby wszelkie ponaglenia mogły wystraszyć odpowiadającego.



– Wiem – odparł Scotland.

– No to powiesz nam?

– Powiem. – Scotland zamilkł, co stworzyło zabawny suspens, ale nawet kapitan nie był w stanie oprzeć się chęci zadania kolejnego pytania.

– Czyli...?

Scotland wolno odłożył kawałek chleba, który jadł, i popatrzył kapitanowi prosto w oczy.

– Tam, gdzie jest bezpieczne.

Widziałem wyraźnie, jak dłonie kapitana zaciśnięte na udach stężały, gdyż uznał tę odpowiedź za impertynencką, ale nie mógł na to zareagować.

– A gdzie to niby jest takie miejsce? – zapytał. – Błagamy cię, powiedz nam, jeśli łaska.

Dwa ostatnie słowa zadźwięczały żelazem, ale Scotland zdawał się tego nie zauważać – czy też niewiele go to obchodziło. Oderwał kolejny kawałek chleba z bochenka od pana Allana i zaczął go bardzo starannie przeżuwać.

Po pełnej minucie przełknął i dał odpowiedź dłuższą, niż się po nim spodziewaliśmy.

– Panie kapitanie – powiedział – jeśli oddam panu srebro, nie będę już wam potrzebny. Zabierzecie je, odpłyniecie i zostawicie mnie memu losowi. A widzieliście, jaki to jest los, a raczej pańscy przyjaciele widzieli. – Tutaj spojrzął na mnie, pana Lawsons i bosmana. Kiedy zwrócił spojrzenie na Natty i wbił w nią wzrok, wydawało mi się, że dziewczyna przyjdzie mu w sukurs. Otworzyła usta, ukazując zęby. Ale kiedy Scotland uniósł nieco głowę i wysunął brodę do przodu, zmieniła zdanie i zmilczała.

Za to kapitan przemówił. Czuł się zapędzony w kozi róg, a mimo to w jego głosie słychać było wyłącznie współczucie i zrozumienie.

– No dobrze – powiedział. – Może pójdziemy na kompromis: ty pozostaniesz naszym gościem, a my zastanowimy się, jak pomóc tobie i twoim przyjaciółom. A kiedy będzie po wszystkim, pomożesz nam odnaleźć nasz skarb.

– Powiedzmy: skarb – poprawił go Scotland.

– Niech będzie, skarb – odezwał się kapitan i był to jedyny raz, gdy słyszałem, jak z czegoś rezygnuje. – Właśnie tak chciałem powiedzieć, skarb. Wszyscy będą mieli w nim swój udział. Dużo tego będzie.

Kapitan oparł się o ścianę sterówki, a bosman Kirkby oraz pan Lawson mruknięciem przystali na jego plan, podobnie Natty. Być może uznaliśmy, że nie mamy wyboru. Ja ze swej strony uważałem, że to nieuchronne i jednocześnie konieczne.

Teraz, gdy go poprawiono, kapitan najwyraźniej chciał dowieść wszystkim, że jego pomyłka nie była celowa. Pospiesznie porzucił temat srebra i poprosił Scotlanda, by opowiedział mu swoją historię. To, co usłyszeliśmy, było dopełnieniem opowieści, którą snuł podczas powrotnego marszu na Słowika, i stanowiło dowód na to, że życie Scotlanda na wyspie – podobnie jak życie wszystkich więźniów – toczyło się pod klątwą owej dziczy. Potwierdził, że Smirke dowodzi maruderami, i opisał go jako potwora, cynicznie lekceważącego swych towarzyszy. Rządy sprawowane za pomocą tworu nazwanego przez niego Sądem w Kubryku były szczególnie przerażające i obawiano się tego jak ognia. Chciałbym wierzyć, że to długi okres izolacji przyczynił się do stworzenia tak bezlitosnej osobowości, ale z opowiadań mego ojca (oraz biorąc pod uwagę, że kawaler Trelawney nie chciał go na pokładzie Hispanioli) było oczywiste, iż jego bestialstwo ma o wiele starsze korzenie i niknie w początkach, o których nic nie wiedziałem.

Mimo to Scotland uważał, że Smirke nie byłby w stanie dopuścić się tych wszystkich okropieństw za palisadą bez pomocy swego zastępcy – Stone'a. Był to kat, którego widzieliśmy przy pracy, o twarzy tak bladej, iż zdawało się, że całe człowieczeństwo uszło z niego wraz z upuszczoną krwią. Kiedy

wspomniałem o tym, Scotland powiedział nam coś niezwykłego – jakiś czas temu w obozie wybuchł bunt i więźniowie starali się obezwładnić strażników. Stone został wtedy pojmany i podejrnięto mu gardło – ale przeżył i teraz miał bliznę pod brodą niczym pasek. Scotland zakrył dłonią oczy na wspomnienie tych wydarzeń i powiedział, że owa blizna upodabnia Stone’a do żywego trupa. Usłyszawszy to, byłem już pewien, iż zły duch opanował całą wyspę, i stwierdziłem, że powinniśmy podejść zupełnie inaczej do powodów, dla których się tu znaleźliśmy.

Scotland opowiedział nam też o trzecim maruderze (człowieku noszącym teraz miano Jinks), który zdawał się najmniej stanowczą osobą z całej trójki – choć, jak zauważył kapitan, nie powinniśmy przez to myśleć, iż jest nieszkodliwy, ponieważ słabych ludzi cechuje niezwykle groźna potrzeba, by udowodnić wszystkim swą siłę. Pokiwaliśmy głowami na tę uwagę, bo widzieliśmy Jinksa w roli śledczego w czasie procesu. Wiedziałem, że jeśli kiedykolwiek stanę z nim oko w oko, mam całkiem duże szanse, by ująć z życiem, ale jeśli zastanę go w towarzystwie jego kompanów, mogę się spodziewać, że zrobi z ochotą wszystko, czego od niego zażądamy.

Scotland zakończył swoją relację, mówiąc kapitanowi to, co reszta z nas już wiedziała – że został porwany z Afryki jako pacholę, że był niewolnikiem na Jamajce, a potem los rzucił go na Wyspę Skarbów. Stwierdził też, że gdyby nie było tu Smirke’a i jego kamratów, wyspa stałaby się prawdziwym rajem. Kiedy kapitan zaczął go naciskać, podał więcej przykładów okrucieństwa, które to wszystko niweczyło – ale również, i tu zaskoczenie, powiedział, że przy całym pięknie i obecności różnych nieznanych zwierząt, ten rajski ogród ma również swego węża. Czy raczej stado węży, które mieszkają w okolicy północnych klifów. Kapitana bardzo to zaniepokoiło z powodów, które miałem pojąć z czasem, i Scotland wyjawiał, że są szarego koloru i mają nie więcej niż trzydzieści centymetrów długości, ale za to okazały się niezwykle jadowite. Wiedział o tym, ponieważ jeden z jego towarzyszy niedoli (których nazywał swymi „przyjaciółmi”) został ukąszony i od razu zmarł.

Gdy Scotland dotarł do końca swej relacji, opuściła go energia, a broda opadła mu na piersi. Stało się to tak nagle, że zastanawiałem się, czy nie wpadł w jakieś zamroczenie. Wydarzenia tego wieczoru dowiodły, iż się myliłem. Scotland bynajmniej nie spał, on myślał – ale trzymał swoje przemyślenia dla siebie. Choć nie brał już udziału w rozmowie, w skupieniu ważył wszystko, o czym mówiliśmy.

A jakie było sedno tych rozmów? Prowadził je kapitan, który nie zamierzał pochopnie przypuszczać ataku na obóz piratów, wolał się zastanowić i wrócić do tej rozmowy rankiem. Jego propozycja, wypowiedziana ojcowskim tonem, wywarła na mnie taki sam skutek jak na Scotlandzie, bo poczułem się senny, tak jak moim zdaniem czuł się Scotland. Byłem nieco zażenowany tym faktem, gdyż zdawało się to zdradzać mój brak doświadczenia, zwłaszcza w porównaniu z Natty, która wciąż była żwawa i skupiona. Jednocześnie przeżycia całego dnia i widok księżyca wspinającego się wśród chmur na zewnątrz skłoniły mnie do przekonania, że rozsądnie będzie przeprosić towarzystwo i udać się na spoczynek.

Odsunąłem zdydel od stołu. Ponieważ kapitan był tak zajęty naszym trudnym położeniem, nie dostrzegł w tym niczego niezwykłego, tylko poradził mi, żebym zjadł coś przed udaniem się na spoczynek, co w moim mniemaniu również zabrzmiało jak ojcowskie przykazanie. Kiedy zamykałem drzwi do sterówki, starałem się zwrócić na siebie uwagę Natty – ale ona skupiła się na Scotlandzie, poprawiając mu koszulę na ramionach, by zakryć wypalone znamię, i nawet mnie nie zauważyła.

Kiedy dotarłem do kajuty, rozejrzałem się bardzo uważnie, opanowany wyjątkowym wrażeniem odosobnienia. Kilka książek na półce obok naszych koi, linie sęków w desce nad moją poduszką, które przypominały ludzką dłoń, zapach wilgotnych liści i mułu wdzierający się pod pokład statku – wszystko to rozpoznałem, a jednak czułem się, jakbym był żukiem, który właśnie wypełznął do wnętrza swej kłody. Stanowiło to niejaki pocieszenie – oznaczało, że wciąż mogę istnieć w sekrecie. Wiedziałem jednak, że

nigdy już nie odzyskam niewinności. Na własne oczy widziałem ludzką podłość i na własne uszy słyszałem straszne rzeczy. Była to nieprzenikniona ciemność.

Wtedy właśnie przed oczami stanął mi mój ojciec. Bynajmniej nie w sali wyszynku w Hispanioli, gdzie, jak wiedziałem, znajduje się o tej porze dnia, ale siedział na skraju łóżka tam, gdzie widziałem go po raz ostatni. Trzymał głowę w dłoniach, więc nie widziałem jego miny. Ale byłem pewien, że rozpacza, i zrozumiałem, iż powodem tego smutku jest wielka krzywda, jaką mu wyrządziłem. Dowodem na mój występki był widok otwartej skrzyni Billy'ego Bonesa, która rozwierała swoją paszczę u nóg łóżka. Mój ojciec szukał w niej mapy, zobaczył, że została wykradziona, i odgadł powód mego zniknięcia.

Gdybym na tym etapie mojej przygody wierzył, że powrócę do domu bezpiecznie, z kabzą pełną srebra, możliwe, że wyrzuty sumienia tak bardzo by mi nie ciążyły. Ale najwyraźniej miałem powrócić do Londynu z pustymi rękami – jeśli w ogóle. To całkowicie przewartościowało moje pierwotne motywy wyruszenia na tę wyprawę. Nie czułem się jak wybawca. Byłem zdrajcą.

Usiadłem, zatapiając twarz w dłoniach i wyobrażając sobie, co teraz robi mój ojciec. Ten sam kapryśny miesiąc świecił przez bulaj mojej kajuty, ten sam, który świecił przez jego okno w domu nad Tamizą. Ta sama aura świata napierała na ściany, chroniąc nas obydwu. W biorącym mnie w końcu w posiadanie zmęczeniu nie znalazłem pocieszenia. Przewróciłem się tylko na plecy i zapadłem w sen.

Część IV

OPOWIEŚĆ NATTY

## Rozdział 19

# Nocny spacer

Muszę teraz opisać wydarzenia, których nie widziałem na własne oczy, ale opowiedziała mi o nich Natty. Kiedy zasugerowałem, że ich zapis byłby bardziej wierny, gdyby sama go sporządziła, odparła, że mam wystarczająco słów w głowie za nas dwoje i równie dobrze mogę się nimi posłużyć. Powiedziałem, że zrobię to z ochotą, pod warunkiem, że pozwoli mi na pewną dowolność interpretacji, a nie wyłącznie na zdanie relacji. Stroszyła się troszkę, ale przystała na to, mówiąc, że różnica w naszym postrzeganiu świata nie jest aż tak duża. Nie mogłem się z tym nie zgodzić.

Kiedy udałem się do kajuty po tym, jak nie udało mi się zwrócić na siebie uwagi Natty, kapitan i bosman Kirkby oraz pan Lawson wkrótce poszli w moje ślady. Natty i Scotland zostali sami i postanowili, ponieważ jak dotąd nie padało, że wyjdą na pokład i popatrzą na księżyc i gwiazdy, co, jak powiedział Scotland, będzie dla niego prawdziwą przyjemnością po tak długiej niewoli. Choć nasz marynarz na nocnej wachcie (tym razem był to pan Stevenson) wciąż siedział w bocianim gnieździe, nie zauważył ich, gdyż zasnął – co odkryli, kiedy go zawołali i nie dostali odpowiedzi.

Powiedziałem, że deszcz się spóźniał, ale Natty wciąż widziała wielką masę wzburzonej natury na horyzoncie za ujściem rzeki. Chmury które teraz przybrały złowróżbną barwę kości słoniowej, były pompowane przez wiatr do olbrzymich rozmiarów, a następnie zasysało je w środku, na kształt podniebnej jaskini. Pośrodku tej jaskini sztorm szykował się do natarcia, od czasu do czasu strzelając niecierpliwie piorunami.

Choć zdawało się, że lada moment sztorm może uderzyć z całą siłą, Natty i Scotland, zamiast kryć się przed nadchodzącą burzą, ruszyli na przechadzkę po statku. Natty utrzymuje, że tworzyli bardzo dziwną parę – ona w kapeluszu naciśniętym na uszy, a Scotland w kapitańskiej koszuli i resztkę łańców, w których go znaleźliśmy. Żadne z nich nie czuło zażenowania. Myślę sobie nawet, że rozmawiali swobodniej – wtedy Natty nie mogła raczej w ten sposób mówić ze mną, choć znałem ją o wiele lepiej.

Kiedy zapytałem o powód tej szczerości, Natty nie udzieliła jasnej odpowiedzi. Pewnie dlatego, że bez względu na to, jakie uczucia wzbudził w niej Scotland, były w jakiś sposób pokrewne z tymi, jakie żywiła wobec ojca. Od czasu uratowania Scotlanda z pułapki była nim niezwykle zajęta, na granicy fascynacji. Stało się tak dlatego, iż poruszyło ją coś, co będę określał doświadczeniem świata, nawet jeśli nie zawsze dało się to zaakceptować (jak w relacjach z jej ojcem) czy kiedy nie można było się z tego cieszyć (jak w przypadku Scotlanda). Wiedziałem, że muszę ograniczyć swoje terytorium na mapie jej uczuć, ponieważ jeszcze nie doświadczyłem wystarczająco awanturniczego życia. Ta niezwykle trudna dla mnie sytuacja wywoływała uczucia, o których nie chcę tu mówić, ale spieszę dodać, że ujawnią się w tym, co miało nastąpić, o ile już nie były widoczne.

Ich rozmowa dotyczyła tego, jak powinien postąpić kapitan – a to wkrótce, jak pokażę, wpędzi ich w jeszcze większe niż do tej pory niebezpieczeństwo. Zdaniem Natty, kapitan był tak wzburzony wszystkim, co usłyszał na temat obozu piratów, że zorganizuje atak tak szybko, jak to możliwe. Nie precyzowała, w jaki sposób ma zamiar tego dokonać z tak niewielką liczbą ludzi i lichymi zapasami prochu, ale wyobrażała sobie, że wpadniemy do pirackiej chaty z bali i pokonamy tyranów niczym tłum, który wdarł się do Bastylii.

Kiedy Natty wciąż podsyciała emocje tą myślą, Scotland ostro przerwał rozważania dziewczyny. Co jej się uroiło? Czyż nie widziała obozu, który jest wyposażony wystarczająco dobrze, by oprzeć się napaści? Powiedział, że na nic tu bezpośredni atak – potrzeba podstęp. Zaskoczenia i podstęp. To drugie proponował zostawić kapitanowi, bo pewnie wiązałoby się z przeprowadzeniem ataku wcześniej rano, gdy maruderzy będą wciąż upojeni rozpustą po minionej nocy. Zaskoczeniem, jak powiedział, zająłby się sam. Mogło przybrać formę podburzenia swych przyjaciół przeciwko oprawcom w chwili, gdy kapitan rozpocznie atak. Ale jakże mógł być tego pewien? Dzięki dobrowolnemu powrotowi do obozu piratów, gdzie stanie się tajnym przywódcą swych przyjaciół.

Łatwo było przewidzieć reakcję Natty na ten pomysł, gdyż stanowiła mieszaninę podziwu dla jego odwagi i przerażenia na myśl o takim ryzyku. Jeszcze trudniej było opisać burzę myśli, jaka zaczęła nią targać – oraz reakcji na propozycję Scotlanda, który chciał się poświęcić w imię większego dobra. Czyli, mówiąc krótko, w imię dobra większości. Gdy próbowała zanegować słuszność takiego myślenia podczas dalszej rozmowy, Scotland unosił tylko dłoń albo kręcił głową, sprowadzając ją na właściwą drogę. A kiedy niemal się z nim zgodziła, umocnił jej przekonanie, przypominając o swojej żonie, którą chciał chronić przed niebezpieczeństwem, jakie niechybnie by ją spotkało bez jego pomocy.

I tak postanowili – zachowując pozory idealnie zdrowego rozsądku – opracować plan, który, kiedy w końcu go poznaliśmy, wydał się całkowicie irracjonalny. Osiągnąwszy porozumienie, Natty dodała do planu własny element: zgłosiła się na ochotnika, chcąc towarzyszyć Scotlandowi w powrocie za palisadę, by w dogodnym momencie opuścić go i wrócić na Słowika, gdzie poinformowałaby kapitana, że wszystko jest przygotowane. Mogę jedynie założyć, że był to przejaw jej życzliwości i wyraz sympatii dla niego, i że Scotland przyjął to w tym samym duchu. Zdążyłem jej już powiedzieć, że to, co uważała za miłosierdzie, było w istocie głupotą.

Kiedy dwójka spiskowców doszła do porozumienia, pospiesznie ruszyli do działania. Nie zostawili nawet kartki – jedynie koszulę kapitana, którą Scotland porzucił złożoną na ławie w sterówce. Kiedy to zrobił, ześliznęli się po burcie statku, przebrnęli przez rzekę (mogli to zrobić, bo był odpływ) i zniknęli w zaroślach. Nawet gdyby pan Stevenson nie spał na swoim stanowisku w bocianim gnieździe, usłyszałby tylko chlupot fal o mulisty brzeg.

Natty i Scotland obrali tę samą trasę przez wyspę, którą szliśmy jakiś czas temu z bosmanem Kirkbym, ale ciemność całkowicie zmieniła otoczenie. Gęsta roślinność w dolinie, która poprzednio pyszniła się bogactwem, teraz była złowróżbna i chłodna. Liście roślin zdawały się celowo zasłaniać im pole widzenia. Korzenie były zbyt śliskie albo zbyt zimne, albo zbyt ruchome za każdym razem, gdy ich dotykali. Odgłosy zwierząt, parskanie, skrzeczenie, mruczenie i warkot w proteście, że ktoś im zakłóca spokój, nie wzbudzały ciekawości, lecz stały się powodem niepokoju. Tam właśnie, na początku ich wyprawy, Natty uświadomiła sobie, od jak dawna nie spała, i wiedziała, że wkrótce zmęczenie ją dopadnie.

Wyczerpanie ulotniło się, gdy dotarli do sosnowego lasu, gdzie mogli poruszać się z większą łatwością. Z drugiej strony jednak wiatr wiał tu silniej i kiedy spojrzeli na morze, zobaczyli, że podniebna jaskinia z kości słoniowej przełamała się z trzaskiem, a dalsze zbite chmury nadciągają znad horyzontu, od czasu do czasu przepuszczając snopy światła księżycowej poświaty. Choć były sporadyczne, rzucały niezwykle ostre światło (księżyc był prawie w pełni), które padało na wzburzoną kipieli połyskującą kremowo-białą pianą.

Natty opanowało dojmujące wrażenie siły żywiołów, które teraz zerwały się z pętających je więzów, i zrozumiała, że być może sama też idzie na spotkanie czegoś, czego nie pragnie, lecz czego niestety nie da się uniknąć.

Poczucie nadciągającej katastrofy wzmagало się wraz z wiatrem. Jak dotąd dwoje podróżnych bez przeszkód ustalało, że Scotland przyczai się i poczeka, aż jedna z grup niewolników ruszy na pole, a wtedy dołączy do niej niezauważony. Teraz zamilkli, ostrzegając się jedynie wzajem o niebezpieczeństwach – przedzierali się przez napór powietrza, często osłaniając twarz, by zagrozić drogę kurzowi i sosnowym igłom poderwanym wichrem ze ściółki i lecącym im do oczu.

Dziś Natty mówi, że gdyby pogoda nie była tak paskudna, baczniej wypatrywałyby patroli wysłanych zza palisady. Wtedy jednak sądziła, że maruderom nie będzie się chciało przerywać snu i że polegali na ochronie pułapek i innych zabezpieczeń rozstawionych wokół obozu. Była to poniekąd pocieszająca myśl, ale również swoiste ostrzeżenie, bo przypomniła sobie, że wkrótce zostawi Scotlanda i wyruszy samotnie w stronę Słowika.

By przygotować się na to rozstanie, skryła się za wielkim głazem i przyciągnęła Scotlanda do siebie, bo dotarli właśnie na skraj sosnowego lasu. Przed sobą mieli nagie zbocza równiny Spyglass, czarnej jak smoła, gdy księżyc chował się za chmurami, i przypominającej zamrznęty potok, gdy miesiąc natrafiał na skrawek czystego nieba. Kiedy tylko Natty znalazła się w spokojnej kryjówce, zrozumiała, że wbrew temu, co zamierzała, nie jest w stanie natchnąć Scotlanda nadzieją. Przed niespełna dwiema godzinami siedziała w sterówce i czuła, że może sprostać wszystkiemu. Teraz przypominała stworzenie, które los przepchnął przez historyczne lata dziejów, by rzucić w bardziej prymitywną formę egzystencji.

Czy Scotland to zauważył – nie wiadomo, ale sam stwierdził, że musi ją teraz zostawić, i przykucnął, jakby szykował się do biegu.

Mogła tylko skinąć głową.

– Pamiętaj – powiedział – musisz powiedzieć kapitanowi, żeby wziął ich z zaskoczenia. Jeśli się wam powiedzie, nie będziecie nawet potrzebowali naszej pomocy.

– A jeśli się nie powiedzie? – zapytała Natty.

Scotland popatrzył na nią niemal z czułością.

– Jeśli się wam nie powiedzie, zrobimy, co będziemy mogli.

Natty znów pokiwała głową.

– Nie pytałaś mnie o srebro – stwierdził Scotland tym samym cichym głosem.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Decyzja zapadła, słyszałeś, co mówił kapitan. Najpierw pomożemy twoim przyjaciołom. Srebro może poczekać. Już i tak tyle czekało.

– To prawda. Ale nie będzie czekać wiecznie. Sama zobaczysz.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Odnajdzie was.

Natty była zaintrygowana, choć niespecjalnie przypadło jej do gustu to, jak Scotland się droczył. Dlatego zmieniła temat, przechodząc do bardziej praktycznych zagadnień.

– Atak nie może nastąpić jutro – powiedziała. – Będziemy potrzebowali czasu na przygotowania. Nie jutro, ale pojutrze. Musisz więc nas nasłuchiwać i być w pogotowiu. – Nie mogła w ten sposób mówić za kapitana, ale wiedziała, że to, co sama ustali teraz, jemu będzie trudno zmienić.

– Wczesną porą, gdy skowronek zaśpiewa – powtórzył Scotland, co zawsze uważałem za dziwne zdanie w jego ustach, ponieważ przywoływało myśli o Anglii, której nie widział na oczy. Miało to z całą pewnością dodać otuchy Natty, jednocześnie czyniąc z niego pana sytuacji.

Natty mówi, że potem położyła dłoń na ramieniu Scotlanda i spojrzała mu w twarz, gdyż wydawało się jej, że to jego ostatnie chwile w niewoli. Uśmiechnął się, a kiedy uniosła głowę, dostrzegła usłużny snop księżycowego światła wskazujący jej drogę między sosnowymi pniami wprost do statku.

Wtedy znów na niego spojrzała. Scotland odsunął się od głazu, wciąż zwrócony w stronę Natty, a wiatr wylał się na otwartą przestrzeń, uderzając w niego z taką siłą, że musiał przenosić ciężar swego ciała z jednej stopy na drugą. Metr za nim wyłonił się ciemniejszy cień niż te rzucane przez chmury, zdawało się, że wyrasta wprost z nagiej skały. Cień z przekrzywionym kapeluszem, spod którego wyłaniało się wilcze oblicze oraz kaftan zapięty pod szyję.

Natty rozpoznała go od razu. Był to człowiek Smirke'a – Stone. Nagi rapier połyskiwał w jego prawej dłoni, a palec wskazujący lewej przyciskał do ust w straszliwym geście tajemnego sprzysiężenia. Natty potrząsnęła głową, nie godząc się na to, ale blada twarz Stone'a pozostała całkowicie bez wyrazu, gdy sztych jego rapiera dotknął nagiej skóry między łopatkami Scotlanda.

Nieszczęśnikowi uśmiech spełzył z twarzy, ale nie odezwał się ani słowem – wiedział. Natty też nic nie powiedziała. Zerkali tylko na siebie, wymieniając pełne smutku spojrzenia.

– Tego znam – powiedział Stone, patrząc Natty w oczy, jakby chciał przewiercić jej głowę. Jego głos był zaskakująco wysoki, niemal skrzekliwy, taki jak wtedy za palisadą. – Ale kim ty jesteś?

Gdy Natty spojrzała na niego, zaczęła drżeć. Włosy mężczyzny były białe jak jego skóra i wiatr rozwiewał ich odrażające cienkie pasemka po zapadniętych policzkach. Równie dobrze mógł być duchem, choć głód w jego spojrzeniu zdradzał wyraźnie ludzkie żądze.

– No właśnie, kim ty jesteś? – powtórzył. – Z radością uzyskam odpowiedź na to pytanie.



## Rozdział 20

# W niewoli

Cytuję tu słowa Natty bez żadnych zmian:

– Przeraził mnie na śmierć – mówiła. – Naprawdę, gdy zobaczyłam tego starego pirata, życie ze mnie uszło, a do tego jeszcze wiatr ciskał mi kurz w twarz, a w oddali majaczyła czarna sylwetka Wzgórza Lunety. Cała krew uciekła mi do stóp. Choć, co dziwne, wciąż czułam żar, niczym tygrys.

Czy to znaczyło, że chciała się rzucić do biegu? Nie, choć Stone miał sześćdziesiątkę na karku, był bardzo szczupły i żyłasty, pomyślała więc, że i tak by ją złapał. Czy spanikowała? Nie, zachowała spokój. Pamięta nawet dużą metalową klamrę u pasa Stone'a w kształcie oka, którą zobaczyła, gdy światło księżyca wylało się na niego gwałtownie i niespodziewanie – mrugnęło do niej spod bardzo starannie zapiętych guzików kaftana.

Co do Scotlanda – stał nieruchomo niczym głaz. Natty uznała, że to rozsądne, ale widziała straszliwą zmianę, jaka w nim zaszła. Cała pewność siebie, którą odzyskał w ciągu tych kilku godzin, nagle odeszła w niepamięć. Ramiona mu opadły, twarz się skurczyła. Przypomniała sobie przerażone ryki, jakie wydawał z siebie w pułapce, które naprowadziły ich na jego trop, i wiedziała, że teraz wyobraza sobie swoją karę.

Natty miała ochotę instynktownie objąć go za ramiona i pocieszyć, ale oczywiście Stone by na to nie pozwolił. Gdy tylko zaczęła unosić ramiona, oderwał sztych rapiera od pleców Scotlanda i wycelował wprost w jej gardło.

– Jak mówiłem... – zaczął, po czym przerwał, by oblizać usta. – Jak mówiłem, no kim ty właściwie jesteś?

Natty powiedziała mi, że dopiero kiedy usłyszała te słowa, w pełni zdała sobie sprawę, na jak wielkie niebezpieczeństwo naraził nas wszystkich jej nocny spacer. W pierwszym wstrząsie wywołanym pojawieniem się Stone'a – bo wyłonił się ze skały niczym duch – skupiła się jedynie na własnym przetrwaniu. Teraz w jej umyśle pojawiły się inne myśli. O tym, że nie może zdradzić przyjaciół. I o tym, że musi ukrywać swą tożsamość, bo spotka ją gorszy los niż śmierć.

– Spadłeś z nieba, co? – ciągnął Stone, przez chwilę muskając sztychem rapiera jej szyję. – Albatros poniósł cię za morze? Będę wiedział, jeśli skłamiesz, mam nosa do łgarzy, prawda?

Zerknął złowrogo na Scotlanda i kopnął go w kostkę, a więzień jęknął. Zabolalo, chociaż but był jedynie duchem buta, podobnie jak właściciel był duchem człowieka. Podeszwa dawno już wzięła rozbrat z górną częścią i została z nią związana czymś, co wyglądało jak kawałek szpagatu, ale z pewnością było tylko mocnym kłaczem.

– Przypląnąłem na statku – powiedziała Natty, a kiedy zobaczyła, że Stone aż szarpnął głową, wiedziała, że nawet takie ogólnikowe stwierdzenie było dla niego niezwykle interesujące. Oczyma duszy zobaczyła, jak zbiera Smirke'a i pozostałych, potem dokonują abordażu na Słowika, pokonują załogę i piraci płyną już ku horyzontowi, zostawiając ją na brzegu.

– Aha! – wykrzyknął Stone. Zrobił krok w tył, smakując brzmienie jej głosu i mierząc ją spojrzeniem od stóp do głów. Sądziła, że jego baczne oczy karmiły się wieczną tęsknotą za nowymi widokami, nowymi dźwiękami i nowym towarzystwem. Wpijały się w jej oczy, usta i szyję, pochłaniając ją na tyle łapczywie, na ile pozwalało światło księżyca.

– Młody angielski panicz, o ile się nie mylę – powiedział w końcu. – Nie widziałem takiego od wielu lat. – Kiedy to powiedział, wyraz tak wielkiego i gorzkiego żalu przemknął przez jego oblicze, że Natty niemal zaczęła mu współczuć. Ale kiedy żal się wypalił, ponownie zastąpiła go pogarda. Natty zapamiętała dobrze, że jeśli wobec tego człowieka ujawni jakiegokolwiek głębsze uczucia oprócz strachu, sytuacja może stać się jeszcze bardziej niebezpieczna.

– Młody angielski panicz – ciągnął Stone – który przybył tu na statku. Statku z innymi na pokładzie. No, no. To dopiero ciekawe znalezisko pośród niespokojnej nocy. – Zaciągnął się skowyczącym śmiechem, w którym nie było ani krzty radości, po czym odpiął górny guzik kaftana i przesunął długimi palcami po szramie na szyi. Kiedy skończył, bardzo energicznie zaczął pocierać ramię trzymające rapier. Natty uświadomiła sobie, że jest mu zimno, ale nie miała pojęcia, czy ten chłód można było ukoić ziemskim ciepłem.

– Panicz wybaczy – mówił dalej z szyderstwem w głosie – jeśli nie będę pytał o zdrowie Jego Wysokości. Żyjemy tu sobie poza jego zasięgiem według własnych praw.

Stone miał na myśli króla Jerzego, który wstąpił na tron tuż przed tym, jak Hispaniola zawiodła go na tę wyspę. Tak wiele czasu minęło od tamtej pory, że nie mógł nic wiedzieć o ostatnich zmianach. Czy strażnicy z Achillesa mówili mu na przykład o wojnie z Ameryką? Albo o krwawej rewolucji we Francji i rządach ludu? Czy wiedział cokolwiek o odkryciach naukowych lub nowinkach w rolnictwie? Z jednej strony Natty miała ochotę odwrócić uwagę Stone'a, opowiadając o tych sprawach. Z drugiej jednak postanowiła, że najrozsądniej będzie nie odzywać się w ogóle, bo najniewinniejsza uwaga mogłaby zostać odebrana jako prowokacja. I im dłużej się nad tym zastanawiała, tym mniej była skora do jakichkolwiek rozmów; myślała jedynie, jak tu ująć z życiem.

Scotland przyszedł jej w sukurs.

– Widziałem wrak – odezwał się nagle, nie unosząc głowy, na co Stone kopnął go jeszcze raz.

– Nikt ci nie pozwolił się odzywać, nierobie – warknął pod nosem. – Mów tylko, kiedy ci każą, jeśli chcesz zachować łeb na karku.

– To prawda – odparła pospiesznie Natty, by odwrócić uwagę Stone'a od tego wątku. – Płynęliśmy na inną wyspę i zniosło nas z kursu. – Nie chciała tego rozwijać i mówić, kto i ilu przeżyło katastrofę, bo każde wypowiedziane kłamstwo będzie trzeba wkrótce wesprzeć setką innych. Poza tym widziała, że Stone już miał dość stania na tym wietrze, zaczęło mżyć, więc jego wzrok coraz częściej uciekał w bok, w stronę palisady. Pomyślała, że musi wkrótce stawić się u swego kapitana, bo ten uzna, że się zbuntował.

– Zniosło was z kursu? – powtórzył Stone. Powtarzanie zdań najwyraźniej miał w zwyczaju, by zdobyć przewagę, obracając wszystko w szyderstwo. Odepchnął Scotlanda brutalnie na bok i ruszył na Natty.

– Tylko mi bez takich tutaj, młodziku. Zniosło was z kursu? Bo jak ja pomyślę, że ciebie może znieść z kursu, będę musiał temu zapobiec, prawda? Będę musiał przyciąć pęcinki mojemu konikowi i w ten sposób pójdzie potulnie jak baranek, co? – Kończąc zdanie, poklepał ostrzem swego rapiera nogę Natty, tak że poczuła to nawet przez spodnie.

Dziewczyna już otworzyła usta, by zaprzeczyć, iż cokolwiek podobnego mogło jej przyjść do głowy, ale Stone nie pozwolił jej się odezwać. Przyjrzawszy się dziewczynie, nakarmił nieco swój głód nowości. Przynął się tak blisko, że jego usta znalazły się tuż przy jej twarzy, jakby miał zamiar polizać ją po policzku. Z ust cuchnęło mu starym mięsem.

– Proszę, proszę – mówił dalej, zerkając z bardzo bliskiej odległości na jej usta. – Czyż nie jesteśmy przystojnym młodzianem? Bardzo pięknym młodziankiem. Bardzo pięknym, w istocie. Mój kapitan z radością się z tobą zaprzyjaźni, nie mam złudzeń. – Wciąż gapił się na nią, dysząc jak pies, aż Natty w

końcu zapragnęła mu przyłożyć. Aby zademonstrować, że panuje nad nerwami, jednocześnie dystansując się od swoich uczuć, skupiała się na jego twarzy. Choć światło było bardzo skąpe, dostrzegła lata, jakie wryły na jego obliczu cienkie zmarszczki wokół ust, a które od ciągłego wyrażania pogardy zdawały się zassane do wewnątrz. Choć policzki pokrywała mu srebrna szczecina, nie miał w ogóle rzęs.

Im dłużej trwał ten pojedynek na spojrzenia, tym bardziej Natty odczuwała, że opada z sił. Kiedy tak się w siebie wpatrywali, reszta świata również zaczęła się odrywać od jej świadomości. Coraz gęściej padający deszcz, wiatr i połyskująca czarna skała, sosny, fale melancholijnie dudniące o nabrzeżne skały na dole – przestały istnieć. Stone wysączył z niej to wszystko. Był niczym upiór, który chciał uczynić upióra również z niej. I udałoby mu się, gdyby nie pozostała czujna i przytomna.

– No to wio – sapnął w końcu, nie ujawniając żadnych myśli tym westchnieniem, które w jego wykonaniu było jedynie wydaleniem nieświeżego powietrza. – Widzę, że do niczego nie dojdziemy, bo jesteśmy jak statki we mgle. Ale to nieważne. Będzie dość czasu na szarady, więcej niż dość. Więc lepiej zacznij wymyślać odpowiedzi, szczeniaku, i zastanów się, co chcesz powiedzieć.

Zawahał się przez chwilę, jakby spodziewając się potwierdzenia od Natty, a kiedy się nie odezwała, sam wpadł w prawdziwy słowotok.

– A co do tego „my”, jak powiedziałaś, nie sądzę, żeby twoi kompani, jeśli starczy im odwagi, mieli cię szukać w taką zawieruchę, o tej porze. Prawda? No właśnie, bardzo w to wątpię. A jeśli się myślę, cóż, z całą pewnością pożąają tej mitręgi.

Oznajmiwszy to, położył dłoń na ramieniu Natty z wprawą, która nagle do niego wróciła, i okręcił ją dookoła, tak że stanęła ramię w ramię ze Scotlandem.

– Ty! – warknął, obnażając zęby tuż nad karkiem Scotlanda, jakby miał zamiar go ukąsić. – Niemal o tobie zapomniałem. Myślę, że trzeba by się zastanowić, co też tutaj robiłeś?

Natty pomyślała, że może stanowić to wstęp do kolejnej porcji gładzenia naszpikowanego pytaniami retorycznymi. Była to odruchowa, w istocie nieistniejąca ciekawość, bo Scotland wydawał się Stone’owi zupełnie nieistotny i nie zamierzał dłużej strzępić języka. Natomiast nakazał obojgu więźniom założyć ręce do tyłu, a potem związał ich razem przetłuszczonym kawałkiem linki wyciągniętej z kieszeni.

Wiązał ich z obojętną zaciętością, jakby Natty i Scotland znaczyli dla Stone’a tyle, co króliki wyciągane z wnyków. Kiedy poczuła, jak dźga ich rapierem w nogi i ramiona, żeby ruszyli, pomyślała, że szybka śmierć schwytanego stworzenia byłaby o wiele lepsza niż to, co ją czeka.

Często pytałem Natty, czy skorzystała z okazji i podczas kilkumetrowej drogi do obozu piratów próbowała opracować jakąś strategię przeżycia – i, być może, ucieczki. Odpowiadała tylko, że postanowiła okazywać odwagę, bez względu na to, jak się naprawdę czuła, w myśl przesłanki, że ludzie najbardziej wierzą w to, co widzą.

Wydawało się jej, że Scotland ma taki sam zamiar. Nie ośmieliła się spojrzeć na niego wprost, ale kątem oka dostrzegła, że stara się nie myśleć o tym, co go spotkało. Ciągnął naprzód ze zwieszoną głową, z opuszczonymi ramionami i oczami wbitymi w ziemię pod nogami. Świadczyło to o tym, jak bardzo czuje się pokonany, ale mogło to również być – jak pomyślała – swoistą taktyką obronną. Stał się pokorny, by móc pozostać sobą.

Ścieżka, którą kroczyli, nie była wyraźnym szlakiem, lecz raczej drogą o najmniejszym stopniu trudności. Wiła się u podnóża Spyglass, a potem schodziła w dół między drzewami muszkatołowymi i krzewami różanecznika. W dzień, przy ładnej pogodzie, jak sam wiedziałem, była to łatwa trasa. W rześkim deszczu, przy wietrze targającym listowie, z trudem utrzymywało się szybkie tempo. Dwoje więźniów ślizgało się i grzęzło w błocie, często tracąc równowagę, a czasami wręcz się przewracając – na co Stone kopał ich albo poklepywał ostrzem rapiera.

Po półgodzinie takiej wędrówki Natty zrozumiała, że to nie rozpacz, lecz wściekłość każe jej iść dalej. Wściekłość na swoją impulsywność i wściekłość na Stone'a za jego okrucieństwo. Ponadto złość na całą tę wyspę, która, jak stwierdziła, wsączyła w nią swoją truciznę za sprawą legendy. Miała ochotę odpłacić tej ziemi pięknym za nadobne za każdą zniewagę ze strony Stone'a – stratować jej powierzchnię, gdyby tylko w ten sposób mogła sprawić jej ból, oraz skopać każdy kamień.

Kiedy usłyszała pozbawiony wesołości chichot Stone'a i uświadomiła sobie, że robi z siebie widowisko, przestała; nie chciała dać mu tej satysfakcji. Narzuciła sobie szybsze tempo i choć wiązało się to – w połączeniu z gęstniejącymi ciemnościami, teraz kiedy deszcz zagonił na dobre księżyc do jego kryjówki – z faktem, iż nie miała wiele okazji, by zauważyć cokolwiek wokół siebie, postanowiła za wszelką cenę zachować czujność. Opowiedziała mi na przykład, że miniaturowe kałuże wypełniały każdy kwiat, a głuche nawoływania nocnego ptactwa brzmiały jak odgłosy bawiących się dzieci. Wyjaśniła też, że poczucie piękna tych szczegółów sprawiało, iż czuła się równie nieistotna jak ziarno piasku, a pomimo tego kurczowo trzymała się życia.

Wtedy właśnie, jakby nagle stał się sternikiem umysłu Natty i kontrolował jego poczynania równie ściśle, jak kierował jej losem, Stone wdarł się też do jej refleksji.

– Prrr, no prrr mówię! – zawołał, skręcając linkę, która pętała jej dłonie. – Patrzcie, gdzie was przyproważyłem. Ale nam się udało.

Niepodobnym było stwierdzić, czy Stone zaplanował pojawienie się w obozie z nastaniem dnia, ale tego właśnie dokonał. Natty pomyślała, że zrobił tak, by pokazać, że jest panem tej wyspy. Z początku nie była pewna niczego, poza tym, że stoi na wysokiej skarpie z widokiem na otwarte morze – horyzont znaczyła rdzawa kreska. Ale wkrótce rozpękała się na dwoje i czerwone oko słońca zaczęło podnosić powiekę, a deszcz osłabł. Zarysy budynków, które uprzednio były tajemniczymi kwadratami i prostokątami na polanie poniżej, przeistoczyły się w dwa domy z bali, konstrukcję o kształcie muszli, czyli Sąd w Kubryku, oraz szpiczasty mur otaczający obóz. Kur zapiał raz, ale najwyraźniej stwierdził, że jest to kolejny dzień, którego nie warto witać, i zaczął dziobać coś przed budynkiem sądu. Ziemia była tu wciąż poplamiona krwią, choć ciało oskarżonego zniknęło.

– No już, naprzód – powiedział Stone, kiedy uznał, że Natty wystarczająco nasyciła się widokiem, i mlasnęła językiem niczym wozak. – Musimy spotkać się z ludźmi. Czeka nas pracowity dzień.

## Rozdział 21

# Pytania i brak odpowiedzi

W starej palisadzie, według relacji mojego ojca i pana Silvera, nigdy nie było czegoś na kształt wejścia czy bramy. Cała konstrukcja przypominała zamknięty kwadrat z wysokich na dwa metry, zaostzonych pni sosnowych i każdy, kto chciał wejść, musiał się po nich wspinać, wiele ryzykując. Kiedy Natty zbliżyła się do ogrodzenia, zobaczyła bramę stojącą przed nimi otworem, którą, jak podejrzewała, zrobili niewolnicy. Gdy Stone przegnał ich przez nią, zauważyła, że zarówno zamek, jak i zawiasy zostały zamocowane bardzo niezdarnie – gwoździe wbite jedynie do połowy, a następnie zaklepano, by nie sterczały.

Stanowiło to właściwy wstęp do całości, ponieważ niemal wszystko wewnątrz ogrodzenia albo chyliło się ku upadkowi, albo też było całkowicie zepsute. Pierwotny dom z bali trzymał się całkiem nieźle, w razie konieczności mógł pomieścić ze czterdziestu ludzi i miał otwory strzelnicze na muszkiety po obu stronach. Nowszy budynek dla więźniów przedstawiał sobą żałosny widok, bo wykonano go z ocalonych z Achillea wręgów oraz koślawo wyciętego drewna z lasu. Budynek sądu, choć pomysłowy, wciąż skrzypiał na wietrze. Sama ziemia wyglądała tu na równie zmarnowaną. Na środku wyrastały kępy jakichś lichych chwastów, a w dołach po wykarczowanych drzewach zbierały się czarne kałuże; niewielkie grządki kwiatowe wzdłuż bramy były jedynie kopczykami z urwanymi łodygami roślin. Wszędzie wałały się pleśniejące szmaty.

Jeszcze bardziej obrzydliwy był słodkawy, wywołujący torsje słodki smród, który rozpełzał się wokół i najwyraźniej wydostawał się z szopy przylegającej do domu niewolników. Przez otwarte drzwi Natty zobaczyła jakieś urządzenie z bambusowych kijów, które pięły się w górę i w dół, kończąc swój bieg w dużej beczce – był to prymitywny aparat do destylacji alkoholu. Pomyślała, że obecność tego ustrojstwa wyjaśnia ogólnie odpychający wygląd całego obozu oraz fakt, że nikt ich nie powitał. Pozostali wciąż odsypiali wczorajsze pijaństwo.

Kiedy brama zatrzasnęła się z hukiem, pogłos zginął w podwórku, a Natty spodziewała się, że jest to dźwięk zwiastujący rozpoczęcie dnia. Ale nic się nie wydarzyło – Stone tylko dalej popędzał więźniów, gwizdząc coś przez zęby i od czasu do czasu kłując Scotlanda w łopatki rapierem. Kur podniósł łeb, by sprawdzić, co się dzieje, ale po chwili wrócił do porannego obchodu. Ptaki du-da zgromadziły się przy wewnętrznej ścianie swej zagrody, gulgocząc coś do siebie w swoim języku, a te odgłosy mieszały się z beczeniem, chrząkaniem i innymi dźwiękami wydawanymi przez zwierzęta, z którymi dzieliły niewolę. Natty z wielką ciekawością spoglądała na ptaki du-da, bo miały bardzo ciężkie korpusy wielkości staffordshire terriera, o miękkim, szarym upierzeniu i zadziwiająco niewielkich skrzydłach, a także zakrzywione czerwone dzioby, które stukały głucho o siebie, gdy zwierzęta były głodne – tak jak teraz.

Stone zauważył, że Natty zwalnia i przygląda się im, pociągnął więc za pęta.

– No co jest z tobą, ee, mój chłopcze? Nigdy nie widziałeś du-da, co? Zeżarliście wszystkie du-da w Anglii?

Nie odezwała się, będąc pod wielkim wrażeniem piękna i bezbronności tych ptaków.

– Możesz sobie patrzeć, ile wlezie – mówił dalej Stone, najwyraźniej niezrażony jej milczeniem i czerpiąc radość ze słuchania własnych wynurzeń. – Oj, nie zobaczysz ty ich prędko. Ani też sobie nie pojesz. W ogóle nie będziesz ich jadł, że tak powiem. – Znów pociągnął za linę, aż wżarła się w skórę

Natty. – Nie do ciebie mówię, łajdaku – dodał, zwracając się do Scotlanda. – Robale i trawa dla ciebie. Robale i trawa.

Scotland również się nie odezwał i szedł cierpliwie ze zwieszoną głową, aż dotarli na środek podwórca i zatrzymali się obok budynku sądu. Jedno spojrzenie wystarczyło, by Natty wiedziała, iż ta konstrukcja również ma wielki dług wobec rozbitego Achillesa, bo kilka elementów umeblowania, takich jak fotel sędziego (fotel kapitana) czy podium dla świadków (ustawione skrzynki po sucharach) zostały wyniesione z wraku. Kiedy później na własne oczy zobaczyłem tę wariacką zbieraninę, przypomniał mi się dom pana Silvera w Londynie – czego oczywiście nie powiedziałem Natty.

Choć niezdarnie postawiona, chata więźniów była zbudowana solidniej niż ten pomnik jęków i żalów. Sama Natty mówiła, że bardziej przypominała skrzynię niż dom – i bez wątplenia zapewniała takie same wygody jak skrzynia. Ale była to skrzynia pełna skarbów ze strażnikiem przed drzwiami, który na wpół leżał w starym fotelu, z podziurawionym trójgraniastym kapeluszem na głowie (nasuniętym na twarz) i rękami złożonymi na piersi.

Spał jak zabity – a obok stał opróżniony dzban z przewróconym kuflem, co świadczyło o tym, że mężczyzna najprawdopodobniej pozostanie w tej pozycji nieco dłużej.

Stone nie miał zamiaru na to pozwolić.

– Jinks! – warknął z taką samą irytacją, z jaką zwracał się do więźniów.

Żadnej reakcji.

– Jinks! – wykrzyknął. – Posuń się, ty nierobie! – a następnie przyciągnął Natty i Scotlanda bliżej, żeby móc zerwać kapelusz kamrata sztychem rapiera i odsłonić jego gładką łysinę. Natty pomyślała, że celowo przesadził, bo drasnął go w głowę i strużka krwi popłynęła po nagiej, spalonej słońcem skórze.

Na to jegomość zerwał się na równe nogi, machając na oślep rękami, z których jedna w końcu wyszarpnęła pałasz wiszący u pasa. Kiedy spostrzegł, że stoi przed nim Stone, a jego podopieczni nie uciekają, wściekłość przeszła w uniżony uśmieszek. Nie było to spojrzenie, jakim jeden przyjaciel zaszczyca drugiego.

– Co się dzieje, Ben, co się dzieje? – burknął Jinks, podnosząc kapelusz z ziemi.

Wyciągnął z kieszeni spodni ohydny chustkę, owinął ją wokół głowy i wcisnął zapadnięty kapelusz trójgraniasty na miejsce, bardzo ostrożnie, uważając na poparzenia słoneczne.

– Budzisz człowieka, a to piękności szkodzi, tak? – powiedział, kiedy odstawił już tę szopkę z kapeluszem. – Budzisz go, odmawiając mu chwili wypoczynku?

Wciąż był mocno pijany, ale zajął się wkładaniem pałusza do pochwy i jeszcze nie dostrzegł Natty i Scotlanda. Kiedy to się stało, na jego obliczu zagościła wroga prostota – i Natty rozpoznała w nim uczestnika procesu sądowego, którego byliśmy świadkami. Otrzeźwiał nieco, ale jego wylupiane oczy wciąż były zapuchnięte i zaczerwienione, a policzki wisiały w fałdach. Kiedy przypomniała sobie jego wiek, dodawszy też w pamięci rozpustę i folgowanie nałogom przez czterdzieści lat, zaskoczyło ją, że ma w sobie choćby odrobinę energii. Było jednak jasne, że przebywanie na jawie i myślenie stanowiły dla niego olbrzymie brzemię. Dyszał ciężko, poprawiając odzienie.

Kiedy dokończył tę czynność, wziął się pod boki.

– Ale nic to, nic to – powiedział, spoglądając bardzo bezczelnie na Natty. – Co my tu mamy? Polowaliśmy, co? Ben? Upolowałeś coś, z czym można poharcować, przy czym można spędzić miło czas? A tego tu znam – na to splunął na Scotlanda – ale gdzie znalazłeś tego drugiego? Będziemy o niego ciągnąć losy, już to widzę...

Jinks zatoczył się w przód i chwycił Natty pod brodę. W tym geście była tak straszliwa sugestia – niczym pełzająca słabość przebrana za niezależność umysłu – że Natty miała ochotę strząsnąć go z siebie.

Stone najwyraźniej również pomyślał, że to głupota, i warknął, jakby łąał psa. Następnie znów szarpnął za linę Scotlanda i zaciągnął go na podwyższenie werandy chaty.

Natty uniosła wzrok, by się przyjrzeć, i gorzko tego pożałowała. Plecy Scotlanda były całe pokryte nacięciami, którymi nazaczył go Stone podczas drogi z podnóża Spyglass. Scotland znosił te rany w milczeniu, nawet się nie skarżąc, ale było jasne, że wzbierała w nim nawałnica. Jego głowa, obecnie spuszczone tak, że brodą niemal dotykał piersi, kiwała się odruchowo – jakby permanentnie potwierdzał coś, co usłyszał. Widok ten wstrząsnął Natty, ponieważ zrozumiała, jak głębokie jest poniżenie Scotlanda. Nie krył już swoich uczuć.

Pomyślała, że Stone zabije go od razu albo rozkaże Jinksowi dokonać mordu. Ale wżgarda tego człowieka była tak bezbrzeżna, że nie uznał nawet, iż jeniec jest wart zachodu.

– Zabierz go – powiedział Stone, mając na myśli Scotlanda. – Później wymyślimy dla niego karę. Wrzuc go do jamy. A tego drugiego – wskazał na Natty – zatrzymuję przy sobie. Zabiorę go na rufę i do kapitana.

Jinks parsknął nerwowym śmiechem i ruszył wykonać zadanie wyznaczone przez Stone'a. Pociągnął Scotlanda za sobą – kiedy otworzył drzwi do chaty z bali, walnął go raz czy dwa w nerki, po czym pożegnał potężnym kopniakiem. Scotland upadłby pewnie na kolana, gdyby ciemnoskóre ramiona nie pochwyciły go i momentalnie wciągnęły do środka. Rozległ się odgłos szlochania i stłumione okrzyki. Było to najbardziej melancholijne z powitań, a równocześnie niezwykle pocieszające, bo pokazywało, jak bardzo Scotland jest kochany przez tych, z którymi żyje – między innymi przez żonę.

– A teraz... – powiedział Stone, kiedy znów zamknięto drzwi i Jinks wrócił na swoje stanowisko z tym głupkowskim kapeluszem przekrzywionym teraz na bok – pójdiesz ze mną, ty mój angielski wróbelku.

Użycie tego słowa, które w innych okolicznościach zabrzmiałoby wręcz czule, sprawiło, że Natty zaczęła się zastanawiać, czy w końcu nie zdemaskował jej przebrania i nie miał zamiaru tego wykorzystać. Na samą myśl zatęskniła za Słowikiem – gdzie wraz z resztą załogi miałem się za chwilę obudzić i zobaczyć, że jej nie ma. Wiedziała, iż jej zniknięcie będzie stanowiło wielką zagadkę. Ale wierzyła, że domyśle się, co zrobiła i z jakich to niewinnych pobudek. Cóż, nie zawsze byłem w stanie sprostać jej wymaganiom pod tym względem.

Jeśli chodzi o Natty, dwie sprawy stały się dla niej teraz ważniejsze niż inne. Po pierwsze, jak przeżyć do przybycia ekipy ratunkowej, a po drugie, co zrobić, żeby ujawnić jak najmniej informacji na temat Słowika i jego położenia. Obie przysparzały wiele trudności. Pierwsza, bo nie mogła być pewna, czy kapitan domyśli się, że Natty przebywa za palisadą. A druga, bo Stone – teraz bezpieczny w swym obozie – wydawał się dużo bardziej niecierpliwy niż wcześniej. Kiedy już odciągnął ją od Jinksa, rozwiązał jej ręce, a następnie pchnął butem, żeby znów móc się jej do woli przyglądać.

Natty podejrzewała, że ma słaby wzrok, i ta myśl niosła niejaka ulgę. Ale i tak tego typu inspekcja była niepokojąca, a do tego ohydna, wyprostowała więc ramiona, wciągnęła pierś i brzuch, żeby jak najbardziej upodobnić się do chłopaka.

Coraz bardziej przekonana, że Stone nie odkrył jej tajemnicy, Natty stopniowo odzyskiwała pewność siebie. Podczas marszu po pojmaniu doszła do wniosku, że maruderzy będą za wszelką cenę chcieli wydobyć od niej informacje, w jaki sposób dostała się na wyspę, o liczbie jej towarzyszy podróży, uzbrojeniu i tak dalej. Ale jak dotąd natrafiła jedynie na rozleniwioną ciekawość. Miało to, jak zaczęła rozumieć, kilka przyczyn; brało się między innymi z pijaństwa i lenistwa Jinksa oraz z wrednego samozadowolenia Stone'a.

Stone tak nawykł do kontrolowania wszystkiego na wyspie, że zapomniał, jak niewiele może doprowadzić do jego upadku. Teraz wcale nie oceniał jej płci – delektował się jedynie faktem, że należy

wyłącznie do niego. A ponieważ do tej pory Natty mu się nie opierała, stwierdził, że nie będzie miał też najmniejszych kłopotów z pochwyleniem jej towarzyszy – pod warunkiem że faktycznie jacyś tam istnieli. Natty ucieszyła ta jego próżność, dziewczyna wiedziała, że może stać się ona przyczyną opóźnienia ciągu wydarzeń, które w innych okolicznościach przyspieszyłyby kres naszej przygody.

– A co myślisz o pogodzie na naszej wyspie? – zapytał niespodziewanie Stone, kiedy już skończył się gapić.

Zaskoczyło ją to i Natty mogła jedynie wzruszyć ramionami na tak postawione pytanie. Nie miała ochoty na pogaduszki z człowiekiem, który zastanawiał się, czy uciąć jej głowę, czy jeszcze poczekać.

– Powiem ci – ciągnął dalej – że mam jej już dość, po dziurki w nosie. Widzisz, co mamy o tej porze roku. Kilka godzin słońca, potem co? Leje jak z cebra i wichur jest taki, że mógłby zmieść i sam główny żagiel. Och, dajcie mi choćby zaraz wasze angielskie niebo, wasze piękne angielskie niebo.

Natty słyszała, że powiedział to z prawdziwą tęsknotą, ale postanowiła dalej milczeć. Kontrast pomiędzy bladym obliczem Stone'a, jego całkowitym brakiem uprzejmości i tym nieoczekiwanym miłym akcentem w rozmowie był bardzo dezorientujący. Ponownie uzmysłowiła sobie, iż cierpi z powodu niezaspokojenia prostych pragnień po tylu latach koczowniczej bytności na wyspie. Mówiąc wprost – odczuwał samotność. Nie potrafił się oprzeć nowej twarzy, nawet jeśli należała do wroga.

Z tą myślą Natty powróciła do wcześniejszego pomysłu – wciąż mogła odciągnąć uwagę Stone'a, podając mu wieści z kraju. Na razie jednak jego słowotok stał się tak pospieszny, napędzany strumieniem wspomnień, że nie wiedziała, od czego ma zacząć.

– Szkaradne deszczysko – powiedział – to właśnie tu mamy, obrzydliwe ulewy. Były takie momenty, że wpełzałem do domu i przeczekiwałem je, śpiewając przy szklaneczce grogu. Och, śpiewaliśmy sobie i piliśmy grog na całego, nic więcej, tylko piosnka i grog. Ale to nic w porównaniu z tym, czego bym chciał.

Z jego gardła dobiegł dziwaczny skrzekliwy odgłos, który okazał się śmiechem.

– Szkaradne deszczysko – powtórzył jakoś tak ciszej, odgarniając kosmyki białych włosów opadających mu na twarz i chwytając się kurczowo tematu, który najwyraźniej mu uciekał. – Deszcze i wichury całą noc. Wieje tak, że oka nie można zmrużyć i tylko by się człowiek szwendał.

Ponownie zaczerpnął powietrza, na tyle głęboko, że w jego oczach rozgorzały pełgające płomienie.

– Ale popatrz, co mi dało wałęsanie się po nocy, co? Sprowadziło mnie do ciebie. – Przypadł bliżej Natty i odskoczył. – No właśnie, czyż nie tak, mój śliczny wróbelku? Sprowadziło mnie do ciebie i teraz mamy taki piękny poranek. Po wietrze i deszczu ani śladu. Słońce wstało. Magia natury i spokój. Ale jeszcze zobaczysz, zobaczysz. Wkrótce będziesz się pociał w tym deszczu. I tak w koło Macieju.

Ostatnich kilka zdań nie tyle wypowiedział, co wyśpiewał, bo mogły być to też słowa jakiejś na poły zapomnianej piosnki z jego wcześniejszego życia. Słowa te sprowadziły na oblicze pirata coś na kształt zadowolenia – ale zniknęło tak szybko, jak się pojawiło, a on klepnął się w chude uda, by skarcić się za swą beztroskę. Było to niezwykle przedstawienie. Natty już nie wiedziała, czy faktycznie powinna raczyć go jakimikolwiek opowieściami z kraju, ponieważ w ten sposób mogła jedynie podsycić drzemiące w nim szaleństwo. Niemniej rzuciła mu ochłap, by zobaczyć, czy złapie przynętę.

– Tego roku angielskie lato było idealne – powiedziała. – Wszędzie obfite zbiory.

Gdy to mówiła, Stone rozejrzał się pospiesznie wokół, mrużąc oczy i bacznie obserwując chatę więźniów, a potem jego wzrok poszybował w stronę domu, w którym spali kompani (jeśli w ogóle spali). Nie dostrzegłszy nikogo, powrócił do starego nawyku: drżał na całym ciele i zaciskał dłonie, jakby mu było zimno.

– Lato, powiadasz.

– Mówiłem, że było ciepłe.



Natty pomyślała, że to niezwykle zdanie, biorąc pod uwagę jej położenie. Dla Stone'a, który teraz – zdawało się – zapomniał o wszystkim, o czym mówił wcześniej, nie miało to żadnego znaczenia. Jego wzrok prześlizgiwał się badawczo po twarzy Natty, zupełnie pozbawiony niedawnej tęsknoty, emanujący jedynie zwykłą dzikością.

– Nikt ci nie pozwolił się odzywać – warknął. – Tutaj trzymasz buzię na kłódkę, chyba że ktoś pozwoli ci się odezwać. Zrozumiano?

Natty nie miała ochoty przeproszać; czekała tylko, co będzie dalej. A dalej był szturchaniec w ucho (który zerwałby jej kapelusz, gdyby nie naciągnęła go tak głęboko), a zaraz potem Stone chwycił ją za ramię i popchnął w stronę destylarni opartej o chatę piratów. Przy drzwiach tkwił wbity w ziemię długi metalowy szpikulec – bez wątplenia kolejna kość z truchła Achillesa. Stone założył jej ręce do tyłu i przywiązał do niego, toteż chcąc nie chcąc, klapnęła na ziemię. Sądząc po zrytej wokół ziemi, była jednym z wielu trzymanyh tu więźniów.

– Scena – rzucił Stone, nachylając się nad nią i swym ohydny oddechem owiewając jej twarz. – Wkrótce się przekonasz, co tu wystawiamy.

Powiedziawszy to, wyprostował się, szturchnął ją w piersi czubkiem buta i poszedł do drzwi chaty, w której wciąż spali jego kamraci.

Natty pomyślała, że jest koło siódmej rano, ponieważ słońce wisiało już wyraźnie na horyzoncie i wylewało pierwszą dawkę upału na cały obóz. Tak czy inaczej, było na tyle gorąco, że poczuła wielkie pragnienie. Wzmagало je tylko ciurkanie dobiegające z niewielkiego strumyka nieopodal drzwi, za którymi zniknął Stone. Strumień stukotał cicho o metalową miednicę, po czym spływał z niej, mieszając się z piaskiem na podobieństwo owsianki bliskiej wrzenia, by następnie popłynąć przez podwórze i umknąć za ogrodzeniem obozu piratów.

Natty powiedziała mi, że gdy woda wciskała się jej do mózgu, przywołała również pewne wydarzenia, o których słyszała od ojca. Widziała, jak wdrapuje się przez ogrodzenie, by prosić o rozejm z kapitanem Smollettem z Hispanioli – najpierw przerzucił swoją kulę przez ostrokół, a następnie podążył jej śladem. Szła za nim przez podwórzec, gdzie – przy takim nachyleniu terenu i rozmiękłej ziemi – wraz ze swą kulą był równie bezradny jak statek we flaucie. Obserwowała, jak siada pośród trzech pniaków – wszystkie były już wykarczowane – i odtrąca propozycję pomocy przy wstawaniu. Śledziła go przez kolejne tuziny scen błagania, potem zapewnień, następnie znów błagania, z pełną świadomością jego udrczenia i poczucia zniewagi.

Wyjaśniłem jej, że to mogła być maligna wywołana brakiem snu, głodem oraz pragnieniem. Rozumiała to. A jednak zawsze podkreślała, że widziała swego ojca, jakby stał przy niej cały czas w świetle dnia. Mówi, że był to krańcowy moment zgryzoty w całej tej przygodzie. Kiedy spod domu z bali podkraśla się do niej mała jaszczurka – śliczna, z czerwonymi plamkami na zielonym grzbiecie – wydawało się jej, że nawet to zimnokrwiste stworzenie zatrzymało się na chwilę, by spojrzeć na nią ze współczuciem.

Minęła może godzina, zanim obóz wrócił do życia – a może tylko kilka chwil. Nie była w stanie tego stwierdzić. Jinks, który ewidentnie powrócił do drzemki w swym fotelu, po tym jak Scotland wrócił w niewolę, w końcu zdecydował, że już dostatecznie odpoczął – przeciągnął się więc, ziewnął, zdjął kapelusz, by poprawić chustkę, zerknął do wnętrza pustego kufła leżącego obok, znów nałożył kapelusz i w końcu wstał, by splunąć w stronę Natty, po czym zastukał w drzwi siedziby niewolników, krzyząc:

– Pięć minut.

Wywołało to cichą szamotaninę i szuranie, jakby obudził stado myszy pod łóżkiem. Jednocześnie dużo śmielsze stukoty i szurania zaczęły dochodzić z domu piratów bliżej Natty. Zrozumiała, że kiedy Stone zniknął w środku, nie od razu obudził kapitana, ale czekał, aż Jinks ogłosi pobudkę. Zaskoczyło ją

to, nie po raz pierwszy zresztą, że tak zdeklarowanie bezduszny człowiek może darzyć innych szacunkiem – ale po niej przyszła kolejna myśl, że jest to tylko dowód na to, iż ów Smirke sam musi mieć w sobie mniej człowieczeństwa niż jego pomagier.

O ile mniej, miała się wkrótce przekonać, bo Smirke jako pierwszy wyszedł z chaty piratów, ciągnąc za sobą rozebraną kobietę, którą cisnął w stronę Jinksa niczym szmacianą lalkę. Jinks otworzył drzwi i wrzucił ją bez słowa do reszty więźniów. Smirke przykląkł na werandzie i obmył twarz w źródelku, przypadając do wody niczym pies, po czym otrząsnął się tak, że krople pryskały dookoła.

Kiedy ten rytuał się skończył, Stone również wyszedł na zewnątrz, pomógł Smirke'owi wstać z kolan i zaczął coś do niego pospiesznie szeptać. Stone obejmował plecy kapitana aż do końca opowieści, a Smirke rzucał spojrzenia w stronę Natty – najpierw pełne zaskoczenia, potem ciekawości, gniewu i w końcu pewnego rozbawienia, które zdawało się bardziej złowróżbne niż wszystkie pozostałe.

Choć było to przerażające, dało Natty okazję, by przyjrzeć się bliżej prześladowcy. Kiedy obserwowaliśmy rozprawę, oboje zauważyliśmy szare włosy Smirke'a sięgające do ramion. Z tej odległości Natty dostrzegła też, że życie na wyspie przydało mu lat, podobnie jak pozostałym. Miał pomarszczoną skórę naznaczoną plamami i choć dawno już zarzucił zwyczaj golenia się brzytwą, nie zapuszczał brody, a jedynie dziwne kępki zarostu, które sterczały mu z brody i policzków niczym kłębki dymu. Podobnie usta przydawały mu wielce zaniedbanego wyglądu – popękane i spalone słońcem, ukazywały brązowe i niekompletne uzębienie. Biorąc to wszystko pod uwagę, przypominał dużego, rozpadającego się stracha na wróble – w połowie człowiek, w połowie istota pozbawiona duszy.

Tym bardziej zadziwiło mnie, że jego pierwszy gest wobec Natty był wręcz życzliwy. Poklepał Stone'a po ramieniu na znak, że dość już usłyszał, po czym ześliznął się z werandy domu z bali (powinienem dodać: chwiejnym krokiem, gdyż bardzo niepewnie się poruszał) i z głośnym stęknieniem przykląkł przy Natty, by rozwiązać pętającą ją linę.

– Proszę, proszę – takie były jego pierwsze słowa. Podobnie jak wszystko, co mówił, zabrzmiało to tak, jakby miał za dużo śliny w ustach. – Pan Stone powiedział mi, że złapał gładkiego chłopaka, i bez pudła, naprawdę gładkiś, chłopcze. – Jego oddech był tak cuchnący, że Natty z trudem opanowała chęć odwrócenia twarzy, ale za wszelką cenę chciała mu patrzeć w oczy, by pokazać, że się nie boi. – Niezwykle gładki – mówił dalej z lubością, spoglądając na dziewczynę z taką samą łapczywością, z jaką patrzyli na nią Stone i Jinks. – Niezwykle gładki. Nie dziewczyna i nie całkiem chłopak, sądząc z wyglądu, dziwny ptaszek. A może teraz tak już jest na świecie? Niewiele wiem o dzisiejszym świecie, sam rozumiesz. Bardzo niewiele. I mam go też w głębokim poważaniu. – Zmrużył oczy. Mówiąc to, oddychał głęboko, ewidentnie wciągając zapach jej skóry. – A co to ma być? – ciągnął po przerwie, którą wypełniły ciche mruknięcia i westchnienia. – Kawa z mlekiem? Sama słodycz. Będziesz miał tu jak w uchu, mój chłopaczk, jak w uchu. Nikogo tu nie obchodzi, kim jesteśmy ani co robimy.

Bliskość Smirke'a wywołała w Natty taką odrazę, do tego dwuznaczności w jego słowach piekły ją żywym ogniem, więc nie mogła zamilczeć – chociaż wiedziała, że musi. Ale kiedy była już na granicy wybuchu, on nagle odsunął się od niej, wyprostował i popatrzył na nią z góry, biorąc się pod boki.

– Ale do tego dojdziemy w stosownym czasie – powiedział. – Czasu mamy tu pod dostatkiem, czy nie tak, kamraci? – Kiedy to mówił, rzucił Stone'owi znaczące spojrzenie i odsłonił w uśmiechu więcej zepsutych zębów, po czym ciągnął dalej, najwyraźniej zwracając się do wszystkich i do niektórych szczególnie, ale z intonacją człowieka mruczącego coś do siebie.

– Wszystko po kolei, jak zawsze powtarzam. Wszystko po kolei. Zacznijmy więc od sprawy najważniejszej. Jak mamy cię wołać? Ciekawym. Mamy do ciebie mówić po prostu *English*? Pan Stone mówił mi, że przypląnąłeś ze starego kraju, a ja bym się chciał na nim zemścić. A może masz jednak jakieś imię?

Zagrożona w ten sposób Natty stwierdziła, że nic się nie stanie, jeśli powie prawdę, choć miała wyschnięte gardło, więc głos z trudem się przez nie przecisnął.

– Nat.

– Nat – powtórzył Smirke z fałszywą czułością. – Nat, co ma pragnienie, jak słychać. Panie Stone! Daj pan chłopakowi się napić, z łaski swojej, to zobaczymy, jak zaśpiewa.

Stone zrobił, co mu kazano, a to samo w sobie było niezwykle. Napełnił kufel w źródelku, zaniósł go ostrożnie i wcisnął Natty do rąk, po czym patrzył, jakby nigdy w życiu nie widział pijącej osoby.

Natty niemal się zakrzuszyła, łykając wodę, ale i tak pochłaniała ją myśl, że oto stała się niczym cielak, którego tuczą na niechybną rzeź – a w dodatku mogło to stać się bardzo szybko, jeśli coś im nie przeszkodzi. Ich uwagę odwrócił Jinks, otwierając z rozmachem drzwi domu więźniów i nakazując im wyłazić – co też zrobili, bezzwłocznie ustawiając się w dwuszeregu.

Kiedy pierwszych kilka par się wyłoniło, Stone odszedł od Natty, wrywając jej kufel z rąk i rzucając go na ziemię, a Smirke zadudnił:

– Z życiem ludzie! Z życiem!

Nagle w kwaterze piratów wybuchło jakieś zamieszanie. Były to odgłosy ciał spadających z łóżek, przekleństw, gdy szukali odzienia, które gdzieś porzucali, narzekania na ból głowy, chwytanie w pośpiechu kęsów strawy i pochłanianie kilku łyków wody. Kiedy wyszli na jasno oświetlony podwórzec, większość stała w bezruchu, gapiąc się najpierw na Natty, potem po sobie, ale ten chaos zakończyły wkrótce wywarkiwane rozkazy Smirke'a. Wówczas dwóch czy trzech mężczyzn zerwało się z miejsca, rzucając się na więźniów niczym wilki napotykalące na swej drodze stado owiec.

Więźniowie wyraźnie zadrżeli, widząc zbliżających się strażników, ale żaden z nich nie zachwiał się nawet ani nie podniósł wzroku, tak mocno byli dotknięci rezygnacją.

Było ich około pół setki, najpierw szli mężczyźni, kobiety za nimi, a każde przygarbione i zawstyżone, z tępym wzrokiem wbitym w plecy osoby przed sobą. Wszyscy byli do pasa nadzy i bosy, a ostatnie kobiety niosły dzieci albo prowadziły je za rękę. Bledsza skóra dzieci świadczyła o ich pochodzeniu – były nawet takie z włosami żółtymi jak słońce, a jeden chłopiec miał szopę rudych kędziorków sięgających do połowy pleców. Każdy z nich – czy to dziecko, czy dorosły – trzymał łopatę, motykę albo widły, a niektórzy inne narzędzia w nieskrępowanych dłoniach; spętano im tylko nogi w kostkach i to na tyle szeroko, że mogli chodzić, ale nie biec.

Natty wkrótce dostrzegła między nimi Scotlanda, który sunął z tą samą wymuszoną pokorą jak pozostali, żeby nie ściągnąć na siebie uwagi strażników. Nie patrzył w stronę Natty – choć odwrócił się nieznacznie w jej stronę, by mogła zauważyć, że rany po ciosach Jinksa i wiele skaleczeń i pchnięć zadanych przez Stone'a zostały opatrzone od czasu, kiedy został wrzucony do chaty. Starto mu też krew z pleców.

Natty zrozumiała, że tak właśnie wygląda codzienny rytuał bacznie doglądany przez Smirke'a i pozostałych, którzy tylko czekali, by ukarać każdego, kto próbował się wyłamać z tej karni. Wciąż w dwuszeregu więźniowie zbliżyli się do strumienia, który płynął w stronę obozu. Parami przyklękali i pili wodę. Po kilku łykach wstawali i przekraczali strumyk, dając napić się tym za sobą. Gdy ostatnia osoba ugasiła pragnienie – choć nie do końca, co było szczególnie uciążliwe dla dzieci (wiele z nich zaczynało płakać) – ci na początku kolumny znajdowali się już przy południowej bramie. Stamtąd wychodzili na poletka będące ich dziełem, które już zaczynały parować z gorąca.

Każda para opuszczająca obóz zaczynała śpiewać wolną pieśń, której Natty nie rozpoznała:

*O poranku, gdy na polach jeszcze błyszczy rosa,*

*Alleluja!*

*Staniemy wraz głośno, śpiewając pod niebiosą,*

*Alleluja!*

*Powitamy słońce, co będzie jak brat,  
Z dniem nowym nowy zaczął się świat,  
W zbożnym dziele kłós zbieraj do kłosa.*

W końcu cała grupa zaczęła śpiewać pełnym głosem, kiwając się nieznacznie na boki podczas marszu, a dzieci wycierały mokre buzie i zaczynały klaskać. Był to niezwykle dojmujący spektakl, piękny w swym smutku, ale jednocześnie przepełniony dumą i buntem. Kiedy zaczęli znikać z widoku, idąc w stronę brzegu, muzyka naprawdę zdawała się wypełniać przestrzeń, zajmując poczesne miejsce w tej pustce.

Pieśń dobiegła końca, gdy niewolnicy zaczęli pracę; wtedy też powróciła pustka, ale teraz zdawała się większa, podobnie jak żaloszny los więźniów był bardziej przejmujący. Plany, które Natty omawiała ze Scotlandem – plany, które pozornie łatwo dało się zrealizować, gdy miały jeszcze postać słów – teraz, gdy ujrzano fakty, zdawały się zupełnie nierealne. Pięćdziesięciu przyjaciół, z których każdy miał łopatę bądź inne narzędzie, oraz trzydziestu wrogów. Teoretycznie ich powstanie nie mogło się nie udać! Ale więźniowie wydawali się tak poskromieni, myśl o kijach przeciwko pałaszom była tak całkowicie obezwładniająca, że bitwa musiała się skończyć, zanim jeszcze się zaczęła. Natty wyobraziła sobie chwilę, w której szturmowano Bastylę. Na Wyspie Skarbów było to niemożliwe. Tu stary porządek wciąż trzymał się mocno, głupi i bezwzględny w swej naturze.

Smirke nie domyślał się, jakie myśli krążą Natty po głowie – właściwie nie dostrzegał niczego poza okazją do wykazania się okrucieństwem. Doskonale znał wszystkich więźniów i pod tym względem nie faworyzował nikogo. W rzeczywistości wszyscy piraci zdawali się całkowicie zżyci z własnym barbarzyństwem. Natty zaczęła się zastanawiać, czy w ogóle chcieliby, żeby ktoś ich uratował z tej wyspy, bez względu na ich zapewnienia, jak bardzo tęsknią za Anglią i tamtejszą pogodą.

Wydedukowała, że Smirke jest zadowolony, o ile to właściwe słowo na określenie takiego stanu podłej egzystencji, a owo zadowolenie jest tak olbrzymie, że pirat nie ma najmniejszego zamiaru skracać jej o głowę. Tym samym, co również rozumiała, przepełniała go niemal równie wielka próżność jak Stone'a. I zadziwiona letargiem, jaki owa próżność wywoływała, była za to głęboko wdzięczna losowi. Smirke był tak pewien swej wszechwładzy, tak zaślepiony nawykami swej dominacji, że nie tylko nie miał zamiaru szukać statku, który przywiózł ją na wyspę – nawet nie chciał zastanawiać się nad tym, że na pokładzie może znajdować się załoga, której nie spodoba się jego sposób sprawowania władzy.

Jednocześnie niezwykle podejrzliwość w stosunku do Natty miał we krwi i kiedy tylko skończył przegląd niewolników, rozpoczął natarczywe i drobiazgowo śledztwo. Ilu przypłynęło z nią na wyspę? Gdzie jest statek, jeśli przetrwał lądowanie? Czy znaleźli się tu przez przypadek, czy celowo? Na początku owe pytania zadawano z tą samą fałszywą uprzejmością, z jaką Stone podał jej kufel z wodą. Ale im dłużej to trwało, im mniej Natty była skłonna do współpracy, tym dobitniej rozumiała, że Smirke wcale nie oczekuje od niej odpowiedzi. Przeświadczony o swej niezwyciężoności i bezkarności wdał się w brutalną szaradę, w której nie chodziło o zaspokojenie ciekawości w kwestii przyjaciół Natty czy lokalizacji Słowika. Miała ona jeden cel – wywołanie u niej krańcowego przerażenia. Dlatego też w tym właśnie celu, w żadnym innym, w końcu chwycił ją za ramię i zaciągnął na dziedziniec, gdzie stanęli przed Sądem w Kubryku.

– Wiesz, co to jest, prawda? – Smirke wysyczał te słowa wprost do ucha Natty i boleśnie ją uszczypnął.

Pokręciła głową, na co Smirke kontynuował swoją tyradę jeszcze bardziej jadowitym głosem.

– Doskonale – powiedział, otwierając szeroko oczy. – Powiem ci, co to jest. To jest nasz sąd, tu, na wyspie. Nasz sąd, gdzie sprawiedliwości staje się zadość. Jesteśmy społecznością prawa. Aresztujemy,

sądzimy i karzemy. No i aresztowaliśmy ciebie, paniczu Nat, czyż nie? Aresztowaliśmy cię, a teraz cię osądzimy i ukarzemy.

Znów zamilkł – ale kiedy Natty w dalszym ciągu się nie odzywała, stwierdził, że równie dobrze może sobie zaszaleć.

– Wciąż brak ci języka w gębie? – Parsknął śliną, rozglądając się, jakby szukał wsparcia u Stone’a, po czym znów wściekle rzucił się na Natty, aż kępki szarej brody nastroszyły mu się na twarzy. – Na Boga, panie Stone, poharcujemy z nim, aż mu się kostki rozgotują. Nieważne, że to tylko szczeniak, chłopczyk jest bezczelny jak stary, w gruncie rzeczy nawet bardziej. O wiele bardziej. O wiele bardziej bezczelny. Gdzie twój szacunek dla starszych, chłopaczku, no gdzie? Ha! Cóż mi tam szczeniak czy dorosły, cóż, to dla mnie za jedno. Niemowlę na rękach matki czy zgrzybiały głupiec, wszystko jedno. Siekam ich na kawałki i jak zechcę, to smażę na wolnym ogniu, co mi tam.

Natty słuchała tego ze spuszczoną głową i czuła, jakby każde słowo było ciosem, ale kiedy ucichły i znów podniosła wzrok, patrząc na wznoszący się przed nią budynek sądu, zrozumiała, że wszystko, co usłyszała, było prostą prawdą w ujęciu Smirke’a. Wstrząs zmusił ją do zabrania głosu.

– Moi przyjaciele zginęli – powiedziała, aż spojrzał na nią kompletnie zaskoczony, jak się patrzy na idiotę.

– Nie zrozumiałeś mnie, młodziku? – Był to zduszony ton nauczyciela i to nauczyciel chwycił ją pod brodę i uszczypnął w twarz. – To jest nasz gmach sądu. Nasz sąd, gdzie odbywamy sesje i posiedzenia, na których karzemy wszystkich łgarzy i innych łajdaków. To tutaj panuje sprawiedliwość. To tutaj naprawiamy błędy. – Puścił Natty i znów nachylił się tuż nad nią. – Rozumiesz to, chłopcze? Jeśli rozumiesz, odpowiesz na moje pytania, a nasza sprawiedliwość nie uczyni ci krzywdy. Bo inaczej... – Nie dokończył tego zdania, ale wyprostował się i wytarł ściekającą po brodzie ślinę.

– Nie wiem, co mam mówić – powiedziała Natty i była to właściwie prawda, choć nie cała.

– Nie wiesz, co masz mówić? – powtórzył Smirke o wiele ciszej, jakby nagle się zmęczył. W rzeczywistości przypomniał sobie o kolejnym sposobie, w jaki mógł się z nią zabawić. – Moim zdaniem – ciągnął – musisz bystro patrzeć i postarać się pojąć to wszystko, jeśli chcesz zachować głowę na karku.

Powiedziawszy to, odgarnął poły swej kurtki w geście, który, jak stwierdziła Natty, wydał się jej preludium do wyciągnięcia broni. Ale nie. Zamiast tego objął ją i podniósł, jakby ważyła tyle co niemowlę, a następnie niósł ją w tej pozycji, aż doszli do ławy oskarżonych, gdzie wstawił ją niczym kołek w płot. W tym dziwnym uścisku strach Natty potęgował cały czas straszliwy smród stęchlizny, gnijącego ciała, który emanował ze Smirke’a i uderzał jej do głowy tak, że praktycznie nie mogła myśleć o niczym innym.

– To właśnie tutaj kończą ci, co nie wiedzą – powiedział i puścił ją. – Ty staniesz tutaj – dźgnął ją swym paluchem – ja będę siedział tam – wskazał na fotel na podwyższeniu za nią – pan Jinks będzie tu – dźgnął powietrze obok jej głowy – a pan Stone będzie czekał tutaj, jeśli okaże się, że jesteś winny.

Kiedy wypowiedział ostatnie zdanie, wskazał na poplamioną ziemię i wytarł stopy, jakby próbował wysmarować podeszwy krwią.

Przedstawienie było zuchwałe, więc Natty poczuła przede wszystkim rozbawienie i starała się zdławić śmiech. Powiedziałem jej już, że to po prostu strach objawił się w taki sposób i nie ma w tym nic zaskakującego. Jednak miała rację, myśląc, że Smirke nie zamierza jej zgładzić. Bawił się zbyt dobrze, igrając z nią jak kot z myszą. Popatrzył na nią przez chwilę, robiąc groźną minę, ale przekonał się, że to też nie rozwiązało jej języka. Lecz jego dłoń nie poszybowała do rękoności rapiera, a jedynie przyglądała kępki brody, z której ponownie wytarł ślinę i pot.

To patrzeć wilkiem i groźby stopniowo zmieniały się w pasmo gderania; Smirke męczył się tym bardziej niż Natty, bo słońce zaczęło grzać coraz mocniej; nie chciał już dłużej cierpieć, powtarzał więc

tylko Natty, by „rozważyła swój los” i tym podobne. Dziewczyna zrozumiała, że milcząc, odniosła pewnego rodzaju zwycięstwo – pozwoliło to utwierdzić Smirke’a w przekonaniu, że nawet armia jej przyjaciół nie będzie w stanie przeprowadzić ataku na obóz. Pod tym względem przynajmniej czuła wdzięczność za jego degrengoladę, która sprawiła, iż był pewien swej całkowitej władzy na całej wyspie.

Jednocześnie Natty zrozumiała, że z podobną łatwością równowaga jego umysłu może przechylić się na drugą stronę. Tak więc kiedy Smirke w końcu rozkazał Stone’owi umieścić ją w destylarni, zastosowała się do tego rozkazu w sposób, który musiał wyglądać na coś w rodzaju przejawu wdzięczności. Ruszyła przez podwórzec bez słowa. Kiedy drzwi destylarni zamknęły się za nią, klucz przekreślił się w zamku, a ją niczym stary koc otoczył wszechobecny duszący smród, naprawdę powiedziała w ciemność:

– Dziękuję.

## Rozdział 22

### Wąwóz

Kiedy byłem mały i pomagałem memu ojcu w Hispanioli, bardzo często widywałem mężczyzn upitych oparami własnego grogu, tak samo jak i samym grogiem. Natty zaobserwowała podobną rzecz w Spyglass – jest to powszechnie znane zjawisko. Teraz sama doznała tego, co ci wszyscy pijacy. Destylarni nikt nie odwiedzał od kilku dobrych godzin, a beczka biorąca poczesny udział w finalizacji tutejszej produkcji była tylko do połowy napełniona – ale smród roznosił się wokół z taką siłą, że bardzo szybko znalazła się pod wpływem trunku. Z tego powodu można powiedzieć, iż rozpoczęła życie w niewoli od świętowania.

I chyba wyszło jej to na dobre, bo pozwoliło Natty na typową dla pijaków wnikliwą kontemplację spraw, które zasługują jedynie na chwilową uwagę. Snopy światła przeciskające się przez deski ścian wkrótce stały się przedmiotem niezwykłego zainteresowania o zabarwieniu sentymentalnym, gdy oświetlały unoszące się w powietrzu drobiny kurzu, zmieniając je w schody dla mikroskopijnych aniołków. Szuranie ptasich łap po dachu tworzyło melodie równie fascynującą jak muzyka sfer niebieskich.

Jednocześnie, w dobrze znanym paradoksie upojenia alkoholowego, Natty poczuła się wyzwolona z okowów bieżących okoliczności i mogła skoncentrować się na odległych osobach i miejscach. Na przykład na ojcu, którego widziała na łóżku z widokiem na Tamizę tak wyraźnie, jakby leżała obok niego, a gdy przyciskała się do twardej ziemi, na której siedziała, równie dobrze mogłaby dotykać kości jego dłoni. Zapewniała mnie, że również ja się jej objawiłem i spoglądając głęboko w oczy, udowodniłem, jak bardzo pragnę jej bezpiecznego powrotu. Z tego wnoszę, że myśl o mnie nie była jej niemiła – gdybym o tym wtedy wiedział, pocieszyłoby mnie to bardziej, niż ja mogłem pocieszyć ją.

Niestety tego rodzaju marzenia nigdy nie były na tyle namacalne, by zająć Natty na dłużej niż na kilka chwil. Strach co rusz ściągał ją z chmur do rzeczywistości – strach wywołany głosami piratów, które dochodziły do niej przez ścianę szopy, będącą jednocześnie ścianą ich chaty. Słyszała każde słowo z ich rozmów, a głównym tematem była ona sama.

Smirke zaczął mówić w chwili, w której przekroczył próg; Natty słyszała stukot jego butów o drewnianą podłogę, a potem straszliwe skrzypnięcie, gdy rzucił się na łóżko – reszta poruszała się dużo ciszej.

– W jakie kłopoty wpakowałeś nas tym razem, ty szmato? – warknął.

Natty zrozumiała, że ona była kłopotem, a Stone szmatą – i pomimo nienawiści, jaką do niego żywiła, uznała, że to nie w porządku. Stone, ku jej zaskoczeniu, był niemal skruszony.

– Żałuję, że tak się stało, kapitanie. To tylko pacholę. Ale niebezpieczne pacholę, bo nie wiemy, co przypląnęło tu razem z nim.

– Powiedzcie tylko słowo, a wyrwę mu ozór. Wtedy zacznie śpiewać. – Był to głos, którego Natty nie rozpoznała, możliwe, że należał do jednego ze strażników z Achillesa, który został w chacie, gdy Jinks wraz z innymi poszli pilnować więźniów przy pracy.

– Jeśli wyrwiesz mu ozór – odparł Smirke w zgryźliwej parodii logicznego wywodu – to niby jak dowiemy się tego, co chcemy wiedzieć?

Wywołało to powszechną wesołość i nagle wszyscy zaczęli się przekrzykiwać, rzucając propozycje tego, czego by chcieli i czy trzeba do tego mówić. Smirke tupnął nogą, by ich uciszyć.

– Milczeć, psy. Cisza, macie myśleć. Jest pewna kwestia, nad którą musimy się zastanowić. Właściwie to jest cała kopa pytań i teraz je wam wszystkie wyłożę, wraz z odpowiedziami. Po pierwsze: czy chłopak jest sam? Idę o zakład, że nie. Po drugie: kto z nim przyplłynął? Idę o zakład, że cała grupa. Po trzecie: jaka grupa? Zakładam się, że uzbrojona grupa. Po czwarte: czego będą od nas chcieli? – Tutaj Smirke zamilkł. Natty wyobraziła sobie, jak otwiera szeroko oczy, by zachęcić ich do odpowiedzi, bo zamiast kolejnego „założę się”, usłyszała nagły wybuch krzyków.

– Srebro! Srebro! – odezwało się pół tuzina głosów. – Przyplłynęli po srebro!

Smirke nie skomentował tego, co znów pozwoliło wyobraźni Natty pracować. Zobaczyła głowy kiwające na potwierdzenie tego faktu i nerwowe zacieranie rąk, tężejące szczęki, gdy piraci zaczęli się wzajem utwierdzać w przekonaniu, że nic nie jest dla nich ważniejsze niż skarb.

– A więc sami widzicie, moi marynarze – odezwał się Smirke. – Pytanie. Możemy nazwać to dy-le-ma-tem. – Wymówił to słowo, zacinając się, jakby było gorącym kęskiem w ustach. – I ten dy-le-mat polega na tym: czy potrzebujemy młodego Nata, by pomógł nam rozwiązać tę trudną sytuację? Czy też... stoi nam na drodze?

Choć ostatnie słowa zostały wypowiedziane niezwykle wolno, one również wzbudziły żywiołową reakcję, co pokazywało tylko, że zdaniem większości odpowiedź na to pytanie jest powszechnie znana i tym samym dylemat został rozwiązany.

– Nadziać go na ostrze! – rycieli. – Zarznąć jak warchlaka! Powiesić na linie! Wydusić mu ślepią! – Wykrzykiwali też inne radosne propozycje okropności, przy wtórze dzikiego tupania, które wstrząsało całą chatą.

Gdy rwetes ucichł, musiała minąć kolejna chwila, zanim Smirke znów się odezwał.

– Bardzo dobrze, chłopcy – powiedział z zaskakującą wyniosłością, jakby napominał ich, kto tu jest kapitanem. – Jestem wam zobowiązany. Wezmę wasze rady pod rozwagę, naprawdę. Muszę się jednak namyśleć i przetrawić wszystko, co mi tu przedstawiliście, a jak to zrobię, powiadomię was o swojej decyzji w stosownym czasie.

Po tym rozległa się kolejna porcja szemrania potężniejszego do kolejnego szczytu, gdy trzeci głos (ten, którego Natty nie rozpoznawała) zapytał:

– A dlaczego nie ma być naszym zakładnikiem? Trzymamy jego kumpli w szachu, bo możemy zahandlować o tego ich chłoptasia.

Chwila milczenia, a potem rozległ się chichot:

– A juści, jeśli będzie sprawiał kłopoty, powiesimy go i z głowy. Podobnie zrobimy z jego kompanami, kiedy się pojawią! Możemy...

Ale Natty nie miała szansy usłyszeć nowej propozycji kaźni, bo gdy tylko ten trzeci głos zaczął się zapalać do swych pomysłów, Smirke mu przerwał. Nie było w nim już ani śladu godności, którą próbował wykrzesać z siebie przed chwilą – jedynie wybuch gniewu.

– Mówiłem ci już, Nosal – warknął. – Nie będziesz mi się tu buntował. Ani nikt z twoich kompanów. Jestem waszym kapitanem i to mnie macie słuchać. A rozkazuję, co następuje: musicie czekać, aż zdecyduję. Zrozumiałeś? – Natty wyobraziła sobie, jak toczy wokół wilczym spojrzeniem z półotwartymi ustami niczym sztokfisz.

Ten wybuch najwyraźniej poskromił ciągoty piratów do dalszych dysput i aby podkreślić, że uważa rozmowy za zakończone, Smirke klasnął w dłonie z głośnym i stanowczym:

– W takim razie postanowione.

Wewnątrz chaty zaległo niespokojne milczenie – jeśli można nazwać milczeniem stan, w którym ludzie ciągną, by zalec na swych wyrkach, narzekając na temperaturę, wymyślają sobie wzajem i kłócą się o butelczynę znaną pod stołem. W rzeczywistości ten zestaw odgłosów był najzwyczajniejszy



pod słońcem, a jednak zrobił na Natty wrażenie pokazu prymitywnej głupoty i przestraszyła się, że Smirke może ją zabić wyłącznie dla ich rozrywki.

Pod tym względem skutek wdychania wyziewów z destylarni był swoistym wybawieniem – gdy w domu z bali w końcu zaległa cisza, Natty zasnęła. Może się to wydać zaskakujące, gdyż sugeruje, że nie była dostatecznie przerażona perspektywą śmierci, by nie spać. Ale w praktyce nasze organizmy często postępują według własnych praw, zamiast słuchać umysłu.

Wielu skazańców, gdy się obudzą i przypomną sobie, że za godzinę mają zawisnąć na szubienicy, upiera się, żeby zjeść śniadanie, i zachowuje się tak, jakby spodziewali się długiego życia. Nawet Jordan Hands opatrzył swój skaleczony kciuk, zanim skoczył przez burtę Słowika. Aby dodać godności postępowaniu Natty, przypomnę, że nie spała całą noc i była zmęczona.

Obudziła się znów na skrzypnięcie otwieranych drzwi. Choć w oczy uderzyło ją ostre światło, dostrzegła sylwetkę Smirke'a. Najpierw pomyślała, że czuje straszliwy niesmak w ustach. Zaraz potem, że w głowie jej dudni, jakby piła cały dzień. A następnie pożałowała, że spała, kiedy Smirke ogłosił jej koniec. Pierwsze dwie myśli sprawiły, że zaczęła się nad sobą użalać. Trzecia była przerażająca.

– Wstawaj, chłopcze – rozkazał. – Musimy porozmawiać jak mężczyzna z mężczyzną, bo pomyślę, że zaszlachtowałem dziecko i będę miał wielkie wyrzuty sumienia z tego powodu.

Biorąc pod uwagę pozostałe grzechy Smirke'a, była to dość dziwna troska – ale Natty i tak się ucieszyła, gdyż świadczyło to, że wciąż tli się w nim iskierka człowieczeństwa. Ile na tym skorzysta, to była już zupełnie inna sprawa, co Natty uświadomiła sobie, gdy oczy jej już przywykły do jasności i zauważyła, że za Smirkiem stoi Stone oraz jeszcze jakiś mężczyzna, który w chacie mówił, że chciałby jej uciąć język. Pomyślała, że to pewnie ten Nosal – był najwyższy z całej trójki, o bardzo szczupłym ciele i dziecięcych wybałuszonych oczach, rozdzielonych wielkich rozmiarów trąbą, od której wzięło się jego przezwisko. Jednak jeszcze dziwniejszy zdawał się jego strój, gdyż był odziany w płachty brezentu i płótna żaglowego, a ten niezwykle zestaw został spojony absurdalnym systemem łączeń w postaci mosiężnych guzów, kawałków kijków oraz opasujących go usmolonych portek. Nosił też skórzany pas ze starą mosiężną klamrą, który był jedyną porządną rzeczą w tym wyposażeniu i skrzypiał głośno, gdy jego właściciel się ruszał. Nosal mógłby koncertowo grać rolę błazna na średniowiecznym dworze.

Natty miała pewność, że nie znajdzie krztyny współczucia u tego człowieka, podobnie jak wiedziała, że nie ma co liczyć na łaskę Stone'a czy Smirke'a. Mimo to spoglądała odważnie na każdego z piratów po kolei, a potem rozejrzała się po dziedzińcu, na który ją wyprowadzili, dając im do zrozumienia, że się nie lęka. Ponieważ słońce znajdowało się w dwóch trzecich drogi po niebie, obliczyła, że musi być późne popołudnie. O tej porze dnia, co wiedziała, wieczorny sztorm już pewnie wzbierał na morzu i bardzo szybko wyśle swe chmury, by rozsiały deszcz i wiatr na wyspie. Cokolwiek piraci dla niej obmyślili, mieli zamiar uwinąć się z tym bez zwłoki – żeby nie zmoknąć.

Smirke położył swą ciężką łapę na ramieniu Natty i dopiero gdy weszli na otwarty teren blisko Kubrykowego Sądu, zwolnił uścisk.

– No dobrze – powiedział, wycierając sobie twarz z łojotokiem. Po namaszczeniu cechującym jego zachowanie Natty poznała, że po raz pierwszy jest szczerze zaniepokojony, jakież to mogła skrywać tajemnice, ale i tak chciał się okrutnie zabawić jej kosztem.

– Niech mnie pod kilem przeciągną, jeśli nie wiesz czegoś, co i my powinniśmy wiedzieć, chłopcze. Czegoś, co wszyscy powinni wiedzieć, a co mi zaraz powiesz.

Ponieważ Natty dopiero co opuściła swoje więzienie, pomyślała, że rozsądniej będzie na razie nic nie mówić, pocierała jedynie ramiona i nadgarstki, żeby krew zaczęła w nich krążyć. To milczenie, które zdaniem Smirke'a było jedynie trwaniem w uporze, bardzo szybko go rozwścieczyło.

– Tylko nie rób ze mnie głupca! – zadudnił. Posłał jej poirytowane spojrzenie; najwyraźniej zamierzał porządnie się rozzłościć znacznie później. Utraciwszy jednak cierpliwość od razu, nie zrobił nic, by znów nad sobą zapanować, lecz brnął dalej. Zza pasa wyciągnął duży majcher. – Mam dość już twego milczenia, mój chłopcze. Powiedz, co wiesz, i powiedz, jakieś tu trafił. I kto przypłynął tu wraz z tobą. I gdzie twoim zdaniem są teraz ci ludzie. A może myślisz, że zostawili cię na pastwę losu? Nie powiem, żebym zrobił inaczej na ich miejscu. Tak czy inaczej, albo zaczniesz gadać, albo obetniemy ci język.

Stone stał zupełnie spokojnie, kiedy padły te słowa, ale Nosal rzucił się naprzód i klepnął Smirke'a po plecach, jakby chciał powiedzieć: „Teraz się zabawimy”. Smirke zdawał się tego nie zauważać, jedynie wbijał wciąż swe starcze oczy w twarz Natty i z wolna zaczął podwijać rękaw swego kaftana. Nad jego nadgarstkiem i na przedramieniu, na starczej skórze już pozbawionej włosów, dostrzegła wyraźnie wytatuowane litery układające się w napisy „Taki los” oraz „Bo Ted Smirke taką ma zachciankę”, a pomiędzy nimi widać było szubienicę i wiszącego na niej człowieka.

– Nie mogę wam powiedzieć tego, co chcecie – rzuciła Natty, odwracając się z obrzydzeniem.

Wydawało się jej, że mówi wysokim, drżącym głosem, bardzo podobnym do jej prawdziwego, który starała się ukryć podczas wymiany zdań, jaka nastąpiła później. Nie ćwiczyła tego, ale ta myśl pojawiła się u niej instynktownie.

– Panie Smirke – powiedziała, po raz pierwszy wymieniając jego nazwisko. – Musi się pan postawić w moim położeniu. Musi pan zadać sobie pytanie: czy uratowałbym siebie kosztem zdrady przyjaciół?

Natty chciała, żeby był to wstęp do dłuższej tyrady, w której to zamierzała odnieść się do ducha zwykłego człowieczeństwa. Ale reakcja na te słowa okazała się tak gwałtowna, że nie miała szansy ciągnąć dalej.

– Oszczędź mi swoich przemówień! – rzucił Smirke, siekąc nożem powietrze przed jej twarzą. – Chcę słyszeć od ciebie wieści, chłopcze, a nie przemowy. Wieści i prawdę. A teraz zapytam ponownie. Podasz je nam, czy mamy je z ciebie wydusić?

Jeśli jeszcze jakaś resztką oparów z destylarni utrzymywała się w mózgu Natty, to ostatnie zdanie rozproszyło je bez śladu. Wiedziała, że nadszedł kres wymówek i nie może już dłużej się ociagać. Nadszedł czas, by powiedzieć o Słowiku lub cierpieć i zginąć.

Otworzyła usta – i nagle znów je zamknęła, gdy zza palisady dobiegł narastający dźwięk pieśni. Z początku bardzo słaby, ale szybko się zbliżał i nabierał mocy:

*Chwalmy Pana, bo piękne dał nam łany,  
Alleluja!  
Chwalmy Pana za plon, co dziś zbieramy,  
Alleluja!  
Chwalmy Pana za słońce, co będzie jak brat,  
Chwalmy Go, bo stworzył nowy świat,  
Chwalmy Pana, bo chorym leczy rany.  
Alleluja!*

Nie miała najmniejszych wątpliwości, co zapowiadała ta pieśń – to więźniowie wracali z pracy. Choć był to stały element dnia, a tym samym mógł się wydać Smirke'owi i całej reszcie nużący, i tak przyciągnął ich uwagę.

Natty pomyślała, że dowodził ich wszechwładzy, jednocześnie przypominając im o wieczornych uciechach, których pieśń była zapowiedzią. Kiedy znów spojrzała na Smirke'a, zdawało się, że całkiem o

niej zapomniał i podobnie jak Stone i Nosal w napięciu obserwował, jak przez południową bramę wchodzi procesja więźniów.

Choć Natty była rada z tej zwłoki, to, co ukazało się jej oczom, zszokowało ją. Więźniowie, wymęczeni pracą, zwiesili głowy i szurali stopami, wzniesając tumany kurzu – co czyniło ich śpiew jeszcze bardziej niezwykłym. Kiedy zobaczyła Scotlanda, pospiesznie zamknęła oczy. Skórę na ramionach miał lśniąca od krwi, a na głowie widać było długą otwartą ranę, jakby ktoś rozciął na niej skórę i celowo rozwarł jej brzegi.

Jinks kroczył na czele kolumny niczym generał, który zamęczył swoje wojsko marszem na szczyt wzgórza i z powrotem. Pozostali dręczyciele, rozbitkowie z wraku Achillesa, szli po obu stronach kolumny, tylko czekając, by ociągających się sieknąć kijem. Wszyscy niewolnicy byli wycieńczeni. Kiedy weszli za palisadę, ich pieśń ucichła i wlekli się dalej posłusznie w markotnym znużeniu. Było to, sądząc po uśmiechu, który teraz pojawił się na szerokiej twarzy Smirke'a, wszystko, czego było im trzeba.

I szli dalej do werandy przed ich domem z bali, gdzie umieszczono beczkę oraz drewniane koryto, takie, jakiego używa się do karmienia świń. Zostało wypełnione wodą i każdy z więźniów przykłękał i pił, po czym sięgał do beczki, wyciągając pajdę ciemnego chleba. Trzymając go w rękach, wchodzili w tę samą ciemność, która wypuła ich kilka godzin wcześniej. Nie był to jednak kres ich niedoli – ledwo przerwa przed rozpoczynającą się drugą, straszliwszą częścią dnia.

Natty nie spodziewała się, że będzie świadkiem tych okropieństw, bo nie sądziła, że tego dożyje – o czym wkrótce przypomniał jej Smirke.

Gdy ostatni więźniowie zniknęli w chacie, stracił zainteresowanie nimi i wrócił do tego, co przerwali.

– Po raz ostatni – warknął, zwracając się do Natty i klepiąc ostrzem noża w otwartą dłoń. – Mów, dokąd mogli się udać twoi kamraci. Czy zostawili cię, czy po ciebie przyjdą?

– Powiedziałem panu tyle, ile mogłem – odparła Natty, odrywając wzrok od więźniów. Aby udąć obojętność, nie patrzyła bezpośrednio na Smirke'a, lecz na niebo za nim. Na Smirke'u jej wysiłki najwyraźniej nie zrobiły wrażenia, ale Natty nie mogła się spodziewać, że taki prosty gest doprowadzi do najdziwniejszej wymiany zdań. Bo gdy wciąż obserwowała chmury sunące przez niebo nad Ostoją i próbowała odciągnąć umysł od złych myśli, skupiając się na przemierzających się szarościach i bielach, usłyszała, jak Smirke mówi:

– Na zęby Zbawiciela, jesteś najbardziej upartym szczeniakiem jakiego znam, Nat. Nie wiesz, kim jestem? Nie wiesz, jakie wiodłem życie? Pływałem z kapitanem Flintem! Przyjaźniłem się ze starym Różnym Silverem!

Słyszając wzmiankę o ojcu wypowiedzianą w ten sposób, jakby był diabłem wcielonym, Natty poczuła się boleśnie zraniona.

– No i co z tym panem Silverem? – wyszeptwała.

– Co z Silverem? – Dał się wciągnąć. – To był najgorszy drań o kamiennym sercu, jakiego znałem. Silver to pies i nauczył mnie, jak robią prawdziwe psy. Hau! Hau!

Rzucił się na Natty, aż poczuła kłamry i guziki ubrania Smirke'a przyciskające się do jej ubrania. Ale najwyraźniej nie skończył jeszcze z jej ojcem.

– Kiedy ostatni raz widziałem tego łotra spod ciemnej gwiazdy, jego żalosna facjata patrzyła na mnie szyderczo zza burty Hispanioli, a kula z mego muszkietu rozwiała mu włosy na łepetynie. Nieco niżej i wysłałbym go do kotła ze smołą, na który sobie setnie zasłużył! Nie ma dnia, żebym...

Tutaj Smirke najwyraźniej chciał kontynuować ten wątek, przez chwilę niesiony prądem swej nienawiści, i być może tak właśnie by zrobił, gdyby Stone nie podszedł do niego i nie klepnął go w ramię.

– Tak? – warknął, odwracając się na pięcie.

– Więzień czeka, panie kapitanie – powiedział Stone, zwracając się do niego jak dobry marynarz, z szerokim uśmiechem na twarzy. – Zapomniał pan o więźniu.

Efekt tej ingerencji był zaskakujący. Smirke stał w bezruchu, marszcząc brwi i gapiąc się w ziemię, jakby zapomniał, gdzie się znajduje, zgrzytał zębami i przeklinał. Był to przerażający obraz nienawiści, ale Natty obiecała sobie, że musi go wykorzystać. Wysłuchiwanie, jak z taką mocą potępia jej ojca, samo w sobie było uwłaczające – mężczyzna, którego znała, w ogóle nie przypominał potwora opisywanego przez Smirke'a. A jednak wtoczyło to w nią nowe siły. Przywołując jej ojca, Smirke wykazał się inwencją, gdy czuła, że jej własne zasoby już się wyczerpują.

Zdecydowanie Natty zostało natychmiast poddane próbie, bo kiedy tylko Smirke opanował się, znów, dzięki wsparciu Stone'a, stał się bardzo rzeczowy.

– Wy tam! – krzyknął przez podwórzec, by przywołać strażników, którzy ledwo co zapędzili więźniów do kwatery. – Robinson, Rawson.

– Tak jest, kapitanie – mruknął jeden, a drugi dodał po marynarzku: – Aye-aye, kapitanie. – I przydreptali do niego.

– Znacie swoje obowiązki – powiedział do nich Smirke, wpychając swój nóż za pas i niespodziewanie uśmiechając się do Natty, by pokazać, jak bardzo cieszy go ten nowy popis władzy. – Rozpalcie ogień i przygotujcie wszystko na mój powrót. Nosal!

Człowiek o wyłupiastych oczach podbiegł do niego posłusznie.

– Aye-aye, panie kapitanie.

– Zabij dla nas du-da, bo zjemy go na kolację. Myślę, że zgłodnieję, kiedy skończę z naszym paniczem Natem.

– Niezwłocznie, panie kapitanie – odparł Nosal i pocierając trąbę, ruszył w stronę zagrody dla zwierząt. Kiedy oparł się o jej niską ściankę, zwierzęta zamknięte w środku zaczęły żałośnie gulgotać, najwyraźniej rozumiejąc, że wkroczył w ich świat jako Pan Ptasia Śmierć.

– Doskonały kat – powiedział Smirke do Natty, wciąż się uśmiechając. – Wszyscy to mówią o Nosalu. Wyśmienity i staranny rzeźnik. – Wtedy odwrócił się do Stone'a i ciągnął tym samym beztróskim głosem: – Oczywiście tak samo jak ty, mój przyjacielu, tak jak ty. A więc zaszczyć mnie swym towarzystwem, jeśli łaska, i chodźmy gdzieś, gdzie będziemy mogli zająć się naszym więźniem.

Jakby w odpowiedzi, Stone przejechał dłonią po grdyce. Kiedy to zrobił, słońce zniknęło za chmurami, a wiatr zaczął mocniej dąć od morza, łopocząc jego spodniami, aż odchylił się do tyłu, by zrównoważyć napór. Ten przechył ciała, choć niewielki, sprawił, że Natty przyszła do głowy zupełnie niedorzeczna myśl, iż nawet dzika natura w końcu obróciła się przeciwko niej i zaczęła wspierać jej wroga. A teraz zostanie zabrana do Sądu Kubrykowego, gdzie...

Ale nie musiała kończyć tej myśli. Smirke zamiast poprowadzić ją w tę stronę, pognął dziewczynę w kierunku północnej bramy palisady. Stone najwyraźniej zorientował się, co teraz będzie, bo wydał z siebie piskliwy chichot.

Ziemia po tej stronie podwórca była nierówna od starych korzeni drzew, toteż Natty czasami się potykała, a raz nawet musiała łapać równowagę jak ktoś, komu strach odebrał siły. Pożałowała tego, bo nie chciała sprawiać mylnego wrażenia, albowiem jej nastrój nagle się mocno poprawił – tak utrzymuje – i był najlepszy od czasu schwytania w niewolę. Często ją o to pytałem, bo trudno mi wyobrazić sobie przypływ optymizmu w takiej chwili. Odpowiada zawsze tak samo – to, co czuła, to nie był bynajmniej optymizm, ale raczej przeświadczenie o tym, że nie zginie. Nie sądziła, że listowie nagle się rozsunie, ukazując wybawicieli – kapitana i mnie. Nie myślała, że Smirke zmieni zdanie i okaże litość, czy też postanowi jednak zatrzymać ją jako zakładnika – był na to zbyt głupi i próżny. Po prostu nie mogła

uwierzyć, że oto doszła do kresu swej drogi na ziemskim padole łoż. Uzmysłowała jej to wzmianka o tym, że ojcu się udało, że najwyraźniej zdołał przetrwać wszystkie niebezpieczeństwa – dlaczego nie miało to również przypaść jej w udziale?

Natty była niezłomna, a raczej powinienem powiedzieć: niewinna, nawet kiedy zaczęli wspinać się po szlaku, który zieloną szramą otwierał się wśród dużych rododendronów. Tutaj zamiast kontemplować sprawy ostateczne, zaczęła dochodzić do wniosku, iż odwaga może wcale nie być jakimś stanem egzaltacji, ale naturalną i prymitywną chęcią pochodzącą od naszego pragnienia zakończenia życia w taki sam sposób, w jaki chcemy żyć – z godnością. Nie miała wielu lat za sobą, ale zebrała je wszystkie bardzo starannie. Pomyślała, że zszarganie ich jakimś załamaniem byłoby gorsze niż przyznanie bez walki Smirke'owi palmy pierwszeństwa – napiętnowałoby ją w jakiś sposób, upodabiając do niego.

Zanim Natty mogła skończyć te rozmyślenia, łądak nagle zawołał ją po imieniu, śląc w ślad za tym całą litanię jęków i przekleństw. Najwyraźniej w zdjętym zwyrodnieniu obozie zawsze wszystko kręciło się wokół niego, a choć był niegdyś bardzo silnym mężczyzną, z biegiem lat niemal całkowicie opadł z sił. Nawet tak krótki marsz całkowicie go wycieńczył.

– Niech to szlag trafi, żaden ze mnie szcur łądowy! – wydyszał w stronę swych bezużytecznych kopyt zapadających się w ziemię. – Niech szlag trafi tę ziemię. Dajcie mi dobrą łajbę i mocny wiatr, wtedy pozbędę się tego kałduna i całej tej gliny.

Ten wybuch niemal zupełnie wyczerpał Smirke'a. Natty pomyślała, że może będzie mogła się uwolnić – rzucić się w krzaki i uciec. Jednak kiedy poczuła rapier Stone'a na plecach i usłyszała stabilność w jego milczeniu, uzmysłowiła sobie, z jaką łatwością by ją dopadł, powalił i najpewniej pozbawił tej godności, którą tak w sobie celebrowała. Dlatego trzymała się dalej szlaku i szła, starając się zająć umysł rozmyślaniami o tym, z jaką gwałtownością kwiaty wokół nich zaczynają się zamykać, gdy nie dociera do nich bezpośrednie światło słońca, a padające krople deszczu uderzają lekko o liście, jakby ktoś stukał w nie paznokciami.

Po kolejnych kilku minutach wspinaczki pozostawili za sobą pas zieleni i wkroczyli do niewielkiego zagajnika szkockich sosen. Tutaj odczuwało się mocniejsze porywy wiatru, wyginającego szczyty drzew tak, że niektóre szorowały o siebie – choć były miejsca, w których jakby odskakiwały od siebie w przerażeniu, zostawiając otwartą przestrzeń między konarami. Kiedy tylko Natty spostrzegła, gdzie się znalazła, zrozumiała, dokąd Smirke ją prowadzi – do wielkiej szczeliny w ziemi, która biegła niemal od szczytu wzgórza Spyglass. Do wąwozu, który odkryli razem z bosmanem Kirkbym podczas rekonesansu przy palisadzie. Wtedy znajdowaliśmy się blisko brzegu, gdzie głębokość jamy nie przekraczała dwunastu metrów, ale i tak wywołała w nas przerażenie. Tutaj była ponad dwukrotnie głębsza.

– Zatrzymaj się tu, chłopcze – powiedział Smirke, robiąc głęboki wdech po każdym zdaniu. – Tutaj kończy się nasza droga. Ty już dalej nigdzie nie pójdziesz.

Natty odwróciła się i zobaczyła, jak Smirke kuca z dłońmi na kolanach. Stone stał spokojny i wyprostowany, machając swym rapierem niczym wahadłem, którego ostrze lśniło od kropli deszczu.

– Często przyprowadzamy tu naszych przyjaciół – powiedział Stone swym cienkim, piskliwym głosem.

Ponieważ zabrzmiało to zupełnie naturalnie, Natty pomyślała przez chwilę, że przychodzą podziwiać widok rozciągający się za nimi, który w istocie był przepiękny. Palisadę całkowicie skrywały zarośla, przez które niedawno przeszli, a wyspa znów jawiła się rajem na ziemi. Burzowym rajem z pojedynczymi fioletowymi chmurami wzbierającymi na horyzoncie, wspaniałym w lśniącej zieleni roślinności przetykanej gęstym kwieciem. Miał to być jej ostatni widok na ziemi, z którym niczego nie dało się porównać.

Kiedy pozwolił Natty napatrzeć się przez minutę, Stone uściślił:

– Za tobą – powiedział szyderczo. – Widok rozciąga się za tobą.

Na to Natty odwróciła się – i spojrzała wprost w czarną ranę wąwozu przyprawiającą o zawrót głowy. Odrzuciło ją w tył.

– Nie ma cała wstecz – powiedział Smirke, dysząc ciężko i ponownie się prostując. – Już nie do tyłu, mój chłopcze, to nie twój kurs. Jedynie naprzód i w dół, naprzód i w dół. To jest twój kurs.

Natty nic nie odrzekła, z nadzieją, że milczenie będzie jej ostatnią odpowiedzią. Nogi drżały jej tak mocno, że wstrząsały materiałem spodni.

– Ale też – ciągnął Smirke – pewnie zastanawiasz się, dlaczego tutaj? Cóż, powiem ci, mój chłopcze, gdyż najwyraźniej nie masz wszystkich klepek pod czaszką. Sprowadziliśmy cię tu, ponieważ nie chcemy, aby twoi przyjaciele cię odnaleźli. Oczywiście pod warunkiem, że masz jakichś przyjaciół. – Wymienił ze Stone'em spojrzenie okraszone porozumiewawczym uśmiechem, po czym zupełnie niepotrzebnie zaczął wchodzić w szczegóły.

– Gdybyśmy zatrzymali cię razem z naszymi nierobami i tam się z tobą rozprawili, wyglądałoby na to, że... to nasza wina. No bo twoi przyjaciele dowiedzieliby się, że obcieliśmy ci łeb, mam rację? Wykopaliby cię i przyjrzeni się twoim zwłokom. Oczywiście, gdyby byli jacyś twoi przyjaciele. A nawet nie przyjdzie im do głowy, by szukać tutaj, na górze. A nawet jeśli będą szukać, to nie zobaczą. Ty będziesz sobie leżeć głęboko w dole. I nie będziesz przyjmować gości, rozumiesz. Tak właśnie. Nie będziesz przyjmować gości.

Wiatr wiał teraz na tyle mocno, że Smirke musiał podnosić głos, zrzucając z siebie całe brzemie tej zbrodni, co, jak Natty wiedziała, stanowiło ostateczną próbę przestraszenia jej. Ale krzyki bynajmniej nie osuszyły dziwacznej wilgotności jego głosu. Kropelki śliny, cieplejsze niżli deszcz, spadały na kępki jego brody albo też leciały wprost ku jej twarzy.

To zdaje się naprawdę niepojęte, bo w końcu Natty wycierpiała tak wiele zniewag i gróźb, ale ta ostatnia drobna potwarz najwyraźniej przeważała szalę, a w pewnym sensie zaciążyła na jej życiu. Nagle i niespodziewanie nie była już w stanie dłużej znosić ohydy, jaką roztaczał wokół siebie Smirke.

Wystarczyło na dowód tego zrobić dwa kroki – dwa kroki, które zaprowadziły ją na skraj wąwozu, skąd miarowy ciąg chłodnego powietrza wzniosł się z głębiny i owionął jej twarz. Spojrzała na drugą stronę, szacując, czy zdoła przeskoczyć ją i uciec. Ale nie, była za szeroka, a po drugiej stronie rosła zbyt wielka gęstwina sosen, które kołysały się wszystkie na wietrze i potrzasały swymi włosami niczym żałobnicy.

Spojrzała w dół. Dwadzieścia sążni w dół to straszliwie głęboko do miejsca, w którym jasnozielone, oślisze ściany, szare i białe nacieki pozostałe po ptasich gniazdach kończyły się stertą kości na dnie. Na części z nich wciąż wisały strzępy odzienia. W jej głowie pojawiła się myśl – sam świat tu skonał. Tu jest kres wszystkiego. Teraz wiem, jak będzie wyglądało moje ciało, gdy przyjdą tu, szukając mnie. Zapomniane i pozbawione wszelkiego znaczenia.

– Niech was wszystkich szlag trafi – powiedziała, nawet nie patrząc w tył na Smirke'a i Stone'a. – Nie jesteście w stanie mnie skrzywdzić. – Po czym wstąpiła w pustkę.

## Rozdział 23

# Spacer po wodzie

Kiedy Natty była dzieckiem tulącym się do ojca, czasami śniło się jej, że wyskakuje z bocianiego gniazda z widokiem na Londyn i pozwala się unieść prądom wiatru. Te fantazje wróciły do niej podczas pierwszych sekund skoku w głąb wąwozu – ślizg, cisza, poduszka powietrza napierająca na jej piersi. Miała okazję, by przyjrzeć się wszystkiemu w zasięgu jej wzroku z taką dokładnością, jakby patrzyła przez lupę. Zielona narośl pokrywająca skałę, poprzetykana strumyczkami wilgoci. Półki z naskórkiem utworzonym przez ziemię, przytrzymywane karłowatymi krzaczkami. Brudne pióro z ogona gołębia wyrwane przez zakrzywioną gałązkę.

Wtedy cisza się urwała, światło przygasło i jej upadek nie był już szybowaniem, lecz przeistoczył się w kakofonię, stał się uszczelnianiem wyrwy, jakby jakaś niewidzialna siła nakazała jej ciału przeciskać się przez szczelinę w powietrzu, do której nie mogła się wpasować, i w końcu zatraciła poczucie rzeczywistości w nagłym i bolesnym zatrzymaniu.

Opisuję to wszystko zgodnie z relacją Natty, ale pomijam jeden szczegół, ten, który ona też ukryła przed Smirkiem. Gdy łytał za jej plecami, a Stone szturchał ją rapierem, ona patrzyła w głąb wąwozu – mając nadzieję, że dobrze udaje przygotowania do spotkania ze Stwórcą, i jednocześnie opracowywała plan ocalenia. Choć upadek na dno wąwozu z całą pewnością zakończyłby się jej śmiercią, dostrzegła, że kilka sosen, wykorzenionych przez sztormy i ciśniętych w wąską szczelinę, zaklinowało się w poprzek wąwozu. Utworzyły coś na kształt prymitywnej drabiny, po której dałoby się zejść na sam dół, gdyby tylko chwyciło się pierwszego szczebla.

Zamiarem Natty, kiedy wkroczyła w nicość, było rzucić się w kierunku pierwszego szczebla tej naturalnej drabiny – tworzonej przez drzewo ciśnięte tu podczas ostatniego huraganu, co było widać po jego podstawie, wciąż białej i czystej – tkwiącego jakieś dziesięć metrów poniżej. I właśnie to się jej udało. Spadanie, które przed chwilą opisałem, które zdawało się ciągnąć przez minutę, choć w rzeczywistości trwało ledwo mgnienie oka, nie zakończyło się ostatecznym upadkiem w ciemność, lecz lądowaniem w o wiele bardziej przyjaznym półmroku sosnowych gałęzi. Poczwała nagłe zetknięcie z ich korą oraz ukłucia igieł.

Upadek wycisnął powietrze z jej płuc i świadomość z umysłu. Opuściły ją wszystkie zmysły oprócz tych odpowiedzialnych za błyskawiczne ocknięcie się, ponieważ Smirke i Stone najpewniej będą zerkać w dół, by poszukać śladów jej śmierci. Zaczęła prześlizgiwać się między gałęziami, aż zniknęła z pola widzenia, a potem czekała w całkowitej ciszy, dopóki jej prześladowcy stracą zainteresowanie nią.

Kiedy była już pewna, iż powrócili do swej siedziby, odczekała jeszcze trochę przytulona do gałęzi niczym wiewiórka. Obawiała się przede wszystkim jednego – czy sosnowy pień dostatecznie mocno tkwi między dwiema ścianami wąwozu i nie runie w przepaść? – ale najwyraźniej sama waga sosny wystarczająco mocno klinowała ją w szczelinie.

Pocieszenie niósł fakt, że zaczęło się robić coraz ciemniej i coraz mocniej padało, więc wścibskim oczom coraz trudniej byłoby ją wypatrzeć. Wyraźnie słyszała uderzenia gromu, wraz z sykiem pozostałych drzew wciąż porastających krawędź wąwozu.

Natty miała zamiar pozostać w ukryciu do świtu, ale podejrzewała, że Smirke może nagle wrócić, by napawać się triumfem w miejscu jej śmierci, choć bardziej prawdopodobne, że byłby to Stone. Wiedziała, iż musi im umknąć, i odczekawszy dla bezpieczeństwa jeszcze jakiś czas, zmusiła się do

wpełnienia na nagi pień swej żerdzi. Z tej pozycji w półmroku dostrzegła z trudem inne drzewa ułożone niczym szczeble drabiny.

Zeslizgując się bokiem po pniu, osunęła się w dół po raz drugi i znów straciła oddech. Kiedy doszła do siebie ze skołowaną głową, czując ukłucia i zadrapania od igieł, nie chciała się pogodzić z myślą o trzecim oraz czwartym skoku w dół. Pomyślała, że musi być jakiś inny, łagodniejszy sposób na zejście – i zaczęła szukać miejsc oparcia dla stóp w ścianie obok, czegoś, czego mogła się chwycić, jakichś występów, półek i nawisów. Z ich pomocą, przy całej zręczności, jaką była w stanie z siebie wykrzesać, zesłała w chłodniejsze i ciemniejsze głębiny wąwozu. Gdy jej stopy w końcu zetknęły się z podłożem, przez chwilę stała wyprostowana, pozwalając oczom przywyknąć do mroku. Kiedy zarysy głazów i mniejszych skał stały się bardziej wyraziste, a odcienie szarości i czerni oddzieliły się od siebie, poczuła wdzięczność wędrowcy, który napotkał na swej drodze Śmierć, ale zdołał ją odepchnąć na bok.

Było to szczególnie dziwne doznanie, bowiem w rzeczywistości Śmierć teraz dopiero otoczyła ją całym swym majestatem pod postacią kości i czaszek więźniów, zmuszonych podzielić los Natty, choć nie dane im było doświadczyć podobnego szczęścia. Pod jej nerwowym spojrzeniem zdawały się w tym mroku emanować trupią poświatą, jakby posiadały niezemską moc. Niektóre szkielety leżały wśród tych skał tak długo, że zostały oczyszczone do białych kości przez ptaki – a ponadto, co przyszło jej do głowy, obmyte spadającą tu wodą, gdyż leżały w bezładzie, stercząc we wszystkich kierunkach. Jednak jedno czy dwa ciała, włącznie z tym, które ze względu na niewielkie rozmiary musiało należeć do dziecka, były jeszcze nietknięte.

Natty wspomniała mi o tym szczególnie nie dlatego, że była nieczuła, ale by pokazać mi, jak umysł ludzki, szczególnie pod wpływem wstrząsu, wycofuje się, zauważając coś, co mogłoby się wydawać bezduszne w swej szczegółowości, choć jest dokładnie na odwrót. Podczas takiej obserwacji przykłada się wagę do wszystkiego, zwraca się uwagę na każdy szczegół. Jest to temat, który mógłbym rozwinąć, ponieważ niezwykle mnie to zajmuje – ale oprę się pokusie i zamiast tego powiem, że choć Natty nie uroniła łzy nad losem otaczających ją nieszczęśników, dostrzegła ich cierpienie i upewniwszy się, że nigdy tego nie zapomni, odwróciła się od nich.

Gdy ostatni przebłysk dnia zniknął z wąskiego paska nieba nad jej głową, a ściany wąwozu kojąco odbijały odgłosy jej oddechu, lęk Natty przed odkryciem i ponownym wzięciem w niewolę powoli zaczął się rozpląwać. Zastąpiło go coś na kształt snu. Już nie słyszała nad głową odgłosów gromu. Deszcz ledwo do niej dochodził, ochlapując ją sporadycznie swymi drobinami wody. Czasami, z powodu stopniowo gęstniejącej ciemności, wydawało się jej, że zmieniała się w lunaticzkę, dla której już usunięto z drogi wszelkie przeszkody. Czasami myślała, że znajduje się całkowicie poza dobrze znanymi granicami świata. Wiedziała na pewno, że nigdy nie doświadczyła niczego podobnego. Ziemia – która jeszcze niedawno zdawała się całkowicie obojętna – teraz stanęła w jej obronie.

Kiedy Natty powiedziała mi o tym po raz pierwszy, pomyślałem, że to wynik jej niewoli i wygłodzenia, a cudowne uwolnienie w połączeniu z tym wszystkim musiało wytworzyć coś na kształt „halucynacji miłosierdzia”. Ale co, jeśli nawet tak było? Dopóki pozostawała w swojej tajemnej rozpadlinie z duchami więźniów snującymi się po skałach jej śladem, mogła uznać, że jest bezpieczna. A gdy nagle znikąd pojawiła się wielka, biała sowa i poszybowała przed nią przez kilka metrów, wyobraziła sobie, że uwalnia swą duszę z ciała, i poczuła, że nic nie jest jej w stanie przerazić.

Rozumując w ten właśnie sposób, choć być może rozum nie jest tu właściwym odnośnikiem, Natty postanowiła, że nie od razu wróci do przyjaciół na Słowika. Wręcz przeciwnie. Idąc w dalszym ciągu na wschód, równoległe do palisady, podjęła inną decyzję, którą do dzisiaj uznaję za niezwykle zaskakującą, choć uświadomiłem sobie, że musiała wierzyć, iż wyjdzie jej tylko na dobre. Przekonała samą siebie, że jeśli po wyjściu na powierzchnię skreśli do lasu sosnowego i ruszy w stronę statku, prawdopodobnie



natknę się na Stone'a, który zabije ją, kiedy tylko upewni się, że nie jest zjawą. Albo on ją zabije, albo ona sama zgubi się w nawałnicy. Może też natrafić na inne niebezpieczeństwo – takie jak jama, w którą wpadł Scotland, albo jakieś drapieżne zwierzę. Wiedziona rozżaleniem postanowiła, że musi odłożyć powrót do nas, aż sen i światło słońca znów ukażą jej dobrze znany świat.

I tak zrobiła, gdy chłodne powietrze ocieplało się coraz bardziej, a ściany wąwozu w końcu skurczyły się do zera. Pogłos, który był jej kompanem w tej ucieczce, zaczął ustępować odgłosom natarczywie smagającego deszczu i wichru, a Natty nie skręciła w moim kierunku, lecz szła dalej w stronę wybrzeża. Później zaryzykowałem twierdzenie, że mógł ją wieść duch jej ojca, z powodów, które wkrótce staną się wiadome. Nigdy mi nie powiedziała, że jestem w błędzie.

Natty wyłoniła się na północnym wybrzeżu Ostoi Kapitana Kidda, którą rozpoznała, widząc zakrzywienie zatoki po prawej stronie i – po drugiej stronie sylwetki Wyspy Szkieletu – ściany obozu, dachy domów z bali poczerwieniałe od płomieni ogniska, które kazał rozpaść Smirke, wiodąc ją na śmierć. Jadowita poświata ognia i skaczące cienie, jakie rzucał, wystarczyły, by wiedziała, że patrząc przez lunetę, dostrzegłaby te same barbarzyńskie sceny, jakie widzieliśmy wcześniej z kapitanem. Nie miała wątpliwości, że tu i tam rozstawiono kilku strażników jako zaporę dla „nowo przybyłych” na wyspę.

Na tę myśl przykucnęła, aby skryć się przed snopami księżycowej poświaty, które mogły spaść zniecka spomiędzy chmur, i zaczęła podkradać się po łuku wybrzeża zatoki. Dopiero kiedy dotarła do kolejnej kryjówki, wyprostowała się i rozejrzała, dokładnie szacując swoją pozycję. Drzewa, za którymi się skryła, okazały się dorodnymi dębami, wypaczonymi przez morski wiatr. Ich liście były szorstkie w tej ciemności i połyskiwały w deszczu niczym okruchy jadeitu.

W tak bezpiecznej odległości dzielącej ją od obozu Natty znów poczuła pokusę, by położyć się i odpocząć przez chwilę, wiedząc, że od razu dostrzeże, gdy ktoś zacznie się zbliżać w jej stronę. Ale podobnie jak wcześniej, instynkt nakazał jej iść dalej, aż wyszła zza drzew i stanęła na bardziej rozmięklej ziemi. Dotarła do poletek ryżowych, które, jak spostrzegła, rosły niezwykle równo, karmione wodą ze strumieni spływających ze Wzgórza Lunety.

Natty zrozumiała, że kiedy rano wyruszali z obozu, Scotland i jego ludzie musieli zostać sprowadzeni właśnie tutaj. Schludne rządki roślin były dziełem ich rąk i umysłów. Sama myśl o tej niezwyklej staranności w obliczu zagrożenia tak wielkim okrucieństwem zmusiła ją do zatrzymania się i zakrycia twarzy dłońmi – uzmysłowiła sobie jednak, że jej sylwetka musi być wyraźnie widoczna na tle otwartego morza i że lepiej byłoby, gdyby się znów skryła.

Odgłosy dudniące jej w głowie nie były teraz wyłącznie dziełem wiatru i deszczu, lecz również samego morza, które składało się u brzegu w białych grzywaczach wzdłuż półksiężyca zatoki. Kiedy Natty zatrzymała się, by posłuchać, odkryła, że przepełnia ją coś na kształt czci. Nasylenie tego odgłosu oraz dziwna wewnętrzna światłość fal i powtarzalność ich spiętrzania się wywołały u niej przymus padnięcia na kolana i podziękowania Stwórcy. Podziękowania za skuteczną ucieczkę przed Śmiercią i za świat, którym On dał się jej wciąż radować. Ale kiedy to uczucie w niej wezbrało, zrozumiała też, że nie jest to odpowiednia chwila na takie refleksje, i w pośpiechu ruszyła dalej.

Po kolejnych stu krokach znów się zatrzymała, gwałtownie wyczuwając, że odnalazła to, czego szukała, chociaż aż do tej chwili nie wiedziała, cóż to takiego. Był to początek piaskowej łachy biegnącej w płytkiej wodzie wprost na otwarte morze, w większości zakrytej przez przypływ – ale na krawędzi widzialności, tam, gdzie spodziewała się dostrzec jedynie fale pieniające się w ciemności, rozciągał się niespodziewanie ciemny skrawek lądu porośnięty paprociami. Była to Biała Skała – ta sama, którą pierwszy zobaczyłem z pokładu Słowika.

Natty weszła do wody, gdzie, jak sądziła, ciągnęła się lekko zanurzona łacha piasku, i poczuła pod stopami jej twardą i sztywną powierzchnię. Przypomniła jej Mojżesz przechodzący przez Morze Czerwone i sam Jezus Chrystus sunący po Morzu Galilejskim – ale takie myśli bardzo szybko zostały zmyte przez napierające fale. Po minucie chwyciła już długie pędy paproci zwieszające się ze Skały. Później musiała się podciągnąć po ścianie i balansować na krawędzi wśród kołyszących się wokół liści paproci i innych roślin.

Na tyle, na ile mogła oszacować, wysepka miała kilka metrów średnicy i była pusta w środku, niczym gardziel miniaturowego wulkanu. Ale o ile prawdziwy wulkan miałby krater równie jałowy jak wąwóz, z którego właśnie wyszła, stok na wysepce miał gąbczastą konsystencję, ponieważ pokrywał go kobierzec z martwych liści. Kiedy Natty weszła między nie, zdawały się ją czule obejmować, gładząc po twarzy swymi długimi palcami, które pachniały przepysznie zbutwiałym drewnem i prowadziły ją w dół do środka tego gniazda. Tutaj odgłosy sztormu były w cudowny sposób wytłumione, a deszcz zmienił się w wolno spadającą rosę. Natty nie mogła już dłużej opierać się zmęczeniu, musiała się wyciągnąć i zasnąć. Kiedy to zrobiła, misterna mozaika liści zamknęła się nad jej głową, całkowicie odgradzając ją od sztormu.

Część V

KTO SIEJE WIATR...

## Rozdział 24

# Plan kapitana

Pozostawię teraz Natty w jej gnieździe i powrócę do mojej opowieści – którą muszę rozpocząć od opisu tego, co robiłem podczas jej nieobecności. Był to czas pełen goryczy, bo prześladowały mnie lęki o jej bezpieczeństwo, ale nie mogłem kulić się przed światem i trapić się w samotności. Wręcz przeciwnie, byłem świadkiem wydarzeń, których nie mogłem uniknąć ani też nie potrafię do tej pory zapomnieć.

Ptaki w ujściu rzeki zaczęły skrzeczeć i ćwierkać wraz ze wschodem słońca. Ja jednak, kiedy tylko przechyliłem się w koi i spostrzegłem gładką poduszkę na miejscu pode mną, wiedziałem, że Natty tu nie ma. Cisza w kajucie była zbyt dojmująca. Pierwsze, co sobie pomyślałem – zasnęła na pokładzie, gdzie, jak wiedziałem, została ze Scotlandem. Ale kiedy naciągnąłem dzienną koszulę i wspiąłem się na górę, nie znalazłem niczego poza śladami stóp w kroplach rosy, które pokrywały ich powierzchnię tak gęsto, jak warstwa farby. Dzięki temu wyśledziłem, że krążyli przez chwilę po pokładzie, a potem poszli w stronę burty Słowika najbliżej lądu, gdzie zniknęli. Kiedy zwołałem Stevensona, by zapytać, czy ich nie widział, odpowiedź mogłem z góry przewidzieć, widząc, jak ziewa.

– Nie – odparł i wiedziałem, że przespał smacznie kilka godzin. Obrzuciłem go złym słowem i zacząłem wzrokiem przeczesywać zarośla, które światło słoneczne właśnie podgrzewało do żywych żółci i zieleni. Już się właściwie pogodziłem z myślą, że ich nie odnajdę. Zniknęli.

Zniknęli, ale gdzie? Gdybym na pokładzie odkrył jeszcze czyjeś ślady, pomyślałbym, że któryś z piratów zza palisady ich porwał – a może jakiś inny mieszkaniec wyspy, o którym do tej pory niczego nie wiedzieliśmy. Ale nie było dowodów na takie porwanie. Nie widziałem śladu żadnego intruza ani oznak walki. Natty opuściła Słowika z wyboru – chyba że Scotland nagle zmienił się z wdzięcznego przyjaciela we wroga. Zdawało się to tak niedorzeczne, że nawet się nad tym głębiej nie zastanawiałem.

Ale jeśli odeszła z własnej woli, co planowała zrobić? Zbadać wyspę? Przecież nie po ciemku. Uciec ze Scotlandem? Niemożliwe. Choć wiedziałem, że zakwitło między nimi uczucie, to przecież nie tego rodzaju. W takim razie, uznałem, zapewne opracowali jakiś plan i myśleli, że będzie korzystny dla wszystkich. Wydawało się to prawdopodobne – i mówiąc oględnie, dość pochopne.

Powtarzałem sobie, że to tylko kwestia czasu, kiedy wyłonią się z zarośli i znów wszystko będzie dobrze. Ale kiedy kapitan Beamish wyszedł na pokład, bardzo szybko rozwiął te nadzieje. Nawet nie chciało mu się zrugać Stevensona za to, że nie zauważył ich zniknięcia, po prostu zwołał go z bocianiego gniazda, powiedział mu, żeby poszedł coś przekąsić, po czym z nieszczęśliwą miną pogodził się z tym, że Natty uciekła ze statku wiedziona jakąś szaloną myślą.

– Jest nieodrodną córką swego ojca – szepnął do mnie, co wzięłem za oznakę zaufania, jakim mnie darzył.

Pocieszyło mnie to, podobnie jak podniosło na duchu pojawienie się na pokładzie reszty załogi. W świetle poranka wyglądali jak banda oberwańców w pomiętych ubraniach i ze zmierzwionymi włosami – wszyscy przecierali oczy i wgryzali się w jabłka zabrane z beczki pana Allana. Ależ to byli dobrzy kompani. Dzień wcześniej ryzykowali życiem dla dobra ogółu i nie zapomnieli o powinnościach względem siebie. Jednocześnie pomyślałem, że nie stanowiliby żadnego zagrożenia dla piratów. Byli to mężczyźni już niemłodzi, a do tego żeglarze, nie wojownicy. Jeśli nie uda nam się zyskać znacznej przewagi, pewniejsze było, że zakończą swój żywot na Wyspie Skarbów, niż wypłyną z niej, zabierając ze sobą majątek.

Było jasne, że kiedy kapitan zakończył naszą rozmowę poprzedniego wieczoru, wciąż rozważał rozmaite możliwości działania. Mogliśmy negocjować ze Smirkiem i jego ludźmi. Mogliśmy ich też zaatakować. Teraz najwyraźniej nie mieliśmy wyjścia – Nat jest w niebezpieczeństwie, oznajmił, i trzeba go ratować.

Decyzja ta wywołała entuzjazm załogi, choć kiedy zobaczyłem, jak klepią się po plecach, dostrzegłem, że są bardziej zainteresowani dodawaniem sobie otuchy niż pokazywaniem, jak ciepło przyjęli decyzję swego dowódcy.

– Bosmanie Kirkby – powiedział kapitan, a rumor gwałtownie ucichł, co tylko potwierdzało, iż ich entuzjazm nie był całkiem szczery.

Bosman wyszedł przed wszystkich, rozprostował brodę dłonią i stanął na baczność na tyle, na ile potrafił. Miał czapkę zsuniętą do tyłu i widziałem białą linię na jego czole, gdzie słońce jeszcze nie dotarło.

– Tak, panie kapitanie.

– Bosmanie Kirkby, chcę, żeby posłuchał pan, co mam do zakomunikowania, i powiedział mi, czy się na to zgadza. To nie jest dobry moment na jakiegokolwiek wątpliwości.

Pomyślałem, że to mądre posunięcie ze strony kapitana, ponieważ dawało pozory demokracji temu, co w rzeczywistości było rozkazem.

– Chcę, by pan przyznał – ciągnął kapitan – że według wszelkich znaków na niebie i na ziemi panicz Nat wpadł w ręce naszych wrogów wraz z panem Scotlandem.

– Według wszelkich znaków na niebie i na ziemi, kapitanie – przyznał bosman Kirkby. Zdawał się dość zaskoczony, że potrafi powtórzyć takie kwieciste zwroty.

– Chcę, żeby pan przyznał, iż choć nie znamy warunków, w jakich są przetrzymywani, możemy założyć, że są w niebezpieczeństwie.

– Najpewniej są w niebezpieczeństwie, kapitanie.

– Chcę, żeby pan przyznał, że powinniśmy złożyć wizytę za palisadą w celu uratowania panicza Nata, a jeśli zajdzie taka konieczność, nawet przy użyciu siły.

Bosman Kirkby, który mocno poczerwieniał na twarzy od wysiłku tak długiego stania na baczność, odpowiedział na to z żarliwym zapałem:

– Przy użyciu siły, kapitanie.

– Chcę, żeby pan przyznał, że nawet jeśli panicz Nat nie jest w istocie więźniem za palisadą, powinniśmy spełnić tam inne powinności.

– Inne powinności, kapitanie – potwierdził bosman Kirkby już z mniejszym przekonaniem, jakby nie pojmował dokładnie tego, co usłyszał. Kapitan najwyraźniej zrozumiał, że bosman nie rozumie, i przerwał swą tyradę.

– Rozumiem przez to, co następuje – powiedział – sądy może i jeszcze nie zlikwidowały straszliwego handlu niewolnikami, ale z całą pewnością to zrobią i wkrótce możemy spodziewać się takiej decyzji.

Bosman Kirkby pokraśniał znacznie teraz, kiedy złapał wiatr w żagle.

– Z wielką pewnością, kapitanie.

– Mówiąc precyzyjniej – ciągnął kapitan – chcę, abyście zgodzili się w ramach tych innych powinności uwolnić pana Scotlanda i jego przyjaciół i stawić czoła naszym wrogom, jeśli będą próbowali nam przeszkodzić.

– Będziemy stawiać czoła bardzo stanowczo, kapitanie.

– A kiedy uda się nam osiągnąć ten pierwszy cel, wznowimy nasze poszukiwania srebra, w asyście pana Scotlanda.

– Bardzo pożądaney asyście, jestem tego pewien. – Powiedziawszy to, bosman Kirkby spojrział w niebo z bardzo radosną miną.

– I chcę, by pan potwierdził, że zostanie to wykonane tak szybko, jak tylko się da – mówił dalej kapitan.

– Jak się da – potwierdził bosman, opuszczając wzrok z nieboskłonu i patrząc teraz kapitanowi prosto w oczy.

– Ale nie w zbytnim pośpiechu, by nie narażać się na niepotrzebne ryzyko.

Przez oblicze bosmana znów przemknęła chmura konsternacji i ramiona mu oklapły. Był to znak, że ich konwersacja weszła na nowe tory. Od tej chwili, jak to rozumiałem, kapitan próbował podbudować nasze morale, przedstawiając wszystkie trudności w taki sposób, że jednym zdaniem usunął wszelkie elementy komiczne z tej rozmowy. Od tego momentu obowiązywały jedynie rozsądek i powaga. Zmiana ta musiała wpłynąć na ogólną atmosferę na Słowiku, bo Kleks, który w milczeniu przysłuchiwał się tej rozmowie, nagle przypomniał sobie, że tęskni za swoją panią, i zaczął wykrzykiwać:

– Zabierz mnie do domu! Zabierz mnie do domu!

Kapitan nawet nie spojrział w jego stronę, lecz przyciągnął nas bliżej i przypomniał, czego dowiedzieliśmy się wczoraj od Scotlanda. Oprócz Smirke'a, Stone'a i Jinksa byli też strażnicy ocaleni z wraku Achilleasa, w sumie pechowa trzynastka. Choć Scotlandowi wydawało się, że nie posiadają za wiele broni palnej i prochu, z całą pewnością mieli niewielką ilość w żelaznej rezerwie – a to w połączeniu z ich fortyfikacją, znajomością wyspy i bronią wykopaną z ziemi mogło dać im znaczną przewagę.

Kapitan nie chciał przyznać, jak wygląda nasza sytuacja, ale wystarczyło rozejrzeć się po pokładzie i popatrzeć choćby na bezużyteczne działko, do którego nie mieliśmy amunicji, by wszystko stało się jasne. Liczebnie dorównywaliśmy piratom, ale załogę stanowili marynarze (i chłopak), którzy nigdy nie nosili broni, a i niewiele w nich było zapału do walki. Mieliśmy skromne uzbrojenie. Nasza wiedza na temat wyspy była szczątkowa. Zabrakło elementu zaskoczenia, który mógł zadziałać na naszą korzyść, zanim Natty wyruszyła ku swej przystani.

Kiedy kapitan poprosił, byśmy się nad tym zastanowili, zapadła cisza – przerywana przez stworzenia, które toczyły swe życie wokół nas. Wiatr niósł ich ćwierkania i skrzeczenia po powierzchni rzeki, która wciskała się do morza. Ale kiedy spojrziałem po twarzach moich towarzyszy, nie znalazłem w nich ani odrobiny wahania czy niepewności, jedynie mocne postanowienie.

Żałowałem, że nie było z nami mojego ojca czy pana Silvera, by mogli to zobaczyć. Wydarzenia, które miały za chwilę nastąpić przypominały te z ich opowieści, a jednocześnie były całkowicie odmienne. Plan kapitana rzucał nowe wyzwanie powszechnej szczęśliwości stającej do walki z brutalną pozostałością starego świata, który wciąż utrzymywał się na wyspie.

Nie żeby kapitan Beamish przyznał się do tego przed sobą – to wyłącznie moja koncepcja. Gdy mówił dalej, wydawał się niezwykle rzeczowy. Głupotą byłoby, jak twierdził, zbliżanie się do palisady za dnia, kiedy piraci mogą bardzo szybko się zorganizować w obliczu naszego ataku, a więźniowie najpewniej by się rozpierchli. Lepiej całą sprawę sensownie opóźnić i zjawić się tam o brzasku.

„Kto pójdzie?” stało się najbardziej aktualnym pytaniem, a najgłośniej krzyczeli ci, którzy proponowali, byśmy ruszyli wszyscy. Jednak kapitan znów nas przywołał do porządku. Zamiast wykonywać pochopne ruchy, powiedział, powinniśmy podzielić się na dwie grupy – jedna ruszy w ekspedycji (jak to nazywał), a druga będzie strzegła Słowika, po czym wypłynie z zatoczki i cofnie się wzdłuż brzegu w stronę Ostoi, skąd powinna zabrać więźniów po uwolnieniu. Powiedział to z taką lekkością i tak szybko, że brzmiało niczym oczywista sprawa, a nie zadanie najeżone niebezpieczeństwami. Dodał, że pan Lawson zostanie na pokładzie z pięcioma innymi żeglarzami – tyłu

potrzebował do sterowania okrętem. Pozostali mieli przejść wyspę pod jego dowództwem. Kiedy tylko to powiedział, spojrział wprost na mnie i już wiedziałem, że idę wraz z nim. Niczego więcej nie pragnąłem.

Kiedy ustalono to wszystko i zaczęto dodawać dalsze szczegóły do całego planu przy śniadaniu, paleniu fajek, zwijaniu lin, sprawdzaniu żagli, zorientowałem się, że minęła nam większość poranka. Jednak pozostałe próżniacze godziny tego dnia ciągnęły się w nieskończoność.

W czasie beczynności trudno było nie wracać wciąż myślami do Natty. Raz wyobrażałem ją sobie bezpieczną w jakimś zakątku wyspy – śpiącą, nieświadomą naszych zmartwień. Po chwili widziałem ją w kajdanach, zdjętą grozą, której w ogóle nie byłem sobie w stanie przedstawić. W innym przypadku – i we wszystkich wariantach – widziałem ją, jak leży gdzieś ranna, pożerana przez dzikie zwierzęta albo zagubiona; myśląc o tym, odczuwałem wielki przyływ melancholii. Kiedy załoga zajmowała się ustawianiem i przestawianiem sprzętu na pokładzie, pan Stevenson powrócił na swoje miejsce w bocianim gnieździe, skąd miał baczenie na zatoczkę, a pan Allan zamknął się w kuchni, by przyrządzić rybę, którą wyciągnął z rzeki na kolację. Ja poszedłem na dziób Słowika, wspiąłem się na bukszpryt i usiadłem tak, że nogi zwisały mi po obu stronach. Wpatrywałem się w dal, jakbyśmy wpływali w dżunglę, a jej zarośla rozsuwały się równie łatwo jak morska toń.

Miałem ochotę zalec tam na dłużej, marząc i odpływając na falach wyobraźni, bo przywykłem do swego towarzystwa i nauczyłem się czerpać z niego radość. Ale kapitan miał inne plany wobec mnie – plany, które mogło sprowokować współczucie czy też jego własny niepokój. Wywołał mnie z mojej żerdzi, mówiąc, że potrzebuje pomocy przy zadaniu, które musi wykonać. Dodał też, że obejrzymy różne obszary wyspy i odkryjemy to, co dobry Bóg dał nam ku radości.

Wyglądało to na przywilej udzielony mi ze względu na młody wiek i stanowiło kolejny dowód jego uprzejmości – przez co chcę powiedzieć, że rozumiałem, iż kapitan proponując mi taką eskapadę, musiał mieć dobry, bezinteresowny powód, lecz był również zdecydowany odwrócić moją uwagę od czekających nas dramatycznych wydarzeń. Nie wahałem się. Wypełzłem ze swej kryjówki i podszedłem wprost do niego. Trzymał w dłoniach dwa małe kosze wiklinowe, każdy przykryty wąskim wieczkiem czy też pokrywką, i dwa długie drewniane kije rozwidlone na końcu. Podał mi kij i koszyk.

– Chodź, mój chłopcze – powiedział z błyskiem w oku. – Przed nami ważne zadanie.

## Rozdział 25

# Uratowany!

Kiedy ogłosiliśmy już nasze zejście ze statku i gdy kapitan zostawił dowództwo nad Słowikiem bosmanowi Kirkby'emu, podpłynęliśmy szalupą do brzegu i błyskawicznie zniknęliśmy w zaroślach. Przez chwilę widzieliśmy tylko to, co znajdowało się w odległości kilkunastu centymetrów od naszych twarzy, i baliśmy się, że w tej gęstwinie możemy zgubić kosze i kije – ale udało mi się zachować poczucie kierunku. Ustawiliśmy kurs na północny zachód, czyli drogę, którą kapitan pokonał wczoraj, szukając ukrytego srebra.

Wkrótce dotarliśmy do tego samego lasu sosnowego, który pokrywał środkową część wyspy, tylko że drzewa były tu mniejsze, a częstokroć powyginane w fantazyjne formy przez wiatr. Obszar ten mógłby się wydawać mocno przetrzebiony, gdyby nie to, że nieszczelny parasol z koron drzew przepuszczał więcej światła słonecznego, które sprzyjało rozwojowi niezwykle bogactwa kwiatów. Niektóre z nich rozpoznałem – rosły tu na przykład długie pasma powoju, dostrzegłem też kępy wiciokrzewów i kącicierniu. Wiele gatunków jednak było mi całkowicie nieznanymi.

Co jakiś czas zatrzymywałem się, by zabrać jakiś okaz, myśląc, że kapitan dał mi koszyk właśnie w tym celu. Kiedy powiedział, żebym go nie zapełniał do końca, uświadomiłem sobie, że miał na myśli innego rodzaju ładunek, i byłem zaskoczony, słysząc, co to takiego. Zaskoczony, lecz wciąż zaabsorbowany przyjemnością odnajdywania nowych gatunków i radośnie głuchy na oczekujące mnie niebezpieczeństwa. Nie odezwałem się ani słowem i kontynuowałem moje przyrodnicze peregrynacje. Szczególną przyjemność sprawiło mi odkrycie nowego gatunku lilii (lilie zawsze były moim ulubionym kwiatem). Roślina miała delikatny kwiat o kształcie wydętej buzi niemowlaka, ale płatki były ozdobione czarno-żółtymi pasami niczym odwłok osy. Biorąc kwiat w posiadanie, nazwałem go „Lilią Hawkinsa”.

Ponieważ przez ten ogród nie prowadziła żadna wytyczona ścieżka, zaczęliśmy tratować te cuda z każdym krokiem. Było to poruszające, ale męki trwały krótko – natura nigdy nie szasta swymi darami. Po kilkuset metrach grunt znów był całkowicie jałowy, usiany ciężkimi głazami, w których wiatr wyrzeźbił dużą ilość sporych dziur. Tutaj jednak czekały na nas inne widoki, przy których mogliśmy się zatrzymać i zadziwić. Najwspanialszym z nich był pulchny ptaszek dwukrotnie większy od angielskiego fulmara, który uznał, że owe dziury są bardzo wygodnym miejscem do wylęgu.

Ptaki milczały, dopóki byliśmy niewidoczni, ale po chwili zaczęły nas głośno oskarżać, że przyszliliśmy tu, by je zamordować. Kilka wyskoczyło z kamieni na ziemię i zaatakowało nas odważnie niczym żołnierze. Podbiegały na krótkich łapach (o jasnozielonej barwie) i dziobały nasze kolana i dłonie. Ponieważ byliśmy zajęci obroną, nie mogliśmy się im uważnie przyjrzeć – widzieliśmy jedynie barwę łap oraz to, że dorosłe osobniki pokrywało połyskliwe upierzenie o barwie skorupy żółwia. Stwierdziliśmy też, że pozorna agresja tego ptaka jest prawdziwym ewenementem na wyspie. W duchu pomyślałem sobie, że choć ich wściekłość jest nie do przyjęcia, pokazała, iż posiadają lepiej rozwinięty instynkt samozachowawczy niż jakiegokolwiek inne stworzenia.

Po naszej prawej stronie, gdzie ta kolonia ciągnęła się pod górę zakończoną północnymi klifami wyspy, zobaczyłem kilka ptaków, które dreptały w stronę urwiska, a następnie rzucały się z niego. Zrozumiałem, że tylko tak mogą się wznieść w powietrze – i pojąłem, że za chwilę zostaniemy zaatakowani nie tylko z ziemi, ale i z powietrza. Kiedy wspomniałem o tym kapitanowi, zrobiliśmy



błyskawiczny odwrót, obierając kurs na południowy zachód – i zostawiliśmy w tyle ptaki z ich zapalczywymi humorami.

Znów skierowaliśmy się między kwiaty, a po chwili ponownie wybraliśmy szlak biegnący bardziej na zachód, okrążając terytorium ptaków i kierując się wprost do miejsca, które kapitan już wcześniej odwiedził. Gleba była tu piaszczysta, przemieszana z żółtawą gliną. Ponieważ obszar ten był chroniony przed morskimi wiatrami, tutejsze sosny rosły prosto, osiągając właściwą wysokość. To miejsce, w którym ukryto srebro.

– Schowali tu mniejszą część skarbu – powiedział kapitan, gdy się zbliżyliśmy. – Przynajmniej mniejszą niż reszta.

Zapytałem, skąd ta pewność.

– Ojciec ci nie mówił? – odparł i pozwolił mojemu pytaniu zawisnąć na chwilę w próżni. Choć poprzednio wymienił ze mną ledwo kilka zdań na temat mego ojca, doskonale znał moje pochodzenie i wiedział, jak wszedłem w posiadanie mapy. Pod tym względem podchodził do mnie z takim samym taktem, jaki okazywał Natty przez całą naszą podróż – aby oszczędzić nam ustawicznych porównań z naszymi rodzicami. Gdy przerwał milczenie, gdy mój ojciec został przywołany otwarcie, nagle poczułem niezwykle poruszenie. Nie byłem w stanie odpowiedzieć mu od razu.

– Kiedy znaleźli tamten drugi skarb... – ciągnął kapitan. – To znaczy, kiedy twój ojciec odnalazł tamten skarb, który Ben Gunn odkrył przed nimi i przeniósł do swojej jaskini, odnaleźli również... – głos mu się załamał, po czym pospiesznie dopowiedział: – Wskazówkę kapitana Flinta.

Już odzyskałem równowagę.

– Ojciec mi coś mówił – odparłem. – Ma pan na myśli wskazówkę pod postacią trupa leżącego na ziemi, ułożonego jak strzałka wskazująca kierunek.

– Właśnie o tym mówię – odparł kapitan z uśmiechem. – Stary Flint nie zostawił takich wskazówek przy srebrze, a to pokazuje, co myślał na ten temat.

– A może dlatego, że bardzo je sobie cenił.

– Możesz jaśniej?

– Może nie chciał zostawiać żadnych śladów wskazujących na jego istnienie – powiedziałem. – Będziemy wiedzieli, co na ten temat sądzić, kiedy je zobaczymy, gdy ujrzymy je na własne oczy.

Kapitan klepnął mnie po plecach.

– W samo sedno – rzucił radośnie. – Będziemy wiedzieć, jak zobaczymy, nie wcześniej.

Potem znów zamilkł i na jego twarzy pojawiło się coś na kształt psotnego uśmiechu.

– A na razie – ciągnął – proszę cię, żebyś zastanowił się nad jedną sprawą: jak myślisz, jaką dziurę trzeba by wykopać w ziemi, żeby zakopać całe to srebro? O jakiej objętości mówimy?

Nie od razu zrozumiałem pytanie kapitana – i odwróciłem się od niego. Dotarliśmy do krańca najwyższego zbocza wzgórza, na którym żółtą glebę pokrywał czarny kurz bardziej przypominający popiół niż ziemię. Ten kurz zebrał się w szerokim, płytkim kraterze poprzetykanym ciągiem niewielkich zagłębień ze stojącą wodą o opalizującej, brudnej powierzchni.

Pomyślałem, że jest to efekt obecności minerałów pod ziemią. Może i te barwy sprawiały radosne wrażenie, ponieważ wydawały się wyraziste niczym kolory na pawich piórach, ale ogólne wrażenie było zupełnie inne. Poblask okazał się odrażająco jaskrawy w przyprawiającym o mdłości kontraście z ziemią wokół.

– Stąpaj ostrożnie – powiedział kapitan, zaciskając mocniej dłoń na rozwidlonym kijku i dźgając nim ziemię przed zrobieniem kolejnego kroku. – Już jesteśmy blisko.

– Tutaj? – zapytałem zdezorientowany.

– Nie dokładnie tutaj – odparł bardzo czujny. – Idź za mną, a zobaczysz. Ominęliśmy ten obszar, gdy przyszedliśmy tu ostatnio, a teraz musimy tu wejść. Bądź ostrożny!

Zrobiłem, co mi kazano, i ruszyłem po śladach kapitana, aż weszliśmy w obszar krateru. Za każdym razem gdy moja stopa dotykała ziemi, wzniewała tuman czarnego kurzu, który osiadał mi na butach i kostkach, a unosił się w powietrzu z taką łatwością, że nawet wwiercał mi się do nosa. Łzy wezbrały mi w oczach i zacząłem oddychać bardzo płytko, by to paskudztwo nie dostało mi się do płuc.

Kiedy kapitan zatrzymał się chwilę później i przykucnął, by postawić koszyk obok siebie na ziemi, pomyślałem najpierw: dotarliśmy do miejsca ukrycia skarbu. Potem, patrząc, jak unosi kij niczym dzidę, celując rozwidloną końcówką w ziemię, zrozumiałem, że nie ma to nic wspólnego ze srebrem. Staliśmy w miejscu, o którym wspominał Scotland; miejscu pełnym węży mieszkających wśród tego pyłu na wyspie. To od ich ukąszenia zmarł jego przyjaciel. Kapitan postanowił je złapać. Dlatego właśnie zabrał koszyki. Mieliśmy złapać węże i zabrać je ze sobą na Słowika.

Myśli te bardzo gwałtownie wpełzły pod mą czaszkę, wywołując dezorientację i zdenerwowanie. Zaczerpnąłem powietrza w płuca i przełknąłem ślinę. Przypomniały mi się mokradła w domu, gdzie podkładałem się, by podpatrzeć te niczego niepodejrzewające stworzenia, nie lękając się o życie. Dlaczego teraz nie jestem taki odważny? To pytanie uspokoiło mnie na tyle, że mogłem zerknąć kapitanowi przez ramię i przyglądać się, jak sobie radzi.

Wąż leżący przed nim miał mniej więcej trzydzieści centymetrów długości i był szary jak pokrywający go pył. Rozwidlenie kija przyszpiliło go do ziemi, a smukłe ciało rzucało się wściekle na prawo i lewo. Do tego wydawał straszliwy syk, niczym czajnik z wrzącą wodą. Poruszając się niezwykle ostrożnie, kapitan nachylił się i chwycił węża za głowę kciukiem i palcem wskazującym, po czym uniósł go z ziemi – na co zwierzę przestało syczeć i zwisało teraz oklapłe niczym wstążka. Kapitan szybko włożył gada do koszyka i pospiesznie zamknął wieczko.

– Jeden siedzi! – powiedział do mnie, a raczej krzyknął. Miał twarz mokrą od potu. – A teraz ty.

Gdybym miał chwilę na zastanowienie się, poprosiłbym, żeby pokazał mi to raz jeszcze. Ale kiedy otworzyłem usta, by to powiedzieć, zauważyłem drugiego, nieco mniejszego, wijącego się na wyciągnięcie ręki ode mnie węża, którego połyskliwy język już wysuwał się z paszczy, jakby perspektywa ukąszenia mojej nogi była niezwykle kusząca. Nie zwlekając, rzuciłem się na bestię z moim kijem – co wzniewało kolejny tuman kurzu – i okazało się, że uwięziłem stworzenie tak, jak chciałem, więc mogłem unieść je w taki sam sposób, w jaki przed chwilą zrobił to kapitan. Jego skóra w dotyku była całkowicie chłodna i jakby bez życia, niczym łój ze świecy, która nie paliła się już od dawna.

Ponieważ złapaliśmy pierwsze dwa węże bardzo szybko, stwierdziliśmy, że to nad wyraz łatwe zadanie – i wyruszyliśmy na dalsze poszukiwania. Znaleźliśmy dziesięć, może trochę więcej tych stworzeń, które wylądowały w naszych koszykach, gdzie leżały zwinięte obok siebie, zupełnie się nie awanturując.

– Nasze zabezpieczenie – powiedział kapitan po skończonej pracy. – Nasza broń, że tak powiem. – Pokiwałem głową, by wiedział, że rozumiem, co miał na myśli, i nie musi mi dalej nic wyjaśniać. Mieliśmy użyć węży jako broni, ponieważ zasoby broni palnej na Słowiku były mocno ograniczone. Bardzo mnie to podniosło na duchu, bo rodzime duchy wyspy miały zwrócić się przeciwko ludziom, którzy ją splugawili.

Znów wyruszyliśmy na północny zachód i w kilka minut znaleźliśmy się na zboczu niewielkiej, kruchej grani, która wyglądała bardzo niepozornie. Okazało się jednak, że jest początkiem długiego pasma biegnącego w kierunku północno-zachodnim wzdłuż brzegu wyspy. Teren był tu równie bogaty w roślinność, co w angielskim parku, gdzieniegdzie naznaczony sosnami i dębami. Dwie szczególnie

wysokie sosny rosły na wprost nas, niczym wyrazisty znak orientacyjny w terenie – więc przynajmniej pod tym względem widok rozrytej i rozkopanej ziemi nie był wielkim zaskoczeniem.

– To tutaj odkryliśmy naszą stratę – powiedział kapitan grobowym głosem. Poczulem taką determinację, aby powstrzymać się od komentarza na widok tej profanacji, że nie odpowiedziałem od razu. Tak czy inaczej, posługując się dziwną jednostką miary, o której wspomniał przed chwilą, gdy powiedział o objętości ziemi, obliczyłem, że ta wyrwa musiała być przedtem sporo warta. Nie był to jednak schowek zawierający skarb o wartości aż 700 tysięcy funtów, który mój ojciec wraz z innymi zabrał już z wyspy. Ale dziura mogła zawierać kruszec o połowie wartości tamtego skarbu, co stanowiłoby naprawdę olbrzymią kwotę do podziału między nas wszystkich.

Staliśmy w milczeniu, ze zwieszonymi głowami na widok tej porażki, ale też, jak podejrzewam, z poczuciem winy, gdyż wrażenie, że ktoś pokrzyżował nam plany, odbiło się na naszym sumieniu i zdaliśmy sobie sprawę z własnej zachłanności. Jednak po chwili odkryłem, że moja uwaga nie skupia się na tym, na czym powinna – śledziłem bowiem serię irytujących, szybko powtarzanych cmoknięć, które dochodziły z jednej z rosnących nieopodal sosen. Rozpoznałem dźwięk wydawany przez wiewiórkę broniącą swego terytorium, a kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem dwie pary ślepi przyglądających się nam z wielkiej kuli gałązek i mchu. Najwyraźniej było to gniazdo z młodymi, których rodzice tak pilnie strzegli – i dlatego właśnie zaczęli pohukiwać, chcąc nam przekazać, że nie jesteśmy mile widziani w tej części ich parafii.

Ten widok sprawił, że zapragnęliśmy się ruszyć z miejsca. Kolejnym powodem był drugi odgłos – dużo cichszy – którego wcześniej nigdy nie słyszałem, a który wzbudził moją ciekawość. Była to mieszanka westchnień i gwizdów, czasami przechodząca w szczekanie. Nie przypominało to jednak szczekania psa, ale coś bardziej przeciągłego i raczej zabawnego niż niepokojącego. Najwyraźniej dochodziło od strony brzegu poniżej.

Kapitan też to usłyszał, co okazał, unosząc brew i dając znak do wymarszu, by odkryć źródło tej niezwyklej muzyki. Ta decyzja zdawała się pozornie prosta, ale wiązała się z głęboką zmianą naszych nastrojów. W rzeczywistości mógłbym nawet powiedzieć, nie zapominając bynajmniej o moich lękach związanych z Natty, że następne kilkanaście minut mogę zaliczyć do najszczęśliwszych, jakie spędziłem na wyspie. Wiatr delikatnie napierał na me plecy i pchał mnie naprzód. Słońce świeciło jak w Anglii latem. Skarpa nie była wcale stroma. Rozmowa... nie mogę sobie przypomnieć rozmowy, pamiętam jedynie, że szliśmy i nie odzywaliśmy się do siebie, aby nie zepsuć nastroju uniesienia, który nas ogarnął.

Kiedy w końcu ruszyliśmy w stronę brzegu, skończyły się drzewa i grunt zaczął opadać bardziej stromo ku morzu, ale płytkimi, naturalnymi stopniami, które musiał ukształtować tu wiatr, przesypując ziemię i kamienie, szlifując warstwa po warstwie kolejny, przylegający do poprzedniego występ. Skała była czarna jak smoła i nieprzyjazna dla wszystkich, oprócz najmniejszych roślin, takich jak lepnice i dzwonki okrągłolistne, których nasiona kiełkowały w szczelinach i teraz przywierały do kamieni, drżąc całe przy najmniejszym podmuchu wiatru.

Kiedy dotarliśmy do podnóża klifu, w jednej chwili rozpoznaliśmy nasze syreny. Plaża była wąska i kamienista, a kamienie morze szlifowało tak długo, że stały się niemal idealnie kuliste. Tam właśnie odpoczywało sobie stadko morsów. Kilka z nich było w pełni wyrosniętych, dużych jak sam kapitan, z pomarszczoną ciemnobrązową skórą przy łbach, ale zielonkawą i gładką wzdłuż ciała. Duże samce miały szczeciniaste wąsy, co nadawało im niezwykle srogi wygląd, ale najwyraźniej nic sobie nie robiły z naszego najścia. Samice, a szczególnie młode, miały niezwykle przyjemne mordki układające się w coś na kształt nieustającego uśmiechu i ślepią – duże i jasne – które spoglądały w moje oczy z niezwykłą uprzejmością.

Jeśli powiem, że polegiwały, nie odda to wiernie póź przyjmowanych przez te stworzenia, ponieważ choć każde z nich siłą rzeczy było zmuszone przyjmować pozycję horyzontalną na skutek braku rąk i nóg, niemniej jednak doskonale radziły sobie przy pomocy płetw i radośnie człapały w naszą stronę, gdy się zbliżaliśmy.

– Myślę, że jeszcze nie spotkały takiego dziwactwa jak my – powiedział kapitan. Mówił cicho, bo nie chciał ich niepokoić, ale najwyraźniej miał sto procent racji, bo nawet samce nie widziały w nas żadnego zagrożenia. Zaufały nam całkowicie, a czasami nawet szturchały nosami, gdy przechodziliśmy między nimi. Nie mogę zaprzeczyć – był to jeden z największych zaszczytów, jakie mnie w życiu spotkały, i modłę się do Boga, że pozwolił mi jeszcze raz tego doświadczyć. Podejrzewam, że kapitan uznałby to za przesadę, więc ograniczyłem się do poklepywania ich muskularnych boczków, a czasem łbów, co zawsze wzbudzało wylewne poszczekiwanie i pohukiwanie wśród szczeniaków. Czy uważały nas za doskonałych kompanów, czy też za obiekty niezłej zabawy, nie chciałem dociekać.

Spotkanie sprawiło nam ogromną satysfakcję i wędrowaliśmy wte i wewte po plaży, aż pozdrowiliśmy każdą rodzinę i daliśmy rodzicom okazję do przedstawienia nam wszystkich swoich pociech. Kiedy skończyliśmy część dyplomatyczną spotkania, nie chciało nam się od razu wracać do naszego świata i jego trosk. Bez wyjaśniania sobie wzajem czegokolwiek, usiedliśmy na skale z naszymi koszykami i kijami u stóp i patrzyliśmy w morze. Nie mieliśmy powodu, by to robić, ale oddaliśmy się obserwacji fal łamiących się o brzeg i uczuciu, że oto nasze umysły zmieniły się w kamień równie gładki i okrągły, jak te wokół nas, wymianie spostrzeżeń w rodzaju takich jak to, że słońce mocniej świeci niż wczoraj, tego, jak zręcznie polują morskie ptaki, i podobnych nieistotnych uwag.

Gdy wyleniłem się już na tyle, że zastanawiałem się, czy przypadkiem nie zamieniłem się w posąg i czy będę w stanie się ruszyć, zaproponowałem kapitanowi, że może popływalibyśmy dla ochłody. Spojrzał na mnie z ukosa. Kiedy zapytałem go dlaczego, odparł (w sposób zaskakująco niezdarny, zważywszy na nasze stosunki), że to nie dlatego, że się czegoś boi w wodzie, ale dlatego, że nie potrafi pływać.

Powiedziałem mu, iż słyszałem, że to powszechne wśród marynarzy, czemu nie zaprzeczył, choć żadnemu z nas nie paliło się, by podać tego przyczynę ani wspomnieć o Jordanie Handsie, który potwierdziłby tę prawdę. Po krótkiej chwili, w której dzieliliśmy się naszym zażenowaniem, gdy tak siedziałem i kontemplowałem fale, poprosiłem o pozwolenie wejścia do wody samemu.

Dopiero kiedy przekiecałem po kamieniach i dotarłem na brzeg morza, zauważyłem, że żaden z morsów nie kwapi się do tego, co ja miałem zamiar zrobić. Wmawiałem sobie, że być może dzieliły sobie dzień na poszczególne czynności podobnie jak ludzie, a nasze przybycie zbiegło się z ich czasem sjesty, a nie z okresem polowania czy zabawy. Jednak kiedy zdjąłem koszulę i pokuśtykałem do wody, jedno z większych młodych – zwierzę moich rozmiarów – najwyraźniej uznało, że proponuję mu wspólną zabawę, i śmignęło po kamieniach, by do mnie dołączyć.

Jest to dogodne miejsce, by powiedzieć, że owe stworzenia, tak nieporadne na lądzie, cechuje olbrzymia zwinność w ich naturalnym żywiole – podobnie było z moim towarzyszem. Zwierzę, którego ciało w spoczynku było ciężkie, w zabawie zmieniło się w akrobatę, a ospały, rozleniwiony umysł teraz zdawał się niezwykle bystry. Dla porównania moje ciało wykazywało oznaki całkowitej niedołążności. Stało się tak dlatego, że nagle porwał mnie niezwykle silny prąd przyboju, który cofał fale na głębinę, gdy tylko uderzyły o brzeg.

W minutę po wejściu do wody znalazłem się przynajmniej kilkanaście metrów od brzegu i opanowało mnie zwątpienie, czy kiedykolwiek zdołam wrócić. Ta zmiana była niezwykle szybka i szokująca. Zacząłem walczyć bardzo dzielnie, ale bez większych rezultatów, oprócz tego, że opilem się słonej wody, która dostała mi się do nosa. Panika ścisnęła mnie za serce. Przez chwilę naprawdę wierzyłem, że

ceną za zerknięcie na raj na ziemi będzie zaprzestanie oglądania świata w ogóle. W myślach zacząłem już się żegnać z ojcem, z Natty i po raz ostatni przypominałem sobie ulubione miejsca, takie jak mokradła za Hispaniolą, które stały mi teraz wyraźnie przed oczyma w urywanych kadrach rozświetlonych ich prawdziwą, błękitną poświatą.

Był to zapewne dowód na to, iż naprawdę zacząłem się topić – co potwierdziło tylko zachowanie kapitana. Z zamazanej odległości, która umniejszała jego wzrost i rozmiary, dostrzegłem, jak biega wzdłuż plaży, macha rękami i coś krzyczy. To tak zaniepokoiło morsy, że zaczęły głośno poszczekiwać, co słyszałem, gdy moja głowa wylaniała się z fal. Później powiedział mi, że krzyczał: „Daj się ponieść prądowi. Nie walcz z nim!”, bo uważał, że poniesie mnie na północny kraniec wyspy, tak jak mojego ojca w jego łódeczce, i w końcu dotrę do miejsca, w którym będę mógł wypłynąć na brzeg. Wtedy jednak byłem tak zdezorientowany i wylękniony, że nie mogłem skorzystać z jego mądrej rady, ale napinałem mięśnie w walce z morzem, choć wiedziałem, że wkrótce mnie wciągnie.

Zapomniałem wtedy całkowicie o stworzeniu, które weszło za mną do wody. Ale gdy moje ciało zaczęło słabnąć i coś na kształt błony zakryło mi umysł, jego połyskliwy łepiek wyłonił się w falach koło mnie. Sądząc po przyjaznym pyszczku i miaukliwych tonach, jakie z siebie wydobywał, stwierdził, że zabawa, którą mu zaproponowałem, jest bardzo przyjemna – ale jednocześnie na tyle niepokojąca (czemu towarzyszył jeden wielki plusk), że odganiałem go na pewną odległość.

Poruszałem się coraz wolniej, więc mors przewyciężył lęk i podpłynął bliżej. Zobaczyłem kropelki wody na jego rzęsach i usłyszałem głośne sapanie przez otwierane i zamykane nozdrza. Naprawdę myślałem, że to stworzenie będzie ostatnim, co zobaczę na ziemi, oczywiście pomijając granatową toń, w którą się zapadałem.

Jednak kiedy zacząłem opadać na dno i straciłem łączność ze wszystkim, co na górze, mój towarzysz nie zamierzał poprzestać na przyglądaniu się, ale zapragnął wpłynąć pode mnie. Rzeczywiście udało mu się stanąć pionowo na ogonie w wodzie, a całą długością ciała przycisnął się do mnie. Miał śliską skórę, ale nie na tyle, bym nie mógł się go schwycić i przytrzymać. Zrozumiałem, że następny etap naszej zabawy, wymyślony ad hoc, miał polegać na tym, że obejmuję go rękami – co też zrobiłem. Wtedy wykonał szybki ruch, coś na kształt wzruszenia ramionami przy przejściu z pozycji wertykalnej do horyzontalnej, aż znalazłem się na grzbiecie zwierzęcia z głową opartą na jego plecach i ciałem ułożonym wzdłuż kręgosłupa, z rękami splecionymi na tym, co, gdyby był człowiekiem, można by nazwać klatką piersiową.

Podczas minuty, która upłynęła mu na zaciąganiu mnie do brzegu, byłem tak zajęty wykrztuszaniem oceanu z płuc i zachłystywaniem się powietrzem, że nie pamiętam nic z tej podróży na grzbiecie. Przypominam sobie natomiast, że na plaży na wprost mnie inne szczeniaki czekały na potęgę, jak uznałem, chcąc dodać mi otuchy. Jeszcze wyraźniej pamiętam uczucie zachwyty z powodu pędu przez kolejne fale, z których każda była elastyczna.

Nazwałem mojego wybawiciela towarzyszem. Gdyby był nim w istocie, powinienem mu podziękować z całego serca i przysiąc, że zrobię dla niego to samo, gdy zajdzie taka potrzeba. Ale jak się okazało, nie było to konieczne. Kiedy sprowadził mnie o parę metrów od brzegu, strząsnął mnie z siebie na płyciznie – po czym wycofał się na głębinę. Nie wyczytałem niczego nadzwyczajnego w jego ślepiach, a jedynie ową czystą życzliwość, dopóki pozostawał w polu widzenia. Potem dał nura w głębinę. Ten uczynek, któremu zawdzięczam życie, był drobnostką dla mojego towarzysza. Jednak gdy doszedłem do siebie, nie na jego piersi skłoniłem głowę, lecz na piersi kapitana, i na niej też zacząłem szlochać z ulgi i z wdzięczności.

## Rozdział 26

# Życie przede mną

Pytanie dotyczy dostosowania. W jaki sposób umysł tworzy przestrzeń tak dużą i wyrazistą w obliczu śmierci? To pytanie nie nurtowało mnie w chwili, gdy leżałem na plaży, wchłaniając łapczywie życie do płuc. Byłem zbyt wycieńczony, by snuć rozważania. Jednak gdy oddech mi się unormował i świat znów stał się wyrazisty, moje myśli zaczęły biec w dwóch różnych kierunkach. Jedna część pragnęła zrozumieć wagę tego, co mi się przytrafiło, i bardzo chciała się dowiedzieć, w jaki sposób wpłynęło to na moje uwielbienie dla życia – a szczególnie moje uczucia wobec ojca i Natty, którzy stanęli mi przed oczyma jak żywi. Druga część mózgu pragnęła całkowicie poświęcić się sprawom bieżącym – i przynajmniej na razie to podejście przeważało. Mieliśmy z kapitanem zadanie do wykonania i skoncentrowanie się na szczegółach stanowiło jego istotną składową.

Gdy wróciliśmy na Słowika, kapitan od razu schował nasze koszyki w zakamarkach swej kajuty – w tej samej zamykanej na zamek skrzyni, w której trzymał pistolety. Później wezwał do siebie mnie, bosmana Kirkby'ego i pozostałych marynarzy, by odbyć naradę w sterówce. Opowieść o mojej ostatniej przygodzie nieco wszystkich rozweseliła, ale kiedy po raz trzeci czy czwarty zmieniałem się z ryby w człowieka, cud mego uratowania spowszedniał i znów odczuliśmy nawrót żalu po utracie skarbu oraz Natty.

Nigdy nie widziałem mężczyzn pogrążonych w takiej apatii i rozpaczach jak wtedy. Kuk, pan Allan, który zwykle trajlował niczym gar z gotującą się wodą, stał bez słowa przy jednym z okien i obserwował deszczowe chmury, które teraz sunęły po szarym, szerokim ujściu rzeki. Pan Tickle zapomniał nawet zapalić fajkę, choć od czasu do czasu klepał się z przyzwyczajenia po brodzie, jakby mogła zająć się ogniem.

Na obronę moich przyjaciół boleśnie odczuwających fakt, że ktoś im pokrzyżował plany i napędził stracha, powiem tylko, że wciąż myśleli o zbliżającym się dniu jutrzejszym i zastanawiali się, jak zdołają wykonać przypisane im zadania. Choć kapitan bardzo stanowczo przypominał każdemu o jego obowiązkach, nie byliśmy w stanie przewidzieć ich wyniku, ani też do końca pogodzić pragnienia odzyskania srebra z koniecznością naprawy zła, jakie rozpleniło się na wyspie. Może sami zmienimy się w barbarzyńców, skoro mamy zamiar ukarać barbarzyństwo piratów? Może nie jesteśmy wcale lepsi od nich w chęci zaspokojenia naszej żądzy wzbogacenia się?

Takie pytania, zwykle niewypowiadane na głos, przychodziły nam do głowy przez cały dzień, a gdy popołudniowa ulewa przerodziła się w zwyczajowy wieczorny sztorm, rozstawiono świece na stole w sterówce, co pozwoliło nam patrzeć sobie w oczy (czy też unikać tego rodzaju bezpośredniości, jak kto wolał). Kilka razy, szczególnie w kwestii podziału srebra (pod warunkiem że je odzyskamy), zapanowała wielka niechęć do wygłaszania stanowczych deklaracji i wszystkie nasze rozmowy kończyły się na „Zobaczymy, co się stanie” oraz „Może nie będzie okazji” czy też „Wszystko w rękach Boga”.

Gdy zapadła noc, a ja wciąż słuchałem kompanów, uświadomiłem sobie, że moja opinia w kwestii tego, jak skończą się nasze przygody, jest równie niesprecyzowana. Gdy gapiłem się w ciemność, widziałem, jak idę sosnowym lasem do obozu piratów, widziałem, jak zbliżamy się do zewnętrznej ściany, zobaczyłem Smirke'a idącego wprost na mnie – ale poza tym nic. Żaden trup nie leżał koło mnie, sam też nie leżałem martwy na ziemi. Na pytanie „Czy jesteśmy wyzwolicielami?” mogli odpowiedzieć

wyłącznie nasi wrogowie, nie my sami. Przyszłość zależała od ich reakcji na nasze pojawienie się w obozie, a nie od działań, jakie podjęliśmy przeciwko nim.

Była to niewygodna prawda, o której nie potrafiłem zapomnieć. W końcu wiatr się wzmógł, deszcz ustał, a kapitan rozgonił nas, mówiąc, że musimy się wyspać, bo wstajemy za kilka godzin. Nakazał każdemu z osobna, by poszedł do swojej kajuty, ale ja udałem, że nie rozumiem, i zostałem chwilę dłużej na pokładzie. Myślę, że marynarz na wachcie był już na swoim posterunku nad moją głową, gapiąc się w połyskujące zarośla – ale ja zostałem sam na sam ze swoimi pytaniami.

Kilka godzin wcześniej spojrzałem w ślepią Śmierci. A za kilka godzin – któż to wie, co się stanie? Po raz drugi tego samego dnia mój umysł okazał się zbyt mały dla myśli, które tworzył, więc zacząłem oglądać świat wokół siebie – patrzyłem na rzekę dudniącą w nasz kadłub, na sosny odchylające się na wietrze, na księżyc zmagający się z chmurami, które miały barwę szafranu i kości słoniowej.

Wszystko to żyło swoim życiem i nie miało mi niczego do zakomunikowania. Niczego aż do chwili, gdy bez ostrzeżenia i całkowicie bezgłośnie jakiś wielki ptak wyrwał się z zarośli na wprost i poszybował tuż nad moją głową, zwracając w dół swoje oblicze (które przypominało pyszczek kotka), by na mnie spojrzeć. A następnie skierował się w dół rzeki, wprost ku otwartemu morzu. Pomyślałem, że to jakiś gatunek sowy, ponieważ kształt ciała i głowy przypominał płomykówki, które często widywałem, jak straszyły na mokradłach opodal domu. Ale ten ptak zdał mi się większy i lśnił żywym srebrem, a do tego najwyraźniej zupełnie nie był płochliwy. Zanim zniknął, spojrzał na mnie raz jeszcze, niczym osoba zerkająca do tyłu przez ramię, najwyraźniej oczekując, że rozwinę skrzydła i polecę za nim.

## Rozdział 27

# Docieramy do miejsca przeznaczenia

Obudził mnie kapitański dzwonek, o drugiej w nocy wciskający się swym dźwiękiem we wszystkie zakamarki statku, wygramoliłem się więc na pokład, przecierając oczy. Nie miało znaczenia, że źle spałem – byłem gotowy. Deszcz ustał, chmury się przeredziły, a księżyc wisiał już wysoko na zachodzie; wszystko wręcz idealnie współgrało z naszymi planami.

– Jak skowronek, co, paniczu Jimie? – To był kapitan, który nie czekał na odpowiedź i od razu zaprowadził mnie do sterówki, gdzie już zebrała się reszta naszej grupy: bosman Kirkby, pan Tickle, pan Stevenson (który na razie przekazał bocianie gniazdo panu Lawsonowi) oraz jeszcze jeden marynarz, którego prawie nie znałem, drobny, energiczny, ciemnowłosy mężczyzna podobny do węgorza, pan Creed.

– To dla ciebie – mówił kapitan, dając każdemu ze swych ludzi kordelas wyciągnięty ze skrzyni. Zatrzymał solidny, stary pistolet, który wetknął sobie za pas. Gdy nadeszła moja kolej, podał mi sztylet, co uznałem za jakąś zniewagę. Widząc moje rozczerowanie, klepnął mnie w ramię i powiedział: – To ci w sam raz wystarczy, mój chłopcze, bo tylko tego ci potrzeba. – Po czym przebiegł z zadowoleniem kciukiem po ostrzu sztyletu i zachęcił mnie, bym zrobił to samo.

Kiedy to zrobiłem, zaczęło nurtować mnie pytanie, czy zabierzemy nasze „kosze” – i spojrzałem na niego znacząco. Zdawał się zaskoczony, jakbym kwestionował jego osąd czy źle zrozumiał jego intencje.

– Będziemy je trzymać na pokładzie – powiedział cicho.

– Ale jeśli...

Chciałem powiedzieć, że może piraci nie będą aż tak rozsądni jak on i zaatakują nas bez ostrzeżenia. Ale nie dane mi było dokończyć myśli.

– Już ci powiedziałem – rzucił kapitan. – To zabezpieczenie, nic ponadto. Nie będą w stanie powstrzymać ataku, ale przynajmniej stanowią jako taką broń. Ostatnią redutę obrony.

Tyle wystarczyło, bym zrozumiał, iż nie powinienem oczekiwać, iż otoczy mnie takim samym ojcowskim ciepłem jak wczoraj. Teraz byłem żołnierzem. Żołnierze muszą słuchać rozkazów.

– A teraz panowie – ciągnął dalej kapitan, zwracając się do wszystkich z tą samą stanowczością, z jaką odezwał się do mnie – pamiętajcie, co postanowiliśmy. Mamy ratować i negocjować, a nie mordować. Nasza ojczyzna może być z nas dumna.

Gdy skończył mówić, wokół rozległ się pomruk uznania. Choć było nas niewielu, odwagi dodawał nam wspólny cel i to, że znajdowaliśmy się pod rozkazami człowieka honoru. Kiedy spoglądał na każdego z nas z osobna, poczułem, jak noc w przedziwny sposób rozprasza światło słońca. Moi towarzysze byli mi braćmi. Gdy opuszczaliśmy się po burcie Słowika, wchodząc do łódki, którą popłynęliśmy do brzegu, wiedziałem, że jesteśmy sobie wzajem braćmi.

Naszym pierwszym zadaniem było przedarcie się w górę doliny. Kapitan podał mi swoją sakwę (wypełnioną zapasem prochu do pistoletu), żeby mógł nas prowadzić bez przeszkód. Następnie zaczął ciąć zarośla kordem, machając zamasyście ramionami, z kapeluszem naciśniętym na uszy. Pozostali byli mu wdzięczni za ten trud i z radością ruszyli za nim. Dwóch marynarzy, włącznie z panem Stevensonem, miało wprawę w takiej pracy, ponieważ za młodu wraz z marynarką Jego Wysokości wychodzili na brzeg w Indiach i w innych miejscach. Jednak pozostali byli rasowymi wilkami morskimi. Gdyby nie mglista



perspektywa odzyskania srebra, która przyświecała im wszystkim, jestem pewien, że woleliby wrócić na pokład Słowika i tam wykonywać swoje powinności.

Choć odwiedziłem tę część wyspy wcześniej i zacząłem rozpoznawać ukształtowanie terenu i roślinność, wyprawa w środku nocy sprawiła, iż miałem wrażenie, jakbym widział wszystko po raz pierwszy. Stworzenia, które uprzednio mnie śledziły, teraz smacznie spały – a inne, które wcześniej się nie ujawniały, wychodziły się przedstawić, włącznie z tuzinem nietoperzy nurkujących przy naszych głowach, gdy stanęliśmy na krawędzi sosnowego lasu. Pan Stevenson odczuwał szczególną antypatię do tych stworzeń i od czasu do czasu przeganiał je swoim kordelasem, nie zraniwszy ani jednego. Pozostali uznali jego zachowanie za bardziej irytujące niż obecność tych stworzeń i poczuli ulgę, gdy weszliśmy wyżej, a nietoperze straciły nami zainteresowanie. Tutaj spieszę dodać, że ja usłyszałem coś, co podobało mi się o wiele mniej niż ich piski i skrzeki, czyli dobrze znajomy dźwięk fal bijących w skały poniżej. Gdy maszerowaliśmy na południowy zachód, wciąż towarzyszyła nam ta kanonada – żalostny dźwięk przypominający, iż fale cierpliwie targają ziemię, wtrącając nas z powrotem w odmęty chaosu.

Wspominałem już, że czas inaczej płynie nocą – często wolniej niż za dnia, a potem nagle i niespodziewanie szybciej. Tak samo było podczas naszej wyprawy w stronę wzgórza Spyglass. Przez dłuższą chwilę horyzont składał się wyłącznie z sosen i kłębiących się chmur, a potem nagle w mgnieniu oka znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni pod górą. W świetle księżycy wyglądała niczym monstrualna kupa popiołu, a dla nas symbolizowała element zniszczenia, które przyszliśmy obalić. Smugi mgły unosiły się między jej górnymi rozpadlinami niczym ostatnie tchnienie konającego. Czasem cienie zmieniały jedne z jej zboczy w profil dzikusa, chowającego się przed nami człowieka bądź też konia uciekiniera. Ogólnie góra spoglądała na nas złym wzrokiem, zagęszczając jeszcze otaczającą nas ciemność.

Następny etap naszej wyprawy zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Niewielki bagaż (pałasz, manierka) ciążył nam niezmiernie. Najdrobniejszy kamyk zdradziecko osuwał się pod butem. Cierniste zarośla szarpały za odzienie i kaleczyły mi dłonie. Stopniowo zaczęło dopadać mnie zmęczenie – aż ból wszedł w me kości, pot spływał do oczu, a dudnienie mego serca o żebra jasno i wyraźnie dawało do zrozumienia, że nie jestem zdolny do nadchodzącej walki. Kiedy spojrzałem na mych przyjaciół, próbowałem się łudzić, że nie widzę w nich słabości – bardziej, by podnieść się na duchu, niż ustalić stan faktyczny.

W końcu kapitan, spoglądając jedynie na kompas, nieoczekiwanie wzniosł prawą dłoń – znajdowaliśmy się blisko celu. Była to okolica, w której czarna skała ustępowała pod naporem krzewów rododendronów, azalii oraz innych roślin żyjących z nimi w symbiozie. Ich kwiaty – czerwone, żółte i fioletowe – kwitły tu na potęgę, a zapach ciężko wisiął w powietrzu.

Rośliny te zrazu rosły sporadycznie, ale w miarę jak zaczęliśmy schodzić, zacieśniały krąg i w końcu z każdym krokiem czuliśmy dotyk i bolesne szturchańce ich gałęzi – choć nie na tyle mocne, by zboczyć z kursu. Poza tym grunt w tym miejscu był, ogólnie rzecz biorąc, twardy, z niewielkimi ścieżynkami wijącymi się wśród krzewów, i dzięki temu utrzymywaliśmy dobre tempo. Z każdym krokiem sprawdzaliśmy, czy nie ma przed nami jakiejś pułapki. Kapitan się tym zajął. Uciął poręczną gałąź, pozbawił ją liści i używał jej do badania gruntu przed sobą.

Szliśmy w ten sposób bardzo uważnie przez kolejnych kilkanaście minut, oddychając tak cicho, jak się dało, i czując wdzięczność za wiatr, który poruszał liśćmi (zagłuszając nasze odgłosy), gdy kapitan ponownie podniósł dłoń. W ciszy, która po tym zapadła, usłyszałem w oddali niewyraźny trzask i rozpoznałem odgłosy ogniska; zauważyłem nawet przebłyski płomieni i języki strzelające w górę. Wtedy zaczęliśmy się poruszać jeszcze ostrożniej – podkradając się tuż obok kapitana i zerkając przez liście w szczeliny, jakie nam otwierały.

Palisada stała ledwo sto metrów poniżej, emanując tą samą mylącą aurą radości i zagrożenia, jaką po raz pierwszy dostrzegliśmy z pokładu Słowika. W centralnym punkcie placu stało wielkie, przekrzywione ognisko, nieustannie strzelające snopami iskier wprost w niebo. O wiele mniejsze języki żółtych płomieni świec jaśniały w oknach domu z bali należącego do piratów. Chata więźniów była całkowicie pozbawiona okien i stała ciemna niczym głaz. Wyobraziłem sobie, że Scotland leży w środku, cicho i nieruchomo niczym skamielina.

Choć zrobiło się już późno, kilku piratów wciąż wałęsało się po obozie – nie mogłem dostrzec, czy są wśród nich pierwotni mieszkańcy wyspy, czy tylko strażnicy z Achillesa. Najwyraźniej nastał czas ich odpoczynku. Kilku leżało wyciągniętych na werandzie przed chatą, w ciemności czasem rozżarzały się czerwone ślepie cybuchów fajek. Najwyraźniej byli pijani bądź otumanieni w jakiś inny sposób.

Od czasu do czasu wiatr niósł ze sobą odgłosy wybuchów srogiego gniewu, śmiechu albo dźwięk drewna uderzającego o ciało, a czasami w różnych miejscach obozu piratów widać było cienie zbyt gęste, byśmy mogli zobaczyć coś dokładniej; czasem rozlegały się krzyki sprzeciwu czy rozpacz, a potem inne, poskramiające protesty ofiar. Sama myśl, że jedną z nich może być Natty, wydawała mi się zbyt straszna, by mogła się pomieścić w głowie. Musiałem wierzyć, że jest bezpieczna w innym miejscu, jeśli chciałem zrobić wszystko, czego ode mnie oczekiwano.

– Wkrótce położą się spać – powiedział cicho kapitan. – Będziemy ich obserwować i trzymać się planu. – Choć dostrzegałem w tym logikę, nie mogłem nie zapytać, ile przyjdzie nam czekać. Uniósł dwa palce, by pokazać, że jego zdaniem mamy dwie godziny do świtu, a potem wyszeptał, że powinienem wykorzystać ten czas i odespać trochę straconej nocy. Wolałem raczej stanąć na czatach, ale rozumiałem, że jest to rozkaz – i zacząłem rozglądać się za skrawkiem ziemi, na którym mógłbym się wyciągnąć.

Szukając, zerknąłem na morze i zrozumiałem, że zamiast odpoczywać, będę zmuszony trwać w pogotowiu, bo cała armia nowych chmur pojawiła się na horyzoncie, a wiatr zaczął burzyć wodę, aż zmieniła barwę na białokremową. Piraci najwyraźniej też to spostrzegli, sądząc po tym, jak ich cienie zaczęły śmigać przez dziedziniec, aż całkowicie zniknęły; pozostało jedynie ognisko, które parskło i pluło niczym sam diabeł, gdy w końcu spadł deszcz.

Nie mieliśmy specjalnego wyboru – wycofaliśmy się na bezpieczną odległość i zaczęliśmy ścinać gałęzie krzewów wokół, by ułożyć je w coś na kształt szałas z nieregularnym otworem z przodu. Dał nam schronienie, ale też doskonały widok na sztorm. Pierwszy atak chmur okazał się gambitem otwarcia w kampanii, która ciągnęła się przez kolejne pół godziny, a może i dłużej. Rozpoczął się sztorm wypluwający z siebie jeszcze bardziej gwałtowną ulewę, błyskawice waliły na prawo i lewo, a wszędzie przetaczał się odgłos gromu, tak że wszystko się trzęsło – równie dobrze mógł to być początek drugiego potopu biblijnego. Wkrótce ucierpiało zbocze wzgórza, jęcząc w potyczce z masami wody, i strząsnęło je z siebie bądź wchłonęło tę, która się w nie wciskała.

Kiedy ta ulewa się skończyła, przy ogłuszającym dźwięku świszczącego wichru, który przedarł się przez bramy niebios, zatraskując je głośnie za sobą, rozpoczęła się trzecia tura.

Ten huk strząsnął krople wody z okolicznych roślin, jak się zdawało, całkowicie osuszając ich szczyty. Jednak bardzo szybko ten sam wiatr znów rozdarł niebiosy i powrócił na ziemię z wielką furią – kilka drzew, które do tej pory kołysały się i biły pokłony, przewróciło się z żalosnym jękiem.

Natura nie była w stanie wytrzymać długo takiego naporu – a kiedy się zakończył, odbyło się to tak niespodziewanie, że miałem wrażenie, iż to siła wyższa w końcu ulitowała się nad nami i bezpośrednio interweniowała w całej sprawie. Chmury się uniosły. Wiatr ze wschodniego zmienił kierunek na południowo-wschodni i stał się potulny jak baranek. Pojawił się księżyc, rozsiewając poświatę na okolicę, która od biedy mogła uchodzić teraz za typowy krajobraz angielskiego lata. Pozwoliło mi to na

obserwację, że jedno z wyrwanych z korzeniami drzew leżało bezpośrednio pod nami – a jego upadek otworzył widok na obóz.

Kapitan też to zauważył i od razu przyłożył lunetę do oka, marszcząc brwi w zamyśleniu. Uzyskawszy odpowiedź na pytanie zadane w myślach, podał mi przyrząd i wskazał, gdzie powinienem spojrzeć.

Kiedy tylko wyostrzyłem obraz, aż mi dech zaparło w piersi i oderwałem okular od oka – później znów spojrzałem. Gapiłem się wprost na Smirke'a, który zdawał się być tak blisko, że mogłem niemal wyciągnąć rękę i go dotknąć. Łajdak najwyraźniej w ogóle nie przejmował się sztormem, który niemal rozerwał wyspę na dwoje, i przechadzał się po werandzie swego domu z bali kołyszącym marynarskim krokiem na ugiętych nogach. Śledziłem go aż do miejsca spotkań, gdzie zatrzymał się, by pogłodzić tylną ścianę budynku sądu, po czym poczłapał w stronę chaty więźniów. Tutaj stanął przed postacią, której nie zauważyłem do tej pory, ale teraz dostrzegłem, że to Jinks, który zamienił funkcję oskarżyciela na strażnika. Wykonywał ją, siedząc rozparty w fotelu z kuflem u boku. Gdy Smirke zaczął mówić, choć oczywiście jego słowa były dla mnie niezrozumiałe, Jinks drgnął i wyprostował się w fotelu, jakby zbierał reprimendę. Następnie Smirke odwrócił się, walnął kilka razy w drzwi chaty więźniów – jak zgadywałem, wyłącznie po to, by przestraszyć zamkniętych w środku i zakłócić im sen. Odgłos tego stukania dotarł do mnie mocno wytłumiony, a i tak poczułem, jakby pięścią walił mi prosto w serce.

Czy Natty jest wśród tych, którzy ucierpieli tej nocy? Kiedy puściłem wodze wyobraźni, zobaczyłem jedynie Scotlanda. Leżał na podłodze swojej chaty z wybałuszonymi oczami, jakby lada chwila ciemność miała się rozstąpić, oślepiając go jakimś nowym odrażającym brutalnym występkiem. Usłyszałem skrzypienie desek, gdy przewracał się na bok. Poczułem drzazgi spadające na jego ramiona. Gorąco, niby szmatę rzuconą mu na twarz. Ujrzałem w myślach ten obraz – i zawstydzilem się, wiedząc, że czuję zazdrość, wyobrażając go sobie w towarzystwie Natty.

Wróciłem do rzeczywistości w samą porę, by zobaczyć, jak Smirke wraca do swojej chaty i znika w środku – gdzie, jak podejrzewałem, położył się spać. Tak czy inaczej – bezwładna cisza zaległa nad całym obozem. Nawet ptaki du-da zamilkły; stały w zagrodzie pomiędzy innymi stworzeniami, z dziobami odwróconymi w stronę bryzy, tak że pióra na ich ogonach furkotały niczym połamane wachlarze.

Kiedy oddałem lunetę kapitanowi, nie odezwał się, ale posłał mi oszczędny uśmiech. Był to drobny przejaw uprzejmości, jednak pokrzepił me serce tak, jakby kapitan uścisnął mi dłoń – i obudził we mnie nastrój bliski zadowoleniu. Kiedy popatrzyłem na pozostałych, wiedziałem, że oni też to odczuwają, dzięki duchowi braterstwa łączącego nas wszystkich.

Choć świt się zbliżał, kapitan nakazał nam odpoczynek – bądź nawet sen, gdybyśmy zdołali zasnąć. I tak położyłem się na krawędzi naszego schronienia, gdzie liście niemal smagały mnie po twarzy. Tutaj wpłynąłem w stan dziwnego zawieszenia, niemal w pełni świadomy, lekko w niebycie, na pograniczu dwóch stanów. A kiedy udało mi się przysnąć na chwilę, śniło mi się, że gubię drogę. W jednym ze snów przedzierałem się przez puszcę pełną fantazyjnych kształtów i dziwacznych odgłosów, aż dotarłem do Natty leżącej na łożu z mchu niczym w opowieści o księżniczce. W kolejnym natknąłem się na piratów siedzących przy ognisku, którzy przeżuwali jakąś ohydłą dymiącą potrawę. W trzecim zastałem mego ojca w łóżku w Hispanioli, tak jak go widziałem ostatniej nocy, kiedy opuściłem dom rodzinny. Na twarzy miał trupa maskę i na ten widok przebudziłem się gwałtownie – po czym cykl zmagania w czasie drzemki rozpoczął się na nowo.

Podczas tego wirowania między snem a jawą czasami odzyskiwałem świadomość, a czasami zatracalem ją kompletnie, i zbliżyłem się do myśli, jakby to było całkowicie zniknąć z powierzchni ziemi. Przez całe moje dzieciństwo, a zwłaszcza gdy zostawałem sam ze sobą na mokradłach i w innych odosobnionych miejscach, poznawałem fakty dotyczące naszej śmiertelności. Było to szczególnie

widoczne przy studiowaniu życia polujących na siebie stworzeń, co zawsze przywoływało mi na myśl mamę – której życie, czy też raczej której kres życia stanowił fundament całej mojej wiedzy o świecie.

Od chwili wyruszenia z domu ujrzałem już oblicze Śmierci i bacznie przyjrzałem się jej poczynaniom – podczas tragedii Jordana Handsa i jego ofiary, pana Sinkera, w występach Smirke'a i jego pomagierów. Żadne z tych wydarzeń nie wywołało u mnie lęku o własne życie, nawet kiedy poszedłem popływać, a morze chciało mi pokazać drogę do nieba. Ani nie byłem na tyle zaskoczony moim losem, by w pełni pojąć, co się dzieje, ani nie oczekiwałem cudu ocalenia, co w istocie się zdarzyło. Obawiałem się pojmania. Bólu. Tchórzostwa – tego też się bałem. Ale w swej młodości i zadufaniu myślałem, że jestem odporny na rany. Ze wszystkich skrajnych sytuacji, które sobie wyobrażałem, zawsze wychodziłem cało.

Teraz, gdy krople deszczu wciskały się pod ubranie, a wilgotne listowie szurało po mych policzkach, wiara w mamę nietykalność została zachwiana. Ponieważ byłem synem mej matki, synem Adama. Byłem skazany na śmierć – może tego ranka, kiedy Smirke rozgniecie mnie niczym komara. Nie odnajdę ponownie drogi do Anglii i nie usłyszę szumu rzeki za oknem. Nigdy nie spotkam już mego ojca i nie będę spacerować po mokradłach pod otwartą połacią nieba. Nigdy nie zobaczę Natty i nie dowiem się, co się z nią stało.

## Rozdział 28

# Za palisadę!

Gdy kapitan Beamish potrząsnął mnie za ramię, leżałem bez ruchu, gapiąc się w przestrzeń i nie mrugając, żeby myślał, iż całkiem się przebudziłem.

– Doskonale, tak trzymać, chłopcze – powiedział, co pozwoliło mi rozejrzeć się wokół bez utraty godności. Z nieba sączyło się mdłe światło, najpierw bladozielone i fioletowe; musiało minąć kilkanaście minut, by zmieniło barwę na niebieską.

– Jesteś gotowy, chłopcze? – zapytał kapitan i nachylił się tak blisko, że poczułem jego oddech.

Pokiwałem ochoczo głową, by pokazać, że sen nie przyćmił mej czujności, po czym stanąłem na nogi. Prawdę mówiąc, myślami wciąż tkwiłem tam, gdzie wcześniej, przy Natty i Scotlandzie, choć moje oczy zwróciły się ku towarzyszom, bosmanowi Kirkby'emu i panu Tickle'owi, panu Stevensonowi i panu Creedowi. Wszyscy oni – marynarze o mężnych sercach, choć z nasuniętymi na głowy kapelusami i podniesionymi kołnierzami, śladami lasu na twarzach i w przemoczonych ubraniach – wyglądali na taką samą bandę oberwańców jak piraci obok. Stwierdziłem, że to dość krzepiące, jeśli faktycznie dojdzie do bitki.

Kapitan znów dotknął mego ramienia i wskazał na coś w dole. Było teraz dostatecznie jasno, by wyraźnie zobaczyć cały obóz. Żaden z piratów nie wyłamał się z przyzwyczajenia do późnego wstawania, nawet zrugany przez Smirke'a Jinks leżał nachylony w przód w fotelu przed drzwiami chaty więźniów. Chciałem wierzyć, że to dobry znak – bo przecież gdyby pojмали Natty, wzmocniliby warty.

Kapitan popatrzył przeciągle na każdego z nas z osobna, a następnie ruszył w dół zbocza, oczekując, że pójdziemy za nim. Szybko dotarł do krzewów, od których rozpoczęliśmy nasz rekonesans. Wtedy szliśmy wyprostowani, wiedząc, że nie dostrzegą nas, jeśli zachowamy ciszę – teraz poruszaliśmy się przygarbieni, jakby obawiając się, że gdzieś zza liści świni kula. Żaden z nas nie uwierzył bez zastrzeżeń w to, co mówił Scotland, że piraci mają niewielkie zapasy prochu, choć rozum podpowiadał, że w istocie taka musi być prawda.

Kapitan zrobił kolejną milczącą odprawę; patrzył nam w oczy, jakby właśnie w ten sposób mógł się podzielić z nami swoim męstwem, po czym wyszeptał:

– Chodźcie, chłopcy. – I znów ruszył naprzód.

Podobni duchom, tak cicho, jak to tylko było możliwe, ruszyliśmy dalej i wkrótce stanęliśmy przy palisadzie. Kapitan jako pierwszy przeszedł przez ogrodzenie. Wiedziałem, że tak robi – choć wysiłek związany z pokonaniem przeszkody przy jego wadze oraz przekleństwo, które mu się wypnęło, gdy połą kaftana zahaczył o jeden z zaostzonych pali i rozdarł go, przedostając się na drugą stronę, nieco zepsuły ogólne wrażenie. Ja sam wspiąłem się z łatwością, co pochwalił, gdy wylądowałem obok niego.

– Dobra robota, kawalerze – wyszeptał i rzucił gniewne spojrzenie na bramę w południowej ścianie, której postanowił nie używać.

Pozostali wylądowali obok nas, tak głośno chrzęszcząc i stukając obcasami w ziemię, iż myślałem, że poderwą z łózek nie tylko pijaków, ale też leżących na marach. Ale potem zrobiło się cicho – zapanowała taka cisza o szczególnym natężeniu, jakbyśmy znaleźli się w innym wszechświecie, którego mieszkańcy nie oddychali tym samym powietrzem, co my. Owo wrażenie ciężaru potęgował natrętny słodki odór

wydobywający się z szopy, w której piraci zrobili sobie destylarnię. Degrengolada była widoczna wszędzie wokół. Trawa próbowała kiełkować tu i ówdzie pośrodku terenu, ale rosła równie mizerna i płaska, jak niemyte włosy. Okolice wokół chat była usiana brudnymi kuflami i fragmentami odzienia, połamanymi narzędziami i kawałkami szkła. Powierzchnie w obrębie sądu błyszcząły odpychającym połyskiem, który w istocie nadawała im rosa, choć wyglądały, jakby kleiły się od potu.

Kapitan nie zwracał na to uwagi. Poruszając się z niewiarygodną prędkością jak na tak postawnego mężczyznę, ruszył w stronę kwater więźniów. Pędząc tuż za nim, zobaczyłem, jak przyciska prawą rękę do boku i wysuwa ostrze z pochwy. W tej samej chwili zauważyłem na ostrzu poskręcany węzowy wzór – i miałem wrażenie, że powinno mi to powiedzieć coś, czego wcześniej nie wiedziałem. Kapitan zdawał się tak miłującym pokój człowiekiem, tak opanowanym, że na widok jego zdobionego ostrza doznałem prawdziwego wstrząsu, jakby miał skryte upodobanie do przemocy, któremu teraz dawał upust.

Gdy pędziliśmy przez podwórzec, kapitan zdawał się rosnać w oczach – choć w istocie to wiatr wydymał jego długi kaftan. Tak czy inaczej, straciłem z oczu Jinksa, gdy się do niego zbliżyliśmy – ale po tym, jak kapitan jeszcze bardziej przyspieszył, zgadywałem, że łachmyta musiał się przebudzić i widząc nas, próbował się podnieść z fotela. Wiem na pewno tylko tyle: kapitan wyprostował się całkowicie, nie zwalniając, uniósł prawe ramię, jakby miał zamiar wygłosić jakąś deklarację, po czym machnął nim w dół, z nożem błyszczącym niczym kiel. Później były tylko dwa osobne odgłosy. Jedno to sapnięcie kapitana, który włożył w cios całą swoją siłę. Drugim było coś na kształt zduszonego świstu, kiedy tchnienie uszło z ciała Jinksa. Gdy dotarłem do werandy, czyli dosłownie w chwilę później, pirat wciąż siedział w swoim fotelu z kapeluszem naciągniętym na oczy, a jego nogi sterczały wyprostowane w przód. Pozornie nic się w nim nie zmieniło – oprócz czerwonego liszaja na piersi.

Bosman Kirkby, pan Tickle i dwaj pozostali marynarze weszli teraz na werandę i zajęli pozycję po obu stronach drzwi do chaty. Ponieważ znałem ich jako uosobienia łagodności, byłem mocno zaskoczony, gdy nie zaszczycili trupa nawet spojrzeniem, ale skupili swoją uwagę na podwórku, a szczególnie na domu z bali należącym do piratów. Było to bardzo rozsądne – ale wciąż nikt nie podniósł alarmu. Widziałem tylko unoszący się z komina strumyczek dymu, który snuł się dalej wzdłuż krokwi. Na chwilę dosłownie wstrzymaliśmy oddechy. Wrona usiadła na ziemi i zaczęła grzebać w niej swym grubym dziobem. Do wrony podszedł kogut, uniósł pytająco łeppek, po czym wrócił do swej gromadki. Poza tym panował całkowity bezruch.

Jeszcze bardziej niezwykła była cisza, jaką nasi przyjaciele zachowywali w swojej kwaterze – nawet kiedy kapitan odrzucił pniak blokujący drzwi i otworzył je, z wnętrza nie dobiegł go nawet szept. A kiedy drzwi się otworzyły, ujrzelśmy najbardziej zadziwiający spektakl. Całkowicie zdezorientowani więźniowie zbili się w grupę ramion, tułowi, nóg i głów – niczym zbiór połamanych rzeźb.

Kapitan poruszył się jako pierwszy, przekraczając próg chaty, a wówczas ramiona i nogi odzyskały ludzką formę i sam Scotland wyłonił się z mroku, by uścisnąć dłoń swemu wybawcy. Moja pierwsza myśl – jeśli on żyje, Natty musi być gdzieś w pobliżu. Ale te nadzieje legły w gruzach, kiedy spojrzałem Scotlandowi w twarz. W jego oczach nie było ani krztyny radości. Przez chwilę wmawiałem sobie, że to z powodu batów, jakie musiał otrzymać po pojmaniu – szramy na szyi i ramionach wywoływały ból od samego patrzenia na nie.

– Panicz Nat – wyszeptał ze szkockim zaśpiewem.

– Co z nim? – odparł kapitan, nachylając się tak, że ich głowy niemal się zetknęły.

– Został zabrany wraz ze mną. Ściągnęli nas tu razem. Stone nas znalazł.

– Ach! – jęknął kapitan.

– Przykro mi, przykro – ubolewał Scotland, kręcąc żałośnie głową.

– Dlaczego ci przykro, mów, człowieku!

– Nie wiem.

– Nie wiesz, czego nie wiesz? Mówże składniej.

– Nie wiem, gdzie jest. Nie wiem, dokąd zabrali panicza Nata.

Kapitan uniósł prawicę, zapewne z zamiarem dotknięcia ramienia Scotlanda, by go pocieszyć, ale opuścił ją, bo natrafił na poranioną skórę.

– Widziałeś coś? – zapytał.

– Tylko jak go dokąds prowadzą. Zabrali go stąd. – Scotland wskazał piracką chatę.

Na to nie mogłem się już dłużej pohamować.

– Chcesz powiedzieć, że zabrali go do chaty? – zapytałem. – Zabrali go do chaty? – Sam byłem zdziwiony, że pamiętałem, by mówić „go”, a nie „ją”.

Scotland wbił wzrok w ziemię.

– Przykro mi, paniczu Jimie – powiedział tak cicho, że musiałem wyciągać szyję, podobnie jak kapitan, by go usłyszeć.

– Ale do chaty? Tego nie widziałem. Poszedłem tędy, a oni tamtędy. Tylko tyle wiem.

Kapitan nam przerwał. Z jego zasmuconej twarzy wyczytałem, że chce się dowiedzieć więcej, ale wie też, że musimy ruszać dalej.

– Nie czas teraz – rzucił boleściwie. – Wrócimy do tego i wszystko się wyjaśni.

Scotland pokiwał głową i zawtórowałem mu, wiedząc, że nie ma wyboru – ale wszystkie niepokoje, które ściagały mnie na wyspie, nagle zniknęły. Ich miejsce zajął smutek. Smutek i przerażenie, ale również determinacja. Odkryjemy, co mamy odkryć, jak to powiedział kapitan. Nadzieja na radość była płonna, choć jeszcze nie zginęła.

Kapitan najwyraźniej myślał tak samo, wyjaśniając Scotlandowi, że powinien poprowadzić więźniów przez podwórzec, z bosmanem Kirkbym i panem Tickle'em dla ochrony. Mieli obejść Kubrykowy Sąd i wyjść przez południową bramę, a następnie zebrać się na plaży. Kapitan pójdzie za nimi, trzymając mnie, pana Stevensona i pana Creeda w odwodzie na wypadek, gdyby piraci odzyskali rezon i zaczęli stawiać opór.

Scotland ścisnął kapitana za przedramię – dłoń mu krwawiła i zostawił wilgotny ślad, gdy dotknął jego rękawa. Później rozmawiał z nim, potwierdzając szczegóły naszego planu, a ja odsunąłem się, by przypilnować wyjścia więźniów.

Scotland szedł na czele kolumny, wyprostowany jak struna. Obrzucił pustym spojrzeniem Jinksa i toczył zbuntowanym wzrokiem po otwartej przestrzeni na wprost. U jego boku szła kobieta, której przyodziewek stanowiła popruta płachta brezentu z wyciętym otworem na głowę, obwiązana liną w pasie. Choć nic nie mówiła ani nie patrzyła na Scotlanda, założyłem, że to jego żona. Bosa i obszarpana, ze strupami na ramionach i nogach, emanowała czymś, co można by określić jako racja – nie duma ani nie tupet osoby przy władzy, lecz coś pokrewnego pełnej rozsądku stateczności.

Za tą dwójką ruszyli ich towarzysze. Najpierw mężczyźni, wielu ze złożonymi ramionami, by się rozgrzać – choć słońce już wyłoniło się zza horyzontu i świeciło wprost na podwórzec. Niektórzy nieśli jakieś zawiniątka z dobytkiem. Inni podpierali się kijkami albo podtrzymywali się wzajemnie, obejmując za ramiona. Wielu nosiło ślady po razach – widziałem głębokie szramy na plecach i czołach, kostki opuchnięte od lin, którymi ich krępowano. Zacisnąłem mocno zęby i obiecałem sobie w duchu, że nigdy tego nie zapomnę.

Dalsza część pochodu wywołała we mnie jeszcze większy wstrząs. Najwyraźniej więźniowie mieli swoją hierarchię w kwaterze, bo mężczyźni spali w części przy drzwiach, a kobiety leżały dalej, w najciemniejszym zakamarku chaty. Miało to na celu ochronę kobiet – choć było jasne, że na nic się ona zdała.

Choć w tamtych czasach nie byłem świadomy tego, jak nisko można upaść w poszukiwaniu rozkoszy, nie mogłem powstrzymać łez współczucia na widok tych nieszczęśnic, które przemykały obok mnie cienkim, drżącym strumykiem.

Rany na twarzach, pokrwawione nadgarstki i stopy, spękane usta, niemal całkowita nagość – wszystko świadczyło o okrucieństwach, które przewyższały to, o czym mówił nam Scotland. Potwierdzały to też ich spojrzenia. Kobiety wzrok wbiły gdzieś w dal, w punkt, który poruszał się wraz z nimi, i zdawały się trzymać go kurczowo, jakby w transie. Tylko jedna z nich miała iskrę życia – kobieta, która w dłoni ścisnęła jakąś książkę z rozerwaną okładką; pomyślałem, że musi to być Biblia. Kiedy zatrzymała się w słońcu, przycisnęła mi dłoń do policzka, jakby wątpiła w moją obecność.

– Jestem Rebeka – powiedziała i uśmiechnęła się do mnie. Palce miała zimne jak lód.

Kiedy procesja się skończyła, kapitan zatrzymał się w proggu, wziął głęboki wdech i zniknął w ciemności, by upewnić się, że nikt nie został w środku. Choć wiedział, że należy stąpać bardzo ostrożnie, usłyszałem chwiejne szuranie jego butów i to wystarczyło, bym wyobraził sobie, co musiał tam zobaczyć – obrazy, które wypchnąłem ze świadomości, kiedy tylko wyłonił się ze środka. Otarł dłonią twarz jak ktoś, kto odgarnia pajęczyny z oblicza, a potem zamknął drzwi i podparł je drewnianą żerdzią.

Kiedy skończył, czoło pochodu przeszło już przez podwórzec i dotarło niemal do bramy – nasze siły, w liczbie pięćdziesięciu osób, rozciągały się na całej otwartej przestrzeni. Po części miałem nadzieję, że taka liczba ludzi może stanowić niebagatelny siłę i tym samym dopomóc w ucieczce. Ale też byłem w rozpacz, gdyż byli słabi jak trzciny na wietrze i dałoby się ich sprawnie wyciąć.

Sprzeczne uczucia sprawiły, że zamarłem na chwilę. Zerknąłem na Jinksa w fotelu o kilka kroków ode mnie i zdałem sobie sprawę, że jego śmierć w ogóle mnie nie obeszła, poza odrobiną ciekawości, bo wydawał się taki jak poprzednio, lecz jednocześnie zupełnie inny. Cienka strużka śliny zwisała z jego popalonych słońcem ust, ale oddech już jej nie przeszkadzał. Wtedy skierowałem wzrok za palisadę, w stronę otwartego morza.

Choć od jakiegoś czasu świeciło już słońce, chmury nagle zmieniły cały obraz przy pomocy olbrzymiej gamy szarości. Szara była ziemia w obrębie palisady, szary popiół zalegał w zgaszonym ognisku, szara była barykada, szare poletka ryżu rozciągały się aż do Ostoi, szare drzewa i kamienie widniały na Wyspie Szkieletu. Jedynie Biała Skała znajdująca się kilkanaście metrów od brzegu stanowiła w tym wszystkim pojedynczy, jasny punkt, a jedynym zdecydowanie zielonym obszarem wokół była kępa paproci wyrastającej z jej szczytu. Biły w nią fale wywołujące głębokie uczucie melancholii. Szare, puste fale, na których nawet nie było śladu po Słowiku.

Nigdy nie byłem podejrzliwym dzieckiem, nie wierzyłem też w żadne czary niemające podstaw w prawach natury. Ale kiedy ten obraz zniknął i pojawił się następny, zastanawiałem się, czy moja niedola w jakiś przedziwny sposób nie wywołała tego wszystkiego, co nastąpiło potem. Mówiąc prostym językiem – pragnienie, by opuścić Wyspę Skarbów, wdarło się do mych myśli z taką siłą, że podziałało na mnie jak głośnie klaśnięcie albo krzyk. Przynajmniej było czymś namacalnym, choć najwyraźniej oczywistym dla innych. Bo kiedy znów spojrzałem na podwórzec, spostrzegłem, że piraci w końcu obudzili się z pijackiego otępienia i zaczęli się zbierać na werandzie przed chatą. Poczujęm, że w jakimś stopniu jestem odpowiedzialny za ów fakt, choć przecież nie można mnie było za to winić.



## Rozdział 29

# Rozmowa przy bramie

Smirke wyszedł z chaty jako pierwszy, ziewając i pocierając głowę otwartą dłonią. To budzenie trwało przez kilka sekund, po czym nagle zrozumiał, co się dzieje, i zaczął wściekle machać rękami, rycząc na swych kompanów, by natychmiast wstali. Kiedy dostrzegłem pistolet wetknięty za pas, moje serce zaczęło bić szybszym rytmem.

– Jinks! – zadudnił w stronę ciała wciąż pozornie śpiącego pirata, a kiedy ani drgnęło, posypały się przekleństwa, które moim zdaniem pognały duszę jego kamrata wprost do piekielnych czeluści. Kiedy tak kłął, przypomniałem sobie, że Scotland uważa go za potwora. Wściekłość wylewała się z niego już na sam widok Smirke’a, tworząc aureę nieprzeniknioną niczym stal.

Kapitan nie był tym ani trochę zdumiony i wciąż wydawał rozkazy wyraźnym i zdecydowanym głosem.

– Bosmanie Kirkby! – zawołał. – Nie ma co się teraz skradać. Niech pan pędzi do brzegu, ile sił w nogach.

Była to rozsądna rada, lecz przyjęta z o wiele mniejszym rozsądkiem. Sam widok Smirke’a wywołał panikę wśród więźniów, którzy błyskawicznie zaczęli biec na oślep w stronę południowego wyjścia z obozu. Ten chaos czynił z nich łatwą zwierzynę – choć widziałem, że i tak mogą utrzymać przewagę, gdyby udało im się przejść przez bramę, bo kapitan broniłby ich niczym współczesny Horacjusz Jednooki.

Pozostali piraci dołączyli do Smirke’a na werandzie, wciągając pospiesznie koszule, zapinając pasy, naciskając kapelusze na głowę i wpadając na siebie, co wywoływało wybuchy wściekłości. Doliczyłem się dziesięciu mężczyzn, zgodnie z relacją Scotlanda, który mówił o dziesięciu rozbitkach z Achillesa. Jeden, jak zauważyłem, miał gęstą, siwą brodę sięgającą mu niemal do pasa. Inny dzierżył rozwidlony ruszt, którym machał w naszą stronę niczym dwuręcznym mieczem. Wszystko to czyniło z nich dość komiczną zbieraninę łotrów, ale ich groźby były bardzo realne. Jednak to wszystko nic w porównaniu ze Stone’em, który pojawił się u boku Smirke’a niczym upiór z koszmaru. Jego pociągła twarz była blada jak ściana i nie wyrażała żadnych emocji, a szrama wokół szyi wyglądała niczym zawiązana chusta. Spojrzał na Jinksa, potem znów na nas, i wolno obnażył zęby. Choć sugerowało to, iż chce nas pożreć i przeżuć, wciąż stał bez ruchu, a jego porcelanowe ślepie łypały jakby poruszane za sprawą jakiejś maszyny.

Byłem tym zaskoczony – zdziwiony, że piraci nie ruszyli na nas od razu. Ale kiedy patrzyłem na Smirke’a krążącego kołyszającym się krokiem po werandzie i jego pistolet szorujący o rapier przy pasie, zacząłem rozumieć. Prawdopodobnie zabicie kamrata było dla niego przejawem skrajnej bezczelności, ale nie miał powodów do pośpiechu – był całkowicie pewien, że pokona nas w walce. W jego oczach byliśmy bezbronni jak ptaszęta na gałęzi, mógł poskręcać nam karki, kiedy tylko chciał.

Tak czy inaczej, spieszyliśmy się bardzo i gdy wyprowadziliśmy ostatnie osoby z naszej grupy przez bramę, kapitan rozkazał panu Stevensonowi i panu Creedowi zająć miejsce po jednej stronie bramy, ja zaś przykucnąłem po drugiej. W ten sposób stanęliśmy za drewnianą zasłoną palisady. Kapitan tymczasem usadowił się w samym środku tej matni, stając w rozkroku niczym na pokładzie Słowika na pełnym morzu.

Przysunąłem się bliżej niego i zerknąłem na naszych przeciwników. Smirke i pozostali ruszyli w naszą stronę ciężkim krokiem i zatrzymali się pięć metrów przed bramą. Wszyscy dyszeli ciężko, ale bardziej z podniecenia niż z wysiłku, niczym ogary dochodzące zdobyczy. Gdy stanęli tak blisko, mogłem zobaczyć, że ich dłonie i twarze są upstrzone chorobowymi plamami – podobnie ich usta, poczerniałe od nadmiernego słońca.

Spodziewałem się, że Smirke obrzuci nas pogardliwym spojrzeniem, gotów rzucić nam się do gardeł. W jego spojrzeniu widziałem lekceważenie, ale też olbrzymią ciekawość. Byliśmy największą grupą nieznanym, jaką widział od dawna – i choć nie pasowała mu nasza obecność, nie potrafił ukryć fascynacji nami. Naszymi twarzami, ubraniami, włosami – wszystko to, my cali byliśmy dla niego obiektem zadziwienia.

Przynajmniej przez jakiś czas – bo w mgnieniu oka Smirke zdawał się nasycić głód nowości i powrócił do swych starych nawyków. Wziął się pod boki. Skinął wielką, rozczochraną łepetyną. Przebiegł językiem po połamanych pniakach zębów. Pozwolił sobie nawet na parsknięcie śmiechem. Gdyby miał większy zapas amunicji, z pewnością rozprawiłby się z nami od razu.

– Macie dość ukrywania się? – Smirke w końcu przemówił z ekstrawagancką beczelnością w głosie, a ślina w jego ustach nadała wypowiedzianemu zdaniu nowy, złowróżbny kontekst. To pierwsze słowa, które usłyszałem, niebędące przekleństwami, a pomimo tego sposób, w jaki je wypowiadał, miał wszelkie cechy obelgi.

Zaden z nas się nie odezwał, więc miałem okazję, by przyjrzeć mu się uważniej. Zagięcia jego kaftana, rękawy oraz koszula były sztywne od brudu.

– Macie dość podchodów i ukrywania twarzy? – ciągnął dalej Smirke, ale nagle wykrzyknął: – Macie dość mordowania moich ludzi we śnie? – Słowa te miały pokazać, że jest górą, i dla podkreślenia efektu zerknął w stronę brzegu, gdzie pan Tickle zagonił więźniów, zbijając ich w zwartą grupę. Scotland stał na jej czele z nagimi ramionami założonymi z tyłu, jakby jego ciało miało stanowić tarczę chroniącą ich wszystkich.

Spojrzałem na niego z podziwem, ale również z pełną ciekawości rezerwą. Niemal całą swą uwagę skupiłem teraz na kapitanie, jakbym w milczeniu nakazywał mu zapytać o Natty, żeby wiedzieć, co się z nią stało.

Ale kapitan obrał własny kurs.

– Nikt się nie ukrywał – powiedział z przekonującym pozornym spokojem. – Ja tylko wszystko obserwowałem. Patrzyłem, jak pan prowadzisz tę swoją posiadłość.

– Moją posiadłość! – powtórzył Smirke. – To więcej niż posiadłość, zapewniam pana.

Nie interesowało go już, co się dzieje na brzegu, gdyż z zadowoleniem stwierdził, że więźniowie wciąż są w jego zasięgu. Znów zaczął przyglądać się kapitanowi – patrzył mu prosto w oczy, by odczytać myśli, ale spoglądał też na jego buty, spodnie, kaftan, nawet na to, w jaki sposób przycina bokobrody (dość niezgrabnie, ale dostatecznie równo). Podczas tej obserwacji koniuszek jego języka, gruby i czerwony, wciąż pojawiał się między spalonymi od słońca ustami, by je zwilżyć. Przechodził, co zauważyłem, drugi atak ciekawości, bo z jednej strony miał ochotę zabić intruza, a z drugiej usiąść z nim i wysłuchać wieści z szerokiego świata.

Kapitan zrozumiał tę rozterkę równie dobrze jak ja i postanowił wykorzystać ją na swoją korzyść.

– Raczy pan rozwinąć tę myśl – powiedział ze stanowczą śmiałością w głosie. Ani się zająknął o Jinksie, a i Smirke też najwyraźniej nie zamierzał po nim rozpaczać.

– Moja posiadłość to królestwo – odparł Smirke. – A teraz wy się w nim znaleźliście, tym samym jest pan jednym z jego obywateli. Jednym z moich obywateli.

– Należę wyłącznie do siebie i do Anglii – odpowiedział kapitan głosem spokojnym niczym toń w stawie. – I dzięki temu mogę nazywać się wolnym człowiekiem. Na tyle wolnym, bym mógł się przynajmniej przyjrzeć pańskiemu królestwu.

Smirke wyglądał na zbitego z tropu – nie przywykł do wysłuchiwania opinii, które są sprzeczne z jego zdaniem. Choć instynkt nakazywał mu rzucić się błyskawicznie na intruzów (co widziałem po tym, jak jego palce stężyły na rękojeści rapiera), to przypomniał sobie, kim był wcześniej – zwykłym żeglarzem, który wiedział, gdzie jego miejsce i że należy słuchać lepszych od siebie.

– I jakież to werdykt suponujesz, panie kapitanie, kiedy już się przyjrzałeś?

– Nie muszę niczego suponować – odparował kapitan. – Znam go aż za dobrze. Uważam, żeś pan jest zakałą ludzkości. Złodziejem, zdrajcą i mordercą. Postanowiłem, że zabiorę cię ze sobą do Londynu, gdzie staniesz przed obliczem sprawiedliwości i usłyszysz wyrok, na któryś zasłużył. Ty i cała reszta. – Tu zatoczył krąg dłonią, by objąć tym gestem stojących obok i za Smirkiem ludzi.

Gdy przypominam sobie dzisiaj te słowa, które przytaczam wiernie, dostrzegam, że były nieco sztywne i belferskie. Kapitan miał takie cechy. Ale świadczyły one wyłącznie o jego przyzwoitości, nie były wadą, a poza tym wtedy wydawały się bardzo adekwatne do sytuacji. Zabrzmiały niczym głos prawdy – i choć wypowiedziane tak dosadnie i celowo naraziły nas na większe niebezpieczeństwo, niosły ze sobą również ulgę. Określiliśmy nasze stanowisko i wiedzieliśmy, że będziemy musieli się go trzymać.

Smirke był wyraźnie dotknięty, kiedy usłyszał, jaki los szykuje mu kapitan. Ale nie ruszał się i o to też kapitanowi chodziło. Im dłużej trwała ich konfrontacja, tym więcej czasu miał Słowik, by przypłynąć nam w sukurs.

– Zapomina się pan, kapitanie – wybuchnął Smirke i zobaczyłem, jak drżą mu usta. – Pańskie życie i życie członków pańskiej załogi do mnie należy. Jak zechcę, to będzie pan żył. Jak zechcę, to pan zginie. Swego czasu pływałem po morzach, poznałem też ląd. Widziałem rzeczy dobre i złe, lepsze i gorsze, piękną pogodę i paskudną pogodę, kończące się zapasy i tym podobne. I powiadam panu, że nigdy nie widział, jak dobre wychodzi na dobre. Lubię takich, co uderzają pierwsi, bo trupy nie kásają, tak to widzę, amen, i niech się dzieje wola boża. Trupy nie kásają.

Choć jego słowa mnie przeraziły, zostały wypowiedziane z taką buńczucznością, z tym jego wywracaniem oczu, że wywarły na nas efekt znacznie mniejszy niż zamierzony. Mój nastrój jednak wkrótce się zmienił, bo gdy Smirke już skończył z pogrózkami, odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął gromkim śmiechem. Rehot był tak głośny, że przestraszył kilka papużek gniazdujących na drzewach obok palisady, które śmignęły w stronę Ostoi niczym zielone strzały.

Podobne ryki kojarzyły mi się wyłącznie z utratą zmysłów, a do tego ucichły równie gwałtownie, jak się zaczęły. Wówczas Smirke wbił w kapitana swój kaprawy wzrok i wycedził straszliwie jadowitym głosem:

– Zdechniesz jak ten szczeniak, którego tu posłałeś, tchórze. Zwiadowca, jak mu tam było na imię. Zabawne, że rzuciłeś monetę o jego ostatnie tchnienie. Zabawne, że posłałeś go jak świnię na rzeź.

Mówił o Natty i choć wiedziałem, że to podważy autorytet kapitana, nie mogłem powstrzymać tego, co miało nastąpić. Wyprostowałem się za palisadą i krzyknąłem do Smirke'a:

– Coś ty zrobił?

Nastąpiła krótka chwila bezruchu, w której kapitan odwrócił się, by na mnie spojrzeć, jednocześnie wyjmując pistolet zza pasa. Najwyraźniej uważał, że mój okrzyk zakłóci uzyskaną przez niego równowagę i szybciej sprowokuje wybuch przemocy po jednej ze stron.

– Co zrobiłem? – odparł Smirke, ospale poruszając biodrami. – A co ci do tego, szczeniaku? Utraciłeś coś cennego? – W jego głosie było coś przedziwnego i pomyślałem, że odkrył tajemnicę Natty.

Jego kolejne słowa, choć równie przerażające, upewniły mnie jednak, że sugestia była mylna.

– Twój kompan – powiedział – nie pożegluje już z tobą po morzach i oceanach. Teraz kroczy pod ziemią, bezpieczny od morskich niebezpieczeństw i sztormów.

Gdy Smirke wymówił te słowa, na dźwięk których serce ścisnęło mi się tak mocno, jakby wraził mi dłoń w piersi, piraci przysunęli się do niego, pomrukując coś i kręcąc się nerwowo. Zdawali się potwierdzać to, co powiedział – choć pełne znaczenie jego słów wciąż było dla mnie tajemnicą. Przyjąłem, że zdarzyło się najgorsze i, tak czy inaczej, zacznie się moja żałoba, o ile okoliczności mi na nią pozwolą. Ale gdy Smirke skończył swą przemowę, splótł dłonie na piersi, ukazując radość ze swej podłości, jego pomagier Stone w końcu wyszedł naprzód. Stone'a cechowała tak wielka obojętność wobec wszystkich spraw, że widać było, iż nie dba o nikogo ani o nic – co jednocześnie potwierdzało, że jest nieprzejednany w osiągnięciu wyznaczonego celu. Doszedł do wniosku, że ma dość metod Smirke'a i chciał obrać bardziej bezpośrednią drogę, by wszystko zakończyć.

Na to znów przykucnąłem i zerknąłem jak poprzednio zza krańca bramy – wydawało mi się, że spoglądam na trupa, który już nie czuje bólu, lecz innych raczy nim obficie.

Kapitan był wciąż zdecydowany, by przeciągać ten impas tak długo, jak to możliwe.

– Pan się myli – powiedział, ignorując Stone'a i zwracając się wyłącznie do Smirke'a. – Dałem panu szansę na dostrzeżenie zła, jakie pan tu uczyniłeś, byś się pan poddał sprawiedliwości. Jeśli pan tego nie zrobi, nie będę miał wyboru i będę zmuszony wziąć pana w areszt; pana i pańskich pomagierów.

To wzbudziło kolejny ryk śmiechu.

– Słyszeliście, chłopcy? – zapytał Smirke, kiedy odzyskał mowę. – Kapitan wygarnie nas wszystkich z kubryku. Potrafimy okiełznać sztorm, ale nadajemy się tylko na szubienicę. Co o tym myślicie, chłopaki?

Jak się spodziewałem, pomruki za jego plecami urosły do ujadania i wznieciły ogólny jazgot. Wiedziałem, że nie zdoła powstrzymać dłużej swoich ludzi i odwróciłem się na chwilę, by spojrzeć do tyłu w nadziei na jakieś wybawienie. Doznałem niezwykle smutnego zawodu. Drzewa wzdłuż brzegu zatoki drżały w szarym świetle, jakby odczuwały ten sam lęk co my. Podobnie listowie na Białej Skale, która leżała niecały kilometr stąd i była całkowicie otoczona wodą – pióropusz z paproci drżał z dziwną zaciętością, a za nim puste fale ciągnęły się po horyzont.

Kiedy odwróciłem się ponownie w stronę bramy, zobaczyłem, że długa zwłoka właśnie się zakończyła. Smirke w końcu stracił cierpliwość do kapitana, do jego kąśliwych uwag i do ludzi burzących mu się za plecami – wyciągnął pistolet zza pasa. Było to cudownie staromodne i nieporęczne urządzenie, ale nie miałem złudzeń, że zupełnie sprawne. Gdy Smirke odciągnął naciąg iglicy, zamknął oko i zerknął z lubością wzdłuż lufy; odegrał spektakl zawierający aż nadto wyrazistą sugestię.

Pozwoliło to naszemu kapitanowi unieść własną broń, na którą Smirke zdawał się nie zwracać uwagi, a może nawet jej nie zauważył. Najwyraźniej wierzył, że kapitan nie będzie miał odwagi wypalić jako pierwszy i – po długich latach rozpustnego życia – zaczął uważać się za nieśmiertelnego. Kiedy to przedstawienie dobiegło końca, obaj mężczyźni stanęli z bronią wycelowaną w serce drugiego.

Wstyd mi przyznać, że dopiero wtedy w pełni zrozumiałem, na co patrzę. Od początku wiedziałem, że nasza przygoda będzie niebezpieczna. Widziałem, jak dwaj mężczyźni zginęli na morzu. Bałem się o Natty i podejrzewałem, że przyjdzie mi ją opłakiwać. Niemal straciłem życie i zostałem zmuszony do kontemplacji spraw ostatecznych. Ale nigdy nie podejrzewałem, że moje życie przywiedzie mnie do takiej chwili. Nie, że kapitan znajdzie się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Ten kapitan, który przeprowadził nas przez wiele niebezpieczeństw. Którego życzliwość zdawała się lekiem na całe okrucieństwo świata. Którego zajął się mną równie troskliwie, jak by to uczynił mój ojciec.

Z tą myślą – był mi jak ojciec – znów skoczyłem na równe nogi, wykrzykując jedno słowo: „Nie!”, jakbym rzeczywiście był niedojrzałym, zapalczywym młokosem. Nie ucichło jeszcze echo mego okrzyku,

gdy zrozumiałem, że chcąc chronić kapitana, naraziłem go na większe ryzyko – ponieważ teraz musiał mnie wypchnąć za palisadę dla mego bezpieczeństwa. A kiedy wyprostował się po moim wybuchu i zaczął znów mierzyć do Smirke'a z pistoletu, ten zacisnął palec na spuście swojej broni i wystrzelił.

Dwóch mężczyzn nie dzieliły nawet trzy metry i wydawało się, że kapitan nie ma szans. Tak sobie od razu pomyślałem, wpadając w odmęty wzburzonego strumienia myśli – trwogi, poczucia winy, wstrząsu i przerażenia. Ale strumień nagle zmałał, czy raczej zmienił swój bieg. Pistolet Smirke'a, zamiast wydać z siebie odgłos eksplozji, zadymił i parsknął tylko, bo zbyt długo trzymano go w pogotowiu i zamókł albo miał inną usterkę – i było po wszystkim.

Spodziewałem, że kapitan jakoś to skomentuje, choćby tylko po to, by wypełnić kolejne minuty. Ale wiedział, że czas na rozmowy już minął. I tak z odwagą, którą uznałem za wyjątkową, nie zwrócił nawet uwagi na to, co się zdarzyło, i nie spuszczał Smirke'a z celownika. Ten wyglądał, jakby uszło z niego całe powietrze, zwiesił ramiona, a ubranie wisiało teraz na nim niczym na strachu na wróble. Kapitan natomiast zdawał się potężnieć i twardnieć, wychylił się nawet nieco w przód, by mieć pewność, że kula dosięgnie celu.

Wypalił – rozległ się głośny huk, jakby dwa kawałki drewna trzasnęły o siebie, a echo odbiło się od rosnących wkoło drzew.

Czy Smirke padł? Czy jego załoga go podtrzymała, a następnie wściekle ruszyła do ataku, by wyciąć nas w pień? Wyobrażałem sobie to wszystko – ale nic takiego się nie wydarzyło. Bo niemal w tej samej sekundzie, w której Smirke zatoczył się w tył, odezwał się kolejny odgłos, którego z początku nie zanotowałem. Było to donośny brzęk, taki jaki się czasami słyszy w kuźni. Niczym człowiek niespełna rozumu patrzyłem na Smirke'a, szukając jakiegoś wyjaśnienia. Choć twarz miał wykrzywioną niczym gargulec, wciąż stał. Jego szerokie usta otwierały się, jednak nie by zaczerpnąć ostatnie tchnienie, ale by wydać z siebie kolejny ohydny, dudniący rechot.

– Myślisz sobie... – krzyknął, gdy znów odzyskał równowagę, a rozbawienie na jego twarzy przemieniło się w nienawiść. – Myślisz sobie, że tak łatwo jest załatwić starego Smirke'a, co, kapitanie? Myślisz sobie, że możesz zedrzyć koronę z tej głowy i objąć królestwo w posiadanie? Albo że możesz zakraść się tu z załogą złożoną z idiotów i dzieci i zabrać mnie za morze, tam gdzie nie mam najmniejszej chęci płynąć?

Zamilkł, by nabrać powietrza, rzucając spojrzeniem błyskawice niczym jakiś Goliat. Kapitan, co dostrzegłem z trwogą, już nie patrzył mu w oczy, ale majstrował coś przy swoim pistolecie. Wtedy rzuciłem się do niego z sakwą, żeby mógł zacząć ładować broń. Była to prawdziwie żalosna taktyka i jedynie bardziej rozwścieczyła Smirke'a.

– Jesteś pan tchórzem, panie kapitanie – zaryczał Smirke. – I cholernym głupcem, uzurpatorem i nadętym, małym chwalipiętą... Rozpłatał cię na pół, ja ci... – Był tak pobudzony, że słowa zachodziły jedno na drugie, walcząc o pierwszeństwo i zbijając się w dźwięki, które bardziej przypominały chrząkanie czy burczenie, by w końcu rozmyć się całkowicie, na co zaczął szarpać za guziki kamizeli, gdzie ślad po kuli kapitana widniał wprost w miejscu serca.

Dziwaczna niezdarność krępowała jego ruchy – a może była to przypadłość mego umysłu, który zaczął dostrzegać to, czego nie chciał zrozumieć. Smirke wolno uniósł poły kaftana, który uparcie nosił (jak sądzę – jako symbol władzy) pomimo rosnącego upału, a potem podniósł koszulę. Pod spodem ujrzałem grubą płytę z brązowego metalu wiszącą mu na szyi na wysmołowanej lince – była pokryta srebrnymi śladami po uderzeniach młota. Pomyślałem, że prawdopodobnie jest to denko starego rondla, które zostało odcięte i uformowane w ten sposób. Pozostałości po kuli kapitana równomiernie rozplaszczono na jego powierzchni wyglądały tak nieszkodliwie, jak pomarszczona poczwarka motyla.

Kapitan jęknął, gdy to zobaczył, i ramiona mu opadły. W tej utracie rezonu było coś, co wstrząsnęło mną o wiele mocniej niż to, co rozegrało się później, choć sprawiło, że pokochałem go jeszcze bardziej. Upuścił na ziemię pistolet, który odbił się w moim kierunku po dani, jakby żył własnym życiem. Pochwyciłem go i poczułem rękojeść mokrą od potu. Miałem oczywiście zamiar sam naładować broń, lecz los wytrącił nam inicjatywę z dłoni. Palce mi drżały, gdy piraci ruszyli w stronę bramy, i podniosłem wzrok, jakbym chciał przeprosić za moje guzdralstwo.

Nie było potrzeby. Kapitan zapomniał już o swoim pistolecie i wyciągnął broń z pochwy. Następnie machnął odważnie swym ostrzem w stronę wrogów, zachęcając jednego z nich, by stanął do walki. Nie było to jednak przekonujące przedstawienie, najwyraźniej podlane rozpaczą, a nie wściekłością. Tak czy inaczej, nie zrobiło ono na Smirke' u żadnego wrażenia. Zrobił długi krok naprzód, wyciągając swój pałasz i stukając brudnym paluchem w puklerz tak, że metal wydał z siebie stłumiony brzęk. Ubranie już nie wisiało na nim, lecz mocno opinało ciężkie ramiona i nogi.

– No co, zabijesz mnie tą igiełką, kapitanie? – zapytał. – Zamordujesz mnie szpilą do kapelusza, tak jak zamordowałeś mego druha, pana Jinksa, niech mu ziemia lekka będzie? – Zerknął przez ramię, nie odwracając głowy, a jedynie wywracając oczami. – Wiele pływałem z mym kompanem, panem Jinksem. Dzieliłem z nim większą samotność, niż chce mi się o tym mówić. A tyś zamordował go we śnie? No to pytam cię teraz, czy tak postępuje chrześcijański gentleman, imć kapitanie? Czy taki dajesz przykład swym młodym załogantom i towarzyszom, z którymi posilas się w tej samej mesie? – Zamilkł z tymi słowami, by przełknąć ślinę i posłać mi obmierzłe spojrzenie, po czym ciągnął dalej z celową powolnością: – Jesteś mordercą i ja jestem mordercą, kapitanie, tak to widzę. Jaka jest między nami różnica? Żadna. Nie ma żadnej różnicy między nami. Może tylko taka, że mnie to... – Tu wzruszył ramionami, aż puklerz zakołysał mu się na szyi. – ...mnie to mniej przeszkadza.

Smirke opuścił teraz swoją broń, stukając sztychem w ziemię, jakby zamierzał wypłoszyć zwierzynę z kryjówek. I kiedy zbliżył się do kapitana, jego załoga ruszyła za nim niczym cień, tak zbity w kupę, że pomyślałem, iż nawet nie będą musieli wymieniać z nami ciosów, bo wystarczy, że nas wyduszą na śmierć.

Nagle obraz się zmienił.

Nieważne, czy od początku to planował, czy też nagle przyszło mu to do głowy, Stone wyrwał się z tłumy i wyszedł przed grupę piratów. Smirke był najwyraźniej nieco zaskoczony i gotów zagrozić mu drogę do kapitana, aby odzyskać dowodzenie. Ale kiedy spojrzał w puste oczy Stone'a, zmienił zdanie, zamknął usta i tylko skinął głową – po czym zassał powietrze przez zęby w ohydny wyczekiwaniu na ucztę.

Stone odgarnął długie strąki białych włosów z twarzy, po czym w niezwykle wymownym geście uniósł prawe ramię, wyprostował je i najwyraźniej wskazał na morze. Ale nie palcem. Wskazywał bronią. Niewielkim, srebrnym pistoletem. Jednak nie kierował go w stronę oceanu, ale w czoło kapitana. Stone nie odezwał się ani słowem, ani nawet nie mrugnął. Po prostu wycelował, palec mu stęzał i poruszył się nieznacznie, po czym rozległ się wystrzał.

Ponieważ widziałem, jak Smirke przeżył taki sam atak, przez chwilę wydawało mi się, że wszystko odbędzie się podobnie. Ale było to niemożliwe. W chwilę po wystrzale z broni Stone'a kapitan padł do tyłu jak kłoda, a kiedy jego ciało uderzyło o ziemię, poczułem drżenie w dłoniach i kolanach. Klęczałem na trawie i jego twarz znalazła się o metr od mojej, a stary, wysłużony kapelusz, zielony ze śladami pleśni na szyciu, spadł mu z głowy. Zobaczyłem go wyraźniej niż kiedykolwiek – z piegami na nosie i policzkach, z rzęsami koloru piasku, które ciemniały, zbliżając się do powiek, i srebrzystymi bokobrodami na szczęce. Pośrodku brwi, które często podziwiałem za całą gamę uczuć, jaką potrafił za ich pomocą wyrazić, widniała niewielka, czarna dziura, nad którą wciąż unosił się kłębek dymu.

– Och, sir – usłyszałem własne słowa wypowiedziane głosem, który ledwo rozpoznałem jako swój.

Był to pierwszy dźwięk, który przerwał ciszę, biegnąc przez ciężkie powietrze niczym odgłos pękającego lodu – i nagle, ku memu wielkiemu zaskoczeniu, odbił się echem od brzegu za moimi plecami. Nie, to nie było echo. Nie potrafiłem zrozumieć głośnych okrzyków radości, dopóki nie odwróciłem się i nie zobaczyłem Słowika, który wyglądał tak ślicznie, jak okręt w butelce, przedzierając się przez fale na końcu półwyspu i sunąc w stronę Ostoi.

## Rozdział 30

# Bitwa na brzegu

Chciałem tam pozostać i zatopić się w żalu. Chciałem wpełznąć w głąb ziemi i zakryć się trawą niczym kocem, żebym mógł tylko tak leżeć niezauważony obok kapitana. Mój umysł nie był jeszcze gotów, by wyjść spod jego opiekuńczych skrzydeł. Mój instynkt jednak... Instynktu nie interesowało nic oprócz ratowania życia. Podskoczyłem do góry z godną pogardy żywotnością, chwyciłem broń kapitana leżącą w jego rozwartej dłoni, zrobiłem zwrot i ruszyłem biegiem w stronę brzegu. Kątem oka dostrzegłem pana Stevensona i pana Creeda, którzy ruszyli w moje ślady – Stevenson ścigał kapelusz z głowy, by nie stracić go w tym pędzie. Skóra na jego czole była biała jak śnieg, co stanowiło wyraźny kontrast z ogorzałą twarzą.

Z każdym krokiem oczekiwałem salwy z muszkietów albo cięcia ostrzem w ramię. Ale Smirke i jego ludzie nie uczynili niczego, bo być może stwierdzili, że stanowimy zbyt łatwy cel, albo też pojawienie się Słowika całkowicie zbiło ich z pantofelów. Gdy biegłem, próbując zebrać myśli, usłyszałem, jak nawołują się wzajem – komentując, jak pięknie wygląda nasz statek i że wkrótce będą mogli wrócić do domu. Gdy zerknąłem przez ramię, zobaczyłem, jak kilku z nich pokazuje na statek i klepie kompanów po plecach, jedynie Smirke i Stone zdawali się podchodzić do tego wszystkiego ze stoickim spokojem – Smirke, ponieważ napawał się ciałem leżącym nieopodal, a Stone, ponieważ skupił się na ładowaniu broni.

Teren, przez który biegłem – może lepiej powiedzieć: nad którym leciałem – był dawnym bagniskiem, zmienionym przez Scotlanda i jego towarzyszy w polećka ryżowe. Nawet w takim pędzie widziałem, jak równo rosną rośliny i jak dokładnie wszystko tu zostało uporządkowane – rzędkie młodych pędów oraz niskie wały tworzące coś na kształt tarasu ciągnącego się niemal do brzegu, w miejscu, w którym żyzna gleba ustępowała miejsca piaskom. Na ten widok odruchowo musiałem wysoko podnosić nogi, ponieważ nie chciałem stratować tego, co stworzyli z tak wielkim wysiłkiem, chociaż w tej ucieczce stawką było moje życie.

Kiedy całą trójką dopadliśmy do brzegu, bosman Kirkby i pan Tickle ruszyli nam biegiem na spotkanie – pan Tickle z wygaszoną fajką zaciśniętą między zębami. Chociaż nie był kapitanem, poczułem niezwykłą ulgę na widok niezwykłego zdecydowania na jego twarzy, zwłaszcza odkąd więźniowie, do niedawna stojący w zwartej grupie na piasku, rozproszyli się, widząc całe zamieszanie. Jedno czy dwoje z nich padło na ziemię, przyciskając twarz do piasku i mamrocząc modlitwy, które słyszała jedynie Matka Ziemia. Inni wbiegli do wody i stali pośród fal rozbijających się o ich kolana, nie mogąc podjąć decyzji, co jest ważniejsze – piraci za nimi czy Słowik, który teraz stanął o sto metrów od brzegu i rzucał kotwicę.

Udręczenie naszych przyjaciół w połączeniu z ich nagością i strachem dawało niezwykle żaloszny widok. Jedynie Scotland zachował spokój – wciąż stał z wyciągniętymi ramionami, żeby jego żona mogła się w nich skryć.

Był to odważny przejaw buntu, ale również postawa niezwykle desperacka i żaloszna, ponieważ nie miał żadnej broni prócz swej odwagi. Czy też żadnej, dopóki nie podałem mu kordelasa kapitana, wciąż ciepłego od mej dłoni, wyciągając zza pasa swój krótki sztylet. Nasze dwa ostrza brzęknęły o siebie, jakby przypieczętowały braterstwo między nami.

– Dziękuję ci, paniczku Jim – powiedział z posępną twarzą, a potem dodał poetycko, jak to miał w zwyczaju: – Teraz każdy z nas jest kapitanem.



– W istocie, tak właśnie jest – odparłem.

– Będzie z nas dumny.

– W istocie, tak właśnie będzie – odpowiedziałem, choć kiedy znów spojrzałem w głąb lądu, nie byłem o tym przekonany. Smirke skończył triumfować nad kapitanem i wolnym krokiem wyprowadzał swych ludzi zza palisady. Rozciągnęli się w tyralierę, aby nikt im się nie prześliznął. Nie mówili do siebie, nawet nie pomstowali na nas, ale szli w posępnym milczeniu, machając od niechcienia swymi pałaszami na boki, jakby kosili trawę.

Kiedy się do nas zbliżali, najbardziej przerażającą rzeczą – straszniejszą niż spodziewana masakra – były ich wilcze, wygłodniałe spojrzenia. Każde machnięcie stalowym ostrzem świadczyło o tym, że piraci wytrzebią nas z wielką radością, a ta rozkosz będzie ledwo preludium do celu, czyli do zajęcia Słowika i ucieczki z wyspy do życia, jakie sobie wybiorą.

W tym momencie, kiedy zrozumiałem wielkie prawdopodobieństwo nadciągającej katastrofy, spostrzegłem, że moje przerażenie ulotniło się bez śladu i znów mogę sensownie myśleć. Nie żebym pogodził się ze zbliżającą się śmiercią, bo oto odnalazłem w sobie wolę, by zachować godność – postanawiając zakończyć życie w sposób, który będzie mnie odróżniał od mych oprawców. Chciałem walczyć najlepiej, jak potrafiłem. Nie mogłem pozwolić, by osłabła moja odwaga, bo znalazłem się daleko od domu, straciłem Natty i widziałem śmierć kapitana. Nie mogłem pozwolić, by Śmierć myślała, iż zyskała nade mną przewagę, bom nagrzeszył w życiu – szczególnie kradnąc mapę i zdradzając swego ojca. Chciałem wierzyć, że przewiny te będą mi darowane. Przyjąłem drugi żywot dany mi, gdy zostałem uratowany z morskich odmętów.

Nie wyraziłem tych myśli słowami – oczywiście, że nie, bo oznaczały przypyływ wiary w siebie, nadarzącą się możliwość, której uchwyciłem się wyłącznie dla siebie. Nie jestem w stanie w inny sposób wyjaśnić zmiany, jaka we mnie zaszła w tych chwilach na plaży. Za sobą słyszałem krzyki dobiegające ze Słowika, gdy żeglarze spuszczała jolkę na fale i zaczęli wiosłować w naszą stronę. To poskromiło moją nerwowość. Wokół mnie roztaczało się piękno świata – biała piana pęczniejąca na szarych falach, drżąca linia drzew wokół piedestału Wzgórza Lunety, blask ptasich skrzydeł pomiędzy drzewami w lesie. To wzmocniło moje zdecydowanie. Ale główna inspiracja pochodziła z mego wnętrza. Przemieniłem się w anioła śmierci na tak długo, jak to potrzebne.

Bosman Kirkby i pozostali z naszego oddziału, w którym teraz był również Scotland, utworzyli szereg wzdłuż plaży z więźniami kulącymi się w płyciźnie za naszymi plecami. Nie byli w stanie przyjść nam z pomocą, a bez nich stanowiliśmy jedynie garstkę przeciwko sporej grupie nadciągających na nas piratów. Tym samym opóźnienie starcia działało na naszą korzyść – do czasu dobiecia szalupy do brzegu – co piraci również pojęli.

Ostatnich kilkanaście metrów przebyli dużo szybciej, tratując poletka ryżowe, a następnie głośno tupiąc na bardziej stabilnym piasku. Bosman znajdował się na szpicie naszego oddziału, a na wprost niego szedł Smirke. Obok bosmana stał pan Tickle, wciąż gryzący cybuch swej fajki, który ruszył na jednego z łowców niewolników – paskudnie wyglądającego typu ze świdrującymi oczami i w płaszczu, który wyglądał, jakby został uszyty z gałązek i łąt. Scotland stał pośrodku na wprost Stone'a – i choć nie była to stosowna chwila, by roztrząsać nierówne szanse takiego spotkania, zauważyłem z ulgą, że Stone schował pistolet i szykuje się do walki szermierczej. Pan Stevenson stał blisko pana Creeda, na wprost hałastry łowców niewolników, którzy nie mogli się zdecydować, kto z nich ma iść na pierwszy ogień, a kto osłaniać tyły, dlatego też tręcili się ostrzami, wywołując niezły harmider. Moimi przeciwnikami byli dwaj osobnicy, których wcześniej nie widziałem w obozie – łowcy niewolników z Achillesa. Jeden wyglądał niczym mała, przygarbiona małpa, która teraz zaczęła przerzucać broń z ręki do ręki z wielką

wprawą, a drugi był wyższy, starszy i ciężki jak kłoc, z twarzą upstrzoną strupami i z przymkniętymi oczami.

Ruszyłem najpierw na niego, wyłączając umysł, by nie słyszeć szczęku broni, zgrzytania i przekleństw, które teraz wybuchły wokół ze zdwojoną siłą. Człowiek-małpa (tak jak by zrobiło to zwierzę) zdawał się siedzieć towarzyszowi na karku, nieustannie trajlując:

– Turner, z dołu go, ciachnij go od dołu. Tam, w klejnoty. Dziabnij go, no, dziabnij!

Stary Turner niemal całkowicie ignorował te porady i rzucił się na mnie z ostrzem uniesionym ku górze – najwyraźniej mając ochotę uderzyć prosto w głowę, by od razu skończyć ten pojedynek. Czy potknął się na piasku, czy też ja byłem zwinniejszy, głowy nie dam. Wiem tylko tyle: gdy jego broń była wciąż wysoko wzniesiona ku górze, moja trafiła w jego brzuszysko, zagłębiając się (ponieważ byłem niższy) od dołu pod klatkę piersiową, a następnie ostrze wśliznęło się wprost w pirackie serce. Konsystencja ciała była gęstsza niż u wieprza, a strumień krwi, jaki się zaczął z niego wylewać, przypominał mi świniobicie. Wyciekała kleistym, ciepłym strumieniem wprost na me dłonie, aż pospiesznie wyrwałem ostrze jak oparzony.

Człowiek-małpa w mgnieniu oka skoczył na mnie z wyciem, błyskając zębami, jakby miał zamiar mnie nimi chapsnąć, zamiast używać broni. Zaczęliśmy krążyć wokół siebie – i w tym czasie miałem okazję zobaczyć, jak Turner w końcu opuszcza swą broń. Nie, żeby celowo w morderczym ciosie znad głowy, ale z ciężkim, niecelnym machnięciem, które zakończyło się wbiciem sztychu w piach, a jego ciało zważyło się na sterzcący na sztorc pałasz. Twarz mu pobladła; jedynie zaczerwienienia na ranach na policzkach i czole pozostały krwistoczerwone.

– Chcesz mnie zabić, co, szczeniaku? – zatrajkotał małpison. – Wykończyłeś starego Turnera, co, i przez ciebie jego żona owdowiała? I te małe sierotki, całe mrowie, sierotki w portach, do których zawijał tu i ówdzie, kto je teraz nakarmi?

Przy moim nowo odkrytym zdecydowaniu słowa te nie wywarły na mnie najmniejszego wrażenia. Kiedy tylko wykonałem kilka kółek i poznałem przeciwnika, zrobiłem bezpośredni wypad, który zaskoczył go niezmiernie. Pałasz wypadł mu z dłoni przy parowaniu, a końcówka mego sztyletu wbiła się w jego grdykę, w zagłębieniu pod jabłkiem Adama.

– Ach – wyszeptał pełnym zadziwienia głosem osoby, która znalazła odpowiedź na wielką, od dawna dręczącą ją tajemnicę. Tę wiedzę zachował jednak dla siebie. Gdy tylko wybrzmiało to westchnienie, wraz z oddechem uszło z niego życie. Wtedy on również przewrócił się na piasek, gdzie jego głowa spoczęła obok uda przyjaciela Turnera. I leżeli teraz razem niczym dwóch mężczyzn po obfitym posiłku – gruby i słoniowaty Turner, a obok małpison wciąż młody, lecz łysy. Kiedy spojrzałem na nich, oczekiwałem wstrząsu, przypływu litości bądź odrazy. Nie poczułem niczego takiego. Zamiast tego pod czaszką odezwał się spokojny głos, który oznajmił: „Zabiłeś człowieka. Zabiłeś dwóch ludzi”.

W innych momentach mego życia takie zdanie zapewne wydałoby mi się prawdziwym okropieństwem. W tym dziwnym stanie, w jakim się znajdowałem, było jedynie stwierdzeniem faktu. Nie zastanawiałem się, co to może znaczyć – taka przemiana z jednej egzystencji w drugą. Myślałem jedynie o swoich przyjaciółach, których pojedynki były o wiele bardziej wyrównane niż moje. Najdalej ode mnie Smirke i bosman Kirkby stali na wprost siebie, machając swymi pałaszami z metodyczną zaciekłością. (Smirke, co zauważyłem, dyszał już ciężko i spocił się cały). Pan Tickle, pan Stevenson i pan Creed również nie dawali sobie dmuchać w kaszę. Stevenson z uniesioną brodą i wyrazem pogardy na twarzy, jakby uważał tę całą sprawę z bijatyką za awanturę poniżej jego godności. Creed przeskakujący szybko z nogi na nogę. Pan Tickle stał niczym rasowy gwardzista i nie oddawał pola, siekąc i kłując, jakby chciał zademonstrować biegłość w wysyłaniu sygnałów – pałaszem, a nie flagami.

Starcie Stone'a i Scotlanda było o wiele bardziej wyszukane. Scotland najwyraźniej stwierdził, że tak długa niewola działała na jego niekorzyść, co też było prawdą, zwłaszcza pod względem siły i wytrzymałości. Odsuwał się od swego wroga, brodząc po kostki w wodzie i od czasu do czasu robiąc wypad w przód. Rany na jego barkach i świeże pęknięcie na środku czaszki sprawiały wrażenie, jakby otrzymał je przed chwilą. W rzeczywistości były to wcześniejsze obrażenia, które zadano mu za palisadą; teraz Stone nie miał ochoty na zwarcia.

To wahanie zdawało się dość dziwne, dopóki nie spostrzegłem po krabich manewrach pirata, że Stone w rzeczywistości nie jest zbyt zainteresowany Scotlandem, lecz tym, co widzi za nim. Była to kobieta, która szła za nim, kiedy wyłonił się z domu z bali. Jego żona.

Piszę te słowa, jakbym relacjonował na miejscu przebieg bitwy, w której miałem czas odetchnąć, odejść na bok i obserwować. Nie było takiej okazji – jedynie krótka przerwa, zanim znów rzuciłem się w wir walki, ale w takiej właśnie chwili zauważyłem tę kobietę ze szczególną wyrazistością. Była niemal tego samego wzrostu co Scotland i w tym samym wieku, z rozwichrzonymi kędzierzawymi włosami, skórą koloru hebanu, emanująca dumą i wyniosłością, która upodabniała ją do Scotlanda. Miałem dopiero usłyszeć jej głos, ale ślepa furia w jej oczach ewidentnie czyniła wszelką przemowę całkowicie zbędną. Było jasne, że nie tylko pragnie śmierci Stone'a. Pragnie, by to Scotland go zabił, zniszczył wszelki ślad po nim, żeby całkowicie zmiotł go z powierzchni ziemi.

W tamtej chwili poczułem moc jej wściekłości – widząc, jak się prostuje, stojąc po kolana w wodzie, groza związana z obozem piratów i wszystkim, z czym kojarzyło się to miejsce, wzniosła się na nieznane mi wcześniej wyżyny. Smirke był wystarczająco bezduszny, ale instynkt podpowiadał mi, że to Stone ponosił odpowiedzialność za największe bezceństwa. Chłód we wzroku tego mężczyzny mógł zmieniać w kamień – było to spojrzenie jaszczura, bazyliczka o zaciśniętym pysku i trupioblady obliczu. Choć zastanawiałem się, czy istnieje jakakolwiek broń zdolna położyć kres jego egzystencji, ponieważ już przeżył podrzycanie gardła, rzuciłem się, by podbiec do Scotlanda i zadać sprawiedliwy cios.

Dostrzegłem, że szalupa jest dalej od brzegu, niż mogłem się spodziewać. Obserwując, jak wioślarze się pocą, a inni wylewają wodę przelewającą się przez burty, stwierdziłem, że natrafili na mocny prąd znoszący ich w morze – bez wątplenia mający swe źródło w potężnym strumieniu wody wpadającej do zatoki nieopodal miejsca, gdzie stali na kotwicy. Było jasne, że musimy bronić się zaciekle jeszcze przez kilka minut. Mówiąc dokładniej – to mnie wydawało się, że kilka minut dzieli nas od wygrania tego starcia.

Nie tak miało być. Choć bynajmniej nie schlebiałem sobie myślą, że Stone chciał uniknąć spotkania ze mną, na mój widok ruszył z kopyta, by dokonać tego, co sobie wcześniej obmyślił. Zamiast bić się ze Scotlandem, a przy okazji próbować wykończyć i mnie, wycofał się i stanął na szczycie niewielkiej piaskowej łachy oddzielającej poletka ryżowe od brzegu. Tu zatrzymał się i przez chwilę spoglądał w dół skarpy, w miejsce, w którym staliśmy ramie w ramie ze Scotlandem, a następnie popatrzył w morze, skąd pośród potężniejących i opadających fal dobiegały wyraźne okrzyki moich towarzyszy.

Obwiniam się za to, że nie pojąłem, co chodziło mu po łbie. Od tamtej pory wciąż klnę na siebie w myślach. Gdybym wtedy zachował zimną krew i pomyślał, popędziłbym naprzód bez względu na niebezpieczeństwo, a z pomocą Scotlanda zapewne zmógłbym łajdaka. Ale stało się inaczej i jak ostatni głupiec czekałem, aż Stone ponownie na nas ruszy. Dało mu to pewną przewagę. W mgnieniu oka, opanowany do granic szaleństwa, wbił rapier w piach (czemu towarzyszył głośny syk, jakby ostrze było rozgrzane do czerwoności), po czym sięgnął długą ręką do kaftana i wyciągnął srebrny pistolet – ten sam, z którego zastrzelił kapitana. Następnie uniósł go w wyprostowanej ręce i wycelował bynajmniej nie w moje serce ani w Scotlanda, tylko pomiędzy nami, gdzieś dalej – w żonę Scotlanda. Zrobił to z czystego, wyrachowanego okrucieństwa, gdyż wiedział, przyczyną jakiej rozpaczycy stanie się ten czyn.

Nieszczęście Scotlanda rozpoczęło się od pociągnięcia za spust – zobaczył w lot, co się musiało stać. Dlatego zamiast się uchylić albo odskoczyć, odwrócił się, by ujrzeć to, co już i tak widział w myślach – żonę padającą na wznak wprost w fale. Fale przelewały się po niej, a jej ciało wciąż kołysało się na wodzie niczym dziecko w kołysce. Kręcone włosy leniwie unosiły się na powierzchni. Podobnie jak krew sącząca się z piersi.

Zobaczyłem to na sekundę przed tym, jak Scotland ruszył pędem w stronę żony, przyklęknął, podniósł ciało do góry i cały ociekający wodą zaczął wykrzykiwać jej imię. To było straszliwe, głośne zawrodozenie – najsmutniejszy odgłos, jaki słyszałem w życiu. Tylko tego potrzebowałem, by zacząć wspinać się po skarpie w stronę Stone'a. Pomyślałem, że będzie ładował pistolet albo przynajmniej wyciągnie rapier z piasku, by posłać mnie w zaświaty w ten czy inny sposób. W rzeczywistości w ogóle nie przejął się mną ani tym, co zrobił przed chwilą. Patrzył nad naszymi głowami na morze – nie w stronę szalupy czy Słowika, lecz w kierunku pierzastego wzgórka Białej Skały, która rozciągała się między brzegiem a Wyspą Szkieletu.

Ten jeden jedyny raz dostrzegłem, jak coś mu się zmienia na twarzy – jego nieruchoma maska stopiła się niczym wosk, kurcząc się w grymasie. Krew uderzyła mu na policzki, a długa szrama zaczerwieniła się wokół szyi, tak że sprawiała wrażenie świeżej rany.

– Smirke! – zawołał piskliwym szeptem. – Smirke, Smirke! – Na piasku nieco dalej jego kapitan oderwał się od bosmana Kirkby'ego, spojrział w kierunku wskazywanym przez swego adiutanta i wówczas on również zmienił barwę niczym kameleon.

– Panie Stone – odkrzyknął rwącym się głosem. – Za mną! Za mną! – Kiedy tylko padł ten rozkaz, obaj pognali, zostawiając nas na plaży. Zniknęli między poletkami ryżu i weszli w zarośla rosnące po obu stronach strumienia, którego prąd tak długo odrzucał naszych przyjaciół od brzegu.

## Rozdział 31

# Na Białej Skale

Moja ulga na widok pierzchających Smirke'a i Stone'a była tak wielka – a stała się jeszcze większa, gdy zobaczyłem, jak ich pomagierzy też biorą nogi za pas i znikają w zaroślach – że nie zadawałem sobie pytań, cóż takiego mogło ich skłonić do rejterady. Dopiero kiedy upewniłem się, że zniknęli i nie grozi już nam niechybna śmierć, zacząłem spoglądać na morze, szukając odpowiedzi. Przez chwilę nie dostrzegałem niczego oprócz szarego morza i Słowika. Później spojrzałem ponownie na Białą Skalę. A potem na wieńczące ją paprocie. Wtedy wśród liści dostrzegłem jakiś cień. Potem cień zaczął się materializować w kształt. Następnie kształt przeobraził się w osobę. A osoba miała swoją twarz. I wtedy ją dostrzegłem, oczy, nos i usta. Wtedy zobaczyłem Natty.

Najpierw pomyślałem – mam jakieś zwidy. Wizję na skutek strachu i podniecenia bitwą. Przesłoniłem oczy i przyjrzałem się uważniej, by się upewnić. Nawet to nie przekonało mnie całkowicie, bo widoczność nie była najlepsza, a do tego dzielił nas spory dystans – aż przypomniałem sobie zadziwiony wzrok piratów. Byli przerażeni, bo myśleli, że Natty nie żyje. Ich zaskoczenie stanowiło dowód, że jest inaczej.

Mój instynkt podsunął mi naturalne zachowanie w tej sytuacji – by zawołać ją po imieniu, by ją wskazać innym, zacząć podskakiwać na piasku, otworzyć ramiona na powitanie i pokazać jej radość, jaka mnie opanowała. Ale powstrzymałem się. Śmierć kapitana wciąż ciążyła mi na sercu, co sprawiło, że wszelka radość była nienaturalna. Również w obliczu rozpaczy Scotlanda, który klęczał w wodzie przy żonie, dotykał jej twarzy i włosów i mruzczał słowa, których nie była już w stanie usłyszeć.

Ten widok, który stanął mi przed oczyma tuż po ujrzeniu Natty, wywołał tak silną mieszanekę żalu i radości, że poczułem, jak nogi wrastają mi w ziemię. Ale mówiąc szczerze, nie miałem najmniejszych wątpliwości, dokąd muszę się udać najpierw. Wahałem się tylko chwilę, i już ruszyłem, rozbryzgując fale, by pomóc Scotlandowi wynieść jego żonę na brzeg. Nie wspominałem nawet o Natty. Zachowując tyle godności, ile się dało, podnieśliśmy martwą kobietę i zanieśliśmy na brzeg. Położyliśmy ciało na piasku, a nasi przyjaciele zebrali się wokół. Scotland trzymał żonę za rękę i gładził ją swymi długimi palcami, jakby starał się zachować wciąż tłące się w niej ciepło.

– Zostawcie nas – powiedział po chwili, a kiedy zobaczył, że nie mamy na to ochoty, powtórzył to żądanie bardziej stanowczo. – Zostawcie nas. Proszę.

Ociągał się, ale była to forma okazywania życzliwości. Zrobiliśmy jednak, o co prosił, rozpraszając się na brzegu i rozmawiając ze sobą przyciszonymi głosami. Stałem między bosmanem Kirkbym i panem Tickle'em, żeby wyjawić im swą tajemnicę.

Na początku nie chcieli mi uwierzyć, podobnie jak ja pogodzili się z jej śmiercią i odrzucenie tej myśli przyszło im z trudem. Ale kiedy ostrożne sygnały przez wodę napotkały na dźwięki głosu, który poznaliśmy wszyscy, zmienili zdanie i poczuli radość.

– Już położyłem krzyżyk na chłopaku – powiedział bosman, czego wcześniej nie chciał przyznać.

Pan Tickle nie posunął się aż tak daleko, ale powtarzał wciąż:

– Nat to byczy chłopak, dobry chłopak ten nasz Nat. Dobry chłopak z niego. – Jakby brał korepetycje z konwersacji u Kleksa. Aby to uczcić, zapalił swoją fajkę po raz pierwszy od dłuższego czasu, na co błyskawicznie zareagowała morska bryza, ciskając rześisty deszcz iskier na jego brodę.

Ta sama bryza zaczęła również ściągać naszą okrętową balię w stronę brzegu z większą już prędkością, ponieważ udało się jej ujść przybrzeżnemu prądowi. Obserwowanie, jak pokonuje fale, było niezwykle krzepiące, choć na pokładzie szalupy mogło zmieścić się góra tuzin osób i trzeba będzie zrobić pięć, sześć kursów na Słowika, by wszyscy znaleźli się bezpiecznie na statku. Perspektywa takiej zwłoki była dość niepokojąca, bo wiedzieliśmy, że Smirke i pozostali w każdej chwili mogą wrócić. Choć jeden z ludzi w szalupie zabrał strzelbę, a inni mieli ze trzy pałasze, wciąż byliśmy w mniejszości w stosunku do naszych wrogów – których, jak obliczyłem, było koło dziesięciu, włączając w to Smirke'a i Stone'a, i posiadali przecież jeszcze znacznie więcej broni.

Kiedy szalupa w końcu zaszurała na piasku, w wielkim pośpiechu zacząłem wprowadzać naszych podopiecznych do łodzi. Ale nie była to prosta sprawa. Każdy z nich był wycieńczony do granic wytrzymałości już w chwili uwolnienia. Teraz, gdy musieli kryć się na wolnym powietrzu, gdy byli świadkami kolejnych okrucieństw i mieli świadomość, że za chwilę mogą zostać wycięci w pień, wielu z nich nie potrafiło ustać na nogach. Strach zmienił ich w bezwolne szmaciane lalki. Niektórzy byli tak zdezorientowani, że wzięli swych wybawicieli za prześladowców – i opierali nam się niemrawo, drapiąc i jęcząc. Jeden z nich ugryzł pana Tickle'a w brodę (czego ten nie poczuł przez gęsty zarost) i sam musiałem gonić za młodą kobietą, która aż się skuliła, widząc moją wyciągniętą pomocną dłoń. Drżała w moim uścisku, gdy prowadziłem ją z powrotem do łodzi.

W obliczu takich trudności bosman Kirkby postanowił, że Scotland, pan Tickle i ja powinniśmy towarzyszyć pierwszej grupie w drodze na statek, po czym wrócić po drugą. Pozwolił, bym mógł osobiście uratować Natty, gdy po drodze zatrzymamy się przy Białej Skale. Scotlanda wybrał, gdyż tylko on mógł uspokoić swoich przyjaciół w ich własnym języku. Kiedy łódź się zapełniła, przebiegłem po plaży, by namówić Scotlanda i przekonać go, że musi to zrobić.

Spodziewałem się oporu z jego strony, bo założyłem, że będzie zbyt skupiony na żałobie. Ale on nie wahał się długo – tylko przez chwilę, kiedy wpatrywał się w oblicze swej żony, z niezwykłą, przeciągającą się czułością dotykając jej włosów. Następnie wstał.

– Widziałem panicza Nata – powiedział, na co aż zaniemówiłem, bo nie sądziłem, że zauważył cokolwiek poza swą żoną.

– Ona... – zacząłem, chcąc tylko przekazać to, co było oczywiste, że żyje. Ale w całym tym uniesieniu pomyliłem się.

– Ona – powtórzył Scotland, robiąc smutną minę. Nie było to pytanie. Dowodziło tylko, że zna sekret Natty i uważa, że jest to tajemnica, którą warto zachować.

– No tak – odparłem cicho. – Ona.

– Wiedziałem od początku – powiedział. – Ale rozumiałem, iż ma powody, żeby dalej się ukrywać. Oboje je mieliście.

– Dzięki ci za zrozumienie. – powiedziałem mu i podałem dłoń. Znów poczułem szorstkość jego palców na mej dłoni. – No tak – mówiłem dalej. – Przynajmniej jest bezpieczna.

Scotland westchnął, po czym zmrużył oczy i spojrzał w stronę Białej Skały, gdzie Natty siedziała teraz wśród paproci. Zdawało się, że Scotland ma zamiar coś dodać, a ponieważ wydawało mi się, że chce porównywać swój los z tym, co mnie się przydarzyło, przerwałem, żeby oszczędzić tego nam obu.

– Możemy zabrać Natty w drodze powrotnej – powiedziałem. – Będzie bezpieczna na pokładzie Słowika, a my tu skończymy sami.

– Będzie miała ci coś do powiedzenia – odparł.

– Tak, to prawda – powiedziałem, bo myślałem, że chodzi mu o to, iż będziemy się cieszyć z naszego spotkania.

Scotland pokręcił przecząco głową.

– Sam zobaczysz – powiedział i prawie się uśmiechnął. Wtedy, najwyraźniej dochodząc do wniosku, że zbyt daleko odszedł od tego, o czym powinien myśleć, odwrócił się, by ponownie spojrzeć na żonę.

Po chwili milczenia zawołał któregoś z przyjaciół z grupy zebranej przy szalupie. Był to szpakowaty mężczyzna mniej więcej dwa razy starszy od niego, którego zwieszane ramiona, porwana bliznami twarz i dłonie aż nadto dobitnie ukazywały, jak wiele wycierpiał na wyspie. Mimo to przygnał do nas przez piasek długimi susami i rozmawiał bardzo czule ze Scotlandem. Nie rozumiałem, co mówi, ale odgadłem istotę sprawy, kiedy przykląkł u stóp żony Scotlanda z dłońmi na kolanach. Miał trzymać straż do naszego powrotu. Scotland podziękował mu, po czym skłonił się i przeżegnał. Później poszedł ze mną, nawet raz się nie obejrzawszy.

Gdy weszliśmy do szalupy, zrozumieliśmy, że jeśli nie będziemy siedzieć bez ruchu, utrzymując równowagę, to bardzo szybko zaliczymy wywrotkę do morza. Nawet teraz fale wyciągały po nas swe wygłodniałe łapska, tak że wkrótce siedzieliśmy po kostki w wodzie. Pan Tickle, który mianował się dowódcą wioślarzy, starał się ograniczyć marynarskie przekleństwa do niezbędnego minimum.

Siedziałem wciśnięty między Scotlanda i Rebeke, więźniarkę, która przedstawiła mi się po wyjściu z domu z bali, tę z Biblią w ręku. Ścisnęła teraz mocno Pismo Święte, jakby było w stanie dopomóc jej w utrzymaniu się na wodzie, przytykając brodę niemal do piersi. Oprócz tego, co usłyszałem wyraźnie, nuciła coś pod nosem – jeśli szept można nazwać śpiewaniem. Rozpoznałem w tej melodii stary hymn „Dłoń Pasterza”.

*Gdy los swój składam w Pasterza dłonie,  
Wiedzie mnie do Krainy Ulubionej,  
Panie Jezu, prowadź mnie do niej.  
Gdy słyszę słowa, które Pasterz mówi mi,  
Wiem, że policzone moje dni,  
Panie Jezu, daj mój dom ujrzeć mi.  
Gdy schronię się w Pasterza mego ciepłe,  
Bez srebra i złota będzie mi lepiej,  
Panie Jezu, do swego domu zaprowadź mnie.*

Słuchałem tych słów w nabożnym milczeniu. Scotland, który zaskakiwał mnie niemal wszystkim, co robił, nie był już taki cierpliwy. Zanim jeszcze pieśń dobiegła końca, przypadł do jednego z wioślarzy, którzy właśnie wrócili ze Słowika, i zadał mu jakieś pytanie. W tym huk wiatru i łomocie fal nie słyszałem dokładnie jego odpowiedzi – tylko tyle, że zawierała zdanie „aby nas pomścić”. Odpowiedź Scotlanda była jednak dostatecznie wyraźna. Wymamrotał: „Bardzo dobrze, bardzo dobrze” i zaczął grzebać w niewielkim schowku pod swoim siedzeniem, po czym wyjął przedmiot wielkości głowy człowieka, owinięty grubym płótnem, a do tego zabezpieczony szpagatem.

Kiedy nasi wioślarze obracali szalupę w wodzie, aż skierowali jej dziób w stronę Białej Skały i Słowika za nią, zapytałem, co zawiera paczka. Scotland umieścił ją ostrożnie na nagim kolanie i patrzył na mnie z głową przekrzywioną na bok, niczym kos słuchający, co mówi robak w ziemi.

– To nasza broń – odparł, po czym dodał szeptem: – Spójrz na Skałę.

Zrobiłem, o co prosił – i byłem zadziwiony, że powiedział to tak spokojnie. Nawet nie sto metrów dalej z ujścia największego ze strumieni wlewających się do Ostoi wypłynęło grubo ciosane canoe, w którym siedzieli Smirke i Stone, wiosłując zapalczywie i skutecznie zmierzając w tym samym kierunku co my. Dopóki pozostawali na gładkiej toni słodkiej wody, płynęli bardzo szybko, niesieni przez bardzo

silny prąd. Kiedy jednak dotarli do morza, już nie poruszali się z taką prędkością – choć obaj wściekle wiosłowali, przewalając wodę piórami wiosł, jakby sam diabeł ich gonił.

Tylko że to nie strach ściganego pchał ich dalej, ale usilne pragnienie dotarcia do tego, co znajduje się przed nimi. Pomyślałem, że pewnie chodzi im o Natty, którą było teraz wyraźnie widać w jej miniaturowej, naturalnej twierdzy. Kryjąca się w paprociach, z kapeluszem naciśniętym na głowę i mocno ściśniętymi kolanami, bardziej przypominała dziecko, które coś zbroiło, niż młodą kobietę, której życie wisi na włosku. Wrażenie niewinności, jaką emanowała, sprawiało, że moje serce pędziło do niej jak strzała. Usłyszałem też, jak głośno ją nawołuję raz za razem:

– Natty! Natty! Natty! – Jakby mogło to w jakiś sposób wpłynąć na szybszą pracę wiosł.

Ale szalupy nie zbudowano do regat, poza tym wciąż nabierała wody. Dziób przedzierał się przez fale. Woda pryskała nam w twarze. Wszystko wydawało się cięższe, powolniejsze i bardziej niezgrabne z minuty na minutę. Wkradała się też większa beznadzieja, co mogłem mierzyć stopniowym zagłębianiem się Natty w paprocie, coraz głębiej – choć wciąż było ją widać.

Mogłem tylko siedzieć na tyłku, gdy Smirke i Stone pędzili w swoim canoe wzdłuż małej wysepki ostatkiem sił. Nic też nie mogłem zrobić, gdy patrzyłem na ich zręczne manewry. Smirke został w łodzi, utrzymując równowagę, a Stone skoczył na górę, by schwytać ofiarę. Zobaczyłem, jak w jednym końcu Białej Skały zatrzęszy się paprocie, potem na środku, a następnie w innej części i znów pośrodku, bo Natty postanowiła rozegrać szybką i poniżającą dla prześladowców grę w chowanego. W końcu dostrzegłem gwałtowne zamieszanie i trzęsące się długie łodygi paproci oraz usłyszałem krzyk, gdy Stone spadł na nią (tak sobie to wyobrażałem) niczym jastrząb na skowronka.

W tym momencie wciąż znajdowaliśmy się o dziesięć metrów od Skały, ale niezwykle niepokojący widok i dźwięki pojmania podwoiły jeszcze siły mych kompanów. Przebrnęliśmy z wielkim pluskiem przez ostatni fragment wody i zaczęliśmy szorować o białe głazy w tej samej chwili, gdy Stone zaciągnął Natty do łódki, a Smirke zaczął wiosłować, by ruszyć w stronę brzegu.

Nie było mu łatwo, przez Natty, która walczyła zawzięcie. Kopnęła na oślep, trafiając Smirke'a w dłoń. Oderwał się od wiosła na chwilę, próbując ją strząsnąć. Stone tymczasem miał zamiar uderzyć dziewczynę wiosłem w głowę, niczym człowiek chcący ogłuszyć węgorza – ale im bardziej się starał, tym ona gwałtowniej się wyrywała, tym bardziej kołysała się ich łódeczka i tym samym coraz bardziej miał ochotę sięgnąć po drastyczniejsze środki.

Wiedziałem o tym, bo dostrzegłem, jak nagle wzruszył ramionami i wyprostował się, sięgając jedną ręką do poły swego długiego płaszcza – do kieszeni, w której trzymał srebrny pistolet.

– Uderzcie w środek łodzi! – krzyknąłem do moich towarzyszy, namawiając ich, by doprowadzili do kolizji, która w zamyśle miała przewrócić Stone'a. Wioślarzom nie trzeba było powtarzać. Z całą siłą, jaką zdołali z siebie wykrzesać, i przy całej wadze załogi i pasażerów szalupy, uderzyliśmy w sam środek canoe. Stone rzeczywiście stracił równowagę i padł jak długi, lądując w idiotycznej pozie z nogami w górze. Smirke był bardziej opanowany, jeśli można określić tak człowieka z twarzą wykrzywioną wściekłością.

Pomyślałem, że canoe zatonie – co było moim zamierzeniem. Ale nic nie działo się tak, jak to sobie przedstawiałem. Canoe ledwo zaskrzypiało, zachwiało się i zakreśliło na bok, po czym zaczęło sunąć wzdłuż naszej szalupy aż zapiszczała burta.

Oblicza trójki pasażerów miałem teraz na wyciągnięcie ręki – Stone zachował kamienną twarz w pełni uwiarygodniającą jego pseudonim. Smirke przewracał oczami i otwierał obszerne usta niczym paszczę rzygacza tryskającego wodą. A Natty miała błagalny wyraz twarzy.

– Jim! – zawołała do mnie głosem, którego nigdy nie zapomnę. Była to chwila, kiedy zrozumiałem, że o mnie nie zapomniła i w której wydawało mi się, iż utraciłem ją na zawsze.



To jednak nie mój głos ją uspokoił, choć uważam, że moje spojrzenie wbite w jej oczy powiedziało wszystko, co powinna wiedzieć. Był to głos Scotlanda. Gdy nasze łodzie wciąż płynęły szczipione ze sobą, skoczył na równe nogi, aż zachybotaliśmy się gwałtownie na naszych siedzeniach.

– Skacz! – krzyknął Scotland i machnął lewą dłonią, co znaczyło, że musi skoczyć wprost do morza, zamiast do naszej szalupy. Prawą dłonią podniósł paczkę, którą uprzednio trzymał na kolanach. Rozwinął ją już i zobaczyłem, co jest w środku. Jeden z koszy, które wraz z kapitanem przynieśliśmy z naszej ekspedycji. Kosz wykonany z usztywnionej wikliny przykryty niewielką klapką. Kosz, w którym były węże.

Scotland wciąż trzymał jedną rękę wysoko w górze, kiedy pokrywka zaczęła podskakiwać, jakby zawartość była bliska wrzenia, a po chwili ześliznęła się i spadła na dno łodzi. Scotland nie odezwał się ani słowem. Nie spojrzął do góry – nie widział tym samym połyskujących splotów, które zaczęły się rozwijać w powietrzu. Ale wywarły niezatarte wrażenie. Choć stworzenia zdawały się zachowywać spokój, na widok zdjętych ciekawością węży wychodzących z kosza na wszystkie strony wszyscy zaczęli panikować.

Niektórzy z naszych pasażerów wpadli w ogromne przerażenie i obawiałem się, że nam wyrwą łódkę. W rzeczywistości katastrofa była całkiem innej natury. Scotland postawił prawą stopę na ławie biegnącej przez całą długość szalupy, a lewą oparł na burcie. Twarze Smirke'a i Stone'a wykrzywił grymas przerażenia, gdy zrozumieli, jaką to plagę ma zamiar na nich zrzucić. Zachowywali się jak sparaliżowani. Natty, którą widziałem jako rozmazaną chmurę, nie panowała już nad sobą i zaczęła wrywać się za burzę.

Powtarzałem sobie, że tego właśnie Scotland oczekuje po niej przed uraczeniem jej prześladowców węzami. Ale w uniesieniu wywołanym przypływem odwagi, sam stracił równowagę. Wpadł do canoe wraz z koszykiem, zamiast cisnąć w nich samymi zwierzętami.

Wiatr i fale zamilkły. Łkanie w naszej łódce zredukowało się do pojedynczego westchnienia. Ryk piratów to betka. Jeśli o mnie chodzi, widziałem jedynie długie ciało Scotlanda lecące w powietrzu i spadające wprost na wroga. Wydał z siebie przy tym gromki okrzyk:

– Wyskakuj, Nat! Wyskakuj!

Tak szybko dopełnił się ów obraz, że nie od razu zauważyłem, iż zawiera również inne elementy. Jednym z nich była Natty ześlizgująca się po burcie canoe i już pluskająca w morskiej wodzie, zanim Scotland wpadł do łodzi. Ruszyła pospiesznie w stronę szalupy i dopadła do burty od przeciwnej strony niż ta, przy której siedziałem. Wtedy zniknęła mi z oczu, bo została pochwycona przez inne dłonie, chcące ją wciągnąć do środka. Kolejnym elementem był koszyk Scotlanda chroboczący o wewnętrzną burzę canoe i cztery czy pięć węży wylewających się z niego niczym festony kręconych, siwych włosów.

Ponieważ Scotland, węże i piraci momentalnie zbili się w jedną masę, nie mogłem zobaczyć, co stało się dalej – choć efekty tych wydarzeń były dostatecznie jasne. Canoe odsunęło się nieco od naszej łodzi, kołysząc się gwałtownie pod wpływem miotających się pasażerów. Smirke starał się pójść w ślady Natty, podnosząc swoje duże ciało do pionu, by skoczyć w fale – ale padł bardzo ciężko do tyłu, jakby uświadomił sobie, że węże już z nim zatańczyły. Stone'a nigdy więcej nie widziałem żywego, gdyż Scotland leżał na nim, trzymając dwa czy trzy węże w dłoni, jakby karmił je ciałem człowieka, który był przyczyną tak wielkiej rozpacz.

Właśnie to działanie, tak celowe i zamierzone, skłoniło mnie do zmiany zdania, bo zrozumiałem, że Scotland nie przewrócił się z powodu utraty równowagi, ale od początku miał zamiar wskoczyć do canoe. Emocjonalne unoszenie ręki, w której węże wiły mu się między palcami, rzucenie się z całej siły na Stone'a, wściekłe zapamiętanie, z jakim to wszystko robił, sposób, w jaki padł, rozstawiając nogi, by

jego ofiara mu się nie wymknęła – wszystko to świadczyło o premedytacji nie tyle desperackiej, co zacieklej.

Tymczasem Smirke próbował usiąść prosto w odpływającym od nas canoe, siejąc wkóło złym wzrokiem i miotając przekleństwa. Kiedy jad zaczął na niego działać, ten wybuch wściekłości przygasł – najpierw zmieniając się w zdumienie, potem w coś na kształt żalosnego, infantylnego zachowania. Przestał kłąć i przekleństwa zastąpiły przemyślenia, coraz bardziej chaotyczne w miarę rozchodzenia się jadu po organizmie.

– Niech cię piekło pochłonie, Jimie Hawkinsie, i ciebie też, Johnie Silverze – rzucił, dławiąc się. – Niech was szlag trafi, kapitanie Smollett i doktorze Livesey oraz kawalerze Terlawny. Niech was piekło pochłonie, żeście mnie tu zostawili, żebym zgnił na tej wyspie. – Tu urwał i rozłożył szeroko ramiona, potem mówił już spokojnie: – Dlaczego nie chcieliście mnie zabrać do domu? Dlaczego nie zabraliście mnie do domu? Nic nie zrobiłem, marzyłem tylko o starej Anglii. O zielonych łąkach i bezpiecznych portach. O niczym, tylko o starej Anglii. Och...

Tu ramiona opadły mu na boki, osunął się z ławki, na której siedział, i klęknął na dnie. Udało mu się to w zupełnym milczeniu, musiał więc opaść na ciała Scotlanda i Stone'a, które złagodziły upadek. Wszyscy w szalupie patrzyli teraz na niego, choć nie jestem pewien czy z zamiarem powstrzymania go, czy zachęty do dalszych zwierzeń, tak niezwykle było to przedstawienie. Jakby na potwierdzenie tego, znów uniósł ramiona, tym razem wysoko nad głowę, co przypomniało mi opowieść ojca o tym, jak Smirke błagał załogę Hispanioli, by umożliwiła mu ucieczkę z Wyspy Skarbów lata temu.

– Zabierzcie mnie ze sobą – powiedział niezwykle szczerym, błagalnym tonem. Potem jeszcze raz, tylko ciszej: – Niech cię szlag trafi, Silver. Zabierz mnie ze sobą. Zabierz mnie ze sobą. – Kiedy zobaczył, że nikt z nas się nie rusza, że tylko siedzimy i patrzymy na niego w osłupieniu, zamknął usta z głośnym mlaskiem i przewrócił się na bok niczym worek zboża.

Przez chwilę wydawało się, że canoe wytrzyma to przesunięcie wagi i utrzyma się na powierzchni. Ale ciało było zbyt ciężkie i wkrótce, jakby rozważając, czy chce przebywać w tym świecie, czy w innym, mała łódka przechyliła się nieco, potem jeszcze głębiej, a następnie wywróciła dnem do góry w taki sposób, jakby chciała wyrzucić wszystkich dzikich lokatorów do wody, zamiast więzić ich pod spodem. Przez chwilę albo dwie trzy trupy unosiły się na falach twarzami do dołu, a wokół nich wężę syczały niczym płomienie. Po chwili wszystko zamarło.

Ale wtedy Natty była już na pokładzie, a ja mogłem ją objąć, całą i zdrową.

## Rozdział 32

# Sztaba srebra

Nie spodziewałem się od razu usłyszeć opowieści Natty ani też nie sądziłem, że ona wysłucha mojej. Nie można było jednak zwlekać z jednym. Kiedy w końcu wyciągnięto ją z wody w ubraniu przywierającym do ciała, ze sponiewieraną, czarną czapką, którą strącono jej z głowy, w końcu ujawniła wszem i wobec swoją prawdziwą tożsamość – nie była już Natem, lecz Natty. Pan Tickle, którego znałem najlepiej spośród wioślarzy, przemówił w ich imieniu.

– Chwała Najwyższemu! – wykrzyknął, zsuwając swoją czapkę z czoła. – Musiałeś wcinać jakieś niezwykle egzotyczne owoce, od kiedy nam uciekłeś, paniczku Nat. Albo też wszystkich nas nieźle nabrałeś. – Nie wydawał się obrażony faktem, że został oszukany, a jedynie cieszył się z uratowania duszyczki.

Sama Natty zdawała się mocniej zmieszana tym faktem, gdy próbowała ustać w zatłoczonej łódce, ale rozglądała się wokół buntowniczym wzrokiem.

– Jestem córką pana Silvera – powiedziała, jakby duch jej ojca stanął obok niej i chciał zgnieść każdego, kto ośmieliłby się z niej kpić. – Zrobiłam, co zrobiłam. Przebrałam się na wypadek... – Ale tu najwyraźniej odwaga ją opuściła, bo spojrzała na mnie. Zrozumiałem, że winę za to ponosi zmęczenie. Oraz wielki wstrząs wywołany tym wszystkim, co widziała. Jednak spodziewałem się jeszcze czegoś. Natty przywykła do swego przebrania, żyła w całkowitej wolności, jaką jej dawało, a teraz znów była sobą, znów poczuła się spętana.

Mogłem jedynie przyznać, że wiedziałem o całej maskaradzie.

– Natty myślała, że tak będzie lepiej – powiedziałem z miejsca, które zająłem na ławeczce obok niej. – To był pomysł jej ojca, na wypadek jakichś problemów. Nasz kapitan wiedział o tym, prawda, Natty? Kapitan Beamish też uważał, że przebranie nie zaszkodzi w takiej wyprawie.

Na to Natty nagle wykrzyknęła coś i klasnęła w dłonie. Pomyślałem, że chce skupić naszą uwagę na pozostałych bukanierach, którzy w każdej chwili mogli wyłonić się zza drzew i rzucić na nas ponownie. Nasi przyjaciele byli tym szczególnie zaniepokojeni i stale zerkali w stronę brzegu, gdzie stała jeszcze grupka niewolników strzeżona przez bosmana Kirkby'ego i pozostałych. Ale ona chciała, żebyśmy spojrzeli na jej niedawną kryjówkę.

– Biała Skala! – wykrzyknęła.

Nie zrozumiałem, co chciała powiedzieć, wykrzykując tę nazwę.

– O co chodzi? – zapytałem.

– Musimy tam popłynąć – powiedziała pospiesznie. – Musimy tam popłynąć i musicie, ale to musicie wszyscy to zobaczyć.

Taki upór bardzo mnie zaskoczył. Natty podziwiała Scotlanda i miała do niego słabość. A jednak choć jego ciało unosiło się na falach kilka metrów od nas, zdawała się go nie zauważać. Nie pojmowałem tego – wytłumaczeniem mogło być tylko to, że jej umysł ucierpiał na skutek niebezpieczeństwa, które stanęło nam na drodze. Nie żeby nie czuła niczego, raczej czuła zbyt wiele.

Kiedy pan Tickle i pozostali zaczęli przyciągać trupy bliżej naszej łodzi, pomyślałem, że właśnie tak się sprawy mają – bo Natty nie mogła powstrzymać łez, kiedy odwróciła się i spojrzała w wodę. Ciało Scotlanda przewróciło się na wznak, tak że widzieliśmy jego twarz – bardzo spokojną, jakby spał. Uszła z niej cała wściekłość, choć razem z niedolą jego życia. Widzieliśmy rany na głowie i ramionach, a tu i

tam można było też dostrzec twarde guzy z ciemniejszym znamieniem w kształcie litery V w środku, czyli miejsca po ukąszeniach węży. Gdy Natty to wszystko zobaczyła i zdławiła w sobie płacz, który groził wybuchem rozpacz, przycisnęła mocno dłoń do ust, aż zostawiła jaśniejszy ślad, gdy ją już od nich oderwała. Następnie włożyła palce do wody, gdzie musnęły szyję i piersi Scotlanda.

Na chwilę zaległa cisza przerywana jedynie chłupotem niewielkich fal, które zdawały się unosić Scotlanda w naszą stronę. W rzeczywistości wcale tak nie było – sami wzięliśmy ten obowiązek na siebie, wciągając go do szalupy z całą delikatnością, na jaką nas było stać, i położyliśmy go u naszych stóp. Nie okazaliśmy jednak podobnego szacunku trupom Smirke'a i Stone'a, ale przywiązaliśmy linę do ich kostek i pociągnęliśmy brutalnie za szalupą. Nie widziałem tego, bo zasłaniali mi nasi przyjaciele usadowieni na rufie. Zauważyłem jednak, że od czasu do czasu odwracali się w ich stronę, by splunąć.

Natty otarła twarz i przypomniała sobie, co miała zamiar zrobić przed chwilą.

– Biała Skała – powtórzyła, wskazując miejsce, skąd przyплыnęła. Pan Tickle, który już ustalał rytm wiosłowania, spojrzał na mnie, unosząc brwi, co oznaczało, że prosi o radę.

Owo wrażenie, iż posiadam niejaki autorytet, teraz, kiedy zabrakło kapitana, było dla mnie czymś nowym – ale nie wahałem się ani chwili. Choć wiedziałem, że nasi przyjaciele na plaży mogli znaleźć się na łasce i niełasce handlarzy niewolników, gdyby te czorty chciały wrócić, stwierdziłem, że ci, co zostali z nimi na brzegu, będą w stanie ich obronić. I tak żalosny ładunek sunący naszym kilwaterem świadczył o tym, że na razie jesteśmy niepokonani. Być może przemawiała przeze mnie młodzieńcza pycha.

– Dziękuję panu, panie Tickle – powiedziałem z całą stanowczością, jaką byłem w stanie z siebie wykrzesać. – W takim razie wracamy do Skały, jeśli łaska.

Nasza szalupa zawróciła i zaczęła z mozołem przedzierać się przez fale. Ta zmiana kierunku wywołała szmery wśród naszych przyjaciół, co z początku wzięłem za oznakę, że są przestraszeni, że jest im zimno, są zmęczeni i mało komfortowo ściśnięci w łódce. Kiedy przyjrzałem im się dokładniej, zobaczyłem, że wymieniają spojrzenia w podnieceniu, a nie ze strachu. Wiedzieli, co zaraz odnajdziemy.

Kiedy się zbliżyliśmy, nie mogłem powstrzymać się od refleksji, że pewnie byłoby prościej, gdybyśmy wyskoczyli z łódki i zaczęli brodzić, bo fala przyboju wycofała się aż do Ostoi. Gdy nasze wiosła burzyły wodę, wzbijały kłęby piachu z dna. Dawało to wrażenie spokoju i bezpieczeństwa, co kłóciło się z widokiem nieba nad naszymi głowami, bo poranki na wyspie były przeważnie słoneczne, ale teraz niebo nie otrząsnęło się jeszcze z wczorajszego sztormu. Połąć morza ciągnąca się aż do samego Słowika, gdzie stał na kotwicy pośrodku zatoki, wciąż miała barwę starej cyny.

– Szybciej! – poganiała Natty, jakby znów zapomniała o Scotlandzie i kapitanie. Wydawało się to niemal bezduszne, choć wybaczyłem jej, przypomniawszy sobie wszystkie powody takiego zachowania, i odwróciłem się na mym miejscu, by spojrzeć w stronę, w którą patrzyła. Dzięki niskiemu poziomowi wody mogłem zauważyć, że najniższa część Białej Skały była w rzeczywistości czarna – niczym stępiony ząb, z tego samego granitu co Wzgórze Lunety górujące nad całą wyspą. Nieustanne obmywanie przez fale przyboju wyźłobiło w niej zmarszczki słabości układające się w fantastyczne wzory, takie jak wnętrze ucha czy muszla. Tam, gdzie stała dumnie na morzu, palące słońce i sól morska wypaliły na niej ową kontrastową bladość. Wbrew swej nazwie nie była jednak biała, raczej perliście szara i bardzo gładka, bo fale polerowały ją niczym papier ścierny.

Gdyby Skała była wypukła lub nawet płaska, wątpię, czy wykiełkowałyby na niej choćby jedno ziarenko. Ale teraz, kiedy zbliżyliśmy się do niej, zobaczyłem, że na całej swej długości (ponad trzech metrów) była mocno wyżłobiona. Przez stulecia krawędź tej miski pokrywały wszelkiego rodzaju pyły i zarodniki, a dzięki nawozowi z ptasich odchodów zmieniła się w okrągły ogród, na którym wspomniane już paprocie zakiełkowały i rozpleniły się. Zestaw roślin był niezwykle zróżnicowany jak na taką małą powierzchnię. Niektóre miały liście podobne do wysmukłych zielonych języków, niektóre zawijały się

niczym angielskie paprocie, a inne były ciemnoczerwone, niemal czarne bądź też wymieszane z zielenią i żółcią.

Natty jednak nie obchodziła tutejsza flora. I kiedy tylko burta naszej szalupy ponownie zazgrzytała o kamień, złapała linę przywiązaną do dziobu i wyskoczyła na brzeg, chwytając się śliskich korzeni rośliny zwisającej nad nagą skałą. Kiedy przywiązała szalupę, poszedłem w jej ślady – i znów zaskoczyło mnie zachowanie naszych przyjaciół w łodzi, którzy nagle wydali z siebie przeciągłe, melodyjne westchnienie.

Kiedy złapałem równowagę, Natty już niemal zniknęła w paprociach, a ja od razu ruszyłem za nią. Stanęliśmy na obrzeżu wnęki o kształcie miniaturowego wulkanu i nie mogliśmy iść dalej, nie ześlizgując się po jego zboczu.

Kiedy patrzyłem na to z szalupy, myślałem, że środkowa część Skały jest pokryta tymi samymi roślinami, które tworzyły coś na kształt barykady wokół krawędzi. W rzeczywistości środek był pusty i wisiało nad nim tylko listowie, a na ziemi zalegały pokłady zwiędłych liści. Pod tą zgniłozieloną powłoką – połyskując tam, gdzie się rozsunęła – znajdowało się wiele dziesiątek sztab srebra.

Przypomniało mi się to, co widziałem jako dziecko, kiedy łowiłem ryby z ojcem u ujścia Tamizy; popatrzyliśmy przez burzę i zobaczyliśmy wielką ławicę labraksa na dwa metry pod powierzchnią wody. Przy tych wszystkich padających na skarb cieniach i zmieniającym się świetle dostrzegłem to samo falowanie i cętki zawieszane w niemej próżni.

– Nasz skarb – powiedziała Natty głębokim, pełnym nabożnego podziwu głosem. – To tu przenieśli srebro, bo mogli obserwować to miejsce z obozu. To był ich skarbiec.

– Wiedziałaś? – zapytałem szeptem.

– Niezupełnie – odparła.

– Scotland ci powiedział?

Natty pokręciła głową.

– No to jak?

– Właściwie nie wiem. Jakby samo mnie odnalazło.

– Srebro cię odnalazło?

– Tak, srebro mnie odnalazło. Scotland mówił, że tak będzie.

Nie odezwałem się, tylko spojrzałem jej w oczy i zobaczyłem odbite w nich chłodne światło. To samo, które widziałem w oczach jej ojca, kiedy wyjaśnił mi, co muszę zrobić. Wiedziałem, że o nim myśli, choć żadne z nas nie wymówiło jego imienia. Myślę, że w moich oczach można było dostrzec pytanie – czy po to właśnie przebyliśmy taki szmat drogi i ponieśliśmy tak wielkie straty? Zdawało się, że jest tego bardzo niewiele jak za cenę, którą musieliśmy zapłacić. Albo zbyt wiele. Nie mogłem się zdecydować.

## Rozdział 33

# Pochówek zmarłych

Gdy zeszedliśmy z Natty z Białej Skąły i znów znaleźliśmy się w szalupie, kilku naszych przyjaciół zaczęło głośno składać nam gratulacje – byli to ci, którzy przenieśli srebro z pierwotnej skrytki i znali jego wartość. Wtedy nasi towarzysze zrozumieli, co zobaczyliśmy, i porzucili wiosła, by mieć swój udział w odkryciu. Wkrótce usłyszeliśmy, jak wiwatują i śmieją się między paprociami, które trzęsły się niczym w ekstazie. Gdy powrócili, pan Tickle przytargał ze sobą sztabkę – pyszny kawałek starego srebra wielkości i kształtu wiejskiego chleba. Położył go na dnie łodzi obok ciała Scotlanda z taką czcią, jakby dotykał relikwii. Następnie zajął miejsce obok pozostałych wiosłarzy i razem zabrali się do pracy.

Natty położyła mi na ramieniu dłoń, lekko pomarszczoną od pławienia się w morskiej toni.

– Przykro mi z powodu kapitana – powiedziała, jakby nagle przypomniała sobie, co widziała ze swojego punktu obserwacyjnego na Skale. – Widziałam wszystko. Obserwowałam cały czas.

Pokiwałem głową, monitując się w myślach o wyrozumiałość dla jej bezpośredniości do czasu wyzdrowienia.

– A mnie przykro z powodu Scotlanda – dodałem.

– Może już odechciało mu się żyć – odparła.

Było to zbyt bezceremonialne nawet jak na stan Natty, czemu dałem wyraz, marszcząc brwi. Gdy spojrzała mi w oczy, nawet nie mrugnawszy, przypomniałem sobie, jakże często przy pomocy śmiałości skrywała swoje subtelniejsze uczucia.

– Z powodu jego żony? – zapytałem.

– Z powodu żony – odparła. – Z powodu jego biednej żony.

I na tym się skończyło. Wspólnie stwierdziliśmy, że lepiej będzie skupić się na bardziej praktycznych sprawach. W szczególności na powrocie na brzeg przed popłynięciem na Słowika, żeby złożyć ciało Scotlanda obok jego żony tak szybko, jak to możliwe, a potem zająć się ciałem kapitana i wszystkich zabitych. Kiedy to ustaliliśmy, resztę drogi odbyliśmy w milczeniu.

Natty uśmiechała się tylko do siebie, gdy przypominała sobie, jak się ukryła, i marszczyła brwi, rozmyślając nad ceną tego kroku. Pomimo tego milczącego obcowania ze sobą, a może właśnie za jego sprawą, bardzo szybko doszła do siebie. Kiedy dziób naszej łódki zaszorował o przybrzeżny piasek, złapała za linę i ponagliła mnie, bym poszedł za nią. Weszliśmy razem do wody i zaczęliśmy pomagać naszym pasażerom w wyjściu na suchy ląd.

Powrót na wyspę, a nie na pokład Słowika musiał być dla nich niezwykle gorzkim doświadczeniem. Nikt tego jednak nie okazywał i pasażerowie kuśtykali albo też biegli, jeśli byli w stanie, by dołączyć do tych, którzy zostali na lądzie. Kiedy przywitali się ze sobą, z wielkim entuzjazmem, muszę nadmienić, jakby nie widzieli się od miesiący, zaczęli omawiać wszystko, czego byli świadkami – pościg za Smirkiem i Stone'em, odwagę Scotlanda i odzyskanie srebra. Choć nie rozumiałem wszystkich szczegółów ich rozmów, łatwo mogłem odgadnąć ich tematy – za sprawą żywiołowego wymachiwania ramionami oraz smutnych potrzasań głowami.

Jeśli nawet ta rozmowa dotyczyła łowców niewolników skrytych w lesie, nie było w niej śladu strachu – jedynie kilka zaciekawionych spojrzeń rzuconych w stronę drzew i potrzęsanie pięściami w tym samym kierunku. Wziąłem to za dowód ich ufności w naszą odwagę, ale również świadomości (którą podzielałem), że śmierć przywódców tak bardzo zniechęciła piratów, iż utracili chęć do walki. I tak,

kiedy spojrziałem w stronę Wzgórza Lunety i nastawiłem uszu na jakiś znajomy dźwięk, podchwyciłem tylko westchnienia wiatru oraz raz na jakiś czas skrzek ptaków.

Co do moich towarzyszy – niektórzy byli na tyle nieczuli czy wręcz głupi, by sądzić, że ponieważ jesteśmy teraz bogaci, wszystko nam się uda; kilku posunęło się nawet do wykonania triumfalnego tańca na piasku, aż kapelusze podskakiwały na pustych łbach. Pozostali, włącznie z bosmanem Kirkbym, tonowali swą radość nieodpartym smutkiem, co widziałem, gdy czasami na ich obliczach zakwitał uśmiech, a potem nagle zamierał, by po chwili znów się pojawić.

Bez wątpienia powodem takiego nastroju Kirkby'ego była śmierć naszego kapitana. Kolejnym zaś, jak sobie wyobrażałem, fakt, że przez całe swe życie przywykł do służenia pod komendą innych i nie był gotowy, by objąć dowodzenie nad statkiem.

Myślę, że to samo mogło przyjść do głowy Natty, bo odezwaliśmy się niemal jednocześnie.

– Bosmanie Kirkby, panie Tickle! – zawołaliśmy jednym głosem. – Wynieście Scotlanda na brzeg i zanieście go do obozu piratów, a potem musimy się naradzić.

W ostatnim zdaniu mogły być pewne różnice, bo Natty powiedziała: „I wtedy zadecydujemy, co robić”, ale to bez znaczenia. O wiele ważniejszy był fakt, że oboje z Natty uznaliśmy, że musimy wziąć odpowiedzialność za tę wyprawę.

Nasz bosman pogodził się z tym, co okazał, gładząc się po brodzie i wyskakując w jednej chwili z łodzi. Czy też raczej sprawiał takie wrażenie do chwili, gdy przypomniałem sobie, iż nigdy nie miałyby to miejsca bez niewidzialnej aury władzy, jaką roztaczali nad nami nasi ojcowie. Mnie i Natty wydawało się, że płynąc na Wyspę Skarbów, uciekniemy przed ich wpływem, a tymczasem przekonaliśmy się, że oni już tu na nas czekali.

– Za przeproszeniem, sir – powiedział pan Tickle, prostując czapkę z koca, teraz moką od kropel słonej wody i przekrzywioną zawadiacko na bok. – A co z tymi pozostałymi łajdakami? Myślę, że już ich nie zobaczymy.

Wydawało mi się, iż chciał, abym odpowiedział z typowo kapitańskim poczuciem pewności, co też niezwłocznie uczyniłem. Po chwili, prostując ramiona, oznajmiłem mu, że łowcy niewolników to degeneraci, którzy raczej będą się przyglądać, jak odpływamy z ich srebrem, i spróbują żyć na wyspie, niż zechcą ginąć w walce z nami. Nie będziemy mieli z nimi więcej żadnych kłopotów, zapewniłem go.

Pan Tickle, słysząc to, wyraźnie się ucieszył – wyszczerzył zęby w uśmiechu i poklepał swój kordelas zatknięty za pasem, by pokazać, że skrajną głupotą byłoby przyjąć inny tryb postępowania.

– Bardzo dobrze, paniczku Jim – odparł z prostotą, kiedy udzieliłem mu odpowiedzi.

– Tak – dodała Natty równie nieprzejednana. – Jesteśmy gotowi na ich atak, ale musimy też zająć się innymi...

Nie kończąc zdania, jakby chciała pokazać, że wróg nie jest wart dalszych rozważań, zaczęła wydawać polecenia wioślarzom, by wynieśli ciało Scotlanda z szalupy. Było to trudne zadanie, bo cały czas należało zachować powagę i szacunek.

Natty i ja staliśmy w płytkiej wodzie, pochylając głowy, gdy nasi ludzie w końcu ponieśli go na ramionach. Nie patrzyłem na twarz Scotlanda, gdy nas mijali, widziałem jedynie wodę ściekającą z jego ciała oraz ślady wioślarzy zostawiane na piasku. Obciążeni ciałem pozostawiali bardzo głębokie, wyraźne tropy.

Nasi przyjaciele zebrali się, by poczekać na nas na skraju dawnych mokradeł, i utworzyli szpaler, przez który przeszliśmy. Później szliśmy dalej statecznym krokiem w głąb lądu i gdy karawaniarze dotarli do wejścia do obozu, jeszcze bardziej zwolniliśmy. W tym momencie podszedłem do bosmana Kirkby'ego i pana Tickle'a, by do nich przemówić. Nie było to proste zadanie, bo obaj uginali się pod ciężarem niesionego na ramionach Scotlanda. Jego głowa wisiała z otwartymi ustami, ociekając krwią.

Jakby tego było mało, uświadomiłem sobie, że stoję w miejscu, w którym zginął kapitan. Na to wspomnienie poczułem, jak ziemia krzyczy mi pod stopami.

Natty przysłała mi w sukurs.

– Tędy, tędy – rzuciła, drecząc obok mnie i wskazując drogę na przylegający do obozu cmentarz.

Sam bym to powiedział, gdyby tak bardzo nie przytłoczyła mnie cała ta ceremonia – a kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem, że kilku naszych towarzyszy żeglarzy już stoi pośród starych krzyży i nagrobków z ciałami wszystkich zabitych w potyczce, włącznie z piratami. Zostali bardzo szybko przyniesieni tutaj przez przyjaciół, którzy jeszcze przed chwilą obserwowali z brzegu nasze zmagania na morzu. Trupy przedstawiały sobą żalospisny widok. Leżały pośród miejsc pochówku biednego Toma Redrutha, posepnego leśnika, i Joyce’a zabitego strzałem w głowę, i Irlandczyka, O’Briena oraz innych, którzy dostali za swoje w czasach mego ojca. Dalej leżeli niewolnicy, którzy nie przeżyli szykan, w rzędach. Naliczyłem ponad tuzin grobów, włącznie z mniejszymi niż moje ramię, które musiały być miejscem spoczynku dzieci.

Kiedy nasz kondukt przesunął się jeszcze o kilka kroków naprzód, ciało Scotlanda złożono delikatnie przy ciele jego żony, a kapitana po drugiej stronie. Pierwsza część naszego zadania przywracania porządku i przyzwoitości dobiegła końca. Wtedy zaległa głucha cisza przerywana jedynie świstem wiatru wśród sosen na wznoszącym się terenie na wprost oraz łoskotem fal poniżej.

Nie chcę opowiadać o pracy, jaką wykonaliśmy później. To wciąż zbyt smutne wspomnienie. Ale powiem, iż byliśmy na tyle sumienni, że wykopaliśmy oddzielne groby dla Smirke’a i Stone’a, których głowy, co zauważyłem, były mocno pokrwawione i zniekształcone, bo obijały się o ziemię, kiedy ciągnięto je na cmentarz. Scotland z żoną zostali pochowani w jednej mogile, bo wiedzieliśmy, że tego by sobie życzyli. W końcu w każdy świeży kopiec wetknęliśmy drewniany krzyż, na którym widniało wyryte imię – o ile było nam znane.

Kapitan został pochowany na końcu. Wtedy już mogliśmy sobie pozwolić na śladowy obrządek. Rebeka, więźniarka, która nie wypuszczała z rąk Biblii i niewiele mówiła po angielsku, przeczytała jakiś fragment z Pisma Świętego, coś, co można nazwać modlitwą, a całe zgromadzenie stojące w kręgu wypowiedziało chóralnie „Amen”, zanim ci, co mieli łopaty, zaczęli sypać ziemię do grobu. Moja rola była w tym wszystkim dość problematyczna, bo kiedy patrzyłem na Smirke’a czy na Stone’a oraz na łysego, pokrytego liszajami Jinksa, nie potrafiłem odnaleźć w sobie odrobiny współczucia. Tym samym udali się na wieczny spoczynek ze zdawkową nadzieją na życie po śmierci, bez słów życzliwości, której odmawiali innym. Na Małpiszona i starego Turnera, których sam zabiłem, nawet nie spojrzałem.

Kapitana jednak chciałem pożegnać w sposób wyrażający szczególne uczucia, jakie wobec niego żywiłem. Choć obserwowało mnie wielu ludzi, przyklęknałem przy jego ciele i przemówiłem do niego, jakby mógł mnie usłyszeć. Podziękowałem mu za opiekę, jaką otaczał nas w czasie podróży, i za ojcowską troskę, którą mnie zaszczycił. Powiedziałem, że nie mam wątpliwości, iż w całym swoim długim życiu, o którym przecież nic nie wiedziałem, zachowywał się z taką samą przyzwoitością. Obiecałem, że kiedy wrócimy do Anglii, będziemy sławić jego pamięć i odszukamy jego przyjaciół, aby opowiedzieć im, jak bohaterską śmiercią zginął.

Kiedy to mówiłem, zewsząd dobiegały mnie pomruki aprobaty – choć nie odważyłem się spojrzeć na żałobników, wiedząc, że kiedy zobaczą ich smutek, nie będę w stanie długo zachować panowania nad sobą. Nie ośmieliłem się też spojrzeć na ranę kapitana, choć zerknąwszy tylko, dostrzegłem, jak czarna i zaskakująco precyzyjna była pośrodku jego czoła. Utkwiłem wzrok w jego kasztanowych włosach i piegach, oraz zmarszczkach wokół oczu, które świadczyły o tym, że mrużył je często, wypatrując zmieniającej się pogody.



Kiedy zakończyłem mowę pogrzebową i usłyszałem, jak Rebeka cytuje fragment Biblii, zmówiłem modlitwę za duszę kapitana. Następnie nachyliłem się, by dotknąć go po raz ostatni. Jego zimnej twarzy, potem koszuli, gdzie materiał zdawał się wciąż jeszcze zachowywać odrobinę ciepła. Gdy przyłożyłem dłoń, uświadomiłem sobie, że to nie jest jego skóra i że dotykam czegoś przez materiał, czegoś twardego. Nie musiałem się długo zastanawiać. Była to mapa mojego ojca, którą kapitan wciąż trzymał w małej sakwie zawieszanej wokół szyi. Zanim uświadomiłem sobie, co robię, palce już zaczęły mocować się z guzikami, bo wiedziałem, że muszę odzyskać to, co należało do mego ojca, żebym mógł mu to zwrócić. Gdy zrozumiałem, co zacząłem odruchowo robić, zamarłem. Wiedziałem, że mapa powinna zostać pochowana z kapitanem – żeby wskazówki, które zawierała, na zawsze zniknęły z powierzchni ziemi. Świat, nieświadomy istnienia Wyspy Skarbów, będzie szczęśliwszym miejscem.

Nikt nie dostrzegł, co odkryłem, ani nie zrozumiał, co postanowiłem. Myśleli tylko, że położyłem dłoń na sercu kapitana, co w pewnym stopniu było prawdą. Kiedy się podniosłem, wyprostowałem mu kaftan, a potem stanąłem na nogi i grabarze dokończyli dzieła. Wsunęli liny pod ciało kapitana, podciągnęli je i przenieśli, a następnie opuścili na tyle wolno, że widziałem, jak jego twarz tonie w ciemnościach. Kiedy wyciągnięto liny, podniosłem garstkę ziemi z wyspy i wrzuciłem ją do mogiły – usłyszałem, jak stuknęła głucho o ubranie kapitana, niczym kropla deszczu po suszy. Wtedy odwróciłem się i odszedłem na kraj cmentarza, gdzie spojrzałem na otwarte morze rozciągające się za Słowikiem i przyglądałem się szarym falom zachodzącym jedna na drugą.

## Rozdział 34

### Požoga

Dobłą chwilę trwałem w tym zamyśleniu, aż wreszcie w myślach złożyłem kapitanowi obietnicę; przysięgłem, że nigdy go nie zapomnę. Później wróciłem do pracy.

– Bosmanie Kirkby – powiedziałem, niewątpliwie przerywając jego zadumę przy mogile kapitana. Ponieważ był dobrym kompanem, od razu do mnie podszedł, nakazując reszcie naszych marynarzy, by ruszyli w jego ślady. Staliśmy w oddaleniu od reszty, czego żałowałem, bo rozmowa bezpośrednio ich dotyczyła. Ale nie przywykli decydować o swoim losie, a ja nie byłem jeszcze na tyle śmiały czy też rozważny, by zaprosić ich do rozmowy.

– Proszę o wybaczenie – odparł bosman, wypowiadając grzecznościową formułkę, która jednak świadczyła o tym, że dokładnie wie, co chce powiedzieć i zrobić. – Proszę o wybaczenie, sir, ale wszyscy muszą zjawić się przed zmierzchem na Słowiku, na wypadek gdybyśmy źle ocenili kryjących się przed nami łotrów i gdyby jednak postanowili spróbować na nas ruszyć jeszcze raz.

– I na wypadek gdyby mieli jeszcze więcej tych canooooe – dodał pan Tickle, przeciągając słowo, by dać do zrozumienia, że były to zupełnie bezużyteczne balie. – Nie chcielibyśmy, żeby dostali się na pokład naszej piękności i sobie odpłynęli w siną dal. Jest tam tylko pan Allan z garstką ludzi.

Choć wydawało mi się nieprawdopodobne, by posiadali drugą taką łódkę przy tak niezwyklej gnuśności maruderów i samozadowoleniu, jakie odczuwali podczas pobytu na wyspie, pomyślałem, że jednak należy zachować ostrożność. Powtórzyłem moje zdanie o łowcach niewolników, nazywając ich tchórzami, ale też łotrami, którzy posiadając te dwie cechy charakteru, nie będą nas niepokoić – lecz zgodziłem się, że należy podjąć niezbędne środki bezpieczeństwa. Natty najwyraźniej była tego samego zdania i teraz włączyła się do dyskusji.

– Musimy być przebiegli – powiedziała swoim prawdziwym głosem, tym, który tak usilnie starała się zmieniać. Bosman Kirkby nigdy nie przyjmował rozkazów od kobiety, ale zdawał się godzić z faktem, że w jego życiu nastąpiła taka rewolucja, i uśmiechnął się na tyle szeroko, by pokazać dwa razy więcej połamanych zębów niż zwykle.

– Dziękuję pani – powiedział i nie mając dalszych pytań, zaczął wydawać polecenia panu Stevensonowi i panu Creedowi, by podzielili naszych przyjaciół na grupy po tuzin osób każda, które następnie zostaną przewiezione w szalupie na pokład Słowika jedna po drugiej. Pan Tickle, Natty i ja zgłosiliśmy się, by poczekać na wyspie, aż wszyscy zostaną z niej bezpiecznie zabrani, żebyśmy mogli odeprzeć nieprzyjaciół, gdyby wbrew zdrowemu rozsądkowi spróbowali nas zaatakować.

Podczas całej tej dyskusji nie wspomniano w ogóle o srebrze ani o tym, kiedy zostanie ono zabrane na pokład. Zdrowy rozsądek podpowiadał mi, że teraz nie można było go nam łatwo wykraść, więc równie dobrze mogło sobie leżeć tam, gdzie było, do czasu aż skończymy z transportem. Milczenie pozostałych na ten temat najwyraźniej świadczyło, że mają takie samo zdanie – choć pan Tickle, co widziałem, zabrał swoją sztabkę z szalupy i nie rozstawał się z nią nawet na moment. Kiedy go o to zapytałem, powiedział, że to „dla pewności”, poza tym chciał pokazać srebro panu Allanowi i reszcie na dowód, że koło fortuny obróciło się na naszą korzyść. Mówił o tym z takim dziecięcym entuzjazmem, że nie miałem serca tego komentować.

Moja druga myśl dotyczyła kwestii taktycznej. Pomyślałem o tym, bo już było po południu i mogliśmy się lada chwila spodziewać deszczu przywianego ze wschodu – jak zwykle. Ale dzień, który rozpoczął

się, odmawiając nam światła słonecznego rano, oszczędził nam również nawałnicy wraz ze zbliżającym się wieczorem. Moglibyśmy to przyjąć z ulgą, choć szare chmury i wilgotny, lepki wiatr nie były bynajmniej powodem do radości; musieliśmy skończyć pracę tak szybko, jak się dało.

Gdy szalupa odpłynęła – pod dowództwem pana Stevensona, a pozostali nasi przyjaciele czekali na swoją kolej blisko brzegu, co tylko pokazywało, jak szybko chcą stąd odpłynąć – wraz z Natty postanowiliśmy wrócić za palisadę. Może to się wydawać dziwne, biorąc pod uwagę, jak bardzo potępialiśmy wszystko, co się tu wydarzyło, ale wtedy była to całkiem naturalna decyzja. Chcieliśmy nasycić się świadomością przegnania stąd upiorów i upewnić się, że nasze dawniejsze zjawy, nasi ojcowie, również zostały uwolnione.

Już wcześniej, podczas swoich peregrynacji po wyspie, zauważyłem, jak bardzo jej sceneria zmienia się w zależności od mego nastroju. Gdy przekroczyliśmy południową bramę, znów uderzyła mnie ta sama myśl – choć z większą siłą. Kiedy Smirke i jego kompania odgrywali role królów tego imperium, wszystko, co posiadali, cechowała zdecydowanie zła aura. Teraz, kiedy leżeli już w ziemi, nawet najbardziej przerażające narzędzia tortur zdawały się jedynie starą tandetą. Na przykład Sąd Kubrykowy ze swą dziwną ścianą w kształcie wachlarza, ze skrzypiącymi krzesłami i ławą przysięgłych, był tylko stertą partackiej stolarki. Kiedy oparłem się o jakiś element, z łączyń dobiegł jęk i miałem wrażenie, że za chwilę cała budowla runie. Mogłem mocniej naprzeć na tę budę i doprowadzić do jej zawalenia, ale wtedy jeszcze nie miałem dopracowanych konkretnych pewnej myśli, która zaczęła mi kiełkować w głowie.

Gdy szliśmy w stronę pirackiej chaty z bali, Natty powiedziała mi nieco więcej o chwilach spędzonych beze mnie, włącznie z jej cudownym ocaleniem z otchłani i wydostaniem się z niej na wolność. Oznajmiła, że nie ma zamiaru wdawać się teraz w szczegóły, ale zaprowadzi mnie w miejsca, w których cierpiała, bo będą mówić same za siebie. Kiedy zobaczyłem ślady jej obcasów na ziemi, przy palu, które świadczyły o tym, jak dzielnie walczyła, gdy Smirke powalał ją bądź ciągnął po ziemi, chwyciłem jej dłoń i ścisnąłem mocno. Kiedy dotarliśmy do szopy z destylarnią i zerknęliśmy do środka, od otepiałego smrodu zgnilizny i fermentacji poczułem taki sam zawrót głowy jak ona wtedy.

Pomyślałem, że powinniśmy zajrzeć teraz do domu z bali, żeby zorientować się, jak żyli piraci, i zobaczyć miejsce, w którym nasi ojcowie za dawnych czasów negocjowali z kawalerem Trelawneyem. Ale kiedy tylko przekroczyliśmy strumyczek biegnący pod werandą, odechciało mi się wszystkiego. Na podłodze dostrzegłem takie nagromadzenie rozmaitych ohydnych plam i wyłobień, sterty podartych ubrań oraz błyskotek (włącznie z kawałkiem zęba kaszalota z wrytym na nim rysunkiem przedstawiającym nagą kobietę na grzbiecie delfina, który do dzisiaj mam w swoim posiadaniu), że bez trudu wyobraziłem sobie, jak bardzo odrażające jest dalsze wnętrze.

Kiedy spojrzałem przez otwarte drzwi, zrozumiałem, że mam rację. Wszędzie, gdzie skąpe światło pozwalało mi spojrzeć, zalegał ohydny brud – w podłodze pod stertą śmieci nie było widać klepek, łóżka wręcz cuchnęły, a powietrze dusiło smrodem potu i odorem alkoholu. Co dziwne, w jednym rogu wisiała cienka gałązka drzewa, która niegdyś była pokryta kwieciami i najwyraźniej służyła za dekorację, ale teraz pokrywał ją ten sam trąd pleśni również rozkwitającej na podłodze, niczym bluźniercza imitacja gwiazd malowanych czasem na suficie kaplic.

Wszystko, co zobaczyłem, utwierdziło mnie tylko w decyzji kiełkującej w mym umyśle. Tłumaczyło też, dlaczego Natty, zdjeta wściekłością i obrzydzeniem, odciągnęła mnie od drzwi i poszliśmy dalej pod górę w stronę północnego krańca obozu. Nie musieliśmy oglądać kwater naszych przyjaciół – kapitan już dał mi do zrozumienia, co sądzi na ich temat. Opuściliśmy teren ogrodzony palisadą i skierowaliśmy się na lewo, idąc wąską ścieżką z kawałkami czarnej skały porozrzucanymi niczym bryły węgla. Natty wyjaśniła mi, że tędy poprowadzili ją Smirke i Stone.

W jej głosie dało się usłyszeć nuty podniecenia, a nie przerażenia i grozy, jak mógłbym się spodziewać.

– Chodź, popatrz. No popatrz tylko! – zawołała niczym rozbrykany dzieciak, pędząc daleko przede mną i muskając dłonią szczyty krzaków, aż nagle stanęła, nakazując mi ostrożność.

Kiedy doszedłem do niej, zobaczyłem, że znaleźliśmy się na krawędzi tego samego wąwozu, który odkryłem podczas pierwszej swojej wyprawy do obozu piratów. Stałem mocno na ziemi, zaparłem się i nachyliłem do przodu – na tyle daleko, by dostrzec sosnę zakleszczoną między dwiema ścianami i poczuć zimne tchnienie samej ziemi, które owiało moje policzki.

Zobaczyłem też – i gorzko tego pożałowałem – strzępy ciała i materiału oraz bielejące kości leżące na dnie wąwozu dobrych piętnaście sążni w dole. Znajdowały się tam szczątki, na które mogła spaść Natty. I choć obydwójce wpatrywaliśmy się w nie przed dobrą minutę, żadne z nas się nie odezwało.

Ja sam nie byłem w stanie znaleźć słów, by wyrazić wstrząs oraz współczucie, które mnie ogarnęło. Co do Natty, myślę, iż nie chciała myśleć o śmierci, spod kosa której ledwo się wywinęła. Później, kiedy przypominałem sobie jej mocno zaciśnięte usta oraz spojrzenie na widok srebra w Białej Skale, pomyślałem sobie, że to milczenie mogło być jedynie kolejnym dowodem na to, że w jej żyłach płynie ojcowska, zimna krew. Bynajmniej nie zmniejszyło to mojej fascynacji jej osobą, a jedynie uświadomiło, że powinienem być wobec siebie szczery, myśląc o tym, co mi się podoba w jej osobowości.

Kiedy już się napatrzyliśmy w wąwóz, zwróciliśmy wzrok na Ostoję. Światło dnia zaczęło już nieco gasnąć, a pierwsze fioletowe smugi wieczoru podkreśliły jedynie najwspanialsze elementy tego krajobrazu – wyniesioną bryłę Wyspy Szkieletu, która rzucała cień na wrak Achillesa, pierzasty kikut Białej Skały, Słowika stojącego na kotwicy oraz ślady łap szkwału drącego lustro wody swymi pazurami. Gdybym nie był tak pewny swego bezpieczeństwa i tak zaabsorbowany szczęściem, jakie odczuwałem w towarzystwie Natty, zwróciłbym baczniejszą uwagę na pasma żółci wkradające się w chmury na horyzoncie i zdałbym sobie sprawę, że to nie koniec naszych kłopotów.

Moją uwagę odwracała szalupa, która na naszych oczach kursowała w oddali tam i z powrotem. Zdawało się, że na wyspie została już tylko jedna grupa, z bosmanem Kirkbym czekająca na zabranie na pokład – a ponieważ nastał pełny odpływ, podeszli jak się dało najbliżej po odsłoniętym lądzie i wypatrywali szalupy. Pan Tickle krążył wokół nich niczym owczarek, pilnując, by się nie rozeszli. Nie mogłem pozbyć się myśli, że poruszałyby się z większą swobodą, gdyby tylko nie był tak mocno obciążony swoją sztabą srebra.

Zarówno nasz nastrój, jak i nowe okoliczności otuliły nas szczelnie miękkim niby koc spokojem, więc wiadomość, iż pan Tickle wciąż obawia się niespodziewanego ataku łowców niewolników wbrew temu, co mówił, wywołała u Natty spory wstrząs. Powtórzyłem, że moim zdaniem nic takiego się nie wydarzy, bo przecież wiedzieli, że zawisną na stryczku, jeśli wrócą do starej Anglii, i tym samym będą woleli spróbować swych sił na wyspie jak Smirke, Stone czy Jinks. Choć nie miałem pewności, czy Natty przyznała mi rację, cisza, która zapadła wokół, zdawała się potwierdzać to, co powiedziałem. Wśród listowia nie rozbrzmiewał ludzki głos – jedynie metaliczne skrzeknięcia papug, szmer odgłosów drobnych owadów, a od czasu do czasu bardziej wyrazisty i zdecydowany sygnał ostrzegawczy wiewiórek, które strzegły niektórych połączeń terenu.

Po kilku dobrych minutach, kiedy już się nasłuchaliśmy tych wszystkich zwierzęcych odgłosów, a Natty utwierdziła się w przekonaniu, że ze strony maruderów nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo, wyłożyłem jej plan, który od jakiegoś czasu kiełkował mi w głowie. Powiedziałem, że przed opuszczeniem wyspy mam zamiar zniszczyć obóz piratów – spalić go doszczętnie, żeby nie można już było tam przebywać i żeby wszelki ślad po nim zniknął. Oczekiwałem, że ją to zaskoczy, ale zareagowała na to z wielkim spokojem.

– Dlaczego chcesz to zrobić?

– Czy to nie jest jasne? – zapytałem. – Żeby zniszczyć wszelką pamięć o śladach zła, jakie tu panowało. Żeby znów scalić całą wyspę.

– Naszym ojcom będzie przykro – powiedziała.

Spojrzałem na nią zadziwiony.

– Przecież byliby z tego radzi. Twój ojciec zmienił się i odpokutował za swe grzechy. Mojemu nie było to potrzebne. Dlaczego niby chcieliby zachować ślady po tak wielkim cierpieniu?

Natty zawahała się przez chwilę, marszcząc czoło, z wzrokiem utkwionym w Ostoi i miniaturowych postaciach na brzegu.

– Powiedziałabym, że masz sporo racji – odezwała się w końcu niezwykle miękko głosem. – Ale przecież nie możemy tego zniszczyć do końca. Możemy usunąć dowody, a to nie to samo. Co się stało, to się nie odstanie, a my stanowimy część tych wydarzeń. To będzie w nas tkwiło. Na zawsze.

Choć słowa Natty zdawały się logiczne i miały uzasadnienie w świetle tego, o czym rozmawialiśmy, tkwił w nich pewien element tajemnicy, który sprawił, że odwróciłem się od niej. Kiedy to zrobiłem, wsunęła palce w me włosy i przyciągnęła głowę, by mnie pocałować. Poczulem dotyk jej ust na moich, bardzo ciepłych i miękkich, a kiedy zwarliśmy się w pocałunku, miałem wrażenie, że uderzył we mnie piorun.

– Na to już nie masz odpowiedzi? – wyszeptała, choć jej głos rozbrzmiewał w moich uszach niezwykle donośnie.

Moje serce biło zbyt głośno, bym mógł składnie myśleć.

– Mam odpowiedź – powiedziałem, w nadziei, że odpowiadam na właściwe pytanie. – Moja odpowiedź brzmi: masz rację. Na zawsze.

– W takim razie dobrze – powiedziała Natty i cofnęła się równie nagle, jak mnie objęła, cały czas patrząc mi prosto w oczy. – Zakładając, że myślimy tak samo. Na zawsze. I tak, powinniśmy zniszczyć te dowody. Powinniśmy zrobić to zaraz.

Powiedziawszy to, z uśmiechem na dowód, że coś zaszło między nami, poprowadziła mnie z powrotem kamienistą ścieżką w stronę palisady i brzegu.

Kiedy dotarliśmy do pana Tickle'a, ten zerkał na mnie w oczekiwaniu na dalsze rozkazy i być może nawet szukał pocieszenia. Jego widok przypominał mi, że powinienem skupić się na bieżących sprawach. Będzie jeszcze czas, by podziwiać szeroki horyzont oraz miejsce, jakie zajmiemy z Natty na tym świecie, kiedy znajdziemy się w bezpiecznej odległości od wyspy. Kiedy będziemy płynąć do domu.

Dlatego też musiałem się mocno wysilić, by znów stać się praktycznie myślącą osobą, i wyjaśniłem, że nasze plany uległy zmianie. Wyślemy teraz naszych przyjaciół i bosmana na Słowika i ściągniemy szalupę jeszcze raz, by nas stąd zabrała – całą trójkę. Wioślarze zaczęli trochę szemrać na te wieści, ale wkrótce rozchmurzyli się, gdy pan Tickle powiedział im, że mogą się najeść do syta w nagrodę za swoją pracę, ponieważ ma „małą robótkę” do wykonania podczas ich nieobecności.

Kiedy tylko szalupa wypłynęła wraz z bosmanem i ostatnią grupą ludzi, pan Tickle poprowadził nas w głąb lądu, znów przez ryżowe poletka, aż doszliśmy do niewielkiej zagrody, w której Smirke trzymał zwierzęta.

W całym zamieszaniu ostatnich kilku godzin tak bardzo przywykłem do odgłosów wydawanych przez zamknięte tu stworzenia, że przestałem zwracać na nie uwagę. Ale kiedy one usłyszały, że się do nich zbliżamy, zaczęły drzeć się wniebogłosy, tworząc potężnie brzmiącą orkiestrę pisków i skowytów.

Kiedy spojrzeliśmy za ogrodzenie, przekonaliśmy się, że maruderzy wykazywali się tu takim samym okrucieństwem jak gdzie indziej. Całość została szczelnie wypełniona stłoczonymi zwierzętami brodzącymi we własnych odchodach, również wśród ciał tych, które nie przeżyły tego upodlenia. Smród

był tu straszliwy. Jeszcze bardziej chwycił za serce inny widok. Co zadziwiające, siedziało tu przynajmniej z tuzin du-da, kręcących się wśród świń, kóz i tym podobnych – upierzenie na ich piersi o barwie delikatnego błękitu na skutek warunków, w jakich mieszkały, zostało zbrukane do zwykłej szarości.

Pan Tickle (który w dalszym ciągu nosił swój srebrny bochen) wsunął teraz skarb do wewnętrznej kieszeni palta, a ciężar sztabki dosłownie ściągał mu go z ramienia. Zakrył dłońmi usta i nos. Choć nie odrywał ich od twarzy, kiedy mówił, tłumiąc każde słowo, zrozumiałem go wystarczająco dobrze. Sprowadził nas tutaj, spodziewając się, że wybierzemy kilka sztuk zwierząt i zabierzemy na pokład w nagrodę za nasz trud, ale żal mu się zrobiło, kiedy to wszystko zobaczył.

Byłem tego samego zdania i nie musiałem patrzeć na Natty, by wiedzieć, że myśli podobnie. Dlatego ruszyliśmy wzdłuż ogrodzenia, aż stanęliśmy przy bramie, którą otworzyłem z wielką radością, po czym odsunąłem się na bok, by popatrzeć, jak zwierzęta wracają do swego królestwa.

Spodziewałem się, że exodus rozpocznie się z ową wrodzoną radością, która sprawia, że człowiek lubi obcować ze zwierzętami. Ale te stworzenia tak bardzo przywykły do życia w strachu o swój los, że nie od razu wiedziały, co robić. Rozległy się pytające, dociekliwe chrząknięcia, pełne powątpiewań meczenie oraz kilka energicznych trzepnięć skrzydłami ptaków du-da, które najwyraźniej musiały sobie przypomnieć, że są nietotami.

Z wolna ta wyrywkowość reakcji i niepewność zaczęła nabierać czegoś na kształt zdecydowania, gdy wszystkie zwierzęta ustawiły się w półokręgu przed furtką, aby spojrzeć na szeroki świat przed sobą. Żadne nie miało pewności, czy wolno im w nim zamieszkać. Pustka przestrzeni zdawała się je powstrzymywać. Może w istocie tak było, ale po chwili jedna mała świnka, która z pewnością całe życie spędziła w niewoli, zbliżyła się, zachowując pozory niezwyklej ostrożności, gdyż miało się wrażenie, że podchodzi na paluszkach. Minęła nas i zniknęła w zaroślach.

Jej wyczyn stanowił przykład dla innych – świń, kóz, du-da, jednej czy dwóch gęsi, których wcześniej nie zauważyłem w tym rozgardiaszu, oraz pewnego dziwnego włochatego zwierzątka wielkości borsuka, które poruszało się na dwóch łapach. Miało wielkie, złowrogie ślepie. Śmignęło między nami z głośnym, wysokim skowytom i już go nie było. Poza tym spryciarzem, któremu najwyraźniej spieszyło się bardzo na wolność, pozostałe zwierzęta bardzo wolno opuszczały zagrodę, jakby wyruszały na przechadzkę, rozglądając się dookoła, żeby przypomnieć sobie to, co zdążyły zapomnieć, czy też może tylko im się śniło, i od czasu do czasu wymieniały między sobą komentarze.

Obserwowaliśmy ich pełne godności odejście, nie mogąc wyjść z podziwu, że zachowywały się przy tym niemal tak jak ludzie. Jednocześnie więzi łączące stworzenia w coś na kształt społeczności zaczęły się stopniowo rozwiewać, dlatego kiedy dotarły do linii drzew otaczających palisadę, każde z nich zaczęło grupować się w obrębie własnego gatunku – świnki zbiły się w trzódkę, kozy w gromadkę, a ptaki du-da w stado i tak dalej. Kiedy to się dokonało, wybuchło coś na kształt poważnej konwersacji – podczas której, co nietrudno zgadnąć, zwierzęta żegnały się ze sobą. Następnie weszły w cień lasu i zniknęły nam z oczu.

Pan Tickle, który ostatnio miał szczególnie miękkie serce, jeśli chodzi o zwierzęta, pozbył się tego wzruszenia, kiedy zrobiłem obchód zagrody, by się upewnić, że jest pusta. Nie była. Przy jednej ze ścian leżała bezwładnie średniej wielkości maciora, nie mogąc się poruszyć. Przy dokładniejszych oględzinach okazało się, że ma złamane obie tylne nogi, choć w jaki sposób i od jak dawna, nie chciałem się nawet zastanawiać. Tak czy inaczej, pan Tickle stwierdził, że nie może dłużej cierpieć – a wyciągnięty zza pasa nóż potwierdził, że jednak będziemy mieli sutą kolację. Zostawiliśmy go więc z Natty, szykując się do wykonania naszego zadania.

Nasza praca rozpoczęła się od poszukiwań w obozie wszystkiego, co nadawało się do spalania – pniaków drzew, zeschniętej trawy, patyków – które to rzeczy układaliśmy z Natty na przemian, opierając je o Kubrykowy Sąd oraz po bokach obu domów z bali. Im dłużej to trwało, tym bardziej zapalczywie biło w piersi me serce. Z początku uznałem to za objaw uniesienia – mogłem wcielić się w wyzwoliciela, który ma zamiar spalić Bastylę! Ale gdy dalej zbieraliśmy i układaliśmy to wszystko, uświadomiłem sobie, że czuję gniew i nic poza nim. Gniew na myśl, co się tu wyrabiało, na siebie za to, że myślałem, iż wyprawa na Wyspę Skarbów będzie łatwa, prosta i przyjemna, i gniew na mego ojca za to, że wychował mnie w cieniu opowieści, których urokowi nie potrafiłem się oprzeć. Były to budowle i przedmioty, które chciałem zniszczyć. Były to wspomnienia i żal, które musiałem znieść.

Pracowaliśmy tak sumiennie, że zabrało nam to niemal całą godzinę – a kiedy skończyliśmy, słońce topiło właśnie swoje pierwsze sztaby karmazynu na obrzeżach horyzontu, jakby zagrzewając nas w zbożnym dziele. Kiedy napatrzyłem się już na ten słoneczny kocioł, poprosiłem pana Tickle’a, by pożyczył mi krzesiwo, które zwykle miał przy sobie do zapalania fajki – i podłożyłem ogień pod Sąd Kubrykowy. Korciło mnie, żeby od razu podpalić domy z bali, ale Natty mnie powstrzymała.

– Jedno po drugim – powiedziała, wyraźnie smakując tę rozkosz, i razem oparliśmy się plecami o palisadę w miejscu, w którym przylegała do cmentarza. Poczuliśmy, jakby między nami stanął kapitan, chcący podziwiać nasze dzieło.

Przez minutę nie widziałem niczego oprócz kłębu oleistego dymu wijącego się wśród zebranego przez nas śmiecia. Ale kiedy zaczęło mi się wydawać, że musimy jakoś podsycić ogień, powiew wiatru od morza zmienił dym w płomienie. Zawarczały wściekle na ławie, przy której Jinks uprawiał swoją parodię sprawiedliwości, i na fotelu, z którego Smirke toczył pogardliwym spojrzeniem, i na ławie oskarżonych, na której Stone kładł swoje łapy na ofierze. Wydawało się, że ogień szczególnie ochoczo zabiera się do strawienia tych miejsc – chwytając drewno w swoje szpony, kalecząc je tak, że marszczyło się w czarnych jak noc fałdach, by rozgorzeć rozszałającym szkarłatem.

Kiedy płomienie objęły całą konstrukcję, żar był nie do zniesienia – jakbyśmy spoglądali w otwarty piec. Słowo „litości!” cisnęło mi się na usta nie dlatego, żebym chciał, aby ogień zelżał, ale dlatego, że emanował wściekłością, jakiej wcześniej nie byłem w stanie sobie wyobrazić, sypiąc gradem iskier, pojedynczych płomieni i wstęg ognia, które mogły poszybować w stronę lasu i spalić każdy liść i każdą gałązkę, każdy pień i krzak na wyspie.

Spojrzałem na morze, łapczywie chwytając hausty świeżego powietrza, i zobaczyłem, jak to, czego dokonałem, wstrząsa całą Ostoją. Każda fala miała teraz złotą grzywę, a każde wgłębienie w toni było niczym lustro. Spektakl ten zdawał się nie mieć końca. Przetaczał się wokół kamieni Białej Skąły i Wyspy Szkieletu, a następnie wyciągał krwiste jezory aż do Słowika – który wyglądał, jakby był zdjęty ogniem, lecz wychodził z tego bez szwanku – i dalej, aż po horyzont, gdzie płomienie połyskiwały nowym blaskiem w promieniach zachodzącego słońca.

Kiedy znów spojrzałem na swoje dzieło, zrozumiałem, że zaczęło żyć własnym życiem. Kilka długich płomieni przeskoczyło z konstrukcji sądu na dachy dwóch domów z bali, gdzie zaczęły żerować w brudzie zwalonych między pnie sosen. Niepotrzebna była podpałka, którą tak pracowicie tu złożyliśmy, gdyż budynki z utęsknieniem wyczekiwały swej zagłady. Najwyraźniej spodobały im się płomienie, pożoga, potem czerwone szkielety, a na końcu pustka. Kiedy w dachach zaczęły pojawiać się dziury i powietrze wpadło do środka, rozległ się głośny huk – jakby ogień przyznawał się, że to, co do tej pory nawyczyniał, to były tylko dziecięce igraszki, a dopiero teraz pokaże swój prawdziwy apetyt i władzę.

Przyszły mi na myśl rozbebeszone wyrka, które widziałem, koce, talie kart, puste kufle – wszystkie pirackie śmieci, wokół których obracało się ich życie, wszystkie złowieszcze i przerażające przedmioty. Przyszedł mi na myśl mój ojciec, który stał w tych ścianach jako młokos, i pan Silver, gdy manewrowali

wokół prawdy, kłamiąc, zmyślając, a potem jeszcze kłamiąc o zmyślonych rzeczach. Pomyślałem o ich odzieniu, które dawno już zbutwiało na proch, i o ich żywych ciałach. Zobaczyłem to wszystko niezwykle wyraźnie, jasno i dosadnie, choć przez krótką chwilę, po czym ten widok rozpląnął się na zawsze w niepamięci.

Owa gwałtowność zniszczenia powinna mi wystarczyć. Nie przewidziałem jednak, jak obecność destylarni może podsycić płomień. Gdy zaczęły pieścić ściany przybudówki i szarpać za zasuwę w drzwiach, pan Tickle położył dłonie na naszych ramionach i odciągnął nas dalej w dół zbocza, aż znaleźliśmy się poza obrębem palisady.

Stamtąd obserwowałem, jak ogień waha się przez chwilę, odziany w migotliwą chustę, w kaftan z żabotem i czerwonymi koronkami, które na razie wisały na nim luźno, jakby zbierał siły. Potem się rzucił. I rozległ się wybuch. Drzazgi płonącego drewna, całe kłody, klepki beczek, szkło i metal, fragment ściany wielkości koi – wszystko to wystrzeliło w niebo, jakby ważyło tyle co nic, a impet eksplozji owiał nasze twarze, wdzierając się żarem w płuca.

– Ach! Ach! – wykrzyknął pan Tickle, którego twarz w tej pozodze zdawała się zdjęta płomieniami.

Nie byłem pewien czy to śmiech, czy płacz, ale i tak mu zawtórowałem:

– Ach! Ach! – A odłamki wystrzelone w górę zaczęły spadać płomienistym gradem; niektóre dokonując żywota ze skwierczeniem na trawie, a inne dudniąc o świeżo wzruszoną ziemię grobów, które wykopaliśmy.

Nie powiem, że był to kres wszystkiego – płomień wciąż buchał, gdy w końcu ruszyliśmy do brzegu, przy którym czekała na nas szalupa. Weszliśmy na pokład – Natty i ja z pustymi rękami, a pan Tickle ze swoim srebrem. Powiedziałbym jednak, że stanowiło to koniec pewnej epoki. Kiedy ruszyliśmy przez karmazynową toń, kurczący się w oddali obraz emanował dziwnym spokojem. Drewno sądu i domów z bali wciąż żarzyło się jasnym światłem, stanowiąc wspomnienie tego, czym było wcześniej. Ale teraz cienie drzew zdawały się kłaniać, aż niemal dotykały palisady. Wyspa już zaczęła odbierać ciemność, z której ją ograbiono.



Część VI

WRAK

## Rozdział 35

# Opuszczamy wyspę

Brzeg od Słowika dzieliła niespełna jedna mila morska, ale dzięki naszym ciężko pracującym wiosłami towarzyszom szalupa zaniósła nas tam w kilkanaście minut. Choć podróż trwała bardzo krótko, przeniosła nas z jednego świata do drugiego. Za nami zostały tylko ruina i śmierć. Kiedy znów stanąłem na pokładzie, dostrzegłem wyłącznie stoicki spokój oraz życie. Bosman Kirkby i pan Stevenson umieścili większość naszych przyjaciół pod pokładem, gdzie teraz spali i odpoczywali. Ci, którzy niechętnie podchodzili do zamkniętych przestrzeni, woleli zostać na pokładzie – gdzie siedzieli, stali bądź opierali się o siebie z twarzami skąpanymi w czerwono-złotej poświacie od wciąż płonącego na wyspie ognia.

Pan Allan i pozostali rozwiesili latarnie w oknach sterówki, ale również wzdłuż noku rei, dzięki czemu widziałem, że zajęto się każdym, kto stanął na pokładzie. Na dziobie ustawiono dużą cynową balię i sądząc po wodzie rozpryskanej wszędzie wokół niej i liczbie mokrych śladów stóp wiodących do tego miejsca, była już wielokrotnie używana i napełniana ponownie. Poza tym załoga rozdała część swego odzienia naszym gościom, co poznałem, witając kilku z nich odzianych w przedziwny zestaw marynarskich koszul i portek, tak że sprawiali wrażenie wilków morskich od kilku pokoleń. Słowik był teraz tak gęsto zaludniony, że idąc od dziobu do rufy, musiałem co rusz przestępować przez zwinięte w kłębek ciała śpiących albo tych, którzy rozwaleni na wznak podziwiali gwiazdy ciągnące się za takielunkiem. Te dowody człowieczeństwa wzbudziły we mnie poczucie ładu, który wcześniej trwał w chaosie. Pomimo wciąż widocznych oznak rozpacz na ich twarzach, poczułem, jak między nas niepostrzeżenie zaczęło się wkradać zadowolenie.

Jak wkrótce wyjaśnię, ten nastrój okazał się złudny – ale robiliśmy, co mogliśmy, by radować się chwilą, i wmawialiśmy sobie, że nasz los w końcu się odmienił, ponieważ ustaliliśmy już kurs na dom. Zniknięcie pod pokładem pana Tickle'a z mięsem świni zabitej na wyspie w zagrodzie dla zwierząt tylko to potwierdzało. Jego przybycie wzbudziło znaczne poruszenie na dole, a mieszanka zapachów docierających do nas z kuchni wkrótce zmieniła się w smakowitą woń przyrządzanej potrawy. Ten zapach musiał być torturą dla naszych przyjaciół, których Smirke trzymał na granicy śmierci głodowej, ale znosili te męki z pogodą ducha, ponieważ wiedzieli, że wkrótce się zakończą. Zauważyłem, że jeden z nich, który uśmiechał się od ucha do ucha za każdym razem, gdy go mijałem, znalazł naszą beczkę z jabłkami – w jednej ręce miał ogryzek, a w drugiej jabłko zjedzone do połowy. Byłem zdziwiony, że inni nie poszli w jego ślady i nie zjedli całych naszych zapasów.

Kiedy pan Tickle pojawił się ponownie, zaczął obnosić swoją sztabkę srebra, pokazując ją wszystkim. Jego kompani z załogi wykazywali wyjątkowe zainteresowanie, mówiąc do niej pieszczotliwie „mój ty skarbie”, jakby było to ulubione zwierzątko, ale Murzyni nie byli aż tak zafascynowani tym widokiem. Jeden czy dwóch podeszło, by spojrzeć, ale większość pozostała na swoich miejscach na pokładzie, pokazując, że cisza i spokój są dla nich cenniejsze niż wszystkie skarby świata. Po chwili to nastawienie najwyraźniej udzieliło się i panu Tickle'owi, bo delikatnie położył swój skarb na stole w sterówce i zostawił go tam własnemu losowi.

Jeśli ktoś miał wątpliwości co do bezpieczeństwa naszego skarbcza na Białej Skale (a ten lęk, muszę przyznać, od czasu do czasu dopadał i mnie, i Natty), bardzo łatwo można było ukoić zszargane nerwy. Czekać na posiłek, kręciliśmy się przy prawej burcie Słowika i patrzyliśmy w stronę wysepki. Jej

ciemna bryła zdawała się błyszczeć, nawet kiedy słońce już zaszło, jakby srebro złożone w jej kraterze oblewało barwami i ciepłem całą jej kamienną połąć.

Kiedy ucza z kawałkami wieprzowiny podzielonymi w kuchni przez pana Allana miała się rozpocząć i z wielkim namaszczeniem wyniesiono tłuste porcje na pokład na kilkunastu półmiskach – na Słowiku zaległa pełna zadowolenia cisza. Nie spodziewałem się, że coś takiego usłyszę na Wyspie Skarbów czy w jej okolicach, i poczułem, jak serce mi rośnie w piersi, gdy bosman Kirkby stuknął butem w pokład, domagając się, by wszyscy wysłuchali tego, co ma do powiedzenia, zanim zaczną jeść. Kiedy przemówił, rozejrzałem się po twarzach wokół, które zdawały się emanować spokojem i łagodnością w świetle latarni, i po raz pierwszy poczułem pewność, że nasza przygoda na wyspie miała głębsze znaczenie.

Nastrój, który opisuję, można by nazwać szczęściem, ale łyżką dziegciu był żal z powodu tych, których utraciliśmy. Kiedy szukaliśmy sobie miejsca, by oprzeć się gdzieś na pokładzie, czy spoglądaliśmy w czarną toń z lśniącymi porcjami wieprzowiny w ręce, nasi goście nie potrafili od razu zapomnieć o cierpieniu, a i załoga nie miała poczucia, że wyszliśmy z tego wszystkiego bez szwanku. Rozmowy cichły z szacunku dla duchów unoszących się pomiędzy nami. Pieśni, które zaintonowano po posiłku, fruwały pod niebo Ostoi i niosły ze sobą raczej smutek niż radość – jednej z nich nauczył mnie ojciec, dlatego sam ją zaśpiewałem:

*Poznałem raz dziewczę z zamorskiej krainy,  
Na targu to było za dnia.  
Nigdy nie znał piękniejszej dziewczyny,  
Choć zwiewna była jak mgła.  
Zabrałem ją wtedy na przechadzkę długą,  
Zawiodłem nad strumień i w gaj,  
W miejsce dziecięcych mych zabaw nad strugą,  
Pacholęcy to dla mnie był raj.  
Ich piękno i spokój wciąż dech mi zapiera,  
Widzę, że ona też czuje,  
Gdy znad kry rzecznej raz słońce wyziera,  
Raz deszcz dziko z wichrem harcuje.  
Lecz ona wciąż mówi: Tu zostać nie mogę.  
I rzekła mi tak: Ukochany,  
Pisana ci ziemia, bo tu masz swą drogę,  
A dla mnie podniebne tumany.*

Sądząc po pozycji księżyca w chmurach, nie mogło być później niż po dziesiątej, gdy Natty i ja uświadomiliśmy sobie, że jesteśmy ostatnimi osobami na nogach – i ruszyliśmy w miejsce, w którym zaszywaliśmy się podczas naszej podróży, czyli do sterówki. Tutaj czekał na nas Kleks w swojej klatce. Spojrzał wilkiem na Natty z taką intensywnością, że można było wziąć jego radość na jej widok za złość. Po chwili jednak przekrzywił łebek na bok i zamruczał:

– Zawsze spóźniooona, zawsze spóźniooona! – Co było dla mnie pozbawione jakiegokolwiek znaczenia. Nawet jeśli Natty zrozumiała, nie wyjaśniła mi tego, ale dmuchnęła delikatnie między pręty klatki tak, że wydały przytłumiony i melodyjny odgłos, niczym echo dźwięku harfy. Kleksowi najwyraźniej się to podobało i wkrótce zaczął bardzo pilnie czyścić sobie piórka.

Zajęliśmy z Natty nasze stałe miejsca przy stole. Większość świec zapalonych przez załogę skwierczała już w wosku, choć paliło się ich na tyle dużo, że mogliśmy patrzeć sobie w oczy, a do tego

jasno błyszcząco leżące między nami srebro. Natty przesunęła palcami po sztabce, jakby głąskała kota.

– Ciepłe jest – powiedziała i przez chwilę widziałem, jak jej twarz emanuje poświatą, którą widziałem, gdy staliśmy na Białej Skale.

– Ciepłe jak krew – odpowiedziałem, co było dość melodramatyczne, ale uznałem, że nie powinniśmy zapominać o cenie, jaką płacimy za ten łut szczęścia.

Wtedy Natty odchyliła się do tyłu, aż jej głowa spoczęła oparta o jedno z zaokrąglonych okien sterówki, i spojrzała w stronę wyspy. Za kremowymi falami przełamującymi się o brzeg wciąż gorzały zgliszcza domów z bali, pulsując dziwnie pod wpływem podmuchów wiatru.

– Scotland uratował mi życie – powiedziała zupełnie beznamiętnym głosem, jakby mówiła przez sen.

– To prawda – odezwałem się równie cicho, bo widziałem, że wciąż błędzi zatopiona w swoim transie, w który wkroczyła kilka godzin wcześniej. Pomyślałem, że w tym stanie może z większą swobodą mówić o sprawach, które zwykle zachowywała dla siebie.

– Czy sądzisz, że chciał się poświęcić? – zapytała.

– Pośliznął się – odparłem. – Sam widziałem. Pośliznął się podczas skoku. Ale nie ma wątpliwości, co zamierzał, chciał uratować ciebie.

– Zabili mu żonę – powiedziała Natty tym samym pustym głosem.

– Chcesz powiedzieć, że nie miał nic do stracenia?

– To właśnie chcę powiedzieć – odparła i odwróciła twarz w moją stronę tak gwałtownie, że aż zaskrzypiała szyba, do której przyciskała głowę. W jej szeroko otwartych oczach wzbierały łzy. – Wyobraź sobie – ciągnęła dalej – żeby tak kogoś kochać, że własne życie nic nie znaczy w obliczu tej miłości.

Nic na to nie odpowiedziałem, ale włożyłem swoje dłonie w jej, tam gdzie leżały na kolanach, i tak zostałem. Fakt, że nie odsunęła się, lecz zacisnęła palce wokół nich, dodał mi odwagi, by poprosić ją, aby dokończyła swoją opowieść o tym, co się z nią działo, kiedy zeszła z pokładu Słowika.

Była to najdłuższa wypowiedź, jaką kiedykolwiek usłyszałem z jej ust, a pod koniec siedzieliśmy w całkowitej ciemności, bo świece wypaliły się do końca, a chmury zasłoniły księżyc. Nie widziałem nawet śpiących na pokładzie ludzi, choć leżeli wszędzie wokół nas.

Wszystko, co mi powiedziała, było niezwykle szczere, bardzo poruszające i krzepiące – poza tym, że na zakończenie stwierdziła, iż Scotland bardzo przypominał jej ojca. Zapytałem, pod jakim względem.

– Wieku – odparła. – Ich wieku. Jeśli nie jesteś w stanie zrozumieć, to nie rozumiesz niczego.

Odebrałem to jako przyganę, i choć została wypowiedziana łagodnie, nie odezwałem się, lecz wyplotłem me palce spomiędzy jej palców i siedziałem przez chwilę bez ruchu, wpatrując się w noc.

Przez całą naszą długą wspólną podróż unikałem wypytywania jej o uczucia wobec ojca – obawiając się, jak już wspominałem, że doprowadziłoby mnie to do wniosków, których nie mógłbym łatwo przełknąć, bo nie byłbym w stanie się z nimi pogodzić. Teraz, kiedy nasza przygoda zdawała się dobiegać końca, pozwoliłem sobie na więcej – zastanawiałem się, czy potrafiłbym zerwać z nią wszelkie kontakty po powrocie do Londynu. Doszedłem do wniosku, że nie umiałbym tego znieść. Pokochałem ją w chwili, gdy ją ujrzałem po raz pierwszy, choć zachowywałem milczenie na ten temat. Wszystko to, czym dzieliliśmy się podczas podróży na Wyspę Skarbów – odraza, jaką poczuliśmy po odkryciu bezceństw za palisadą, moja zazdrość o Scotlanda, moje przerażenie jej zniknięciem, zaskoczenie i rozkosz, kiedy mnie pocałowała – wszystko rozdarło me serce na pół i pozwoliło jej wziąć je w posiadanie. Tego wieczoru opowiadanie o niewoli zdawało się skierowane wyłącznie do mnie, gdyż pozwoliło mi cierpieć wraz z nią i zbliżyło mnie do niej jeszcze bardziej.

Czy Natty czuła to samo? Chwila na zadawanie takich pytań przyjdzie później, powtarzałem sobie w myślach, jeśli w ogóle nadejdzie – kiedy będziemy bezpieczni w domu. Przy tym wszystkim bardzo się

ucieszyłem, kiedy zaproponowałem udanie się na spoczynek, a ona, zamiast uraczyć mnie jednym ze swych chłodnych spojrzeń albo upierać się, że chce sobie to wszystko przemyśleć w samotności, ochoczo podniosła się z miejsca, wzięła mnie za rękę i razem ruszyliśmy przez pokład. Niewielka odległość dzieliła sterówkę od zejścia do naszej kabiny, ale należało iść wolno i do tego zygzakiem, gdyż musieliśmy uważać na naszych śpiących przyjaciół – niektórzy przysuwali się do innych, żeby było ciepłej, inni leżeli osobno wyprostowani niczym nieboszczycy. Kiedy dotarłem do wejścia pod pokład, miałem wrażenie, jakbyśmy odbyli razem długą podróż.

Zanim zaszyliśmy się pod pokładem, rozejrzałem się wokół po raz ostatni. Księżyc znów wyszedł zza chmur, a bryza od lądu zdawała się o wiele słabsza niż podczas wcześniejszych nocy, ale na tyle silna, by rozkołysać drzewa na wyspie. Ich szmer przypominał szum wody na kamykach, bardzo łagodny i delikatny, co wzięłem za dobry omen. Niebo również zdawało się zapowiadać dobrą pogodę, gdy jutro podniesiemy żagle. Chmury, które widzieliśmy podczas zachodu słońca, zaczęły się podnosić, choć emanowały wyraźnie zielonkawą poświatą, taką, jaką można dostrzec w morskich jaskiniach.

Miałem już powiedzieć o tym Natty, ale dobiegł nas głos z bocianiego gniazda, który wykrzykiwał stare marynarskie zawołanie: „Dwunasta na zegarze i nic się nie dzieje”. Był to pan Stevenson, który stał na wachcie, kiedy rozmyślaliśmy i rozmawialiśmy. Odwzajemniliśmy się mu przyjacielskim pozdrowieniem i zesliśmy pod pokład, wciąż nie mając nawet cienia złych przeczuć.

## Rozdział 36

# Nadciągą sztorm

Plan na poranek zakładał, że wszyscy nasi pasażerowie i niektórzy członkowie załogi zostaną na pokładzie, a reszta zgromadzi się w coś, co nazywaliśmy „ekipą od srebra”. Nasze zadanie miało polegać na przetransportowaniu skarbu z Białej Skały na pokład Słowika przy pomocy szalupy. Była to niezwykle wyczerpująca praca, ale w ogóle nie czuliśmy zmęczenia. Nie przejęliśmy się też zmianą pogody na gorsze. Zauważyliśmy, że zaczął wiać chłodniejszy wiatr i fale waliły w burty z większą siłą, ale pracowaliśmy bez wytchnienia.

Gdy kolejne porcje skarbu trafiały na Słowika, były starannie przenoszone pod pokład, do kajuty kapitana, gdzie sztabka pana Tickle’a dołączyła do starannie ułożonej kupki. Ilość zgromadzonego kruszcu wymagała od nas zrobienia pół tuzina kursów, a na koniec skarb zaczął przypominać wylegującego się rekina, bo miał taki kształt, ale też zielonkawo-szarą barwę. Choć uczestniczyłem w kilku tych kursach i zawsze ochoczo przejmowałem w posiadanie klucz do kabiny kapitana, tak jak chciał bosman Kirkby, nie powiem, że bym czerpał szczególną przyjemność z tej pracy. Ciężar każdej ze sztab przyłaczał mnie duchowo, bez względu na to, jak często napominałem się w myślach, że takie bogactwo bardzo ułatwi nam wszystkim życie.

Kiedy w końcu zadanie zostało wykonane, kolejna grupa wróciła na wyspę, obarczona zadaniem zrobienia zapasów świeżej żywności i wody pitnej na drogę powrotną. Ruszyli ostrożnie, uzbrojeni, ponieważ pomimo moich ciągłych zapewnień obawiali się, że łowcy niewolników mogą skorzystać z ostatniej szansy i zaatakują ich. Ale po powrocie przyznali, że najbardziej przerażającym odgłosem, jaki słyszeli, była taka dudniąca cisza – wydawało im się, że ktoś ich obserwuje czy nawet poluje na nich.

Znów zapewniłem, że nasi wrogowie postanowili wieść życie Robinsona Crusoe w nadziei, że wyratuje ich statek, którego załoga nie będzie nic wiedziała o ich zbrodniach. Choć powiedziałem, że ta decyzja jest bardzo rozsądna (w takim znaczeniu, że można ją łatwo usprawiedliwić), i tak mną to wstrząsnęło. Bez schronienia w obrębie palisady, mając tylko kamratów do towarzystwa, z roślinnością, która z dnia na dzień będzie odzyskiwała zagrabiony teren oraz przy ciągłym dudnieniu fal w uszach i piekącym słońcu nad głową, przyszłość tych nowych maruderów jawiła się nieciekawie. Jeśli o mnie chodzi, wolałbym powrót do Anglii i stryczek.

Z tego powodu w ogóle nie byłem zaskoczony, że postanowili pokazać się po raz ostatni, zanim zostawiliśmy ich w osamotnieniu. Ten smutny epizod rozpoczął się, kiedy bosman Kirkby zadał w swój gwizdek i dał rozkazy załodze, żeby podnosić kotwicę i stawiać groty i topsele. Jak to było w żeglarskim obyczaju, pierwszej z tych czynności towarzyszyła stara szanta – podobna do tej, którą śpiewali, opuszczając Londyn.

*Podnoście chłopcy kotwicę żwawo,  
Ciagnąc ją,  
Bystrego szkwału i morza jak stół,  
Hip, hip, hura!  
Podnoście chłopcy kotwicę chyżo,  
Ciagnąc ją,  
Żon i panien nie ma już,*

## *Co za wspaniały żywot!*

Kiedy pomyślałem, że przecież ta pieśń w niewielkim stopniu odnosiła się do rzeczywistych okoliczności (nasi marynarze nie mieli żon ani panien na wyspie), spomiędzy drzew okalających Ostoję dobiegło nas ohydne wycie. Kilkoro z nas, włącznie ze mną i z Natty, podbiegło do rufy, żeby zobaczyć, co jest źródłem takich straszliwych lamentów – równie rozpaczliwych jak tragiczne skowyty ранnego zwierzęcia.

Wkrótce wszystko się wyjaśniło. Kiedy tylko kotwica zawisła przy dziobie i topsele zaskrzyphiały nad naszymi głowami, łowcy niewolników, których zostawiliśmy na wyspie, wypadli na brzeg Ostoi za Białą Skałą, krzycząc wniebogłosy. Naliczyłem ich ośmiu z tych, którzy uciekli przed nami poprzedniego dnia. Ich ubrania już nosiły ślady ukrywania się w dżungli, a rozwiane włosy majtały się wokół twarzy. Z początku pomyślałem, że może zmienili zdanie na temat korzyści z odosobnienia i błagają, by zabrać ich do domu na spotkanie sprawiedliwości. Ale myliłem się. Po gwałtownym wymachiwaniu rękami i przekleństwach, które urywkowo docierały do nas z tej odległości, wkrótce zrozumiałem, że nie krzyczą żałośnie, byśmy wrócili, ale z wściekłością wyprawiają nas w podróż – jeśli to możliwe, do samego piekła.

Moi towarzyszy nieźle się bawili tym spektaklem i odpowiadali głośnymi wybuchami śmiechu oraz wyrażali opinie, że piekło znajduje się raczej gdzieś bliżej Wyspy Skarbów, na której tamci pozostają, niż w Anglii, do której płyniemy. Bez wątpienia uważali, że mogą odpowiadać z taką pewnością, bo teraz Słowik wpływał w prąd, z każdą sekundą oddalając się coraz bardziej od lądu. Uderzyło mnie jednak, że samo niebo może być tego samego zdania co my, bo nasze żagle zaczęły coraz mocniej łapać wiatr i płynęliśmy coraz szybciej, podczas gdy łowcy niewolników wyrażali swoje życzenia co do naszej przyszłości. Kiedy widziałem ich po raz ostatni, zdejmowali swoje koszule i płaszcze albo spuszczały potargane spodnie, jeśli w ogóle posiadali coś takiego, by pokazać nam tyłki – jakby już zmienili się częściowo w małpy i szykowali się do wdrapywania na drzewa, które stanowiły tło ich występu.

Stałem na rufie jeszcze długo po tym, jak zniknęli za bryłą Wyspy Szkieletu, i choć nie spodziewałem się, że popadnę w chwilową zadumę, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że mój wyjazd z Wyspy Skarbów jest zupełnie inny niż to, czego się spodziewałem. Zamiast gratulować sobie tego, jak dobrze zakończyłem dzieło zapoczątkowane przez ojca, jak zmądrzałem dzięki cierpieniu czy też jak poznałem, co to miłość, zastanawiałem się nad uporczywością zła i tysiącem rozczarowań, niechybnie czekających na nas za każdym razem, gdy szukamy lepszego świata. Kontemplacja tej prawdy życiowej w świetle tak dziwnego spektaklu, którego byłem świadkiem, sprawiła, że się uśmiechnąłem, ale myśl ta równie pospiesznie skojarzyła mi się z jakimś idiotyzmem.

Gdy dostatecznie dużo czasu poświęciłem na dojście do tych dwóch żałosnych konstatacji, czyli minutę bądź dwie, zacząłem rozmyślać o tym, jakie to niezwykle, że do tej pory nie podjęto decyzji, kto zostanie kapitanem Słowika. Zapanowała natomiast milcząca zgoda co do tego, że każdą niezbędną decyzję można podjąć za obopólną zgodą, jakby nasz statek stał się republiką w miniaturze. Bosman Kirkby wciąż wykonywał obowiązki, które znał na pamięć, włącznie ze staniem za sterem. Pan Tickle wydawał polecenia związane z żaglami. A po konsultacji z jednym i drugim, Natty i ja zdecydowaliśmy, jaki kurs należy obrać, z panem Stevensonem wysoko nad takielunkiem, nad naszymi głowami, który przekazywał nam głośno informacje i opinie, jeśli uznał to za stosowne. Sprawy związane z obecnością Murzynów na statku były rozwiązywane w sposób, który trzeba nazwać procesem naturalnym, bo niektórzy pomagali w pracach na statku, a niektórzy korzystali z okazji i robili to, czego najbardziej potrzebowali – czyli spali i dochodzili do zdrowia i sił. Nawet jeśli ta egzystencja na statku brzmi jak utopia, to i tak nie mogę przecież za to przepraszać.

Ponieważ żałowałem teraz, że kiedykolwiek postawiłem stopę na Wyspie Skarbów, opanowała mnie silna potrzeba obserwowania, jak ta ziemia niknie za horyzontem. Dwie mile od brzegu byłem w stanie uchwycić cały jej kształt jednym spojrzeniem: czarne klify na północnym krańcu, gdzie poszedłem z kapitanem, wysoka grań pośrodku, wznosząca się aż do ściętego szczytu Wzgórza Lunety, oraz opadające zbocze na południu, które biegło do zgliszcz obozu. Przypomniało mi się znów, jak mój ojciec mówił, że wyspa przypomina „smoka osiadającego na tylnych łapach”, i uświadomiłem sobie, że musiał dojść do tego porównania, spoglądając na mapę. Z mojego punktu widzenia, czyli z poziomu morskiej toni w pełnym świetle późnego popołudnia, jej sylwetka wydawała się poszarpanym wejściem do jaskini, w której człowiek może się schronić przed otwartym niebem i morzem – i z której może już nie zdołać uciec. Jaskini wiodącej, w gruncie rzeczy, wprost do świata podziemi.

Dopiero kiedy ta sylwetka skurczyła się z jaskini do wieloryba, potem do oka, następnie do szczapy, uznałem, że mogę bezpiecznie się od niej odwrócić. Kiedy to zrobiłem, wierząc, że widzę ją po raz ostatni, wołałem myśleć, iż wyspa nie zniknęła tak po prostu, lecz zapadła się w dół ze wszystkimi swoimi skałami, drzewami, roślinami i zwierzętami, i spoczęła na dnie oceanu, gdzie wkrótce zmieni się w piach i muł.

Wtedy od zachodu słońca dzieliła nas niespełna godzina i sunęliśmy sprawnie, wpływając na Morze Karaibskie z wiatrem od rufy i przy pełnych żaglach. Takie szybkie tempo skłoniło mnie do myśli, iż prowadzenie okrętu jest sprawą prostą i o trudach tej pracy opowiadają wyłącznie ludzie, którzy chcą mieć większy autorytet, niesłusznie otaczając to zadanie nimbem tajemnicy. Gdybym tylko wiedział, jak jest naprawdę, zrozumiałbym, że zielonkawa poświata, którą zobaczyłem dwadzieścia cztery godziny wcześniej, oraz słońce, które grzało mocniej na obrzeżach kilku wysoko sunących chmur, świadczyły o tym, że nasze miarowe tempo wkrótce się urwie.

Pierwszą oznaką, że wcale nie jest tak różowo, było nagłe obniżenie się nieba na wprost i dziwne wygibasy, jakie zaczęło robić powietrze – jakby ktoś schwycił je mocno i skręcił niczym prześcieradło. Pan Tickle, który wspiał się po takielunku, by pogawędzić z panem Stevensonem na temat tego, czego napiją się po powrocie do Londynu, krzyknął ostrzegawczo z góry, ale go nie usłyszałem, ponieważ nasze żagle zaczęły nagle trzepotać w ciągu głośnych wstrząsów i uderzeń. Kilku marynarzy, włącznie z panem Creedem i panem Lawsonem, nie czekając na rozkaz, wspięło się na górę, by pomóc panu Tickle’owi zwinąć większość żagli – i po chwili wisiał tylko jeden topsel. Kiedy tego dokonali i zeszli ponownie na pokład, pan Tickle wszedł do sterówki, gdzie Natty i ja już znaleźliśmy schronienie. Wyjaśnił nam, co się właśnie stało. Wiatr całkowicie zmienił kierunek i teraz wiał nam prosto w twarz. Kiedy to powiedział, zauważyliśmy, że temperatura powietrza spadła gwałtownie o kilka stopni i zaczęły się pojawiać krople deszczu.

Zapomniałem, czym konkretnie pan Tickle zakończył swoją tyradę – prawdopodobnie prostymi słowami w stylu „nadciąga sztorm”. Ale po kamiennej masce, jaką miał na twarzy, wiedziałem, że nie będzie to zwykła nawałnica. Nie wahałem się ani chwili i poprosiłem, żeby zabrał mnie ze sobą, byśmy mogli stanąć razem na dziobie statku, gdzie pokaże mi, co widział. Niemal pożałowałem, że to zrobił. Szkwał był już tak silny, że musieliśmy się zgiąć w pół, idąc po pokładzie, a skrzypienie takielunku urosło i brzmiało teraz niczym krzyk Banshee. Gdy dotarliśmy do dziewięciofuntówki, zauważyłem coś jeszcze bardziej niepokojącego. Całe niebo przed nami zmieniło się w olbrzymią, grafitową sztabę – i najwyraźniej ważyło tyle, jakby było zrobione z ołowiu. W miejscu, w którym stykało się z morzem, fale tworzyły monstrualne wzniesienia i szczyty, wszystkie połyskujące surowym światłem zachodzącego słońca.

– Co to jest, panie Tickle? – zapytałem, a kiedy nie dostałem odpowiedzi, krzyknąłem, żeby przekrzyczeć wiatr: – Co to znaczy?



Tym razem usłyszał mnie, ale zignorował. Spojrzał natomiast w stronę pasażerów, którzy byli na tyle silni, że mogli zostać na pokładzie, i na wszystkich naszych towarzyszy, którzy zebrali się wokół bosmana Kirkby'ego przy sterze. Każdy z nich gapił się zdziwiony. Natty też. Przyciskała swoją twarz do okrągłego bulaja w sterówce niczym duch.

– Myślę, że to huragan! – odrzyknął do mnie w końcu pan Tickle, ale już sam się tego domyśliłem. Gdy wypowiedział to słowo na głos, najwyraźniej wyrwał się z transu, w który na chwilę popadł. Dudniąc głośno, wezwał pana Lawsona i pana Creeda, by podeszli – co przyszło im z wielką trudnością – a potem ruszyli w niebezpieczną podróż w górę po linach. Widząc, jak tak wiszą z włosami rozwianymi wokół twarzy i odzieniem szarpanym wiatrem, przyszły mi na myśl muchy w pajęczynie targanej podmuchem wichru.

– Zwinąć topsel! – krzyknął pan Tickle, osłaniając usta zwiniętymi dłońmi, i zobaczyłem, jak nasi marynarze podjęli wyzwanie, mocno przywierając do takielunku przy szalejącej wichurze, a Słowik przechylił się naprzód, wpadając w coraz to głębsze fale. W chwili, gdy wydawało się, że wicher zerwie ich z góry i ciśnie wprost w niebo, żagiel spadł gwałtownie w dół i niemal wypadł za burtę pośród wzbierającej piany.

Pan Tickle stał niczym skała, a jego rozkazy wypełniano migiem, bez szemrania – i wciąż był nieporuszony, gdy żeglarze znów zjawili się na pokładzie i stali z odchylonymi do tyłu głowami, podziwiając swoje dzieło. Nad głowami śmigwały oderwane kawałki nieba koloru węgla, przemoknięte i poszarpane. Teraz szkwał jeszcze przybrał na sile, a ryk morskiej Banshee prawie uniemożliwiał komunikację. Ale nie zraziło to pana Stevensona, który zlął w końcu ze swej żerdzi i zeskoczył między nas niczym zmokła kura w swym pocerowanym marynarskim kaftanie.

– Już się zrobiło za ostro jak na mnie – powiedział, czy raczej zmusił nas do czytania z ruchu swych warg. Następnie wziął pod łokcie panów Creeda i Lawsona i cała trójka chwiejnym krokiem udała się na tył okrętu.

Kiedy pan Tickle zobaczył, że są bezpiecznie ulokowani przy bosmanie Kirkbym, nachylił się do mnie i przysunął usta do mego ucha, szorując mokrą brodą po mej skórze.

– Ta spokojna pogoda, którą mieliśmy wcześniej – powiedział z zaciętrzewieniem, które zdawało mi się niezwykle, zważywszy na okoliczności – była idealna do naszych zadań na lądzie, to pewne. Ale bardzo zwodnicze. Cisza przed burzą, jak to mówią. – Wyprostował się i uśmiechnął pełną gębą z wielką satysfakcją, jakby zdanie to zawierało prawdę objawioną, którą sam odkrył, i podejrzewałem, że tak właśnie było. Tak czy inaczej, potwierdzało to tylko fakt, że według niego nasza sytuacja zmieniła się z dobrej w poważną w kilka chwil i chce, żebyśmy... No właśnie, co? Wciąż jest to dla mnie szokujące, bo pamiętam, iż nie miałem bladego pojęcia, co robić, i tym samym musiałem posłać mu spojrzenie pełne bardzo niekapitańskiej bezmyślności.

– Proszę o wybaczenie, sir – powiedział, widząc, jaki jestem zagubiony.

Położyłem mu rękę na ramieniu, zachęcając go, by mówił dalej.

– Proszę o wybaczenie, sir, ale myślę sobie, że mądrzej będzie teraz zrejterować, niż brnąć w to dalej.

– Zrejterować dokąd? – zapytałem.

– Tam, skąd przypłynęliśmy – powiedział, cedząc słowa, by pokazać mi, iż wie, że rozmawia z dzieckiem.

– Na Wyspę Skarbów?

Pan Tickle posłał mi ponury uśmiech.

– Nie, nie na Wyspę Skarbów, paniczu Jim, bo to nie dość daleko. Musimy przepłynąć jeszcze dalej, za Wyspę Skarbów.

Uradowałem się, słysząc jego słowa, i niemal poczułem ulgę na wieść, że los oszczędzi nam dalszych cierpień. Ale kiedy spostrzegłem, że panu Tickle'owi uśmiech spelzł z twarzy, i patrzyłem, jak wyciąga fajkę z kieszeni i wsadza sobie ją między zęby, gdzie zaczął gryźć cybuch, jakby chciał go zmielić na proch, wiedziałem, że nie ma się z czego cieszyć.

– No właśnie – powiedziałem, by zrobić wrażenie, że sam już doszedłem do tego wniosku.

– No właśnie, no właśnie – powtórzył, aż fajka zatańczyła mu między zębami. I wtedy, by pokazać, że wybacz mi ignorancję, poklepał mnie po ramieniu, po czym ruszył pospiesznie w stronę rufy, by pogadać z bosmanem Kirkbym przy sterze. Jego zręczność poruszania się była zadziwiająca, gdyż statek obecnie przechylał się jeszcze bardziej w przód, wierzgając pod naszymi stopami, a on jakby w ogóle nie zauważał tych akrobacji.

Ruszyłem wolniej spod dziewięciofuntówki miarowymi susami do grotmasztu, a potem do drugiego, przywierając do każdego przymocowanego mocno przedmiotu, gdzie odzyskiwałem równowagę przed kolejnym skokiem. Kiedy dotarłem do sterówki, Natty otworzyła z rozmachem drzwi, by mnie powitać, a ja z wdzięcznością wtoczyłem się do środka. Bosman i pan Tickle zaczęli wydawać rozkazy tym, którzy wciąż byli na pokładzie, by teraz skryli się bezpiecznie na dole, jeśli nie chcą, by fale zmyły ich z pokładu. Spodziewałem się, że wszyscy od razu go posłuchają, ponieważ nawałnica wokół rozszalała się na dobre, ale kilku z naszych pasażerów było bardzo opornych – nie spodziewali się, że znów zostaną zmuszeni do przebywania w zamkniętej ciemnicy. Dopiero gdy potężna fala nagle przelała się przez burzę statku, mocząc ich wszystkich i zmieniając pokład w wodospad, poszli po rozum do głowy, drąc się wniebogłose i klaszcząc w dłonie, gdy pan Creed i pan Lawson zaczęli ich zaganiać na dół.

– Zabierzcie tego piekielnika ze sobą! – wykrzyknął bosman Kirkby, mając na myśli Kleksa, gdy reszta załogi szykowała się, by ruszyć w ich ślady. Stwierdziłem, że to nie dlatego, iż nienawidził Kleksa, ale obawiał się, że możemy stracić naszą maskotkę. Natty skrzywiła się, ale posłusznie zdjęła klatkę z kołka, przykryła ją, żeby nasze zwierzątko zamknęło dziobek, po czym podała ją panu Stevensonowi. Widząc nasze kwaśne miny, pokładowy Szkot niechętnie go przejął. Kleks był więcej niż zawiedziony i świadczyło o tym jego pożegnanie.

– Naprzód ku sławie! Naprzód ku sławie! – zaskrzeczał, znikając pod pokładem. – Naprzód ku sławie!

Teraz przy opustoszałym pokładzie, nie mając nikogo do pomocy oraz ani krztyny żagla nad głową, zaczęliśmy bardzo trudny manewr zawrócenia Słowika. Równie dobrze mogliśmy próbować wpłynąć na samą naturę. Statek zdawał się wierzgać, kiedy wpadł między dwie potężne fale z żalonym skrzypieniem wręg i wstrząsem, który przebiegł od dziobu do rufy – wstrząsając mną czystym strachem. Przez chwilę nasz los zdawał się wisieć na włosku i pomyślałem, że rozniesie nas na strzepy, kiedy spojrzałem przez bulaj na bosmana Kirkby'ego. Zdawał się samodzielnie wstrzymywać całą furję oceanu, a deszcz i pryskająca piana morska lały się po jego marynarskim kaftanie, jakby stał pod wodospadem. Jego borsuczka twarz niemal zapadła się z wysiłku. Ale trwał na posterunku. Słowik był jego statkiem i koniec końców nie miał wyboru i musiał robić, co mu kazano. Po kolejnej serii potężnych pacnięć fal i wstrząsów, przy zwałach wody przewalających się niczym tabun koni przez burty, zawróciliśmy bardzo wolno, schodząc nawałnicy z drogi. Nagle uwolniliśmy się i mogliśmy pożegłować z powrotem drogą, którą już przebyliśmy.

Wtedy pan Tickle zebrał zwój liny i znów ruszył na dziób, jeśli można w ogóle nazwać chodem, gdy człowiek przywiera do wszystkiego, co się trzyma pokładu, pchany mocnym wiatrem. Kiedy zmógł odcinek do grotmasztu, przywiązał się do dziewięciofuntówki, skąd mógł wypatrywać bieżących niebezpieczeństw. Był to niezwykle dzielny czyn i poczułem, że ja też muszę sobie znaleźć jakieś użyteczne zadanie, zamiast siedzieć, gdy inni ryzykują życiem. Ale kiedy zaproponowałem to bosmanowi

Kirkby'emu, gestykulując przez bulaj sterówki, odkrzyknął, żebym nie robił z siebie idioty. Mam siedzieć na miejscu i pilnować Natty. Otworzyłem usta, by zaprotestować, na co jego zwyczajowa życzliwość spełzła mu z twarzy. Niezwykle surowym głosem powiedział, że możemy uważać się za szczęściarzy, iż nie zostaliśmy zamknięci pod pokładem, mimo że jesteśmy młodzi i guzik wiemy o morzu. W mniej niebezpiecznej sytuacji poczułbym się urażony, ale w naszym położeniu stwierdziłem, że powiedział samą prawdę. Postanowiłem więcej nie wypróbować jego cierpliwości i zadowolilem się zerkaniem na ciężkie kotary deszczu, które smagały bulaje sterówki.

Mówię, że wtedy zeglowaliśmy, ale prawdę mówiąc, było to coś na kształt lotu, ponieważ statek tak lekki jak Słowik nie zachowywał się jak jednostka pływająca na powierzchni morza, ale rzucał się z jednej otchlani w drugą. Po kilku minutach takiego lania Natty i ja ześliznęliśmy się z naszej ławy i przykleknęliśmy na podłodze sterówki, tak że mieliśmy wzrok na poziomie burt statku. Pozwoliło nam to śledzić wznoszenie się i opadanie, jakbyśmy złali się z resztą wręg statku. Ale parszająca woda i wichry napierały tak mocno na Słowika, a przeskoki od ciemności do światła stały się tak gwałtowne, że precyzyjniej byłoby powiedzieć, że czuliśmy, co się dzieje, a nie widzieliśmy. Każdemu skokowi naprzód wykonywanemu z wielkim wysiłkiem towarzyszył moment zawieszenia w powietrzu, a następnie przeskok w puste miejsce, potem zderzenie z wodą, która mogła rozbić nasz statek jak łupinę, a potem znów mozolne wspinanie się po fali.

Nie potrafię powiedzieć, jak długo to trwało. Kiedy wszystko, co wydaje się z natury solidne i zwarte, nagle zmienia się w płynne i bezkształtne, wycucie czasu roztrzaskuje się na kawałki. Nic się nie łączy i wszystko traci sens. Raz leżeliśmy splątani z Natty na podłodze niczym kukiełki. Po chwili zakrywaliśmy twarze, gdy szczególnie zajadła fala biła wściekle w burty, rozbijając szkło w oknie i zasypując nas odłamkami, by znów się wycofać. Po chwili widzieliśmy, jak sylwetka Wyspy Skarbów przelatuje obok z falami srebrzącymi się pod posępnym Wzgórzem Lunety. Czy też raczej wydawało się nam, że to widzieliśmy. Nie byłem w stanie uwierzyć, że miejsce o tak złowroziej sile – które dało wiele, ale też wiele zabrało – mogło tak pospiesznie zniknąć. Jak zupełnie nieistotny fragment krajobrazu.

Być może ta myśl o niekonsekwencji zaczęła zmieniać mój nastrój. A może sprawiło to poczucie, iż Słowik, przetrwawszy kanonadę sztormu, nie dał się tak łatwo zatopić przy kolejnych próbach. Tak czy inaczej, gdy wyspa ponownie zniknęła za nami, uświadomiłem sobie, że zaczynałem czerpać radość z naszego położenia. Żebyście zobaczyli bosmana Kirkby'ego, jak mocno trzymał ster, gdy wszędzie wokół szalały nieposkromione żywioły! Żebyście mogli zobaczyć przemoczonego do suchej nitki pana Tickle'a, przywiązanego do działa; wydawało się, iż cały jest pokryty srebrnym pyłem! Pomyślałem, że musi triumfować i wcale nie chwyta łapczywie powietrza. Ja triumfowałem – gdy powinienem koncentrować się na prozaicznych sprawach, takich jak unikanie rozwalenia sobie głowy.

Natty była zbyt zaskoczona, zbyt przerażona, by podzielać mój deliryczny stan.

– Myślałeś już?! – wykrzyknęła.

– Nad czym miałem myśleć? – odparłem i poczułem, jakby ktoś mi wyrwał te słowa z ust.

– Myślałeś już, co będzie, kiedy dobijemy do brzegu? – Siedzieliśmy obok siebie na podłodze sterówki, opierając się plecami o ławę i zapierając nogami o nogi stołu. Morska woda miotana wichrem przez rozbite okno zmoczyła włosy Natty, a jej twarz jaśniała.

Parsknąłem śmiechem, ale nie była to żadna odpowiedź.

– Morze wokół nas to jedna wielka kałuża – ciągnęła dalej, przybliżając twarz do mojej, bym usłyszał, co mówi. – W końcu musimy dotrzeć do jej krańca.

Jej racjonalny ton wydał mi się dość absurdalny w tym całym ryku i nie potrafiłem opanować uśmiechu.

– Kiedy w końcu? – zapytałem.

– A skąd ja mam wiedzieć kiedy? – odwarknęła, jakby zirytowana swoim i moim tonem głosu. – Kiedy skończy nam się morze.

Rozdrażnienie Natty było niczym w porównaniu z paplaniną wichru i fal, ale i tak mnie to ubodło – i dzięki temu spostrzegłem, że tak mi ulżyło, gdy uciekliśmy przed jednym niebezpieczeństwem, że nie zdawałem sobie sprawy, co nas jeszcze czeka.

– Tam jest Ameryka Łacińska – powiedziałem zarówno do siebie, jak i do Natty. Rezygnacja w jej głosie mnie zaskoczyła, dopóki nie dodała tonem wyjaśnienia:

– Mój ojciec tam był. Mój ojciec jest wszędzie. Dokądkolwiek byśmy się nie udali, idziemy jego śladem.

– Jeszcze zobaczymy – odparłem, ale nie było to krzepiące; nie miałem jednak ochoty w takiej chwili myśleć o naszych ojcach.

Natty posłała mi kolejne gniewne spojrzenie.

– Zaczynaj myśleć! – wykrzyknęła z wielką irytacją w głosie.

Ale nie potrafiłem. Mogłem jedynie rozglądać się po pokładzie i patrzeć w stronę pana Tickle'a. Choć Słowik wciąż miotał się na wodzie w bardzo nieregularnych skokach i czasami wręcz unosił się nad tonią, mój towarzysz postanowił rozwiązać krępującą go linę i próbował przejść dalej na dziób. Równie dobrze mógłby próbować brodzić w rozszalałym górskim strumieniu. Spodziewałem się, że zmiecie go za burtę lada chwila. Jednocześnie pomyślałem, że musi mieć powód, by tak ryzykować życiem – i choć nie pojmowałem, cóż to takiego może być, wiedziałem, że powinienem mu pomóc.

Nie mówiąc ani słowa do Natty, otworzyłem zamaszystym ruchem drzwi do sterówki i wyszedłem na pokład. Pęd wiatru od razu tak się wzmógł, że cudem zdołałem zamknąć za sobą drzwi i nie byłem w stanie pójść śladem pana Tickle'a. Nie tyle szedłem, nawet nie zataczałem się po pokładzie, co pełzłem. Wszystkie myśli o rodzinie, domu czy miłości spłynęły po mnie w jednej chwili. Wszystkie wspomnienia o ojcu, o rzece czy Natty rozplynęły się w powietrzu. Nie robiły na mnie wrażenia nawet krzyki naszych gości dobiegające z dołu, które w innych okolicznościach odebrałbym inaczej. Nie było odgłosów strachu czy desperacji, a jedynie hałas. Cały świat zamknął się we mnie, a moim jedynym pragnieniem było żyć dalej.

## Rozdział 37

# Wrak wszelkich nadziei

Tak często waliły we mnie masy wody, wielokrotnie byłem zmuszony przystanąć, by przytrzymać się czegoś, co było pod ręką, że to, co powinno mi zabrać niecałą minutę, trwało dziesięć, z których każda zdawała się długą godziną. Kiedy dopełznałem do grotmasztu, urwany takielunek trzepnął mnie tak mocno, że myślałem, iż oślepnę. Przy dziewięćfuntówce jedna z fal trzasnęła moją głową o starą skrzynkę z amunicją i leżałem przez chwilę skołowaciały, a fale pieniały się nade mną z nieustępliwą furją.

W końcu podszedłem na tyle blisko do dziobu, że pan Tickle mógł mnie uratować, rzucając linę, która objęła mnie niczym łąso, po czym przyciągnął do siebie, gdzie padłem na deski jak flądra. Jego siwa broda i twarz ociekały wodą, jakby miały się w niej rozpuścić. Nawet jego fajkę, która zadrżała, gdy przemówił, wypełniała woda.

– Widziałeś? – wykrzyknął.

Byłem zdezorientowany i nie wiedziałem, co ma na myśli. Ponieważ ostatnie słowa, jakie wymieniliśmy, dotyczyły Wyspy Skarbów, pomyślałem, że pyta, czy widziałem wyspę, kiedy śmignęła obok nas jakieś dziesięć mil temu.

– Widziałem! – odkrzyknąłem. – Malutka i tonie!

Pan Tickle wyjął fajkę spomiędzy zębów i odwrócił ją, by wylać wodę, po czym zacisnął cybuch między zębami, jednocześnie unosząc brwi. Poznałem po tym, że coś mi umknęło, i uśmiechnąłem się do niego głupkowato.

Na to poklepał mnie po ramieniu, swoim zwyczajem wybacząc mi młodzieńczy wyskok, a potem wskazał kciukiem w stronę chroniącego nas dziobu statku. Otworzyłem szeroko oczy i zapytałem, czy chce, abym spojrział – a kiedy pokiwał głową, odwróciłem się i kucnąłem, prostując się nieco i jednocześnie chwytając się poręczy nadburcia. Szkwał w jednej chwili pozbawił mnie tchnienia, waląc z całej siły, najwyraźniej z zamiarem chwycenia mnie za głowę i wyduszenia z niej całego mózgu. Każde rozsądne stworzenie schowałoby się w bezpiecznym miejscu, lecz ja, przyciskany potężną dłonią pana Tickle'a, wiedziałem, że muszę wytrwać w tej pozycji przez chwilę i zobaczyć to, co mi wskazuje.

Osloniłem twarz i próbowałem odnaleźć horyzont, ale wciąż mi uciekał – pas ciemności, który raz zanurzał się pod wodą, a po chwili wzbijał pod niebiosą. Nie był to tylko pojedynczy pas ciemności, ale kilka nałożonych beładnie na siebie. Na wyspie wieczorne sztormy pozwalały słońcu zasiadać w glorii i chwale na swym tronie, tak że mogło eksplodować pomarańczowo-złotą barwą. Ale tu kres dnia był inny. Zdawało się, że słońce zgasło całkowicie i nigdy więcej nie pojawi się na horyzoncie.

Pan Tickle niecierpliwie oczekiwał odpowiedzi i ryczał coś do mnie.

– No, chłopcze, co widzisz?

Jeszcze raz starałem się osłonić oczy, zerkając i mrużąc je, aż byłem w stanie wbić wzrok w jeden punkt w oddali. Ale nagle dal się skończyła. Horyzont znalazł się o milę od nas albo jeszcze bliżej. Nie była to zwykła ciemność. Zobaczyłem zamazaną ciemnozieloną ścianę. Nie, znów się pomyliłem. Nie była zamazana. Kiedy jeszcze bardziej zmrużyłem oczy, dostrzegłem kształt na podobieństwo kręgosłupa ze szczytami i dolinami wokół. A gdy zobaczyłem te doliny, dostrzegłem również brzeg z klifami wyrzeźbionymi w litej skale rozświetlonej pióropuszcami białej piany spadającej kaskadą w dół.

Usłyszałem w myślach głos Natty, który nie był już tak zrezygnowany, ale bardziej syczący, jak u jej ojca. „Ameryka Łacińska – mówił. – Ameryka Łacińska”.

Po raz pierwszy w życiu poczułem się całkowicie zdany na łaskę świata – na samą myśl o tym kolana się pode mną ugięły i opadłem na pokład obok pana Tickle’a. Zrozumiałem, że proszono mnie, abym uniósł niesłychanie ciężkie brzemie. Pan Tickle też nie mógł pomóc mi w tym zadaniu. Kiedy powiedziałem mu, widzę, mógłbym równie dobrze obrzucić go kamieniami. Jego twarz stała się pusta i bez wyrazu. Kiedy przytknąłem głowę do jego piersi, byłem zaskoczony, wciąż słysząc bicie jego serca – cykało głośno jak kuchenny zegar.

Nie miałem pojęcia, czy zrozumiał, co do niego wtedy powiedziałem – choć był to tylko opis wybrzeża i ostrzeżenie, że bardzo szybko znajdziemy się na brzegu. Nie odpowiedział i nie zmienił się też wyraz jego twarzy. Przyjrzałem mu się z bliska, zmuszając go do odpowiedzi. Ale znów nie padło ani jedno słowo z jego ust. Woda ściekała mu po nosie i po brodzie, ale nie zamierzał jej wycierać. Stracił zdolność odczuwania czegokolwiek, a nawet chęć do frasunku.

Był to dla mnie ostateczny dowód na to, że nie przeżyjemy. Ale zamiast wzbudzić we mnie panikę, bym zaczął walczyć o przetrwanie wbrew przeciwnościom losu, przyjąłem to ze spokojem, jakbym był dzieckiem, któremu kazano iść spać. Bez specjalnego pośpiechu rozejrzałem się dookoła, spoglądając z wielką ciekawością na wszystko, co miałem zostawić, aż nawet wściekłość sztormu uznałem za rzecz piękną. Fale przetaczające się przez dziób w kwiecistych festonach, miniaturowe pęcherzyki powietrza zostające mi na dłoniach, gdy woda przelała się już przez palce, tuzin różnych odcieni szarych chmur, które kłębiły się nad naszymi głowami – od jasnego przez cynowy aż do czarnego jak smoła.

Kiedy dokończyłem obserwację, z równie niezachwianym spokojem postanowiłem pogodzić się ze Stwórcą i powierzyć Mu swą duszę. Choć trzeba przyznać, że nie wiodłem specjalnie cnotliwego życia, przynajmniej czyniłem starania, by zmienić ten stan, i nie zamierzałem dać za wygraną w ostatnim momencie. Dlatego zmówiłem „Nunc dimittis”<sup>\*\*\*\*\*</sup> pod nosem, a kiedy skończyłem, poczułem otuchę po frazie, w której słyszymy o słudze odchodzącym w pokoju. Ucisnąłem dłoń pana Tickle’a i powiedziałem mu, że jest dzielnym człowiekiem.

Może i wyglądało to tak, jakbym miał zamiar zostać tu i zginąć na miejscu, siedząc obok przyjaciela. Ale w rzeczywistości całe to moje rozglądanie się i modlitwa były swoistym przygotowaniem się do tego, co jak zawsze wiedziałem, musiało nastąpić dalej (i tym samym na końcu), czyli do uciążliwego powrotu na czworakach po pokładzie Słowika z wiatrem smagającym mi twarz. Tam właśnie zamierzałem dokonać żywota – leżąc obok Natty w sterówce.

Moja wyprawa do pana Tickle’a wyczerpała niemal wszystkie moje siły. Droga powrotna była niemożliwa, ale nie chciałem się z tym pogodzić. Szkwał darł mi się z całych sił do ucha. Deszcz wbijał mi hufnale w głowę i dłonie. Niebo wiązało coraz to ciemniejsze chusty na mych oczach. Fale napierały na mnie, siłowały się ze sobą, kipiwały w strugach i wodospadach. Buntowałem się przeciwko temu wszystkiemu. Buntowałem się, ponieważ wyobraziłem sobie czekającą na mnie Natty – i wiedziałem, że muszę do niej dotrzeć. Kilka chwil wcześniej byłem zajęty wyłącznie własnym przeżyciem. Teraz to Natty stanowiła jedyny sens mej egzystencji.

Robiłem, co mogłem. Z punktu obserwacyjnego na dziobie nie byłem w stanie dostrzec, czy przy brzegu rozciągają się rafy. Po ledwo dwóch, trzech minutach pełzania i osuwania się na deskach, zdołałem dotrzeć jedynie do grotmasztu i wtedy usłyszałem odgłos, który mnie przeraził. Dźwięk, którego wcześniej nie słyszałem, ale który pojąłem w mig. Potężny trzask, będący jakby westchnieniem i rykiem jednocześnie, a częściowo też krzykiem. Ohydna kombinacja tego, co zwarte, i tego, co ustępuje pod naporem. Odgłos żalostnego okaleczenia.

Uderzyliśmy w ląd. Najpierw pojawiła się myśl, która była pytaniem – dlaczego w tej ruinie jest tak jasno? Przynajmniej na to znalazła się od razu wyczerpująca odpowiedź. Kiedy przekręciłem głowę i podniosłem wzrok, zobaczyłem, że wiatr wdał się w spisek z morzem i nagle zmiotł wszystkie chmury z nieba, a wraz z nimi deszcz, więc wrak rozjaśniały teraz księżyc i gwiazdy. Spoglądały groźnie, oświetlając go ostrym blaskiem – jasne snopy światła padały na wodę, ukazując też czarną skałę, na której się rozbiliśmy, wijącą się od klifów na wprost niczym olbrzymi węgorz, i widziałem również poblask na samych klifach o sto metrów od dziobu statku. Na przestrzeni kilku ulotnych sekund zobaczyłem, że klify sięgają wyżej niż nasz grotmaszt, a nad nimi unosi się wstęga stada mew. Wąski brzeg był opustoszały i nie widziałem na nim ani śladu ścieżki czy szlaku, który mógł zaprowadzić nas w bezpieczne miejsce albo do kogoś, kto mógłby nas wyratować.

Kiedy wciąż spoglądałem na klify, wzdrygając się na widok ich surowości, usłyszałem, jak wręgi kadłuba wydają z siebie żalospny jęk. Tym razem nie było zwłoki, nie było zawieszenia, jedynie nagły huk kipieli. Fale skorzystały z okazji niczym stado wilków i wściekle przetoczyły się przez burty. Dziób zanurzył się pod wodę, tworząc wielką tętniącą banię powietrza, która buchnęła fosforyzującym światłem. Jednocześnie rozległ się chóralny jęk żałości i kapitulacji, bo takielunek nad moją głową, a raczej te strzępy, które z niego zostały, wciąż łopotały miotane wicherem.

W takiej chwili i w sposób, który mnie niepomniernie zadziwił, tak jak i sam sztorm, odkryłem, że mój umysł obrał bardzo pewny kurs. Mogę to jedynie wyjaśnić, mówiąc, że doszedłem do wniosku, iż mam przed sobą jedynie kilka chwil życia – i zacząłem łaknąć jakiegoś porządku w naturze. Byłem nawet w stanie zauważyć, że koniec Słowika nastąpił w oddzielnych etapach, niczym w poszczególnych aktach jakiegoś dramatu. Najpierw obrócił się na swej kamiennej grzędzie, aż położył się kadłubem na boku, wystawiając się na główne uderzenie nawałnicy równoległe do brzegu. Potem z mozolną powolnością, na którą ciężko było nawet patrzeć, przechylił się w stronę lądu. Później zobaczyłem, jak ostatni niewielki żagiel wyrywa się na wolność, drąc się na linach, i pada plackiem na fale. W kolejnym akcie usłyszałem, jak włazy ustępują z trzaskiem, pozwalając wodzie wedrzeć się do ładowni w setkach drobnych katarakt.

Na koniec, w piątym akcie, nasi przerażeni pasażerowie zaczęli pojawiać się na pokładzie, wszyscy jakby wykrojeni z ciemnych, drżących cieni. Niektórzy całkowicie zdezorientowani parli naprzód i łapali się bomu albo liny, wyczekując tam swego losu. Niektórzy krzyczeli, ile sił w płucach, pomstując na to, w co nie mogli uwierzyć; że sprawiedliwy Bóg mógł wciąż tak srogo ich traktować. Wszyscy zostali w jednej chwili zalani wodą i w świetle księżyca pełzali między sobą, przypominając czerwie na trupie.

I tu muszę coś wyznać oraz odmalować pewną scenę. Wiedziałem, że powinienem pomóc moim towarzyszom niedoli, ale nie zrobiłem tego. Nawet nie okazałem szacunku i uprzejmości. Zignorowałem ich. Przepchnąłem się, udając, że nie czuję chwytających mnie palców ani że nie słyszę jazgoczących głosów. Kiedy podszedłem do Rebeki, która wskazywała na zagniewane niebo jedną dłonią, drugą przyciskając Biblię do piersi, dostrzegłem zadziwienie, które mnie głęboko dotknęło – ale nie zrobiło większego wrażenia. Całe moje serce i umysł znajdowały się gdzie indziej. Były skoncentrowane na Natty.

Ale straciłem ją z oczu – a kiedy zerknąłem na wprost do sterówki, pomyślałem, że już mi ją zabrano. Drzwi wściekle trzaskały, a przez pustą framugę bulaja fala za falą przetaczały się po wnętrzu. Gdy te strumienie przesączały się przez zęzy, wydając ohydny odgłos zasysania, jakby wciągał je w siebie olbrzymi morski potwór, statek uniósł się nieco znad rafy. Była to właściwa chwila na podjęcie decyzji, choć człowiek miał tu niewiele do powiedzenia. Kiedy woda się cofnęła, Słowik osiadł na powrót na rafie z głębokim westchnieniem, po czym nagle przewrócił się na bok pod takim kątem, że wszystko z pokładu w jednej chwili zjechało do morza.

Łatwo to opisać, ale strasznie wspominać. Usłyszałem wrzaski lecących w dół ludzi, widziałem ręce i nogi próbujące chwycić się czegokolwiek – bezskutecznie. Słyszałem głuche dudnienie kości uderzających o drewno, czaszki o czaszkę i w rozmazanym obrazie uchwyciłem, jak cały nasz świat przewala się na bok. Zobaczyłem bosmana Kirkby’ego oderwanego od steru z ustami otwartymi szeroko w niemym krzyku, aż było widać wszystkie jego pieńki zębów. Widziałem pana Tickle’a w zawadiackiej, czerwonej czapce, którą w końcu zwało mu z siwej głowy. I pana Allana, który najwyraźniej ścisnął łyżkę w dłoni. I pana Stevensona, który w jakiś sposób odnalazł drogę do kajuty kapitana i zabrał swoją sztabę srebra; trzymał ją w wyciągniętych ramionach, zsuwając się w fale, aby ciężar przyspieszył jego drogę na dno morza.

– Nie umiem pływać, nie umiem pływać! – zawołał w swym ledwo słyszalnym gwarowym zaśpiewie, po czym zniknął.

Co do mnie, powinienem się uznać za szczęściarza, gdyż mogłem być świadkiem tego wszystkiego, bo to ja przeżyłem. W tej sprawie przeważała jedna prosta rzecz – nasza wywrotka rozpoczęła się w chwili, w której przyciągnąłem się do grotmasztu i idąc dalej, zostałem schwytyany w pajęczą sieć takielunku. Czy tego chciałem, czy nie, złapała mnie i przytrzymała. Z początku się rzucałem, podejrzewając, że zostanę wciągnięty pod wodę i utonę, ale liny mnie podtrzymały. Leżałem tak niczym w hamaku, gdy moi towarzysze ześlizgiwali się w morskie odmęty – mogłem leżeć, mogłem się obrócić, mogłem szukać Natty w ostatniej desperackiej próbie – i cudownie odnalazłem ją. Tak nagle i niespodziewanie, jakbym ją wyblagał, zobaczyłem, jak wypada przez bulaj sterówki, zakrywając ramionami twarz. Odbiła się od pokładu jak zabawka, którą robią z hinduskiej gumy. Cisnęło ją w fale. Zagłębiła się w toń i wystrzeliła z powrotem na powierzchnię, tak że mogłem zobaczyć jej zaciśniętą twarz naznaczoną wściekłością. Znowu poszła pod wodę i straciłem ją z oczu.

Wyrywałem się z pułapki z lin, wierzgając wściekle, aż mogłem się w końcu z niej wykręcić i ruszyć za Natty. Ruszyć, ale dokąd? Nawet mając do pomocy miarowo padającą na toń poświatę księżyca, w wodzie było pełno ramion, nóg, głów i całych ciał oraz lin, beczek, fragmentów odzieży i kawałków wraku, więc nie potrafiłem określić, w którym miejscu zniknęła. Ale nie zraziło mnie to – jakżeby mogło, kiedy coś, co ceniłem najbardziej na świecie, było o włos od rozstania się z nim? Określiłem miejsce, w którym mogła zniknąć – zebrało się tu kilka naszych jabłek, wyglądających niczym czerwone rozgwiazdy w białej pianie. Zacerpnałem głęboko powietrza w płuca i dałem nura.

Spokój, jaki mnie otoczył, był osobliwy. Po tych wszystkich krzykach i przekleństwach miotanych przez niektórych mężczyzn, modlitwach innych i ciągłym dudnieniu wiatru nagle usłyszałem tylko swój puls, bulgotanie wody, która uciekała z moich ust, wędrując w górę po mojej twarzy. Czy coś widziałem? Ciemność. Czy coś czułem? Jedyne nieznaczący nacisk na ciało, które zapędziłem na głęboką wodę.

Nic. Kiedy znowu wyskoczyłem na powierzchnię, waląc wściekle rękami przy próbie zwiększenia odległości od tej masy poszarpanego drewna i szmaty żagla na wodzie, starałem się ocenić, jak mocno oddaliłem się od wyznaczonego miejsca. Ale morze nie pozwala na precyzyjne obliczenia tego rodzaju. Wszystko dryfuje – jak mówiliśmy do siebie z Natty po śmierci Jordana Handsa. Nic nie tkwi w miejscu. Mogłem jedynie powtórnie zanurkować, i jeszcze raz, i znowu, z każdym rzuceniem się w odmęty bardziej zrozpaczony niż wcześniej.

Za każdym razem kiedy pływałem pod falami, równie dobrze mógłbym próbować poruszać się we śnie. Kiedy wystawiałem głowę z wody i łapałem chciwymi haustami powietrze, mój sen zamieniał się w koszmar na jawie. Nie było śladu po Natty – jedynie zniszczenie oświetlone przeblaskami miesiąca. Wtedy dostrzegłem Kleksa, wciąż w klatce, który wpadł w wir, gdy prąd przeciągnął go po morskiej pianie. Jego skrzydełka unosiły się i opadały niemrawo, ale nie było już w nich życia. W innym miejscu



odnalazłem pana Tickle'a i bosmana Kirkby'ego, których bezwładne ciała wisały na linach w poprzek masztu. Pan Allan, co zauważyłem, wciąż żył.

– Zostań z nami, staruszek – wołał, zwracając się do Słowika i machając rękami, by się utrzymać na powierzchni. – Zostań tu, a my przyjdziemy i cię wyładujemy. – Miał pianę morską w ustach i bulgotał.

Podczas piątego czy szóstego nurkowania byłem w stanie zostać pod wodą nie dłużej niż kilka sekund. Później kierowałem się wyłącznie odruchem i moje próby nie miały nic wspólnego z jakąkolwiek nadzieją czy rozsądkiem. Byłem pewien, że utraciłem Natty. Gdyby serce nie stanęło mi wcześniej, teraz pękłoby na miejscu.

Wtedy właśnie poddałem się siłom świata. Przestało mnie interesować, czy się utopię, czy dopłynę do brzegu, czy wdycham powietrze, czy wodę, czy przeżyję, czy zginę. Nie interesował mnie nawet stopniowo słabnący sztorm, księżyc nad głową czy gwiazdy. Chciałem tylko spać i pozwoliłem unieść się falom, rozłożony na ich grzbiecie, szeroko rozstawiając ręce i nogi, by prąd zaniósł mnie tam, gdzie sobie tego życzy.

Wolałem (o ile w ogóle miałem ochotę na jakiegokolwiek zachcianki) zapaść w niepamięć. Odrętwienie umysłu i ciała pozwoliły mi jednak przeżyć.

Przynajmniej przetrwać. Bo gdy inni nie dawali za wygraną i ginęli przy statku, ja zostałem wyniesiony i zaciągnięty czy też zmyty daleko od wścieklej kipieli fal bijących w kadłub i unosiłem się wzdłuż rafy, która przypieczetowała nasz los, aż do połączenia wody ograniczonej z jednej strony półksiężycem skały i brzegiem.

Nie od razu spostrzegłem, gdzie się znajduję, że jest to bezpieczna przystań. Ale kiedy ciepło i bezruch przywróciły czucie w moim ciele oraz zmysły, zacząłem uświadamiać sobie, że to schronienie w morzu jest spokojne niczym ton jeziora. Niczym człowiek powstały z grobu uniosłem głowę i rozejrzałem się dookoła. Po lewej stronie, sto metrów dalej w morze, rozciągał się zupełnie inny świat. Zobaczyłem, jak nieustępliwe fale wciąż biją w kadłub Słowika – ale była to tak odległa wizja, jakby została wryta w szkło. Po mojej prawej stronie piętrzyły się czarne klify, które wcześniej uznałem za całkowicie nienaruszone, a teraz dostrzegałem na nich ścieżynki biegnące tu i tam ze stopniami wrytymi w kamieniu oraz barierkami z liny. U stóp skał rozciągała się wąska i lekko pochyła plaża. Kiedy podpłynąłem bliżej, usłyszałem fale, które wręcz szemrały łagodnie, wpadając w srebrzysty, przyjazny słowotok.

Byłem uratowany, jakby samo morze mnie wybrało. Byłem uratowany; i ocalała też druga osoba, która czekała już na mnie na brzegu. Nie widziałem, kto to jest, ale wydawała mi się szczupła i młoda, z głową zakrytą szalem, tak że nie było widać twarzy. Kiedy podpłynąłem jeszcze bliżej i poczułem, jak moje ramiona szorują o gładkie kamienie, postać ta uniosła dłoń w ceremonialnym pozdrowieniu.

– Jesteś tam, Jim? – rozległ się głos z nutą słodczy, którą rozpoznałem od razu. – To ty?

KONIEC

# Nota od tłumacza

W tekście konsekwentnie, oprócz pierwszego razu, gdzie figuruje przypis, używałem słowa „maruder – maruderzy” na angielskie „maroon – maroons”, które to wyrazy nie mają odpowiednika w języku polskim. Jego znaczenie to: „osoba pozostawiona na brzegu przez odpływający statek”. Stąd ów zamiennik – bodajże najbliższy oryginałowi, choć w polskim oznacza raczej osobę ociągającą się w marszu (w wojsku) oraz żołnierza wyjętego spod prawa na skutek jego przestępstw przeciwko ludności cywilnej.

Wszystkie teksty piosenek i ballad są mojego tłumaczenia.

Jarosław Rybski

\_ Maroon – osoba pozostawiona przez członków załogi statku na bezludnej wyspie (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

\*\* Popularny w XVII i XVIII wieku rodzaj prywatnego muzeum, w którym zgromadzono różne niezwykle przedmioty.

\*\*\* Dolar hiszpański – srebrna moneta równa wartości ośmiu reali, *real de a ocho*.

\*\*\*\* Dziewięciofuntowe działo o przedłużonej lufie montowane na wysięgniku, przeważnie na dziobie bądź rufie, dzięki czemu było ruchome i dawało się nim łatwiej operować. Miało dziewięć funtów wagi, dlatego że nie można było zamontować dwunasto- czy dwudziestoczerofuntowych dział, gdyż zwykle odciążano zarówno dziób, jak i rufę statku.

\*\*\*\*\* Sinker – ciężarek, spławik.

\*\*\*\*\* Davy Jones – postać z marynarskich legend. Upiorny strażnik żeglarzy, którzy zginęli na morzu. Nazwisko „Jones” może pochodzić od biblijnego Jonasza.

\*\*\*\*\* Kantykt Symeona.

# Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Część I. POKUSA

Rozdział 1. Przykazania mojego papy

Rozdział 2. Historia mojego życia

Rozdział 3. Mój gość

Rozdział 4. Droga do Wapping

Rozdział 5. Spotkanie z duchem

Rozdział 6. Barwna kobieta

Rozdział 7. W dół rzeki

Rozdział 8. Odczytywanie mapy

Rozdział 9. Srebrny Słowik

Rozdział 10. Kapitan i załoga

Część II. WYPRAWA

Rozdział 11. Pożegnanie żeglarza

Rozdział 12. Śmierć Jordana Handsa

Rozdział 13. Wszechświat cudów

Rozdział 14. Ahoj! Ziemia!

Rozdział 15. Nasza koja

Część III. WYSPA

Rozdział 16. Druga strona wyspy

Rozdział 17. Scotland

Rozdział 18. Historia maruderów

Część IV. OPOWIEŚĆ NATTY

Rozdział 19. Nocny spacer

Rozdział 20. W niewoli

Rozdział 21. Pytania i brak odpowiedzi

Rozdział 22. Wąwóz

Rozdział 23. Spacer po wodzie

Część V. KTO SIEJE WIATR...

Rozdział 24. Plan kapitana

Rozdział 25. Uratowany!

Rozdział 26. Życie przede mną

Rozdział 27. Docieramy do miejsca przeznaczenia

Rozdział 28. Za palisadę!

Rozdział 29. Rozmowa przy bramie

Rozdział 30. Bitwa na brzegu

Rozdział 31. Na Białej Skale

Rozdział 32. Sztaba srebra

Rozdział 33. Pochówek zmarłych

Rozdział 34. Pożoga

Część VI. WRAK

Rozdział 35. Opuszczamy wyspę

[Rozdział 36. Nadciągająca sztorm](#)

[Rozdział 37. Wrak wszelkich nadziei](#)

[Nota od tłumacza](#)

[Strona redakcyjna](#)



Kontynuacja kultowej powieści **ROBERTA LOUISA STEVENSONA!**

# Silver

Powrót na Wyspę Skarbów

Andrew Motion

SON  
WYDAWNICTWO